



# Miliardy

ANDRZEJ STRUG

— edycja krytyczna —  
opracowanie Marek Kochanowski

*Andrzej Strug*  
*MILIARDY*

*Edycja krytyczna*



*Andrzej Strug*

# MILIARDY

EDYCJA KRYTYCZNA

OPRACOWANIE

MAREK KOCHANOWSKI

Episteme  
*Lublin 2022*



Ministerstwo  
Edukacji i Nauki

---

Projekt finansowany w ramach programu Ministerstwa Edukacji i Nauki  
pod nazwą „Regionalna Inicjatywa Doskonałości” na lata 2019–2022  
nr projektu 009/RID/2018/19 kwota finansowania 8 791 222,00 zł

RECENZJA dr hab. Jarosław Klejnocki, UW  
REDAKCJA JĘZYKOWA I KOREKTA Renata Zelik · wydawnictwoepisteme.pl  
SKŁAD, ŁAMANIE Robert Wojniusz · studioformat.pl  
PROJEKT OKŁADKI Szymon Strużyński · studioformat.pl

Fotografia na okładce pochodzi ze zbiorów Muzeum Literatury  
im. Adama Mickiewicza w Warszawie.  
August Zamoyski, Downtown, Nowy Jork, ok. 1920–1921

© Copyright for the text by Marek Kochanowski 2022  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Episteme 2022

ISBN 978-83-67049-66-5

EPISTEME  
Solna 4/9  
20-021 Lublin  
tel. 728 352 141  
wydawnictwoepisteme.pl

DRUK „ELPIL”  
ul. Artyleryjska 11  
08-110 Siedlce

## Spis treści

Marek Kochanowski

Krytyczna edycja „Miliardów” Andrzeja Struga 7

Wstęp 7

Życiorys 8

Geneza powieści 11

Konteksty utworu. Wielki Kryzys 15

Tematyka powieści 20

Dzieje recepcji 28

Komentarz edytorski 41

Andrzej Strug

MILIARDY

Tom I

Rozdział pierwszy

Nad Nowym Jorkiem uporczywa mgła 49

Rozdział drugi

Dwadzieścia lat 79

Rozdział trzeci

Złoto 113

Rozdział czwarty

Potentaci, mędrcy 147

Rozdział piąty

Szkoła życia młodego Ralda 167

*Rozdział szósty*  
Mądrością i pałką 193

*Rozdział siódmy*  
Świat będzie uratowany 225

*Tom II*

*Rozdział pierwszy*  
Lekarze i znachorzy 255

*Rozdział drugi*  
Tam gdzie twój skarb, tam i serce twoje... 279

*Rozdział trzeci*  
Bliżej do Ciebie, Panie 297

*Rozdział czwarty*  
Chińska waza 321

*Rozdział piąty*  
Miarą wszystkiego jest człowiek 343

*Rozdział szósty*  
Drogi w pomroce 371

*Rozdział siódmy*  
U progu nieznanego jutra 397

*Bibliografia* 415

Marek Kochanowski

## Krytyczna edycja „Miliardów” Andrzeja Struga

### Wstęp

Przez wiele lat twórczość Andrzeja Struga funkcjonowała w szerszym odbiorze czytelnicznym prawie wyłącznie w ramach problematyki właściwej dla zaangażowanego ideowo socjalisty (*Ze wspomnień starego sympatyka*, *Dzieje jednego pocisku*, *Portret*), poruszała zagadnienia związane z „ludźmi podziemnymi” (trzy tomy opowiadań *Ludzie podziemi*), problemy właściwe dla rozterek młodopolskich artystów (*Chimera*). Na studiach polonistycznych studenci sporadycznie czytali i omawiali *Pokolenie Marka Świdy*. O powieściach Struga pisanych w latach dwudziestych i trzydziestych XX w., czyli o *Fortunie kasjera Śpiewankiewicza*, *Żółtym krzyżu* i *Miliardach*, mówi się obecnie niewiele, a najczęściej wcale. Szkoda, bo utwory te umieszczone w odpowiednich kontekstach, także tych, nad którymi pochylają się dziś chociażby nauki społeczne, pokazują, iż nie tylko zachowały one swoją oryginalność, ale także rzucają istotne światło na procesy odbywające się we współczesnym świecie. Ich wyjątkowość, także w kontekście literatury międzywojennej, polega na wyeksponowaniu ekspansji świata materialnego, popychającego ludzi do zbrodni. Ten klasyczny konflikt między wartościami a materią, który wynika z zagrożeń świata zewnętrznego, pokazuje jednocześnie aktualne i dziś problemy, takie jak konsumpcjonizm, ekspansja kultury masowej, dehumanizacja sztuki. Tak też jest i w *Miliardach*, nieukończonej trylogii Andrzeja Struga, kontynuacji *Pieniądza*, wcześniejszej powieści pisarza. Pierwszy tom ukazał się jeszcze za życia zmarłego w 1937 r. Struga, drugi został wydany w 1938 r. z rękopisu, powstałego pomiędzy 22 czerwca a 4 listopada 1934 r. Zanim jednak przejdę do omawiania zapomnianej powieści Andrzeja Struga, chciałbym na wstępie przypomnieć życiorys pisarza, który odzwierciedla trudne czasy, w jakich przyszło mu żyć, a także pokazuje skomplikowane ścieżki dochodzenia autora do warstwy światopoglądowej *Miliardów*.



Andrzej Strug<sup>1</sup>, czyli Tadeusz Gałęcki, urodził się 28 listopada 1871 r. w Lublinie. Był synem Władysława Gałęckiego, szlachcica, właściciela sklepu, i Pauliny z Miklaszewskich. Po okresie dzieciństwa w Konstancynie, gdzie jego ojciec prowadził folwark, przyszły pisarz rozpoczął edukację w gimnazjum męskim w Lublinie, do którego uczęszczał w latach 1883–1893. Dzięki szkolnym organizacjom zapoczątkował swoje zainteresowania ruchem socjalistycznym. Po maturze (1893 r.) za namową ojca rozpoczął studia w Instytucie Rolnictwa i Leśnictwa w Puławach, tam brał udział w spotkaniach Koła Studentów Polskich i w tajnym Kole Oświaty Ludowej. Dwa lata później został aresztowany za tę działalność, następnie osadzony na zamku w Lublinie i X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, w której spędził kilkanaście miesięcy i nawiązał kontakty z działaczami PPS. W 1897 r., po zakończeniu śledztwa otrzymał wyrok zesłania na trzy lata do Archangielska. W Rosji zaprzyjaźnił się z Mariuszem Zaruskim, odkrywał piękno surowej przyrody, interesował się rdzennymi mieszkańcami, uczestniczył w naukowej ekspedycji na Nową Ziemię, tłumaczył Prusa i Krasińskiego, podejmował pierwsze próby literackie, które jednak uznał za niewystarczająco udane<sup>2</sup>. Po powrocie do Polski w 1900 r. rozpoczął działalność konspiracyjną w PPS, w 1901 r. napisał pracę o Stefanie Żeromskim na konkurs Związku

---

<sup>1</sup> Najwięcej informacji na temat życia pisarza zawiera książka Anny Kargol Strug. *Miarą wszystkiego jest człowiek. Biografia polityczna*, Kraków 2016. Więcej czytaj w: Z. Dębicki, *Portrety*, Warszawa 1928; J. Krzyżanowski, H. Wereszczycki, *Tadeusz Gałęcki*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 7, Kraków 1948, s. 244–247; H. Naglerowa, *Bezkompromisowy*, w: *Wspomnienia o pisarzach*, Londyn 1960; M. Ruszczyk, *Andrzej Strug*, Warszawa 1962; *Wspomnienia o Andrzeju Strugu*, wstęp i oprac. S. Sandler, Warszawa 1965; W. Masiarz, *Tadeusz Gałęcki – młodość i zesłanie do Archangielska (1871–1897–1900)*, w: *Andrzej Strug. Dzieło i czasy*, red. A. Kargol, Warszawa 2014, s. 11–27 (tam też teksty M. Śliwy, M. Wołosa, A. Kargol) oraz numery specjalne czasopism poświęcone pisarzowi i jego twórczości oraz artykuły wspomnieniowe, które ukazały się po jego śmierci („Wiadomości Filmowe” 1937, nr 24; „Gazeta Polska” 1937, nr 343; „Czarno na Białym” 1938, nr 7; „Robotnik” 1938, nr 1; „Sygnały” 1938, nr 38; „Wiadomości Literackie” 1938, nr 10). Na temat ówczesnej recepcji tekstów pisarza można przeczytać w: M. Sadlik, *Dzieło-czynu testament - Andrzej Strug w oczach krytyki (1902–1939)*, w: *Andrzej Strug*, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2011. Najważniejsze pozycje zawiera bibliografia na końcu niniejszej edycji.

<sup>2</sup> A. Kargol, dz. cyt., s. 21.

Naukowo-Literackiego we Lwowie i zdobył nagrodę główną. W tym samym roku ożenił się z Honoratą Rechniowską i razem wyjechali do Krakowa.

W 1901 r. rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W kolejnych latach w druku ukazały się jego rozprawy o Wyspiańskim, Berencie, Orkanie i Żeromskim. W tym czasie Strug kontynuował działalność w PPS – Lewicy. W 1904 r. w krakowskim dzienniku socjalistycznym „Naprzód” opublikowana została nowela *Nekrolog*, pierwszy wydrukowany literacki utwór pisarza (wcześniej ukazała się drukiem praca o Żeromskim *Stefan Żeromski. Szkic krytyczny* i pierwsze teksty publicystyczne w „Ogniwie”), jeszcze pod pseudonimem Andrzej Gąsienica. W kolejnych latach pisarz wydał następne swoje utwory, podpisywane już pseudonimem Andrzej Strug. Jednocześnie kontynuował karierę polityczną. Po wybuchu rewolucji nielegalnie wrócił do Warszawy. W 1905 r. objął redakcję „Gazety Ludowej”, pisma PPS, zaczął pracę w Wydziale Wiejskim PPS, zaangażował się w dyskusję na temat sytuacji w Królestwie Kongresowym, a w 1906 r. w Warszawie zaczął redagować „Robotnika Wiejskiego”. W 1907 r. został aresztowany i osadzony w warszawskim ratuszu, następnie w twierdzy brzeskiej. Zwolniony po krótkim pobycie w więzieniu przeniósł się do Paryża, gdzie uczestniczył w życiu paryskiej Polonii oraz prawdopodobnie nawiązał kontakty z masonerią, które podtrzymywał do ok. 1930 r. (zdobył w jej ramach najwyższe godności, a w latach 1922–1929 został jej przywódcą w Polsce<sup>3</sup>). We Francji cały czas tworzył. Drukiem ukazały się kolejne serie *Ludzi podziemnych*, powieści i zbiory opowiadań: *Dzieje jednego pocisku*, *Ojcowie nasi*, *Portret*, *Zakopanoptikon*. Wtedy też Strug rozpoczął pisanie powieści *Chimera*. W 1908 r. wstąpił do PPS – Frakcji Rewolucyjnej, a w 1912 r. do Związku Walki Czynnej. W 1914 r. brał udział w szkoleniach i manewrach Związku Strzeleckiego na Podhalu, wkrótce potem wraz ze Strzelcami wkroczył do Zakopanego.

Po wybuchu wojny wstąpił do Legionów Polskich, służył w I Brygadzie do 1916 r. W pierwszych latach wojny jako ułan brał udział w walkach z wojskami rosyjskimi, za co później otrzymał szereg wyróżnień, m.in. Krzyż Srebrny *Virtuti Militari* (V klasy). Ze

---

<sup>3</sup> T. Cegielski, *Andrzej Strug – wolnomularz*, w: *Andrzej Strug. Dzieło i czasy*, dz. cyt., s. 206. Tam można znaleźć także więcej informacji na temat wolnomularskiej działalności Struga.

względu na zły stan zdrowia czynną służbę zakończył na froncie wołyńskim. Od 1917 r. zamieszkał na stałe w Warszawie, gdzie rozpoczął działalność w Polskiej Organizacji Wojskowej, słowem kontynuując walkę o niepodległość. W 1918 r. wyjechał z misją pokojową do Kijowa i Moskwy. W tym samym roku przyjął posadę wiceministra propagandy w Rządzie Ludowym Ignacego Daszyńskiego i objął redakcję pisma „Rząd i Wojsko”, a w 1920 r. – funkcję kierownika literackiego tygodnika kulturalnego „Światło” wydawanego przez PPS. Na łamach tego pisma od drugiego numeru zaczął drukować w odcinkach *Wyspę zapomnienia*. Następnie zaangażował się w tworzenie Związku Literatów Polskich, współtworzył wolnomularską Wielką Lożę Narodowej Polski. W czasie wojny polsko-sowieckiej został członkiem prezydium Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych. Później został współzałożycielem Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, a w 1924 r. prezesem Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich.

W 1921 r. ukazały się pierwsze książkowe wydania *Pieniądza i Odznaki za wierną służbę*. W następnych latach Strug publikował na łamach czasopism *Mogilę nieznanego żołnierza* (fragmenty ukazały się w 1922 r. w „Robotniku”), *Pokolenie Marka Świdy*, *Wielki dzień*, *Fortunę kasjera Śpiewankiewicza*, *Klucz otchłani*. W 1927 r. opracował scenariusz filmu według własnej powieści *Mogila nieznanego żołnierza*, dwa lata później scenariusz do filmu *Grzeszna miłość* – na podstawie *Pokolenia Marka Świdy*. Wiosną 1928 r. zmarła Honorata Gałęcka, pierwsza żona pisarza. Latem 1929 r. Strug ożenił się z Eleonorą (Nelly) Grzędzińską. Po przewrocie majowym został wybrany senatorem z listy wyborczej PPS (1928), a w latach 1931–1937 stał się członkiem Rady Naczelnej tego ugrupowania. W 1930 r. wziął udział w opozycyjnej wobec sanacji konferencji legionistów-demokratów, publicznie wyrażając zdecydowany sprzeciw wobec sprawy brzeskiej.

W 1932 r., mimo pierwszych symptomów choroby nerek, nie przerywał pracy twórczej. Ukazały się wówczas dwa tomy *Żółtego krzyża*, w kolejnym roku zaś ostatni tom tej powieści. Dwa lata później Strug objął przewodnictwo Zarządu Głównego Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, a w 1935 r. został ponownie wybrany na prezesa Oddziału Warszawskiego Związku Literatów. W międzyczasie odbył podróż do Palestyny, a pod wpływem tego wyjazdu wygłosił w kilku polskich miastach odczyt o procesie odradzania się narodu żydowskiego. Pod koniec życia przystąpił do Komitetu Centralnego Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom

i współtworzył pismo „Oblicze Dnia”. Tuż przed śmiercią pisarza ukazał się pierwszy tom *Miliardów*. Andrzej Strug zmarł 9 grudnia 1937 r. Kilkukrotnie był laureatem uznanych nagród literackich: im. Elizy Orzeszkowej (1926), Nagrody Miasta Sosnowca (1927), Nagrody Miasta Łodzi (1933), w 1935 r. otrzymał Złoty Wawrzyn PAL (wyróżnienie to odrzucił poprzednio w 1928 r.).

Warto nadmienić, iż Strug przez pewien czas był współtwórcą i aktywnym pasjonatem polskiej kinematografii. W 1927 r. Ryszard Ordyński zekranizował *Mogilę nieznanego żołnierza*, w 1928 r. – *Pana Tadeusza* (film wyreżyserował Ordyński, scenariusz napisali Strug oraz Ferdynand Goetel). W 1929 r. podjęto pracę nad zaadaptowaniem powieści *Pokolenie Marka Świdy*, która finalnie ukazała się na ekranie jako film *Grzeszna miłość* w reżyserii Mieczysława Krawicza. W tym samym roku Henryk Szaro zrealizował *Mocnego człowieka* na podstawie powieści Stanisława Przybyszewskiego, Andrzej Strug był kierownikiem literackim tego przedsięwzięcia. W 1930 r. Michał Waszyński wyreżyserował film pod tytułem *Niebezpieczny romans* na podstawie *Fortuny kasjera Śpiewankiewicza*. Pisarz należał także do Rady do spraw Kultury Filmowej w Polsce.

### *Geneza powieści*

Andrzej Strug, chorujący od 1932 r. na nieuleczalną chorobę nerek, przeczuwał własną śmierć<sup>4</sup>. Wiedział, że planowany utwór będzie prawdopodobnie jego ostatnim większym tekstem literackim, a z pewnością takim, który w sposób aktualny miał podsumować zachodzące na świecie przemiany. Zakorzenie w teraźniejszości, czerpanie z niej inspiracji towarzyszyło pisarzowi od początku jego twórczości. Jak zauważyła Anna Kargol: „dla współczesnych Struga ważne było to, że każdy oddający się lekturze odczuwał realizm wyzierający z tekstu, mógł z łatwością odnaleźć w nim swoje własne przeżycia i rozpoznać w Strugowych bohaterach siebie czy partyjnych towarzyszy”<sup>5</sup>. Nie bez znaczenia był również fakt, iż pisarz rozczarował się rodzimą polityką, a wobec tego jego zainteresowania przeniosły się na sprawy ogólniejsze i światowe.

<sup>4</sup> Por. M. Bibrowski, *My dożyjemy!*, „Sygnały” 1938, nr 28.

<sup>5</sup> A. Kargol, dz. cyt., s. 58.

Tematykę związaną z uniwersalną analizą mechanizmu dziejów, zrywającą z szeroko rozumianą sprawą polską, pisarz przedstawił w kilku swoich wcześniejszych powieściach, m.in. w *Pieniądzu*, *Żółtym krzyżu* i w nieukończonych *Miliardach*. W utworach tych główne miejsce zajmują procesy dziejowe takie jak wojna czy kapitalizm. Problematyka związana z kapitalizmem była już wcześniej poruszana przez pisarza. *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza*<sup>6</sup> opowiada o przestępstwie tytułowego bohatera, który motywowany uczuciem do kobiety fatalnej kradnie z banku pieniądze, aby razem ze swoją heroiną Adą pojechać w świat. Mężczyzna utożsamia się ze zbrodniarzami, fałszerzami pieniędzy, złodziejami wydzierającymi kapitalistom ich majątek, ale udaje mu się też uciec od złowieszczej siły kapitału i uratować własną godność. W fabule pojawiają się elementy surrealistyczne, działaniu głównego bohatera towarzyszą halucynacje, motywy związane z rozdwojeniem jaźni, obłądem.

Zainteresowanie kapitalizmem Strug zapoczątkował drukowaną w 1914 r. w tygodniku „Świat” powieścią zatytułowaną *Pieniądz: powieść z obcego życia*<sup>7</sup>, opisującą zamożnych amerykańskich dorobkiewiczów w przededniu wybuchu I wojny światowej. Fabuła tego utworu rozgrywa się w przestrzeni alpejskich lodowców w szwajcarskim miasteczku Zermatt, u stóp Matterhornu, w Paryżu i na statku płynącym do Stanów Zjednoczonych, który w zakończeniu utworu ulega katastrofie, a na jego pokładzie ginie część bohaterów powieści. Tematyka dzieła – opis pogoni za pieniędzmi i zatracenie się w wartościach materialnych – została ukazana poprzez działanie kilku postaci: Miss Jenny (bratanicy Toma Shurmana), jej kochanka Roberta Courtneya, mistress Brigs (damy do towarzystwa, feministki), bogacza Toma Shurmana, Miss Lucy Slazenger, perwersyjnego bankiera z Chicago van Joerga i alpinistów – kolekcjonerów kamieni Lyttonów. W powieści występują też złodzieje i rabusie, jak Derjac i van Dooren, czyli para starych przyjaciół z Sorbony. Lucy Slazenger jest bogatą dziedziczką milionowej fortuny. Jej losy mają charakter przygodowy. Jest zaręczona ze spadkobiercą wielowiekowego zubożałego francuskiego rodu, wdaje się natomiast w romans z malarzem przestępcą, wykorzystującym za zgodą bohaterki jej depresyjny i niestały charakter.

---

<sup>6</sup> A. Strug, *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza*, Warszawa 1927. Wcześniej powieść była publikowana przez „Głos Prawdy” w 77 odcinkach w latach 1926–1927.

<sup>7</sup> Pierwodruk: „Świat” 1914, nry 1–46. Wydanie książkowe: Warszawa 1921.

Fabula *Miliardów*, kontynuacji *Pieniądza*, rozgrywa się na początku lat 30. XX w., głównie w Stanach Zjednoczonych. Do napisania tej powieści Strug przygotowywał się wnikliwie, robiąc zapiski i wygłaszając publicznie swoje przemyślenia związane z tematem powieści. Pisarz planował także spotkania z ludźmi, którzy nie tylko bardzo dobrze znali topografię Nowego Jorku, ale i świat finansjery w USA<sup>8</sup>. W 1932 r. wygłosił w Łodzi odczyt pt. *Między wczoraj a jutrem*, w którym zawarł analizę współczesnej sytuacji społeczno-gospodarczej na świecie. Odczyt ten był streszczeniem poglądów Struga, zarysowanych w późniejszych o kilka lat *Miliardach*. Henryk Michalski, jeden z nielicznych autorów monografii w całości poświęconych dziełom pisarza, nazywa ów wykład „swoistym konspektem *Miliardów*”<sup>9</sup>. Jak wynika ze sprawozdań uczestniczących w spotkaniu słuchaczy, wykład dotyczył okresu przejściowego, pozbawionego porządku i norm, pełnego niepokoju i zamętu. Pisarz podzielił się wątpliwościami wynikającymi z obserwacji rozwoju ludzkości, która według niego wegetowała w nastroju niepewności istnienia („międzyczasie”), a także krytycznymi spostrzeżeniami na temat kapitalizmu, odbierającego człowiekowi poczucie stabilizacji. Strug w odczycie zwracał uwagę na koniec tych formacji polityczno-ekonomicznych, które gwarantowały stabilizację we współczesnym świecie w czasach kryzysu i przed nim, widząc największe zagrożenie właśnie we władzy pieniądza i ludzkiej chciwości<sup>10</sup>.

W materiałach pozostawionych przez autora<sup>11</sup> znajduje się dotąd niepublikowany, szesnastostronicowy zeszyt zawierający robocze notatki autora dotyczące planowanych *Miliardów*. Zapiski pochodzą z czerwca 1932 r. i związane są z holistycznymi przemyśleniami Struga na temat kapitalizmu. Notatki są chaotyczne, przede wszystkim podkreślają przejściowość opisywanego świata znajdującego się

<sup>8</sup> Por. A. Kargol, dz. cyt., s. 292.

<sup>9</sup> H. Michalski, *Andrzej Strug*, Warszawa 1988, s. 279.

<sup>10</sup> Nie zachował się stenogram z samego odczytu sporządzony przez E. Ajnenkla. O jego treści wiemy przede wszystkim ze streszczenia pt. *Andrzej Strug o kryzysie światowym* opracowanego przez Bolesława Dudzińskiego. Por. B. Dudziński, *Fragmenty wspomnień*, w: *Wspomnienia o Andrzeju Strugu*, dz. cyt., s. 187; por też H. Michalski, *Andrzej Strug*, dz. cyt., s. 279. Próbę oddania atmosfery wykładu Struga podjął M. Ruszczyk w książce *Andrzej Strug*, dz. cyt., s. 250–251. O wykładzie wspomina również J. Rzymowski we *Wstępie do Nowel i opowiadań* (A. Strug, *Nowele i opowiadania*, Warszawa 1987, s. 107).

<sup>11</sup> Archiwum w Muzeum Andrzeja Struga, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, nr inw. 527.



w momencie jakiegoś przeobrażenia. „Utknęło wszystko” – pisze Strug<sup>12</sup>. Z jednej strony pisarz wspomina o zastoju, spowolnieniu, z drugiej zaś o gniewie i nowej wielkiej wojnie.

Strug planował stworzyć panoramę końca wielkiego bogactwa, które zostało nadwątlone w wyniku I wojny światowej i w 1929 r. przechodziło swój największy nowożytny kryzys. W powieści chciał zadać fundamentalne pytania na temat nauki, doświadczenia, potrzeby istnienia różnych instytucji międzynarodowych, ekonomii, pieniądza i wreszcie kapitalizmu. W 1933 r. opowiadał Edwardowi Boyému: „Jestem właśnie w trakcie pisania powieści *Miliardy*, która będzie jakby dalszym ciągiem mego *Pieniądza*. Bohaterem jest kryzys tak jak w książkach wojennych była nim wojna, ten kryzys, który dla jednych jest końcem kapitalizmu, dla drugich tylko jego niedomaganiem. Powieść moja zaczyna się w Ameryce, przenosi do Genewy, a potem do Moskwy”<sup>13</sup>.

Strug pisze w swoich notatkach do *Miliardów* o roli powieściopisarza, który powinien: „postawić problemat i zobrazować go, wcielić go w ludzi. Zadać zagadkę świata”, zmuszając postacie do „dawania odpowiedzi” i „wskazywania dróg”<sup>14</sup>, wreszcie „odtworzyć grozę mistyczną”<sup>15</sup>. Opowieść o końcu świata („stary świat staje na progu rezygnacji sam tego nieświadomy”<sup>16</sup>) budowana jest poprzez opis zagubienia najbardziej wpływowych obywateli, egoistycznych przedstawicieli klas posiadających: „W epoce poprzedzającej jutrzejszy przewrót, ta mądra, panująca klasa staje się podobną gromadzie owiec, które nie chcą opuścić płaczącej owczarni”<sup>17</sup>. Planowana powieść rozgrywać się będzie w przededniu wielkiego kataklizmu dziejowego: „Nadchodzi okres zdziczenia... ja to nazywam okresem walki wręcz, walki otwartej, czyli wojny totalnej”<sup>18</sup>. Ta batalia ma odbijać się cieniem na przyszłych losach wszystkich postaci, a jej skutki zostają zapowiedziane przez trwający powszechny chaos ekonomiczny, wywołany wielkim kryzysem. Symbolem cywilizacyjnego

---

<sup>12</sup> Archiwum w Muzeum Andrzeja Struga, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, nr inw. 527, brak daty, s. 2.

<sup>13</sup> E. Boyé, *Rozmowa z Andrzejem Strugiem*, „Robotnik” 1946, nr 338, s. 4.

<sup>14</sup> Archiwum w Muzeum Andrzeja Struga, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, nr inw. 527, notatka z 24 czerwca 1932 r., s. 17.

<sup>15</sup> Tamże, notatka z 25 czerwca 1932 r., s. 18.

<sup>16</sup> Tamże, notatka z 27 czerwca 1932 r., s. 22.

<sup>17</sup> Tamże, notatka z 2 lipca 1932 r., s. 23.

<sup>18</sup> Tamże, notatka z 19 czerwca, 1932 r., s. 10.

upadku w notatkach jest deifikacja złota – w czasach przejściowych następuje intensyfikacja wartości materialnych, zastępujących wartości moralne.

### *Konteksty utworu. Wielki Kryzys*

Chociaż Strug nigdy w Stanach Zjednoczonych nie był, to ze wspomnień żony pisarza wiemy, że do napisania powieści gruntownie się przygotowywał: „Do *Miliardów* czytał wiele z Biblioteki Sejmowej, zasobnej w dzieła z dziedziny politycznej i ekonomicznej”<sup>19</sup>. Pisarz planował napisanie trzech tomów, których fabuła miała zostać osadzona w realiach ówczesnej polityki światowej.

W drugiej połowie lat 20. w Europie i Stanach Zjednoczonych można było zauważyć pierwsze objawy kryzysu, którego eskalacja przypadła na lata załamania gospodarczego i zjawiska zwanego Wielkim Kryzysem (1929–1933). Do roku 1928 Ameryka przeżywała boom ekonomiczny, rosła sprzedaż samochodów i dóbr konsumpcyjnych. Nic nie zapowiadało załamania, mającego nastąpić rok później. Ale też rok 1929 zapoczątkował etap wielu lat pesymizmu, którego pierwszymi zapowiedziami były zmiany w Niemczech, dojście do władzy partii nazistowskiej, wojna domowa w Hiszpanii i terror w Rosji.

Wielki Kryzys, który zaczął się po czarnym czwartku na giełdzie amerykańskiej 24 października 1929 r., objął gospodarki wszystkich krajów na świecie. Po dramatycznym spadku cen większości akcji nastąpił wzrost bezrobocia i spadek produkcji rolnej. Administracja Hoovera przygotowywała się na kryzys od wielu lat, ale jej pomysły, takie jak wprowadzenie robót publicznych i utrzymanie wysokich płac, nie zdały w pełni egzaminu<sup>20</sup>. Są one również krytykowane w *Miliardach* przez Shurmana i van der Zypena. Działania Hoovera opierały się na zwoływaniu cyklicznych i specjalistycznych konferencji w Białym Domu z udziałem przedstawicieli świata finansów i przemysłu<sup>21</sup>.

---

<sup>19</sup> N. Strugowa, *Fragmety wspomnień*, w: *Wspomnienia o Andrzeju Strugu*, dz. cyt., s. 244.

<sup>20</sup> Por. M.N. Rothbard, *Wielki Kryzys w Ameryce*, przeł. M. Zieliński, W. Falkowski, Warszawa 2010, s. 171.

<sup>21</sup> Jedna z najważniejszych tego typu konferencji odbyła się w styczniu 1932 r. z udziałem najwybitniejszych ekonomistów tamtych czasów. Uchwalono



Był to okres wzmożonej niepewności Amerykanów co do ich przyszłości, w czasie którego wyhamowała nie tylko gospodarka, ale i przyrost ludności, nastąpił spadek liczby migrantów, produkcji przemysłowej oraz miejskiego osadnictwa<sup>22</sup>. W 1929 r. wartość produkcji rolnej wynosiła 17 mld dolarów, a w 1934 – tylko 7,1 mld dolarów. Znacząco obniżył się także dochód narodowy brutto, wynoszący w 1929 r. 100,8 mld dolarów, a w 1933 r. tylko 55,8 mld dolarów<sup>23</sup>. Wszystkie te zjawiska doprowadziły do redukcji zatrudnienia oraz wzrostu bezrobocia, które w 1929 r. wynosiło 3%, a w 1933 r. sięgnęło 30,5%.

W trakcie największego w dziejach USA kryzysu drastycznie spadły notowania dużych, wymienianych również w *Miliardach*, korporacji. Przykładowo w latach 1929–1933 akcje United States Steel spadły z 268 do 22 punktów, a General Motors z 73 do 8 punktów. Tego typu dewaluacje pociągnęły za sobą liczne spekulacje giełdowe, a także wzrost odsetek od udzielanych pożyczek. W związku z tym obywatele wycofywali z banku swoje oszczędności, a pozbawione gotówki banki bankrutowały bądź stawały się niewypłacalne. Spadek zakupów wpływał na ograniczenie produkcji, a więc także na szybki wzrost bezrobocia, prowadzącego do zubożenia społeczeństwa.

Dopiero etap odbudowy gospodarczej w latach 1933–1941 przyniósł znaczące polepszenie sytuacji i poprawę wszystkich tych czynników. Co nie znaczy, iż nie było widać w tych latach skutków kryzysu. Przeciwnie, gospodarka USA była dalej niestabilna, a jej rozwój można zaobserwować dopiero około roku 1941, gdy nastąpiła intensyfikacja przygotowań wojennych.

Ogólne nastroje społeczne zaczęły się poprawiać dopiero po 1933 r., nie bez znaczenia była w tym procesie polityka Franklina D. Roosevelta, realizująca koncepcję interwencjonizmu

---

na niej m.in. potrzebę kontynuowania robót publicznych, organizację pomocy federalnej dla bezrobotnych, potrzebę obniżki ceł. Por. M.N. Rothbard, dz. cyt., s. 258.

<sup>22</sup> Por. K. Michałek, *Amerykańskie stulecie. Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki 1900–1901*, Warszawa 2004, s. 144–145. Oprócz książki Michałka, informacje w kolejnych akapitach podano za następującymi publikacjami: J. Lepore, *My, naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych*, przeł. J. Szkudliński, Poznań 2020; M.N. Rothbard, dz. cyt.; J. Tyszkiewicz, *W cieniu błękitnego orła, czyli co Nowy Ład zrobił gospodarce USA*, Warszawa 2017.

<sup>23</sup> K. Michałek, dz. cyt., s. 144.

angielskiego ekonomisty Johna M. Keynesa, autora opublikowanej w 1920 r. pracy *The Economic Consequence of Peace*, w której postulował zwiększenie finansowej roli państwa w gospodarce. Tego typu politykę interwencjonizmu realizował wcześniej Herbert Clark Hoover, prezydent, którego lata rządów (1929–1933) zbiegły się z latami kryzysu.

Strug w *Miliardach* skupia się głównie na opisie skutków Wielkiego Kryzysu<sup>24</sup>, z których najbardziej zauważalnym była degradacja wielkich miast oraz zwiększająca się w nich liczba bezdomnych, zamieszkujących tzw. *Hooverville*, biedne osiedla, zbudowane z szalásów, blachy, przypadkowych materiałów, zlokalizowane w samych centrach wielkich miast, będących do 1929 r. wizytówkami rozwoju Ameryki. Najwybitniejszym przykładem *Hooverville* był Nowy Jork, w którego centrum, w Central Parku, funkcjonowało takie obozowisko. Z drugiej strony, to także w tamtym okresie wybudowano najbardziej okazałe wizytówki tego miasta, jak Empire State Building (1930–1931) czy Rockefeller Center (1931–1932). Wraz z inwestycjami rozwinął się transport samochodowy wewnątrz miast, przyczyniający się do rozwoju infrastruktury drogowej, funkcjonujący kosztem strat spółek kolejowych. Rozwój tego typu transportu odnotowuje również pisarz w *Miliardach*.

Kolejnym symbolem polepszania się codziennego bytu Amerykanów stały się wszechobecne wtedy odbiorniki radiowe, kupowane przez mieszkańców USA niezależnie od kryzysu gospodarczego. Ich posiadanie nie tylko dawało możliwości spędzania wolnego czasu, ale także dostępu do kultury. Tuż po śmierci Struga grupa artystów skupionych wokół Orsona Wellesa wyemitowała słuchowisko na podstawie *Wojny światów* Wellesa, które na zawsze zmieniło historię radia. W *Miliardach* jedna z drugoplanowych postaci, niedoszły

---

<sup>24</sup> Fabuła powieści obejmuje lata 1932–1933. W drugim tomie *Miliardów* pada zdanie oddające lęk Shurmana przed potencjalną próbą uprowadzenia jego córki Sisley: „Mania zastrzyła się po zbrodni, która wzburzyła Amerykę i cały świat – po porwaniu i zamordowaniu dziecka Lindbergha” (t. 2, s. 293). Uprowadzenie i morderstwo dziecka Charlesa Lindbergha, słynnego lotnika i społecznika, który pierwszy pokonał bez lądowania trasę Ameryka Północna–Europa, miało miejsce 1 marca 1932 r., a śmierć dziecka nastąpiła prawdopodobnie zaraz po porwaniu. Strug opisuje również powstanie i funkcjonowanie *National Industrial Recovery Act* (w skrócie NIRA), historycznego planu walki prezydenta Roosevelta z kryzysem, który wszedł w życie 16 czerwca 1933 r. Tom drugi *Miliardów* kończy się pod koniec 1933 r.

samobójca, buchalter Baxter Genobles, marzy o „pierwszorzędnym pięciolampowym radiu” (t. 1, s. 70).

Nastrój pesymizmu dominował również w kręgach związanych z kulturą. Jak zauważył Krzysztof Michałek<sup>25</sup>, w latach 30. panowało przygnębienie i obawy o przyszłość, wyrastające na gruncie teorii marksistowskiej, ufundowanej na przekonaniu o załamaniu systemu kapitalistycznego. Czołowi intelektualiści amerykańscy zgłosili swój akces do partii komunistycznej. Należeli do nich: Theodore Dreiser, John Dos Passos, Erskine Caldwell, Waldo Frank. Także najwybitniejsze utwory literackie tamtych czasów opisywały zachodzące wtedy zmiany społeczne. Przywołajmy chociażby powieści Dos Passosa (trylogia *USA*, *Manhattan Transfer*), Johna Steinbecka (*Tortilla Flat*), Williama Faulknera (*Azyl*, *Absalomie*, *Absalomie*), poezja Dorothy Parker, Archibalda MacLeischa, dramaturgia Thortona Wildera, realistyczne malarstwo Reginalda Marsha, Bena Shahna. Pierwsi krytycy i czytelnicy *Miliardów* sytuowali tę powieść właśnie w kontekstach i tematach poruszanych przez ówczesnych amerykańskich prozaików<sup>26</sup>. Strug w *Miliardach* odnotowuje kulturalną atmosferę tamtych czasów, sukces muzyki jazzowej, swingu, modę na charlestona, tańce latynoskie, a przede wszystkim opisuje prężny rozwój sztuki filmowej<sup>27</sup>, aczkolwiek nie wspomina w powieści najśłynniejszych, niemalże ikonicznych artystów, takich jak Charles Chaplin, bracia Marx czy Fred Astaire.

Pisarz bardzo wiele miejsca w powieści poświęca złotu jako narzędziu walki z kryzysem i przedmiotowi działań spekulacyjnych. W wyniku Wielkiego Kryzysu nastąpił odpływ złota z rezerw Banku Federalnego, a co za tym idzie podniesienie stóp procentowych. Państwa europejskie zniosły standard złota, czyli sztywny kurs walutowy, wywołując w Stanach niepewność dotyczącą jego ważności w ich kraju. Krach na giełdzie doprowadził do zmniejszenia liczby kredytów, a w konsekwencji do minimalizacji konsumpcji, czyli do spadku produkcji i bankructw przedsiębiorstw.

---

<sup>25</sup> K. Michałek, dz. cyt., s. 153.

<sup>26</sup> R. Kołoniecki zwracał uwagę na podobieństwo *Miliardów* do *Manhattan Transfer* Dos Passosa, por. tenże, *Dwaj pisarze, dwie książki*, „Pion” 1938, nr 7, s. 2. Wydana w 1925 r. powieść Dos Passosa (polski przekład ukazał się w 1931 r. w warszawskim wydawnictwie „Rój”) pokazuje Nowy Jork w czasach tryumfu muzyki jazzowej oraz, tak jak *Miliardy* Struga, przedstawia różne grupy mieszkańców amerykańskiej metropolii – od nizin społecznych po rezydencje bogaczy.

<sup>27</sup> Por. A. Kisiełewska, *Film w twórczości Andrzeja Struga*, Białystok 1998.

Najbardziej znaną postacią historyczną pojawiającą się w *Miliardach*, wprawdzie kontekstowo i w wypowiedziach narratora oraz innych bohaterów, jest wspomniany Franklin D. Roosevelt, którego polityka i program Nowego Ładu opierały się na wzmocnieniu systemu bankowego i na odejściu od wymienialności dolara na złoto. W pierwszych latach Nowego Ładu zaproponowano wiele aktów legislacyjnych administracji Roosevelta. Już w 1933 r., tj. w pierwszym roku prezydentury, uchwalono m.in.: *Emergency Banking Relief Act*, *Agriculture Adjustment Act*, *Civilian Conservation Corps*, *Glass-Steagall Act*, *Federal Emergency Relief Act*. Najważniejszy z tych dokumentów, *National Industrial Recovery Act* (NIRA – Ustawa o uzdrowieniu przemysłu narodowego), uchwalony został w połowie czerwca 1933 r. Powstała na mocy tego aktu *National Recovery Administration* (NRA – Administracja ds. Odnowy Gospodarki Narodowej) miała za zadanie ustabilizować sektory produkcyjny i przemysł. NIRA pojawia się bardzo często na kartach powieści, Strug jednakże nie zamieścił informacji, iż w 1935 r. Sąd Najwyższy uznał ją za niezgodną z konstytucją, mimo że udało się dzięki niej stworzyć 2 mln miejsc pracy. W kolejnych latach powołano następne organizacje. Ich liczba była tak duża, iż mieszkańcy USA zaczęli używać skrótowców, dlatego nazywano je „agencjami literowymi” (*alphabet agencies*), np. FHA, REA, AAA, CCC, PWA, TVA, NIRA, NRA, SSA.

Wiele z tych ustaw uznawanych jest obecnie za szkodliwe, opisywana przez Struga NIRA („ustawa o narodowym odrodzeniu przemysłu”), podobnie jak legislacja dotycząca rolnictwa *Agricultural Adjustment Act* (AAA), doprowadziły do rozrostu administracji państwowej i ręcznego sterowania rozwojem przemysłu, przyczyniając się do monopolizacji gospodarki Stanów Zjednoczonych. Pojawiły się także marsze przedsiębiorców i pracowników, demonstrujących swoje poparcie dla Administracji ds. Odnowy Gospodarki Narodowej, symbolizowanej przez charakterystyczny znak błękitnego orła. W fabule powieści NIRA pojawia się wiele razy. Shurman, jeden z bohaterów powieści, nie zgadza się z polityką tego programu. Uważa, że jego plan naprawy kryzysu jest zdecydowanie wydajniejszy.

*Miliardy* można interpretować jako literackie credo artysty i podsumowanie jego drogi twórczej oraz światopoglądowej, zawierające sumę przemyśleń autora na temat pieniądza, kapitalizmu, ekonomii, stosunków społecznych i polityki. Ta tematyka była obecna wcześniej przede wszystkim w utworach: *Wyspa Zapomnienia*, *Pieniądz*, *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza*.

Pisarz, aby najpełniej zilustrować swoje tezy i przemyślenia, wybiera reprezentatywne dla ówczesnych czasów postaci z pierwszych stron gazet: aktorki, miliarderów, przestępców, bankierów, urzędników, bezrobotnych i policjantów. Wszystkie te osoby cechuje zagubienie w otoczeniu, w którym „złym” jest reprezentowany przez finansjerę pieniądza, tytułowe miliardy. Kapitał w omawianej powieści pojawia się w snach, ambicjach, halucynacjach i wizjach bohaterów. Utwór przedstawia losy kilku osób: Lucy Slazenger (Rascob), Harry’ego Shurmana, Ralda (Geralda) Rascoba, syna Lucy, w ostatnich latach kryzysu wywołanego krachem na amerykańskiej giełdzie. Są to przedstawiciele upadającego świata i odchodzących w przeszłość stosunków kapitalistycznych. Obok sylwetek Lucy, Ralda, Shurmana pokazane są postacie drugoplanowe, których działanie uzależnione jest od finansów wspomnianych rodzin. Należą do nich m.in. profesor van der Zypen, uważający, iż drogą ratunku przed bolszewikami, wykorzystującymi konanie kapitalizmu, jest system „gospodarczej, politycznej i moralnej” blokady (t. 1, s. 201), oraz oszpecona kwasem przez Lucy aktorka Ina, kochanka Ralda. Wszystkie postacie, zarówno pierwszo-, jak i drugoplanowe, dążą do umacniania swej pozycji w świecie za pomocą dóbr materialnych. Opisywane w powieści rodziny funkcjonują na szczytach drabiny ekonomicznej, ale ich członków cechują zagubienie, pesymizm, brak zdolności do postępowania integracyjnego, podatność na wpływy obcych, gwałtowność usposobienia. Działania bohaterów są tym trudniejsze, iż podejmowane w panującej anomii<sup>28</sup>. Brak jasnej klasyfikacji norm w społeczeństwie wzmacnia nastroje hedonistyczne

---

<sup>28</sup> Więcej na ten temat pisałem w książce *Melodramatyzm i powieść. Od rytuału do sensacji* (Żeromski, *Mniszkówna*, *Strug*), Białystok 2015. Ze względu na znaczenie dla zrozumienia powieści analizowanej w tamtej publikacji tematyki, niektóre tezy jestem zmuszony w niniejszym *Wstępie* powtórzyć.

i katastroficzne. Dopełnieniem wyborów głównych bohaterów i ich postępowań są postacie z drugiego planu. Wspomina się w tekście o więźniach, którzy nie chcą wychodzić z więzienia, bo wiedzą, że na wolności brakuje podstawowych środków do życia, o ludziach połykających pijawki wywołujące choroby żołądka, chcących znaleźć się w szpitalach, gdzie dostaną darmowe jedzenie.

Innym ważnym bohaterem powieści jest Harry Shurman, syn Toma, milionera uratowanego w zakończeniu *Pieniądza*, dzięki namowom profesora van Zypena mający objąć kierownictwo nowego ustroju, zbudowanego na gruzach kapitalizmu i socjalizmu<sup>29</sup>. Shurman, zamożny bankier dowodzący wieloma firmami, czuje się zmęczony pomnażaniem pieniędzy. W ciągu wielu lat pragnienia zawodowe bohatera były intensyfikowane, lecz potrzeba osiągnięcia coraz to lepszych wyników doprowadziła do braku spełnienia i niezadowolenia oraz zwiększyła konieczność walki z podobnie aspirującymi do większego sukcesu bogaczami. Shurman staje się niewolnikiem swojego majątku, a także zwykłej nudy; po osiągnięciu wszystkiego za pomocą bogactwa bohater nie ma już żadnych planów ani aspiracji, patrzy na świat z odrętwieniem i odrazą. W życiu osobistym brakuje mu naturalności i swobody, czuje się przytłoczony własnym otoczeniem: „Potem zebrać zmiętoszone papierzyska i cisnąć do kominka, a gdy buchną płomieniem, zaryczeć z uciechy i zatańczyć, i wreszcie zwariować...” (t. 1, s. 163). Pieniądze nie dają mu ani szczęścia, ani celu. Otaczających go bogaczy uważa za opętanych.

Kolejną istotną postacią w *Miliardach* jest Rald Rascob. Doznania Ralda są opisane w rozdziale, którego tytuł odsyła zarówno do tradycji powieści rozwojowej, jak i prozy inicjacyjnej (*Szkola życia młodego Ralda*). Młody bohater Struga konfrontuje swoje ideały z rzeczywistością, poddając jednocześnie krytyce efekty działań rodziców, które doprowadziły do stworzenia starego świata, a w konsekwencji do przesilenia ekonomiczno-społecznego. Strug

---

<sup>29</sup> Zypen jest wyznawcą anarchii, chce wykorzystać pieniądze Shurmana do przewrotu totalnego: „Dla wielu najbardziej dręcząca jest przyszłość, ta rozwierająca się przepaść, troska o rodzinę, o dzieci... I zaprawdę, mówiąc uczciwie, bez fałszywej obłudzie, nędza i głód dzieci bezrobotnego proletariusza lub zrujnowanego człowieka średniej sobie miary są niczym z poniewierką dziecka grubszego milionera... [...] Dla niejednego z naszych bardziej opornych kandydatów momentem decydującym może stać się po prostu żywa troska o rodzinę, o dziecko, nieraz jedynie...” (t. 1, s. 250–251).



pokazuje paradoks wpływu pieniądza na życie bohaterów – Rald zostaje pobity, gdy broni pracowników kopalni należącej do jego matki, a więc i do niego samego. Protagonista nie odczuwa satysfakcji z materialnego poziomu swojego życia, brak mu idei i celu, doświadcza, tak jak większość postaci w powieści, nudy, spleenu.

Inny bohater, Eddy Wychgram, przyjaciel Ralda, były milioner, pozbawiony swego rodzinnego majątku na skutek kryzysu, trafia do więzienia, skąd wychodzi jako człowiek odmieniony, zupełnie inaczej patrzący na świat. Eddy widzi na ulicach pijanych mieszkańców i zaczyna czuć do nich odrazę. Straciwszy pieniądze, zostaje przedstawicielem tłumu, obserwując go jednocześnie z zewnątrz, a jego spojrzenie jest naznaczone doświadczeniem uczestnika i „wykluczonego”, dystansem pozwalającym na odkrycie prawdy o naturze mieszkańców miasta. Życie w Nowym Jorku jest dla bohatera nacechowane obojętnością i brakiem wrażliwości prowadzącymi do standaryzacji jednostki, jej gestów, mimiki i strojów. Doświadczenia Eddy’ego wywołane spotkaniem z miejskością są ekstatyczne, dionizyjskie, związane z zespoleniem wielu bodźców łączących się w skrajne doznania.

Po drugiej stronie kapitalistycznej barykady stoją ci, których kryzys dotknął najostreż – bezrobotni. Pracownicy pozbawieni zajęcia są zdolni do drastycznych wyborów. Strug opisuje wiele patologicznych czynności reprezentantów tego środowiska. Bezrobotni pokazani są w *Miliardach* jako ciemna strona codziennego świata miliarderów, jego podziemie, zbiór ludzi wykluczonych, dla których w rzeczywistości przejściowej nie ma już miejsca: „Łażą, powłócząc nogami jak ludzie chorzy lub śmiertelnie znudzeni; każdy, mijając smugę blasku, bijącego z okna, popatrzy zawsze jednakowym martwym spojrzeniem na Ralda, na jego papieros, na koszyk z pieczywem, na kubek kawy. Były to widma, cienie ludzkie, istoty wygnane poza nawias życia, wykreślone przez los, niepotrzebne sobie ani światu – bezrobotni” (t. 1, s. 173–174). W zamożnych bohaterach powieści ich widok wzmaga niechęć i wstręt; Rald nie czuje wobec nich żadnych pozytywnych uczuć, jedynie odrazę. Eddy, przeciwnie, napawa się ich towarzystwem, marzy mu się rewolucja socjalna polegająca na zamianie miejsc, przebywa z biednymi i pragnie zdobyć jak największą o nich wiedzę, wierząc, że tylko ona da mu całkowitą władzę do przewodzenia masom.

Strug, opisując działania swoich bohaterów, przedstawia świat przejściowy, w którym zanika zdolność kontroli człowieka nad

rzeczywistością, gdzie następuje kres jego zdolności kreacyjnych. Bohaterowie *Miliardów*, szczególnie przedstawiciele najmłodszej generacji, ustawicznie mierzą się z poczuciem rozdarcia, zmuszającym ich do podejmowania wyborów. Eksplikowane w ich zachowaniu stany euforyczne są zastępowane przez grozę i lęk, wywołane faktem, iż milionerzy nie odbudowują wspólnoty, są zajęci przede wszystkim sobą. Trudno w tym zgiełku przecinających się głosów znaleźć taki, który byłby bliski narratorowi. Wydaje się, iż kimś takim może być van der Zypen, wykształcony kosmopolita, znający siedem języków, bardzo wpływowy, z licznymi koneksjami, diagnozujący kapitalizm w następujący sposób:

Kapitalizm w swej obecnej postaci przeżył się do ostatnich swoich dni i od trzech lat choruje beznadziejnie – kona w naszych oczach, biada tym, którzy tego nie chcą widzieć. Jego fundamenty, obliczone na wieczność, wytrzymały tylko sto lat plus wojna światowa, która o lat pięćdziesiąt co najmniej przyspieszyła ich zużycie. Wspaniały gmach chyli się i już ledwo stoi, cały w rysach i szczelinach, przez które dmie na przestrzał wicher śmierci [t. 1, s. 197–198].

Anna Kargol pisze, iż Strug potępia zarówno bolszewizm, jak i kapitalizm, pokazując trzecią drogę, której reprezentantem jest profesor van der Zypen, wierzący w przemiany etyczne<sup>30</sup>. Jednak koncepcje tego bohatera również nie są pozbawione wad, koniec kapitalizmu i rządu Wielkiego Autarchy będą oznaczać tylko zamianę jednego porządku na drugi, pieniądz zostanie zastąpiony rządami jednostki, która, jak każda w powieści, nie jest wolna od swoich kompleksów i fanaberii.

Pisarz opisuje zachodzące zmiany i postęp cywilizacyjny. W świecie *Miliardów* człowiek zatracił zdolność naturalnego bytowania, współegzystowania z naturą, jego miejsce określają ewolucje technokratyczne. Pierwszy opis miasta, obserwowanego przez Lucy Rascob, wprawia ją w stan zarówno nerwowego podrażnienia, jak i zafascynowania:

---

<sup>30</sup> Kargol, dz. cyt., s. 298. Por. także M. Kochanowski, *Ameryka w powieściach Andrzeja Struga*, w: *Andrzej Strug*, dz. cyt., s. 150.



Za obszernym, pustym podwórcem, wyłożonym bazaltowymi płytami, przez złożone, kute ogrodzenie widać było nieprzerwany potok pojazdów, mknących jeden za drugim, jeden przy drugim w trzy rzędy, drugi nurt szedł w przeciwną stronę. Ciągnęły bez momentu przerwy, mijaly się, zwierały się, zwalnając, i wnet ruszały, rozciągały się luźniej i gnały nawałą w obie strony jak wielobarwny, nieskończony pas transmisyjny, nastawiony na wieczny pęd, wprawiający w ruch niewiadomą, potworną machinę. Ten całkiem powszedni obraz Czterdziestej Drugiej Ulicy wydał jej się dzisiaj fantastyczny i niewiarygodny. Zapatrzyła się [t. 1, s. 49].

Postawa narratora jest ambiwalentna; z jednej strony stara się on zrozumieć mechanizmy działania zachodzących procesów, z drugiej całkowicie im ulega: „Dwie pstre rzeki samochodów, mijające się w jednym łożysku ulicy, odrabiały jakąś tajemną pracę, a cel jej był nieodgadniony” (t. 1, s. 50).

Główną przestrzenią działań wszystkich postaci jest Nowy Jork, miasto wyniszczone Wielkim Kryzysem. Przebywanie w nim bohaterów wzmagą wyczerpanie na hałas i ruch, intensyfikuje stres. W *Miliardach* panuje groza niekontrolowanego i wszechobecnego, niemalże nadnaturalnego niebezpieczeństwa. Bogacze są porywani z ulicy podstawionymi taksówkami, za działaniami miliardarów stoją szaleni naukowcy. Podstawowymi wyznacznikami opisywanej metropolii są pęd i szybkość. Miasto narzuca drapieżny styl życia związany z poddaniem się celom materialnym – wszystkie konwersacje bohaterów dotyczą zarabiania oraz pomnażania majątków<sup>31</sup>. Rozrastająca się, pozbawiona kontroli metropolia zdaje się nie respektować żadnych ograniczeń ani zasad, czy to w zakresie architektury, czy ludzkich możliwości.

W *Miliardach* każda postać działa samodzielnie, a jej postępowanie pozbawione jest celu i planu. Shurman nie lubi otoczenia, które współtworzy wraz ze swoimi miliardami:

---

<sup>31</sup> J.N. Miller zauważa, iż *Miliardy* przedstawiają „agonię kolosa kapitalizmu na tle kryzysu i nadprodukcji miliardów w klasycznym kraju triumfów kapitalistycznych – Stanach Zjednoczonych” (tenże, *Andrzej Strug, w: Bez kropki nad „i”*, Warszawa 1964, s. 399–400). Miller uznaje apokalipsę w *Miliardach* za „kosmiczną tragedię” oraz „grozę stygnących światów” (tamże, s. 400).

Zniecierpliwiony patrzył w okno, ale nie mógł rozpoznać, gdzie się znajduje. Był zmęczony pracą i kłopotami dnia, rozdrażniony podróżą przez miasto, gdyż już trzykrotnie zatrzymywano go po drodze. Wpakował się w demonstrację bezrobotnych i walkę z policją, dalej obława na bandę gangsterów i ostrzeliwanie domu przez karabiny maszynowe, niezmierny tłum gapiów nie puszczał go z miejsca w ciągu pół godziny i jeszcze te zatory – jakże jeździć przez przeklęte miasto, kolejną podziemną, czy może busem? [t. 1, s. 58–59].

Wszystko w powieści jest podporządkowane zarabianiu i pieniądзом, to one budują relacje międzyludzkie i wpływają na losy człowieka. Przywoływane w *Miliardach* idee i hasła nacechowane są anachronicznością; wspomniane światopoglądy i postawy są zaraz potem krytykowane, widać, że Strug patrzy na kiedyś sprawdzone i bliskie jemu samemu idee z odrazą i niepewnością co do ich współczesnych możliwości regulacji świata:

– Ach – socjalistą!... Ma pan słuszność, niech mu pan nie wierzy. Socjaliści są widmem starej przeszłości, wypadki ich zdmuchną z powierzchni ziemi, to delikatne pięknoduchy, parlamentarni gębacze, liberale, demokraci, humanitaryści, pacyfiści, a siedemdziesiąt pięć procent ich przewodników to karierowicze... Co tu gadać... lękają się przemocy, wzdrygają się przed krwią, miłują prawo... Co tu dużo gadać – socjalizm nigdy nie odważy się podjąć rewolucji socjalnej ani nią pokierować, a cóż dopiero zwyciężyć? A dalej, socjalizm żadną miarą nie zdoła urządzić nowego odrodzonego świata, bo trzeba będzie dusić, deptać i łamać kości. Wszystko to zrobią inni [t. 1, s. 72].

Im dalej od Manhattanu, tym kryzys staje się wyraźniejszy. Bieda, efekt Wielkiego Kryzysu, jest też widoczna w czasie wyprawy koła intelektualistów społeczników na miejsce strajku górników w Saltplacid (Kentucky), w której uczestniczy Rald. Pierwsze, co rzuca im się w oczy, to nienaturalna brzydota pokonywanych przestrzeni.

Symbolem starego świata jest złoto, któremu Strug poświęca osobny rozdział w pierwszym tomie. Złoto jest nie tylko przedmiotem zabiegów ekonomicznych, ale i podlega kultowi. W klubie Uistiti Rald obserwuje przedstawienie, w czasie którego Ina

w scenie erotycznej oddaje hołd Złotemu Cielcowi, posążkowi Tutanchamona.

Strug na kryzys świata przedstawia kilka recept, jednakże żadnej z nich nie faworyzuje, wybór pozostawiając czytelnikowi. Najistotniejsze z nich to: skrajnie anarchistyczna utopia Borowiczenki, połączona z niemalże religijnym doznaniem, socjalistyczny model młodego Wychgrama, ekologiczny charakter powrotów do natury starego Rascoba, utopijne teorie van der Zypena pragnącego świata rządzonego przez Wielkiego Autarchę czy też opisywane reformy Roosevelta. Innym wyjściem jest ucieczka Ralda i Iny w miłość, zakończona ingerencją matki bohatera, oślepiającej tancerkę i doprowadzającej ją do śmierci, czy romans Lucy z artystą i bandytą Wiktoorem Derjackiem, czyli Emerym Eltonem. Jest jeszcze Youth, bohater ufający w to, że działania Ligi Narodów mają możliwość pokonania kryzysu we współpracy z bogaczami.

Analizując ówczesny świat, Strug sięga do wielu sposobów i konwencji, aby go zrozumieć. W powieści pojawiają się fragmenty stylizowane na język rozpraw ekonomicznych, dysput filozoficznych, klasycznych powiastek czy powieści rozwojowych i inicjacyjnych (rozdział *Szkoła życia młodego Ralda*). W związku z brakiem zakończenia *Miliardów*, możemy jedynie domyślać się konsekwencji sensacyjnych szantaży wskrzeszonego z *Pieniądza* kochanka Lucy, Chuana, występującego pod nazwiskiem Emery Elton, działań Shurmana, a także niepokojów związanych z funkcjonowaniem młodego pokolenia. Koniec, który Strug planował opisać w *Miliardach*, miał mieć charakter totalny – upadkowi etyki towarzyszyć będzie upadek znanej nam cywilizacji.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym ważnym dla Struga, obecnym w jego ostatnich powieściach kontekście, czyli o filmie. Odwołania filmowe pojawiają się również w *Miliardach*. Ina, odwiedzająca malarza Eltona, w chwili, gdy dowiaduje się, iż to on jest ojcem Ralda, mówi: „Po prostu nie wiem, co z panem począć, bo to jest niepodobne do wiary, toć to amerykański dramat kinowy” (t. 2, s. 257). Elementy charakterystyczne dla terminologii filmowej pojawiają się również w innych opisach i wypowiedziach: „Podobnych twarzy, podobnych łachmanów nie spotyka się nigdy w śródmieściu, chyba na ekranie w melodramatach «z życia szumowin portowych»” (t. 1, s. 180). Oprócz obrazowania filmowego w powieści występuje analiza działalności świata mediów i prasy codziennej. Media nie tylko przedstawiają sensacyjne życie w mieście, ale i je kreują:

„Mówi się również, że dziennikarze przesadzają, dołgują, lub zgoła zmyślają, wiedząc doskonale, że w życiu współczesnym niepodobna odróżnić prawdy od zakłamania, a realnego faktu od niedopuszczalnej, absolutnej niemożliwości” (t. 1, s. 227).

*Miliardy* są podsumowaniem przemyśleń autora na tematy związane z kondycją jednostki w momencie ważnego przesilenia cywilizacyjnego. Zachowanie ludzi zostaje poddane prawom standaryzacji. Osamotnienie poszczególnych bohaterów ma związek z ich lękami (Shurman, Lucy, Rald to jednostki neurotyczne, niespokojne, wybuchowo reagujące na każdą sytuację). Tragiczny regres cywilizacyjny, pokazany na przykładzie kilku bohaterów z elit ekonomicznych, doprowadza niestety do konkluzji skrajnie pesymistycznych. Konsekwencje działań miliardów są widoczne w funkcjonowaniu niższych warstw społecznych, w ich cofnięciu się aż do czasów niewolnictwa, do chwili, gdy siła fizyczna, a nie cywilizacja, była jedynym gwarantem ludzkiej użyteczności.

Przed opublikowaniem w 1937 r. książkowego pierwszego tomu *Miliardów*, w 16 numerze „Tygodnika Ilustrowanego” w 1933 r. ukazał się pierwszy odcinek utworu<sup>32</sup>. Wcześniej, w numerze 15 pojawiła się zapowiedź. Z anonimowego anonsu czytelnicy dowiedzieli się, iż „Zasięg powieści obejmuje wielki powszechny splot konfliktów przeciwieństw i paradoksów naszej trudnej epoki, a zwłaszcza przemiany psychiczne, zachodzące zarówno we władcach i potentatach świata, jak i w dręczonych masach”<sup>33</sup>. Zapowiedź wydawcy wyraźnie sygnalizuje nie tyle kontekst historyczny czy opis procesów dziejowych, co nacisk na analizę postępowań postaci; to one, w rozumieniu pierwszych czytelników, miały być nosicielami sensu fabuły. Warto bowiem zaznaczyć, iż każda kreowana przez pisarza postać opisywana jest przez niego z pełnią uwagi. Nie systemy bowiem ani układy społeczne są zdolne do ewolucji, ale silne etycznie jednostki będące w stanie zaprowadzić jakiegokolwiek zmiany. Kapitalizm doprowadził do anomii, wyjałowienia i wykorzenienia postaci ze swoich środowisk – rodzinnych, naturalnych, społecznych i tych związanych ze sztuką. Jednak upadek kapitalizmu, a także innych

---

<sup>32</sup> Tom pierwszy drukowany był w odcinkach w 1933 r. w „Tygodniku Ilustrowanym” (numery 16–26, 28–53).

<sup>33</sup> *Nowa powieść Tygodn. Ilustr.: Miliardy Andrzeja Struga*, „Tygodnik Ilustrowany” 1933, nr 15, s. 14. Warto odnotować, iż w niektórych zapisach recenzji prasowych w tytule powieści Struga pojawiała się litera „j”.

systemów, równie represyjnych jak bolszewizm i faszyzm, oznaczał dla Struga nową możliwość, drugą szansę, której zarisy dopiero w powieści widzimy, ale jeszcze nie znamy jej rezultatów. Nie wiemy także, czy takowe znalazłyby się w trzecim tomie, chociaż, znając pasję Struga do odrzucania jasnych i gotowych rozwiązań, należy przypuszczać, iż nie o to mu w *Miliardach* chodziło. Pisarzowi zależało raczej na wypukleniu znaczenia uniwersalnego i ludzkiego „poszukiwania wśród błędów”, nie wybieraniu etykiet w rodzaju demokracja czy socjalizm, ale usytuowaniu (być może jest to lekcja wyniesiona przez pisarza z wolnomularstwa) jednostki ludzkiej w środku procesów zachodzących w historii. Przywołajmy jeszcze raz notatki pisarza: „Nowi ludzie i nowy świat ukazują się w świetle uzasadnionych nadziei i optymizmu – oto rodzi się w walce, w burzy, w błyskawicach, w gromach «nowy, lepszy świat»”<sup>34</sup>.

#### *Dzieje recepcji*<sup>35</sup>

Już po wydaniu pierwszego tomu *Miliardów* ukazało się kilka poświęconych mu recenzji<sup>36</sup>. Przykładowo anonimowy recenzent chwalił powieść w „Robotniku”: „W krzyżujących się losach milionerów i bandytów, artystów i apostołów, w rozdygotanej gorączce ich dnia, wyczuwa się pulsację świata. Poprzez urozmaicone przygody jednostek dostrzegamy mechanikę fatalnych sił, które jednostkami władają”<sup>37</sup>. Autor podkreślał filmowość utworu oraz wiarygodną wizję Ameryki czasów kryzysu. Bolesław Dudziński zwracał uwagę

---

<sup>34</sup> Archiwum w Muzeum Andrzeja Struga, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, nr inw. 527, brak daty, s. 5.

<sup>35</sup> Obszerne fragmenty poniższych akapitów, pisane z myślą o edycji krytycznej, zostały już wcześniej opublikowane, por. M. Kochanowski, *Recepcja „Miliardów” Andrzeja Struga po 1945 r.*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze” 2019, nr 14, s. 99–111.

<sup>36</sup> *Nowy Korbud* podaje, iż do 1947 r. ukazało się w sumie 26 recenzji i omówień poświęconych powieści. Ostatnią z nich była publikacja autorstwa Leona Kruczkowskiego *Ciąg dalszy rozgrywa się w naszych czasach. Ostatnia książka pisarza – bojownika* („Polska Zbrojna” 1947, nr 344). Zob. *Nowy Korbud. Literatura Pozytywizmu i Młodej Polski*, oprac. zespół pod kier. Z. Szwejkowskiego i J. Maciejewskiego, t. 15, Warszawa 1978, s. 606–607.

<sup>37</sup> „Miliardy” nowa powieść Andrzeja Struga, „Robotnik. Centralny organ PPS” 1937, nr 347, s. 3.

na „Mocne i szczere tchnienie miłości dla człowieka, ożywczy duch humanitaryzmu” przenikający powieść Struga<sup>38</sup>. Roman Kołoniecki porównywał prozę Struga do homeryckich epei: „Wszechpotęgę współczesnego kapitalizmu, tającą w sobie zarodki nieuniknionej katastrofy, Strug odtwarza chwilami rytmem heroicznego rapsodu, by zniemacka obniżyć gwałtownie to wysilone napięcie epickie i wieść rzecz dalej tonem reportera, dyletanckiego publicysty czy po prostu kronikarza z gazety. Rozpiętość tych przerzutów aż razi”<sup>39</sup>. Jan Lorentowicz chwalił pierwszy tom *Miliardów* za umiejętne przedstawienie miłości Ralda i Iny, krytykując jednakże fragmenty dyskusyjne powieści<sup>40</sup>.

Po śmierci pisarza opublikowane zostały specjalne, poświęcone mu numery następujących czasopism (wszystkie ukazały się w 1938 r.): „Czarno na Białym” (nr 7), „Sygnały” (nr 38), „Wiadomości Literackie” (nr 10). Fragmenty drugiego tomu *Miliardów* były drukowane w kilku pismach, co również może być dowodem szacunku, jakim wciąż cieszył się zmarły pisarz<sup>41</sup>. Po ukazaniu się drugiej części w druku w prasie można było przeczytać wiele pochlebnych recenzji dotyczących zarówno całości powieści, jak i tylko drugiego tomu<sup>42</sup>. Emil Breiter zauważał, iż część ta różni się od pierwszej poprzez pokazanie nicości i bezwładu milionów oraz jest „testamentem pisarskim wielkiego humanisty”<sup>43</sup>. Paweł Hulka-Laskowski zwracał uwagę na trafną analizę współczesności, dobrą wiwisekcję upadającego bogactwa, awans sfery przestępczej w codziennej sferze i ogólną apokalipsę kapitalizmu<sup>44</sup>. Hermina Naglerowa, w tym samym numerze „Sygnałów”, przestrzegała, aby nie czytać ostatniej powieści Struga w sposób binarny, gdyż „Jeżeli mimo to motyw dwóch światów jest tu w jakiś sposób podjęty i zaznaczony, to nie wpływa on właściwie na bieg wydarzeń”<sup>45</sup>.

<sup>38</sup> B. Dudziński, *Ostatnia powieść Andrzeja Struga. Epopea gasnącego świata*, „Gazeta Robotnicza” 1937, nr 332, s. 7.

<sup>39</sup> R. Kołoniecki, *Dwaj pisarze, dwie książki*, „Pion” 1938, nr 7, s. 2.

<sup>40</sup> J. Lorentowicz, „Nowa Książka” 1938, z. 3, s. 156.

<sup>41</sup> Fragmenty II tomu były drukowane w następujących pismach: „Dziennik Ludowy” 1938 (nry 109, 136), „Naprzód” 1938 (nry 108, 142), „Robotnik” 1938 (Radom, nry 87, 114), „Robotnik” 1938 (Warszawa, nry 107, 141), „Sygnały” 1938 (nr 38), „Wiadomości Literackie” 1938 (nry 749, 762).

<sup>42</sup> Z. Konarzewski, *Ostatnia powieść Struga*, „Czas” 1937, nr 344, s. 6.

<sup>43</sup> E. Breiter, *Drugi tom „Miliardów”*, „Wiadomości Literackie” 1939, nr 2, s. 10.

<sup>44</sup> P. Hulka-Laskowski, *Apokalipsa miliardów*, „Sygnały” 1938, nr 38, s. 7.

<sup>45</sup> H. Naglerowa, *Motyw pieniądza u Struga*, „Sygnały” 1938, nr 38, s. 5.

Wacław Kubacki w swoim wspomnieniu pośmiertnym zwracał uwagę na dwudzielny schemat akcji większości utworów Struga, a w *Miliardach* na „przeplatankę akcji z dyskusją”<sup>46</sup>. Dudziński w innym tekście akcentował „świetne, syntetyczne, iskrzące się bogactwem i świeżością słowne sformułowania”, pomagające „rozjaśnić mroki ponurych tajemnic, zgęszczających się nad dzisiejszym światem”<sup>47</sup>. Zbigniew Konarzewski pisał o kresie wszystkich ideologii w powieści w sytuacji, gdy musi nastąpić odnowa moralna jednostek i społeczeństw: „Tragicznie niedokończony utwór tchnie spokojem, wynikłym z odnalezienia celu całego życia w zwięzłe ujętym przykazaniu o miłości bliźniego”<sup>48</sup>. Jako ciekawostkę należy również odnotować jeden z pierwszych tekstów Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, poświęconych właśnie *Miliardom*. Przyszły autor *Innego świata* pisał w nim o Strugu w kontekście nie zawsze pozytywnego wpływu Żeromskiego na innych pisarzy, zauważając, iż z jednej strony udało się autorowi *Żółtego krzyża* przezwyciężyć ową „żeromszczyznę” (określenie Herlinga), z drugiej jednak miejsce emocji zajęła wtedy wyłącznie: „Chłodna, przewiana dystansem, ocena faktów, budowa układu, którego jedynym celem stanie się wywołanie efektu negacji”<sup>49</sup>.

Tuż po drugiej wojnie można dostrzec wzmożone zainteresowanie twórczością autora *Żółtego krzyża*, które w kolejnych latach będzie jednak stopniowo słabło. Jak wylicza Jadwiga Zacharska<sup>50</sup>, w 1945 r. ukazało się 12 artykułów prasowych poświęconych pisarzowi, rok później – 16, a w roku jubileuszowym (1947 – dziesiąta rocznica śmierci Struga) aż 24<sup>51</sup>, natomiast w latach 1952–1955 ukazywały się maksymalnie 2 teksty rocznie. Intensyfikacja szkiców

<sup>46</sup> W. Kubacki, *Idolum thematis*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 10, s. 9.

<sup>47</sup> Por. m.in. B. Dudziński, *Niedokończona powieść Andrzeja Struga*, „Gazeta Robotnicza” 1939, nr 172, s. 3.

<sup>48</sup> Z. Konarzewski, *Miarą wszystkiego jest człowiek. Ostatnia powieść Struga*, „Czas” 1939, nr 217, s. 5. Krytyk chwali także materiał naukowy i dane zebrane przez Struga.

<sup>49</sup> G. Herling-Grudziński, *Przezwyciężanie żeromszczyzny (O „Miliardach” Andrzeja Struga)*, „Orka” 1938, nr 1, s. 6.

<sup>50</sup> J. Zacharska, *Przerabianie Struga*, w: *Andrzej Strug. Dzieło i czasy*, dz. cyt., s. 241.

<sup>51</sup> Prawdopodobnie wynika to z faktu, jak zauważa K. Budrowska, iż bezpośrednio po wojnie system kontroli i cenzury nie działał jeszcze sprawnie, a ton literaturze polskiej nadawali uznani pisarze okresu przedwojennego (jak chociażby Nałkowska czy Staff), por. też: *Studia i szkice o cenzurze w Polsce ludowej w latach 40. i 50. XX wieku*, Białystok 2014, s. 6.



i studiów o Strugu w latach następnych związana była z kolejnymi rocznicami śmierci pisarza, ale Strug nie cieszył się specjalnymi względami po 1945 r. Łącznie do 1989 r. wydano 7 książek poświęconych autorowi *Miliardów* i setki artykułów, z których połowa dotyczyła jego biografii – były to teksty publikowane w związku z kolejnymi rocznicami urodzin i śmierci. Podkreślić jednocześnie wypada, iż biografię tę traktowano selektywnie, Strug przedstawiany był przede wszystkim jako „socjalista i działacz polityczny, krytykujący ustrój i władze II Rzeczypospolitej”<sup>52</sup>, ale już nie jako mason, człowiek świata filmu czy autor uniwersalnych powieści pacyfistycznych.

Opracowania z lat 60. i 70. koncentrują się wyłącznie na wczesnej twórczości pisarza i zawierają odniesienia głównie do tekstów o tematyce rewolucyjnej – przykładem może być książka z 1959 r. Samuela Sandlera *Andrzej Strug wśród ludzi podziemnych*<sup>53</sup>. Podobnie jest z tekstami Anny Grajewskiej i Tomasza Burka z tomu *Literatura polska wobec rewolucji* z 1971 r., aczkolwiek Burek w znanej pracy zbiorowej poświęconej prozie lat 1918–1932 z 1975 r. pod redakcją Aliny Brodzkiej i Heleny Zaworskiej docenia innowacyjność *Miliardów*<sup>54</sup>. Strug często był porównywany ze swoim duchowym nauczycielem Żeromskim<sup>55</sup>, chociaż Maria Dąbrowska pisała, iż twórczość pisarza wykazywała raczej zbieżności z tekstami Prusa<sup>56</sup>.

Rok 1989 jest ważny ze względu na śmierć Nelly Strugowej. Wydanie to nie przyniosło jednakże wyraźnego wzrostu zainteresowania twórczością pisarza. Imponująca aktywność życia Struga może być jednocześnie przyczyną trudności w odbiorze jego pisarstwa, ponieważ chodzi nie tylko o twórczość literacką, ale i polityczną, kinematograficzną czy wolnomularską.

Po 1989 r. w Polsce ukazały się tylko dwie zbiorowe publikacje poświęcone pisarzowi<sup>57</sup>. Dopiero kilka lat temu została wydana

---

<sup>52</sup> J. Zacharska, dz. cyt., s. 243.

<sup>53</sup> A także następujące prace: P. Gdula, *Wstęp*, w: A. Strug, *Ludzie podziemni*, Warszawa 1947; J. Rohoziński, *Wczesna twórczość prozatorska A. Struga*, „Biuletyn Polonistyczny” 1964, z. 21; T. Drewnowski, *Dzieje jednego pocisku*, „Polityka” 1968, nr 6.

<sup>54</sup> T. Burek, *Proza*, w: *Literatura polska lat 1918–1932*, red. A. Brodzka, H. Zaworska, Warszawa 1975, s. 507.

<sup>55</sup> W. Kubacki, *Idolum thematis*, w: *Lata terminowania*, Kraków 1963, s. 184.

<sup>56</sup> M. Dąbrowska, *Pisma rozproszone*, t. 2, Kraków 1964, s. 419.

<sup>57</sup> Są to publikacje: *Andrzej Strug*, red. K. Stępnik, Monika Gabryś, Lublin 2011 oraz *Andrzej Strug. Dzieło i czasy*, red. A. Kargol, Warszawa 2014.



pierwsza biografia pisarza<sup>58</sup>. Alicja Kisielewska opublikowała książkę poświęconą filmowemu Strugowi. Sporadycznie autor *Żółtego krzyża* i jego twórczość stają się bohaterami rozdziałów w wieloautorskich monografiach naukowych. Znacznie większym zainteresowaniem cieszyła się twórczość pisarza przed 1989 r., aczkolwiek *Miliardy* nie doczekały się swej edycji po 1945 r. Mimo że w latach 1945–1989 nie było piszącego o Strugu krytyka, który nie poświadczyłby oryginalności tej powieści (o ile oczywiście w swoich rozważaniach ją przywoływał) bądź zaprzeczył nowatorstwu zastosowanych przez Struga rozwiązań. Na ten stan mogły wpłynąć co najmniej dwa czynniki. Po pierwsze, powieść Struga mogła zostać niewydana, gdyż była utworem nieskończonym. Po drugie, na brak powojennej edycji *Miliardów* mogła wpłynąć treść utworu, a także jego niejednoznaczna warstwa ideowa. Postaram się te aspekty poniżej omówić. Następnie scharakteryzuję głosy krytyczne dotyczące utworu, pochodzące sprzed 1989 r.

Na zagadnienie pierwsze odpowiedział już Robert Mielhorski w artykule „*Miliardy*” – *zapoznana powieść Andrzeja Struga* z 1996<sup>59</sup>, sugerujący, iż przyczyną nieuwzględnienia powieści była właśnie jej niekompletność. Krytyk jednakże zauważa, iż dzisiejszy czytelnik znakomicie poradziłby sobie z tą niezamierzoną otwartością tekstu, zwłaszcza że pozytywne opinie na jej temat pojawiły się po wydaniu pierwszego tomu w „Wiadomościach Literackich”, w czasie, gdy nikt się nie spodziewał, iż kolejny tom zostanie dodatkowo opublikowany z rękopisu. Mielhorski stawia pytanie: „Czy brak trzeciego tomu deprecjonuje dwa tomy poprzednie?”, wskazując na poetykę dzieła otwartego, funkcjonującą chociażby w przypadku tekstów romantyków oraz na fakt, iż gdyby nie informacja, że trzeci tom miał się ukazać, raczej nikt nie podejrzewałby, że takowy w ogóle może zaistnieć.

W literaturze po 1945 r. chwalono przede wszystkim to, co podtrzymywało postulaty literatury zaangażowanej zgodnie z rozumieniem ówczesnych władz. Utwory niespełniające postulatów literatury socjalistycznej ze względu na eksponowanie w nich sensacji i wątków melodramatycznych pomijano bądź traktowano jako gorsze i niepotrzebne.

---

<sup>58</sup> A. Kargol, dz. cyt.

<sup>59</sup> R. Mielhorski, „*Miliardy*” – *zapoznana powieść Andrzeja Struga*, „*Studia Filologiczne*” 1996, z. 40.

Warto jednakże wcześniej zwrócić uwagę na cenzorskie recenzje, zwłaszcza te pisane przez cenzorów z Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPiW), gdyż mogą one w zarysie dać odpowiedź na pytanie o powody zatrzymania omawianego utworu po wojnie<sup>60</sup>. Jak zauważa Kamila Budrowska, pomiędzy 1 lipca 1957 a 15 kwietnia 1958, po X Plenum KC PZPR działania cenzury zostały zintensyfikowane, a w związku z tym wydawnictwo Czytelnik zatrzymało pracę nad wydaniem *Miliardów*<sup>61</sup>. Ze zgromadzonych i opublikowanych przez badaczkę recenzji cenzorskich wynika, że cenzorom zazwyczaj nie podobały się (i mogły nie spodobać się w *Miliardach*) m.in.: „mglistość i atmosfera niedomówień”<sup>62</sup>, obraz chaosu, elementy antyrosyjskie, żydowskie spiski, brak wiary w jakiegokolwiek idee, nadmierne skupianie się na ludzkich namiętnościach, erotyzmie, przedstawianie jednostek społecznych, ogólny pesymizm utworu, katastrofizm, obraz przeszłości niepasujący do aktualnego światopoglądu. Potępiano jakiegokolwiek ślady nacjonalizmu i brak pozytywnie przedstawianych Polaków. Inne zarzuty cenzorów to przykładowo: „piętnowanie wybranych tematów (np. niektórych treści historycznych, religijnych), odrzucanie skomplikowanej, awangardowej poetyki”<sup>63</sup>, odrzucenie pesymistycznej wymowy dzieł literackich, elementów religijnych, pokazywanie negatywnych stron rzeczywistości, nędzy ludzkiej<sup>64</sup>. Większość z wymienionych elementów można odnaleźć również w *Miliardach*, ale mają charakter głównie kontekstowy, a także minimalnie wpływają na wymowę powieści; ironia jest obecna w opisie Lota Boltera, „poety proletariatu i rewolty”<sup>65</sup>.

W powieści pojawia się również Rosja, która nie wykorzystuje swojej szansy zostania przewodniczką narodu wobec upadku starej

---

<sup>60</sup> *Miliardów* nie wymieniono w wykazie książek usuniętych z bibliotek z 1952 r. Więcej w: [Cenzura PRL]. Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu 1 X 1951, posłowie Z. Żmigrodzki, Wrocław 2002. W tym akapicie jedynie próbuję wywnioskować, co się mogło cenzorom nie spodobać.

<sup>61</sup> K. Budrowska, *Literatura i pisarze wobec cenzury PRL. 1948–1958*, Białystok 2009. Czytaj także: *taż*, *Studia i szkice o cenzurze w Polsce ludowej w latach 40. i 50. XX wieku*, Białystok 2014.

<sup>62</sup> K. Budrowska, *Studia i szkice...*, dz. cyt., s. 18.

<sup>63</sup> *Tamże*, s. 97; K. Budrowska, *Literatura i pisarze...*, dz. cyt., s. 27–39.

<sup>64</sup> K. Budrowska, *Literatura i pisarze...*, dz. cyt., s. 63–64.

<sup>65</sup> *Tamże*, s. 143.

Europy. Groteskowy jest także Eddy Wychgram, przedstawiający obraz zabiedzonego rewolucjonisty rodem z pierwszych tekstów Struga, oskarżający sowiecką Rosję o zdradę ideałów, oraz profesor Borowiczenko, komunikujący się z otoczeniem przez swoje, jak to pisarz określa, „wykłady propagandowe”, w których nie ma miejsca na żadne doczesne postawy i światopoglądy, takie jak komunizm i socjalizm. Van der Zypen, inny z wizjonerów, marzy o konflikcie między USA a Rosją sowiecką. Uparty cenzor mógłby zakwestionować religijne nawrócenie Lucy, innemu niepokojące mogły wydać się wybrane szczegóły życia w wielkiej metropolii. Seks i pornografia pojawiają się w ważnym dla fabuły nowojorskim jazzowym klubie „Uistiti”, w którym występuje nago Ina Barnato, polska Żydówka („wysoka i wężowa”<sup>66</sup>), odgrywająca scenę oddania się złotemu posągowi Cielca. Pozytywnie opisywani są przestępcy kradnący złoto z wielkiego banku czy demoniczny morderca i uwodziciel Chuan. A skoro o Żydach mowa, to Strug pisze o oburzeniu świata z powodu wywołanego przez nich kryzysu na giełdzie – to również mogło być niepokojące. Być może też cenzorom nie spodobała się polifoniczna, otwarta forma powieści oraz zawarte w niej elementy naturalistyczne czy biografia pisarza-legionisty<sup>67</sup>. Czas i ewentualne odkrycia w archiwach cenzury pokażą, na ile słuszne są powyższe intuicje.

Opublikowanych recenzji i artykułów poświęconych *Miliardom* nie było dużo, na co wpływ też mogło mieć, jak już wcześniej wspomniano, to, że wydawnictwo Czytelnik nie uwzględniło powieści Struga wśród wydanych w latach 1956–1963 utworów pisarza (również bez *Chimery* i *Mogiły nieznanego żołnierza*). Brak *Miliardów* jest też o tyle dziwny, iż po wojnie opublikowano powieść *Pieniądz*, która zawiera główne wątki kontynuowane później w *Miliardach*.

O powieści nie wspomina słowem w popularnej biografii pisarza z 1962 r. Marek Ruszczyk<sup>68</sup>, nie pisze również o *Kluczu otchłani*, *Żółtym krzyżu*, *Wielkim dniu*, *Kronice świeciechowskiej*, a przywołuje jedynie najwcześniejsze teksty Struga. O powieści tej nie ma

---

<sup>66</sup> Tamże, s. 47.

<sup>67</sup> Która mogła mieć związek z zatrzymaniem przez cenzurę w 1952 r. wiersza Władysława Broniewskiego *Na śmierć Andrzeja Struga*. Szerzej pisze o tym Budrowska w cytowanej książce *Literatura i pisarze*, w rozdziale *Władysław Broniewski bez cenzury. 1949–1955*.

<sup>68</sup> M. Ruszczyk, *Andrzej Strug*, Warszawa 1962.

wzmianki w najlepszej po 1945 r. publikacji poświęconej Strugowi, czyli w wydanej w 1981 r. książce pt. *Proza Andrzeja Struga*<sup>69</sup> pod redakcją Tadeusza Bujnickiego i Stanisława Gębali, w której znalazły się artykuły m.in. Krystyny i Krzysztofa Kłosińskich, Jerzego Paszka, Wojciecha Ligęzy, Krystyny Kralkowskiej-Gątkowskiej. Podkreślić jednak należy, iż wszystkie opracowania z tej publikacji mają charakter nowatorski.

*Miliardy* mogły nie cieszyć się popularnością nie tylko dlatego, iż powieść przedstawiała wrogą władzy, aczkolwiek krytycznie opisaną krainę – Amerykę, ale być może także dlatego, że przyszłość w ujęciu Struga zapowiadała się pesymistycznie niezależnie od ideologii i panującego ustroju oraz czynników ekonomicznych. Jakakolwiek przyszłość przedstawiana była przez pisarza jako zagrożenie.

Strug zawsze był zainteresowany problematyką związaną z jutrem, wydarzenia z teraźniejszości były dla niego podstawą do analizy przyszłości. W opracowanym przez Stanisława Kryńskiego tomie *Ostatnie listy* z 1986 r. tematyka związana z „jutrem” jest niezwykle istotna: „Jutro! Nareszcie zjawi się coś, co postawi granicę między dwoma okresami naszego życia. Stanie się jasnym dla nas wszystkich, że przeszłość zamyka się i oddala, że nadchodzi czas nowy, w który wstąpić ma każdy z odrodzoną, odnowioną duszą”<sup>70</sup>. Jak wspomina January Grzędziński, Strug był człowiekiem niezwykle wrażliwym na jakiegokolwiek przemianę, „jakię niosła historia”<sup>71</sup>. Wszyscy powojenni badacze twórczości Struga podkreślają, iż w ostatnich latach pisarz był w stanie protestu wobec wszelkich wydarzeń historycznych i społecznych<sup>72</sup>. Żona artysty wspominała, iż pod koniec życia zintensyfikowało się w postawie Struga doznanie krzywdy i ludzkiej niedoli<sup>73</sup>.

Już we wczesnych pracach poświęconych powieści Samuel Sandler, wspominając *Miliardy*, piętnuje wszystko, co nie mieści się

---

<sup>69</sup> *Proza Andrzeja Struga. Studia*, red. T. Bujnicki, S. Gębala, Kraków 1981.

<sup>70</sup> A. Strug, *Ostatnie listy. Opowiadania i szkice*, oprac. S. Kryński, Warszawa 1986.

<sup>71</sup> J. Grzędziński, *Spotkania i rozstania ze Strugiem*, w: *Wspomnienia o Andrzeju Strugu*, dz. cyt., s. 131.

<sup>72</sup> Por. J. Maliniak, *W służbie obowiązku*, w: *Wspomnienie o Andrzeju Strugu*, dz. cyt., s. 200.

<sup>73</sup> N. Strugowa, *Fragmenty wspomnień*, w: *Wspomnienie o Andrzeju Strugu*, dz. cyt., s. 241.

w programie socrealizmu: naturalizm, psychologizm, estetyzm<sup>74</sup>, a w „nierewolucyjnej” spuściźnie Struga dostrzega przede wszystkim manierystyczne nadużywanie stylu młodopolskiego<sup>75</sup>, powstałe na skutek porzucenia tematyki związanej z „doświadczeniami ludzi podziemnych”<sup>76</sup>.

Istotny jest też tekst Juliana Krzyżanowskiego zatytułowany *Dwie powieści Andrzeja Struga*<sup>77</sup>. Krzyżanowski pisał swój artykuł w 1937 r., a więc w czasie, gdy ukazał się tylko jeden tom *Miliardów*, który w 1963 r. przedrukowano bez zmian, pisząc o pierwszym jak do tej pory tomie. Krytyk zauważa, iż *Miliardy*, podobnie jak wcześniejszy *Pieniądz*, dotyczą kapitalizmu, pisze o „lepie sensacji”, która „może stać się elementem artystycznym, jak stawała się nim wielokrotnie w dziejach romansu realistycznego i zwłaszcza naturalistycznego”<sup>78</sup>. Krzyżanowskiemu całkowicie jednak nie przeszkadza brak tomów kolejnych, gdyż już w jednym wydanym widzi oznaki holistycznego światopoglądu. Chwali *Miliardy* za poruszenie uniwersalnych mechanizmów władzy i pieniądza, za wyjście poza bezpieczny krąg lokalnych problemów, powieść jest dla niego dowodem tego, iż „literatura polska nie utonęła całkowicie w pracowitych analizach drobiazgów i drobiażdżków szarej codzienności, że miała ambicje oddychania powietrzem regionów nieco wyższych, tych, w których sprawy jednostek zlewają się ze sprawami zbiorowości, a sprawy lokalne – ze sprawami świata”<sup>79</sup>.

Bogdan Pięćzka, inny badacz prozy Struga<sup>80</sup>, w 1987 r. zwracał uwagę na melodramatyczne i przygodowo-sensacyjne motywy

---

<sup>74</sup> S. Sandler, *Andrzej Strug wśród ludzi podziemnych*, Warszawa 1958, s. 318. Na obecność młodopolskiego manieryzmu w twórczości Struga zwracał również uwagę A. Kijowski (*Nowa powieść Andrzeja Struga*, w: *Arcydzieło nieznane. Szkice*, Kraków 1964, s. 18).

<sup>75</sup> Paradoxy estetycznych i literackich odczytań prozy Struga oraz rozbieżności interpretacyjne występujące w ocenie tych samych dzieł przez różnych krytyków omówili K. i K. Kłosińscy w szkicu *Proza Struga: między modernizmem a dwudziestolecie. Próba interpretacji*, w: *Proza Andrzeja Struga. Studia*, dz. cyt.

<sup>76</sup> S. Sandler, *Andrzej Strug wśród ludzi podziemnych*, dz. cyt., 318. Na obecność młodopolskiego manieryzmu w twórczości Struga zwracał również uwagę A. Kijowski (dz. cyt., s. 18).

<sup>77</sup> J. Krzyżanowski, *Dwie powieści Andrzeja Struga*, w: *W kręgu wielkich realistów*, Warszawa 1963.

<sup>78</sup> Tamże, s. 290.

<sup>79</sup> Tamże, s. 293.

<sup>80</sup> Por. B. Pięćzka, *Proza narracyjna Andrzeja Struga*, Wrocław 1987, s. 134.

fabularne modyfikujące fabuły powieści Struga: *Pieniądza, Fortuny kasjera Śpiewankiewicza, Żółtego krzyża i Miliardów*: „U podstaw pierwszego z nich leżą zwykle takie elementy jak silne oddziaływanie emocjonalne, polaryzacja postaw moralnych oscylująca w kierunku manichejskiej dychotomii dobra i zła, krańcowe stany istnienia, sensacyjność wydarzeń, przewaga stanów uczuciowych nad intelektualnymi czy wreszcie przesunięcie konfliktów wewnętrznych na rzecz komplikacji w układach międzyosobowych, prowadzące często do ujęć schematycznych”<sup>81</sup>. Pięczka o *Miliardach* pisze sporo, być może dlatego, iż wybrał dla swoich analiz konteksty związane z sensacyjnością powieści, które nie wymagały poruszania trudnych, zaangażowanych politycznie tematów.

Jedną ze schyłkowych dla czasów PRL interpretacji utworu przedstawił Henryk Michalski w swojej biografii literackiej z 1988 r.<sup>82</sup>, książce, której chciałbym poświęcić więcej miejsca, gdyż jest to nie tylko najobszerniejsze po 1945 r. omówienie literackiej spuścizny Struga, ale i samych *Miliardów*. Już w drugim zdaniu swojej monografii Michalski zauważa, iż Strug „był wiecznym rewolucjonistą”<sup>83</sup>, sugerując, że to właśnie stosunek pisarza do szeroko rozumianej rewolucyjności modyfikuje pozostałe pola jego twórczości literackiej, dopiero zaś później wspomina o *Zakopanoptikonie*, czyli o tekście, który nie ma nic wspólnego z żadną ideą rewolucji. Michalski, podobnie jak poprzednicy, również dokonuje pewnych przemilczeń, omawia wprawdzie teksty pominięte przez Ruszczyca, z *Miliardami* włącznie, ale czyni to w sposób nieproporcjonalny. Znaczną część jego rozważań zajmuje bowiem analiza utworów rewolucyjnych pisarza oraz akcentowanie krytycznego podejścia do ustroju II Rzeczypospolitej i postrzeganie świata przez „teorię walki klas”<sup>84</sup>. Michalski odbiera powieść Struga wyłącznie przez pryzmat kryzysu ekonomicznego i kapitalizmu, opisany tam impas według niego nie różni się od konfliktu wojennego.

Większość rozważań Michalskiego, zarówno jeśli chodzi o *Miliardy*, jak i wcześniejszy *Pieniądz*, dotyczy piętnowania opisanego przez Struga kapitalizmu, który przedstawiony jest negatywnie i obarczony odpowiedzialnością za zezwierzęcenie stosunków

---

<sup>81</sup> Tamże, s. 169.

<sup>82</sup> H. Michalski, *Andrzej Strug*, Warszawa 1988.

<sup>83</sup> Tamże, s. 5.

<sup>84</sup> J. Zacharska, dz. cyt., s. 247.



międzyludzkich, wszechwładzę pieniądza, degenerację relacji zawodowych. Michalski pisze o egzotyzmie ostatniego tekstu Struga, polegającym na jego przeładowaniu publicystyką, retoryką i anegdotą. Zarzuca powieści zbyt dużą dawkę naturalizmu oraz nurzanie się w chorobliwym prymitywizmie, prowadzącym do niemalże apokaliptycznego ukazania kresu dążeń jednostki pragnącej zmienić świat. Zwraca uwagę, iż zamknięte są dzieje tylko jednego bohatera – rewolucjonisty profesora Borowiczenki, zesłańca, bojownika o polepszenie losu zwykłych ludzi. Bohater jest rozdarty między wątpliwościami co do caratu i rewolucji. Michalski interpretuje Borowiczenkę jako realizację mitu rewolucjonisty, a jednocześnie postaci niewierzącej w przyszłość własnej rewolucji.

Właśnie w tego typu sposobie interpretacji tekstu Struga tkwią, moim zdaniem, przyczyny nieuwzględniania powieści po 1945 r., pisarz przedstawia bowiem nie tylko nieuniknioną katastrofę systemu kapitalistycznego, ale także koniec takich pojęć jak socjalizm i komunizm, które stały się w różnym natężeniu częściami składowymi powojennej ideologii. Problem pomijania *Miliardów* tkwił być może w tym, że nie do końca jest tak, jak twierdzili krytycy, iż Strug przedstawiał wyłącznie niszczące działanie systemu kapitalistycznego w ówczesnej postaci. Sądzę, że chodzi raczej o katastrofę sygnalizowaną w innych wystąpieniach, publicystyce i notatkach pisarza, polegającą na wyczerpaniu się wszystkich możliwości rozwiązania sytuacji kryzysowych w związku z naprawą świata: „Cały świat miotał się, burzył się, kłócił i w końcu nic nie mógł i nic nie wiedział” (t. 2, s. 263). Taka wizja mogła się po prostu nie podobać. Strug nigdzie nie udziela jednoznacznej odpowiedzi, lecz jedynie sygnalizuje, krytykuje oraz poddaje w wątpliwość wszystkie rozwiązania. Świat *Miliardów* jest bowiem niebezpieczny i nieprzewidywalny.

Obecnie Andrzej Strug jest pisarzem stopniowo zapominanym. Ocalenie tej pamięci odbyło się w ramach selekcji materiału pozostawionego przez pisarza i to właśnie ten materiał, związany z wiwisekcją ludzi podziemnych, rewolucji, problemów antykapitalistycznych został dostosowany do potrzeb ideologii i propagandy. Dziś Strug literat jest praktycznie nieobecny, chociaż można zaobserwować wzrost zainteresowania jego zaangażowaniem wolnomularskim czy kinematograficznym. Ten chwilowy i w moim odczuciu dość powierzchowny renesans dotyczący kilku dziedzin aktywności Struga związany jest, jak sądzą, z lansowaną w mediach

modą na dwudziestolecie. Natomiast niebywałą zasługę w przywróceniu pamięci o pisarzu ma Muzeum Andrzeja Struga<sup>85</sup>, warszawski oddział Muzeum Literatury, gdzie znajdują się notatki pisarza do *Miliardów* i jego korespondencja z Nelly.

Strug miał modelowy życiorys dla władzy po 1945 r.: udział w opozycji antysanacyjnej, potępienie Dmowskiego, działalność w loży, która mogła się kojarzyć z jego antyklerykalizmem. Dlaczego jednak został zapomniany? Jak pisze Anna Kargol, współczesna biografka pisarza, a pod tymi słowami również i ja się podpisuję:

Przyczyn zapewne jest wiele. Konsekwencja jego postawy, wyrażająca się w niekonsekwencjach przynależności partyjnych dziś jest dalece niezrozumiała. Trudno dziwić się, że zmienność legitymacji partyjnych postrzegana jest pejoratywnie... Zaś ponadczasowe hasła stawiania sensu prawa ponad jego literę, rozumienia w szerszym kontekście wielkich dziejowych procesów i łączenia ich z postawami ludzkimi, służba publiczna czy służba społeczeństwu to w ogromnej mierze wartości dziś bliskie nielicznym<sup>86</sup>.

---

<sup>85</sup> Dziękuję kustoszu Katarzynie Piktel z tegoż muzeum za pomoc w opracowaniu niniejszej edycji.

<sup>86</sup> A. Kargol, dz. cyt., s. 321.





Powieść Andrzeja Struga *Miliardy* do tej pory została opublikowana tylko raz. Pierwszy tom ukazał się jeszcze za życia zmarłego w 1937 r. Struga, drugi został wydany z rękopisu pisarza, powstałego pomiędzy 22 czerwca a 4 listopada 1934 r. Rękopis powieści, wraz z pamiętnikami pisarza, korespondencją i pozostałymi autografami został zdeponowany przez Nelly Strugową (Grzędzińską) w warszawskim Arsenale. Dokumenty te uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Za podstawę niniejszej edycji przyjęto pierwsze, przedwojenne wydanie powieści. W przypisach zostały przetłumaczone zwroty obcojęzyczne, objaśniono przestarzałe słowa i pojęcia. Zidentyfikowano mniej znane miejsca, osoby, instytucje, przywołane w tekście wydarzenia, tytuły gazet, książek i filmów. Przypisy tłumaczą nawiązania do wydarzeń bieżących i historycznych oraz objaśniają pochodzenie przytaczanych cytatów, a także ówczesny kontekst społeczno-obyczajowy, tło historyczne i kulturowe.

Nie ingerowano w konstrukcje językowe uznane za specyficzne dla autora, zapis ujednolicono zgodnie ze współczesnymi normami. Tytuły książek, filmów, artykułów, zwroty obcojęzyczne zapisano kursywą. Tytuły czasopism zostały ujęte w cudzysłów, słowa w cudzysłowie pozostawiono bez zmian. Nazwy firm w cudzysłowie pozostawiono bez zmian.

Zmodernizowano zapis końcówek przymiotników, imiesłówów przymiotnikowych w narzędniku i miejscowniku liczby pojedynczej oraz zaimków typu: grzecznem – grzecznym.

Uwspółcześniono zapis zapożyczonych z łaciny rzeczowników rodzaju żeńskiego zakończonych na „-ija”, „-yja”, a w dopełniaczu liczby mnogiej „-yj”: akcyj – akcji, punktacyj – punktacji, obligacyj – obligacji, spekulacyj – spekulacji, inkrustacyj – inkrustacji, teoryj – teorii, fantasmagoryj – fantasmagorii, aspiracyj – aspiracji.

Zmieniono zapis rzeczowników rodzaju męskiego w liczbie mnogiej typu: fundamenta – fundamenty, nożów – noży, drapaczów – drapaczy.

Zmodernizowano zwroty potoczne i wykrzyknienia: hop-la – hopla, Ha – ha – ha! – ha, ha, ha!.

Zmieniono zapis rzeczowników rodzaju nijakiego w miejscowniku w liczbie pojedynczej, np.: kościołku – kościółku.

Uwspółcześniono odmianę niektórych rzeczowników, czasowników i przymiotników, np: kaźden – kaźdy, ugnębi – zgnębi, komplimenty – komplementy, pucobut – pucybut, abstynetką – abstygentką, po równu – po równo, wierzaj – wierz, studzien – studni, ocknieniu – ocknięciu, nożów – noży, personalii – personaliów, sędzie – sędziowie, gospodarczem – gospodarczym, wyrażerowane – wyranżerowane, kościołku – kościółku.

Zachowano formy specyficzne dla języka autora, np.: znać, znać.

Nie poprawiono przytaczanych przez autora stylizowanych na składnię obcego języka wypowiedzi innych osób.

W zakresie ortografii zmodernizowano pisownię joty w wyrazach takich jak: biedermajerowskich – biedermeierowskich.

Modyfikacji uległa pisownia łączna i rozdzielna w takich wyrazach jak: naogół – na ogół, poprostu – po prostu, poczem – po czym, zdawna – od dawna, wyniosłoszyderczy – wyniosło-szyderczy, egz-galernik – eks-galernik, szybko mknących – szybko mknących.

Zmodyfikowano zapis niektórych wyrazów do ich współczesnego brzmienia: zawściekła – wściekła, pomętniały – zmętniały, ordzewiała – pordezewiała, pośniło – przyśniło, zaszeplecił – zaseplecił, niepowsięgniona – niepowsięgnięta, rozdrzaźnienie – rozdrażnienie, przegorzkniały – zgorzkniały, zadźwiewły – zadźwiewały, pucobut – pucybut, pogrzmot – grzmot, rozegrzmiął – rozebrzmiął, jowalnie – jowialnie, komplementami – komplementami, zaskrzepłej – zakrzepłej, eks-guwerner – eks-guwerner, cokołu – cokołu.

Uwspółcześniono pisownię z cząstką „-by” oraz partykułą „nie”, np.: skądżeby – skądże by, cokolwiekby – cokolwiek by. „Nie” z imiesłowami i z innymi częściami mowy zapisano zgodnie ze współczesną normą, np. nie pojęte – niepojęte, nie łatwo – niełatwo.

Uwspółcześniono zapis ortograficzny niektórych wyrazów, np.: tranzakcję – transakcję, łysinie – łysinie, kapitalizmie – kapitalizmie, exhumowaniu – ekshumowaniu, powyżej – powyżej, Hulgani – chuligani, inflancję – inflację, wszechprzyczyn – wszechprzyczyn, nowozbudowanym – nowo zbudowanym, współsennych – współsennych, pięciotonnowy – pięciotonnowy, poważniejszy – poważniejszy, dżentelmeni – dżentelmeni, epopeę – epopeję, epopea – epopeja, chrześcian – chrześcijan, zczzerwieniałych – zaczerwieniałych, przypałał – przypałał, linji – linii, rozuchwalonej – rozuchwalonej, poharatani – poharatani,

znenawidzieć – znenawidzić, swądzie – swędzie, pendzla – pędzla, tybyś – ty byś, na prędcie – naprędcie.

Wprowadzono współczesny zapis połączeń przyimków i rzeczowników typu: pocoś – po coś.

Poprawiono, zgodnie ze współczesnymi zasadami, zapis nazw własnych i ich odmianę, np: Zatoka Hudsona, Morze Davisa, Morze Baffina, Morze Barrowa, Brooklyn, Nowy Jork, Czterdziesta Druga Ulica, Kill Van Kull, Sing Sing, Wall Street, Rue Daunou, Mott Haven, Juniata, Rzeka Miedziana, Greenpoint.

Uwspółcześniono pisownię niektórych nazw własnych typu: Tutenkhamena – Tutanchamona, nagrody Nobla – Nagrody Nobla, indian – Indian, eskimosami – Eskimosami.

Uwspółcześniono pisownię liczebników: ósm – ośmiu, siedm – siedem, ośmdziesiąt – osiemdziesiąt, dwudziestotonnowy – dwudziestotonnowy, dwutonnowej – dwutonowej.

Poprawiono zapis liczb wielocyfrowych, kropkę w roli separatora grup trzycyfrowych zastąpiono spacją, np. 8.354.356 – 8 354 356.

Uwspółcześniono pisownię wyrazów angielskich i zaczerpniętych z innych języków: coctaille – cocktaile, goldened – golden, arcana – arkana, ghetto – getto, M-lle – Mlle.

Uwspółcześniono pisownię wielką literą: Uistiti – uistiti, nagrody Nobla – Nagrody Nobla.

Stosowane przez Struga skróty rozwinięto i zapisano zgodnie ze współczesnymi normami: ś.p. – śp., t. p. – itp., m-lle – Mlle, U. S. A. – USA.

Poprawiono błędy i literówki popełnione w druku, np: potokółu – protokołu, odbłędu – obłędu, parookrotnie – parokrotnie, bezwłosego – bezwłosego, wyzdydać – wyzdychać.

Pisownię z apostrofem rzeczowników w przypadkach zależnych potraktowano według współczesnych norm ortograficznych i zapisywano bez apostrofu.

W wypowiedziach bohaterów archaizmy pozostawiono bez zmian i zasadniczo starano się w ich pisownię nie ingerować. Zmodernizowano interpunkcję – dotyczy to przecinków. Niektóre myślniki uznano za zbędne, inne, które miały postać pauzy, zmieniono na półpauzy. W niektórych miejscach pozostawiono zbieg znaków interpunkcyjnych – niezgodny z dzisiejszą normą (przecinek i zaraz myślnik).



*Andrzej Strug*  
MILIARDY





*Tom I*



## Rozdział pierwszy

### Nad Nowym Jorkiem uporczywa mgła

Podrażniona przeprawą z synem, znudzona hiobowymi wieściami, którymi i tego dnia zasypał ją generalny pełnomocnik, pani Rascob<sup>1</sup> wydstąpiła się spoza kolosalnego, jeszcze ojcowskiego biurka i przystanąła na chwilę w środkowym oknie gabinetu. Za obszernym, pustym podwórcem, wyłożonym bazaltowymi płytami, przez złocone, kute ogrodzenie widać było nieprzerwany potok pojazdów, mknących jeden za drugim, jeden przy drugim w trzy rzędy, drugi nurt szedł w przeciwną stronę. Ciągnęły bez momentu przerwy, mijaly się, zwieraly się, zwalnialy, i wnet ruszaly, rozciagalaly się luźniej i gnały nawałą w obie strony jak wielobarwny, nieskończony pas transmisyjny, nastawiony na wieczny pęd, wprawialy w ruch niewiadomą, potworną machine. Ten całkiem powszedni obraz Czterdziestej Drugiej Ulicy<sup>2</sup> wydał jej się dzisiaj fantastyczny i niewiarygodny. Zapatrzyła się.

---

<sup>1</sup> Lucy Rascob – jedna z zamożniejszych bohaterek *Pieniądza: powieści z obcego życia*, utworu Andrzeja Struga napisanego w latach 1913–1914 i opublikowanego w odcinkach w „Romansie i Powieści”, dodatku do tygodnika „Świat” w 1914 r. *Pieniądz* opisuje spotkania zamożnych amerykańskich dorobkiewiczów z przedstawicielami zdeklasowanych, biedniejszych rodów europejskich w 1912 r. Fabuła rozgrywa się w przestrzeni alpejskich lodowców w szwajcarskim miasteczku Zermatt, w Paryżu i na statku pływającym do Stanów Zjednoczonych, który w zakończeniu utworu ulegnie katastrofie i zostanie zatopiony wraz z rodzicami Lucy. Tematyka dzieła, czyli opis pogoni za pieniędzmi, zatracenie się w wartościach materialnych, zostaje pokazana poprzez działanie bohaterów powieści.

<sup>2</sup> Czterdziesta Druga Ulica – główna ulica Manhattanu, nowojorskiej dzielnicy, przecinająca wyspę z zachodu na wschód. To przy niej ulokowane są najbardziej znane w mieście budynki, jak budynek Chryslera, dworzec Grand Central, Times Square czy siedziba nowojorskiej biblioteki.

Dwie pstre rzeki samochodów, mijające się w jednym łożysku ulicy, odrabiały jakąś tajemną pracę, a cel jej był nieodgadniony. Każdy ze śpieszących w tę i tamtą stronę miał w tym jakiś swój wyraźny interes, a każdy człowiek przy kierownicy znał naprzód dokładnie swoją drogę w pokrzyżowanym labiryncie miasta i miał w głowie adres, ulicę i numer domu, przed którym zatrzyma maszynę. Było to jednak nieistotne, pozorne, masa ludzi, mknących w masie samochodów, zdawała się być opętana przez czyjąś obcą wolę i w śnie bezwiednym gnała kędyś, wypełniając niepojęty nakaz. Skąd ten gorączkowy, paniczny pośpiech? Co się stało? Nic. Tak samo było wczoraj, to samo będzie jutro, to samo jest zawsze, dzień w dzień. Rzecz tak oczywiście zwyczajna, rzecz zagmatwana, niepewna – rzecz nie do wiary. Więc takie jest nasze życie?...

Ogarnęło ją zdumienie. Zdarzało się to nieraz, przychodziło znienacka i bez żadnego powodu. W takich chwilach wprawiały ją w osłupienie, w zamęt myśli nie żadne wieści nadzwyczajne, sensacje, zjawiska katastrofalne, nie wiekopomne odkrycia, wojny, rewolucje, ale właśnie rzeczy i sprawy znajome i niesporne, albowiem obracały się w odwiecznym korowodzie z dnia na dzień, z roku na rok, jak dzień i noc, jak światłość i ciemność, jak zima i lato. Były niespożytym, murowanym prawem świata jak Góry Skaliste<sup>3</sup> i ocean, jak wypalone pustynie Arizony<sup>4</sup> i pomarańczowe sady Kalifornii<sup>5</sup>, jak maska murzyna i oblicze białego... Jak zbrodnia i uczciwość, jak zdrowie i choroba, jak piękność i brzydota, jak życie i śmierć, jak bogactwo i nędza.

Czasami na chwilę przerażał ją zwyczajny bank, zdumiewał ją unitariański kościół<sup>6</sup>. Świstek papieru z jej podpisem stwarzał i dawał jej do ręki bogactwo i przepych, które wyharowali w pocie czoła, wydarli spod ziemi, przywieźli z końca świata niewiadomi ludzie, zaprzędani w niewolę bankowego czeku... Pewnej niedzieli

---

<sup>3</sup> Góry Skaliste – łańcuch górski w Ameryce Północnej, wschodnia część Kordyliarów o długości 4800 km.

<sup>4</sup> Arizona – stan w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych ze stolicą w Phoenix.

<sup>5</sup> Kalifornia – stan na zachodnim wybrzeżu USA, trzeci co do wielkości w Stanach Zjednoczonych, ze stolicą w Sacramento.

<sup>6</sup> Kościół unitariański – świątynia wyznawców unitarianizmu, jednego z głównych nurtów reformacji.

w gotyckim kościółku Przemienienia Pańskiego<sup>7</sup>, odgrodzonym kępami drzew od gwaru Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, słynny kaznodzieja milionerów, wielbny Elva C. Crabb, z racji przypowieści o wielbłądzie i uchu igielnym, w obliczu świetnego zgromadzenia, którego waga wynosiła wiele miliardów, perorował z patosem o właściwych intencjach Chrystusa Pana i głosił – tak jest – jawny, wołający o zgrozę fałsz i beżeceństwo. To przywidzenie zdarzyło się zresztą tylko raz jeden.

Bywały inne momenty – sekundy, momenty – godziny, wypadały skądś z ukrycia, odurzały, uderzały jak pałką w łeb i przemijały bez żadnych następstw, tonęły w niepamięci.

...Samochody, samochody... Dlaczego ich aż tyle? Dlatego, że na sześciu mieszkańców Stanów jest w ruchu jedna maszyna, a u samego Forda w Detroit<sup>8</sup> w ciągu dnia roboczego co minuta wyjeżdża w świat jedna nowa... Prędziej! Nuże prędziej! Któż tak niemilosiernie pogania obłąkaną ludzkość? Po co? Na co?

Tkwi w tym niezgłębiona tajemnica... Może po prostu – absurd. Widok z okna zdawał się potwierdzać jej wstydlive i trwożnie kryjące się przypuszczenie, że jej własne życie, jak na ogół istnienie całego świata, było i jest, a zapewne pozostanie nadal niepojęte i pozbawione sensu.

Od strony garażów, schowanych w głębi za prawym skrzydłem pałacu, wysunął się srebrno-szary lincoln<sup>9</sup>, bez najlżejszego szmeru jak widmo zatoczył szerokie koło po bazaltowych płytach i zatrzymał się przed wejściem do apartamentów Ralda<sup>10</sup>. Pani Lucy zapragnęła gwałtownie ujrzeć syna, który był u niej dopiero przed godziną. Rozstali się bez uśmiechu, w niemym milczeniu, teraz pożałowała swej surowości dla chłopca, ale cóż, jest matką... Miała słuszność, mały to dobrze wiedział, ale nie raczył jej przeprosić

---

<sup>7</sup> Kościół Przemienienia Pańskiego – kościół zbudowany w stylu gotyckim w 1801 r. należący do rzymskokatolickiej parafii na Manhattanie.

<sup>8</sup> Ford – amerykańska marka samochodów, założona w 1903 r. przez Henry'ego Forda w Detroit, który zrewolucjonizował produkcję samochodów dzięki wprowadzeniu trzymianowego dnia pracy i ruchomej taśmy produkcyjnej. Tego typu organizacja pracy, zwana fordyzmem, była krytykowana za automatyzację produkcji, w której w ujęciu metaforycznym robotnik został sprowadzony do roli mało znaczącego elementu w maszynie wytwarzającej dobra konsumpcyjne.

<sup>9</sup> Lincoln – marka luksusowych amerykańskich samochodów należących do koncernu Forda.

<sup>10</sup> Rald Rascob – syn Lucy Rascob.

jeżeli nie słowami, to choćby jednym pocałunkiem, bodaj dobrym spojrzeniem... Rald zaciął się, tej zimy zdarza się to jakoś częściej, Rald dorasta, zanika w nim coś przesubtelnie chłopięcego, ostatni ślad dzieciństwa, inaczej być nie może, ale jak z nim nawiązać, jak ustalić nową więź, inną i bez porównania trudniejszą, rodzoną łączność matki z dojrzewającym młodym człowiekiem, którego już ciągnie, porywa wir niepojęty i groźny, nienawistny, nieobliczalny świat obcych ludzi?

Z wyniosłych odrzwi, obramowanych ciemnoczerwonym i czarnym marmurem, już wysunął się nowy od paru dni kamerdyner Ralda, samowolnie przez niego przyjęty, niesympatyczny i o wiele za młody jak na tak młodego pana, śniady, wytworny i bezczelny, o lekkich cechach kwarterona<sup>11</sup>, niejaki Silas Shup, trzeba się go pozbyć jak najprędzej, to jest drab, gangster, kto wie, może nawet komunista – z oczu mu patrzy łajdactwo.

Wychodzi Rald, w oczach matki zabłyśł ogień dumy i radości – rosły, wysmukły chłopak z zawadiackim szykiem przekręcił na bakier cylinder, z szykiem rozchylił futro z białych lisów – był w smokingu, wesoło błysnął zębami, Silas odpowiedział mu przyjaznym poufałym uśmiechem.

– O czym oni mogą rozmawiać ze sobą?

Rald dostrzegł w oknie matkę, uśmiechnął się i potrząsnął ku niej ręką w białej rękawiczce ruchem pozdrowienia czy pożegnania jemu tylko właściwym... i jeszcze jednemu jedynemu człowiekowi na świecie... Co za zdumiewające, co za straszliwe we wszystkim podobieństwo... Boże zasłoń, Boże uchowaj go ode złego!

Głucho trzasnęły drzwiczki, limuzyna przebyła bramę i po chwili czekania uchwyciwszy swój moment sprawnie włączyła się do rzeki mknących pojazdów. Rzeka porwała syna od matki, młodzieńcy dżentelmen Gerald Carr Rascob już znał swoje drogi.

Dziwny dzień...

Pani Lucy Rascob szła przez szereg salonów, przez długą galerię, której okna wychodziły na park dopiero dwudziestopięcioletni, ale już bujnie rozrośnięty – park na ulicy Czterdziestej Drugiej – sto dolarów yard, dziś wart więcej niż tysiąc. Dwa Coroty<sup>12</sup>, Ruysdael<sup>13</sup>,

---

<sup>11</sup> Kwarteron – osoba, u której jedno z dziadków pochodziło z rasy czarnej.

<sup>12</sup> Jean-Baptiste-Camille Corot (1796–1875) – francuski malarz, przedstawiciel realizmu.

<sup>13</sup> Salomon van Ruisdael (1600–1670) – malarz holenderski.

El Greco<sup>14</sup>, niepewny Leonardo da Vinci<sup>15</sup>, Turner<sup>16</sup>, szkice Michała Anioła<sup>17</sup>, Meissonier<sup>18</sup>, Delacroix<sup>19</sup>, Carrière<sup>20</sup>, Renoir<sup>21</sup>... Dalej już mniej kosztowne arcydzieła nieznanego pędzla – szkoła flamandzka, szkoła wenecka, szkoła Rembrandta<sup>22</sup>...

Zbieranina niepotrzebna nikomu, nikt w domu nie interesował się sztuką ani za życia rodziców, ani potem, ani teraz. Lucy minęła galerię, nie spojrzawszy na żadne płótno. Monumentalne slazengerowskie schody, najmonumentalniejsze w Nowym Jorku i na wszystkie stany, obliczone chyba na to, aby dwudziestu dżentelmenów mogło z całą swobodą, ujawszy się pod ręce, jednym szeregiem wstępować razem do góry na świetne slazengerowskie recepcje, których zresztą nie oglądały zgoła te mury, albowiem gmach był zaledwie wykończony, gdy na ród Slazengerów spadła wiadoma katastrofa... Na dnie oceanu spoczął ojciec, spoczęła matka – została sama jedna... Przed laty dwudziestu.

Ogród zimowy, palmy, cytryny, pomarańcze, banany... Jadalnia obszerna jak ujeżdżalnia, stoły na sto pięćdziesiąt nakryć, potworne kredensy, zapchane kryształami i srebrem... Ależ wobec jej trybu życia od lat dwudziestu ten pałac jest jednym kolosalnym absurdem! Pani Lucy musi odbywać całe podróże przez salony i piętra, aby wziąć sobie książkę z biblioteki, przejść ze swoich pokojów do gabinetu ojca, gdzie przyjmuje swoich urzędników oraz interesantów, lub odwiedzić męża albo syna w ich osobistych apartamentach. Było to męczące, nudne, nade wszystko jakieś bezdennie

---

<sup>14</sup> El Greco (Domenikos Theotokopulos, gr. Δομήνικος Θεοτοκόπουλος; ok. 1541–1614) – hiszpański malarz, rzeźbiarz i architekt pochodzenia greckiego.

<sup>15</sup> Leonardo da Vinci (1452–1519) – włoski artysta i uczonec, renesansowy malarz, rzeźbiarz, architekt, inżynier.

<sup>16</sup> Joseph Mallord William Turner (1775–1851) – angielski malarz, autor romantycznych pejzaży, prekursor impresjonizmu.

<sup>17</sup> Michał Anioł (właśc. Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni; 1475–1564) – włoski rzeźbiarz, malarz, poeta.

<sup>18</sup> Jean-Louis-Ernest Meissonier (1815–1891) – francuski malarz akademicki, przedstawiciel francuskiego realizmu.

<sup>19</sup> Ferdinand Victor Eugène Delacroix (1798–1863) – malarz francuski, przedstawiciel romantyzmu.

<sup>20</sup> Eugène Carrière (1849–1906) – francuski malarz i grafik.

<sup>21</sup> Pierre-Auguste Renoir (1841–1919) – francuski malarz i rzeźbiarz, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu.

<sup>22</sup> Rembrandt Harmenszoon van Rijn (1606–1669) – holenderski malarz, rysownik i grafik.



głupie. Dolegała bezludna pustka, przeładowana przepychem mebli, dywanów, rzeźb, obrazów, plafonów, żyrandoli, kominków, zwierciadeł, kotar, upstrzona przesadą stylów antycznych, gotyckich, ludwikowskich, napoleońskich, biedermeierowskich<sup>23</sup>, secesyjnych, a dalej tureckich, perskich, chińskich, japońskich. Fantazja milionera, który dusił się od bogactwa, a nie posiadał ani krzty gustu... Zachcianka, mania starego Slazengera, gdy zwalczony przez otyłość (sto pięćdziesiąt kilo) przestał robić interesy i ostatnie lata żywota poświęcił na budowę gniazda rodu. Gmach był obliczony na wieki, istniejące czasy, jako że i ród Slazengerów miał zapewnioną wieczność. Śmieszny grubas, poczciwe ojczysko...

Mroczyło się. Od lodowej północy, z Zatoki Hudsona, z Morza Davisa, z Morza Baffina, z Morza Barrowa<sup>24</sup> już nachynęły<sup>25</sup> pierwsze ławice zimnej mgły, obwieszczane od paru dni przez biuletyny meteorologiczne. Ruszyły mury mgieł z bezbrzeżnych, martwych pustyń od ujścia Jukonu<sup>26</sup>, Mackenzie<sup>27</sup>...

Tam właśnie w owym fantastycznym ujściu Mackenzie, od roku odcięty od świata, przebywa o tej porze jej fantastyczny małżonek Rufus C. Rascob i pani Lucy, pomyślawszy przelotnie o sprawdzającym się biuletynie, odczuła nie po raz pierwszy w życiu, że jednak ów dziwny człowiek nie jest jej tak absolutnie obojętny. Gwałtownie zapragnęła go ujrzeć, bodaj na godzinę, pogadać o byle czym i rozstać się przyjaźnie i spokojnie choćby znowu na dwa lata. Dzisiaj, po kłótni z Raldem, bardziej niż kiedykolwiek czuła swoje osamotnienie.

...Ciągnął za pędem wiatrów tuman mroźnej, ołowianej pomroki, wypełniając bezludne obszary ziemi, słał się po lodowcach Barrenu<sup>28</sup>, po stepach śniegowych, przeciskał się przez zbite gęstwy puszczy, krył myśliwca przed zwierzem i zwierzę przed myśliwcem, błąkał

---

<sup>23</sup> Biedermeier – styl w literaturze, sztuce, muzyce, architekturze rozwinięty w latach 1815–1848 głównie w Niemczech i Austrii oraz w krajach pozostających w kręgu kultury niemieckojęzycznej.

<sup>24</sup> Zatoka Hudsona, Morze Davisa, Morze Baffina, Morze Barrowa – zatoka i morza będące częścią Oceanu Arktycznego. W przypadku Morza Barrowa chodzi prawdopodobnie o Cieśninę Barrowa na Morzu Arktycznym.

<sup>25</sup> Nachynąć – dawn. skłonić się, nachylić; tu być może w znaczeniu: napłynęły.

<sup>26</sup> Jukon – część terytorium Kanady.

<sup>27</sup> Mackenzie – najdłuższa rzeka w Kanadzie, o długości 4241 km.

<sup>28</sup> Lodowce Barrenu – chodzi prawdop. o biegun północny; *barren* (ang.) – jałowy.

drogę wędrowcowi na śnieżnym szlaku i w ciągu tygodni kroczył, sunął, zesuwał się, spełzał w dół własnym ciężarem z wyżu północy kuli ziemskiej po jej wypukłym boku – pchał się na południe. O swojej godzinie mgła weszła w miasto i wciskając się i przenikając wszędzie, rozlała się po ulicach i zaułkach jak po dolinach napotkanych gór, po ich wąwozach, szczelinach, kanionach. Zasnuła jego lądy i wody wraz z mrowiskiem ludzkim i o godzinę przyspieszyła noc. Zapalały się światła, zahuczały, zawyły ostrzeżenia wielkich parowców, holowników, promów, motorówek na Upper Bay, na Newark Bay, na Flushing Bay, na Hudson River, na East River<sup>29</sup>. Zwalniały pędu i porykiwały gęsto w gęstym spowiciu oparów setki tysięcy samochodów na ulicach Manhattanu, w Jersey City, w Hudson City, w Hoboken, w Long Island City, w Newark, w Brooklynie<sup>30</sup>. Biły we mgłę sygnały portowe, ognie strażnicze na wyspach, zadzwoniły, zajęczały na swoich łańcuchach pływające boje. Uczyniło się złe, ponure miasto-potwór, miasto-cud świata, poczarne zbiorowisko siedmiu milionów ludzi.

Akcje „Western Central Union”<sup>31</sup> spadły wczoraj do jednej dziesiątej wartości sprzed trzech miesięcy, „Selected Industries”<sup>32</sup>, zakłady, od których wywodzi się potęga rodu Slazengerów, ostatecznie zamknięte, jutro zwolni się resztę – trzy tysiące pięciuset robotników z trzydziestu tysięcy załogi normalnej, która pracowała jeszcze przed rokiem. Bank chicagowski „Liberty and Trade”<sup>33</sup> układa się na dwadzieścia pięć procent i pełnomocnik generalny, pan Wolcoot, uważa taki obrót sprawy za jedyną pomyślną wiadomość w ciągu ostatniego miesiąca. Na unieruchomionej kopalni „Volumnia Mine”<sup>34</sup> w Montgomery (Ky)<sup>35</sup> pali się węgiel na składowiskach, policja zmuszona była strzelać do tłumu, w wytwórni

---

<sup>29</sup> Upper Bay, Newark Bay, Flushing Bay, Hudson River, East River – najważniejsze połączenia wodne łączące Manhattan z innymi miastami i dzielnicami.

<sup>30</sup> Jersey City, Hudson City, Hoboken, Long Island City, Newark, Brooklyn – dzielnice i miasta dookoła Manhattanu.

<sup>31</sup> Western Central Union – prawdopodobnie Western Union Company, amerykańskie przedsiębiorstwo założone w 1851 r., które pod koniec XIX w. zmonopolizowało sektor i wprowadziło wzory właściwe dla ówczesnego amerykańskiego modelu biznesu.

<sup>32</sup> Firma wymyślona przez Struga na potrzeby powieści.

<sup>33</sup> Nazwa fikcyjna.

<sup>34</sup> Nazwa fikcyjna.

<sup>35</sup> Montgomery (Ky) – hrabstwo w USA, w stanie Kentucky.

kabli „Phoenix”<sup>36</sup> w Scranton<sup>37</sup> zredukowani robotnicy zniszczyli nowe, świeżo zainstalowane maszyny i ciężko pobili dyrektora, Mr. Grundy’ego, oraz trzech inżynierów...

Pani Lucy drwiła sobie z kłopotów. Straty? Od roku ciągną się same straty – taki czas. Niech trwają dalej pięć lat, dziesięć lat, póki im się nie znudzi, i tak zostanie zawsze jeszcze sto razy, trzysta razy więcej, niż potrzeba jej, Raldowi, no i Rufusowi na jego ekspedycje polarne... Jednak od czterech miesięcy nie miała od niego wiadomości – czy mu się coś wreszcie nie przytrafiło? Szkoda by było człowieka.

Od śmierci rodziców pani Lucy, jedyna dziedziczka slazengerowskiej fortuny, nie dbała o rozrost i zasięg interesów, od dwudziestu lat nie zakupiła żadnego nowego, poważniejszego obiektu, z niechęcią rozszerzała swoje zakłady przemysłowe, odrzucała wspaniałe szanse i możliwości. Nade wszystko miłowała spokój, nie prowadziła wojen zaczepnych i nie potrzebowała się bronić. O jednego centa nie uszczupliła dziedzictwa, konserwowała wiernie i starannie dobro rodowe, ale nic ponadto. Olbrzymia machina ojcowska pracowała automatycznie, a Lucy była pośmiewiskiem potężnych biznesmenów, nigdy nienasyconych, zawsze łapczywych na miliony, sama zaś miała dla nich tylko pogardę. Ale i w zastoju, w więzach stary kapitał slazengerowski mnożył się potwornie, a niezatrudniony w nowych dziedzinach, gromadził się w papierach i w gotowym pieniądzu, który zalewał banki Stanów Zjednoczonych i aż przelewał się na wschód i na zachód przez oba oceany, służąc obcym, skąd znowu wracał w procentach, w dywidendach i narastał, rósł, pęczniał wedle niespożytych, słusznym i świętym, żelaznym praw ekonomiki świata.

Na tym polegał jedyny kłopot Lucy – co u diabła robić z tym wszystkim?

Nie chciało jej się bawić w wielką światową filantropię na wzór Rockefellerów<sup>38</sup> i Carnegie<sup>39</sup>, nie miała fantastycznych zamiłowań,

---

<sup>36</sup> Wytwórnia kabli „Phoenix” – obecnie Phoenix Contact, firma zajmująca się produkcją kabli, założona 1923 r. w Essen (Nadrenia Północna-Westfalia), przed II wojną posiadająca fabryki i oddziały na całym świecie.

<sup>37</sup> Scranton – miasto w Pensylwanii, w Stanach Zjednoczonych.

<sup>38</sup> Rockefellerowie – amerykańska rodzina przedsiębiorców i filantropów pochodzenia niemieckiego.

<sup>39</sup> Carnegie – prawdop. chodzi o Andrew Carnegiego (1835–1919), amerykańskiego przemysłowca, filantropa, założyciela wielu instytucji kulturalnych i naukowych.

nie znosiła marnotrawstwa. Jedynym jej zbytkiem był Rufus ze swoimi ekspedycjami, instytucjami polarnymi, wydawnictwami, mapami i zbiorami jedynymi na świecie, ale były to śmieszne sumy. Pewien apostoł podszeptował jej, a było to na długo przed Fordem, ażeby podniosła o pięćdziesiąt procent płacę i skróciła dzień roboczy o jedną godzinę we wszystkich swoich przedsiębiorstwach, ale córka Slazengera nie uznawała dziwactw filantropijnych i wyczynów eksperymentalnych w dziedzinie, gdzie panują i panować winny żelazne prawa płac, podaży i popytu, z których nikomu nie wolno stroić sobie żartów, zresztą uznawała, że nie ma prawa wyłamywać się z solidarności ze swoim światem i niejako kłaść własne gniazdo – i bez tego w swojej sferze uchodziła za dziwadło i wyrodka.

Nic ją nie obchodziła klęska Europy, świata, wreszcie ojczystej Ameryki, którą w swoim czasie również dosięgła epidemia „depresji”, czyli tak zwanego w Europie kryzysu<sup>40</sup>. Nie wchodziła w jego przyczyny, odmawiała udziału w poufnych konferencjach królów przemysłu, handlu, finansów, wciąż radzących nad zażegnaniem nieszczęścia, obojętnie słuchała wieści o waleniu się firm światowego znaczenia, o codziennych, coraz to bardziej niespodziewanych bankructwach, o sensacyjnych samobójstwach. Radzili za nią, za nią biadali jej pełnomocnicy, doradcy prawni, prezesi i dyrektorzy zakładów, koncernów, banków i za nią cierpiały i przeklinały swój los dziesiątki tysięcy robotników, wyrzucanych na bruk.

Na to, co w tej epoce wyrabiało się na świecie, patrzyła beznamiętnie i bezinteresownie jak na fantastyczny taniec zjawisk, jak na codziennie świeże niespodzianki, to widowisko urozmaicało w pewnej mierze jej puste życie, bowiem od zakończenia wielkiej wojny gazety stały się naraz nieznośnie nudne, co trwało wszak więcej niż dziesięć lat. Obserwowała z ciekawością odmieniony świat i ludzi, miotających się w panice jak w czas pożaru, i uśmiechała się szyderczo, chwilami zaś, jak bywa z tłumem, gapiącym się na

---

<sup>40</sup> Tłem historycznym w powieści są wydarzenia związane z tzw. wielkim kryzysem gospodarczym, zapoczątkowanym w Stanach Zjednoczonych, który miał miejsce w latach 1929–1933 i objął prawie wszystkie kraje w Europie. Na skutek kryzysu pracę straciło w USA jedna trzecia siły roboczej, a w niektórych krajach w Europie, w tym i w Polsce, spadek produkcji przemysłowej wynosił 50%. Poprawa tego stanu nastąpiła w 1933 r. W całym utworze pojawiają się uwagi nawiązujące do przekształceń społeczno-ekonomicznych w drugiej połowie lat 20. w Europie, gdzie można było zauważyć pierwsze objawy kryzysu, którego eskalacja przypadła na lata załamania gospodarczego. Patrz wstęp do niniejszej edycji.

pożogę, na powódź, na klęskę wielkiej katastrofy, budziła się w niej tajemna uciecha. Nie – broń Boże – z ludzkiego nieszczęścia, z krachów, bankructw, z głodu i samobójstw bez liku, radowała się raczej, że tajemna moc, przełożona nad światem, ocknęła się wreszcie z wiekowego uspienia i trząchnęła wszystkim naraz – bogactwem i nędzą, dufną w siebie mądrością wybranych i dziką ciemnotą pospólstwa, że targnęła uświęconym prawem i bezprawiem, które panoszą się wszędzie, że pięść zagniewanego Boga uderzyła po równo w grzesznych i w sprawiedliwych. Od dawien dawna nieświadomie, a od wielu lat już beznadziejnie, jak gdyby czekała na coś podobnego. Jakiś niebywały kataklizm rzuci trwogę na pewnych siebie, potężnych ludzi, odbierze im radość życia, zmiecie z ich oblicza obrzydły uśmiech zadowolenia, zachmurzy, zmrozi im przeklętą pogodę...

I wojna była katastrofą i widowiskiem, ale tam przeważały dzielność, ochota, napięcie gry, gdy teraz zewsząd – same jęki. Dobrze im tak.

Pani Lucy wyparłaby się z oburzeniem, gdyby ktoś, wszystko o niej wiedzący, spróbował dowieść, że pokutuje w niej wciąż jeszcze to samo, dawne, wieczne, że jej stara nienawiść do całego świata i ta najnowsza uciecha z powszechnego nieszczęścia – uczucie wręcz niegodne – jednako płyną z owej godziny dzieciństwa, gdy jedenastoletnią dziewczynką odkryła w lustrze potworną własną brzydotę...

Grzmotnęła lustrem o ziemię i stała się tym, czym była zawsze, czym jest teraz jeszcze w czterdziestym ósmym roku życia.

Shurman utknął w zatorze i stał już od pięciu minut jak wrośnięty w stłoczonym zbiegowisku samochodów. Niezliczone światła ulicy biły w ciemność wieczoru i we mgłę, kłóciły się ze sobą, mieszały się i raziły w oczy blaski białe, czerwone, zielone, błękitne, wystrzelając i gasnąc, szybko zmienne i jeszcze krzyczące mimo gęstej, przyćmiewającej opony mgły.

Zniecierpliwiony patrzył w okno, ale nie mógł rozpoznać, gdzie się znajduje. Był zmęczony pracą i kłopotami dnia, rozdrażniony podróżą przez miasto, gdyż już trzykrotnie zatrzymywano go po drodze. Wpakował się w demonstrację bezrobotnych i walkę z policją, dalej oblawa na bandę gangsterów i ostrzeliwanie domu przez karabiny maszynowe, niezmierny tłum gapiów nie puszczał go z miejsca w ciągu pół godziny i jeszcze te zatory – jakże jeździć

przez przekłętą miasto, koleją podziemną czy może busem? Jest już spóźniony co najmniej o godzinę.

Pótleżąc w obszernej kabinie rolls-royce'a<sup>41</sup>, postanowił wykorzystać te chwile i zadrzeć. W znużeniu umiał przywołać przełotny, krótki, mocny sen i skrzepić się do dalszej pracy, wystarczało zatrzymać maszynę myśli na kilka sekund i pograżać się w zapomnieniu. Natychmiast zniknął dzień, zapchany troskami od samego rana. Spoczął w niebycie kablogram<sup>42</sup> o bankructwie „Discontobanku”<sup>43</sup> w Berlinie, gdzie został szarpnięty na milion siedemset tysięcy – szczęście w tym nieszczęściu – reichsmarek, nie dolarów... I nadzwyczaj przykra, przewlekła rozmowa ze starym Henthornem, przyjacielem śp. ojca, który błagał, żebrał, poniżał się, groził samobójstwem w ciągu bez mała półtorej godziny, a w końcu naprawdę płakał. Odmówił, choć szło o krótkoterminową na trzy miesiące gwarancję na skromną stosunkowo kwotę ośmiuset tysięcy. Zapadły w nicość chmurne, groźne twarze delegacji robotników z hut i przetwórci cynkowych w Francfort (Ky)<sup>44</sup>, która imieniem piętnastu tysięcy ludzi, skazanych na głód i nędzę, żądała odwołania decyzji o zamknięciu zakładów. Shurman dopuścił ich do swej osoby i stawiał im czoło, ale niełatwo było pozbyć się takich petentów, wreszcie odeszli w ponurym milczeniu, dopiero ostatni, młody, nikły człowiek w okularach, który przez cały czas konferencji nie przemówił słowa, odwrócił się w drzwiach i wyrzekł głosem spokojnym.

– My we Francort możemy, owszem, wyzdychać z głodu, ale i pan za rok, za półtora będzie sprzedawał na Broadway zapalki i sznurówkę, jeżeli tylko uda się panu unieść cało głowę z tego interesu.

...Przyśnił mu się Keith Hippodrome<sup>45</sup>, w którym zresztą nie był nigdy w życiu. Z zamętu niezliczonych, szybko mknących atrakcji

---

<sup>41</sup> Rolls-Royce – brytyjska marka samochodów luksusowych, która została założona w latach 1905–1906 w Manchesterze przez Charlesa Rollsa i Henry'ego Royce'a. W kulturze dwudziestolecia międzywojennego była kojarzona ze zbytkiem i luksusem.

<sup>42</sup> Kablogram – telegram przekazywany linią kablową podziemną lub podwodną.

<sup>43</sup> Discontobank (właśc. Sydfyns Discontobank A/S) – nazwa dwóch połączonych banków w Faaborgu. Sydfyns Discontobank powstał 28 stycznia 1893 r. Drugi Sydfyns Discontobank został założony 2 grudnia 1924 r. jako nowy Discontobank South Funen.

<sup>44</sup> Francfort (właśc. Frankfort) – miasto w Stanach Zjednoczonych znane z licznych gorzelni whisky, stolica stanu Kentucky.

<sup>45</sup> Keith Hippodrome (właśc. New York: B F Keith's Hippodrome lub New York Hippodrome) – teatr w Nowym Jorku na Manhattanie, zbudowany w latach

wyłonił się potężny murzyn, który ciskał workami ze złotem po pięćdziesiąt funtów wagi. Z kupy worków chwycił jeden po drugim i wyrzucał w górę, a worek znikał gdzieś pod kopułą cyrku. W koło tych popisów kłown z długą, siwą brodą błazeńskimi gestami podkreślał znakomitość wyczynu, wreszcie pozazdrościł murzynowi wciąż wzmagających się oklasków, wydobyl z za pazuchy niewielką paczkę i zaskrzeczał:

– Panie i panowie, ten bałwan już się spocił, a nie wyrzucił nawet marnego miliona! Oto ja od razu ciskam trzy! Hopla!

Paczka spadła z powrotem, błazeński starzec szydził i małpował niezmierną rozpacz, zerwał siwą brodę i jęczał.

– Nikt nie chce brać nawet za darmo – to pakiet akcji „Shurman’s Light and Power”!

Widownia ryczy – brawo Buno! Tego Bunona znał z kolosalnych afiszów.

Samochód ruszył. Shurman ocknął się. – Jestem dziś wyjątkowo wyczerpany... Idiota ten kłown! „Light and Power” są właśnie murowane...

W niepozornej siedzibie wielkiego twórcy nowych miast na zachodzie i północy, zwanego w prasie „królem terenów”, w nędznie umeblowanym i marnie oświetlonym gabinecie, zimnym i zadytmionym, siedziało siedmiu panów. Gospodarz, Harrel B. Quinby, nie powitał go nawet, był czerwony i wściekły, machał rękami i krzyczał, panowie śmiali się, a kolosalny tłuścioch, Mc Bride, leżąc w swoim fotelu, rzeził, jadł winogrona i porykiwał chrapliwym basem, jego beczkowaty kałdun trząsał się jak kupa galarety, opięta w ciemnozielony kort.

– Przepraszam za spóźnienie... Panowie wiedzą, że nie jest to w moich zwyczajach... Ale po drodze same przeszkody...

– Żałuj pan, nie słyszałeś ciekawych prorocत्व...

– Proroka Jeremiasza<sup>46</sup>, który zmartwychwstał...

– Nie, Pan go nam zesłał z nieba specjalnie... Przybył do nas z Europy...

– Na ratunek... Módl się Shurman i ty, czyńmy pokutę!

---

1905–1939. Mógł pomieścić 5300 widzów. Nazwany był największym teatrem na świecie i dysponował najnowocześniejszą technologią teatralną, w tym wznoszącym się szklanym zbiornikiem na wodę. Został rozebrany w 1939 r.

<sup>46</sup> Prorok Jeremiasz – autor biblijnej Księgi Jeremiasza.



– Żaden prorok, żaden Jeremiasz! Ja panu nareszcie powiem otwarcie po naszymu i uczciwie, kim pan jest, panie... Panie van der Zumpen...

– Jeśli łaska – profesor van der Zypen... Do usług pańskich, panie Quinby...

– Obejdziemy się bez pańskich usług!

– Tym gorzej dla panów... Właściwie, nikt z panów jeszcze nie wie, z czym przyjechałem, pan Quinby nie dał mi nawet wspomnieć o moim jedynym planie...

– Miałem dosyć i tego, com usłyszał na wstępie.

– Mój panie, kto panu poradził przychodzić z tym do nas właśnie?

– Szkoda naszego czasu na takie... Na takie...

– Dobrze zrobił, ubawił nas...

– Panowie, proszę do porządku, albo wysłuchajmy do końca pana profesora, albo podziękujmy mu i rozejdźmy się do domów...

– Proszę tylko o piętnaście minut spokoju i uwagi, ręczę, że już dalej będą mnie panowie słuchać nader pilnie...

– Tak pan mniema?

– Oczywiście. Moje konferencje nieraz już zaczynały się w podobny sposób. Mówię w przybliżeniu, gdyż nigdzie w Europie nie krzyżano na mnie tak, jak to raczył uczynić szanowny pan Quinby...

– Więc Quinby powie panu wręcz, dlaczego krzyczał... Albowiem to, od czego pan zaczął, upewniło nas...

– Dobrze, Quinby! Wal prosto z mostu!

– Mów lepiej od siebie, Quinby, przecież my jeszcze właściwie nic nie wiemy.

– Wiemy! Wiemy aż nadto! Tak mówić mógł tylko zatajony komunistą, nasłany na nas przez Moskwę, żeby i w Ameryce straszyc ludzi i szerzyc panikę...

– A więc pan się jednak czegoś obawia? I tak dalece, że nie da mi pan wyłożyć planu, którego bardzo poważnie słuchano w Europie...

– Co na to powiesz, Quinby? Boisz się? Nie boisz się?

– Odpowiem...

– Ale kto pana słuchał? Robotnicy? Chuda i zawistna inteligencja? Winszuję powodzenia...

– Mój jedyny wielki plan wybrnięcia z położenia, które – powtarzam – uważam za beznadziejne, wykładam tylko na poufnych konferencjach w ścisłym gronie prawdziwej elity i prawdziwych szczytów życia gospodarczego, jednym słowem, moje idee, jedyne, wyjątkowe i wyłączne wykładam tylko przed takimi jak panowie...

– Źle pan zaczął, stąd całe nieporozumienie.

– Zacząłem właśnie tak, jak należało, od stwierdzenia faktycznego stanu rzeczy. Nie przebyłem oceanu, aby ukołysać szanownych panów owijaniem w bawełnę straszliwej rzeczywistości. Jeżeli o to idzie, macie panowie na miejscu pod dostatkiem wybitnych fachowych umysłów, które wysilają się dla przyjemności swych chlebobawców, aby zakłamać prawdę. Zresztą trzy czwarte z tych osobników są nieposzlakowanie lojalni i wierzą w to, co piszą i głoszą – są to normalne, tęgie, czysto amerykańskie osły...

To już oburzyło wszystkich, nawet Shurmana, który nie miał pojęcia, o co tu idzie – beczelny przybysz ośmielił się dyskwalifikować ekonomistów amerykańskich, jak wiadomo pierwszych na świecie, a od traktatu wersalskiego jedynych, którzy orientują się w zmaconych sprawach i kłopotach powojennych kuli ziemskiej. Nie było już mowy o nawiązaniu tej poufnej konferencji, profesor przegrał sprawę, nie pomogły listy z Europy i najwyższe rekomendacje. Źle się zabrał do rzeczy z tymi Amerykanami...

W gabinecie wszczął się gwar, najbardziej rozbijał się sam gospodarz, panowie dźwigali się i wygrzebywali się z przepaścistych skórzanych fotelów. Oblicze uczonego nie zdradzało zmieszania ani zawodu, ani urazy, uśmiechał się tajemniczo, milczał i gładził długą i wąską siwą brodę, spadającą mu klinem aż na żołądek. Nie dbając więcej o poronioną konferencję, zwrócił się do Shurmana, patrząc nań porozumiewawczo sponad okularów. Przemówił po prostu, bez wstępu i nadmiernego ugrzecznienia, jak do starego znajomego, i Shurmanowi przywidziało się, że go już gdzieś widział, zapewne wówczas, przed pięciu laty w Londynie, ale z nazwiska go nie zapamiętał.

– Panie Shurman, będę miał zaszczyt prosić o parę godzin poufnej rozmowy, dziś nie udało mi się, źle mi poradzono dobór pierwszych słuchaczy, właściwie liczyłem jedynie na pana i gdyby nie nieszczęśliwy zbieg okoliczności...

– Przykro mi, ale pan przecenia...

– Nie przeceniam, znam doskonale i szczegółowo dzieje fortuny i kariery rodu Shurmanów z New Orleans, poczynwszy od epoki śp. dziada pańskiego, który zaczynał jako pilot w ujściu Missisipi. Ubolewałem nad przedwczesną śmiercią stryja pańskiego Roberta, a gdy z kolei zmarła i jedyna dziedziczka jego, oczekiwałem prawdziwych cudów po pańskim wielkim ojcu, w którego rękę przez te nieszczęścia skupiła się największa nie tylko w Ameryce, ale w świecie całym

fortuna indywidualna, nierozproszona w spółkach akcyjnych, koncernach, udziałach i wszelakich kondominiach, porozumieniach i innych wspólnictwach – dość powiedzieć – niemal miliard dolarów w jednym ręku! I w czyim? W potężnym, szczęśliwym ręku Toma Shurmana! Możliwości zaiste zawrotne... Niestety... Ale w synu znalazł prawego zastępcę, a od wojny imię pańskie znane jest całemu światu. Któż jak nie pan... Nieraz i od dawna, gdy myślałem o zawrotnej wadze pańskiego imienia, mówiłem sobie – ten mnie zrozumie, a dalej – ten stanie na czele nowego kolosalnego ruchu, który uratuje i odrodzi nasz konający świat...

Gabinet opustoszał, niektórzy z panów nawet nie pożegnali się z profesorem. Gospodarz gdzieś się zapodział, Shurman słuchał znużony, patrząc w żywe, dziwnie młodzieńcze oczy uczonego, biła z nich niezachwiana, fanatyczna wiara, te oczy wiązały i opętywały. Chciał odejść, ale wbrew woli stał i słuchał, myślał sobie – maniak.

– Maniak a zarazem spryciarz, gwałtem chce mu się do mnie przyłączyć. Na to nie mam chęci ani czasu, ale na odczepne można mu będzie dać coś do łapy.

– Dwie godziny? Pan żartuje...

– Na to, co mam do powiedzenia, znajdzie pan czas! Panie Shurman, ostrzegam pana! Czy i pan chce zginąć? Czyż pan nie widzi przed sobą widma zagłady?

Młodzieńcze roziskrzzone oczy zniewoliły go, dał się wciągnąć, na początek było to zaciekawienie, ale jeszcze się bronił – maniak, spryciarz. Zresztą kto go tam wie...

– Proszę mi przesłać memoriał o pańskim planie. Przeczytam, jeżeli pan to wyłoży krótko, rzeczowo, i otrzyma pan moją odpowiedź. Żegnam pana, panie profesorze!

Młodzieńcze oczy zaśmiały się chytrze i wesoło. Van der Zypen przekornie pokiwał przed swoim kościstym, bocianim nosem wskaźującym palcem, obciążonym grubym, rubinowym sygnetem.

– Dziękuję. Streszczę się bardzo krótko, krócej niż w jednym słowie, gdyż całkiem bez słowa. Nie otrzyma pan ode mnie ani słowa – na piśmie. Panie Shurman, takich rzeczy się nie pisze! Są to sprawy tajemne, wagi niezmiernej, nawet sam dla siebie nie zostawiłem żadnej notatki.

– A jednak miał pan zamiar powierzyć swoje tajemnice na przygodnym zebraniu, w obecności aferzystów i spekulantów jak bodaj ten Quinby lub choćby na przykład taki Mc Bride?

– Myli się pan, na tej konferencji zamierzałem tylko postawić pewien problemat i przeprowadzić dyskusję wstępną, ale jak pan widzi nawet do tego nie doszło. Mój plan posiada trzy stopnie wtajemniczenia, na pierwszym wybaduję ludzi, w drugim czynię selekcję w materiale osobowym, w trzecim z jednostkami najsurowiej dobranymi wyjawiam wszystko bez osłonek. Ponieważ pana zaliczam i włączam, nie zwlekając, od razu do trzeciego stopnia wtajemniczenia, więc nie ukrywam przed panem mojego systemu.

– To zabawne, pan już mną rozporządził? A ja nie mam żadnej chęci do tajemnych praktyk.

– Może i ja nie mam do tego chęci, ale cóż, kiedy muszę! Obaj musimy, panie Shurman, mówię – obaj, choć ja nie posiadam żadnego majątku, a pan... Bo proszę mi wierzyć – nadchodzą osobliwe czasy.

W powrotnej drodze Shurman usiłował przypomnieć sobie, skąd on zna starego cudaka, gdzie już raz widział podobne oczy, długi nos i taką samą spiczastą, siwą brodę? Odgadł już w łóżku przed samym zaśnięciem – była to zjawa z przelotnego snu o przedstawieniu w Keith Hippodromie, siwobrody kłown, znakomity Buno, ciskał w górę trzymilionowym pakietem akcji „Shurman’s Light and Power”.

Świeciło się jeszcze w dwudziestu pięciu oknach pięćdziesiątego trzeciego piętra Lee Molpus Building, który wynurzał się ostrą igłą ponad skłębione morze mgieł. Tu i tam, bliżej, dalej, wyżej, niżej wyrastały inne szczyty Manhattanu, wieże-wyspy, jedyne zarysy ocalałe z zatopionego miasta. Olbrzymie, smukłe kształty ostro godziły w niebo, pełgające łunami, i ich fantastyczne zbiorowisko zdawało się sunąć kędyś jak widmo oderwane od ziemi na falach płynących chmur. Gnał je mroźny wyżynny wicher, uporczywie pracy od bieguna, i zdawał się nieść w czarną noc całe to poczarne, nadobłoczne miasto szarych olbrzymów kędyś na zatracenie, na wieczne wygnanie w tajemną nieskończoność przestrzeni.

Martwo czerniały niezliczone szeregi okien bezludnych kolośów. Tysiące i tysiące ludzi-automatów, clarków<sup>47</sup>, niewolników, spuszczonej na noc z łańcucha, już opuściło biura, kantory, sklepy, składy, zostały milczące maszyny do pisania i telefony, księgi handlowe, stosy papierów, kartoteki, segregatory, skoroszyty, wymyślne genialne patentowane drobiazgi, znakomicie racjonalizujące pracę

---

<sup>47</sup> Clark – właśc. clerk (ang.) – sekretarz, urzędnik biurowy.

biurową i z dnia na dzień redukujące mniej sprawny i zbędny materiał ludzki. Tudzież – przymurowane do ścian ogniotrwałe kasy pancerne, w których, jak w ostatnim końcowym zbiorniku niezmiernej wytwórni, osiadał gotowy produkt mozołów i zabiegów, sprytu, geniuszu, przebiegłości, hazardu, oszustwa, zdzierstwa, przemocy... Cel i jedyna racja wszystkiego – gotowy pieniądz – dolar.

Monstrualne wieże sunęły w niewiadomą dal, prując mgłę, opadały i wznosiły się, zanurzały się o kilka pięter głębiej, mały i znowu rosły w oczach. W odmęcie zbitej chmury tu i ówdzie na olbrzymiej przestrzeni zapalały się z jakichś czeluści ogniste łuny, jarzyły się mętne, przyćmione przebłyski coraz to zmienną koleją barw, światła i cieni, wieże barwiły się na chwilę sino, zielonkawo, błękitnie, stawały tu i tam jak słupy czerwone i gasły...

Ale świeciło się jeszcze w dwudziestu pięciu oknach pięćdziesiątego trzeciego piętra Lee Molpus Building, w obszernych, oświetlonych salach wrzała pilna praca. Jedni, osadzeni na wysokich stołkach, ślęczeli schyleni nad kolosalnymi księgami, niemal leżąc piersią na mrowiu cyfr, i umęczonymi oczami i mózgiem sumowali, sprawdzali, szperali, szukając błędu lub fałszerstwa. Inni otaczali gromadą ze wszystkich stron szerokie stoły i grzebali w stosach kartek, coś podcyfrowując, znacząc, stemplując. Tam liczono zwoje akcji i wszelkich walorów na wspinałym, twardo chrzęszczącym papierze, różnobarwnych, świetnie zdobionych, arcydzieła graficznego kunsztu, pieścącego oko świetnością rysunku i doborem pastelowych, miękkich kolorów. Były to papiery ze wszystkich stron świata, opiewające na różnorakie waluty, na złoto w kwotach potwornych. Najczęściej figurowały na nich jak na banknotach szlachetne symbole pracy, młoty, siekiery, kilofy, pługi, kosy, nagie, potężne torsy robotników, szlachetne typy pracowników wszelkich narodów i ras... Ujmujące postacie dziewczęce z wiankami kwiecica na głowach, w malowniczych szatach narodowych, z sierpami w ręku... Mitologiczne dziewy z rogami obfitości, z których tryskało kwiecie dywidendy, mitologiczne tytany w hełmach i zbrojach, groźne bicepsy herculesów i wdzięczne, skrzydlate pięty polotnych merkurych<sup>48</sup>...

---

<sup>48</sup> Merkury (łac. *Mercurius*) – rzymski bóg m.in. handlu, złodziei i celników, posłaniec bogów. Jego odpowiednikiem w mitologii greckiej jest Hermes. W sztuce klasycznej przedstawiany był w charakterystycznej czapce z dołączonymi do niej skrzydełkami.

Okręty, lokomotywy, aeroplany... Słonie, wielbłądy, muły objuczone workami ze złotem... Orły, lwy... Gołębie z różdżką oliwną, pelikany, karmiące pisklęta własną krwią... Kiście winnych gron, snopy pszenicy, pęki trzciny cukrowej... Bele wełny i jakieś symboliczne baryły...

Notowano numery i serie, sprawdzano daty emisji, podpisy i stemple, każdą niedokładność, najmniejszą wątpliwość odkładano na bok. Podejrzane papiery szły automatyczną pocztą wewnętrzną do osobnego działu w ręce ekspertów specjalistów. W zamkniętym pokoju mieściło się laboratorium, stały tam ekrany, olbrzymie kamery fotograficzne, w ściany wkręcone były potworne baniaste żarówki na tysiące świec. Osobno przy stolikach siedzieli rzeczoznawcy i badali walory przez lupę, próbowali podpisów i nadruków kwasami i odczynnikami, dochodząc analizą składników farby drukarskiej, genialnie precyzyjnymi aparatami mierzyli grubość papieru, rozmiaru liter ze ścisłością do  $\frac{1}{100}$  milimetra, mierzyli najdrobniejsze szczegóły figur symbolicznych, wodne znaki, zakreś-tasy i floresy graficzne, ważyli obligacje na wążkach chemicznych z dokładnością do jednego miligrama. Albowiem w kolosalnym krachu koncernu „General World’s Service” wykryto już niesłychane fałszerstwa w numerach i seriach olbrzymiego pakietu obligacji kolei państwowych w Chili oraz w akcjach terenów naftowych w Iraku.

Krach<sup>49</sup> potężnie wstrząsnął gospodarką światową, zrujnował tysiące giełdźarzy, finansistów, przedsiębiorców, tudzież miliony drobnych posiadaczy walorów, unieruchomił setki fabryk i wyrzucił na bruk setki tysięcy robotników wszelkich narodowości i ras, rozproszonych po kuli ziemskiej, a pośrednio w dalszych swoich następstwach i ich skutkach wtórnych zachwiał istnieniem innych trustów i niezliczonych banków. W likwidacji nieszczęsnego koncernu zatrudnieni byli niemal wyłącznie bezrobotni biuraliści, buchalterzy, rachmistrze i rzeczoznawcy, a poza tym manipulanci, stenotypistki, woźni, gońcy. Cała ta rzesza, wygłodniała i znękana bezrobociem, rzuciła się łapczywie na pracę, która była nieźle płatną i terminowo pilną. Głównym ofiarom tej klęski, najgrubiej poszkodowanym, zależało, aby jak najrychlej przekonać się o ogólnym stanie interesów i o rozmiarach własnych strat, a dalej, aby póki czas uratować jeszcze co się da.

---

<sup>49</sup> Patrz wstęp do niniejszego wydania.

Struktura koncernu w swych nieprzeliczonych rozgałęzieniach była niesłychanie zagmatwana. Stoły, szafy i półki centralnej komisji likwidacyjnej pełne były kontraktów, umów, punktacji, jawnych i poufnych paragrafów, zastrzeżeń, uchwał tysiąca rad nadzorczych i tysięcy dorocznych walnych zebrań. Dochodzenie prawdy samej istoty rzeczy znakomicie utrudniało mnóstwo typów i odmian w stosunkach wzajemnych wpływów i zależności oraz nader szeroka skala co do interpretacji obopólnych zobowiązań, w czym całe gromady adwokatów, doradców prawnych, czyniły niesłychany zamęt, gdyż każdy bronił tylko interesów swoich bezpośrednich mocodawców. Ponad tym wynurzało się złowrogie widmo generalnego prokuratora, którego twarda, niefachowa i niewtajemniczona ręka bez wątpienia obaliłaby resztę nadziei na ocalenie z pogromu czegokolwiek bodaj w 10 procentach. Rękę sprawiedliwości powstrzymywano jeszcze różnymi mocnymi środkami, zabiegami, wpływem potężnych imion, ale już napływały pretensje i oskarżenia, wreszcie sami zainteresowani natknęli się na rzeczy wręcz kryminalne, niedobory, fikcyjne bilanse, a w końcu zaskoczeni zostali przez niebywałą niespodziankę – przez ordynarne masowe fałszerstwa najmocniejszych papierów wartościowych.

Ale to horrendalne złodziejstwo było wykonane po mistrzowsku, zdumiewająco, tak dalece, że ogłoszono powszechnie, iż dopuścili się tego genialni fałszerze sowieccy, rzucając na giełdy światowe potworne ilości podrobionych walorów, aby podkopać zaufanie wielkich firm świata, wzniecić powszechną panikę i zamącić harmonię kapitalistycznego ładu. Pomimo stwierdzenia tego faktu już trzech matadorów giełdy, ludzi zresztą nieposzlakowanych, opuściło Stany Zjednoczone, znikając w niewiadomych przestworzach kuli ziemskiej, a czwarty opuścił nawet i samą kulę ziemską, strzelając sobie w łeb w samochodzie na brooklyńskim moście bez żadnych wyjaśnień, zostawiając po sobie szczątki wielkiego majątku, żal powszechny i pamięć również nieposzlakowanego dżentelmena.

Centralna komisja likwidacyjna mozoliła się w permanencji, tonąc wśród nawały trudności, sporów, przeciwieństw, zagadek, złej woli, uroszczeń i pretensji poszkodowanych mas akcjonariuszów, a jej personel techniczny, osadzony na pięćdziesiątym trzecim piętrze Lee Molpus Building, pracował gorączkowo bez przerwy dniem i nocą na trzy zmiany. Personel otrzymał obietnicę



pewnej premii za pośpiech i terminowe ukończenie zadania, toteż za solidarnym, milczącym porozumieniem wszyscy co do jednego przewlekali sprawę, aby, mniejsza o premię, przedłużyć stan zatrudnienia choć o miesiąc, o dwa miesiące, wiedzieli bowiem niezbitcie, że w tych czasach nie znajdą innej pracy.

Baxter Genobles, przysięgły buchalter, rozkrzyżowany na olbrzymiej okutej mosiądzem księdze głównej, świętej księdze skrachowanej kompanii transportowej i ubezpieczeniowej „Everet W. Bilbo Security Co”<sup>50</sup> omylił się po raz trzeci. W oczach mu się ćmiło, z wysiłkiem rozprostowywał zdrętwiały grzbiet i przeciągał się, zawarł powieki i natychmiast w zdręczonych oczach wyrosły jak na czerwonej tablicy nieskończone szeregi mknących czarnych cyfr. Stęknął, zlął z trudem z wysokiego stołka i zataczając się na chwiejnych nogach, wyszedł na korytarz.

Ręce mu drżały, gdy zapalał papierosa, był przemordowany, od tygodnia zastępował chorego przyjaciela i prócz swoich odrabiał i za niego siedem godzin na dobrej zmianie. Nie mógł zebrać myśli ani wydrzeć się z opętania cyfr, w głowie miał pustkę, w której wirowały cyfry, spojrzał na ścianę – cyfry. Ogarniała go niezwalczona senność.

Podszedł do okna i roztworzył jedną szybę, po nieznośnie nagrzanym powietrzu biura, wysuszonym od kaloryferów, z ulgą wdychał mroźną wilgoć wyżyny. Spostrzegł zjawisko morza mgieł i rozstawione na nim wieże drapaczy. Zapatrzył się w zdumieniu, jak gdyby ujrzał rzecz niesłychaną. Obrzydłe, nadmierne gmaszyska, wyrosłe z żądzы zysku, z opętania rekordów wyścigu – byle wyżej – z reklamy, stały teraz jak niepojęta wizja tajemnicy. Znikło, zapadło się w nicość potworne miasto, jego światła na próżno usiłują przebić się z dna otchłani, a tu na wysokościach rozpościera się wspaniałe misterium i w znakach olbrzymich wypowiada nadludzką jakąś, nieodgadnioną treść – jakież to piękne...

Nie, to obraz niemiłosierny, zły – straszliwy...

Bije z niego ohyda, której niepodobna ogarnąć ani ścierpieć. Poczwarna zagadka najogromniejszego zbiegowiska ludzkiego, stłoczonego w zbitej siedmiomilionowej masie w murach miasta na jego nieogarnionej przestrzeni, w jego podziemiach i ponad ziemią... Zbiegły się i skupiły się tu wszystkie języki, wszystkie rasy, narody, plemiona świata... Po co? Na co?

---

<sup>50</sup> Nazwa fikcyjna.

Buchalter, zaprzysiężony Baxter Genobles, który kiedyś, jeszcze niedawno, miał też rzetelny udział w błogosławionej „prosperity” nowego świata, teraz, dopiero w tej godzinie, udręczony niedolą, odkrył absurd życia, w którym się urodził, wychował, dojrzewał. Doznał nagle jakby objawienia, zawahało się w nim poczucie rzeczywistości i jej niezbitości, oczywistej racji, wszystko naraz zawahało się, stało się jakby przyśnione, i on, i ta chwila, i szczyty drapaczy wyrastających z mgły, i cały domniemany Nowy Jork, który rękoma roi się gdzieś na samym dnie niepojętego, niezgłębionego unicestwienia.

Patrzył, patrzył, aż zamąciło mu się w mózgu, nie mógł dłużej znieść obrazu niepojętego w swym realizmie, zamknął oczy, a natychmiast owładały nim, oblażyły go jak robactwo, niezliczone kolumny cyfr.

– Nie! Na Boga – tak być nie może!...

Byłoby to zbyt idiotyczne... Takiego świata, takiego życia nie wytrzymałby żaden człowiek i nie zniosłaby ludzkość... Inaczej – to, co się dzieje, byłoby godne ponurej, bezcelowej społeczności termitów, które pędzą istnienie w norach podziemnych, w nędznej swojej nicości i w wiecznej pomroce...

Jego przyjaciel, chory obecnie Hiram<sup>51</sup> Fenn, dla którego zdziera sobie nerwy, pracując podwójną dniówkę, powie mu, że socjalizm w swoim czasie zmiecie stary ustrój wraz z bogactwem i nędzą, z uciskiem i z krzywdą, obali kult Złotego Cielca<sup>52</sup>, wypłeni wszystkie absurdy, przywróci panowanie rozumu i sumienia. Szczęśliwy Hiram, który wierzy... I powiada na pocieszenie, że to przyjdzie – w swoim czasie...

– Do diabła – ja nie mam czasu czekać dłużej...

W błyskawicznym skrócie, gdzie zmieści się wszystko, przeleciało przed nim jeszcze raz całe życie. I nareszcie dobro, nareszcie

---

<sup>51</sup> Hiram – imię to jest nawiązaniem do postaci Hiram Abiffa, mistrza murarskiego, budowniczego biblijnej świątyni króla Salomona. Legenda o Hiramie jest odtwarzana zawsze podczas masońskiego obrzędu trzeciego stopnia, który Andrzej Strug, jako mason i człowiek zaangażowany w ruch masoński, z pewnością znał.

<sup>52</sup> Złoty Cielec – ze Starego Testamentu: przedmiot kultu stworzony przez Izraelitów podczas nieobecności Mojżesza. Opis tego zdarzenia znajduje się w 32 rozdziale Księgi Wyjścia. W rozumieniu biblijnym „złoty cielec” to złoty posąg bóstwa, czczony przez Izraelitów jako święte zwierzę. W *Miliardach* jest jednym z symboli kapitalizmu i pieniędzy.

szczęście – miłość Enith – własny domek w Ulmer Park nad morzem, własny Ford, a w rok potem okazyjny chrysler, parlofon<sup>53</sup> pierwszej marki, odkurzacz Ponsell Floor<sup>54</sup>, elektryczna lodownia Seegera<sup>55</sup>, pierwszorzędne pięciolampowe radio, lotnisko w Alleganach<sup>56</sup>, a mimo to oszczędności gromadzą się i rosną. I nagle – stop!

W mniej niż półtora roku poszło wszystko oszczędzone, piętnaście tysięcy pięćset dolarów porywa krach banku „Garside Solidarity”, traci wyborną posadę i od tego czasu nie może znaleźć nawet najnędniejszej. Poszły za bezcen chrysler, radio, parlofon, z cottage'u<sup>57</sup> w Ulmer Park wyrzucono go za zaległości w spłatach, poszła sobie wreszcie i ubóstwiana Enith. Nie wróci Enith, jak nie powróci lodownia firmy Seeger ani urządzenie łazienki Te-Pe-Co (revelation).

Więc po co żyć? Nie wróci miła, uczciwą pracę zdobyta „prosperity”... Wszystko diabli wzięli. Diabli mają to odrobić przez socjalizm Hirama Fenna, ale dopiero kiedyś, w jakimś „swoim czasie”...

– No, nie ma głupich...

I Baxter Genobles roztworzył drugą szybę okna. Zleci miękko jak puch w tę mgłę... Rozprysnie się w strzępy na chodniku między kioskiem z gazetami a oszkloną budką przystanku autobusów... Jeżeli spadnie komu na łeb, to też zabije go na miejscu, pies go... Z pięćdziesiątego trzeciego piętra – rzecz pewna... Jeżeli tylko nie zawisnie gdzie na wystęпах niższych pięter, drapacz u podstawy jest – żeby go diabli – grubo szerszy, ale i tak sprawa jest niezawodna.

Nie miał żadnego postanowienia, jak nie miał przedtem ani chwili namysłu, to szło samo – jeżeli mu kto przeszkodzi, wróci do księgi głównej kompanii „Everet W. Bilbo Security Co”, jeżeli nie – będzie jutro miał swoje trzy wiersze druku w porannych dziennikach, jak i tych trzydziestu dziewięciu skazanych i siedem dziesiątych, którzy,

---

<sup>53</sup> Parlofon – rodzaj fonografu, urządzenia służącego do zapisu i odtwarzania dźwięku, wynalezione przez Thomasa Alwę Edisona.

<sup>54</sup> Firma Ponsell Floor Machine Company, Inc. została założona w 1911 r., była producentem maszyn do szorowania podłóg. Jej siedziba znajdowała się w Nowym Jorku.

<sup>55</sup> Elektryczna lodownia Seegera – izolowana drewniana skrzynka lodowa (lodówka syfonu suchego powietrza), w której żywność jest schłodzona przez umieszczenie bloków lodowych. Tego typu urządzenia projektowała od 1888 r. firma Seeger Fridge z Minnesoty.

<sup>56</sup> Allegany – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Nowy Jork.

<sup>57</sup> Cottage (ang.) – domek.

jak wykazuje statystyka miasta Nowy Jork z ostatniego roku, muszą zrobić to samo w ciągu jednej doby.

Obejrzał się – w korytarzu nikogusieńko. Dopalił jeszcze papierosa i jazda!... Chwyciło go uniesienie, odkrył nagle i nadspodziewanie, że... Że on naprawdę gotów to uczynić! Co za strach, zimny, przenikający do szpiku kości...

Tuż za nim trzasnęły drzwi – co za szczęście i co za niedola... Kolega Vincenti, Włoch z pochodzenia, wykolejony, zdeklasowany, od roku bezrobotny inżynier, przyczepił się czasowo w komisji likwidacyjnej do podrzędnej roboty manipulacyjnej, celował on w sabotażu względem nakazanego pośpiechu w pracach, demoralizując i ucząc innych. Był lubiany za humor i dowcipy, które rozcieńczały nieco ciężką nudę pracy biurowej. Stał w oknie i zażądał papierosa, samobójca podał mu go skwapliwie i czym prędzej wyciągał zapalki. Zapalki gasły jedna po drugiej od ciągu z okna.

– Ręce panu drżą, za dużo pan pracuje, po co się tak starać? Dla kogo tu się śpieszyć? Dla podłej mafii?

– Pan wie, że od tygodnia odrabiam za dwóch.

– Wiem, wiem, wzrusza mnie taka przyjaźń, ale czyż banda ma ciągnąć korzyści nawet z naszych najszlachetniejszych uczuć? Ja na pańskim miejscu zapewne postąpiłbym tak samo wobec przyjaciela i odsiadywałbym czternaście godzin, bo na to już nawet i ja nic nie poradzę, ale urządziłbym się tak, żeby mityczny praojciec racjonalizacji, Taylor, a dalej Thompson i sam Ford razem wzięci nie obliczyli mojej wydajności wyżej niż na  $\frac{1}{4}$  człowiekadnia, a pan się mozoli za dwóch. Któż temu podoła? Walka z racjonalizacją i normalizacją pracy – to moja dawna specjalność, za lepszych czasów uczyłem tego po cichu moich podwładnych techników i robotników. Co prawda, czasami mnie wyrzucali, choć wedle mojej sprawiedliwej, fachowej, ale ludzkiej oceny i tak mój oddział jeszcze dawał więcej, niż się pijawkom i draniom należało.

– Cóż, ja tego nie potrafię, chodźmy już, bo nas, do diabła, wyrzuca, pan sobie zawsze da rady, ale ja...

– Nie wyrzuca! Naszego kierownika trochę urobiłem, też jest spryciarz, co do niego mam wdech, że mu ktoś nieźle płaci za przewlekane dochodzeń, tu wchodzi w grę miliony, a do tego nieco kryminału. Choćby takie fałszowanie akcji i obligacji – jak się to koledze podoba w naszym wspaniałym, cywilizacyjnie twórczym kapitalizmie?

– Kapitalizmem i ja nie jestem zachwycony, ale wiadomo, że to sowiecka robota.

– Nie, od tych papierów nie pobierano dywidendy ani nie obcinano kuponów, nie zgłaszano ich na żadnych walnych zebraniach, boby się już po pół roku rzecz wydała, nie były one w ruchu. Spoczywały zamknięte w jakichś skrytkach, ale figurowały w bilansach, znakomicie podnosiły majątek koncernu, a więc i kredyt. Gdybyż to był kawał sowiecki, ale nie, to insynuacje – szkoda. Tamci w Rosji powinni to robić, ich psie prawo nękać i gnębić kapitalizm wszelkimi środkami.

– Ależ to ohydne fałszerstwo!

– To i co? Jakież zachwycający, wspaniały zamęt wprowadziłoby to na wszystkich giełdach świata. Co za popłoch, co za rewolucja wśród wiernej wielomilionowej rzeszy wiecznych baranów, drobnych rentierów, akcjonariuszów, tej ostoi trustów i koncernów!...

– Zbrodnia!

– Śmieszny pan jest, nie ma zbrodni, kiedy chodzi o wyzwolenie ludzkości od molocha kapitalizmu, który sam jest wszechświatową kolosalną organizacją zbrodni! Co gorzej, jest absurdem powikłań i sprzeczności, a teraz widzimy na własne oczy, jak zabija sam siebie. Co za widowisko! Choć każdy z nas za to płaci i to dosyć słono, cieszymy się, panie Genobles, że dano nam dożyć tak wspaniałych czasów. Przejdziemy straszliwą, ale przelotną burzę, a potem...

– Znam, znam te bajki, mój przyjaciel, którego właśnie zastępuję, jest socjalistą...

– Ach – socjalistą!... Ma pan słuszość, niech mu pan nie wierzy. Socjaliści są widmem starej przeszłości, wypadki ich zdmuchną z powierzchni ziemi, to delikatne pięknoduchy, parlamentarni gębacze, liberalne, demokraci, humanitaryści, pacyfiści, a siedemdziesiąt pięć procent ich przewodników to karierowicze... Co tu gadać... lękają się przemocy, wzdrygają się przed krwią, miłują prawo... Co tu dużo gadać – socjalizm nigdy nie odważy się podjąć rewolucji socjalnej ani nią pokierować, a cóż dopiero zwyciężyć? A dalej, socjalizm żadną miarą nie zdoła urządzić nowego odrodzonego świata, bo trzeba będzie dusić, deptać i łamać kości. Wszystko to zrobią inni.

– Już ja wolę nie doczekać tego sowieckiego szczęścia z łamaniem kości...

– Łamanie kości jest może niemiłym okresem, ale przejściowym i na początek koniecznym, bolszewicy dokonali epokowego odkrycia, z czego czym prędzej skorzystali nasi włoscy faszyści, a za nimi już inne burżuazyjne dyktatury... Odkryli mianowicie, że mimo naszej

wspañiałej kultury, a więc religii, filozofii, praw, nauki, sztuki, poezji i tak dalej – ludzie i ludzkość, a więc i narody ziemi nawet w tym dwudziestym stuleciu od narodzenia wielkiego utopisty Chrystusa, to nic innego jak niezmierzone hordy bydła. Wstępny okres wychowywania w społeczeństwie nowego człowieka wymaga systemu bata i drąga żelaznego, więzienia, szubienicy, gilotyny, po czym przyjdą nowe pokolenia...

Morze mgły wciąż kusiło buchaltera do skoku, napastowały go kolumny cyfr, targał nim straszliwy żal za utraconymi piętnastu tysiącami pięciuset dolarami, za domkiem w Ulmer Park, za sześciocyndrową maszyną, za parlofonem marki Sangano, za pięciolampowym odbiornikiem Victor Radio-Elektrola<sup>58</sup>, za ubóstwianą Enith, o tej porze żoną innego, zachował „prosperity” i wymienione dostatki oraz wiele innych... Szczególnie jednak dręczyły go sterzące z mgły wieże drapaczy, potężne, ponure i w tej chwili nieodgadnione dlań i niepojęte. Przerwał inżynierowi jego straszliwe proroctwa, rzucił się na niego z pasją.

– Dobrze! Dobrze! Wyrabiaj pan sobie ze światem, co chcesz! Ale jeżeli wasz nowy ustrój będzie tolerował podobną okropność... Jeżeli pierwszym dekretem sowieckiego rządu Stanów Zjednoczonych nie będą zabronione i nie zostaną wysadzone dynamitem te podłe drapacze...

Inżynier Vincenti wesoło łysnął zębami, buchalter w jego śniadym, oliwkowym obliczu dostrzegł uciechę pełną nieludzkiego okrucieństwa. Włoch przenikał jego niezgłębione cierpienie, lubował się nim i szydził.

– Baxter, czego pan, u diabła, chcesz od tych pięknych budowli? Ani nam się nie śni spełniać pańską zachciankę i wysadzać je dynamitem. Nie dalej jak za dziesięć, powiedzmy – dla wszelkiej pewności – za jakieś dwadzieścia lat ja we własnej osobie pokażę panu z tego samego miejsca widok, który porwie i pana. W każdym z tych niezliczonych okien, na wszystkich piętrach wszystkich dookoła „skyscraperów”<sup>59</sup> ujrzy pan uśmiechnięte twarze ludzi szczęśliwych.

Mgła gęstniała. Gerald Rascob wracał z daleka, aż z krańców Newark, z pogranicza East Orange, i od godziny gnał przez wielkie ulice,

---

<sup>58</sup> Victor Radio-Elektrola – marka słynnych amerykańskich odbiorników radiowych, z których najbardziej znany był pochodzący z 1930 r. model RE-57.

<sup>59</sup> Skyscraper (ang.) – drapacz chmur.

przez nędzne ulice, przez pustkowie, przebywał mosty na bagniskach, okrytych żółtym sitowiem. Gdzieś już w Jersey City kierowca Smithson zbłądził i długo kręcił po półwyspie, rozpytując ludzi i radząc się swego planu, szperając w wykazie obcych ulic. Mgła myliła wszystko, Smithson kłął, Rald wyśmiewał się z niego dobrodusznie. Tak zajechali szczęśliwie aż do pierwszego toru kolejowego nad przesmykiem Kill Van Kull<sup>60</sup>. Zawrócili. Chcąc nadrobić czas, szofer wypuścił lincolna i zdaje się, że po drodze kogoś tam bodaj przejechał, na wszelki wypadek, unikając pościgu, zjechał w bok i znowu zaplątał się między pokrzyżowanymi torami kolejowymi. W Hoboken<sup>61</sup> zmoczyło się tak, że musieli wlec się i co krok przystawać, ugrzęźli w tłoku maszyn, których olbrzymia, ciężka ławica pchała się i spełzała ku nowej tunelowej drodze pod Hudsonem.

Raldowi nie śpieszyło się nigdzie, wstąpi tylko na pół godziny do klubu „Uistiti”<sup>62</sup> i wróci do domu, wróci, zamknie się na cztery spusty – żeby tylko matce nie zachciało się go odwiedzić – i będzie myślał. Ma cały odmęt rzeczy do przemyślenia, a wszystko nowe, niebywałe. I straszne, i pociągające. Przed wszystkim – tajemne!

Matka, przez starego Uriasza, będzie dziś tym bardziej wyba-  
dywać szofera, ale Smithson ma nakazane, co należy, zresztą tam  
zostawił go na rogu i poszedł pieszo, ubłocił się. Ale co, jeżeli  
matka zapyta jutro przy lunchu – po coś jeździł do Newark? Trzeba  
koniecznie postawić się od razu – poprosi ją, żeby sprowadziła  
z powrotem emerytowanego gubernera, monsieur Privat, którego  
uroczyście i hojnie odprawiono przed pół rokiem, w dniu, gdy Rald  
ukończył lat dziewiętnaście, tym bardziej, że Mr. Privat od tego  
czasu nie może znaleźć nowej posady. Lucy jest nieznośna z tym  
szpiegowaniem, trudno jej to dowieść, ale Rald przysięgłby, że cho-  
dzą i jeżdżą za nim detektywi. Lucy na starość zrobiła się maniaczką,  
boi się, że go porwą niczym małe dziecko szantażyści – bandyci,  
ośmieszają go tylko. Kuzynka Bea Haydock, to czarne i mocno podej-  
rzane półdiabły, wita go zawsze – cóż, piękny kuzynie, jeszcze cię

---

<sup>60</sup> Kill Van Kull – cieśnina pływowa między Staten Island w stanie Nowy Jork a Bayonne w stanie New Jersey w Stanach Zjednoczonych. Ma ok. 3 mil długości, łączy Newark Bay z Upper New York Bay.

<sup>61</sup> Hoboken – miasto w stanie New Jersey. Z jego nadbrzeża rozpościera się widok na Manhattan.

<sup>62</sup> Uistiti – nazwa klubu jest też nazwą rodzaju małp, ssaka naczelnego z rodziny pazurkowcowatych (*Callitrichidae*), występującego w Ameryce Południowej.



nie porwała żadna banda racketeersów<sup>63</sup>? – Głupia matka, któż z naszej sfery nie otrzymuje listów anonimowych z pogroźkami?

Upajała go zawikłana podróż przez dalekie, nieznane dzielnice, czarował własny lincoln i własny szofer, jeszcze się nie oswoił ze swoją świeżą wolnością i ze stanowiskiem dżentelmena. W ciągu pół roku zdążył przeżyć i poznać to i owo, był już zupełnie innym człowiekiem, właściwie co dzień po trosze stawał się innym – był to w nim proces dojrzewania – cóż, że jest niestały i chwilami aż śmieszny, że wpadł w parę nieodpowiednich znajomości i przytrafiło mu się kilka innych głupstw – po prostu był ciekawy życia jak przystało na młodego człowieka. Raz się upił i przywieziono go nieprzytomnego – cóż wyprawiała ta Lucy! Alkohol go bynajmniej nie pociągał, ale musiał przecie choć raz spróbować choćby dlatego, że podobne rozrywki są zakazane. Kobiety były mu najzupełniej niepotrzebne, ale przez brak doświadczenia i po prostu z uprzejmości uwikłał się jakoś naraz w trzy flirty, od dwóch uciekł, ale koleżanka z Columbus University<sup>64</sup>, taka zwyczajna sobie „coed”<sup>65</sup> bez cienia osobliwości, panna Vida Slavin, uwzięła się i nie puszcza go od siebie, a na dobitkę z urojenia, a więc z wyrachowania uważa się za jego narzeczoną, co za bezczelność...

Poznał koła artystyczne i literackie, szczególniej pociągali go aktorzy, został członkiem paru klubów, wszędzie przyjmowano go najuprzejmiej i wyjątkowo, a Rald jak na swoje lata nie był taki głupi, by przypisywać owe honory jedynie własnym zaletom – zawsze o tym pamiętał, że stoi za nim fortuna śp. dziadka Slazengera, jedna z pierwszych nie tylko w Ameryce, ale i na całym bożym świecie.

Zwolniony ze sztywnej dyscypliny domowej i z Lincoln College<sup>66</sup>, szkoły dla synów milionerów, Rald nie od razu i niełatwo uwolnił się od historycznego despotyzmu matki – pani Lucy nie wiedziała, jak sobie poczynać z dorastającym synem. Gdy ukończył chlubnie swój College, uczciła go uroczystą ucztą rodzinną i wobec wszystkich uznała go za dojrzałego człowieka, obsypała podarunkami, wyznaczyła mu pensję, osobne wspaniale urządzone apartamenty

---

<sup>63</sup> *Racketeer* (ang.) – tu: gangster.

<sup>64</sup> Columbus University – uniwersytet w Nowym Jorku, jedna z najbardziej znanych amerykańskich uczelni, założona w 1754 r., należąca do tzw. Ligi Bluszczowej (*Ivy League*).

<sup>65</sup> *Coed* (ang.) – w amerykańskiej odmianie języka angielskiego pot. studentka.

<sup>66</sup> Lincoln College – prywatna uczelnia wyższa, założona w XIX w. w Lincoln, w stanie Illinois.



i osobną służbę, w chaotycznym przemówieniu, wygłoszonym ze łzami wzruszenia, wymagała od niego przede wszystkim samodzielności. Nazajutrz zaczęły się awantury.

Rald nie był skłonny pytać matki za każdym razem o pozwolenie na wyjazd z domu świeżo podarowanym lincolnem, a po powrocie nie chciał opowiadać, gdzie był, co tam robił, z kim się widział. Matka nie mogła przystać na podobną samowolę, a syn, który aż dotąd był sobie nijakim, zatajonym w sobie, uległym, cichym chłopcem, nagle objawił się w niespodziewanie nowej postaci – pokazał zęby. Walka trwała przeszło dwa miesiące, Rald zrywał z matką, opuszczał wspólny pałac na Czterdziestej Drugiej Ulicy i koczował gdzieś u nowych przyjaciół, o których Lucy nie miała pojęcia. Szukała go przez biura wywiadowcze, prowadziła pertraktacje za pośrednictwem starego eksguwernera, Mr. Privat, godziła się z nim, przeproszała go, a po paru dniach już się kłócili o byle co lub o nic. Przeklinała wyrodka, rozpacziała, chorowała, wydziedziczała go, wypędzała z domu. Pewnego dnia wyrodek oznajmił w oficjalnym, niemiłosiernie ugrzecznionym liście, że zaciąga się na bryg, odchodzący z wiosną na połów fok, ażeby tą drogą dostać się do ojca, który zimuje gdzieś w ujściu Mackenzie. – Jeżeli szanowna pani ma listy lub przesyłki dla Mr. Rascoba, to z przyjemnością podejmę się ich doręczenia...

Uderzał ją w samo serce, w wiecznie jątrzącą zawiść o dziwne przywiązanie syna do swego fantastycznego, wiecznie podróżującego ojca, którego kilka razy w życiu widywał przelotnie przez parę miesięcy, gdy to wielce szanowany w USA maniak polarny wyłaniał się z lodów północy czy południa.

Błagała go o przebaczenie, poniżała się, i tak w kółko. Wreszcie ułożyło się między nimi zawieszenie broni i pożycie stało się znośne, Rald robił, co chciał, matka śledziła go przez dwa biura wywiadowcze naraz (dla wzajemnej kontroli tych zawodowych oszustów), wreszcie ustalono, że z końcem lata młody magnat zostanie wysłany do Paryża na bliżej nieokreślone wyższe studia. Rald był zachwycony wyjazdem do Europy i nawet nie pytał, czy matka puści go samego, gdyż z góry wiedział, że jeżeli nie zabierze się z nim razem, to przytrynda się tam za nim, inaczej być nie mogło z utrapioną Lucy.

Klub „Uistiti”, dla większej osobliwości umieszczony w nędznej dzielnicy portowej za Hudsonem w pobliżu Hamilton Park<sup>67</sup>,

---

<sup>67</sup> Hamilton Park – park historyczny w Weehawken w New Jersey, słynny z widoku na Manhattan.

zajmował lokal w podziemiach, wytapetowanych szczelnie bohomazami, od których gość nieprzywykły już po dziesięciu minutach dostawał zawrotu głowy. W klubie, poświęconym wesołości, dziwactwu artystycznemu oraz wszelkim ekstrawagancjom i fanaberiom, miało się dziś odbyć przedstawienie „mimomisterium” układu Emmanuela Kohna, genialnego poety z Guatemali, tego wieczoru genialna Ina Barnato miała wystąpić nago – przy fortepianie genialny muzyk Bezzapkin, dekoracje genialnego Czecha Kusmanka. Również widownia w zasadzie składała się z publiczności genialnej lub też – w braku geniusza – bardzo bogatej, ludzi zwyczajnych nie wpuszczano tam za żadne pieniądze, strzegąc czystości atmosfery artystycznej oraz dyskrecji względem baru wewnętrznego, szynkującego w tajemnicy wszelkimi trunkami.

Rald bał się tej Iny o zielonych, nieco skośnych oczach i wspaniale bujnych rudych włosach, nie wierzył, że są farbowane, nie wierzył, że Ina jest polską Żydówką. Była wysoka, węzowa, omdlewająca, zadumana, zagadkowo milcząca, genialna i niedostępna – temu już nie dowierzał, więc tym bardziej bał się, że gdy ją ujrzy naga... Postanowił się wypróbować jako prawdziwy mężczyzna i w razie potrzeby przewyciężyć, jedynie w tym celu wybierał się na mimomisterium pod tytułem *W cieniu drzewa wiadomości złego i dobrego* (Ewa i wąż – genialny murzyn z Texas Christiphoro Backer – Adam został w domu).

Gdy zajechał przed zwyczajną i bezbarwną kamienicę, gdzie nad drzwiami świeciło jedynie godło klubu, siedem zielonych lampek, rozpiętych na drutach w kształt Wielkiej Niedźwiedzicy, gromada chłopaków obdartusów pomimo obecności policjanta rzuciła się do otwierania drzwiczek, z trudem przedarł się przez nich i z kilku wyciągniętych dłoni wsunął w jedną pięć dolarów.

– Do podzią!...

Natychmiast zawrzała kłótnia, walka, policjant ruszył z miejsca, tumult przetoczył się na jezdnię i wnet znikł we mgle. Ale niepodobna było wejść w zabłoconych trzewikach – tuż przy wejściu stał pod ścianą czyszciciel uliczny pod afiszem reklamowym „Uistiti”, na którym ogromnymi czerwonymi literami widniało hasło kolejne na przemijający miesiąc luty:

– *Keep smiling!*<sup>68</sup> Śmieję się, bo i tak diabli wezmą wszystko!

---

<sup>68</sup> *Keep smiling!* (ang.) – uśmiechaj się!

Rald bez jednego słowa postawił stopę na schodku, pucybut siadł na swoim stołeczku, okraczył klienta i zabrał się do szczotek. Jak ćmy, zwabione przez światło, zaroily się dookoła Ralda postaci dzikie, nieszczęsne, zmarnowane, wyzywające, obszarpane. Wielkopañska postawa gościa tudzież lincoln ściągaly coraz więcej dzielnicowej hołoty, sprzedawcy sznurowadeł, zapalek, ludzie dorośli lub starzy żebrali natarczywie, skamlały kobiety z niemowlętami na ręku, ale przeważaly niedorostki i dzieci opatulone w łachmany, w ojcowskich kaszkietach i trzewikach. Dziesięcioletnie żebraczki prosily o wsparcie płacziwymi, wyuczonymi głosami lub uśmiechały się oblesnie, świecąc oczami jak zawodowe ulicznice, chłopaki roztręcali je i tłukli, klnąc, zionąc słowami, których Rald nawet nie rozumiał. Horda obstąpiła go i napierała coraz cialniej, pchana od tyłu, pucybut opędział się i pokrzykiwał, gdyż chwilami nie dawali mu pracować. Rald zapalił papierosa i stał jakby nic nie widział ani słyszał, w dalszych stronach miasta napastowano go nieraz, nie dalej jak przed godziną w słabo zabudowanej dzielnicy między Newark a East Orange<sup>69</sup>, skąd powracał właśnie, całe zbiegowisko czekało nań około samochodu, ale była to jedna chwila, wsiadł, ruszył i wszystko zostało za nim.

Wreszcie nie wytrzymał, rozpiął futro i wydobyl z kieszonki od kamizelki, gdzie zawsze trzymał troche złota na napiwki, dziesięciodolarówkę i podał ją najbliziej stojącej maleńkiej kobiecie z dzieckiem. Ta, olśniona, popatrzyła na złotą monetę, świecącą na ciemnoczerwonej, zmarzniętej dłoni, trwało to nawet sekundy, gdy zbiegowisko zakołysało się i dziesięciodolarówka znikła z dłoni jak zdmuchnięta – pisk, lament, gwałt – wszystko poleciało łapać złodzieja.

Z mgły wystąpił policjant, jak gdyby się nagle zmaterializował z nicości, stanął na straży.

– Jeśli łaska – druga noga... Ale proszę cię, Rald, nie wyprawiaj ty na ulicach swoich sztuk ze złotymi dolarami! W takich okropnych czasach? Sam widzisz, co z tego wynika. Nie godzi się uręgać ludzkiej nędzy...

---

<sup>69</sup> East Orange – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie New Jersey, w hrabstwie Essex.

## Rozdział drugi

### Dwadzieścia lat

W sklepionych salach najgłębszego podziemia Federal Reserve Bank<sup>70</sup>, na trzy piętra poniżej ulicy, w oślepiającym świetle kulistych lamp, których blask przenikał do wszystkich zakątków, jednym nieprzerwanym ciągiem od sklepienia do zieleni połyskiwały wzdłuż ścian sine, gładkie płyty stalowych szaf. U jednej, rozwartej szeroko, krzątało się kilku urzędników banku i gromadka robotników, po środku sali trzech olbrzymich policjantów stało na straży. W szafie na stalowych półkach od góry do dołu tkwiły w szeregach pękate baryłki dębowe, pięciokrotnie ściągnięte obręczami. Kilka z nich stało po środku na kamiennej kościelnej posadzce w czarne i białe kwadraty, jedną robotnik, wiszący na drabinie, spuszczał ujętą we dwa haki na stalowych linkach elektrycznego dźwigu.

- Numer siedemnaście, litera C!
- Tak jest! Numer siedemnaście, litera C!
- Waga netto sto kilo!
- Tak jest! Waga netto sto kilo!

Urzędnik odbierający transport podpisywał dokument kwitujący i zamaszystym, przesadnie wymownym ruchem ramienia wręczał go urzędnikowi wydającemu baryłkę. Wówczas dwóch robotników podchodziło do baryłki i odtaczało ją na środek ku trzem policjantom, wachmistrz wpisywał w swoim karnecie numer, cechy baryłki i przemawiał głosem donośnym.

---

<sup>70</sup> Federal Reserve Bank – bank regionalny Systemu Rezerwy Federalnej USA, utworzony w 1913 r., posiadający dwanaście okręgów. Opisywany przez Struga oddział w Nowym Jorku został ustanowiony w 1914 r., znajduje się przy 33 Liberty Street na Manhattanie i został wybudowany w 1924 r. Skarbiec banku leży 24 m poniżej poziomu ulicy i 15 m poniżej poziomu morza. Do 1927 r. zawierał 10% światowych rezerw złota.

– Kolejno jedenasta – razem sztuk jedenaście! Jest!

– Jedenaście – jest! – odpowiadali dwugłosem policjanci.

Głosy, ruchy, oznajmienia, potwierdzenia, skupiona oficjalność w twarzach znamionowały jakby obrzęd rytualny, coś w rodzaju liturgii, gdzie słowa urzędników, słowa policjantów nie zwracały się do nikogo z obecnych, ale padały w przestrzeń ku czemuś, ku komuś niewidzialnemu, a niepojętym sposobem czuwającemu nad uroczystym zabiegiem. Policjanci, obojętni na wszystko, urzędnicy banku, zawodowi, rutynowani kapłani, obsługujący w dniu powszednim Złotego Cielca, mieli, sprawując to misterium, twarze napuszone powagą i bacznością.

Robotnicy, ludzie od dźwigania ciężarów, którzy jednakowo obojętnie i sprawnie przerzucali, przetaczali, wyładowywali i ładowali, spuszczała i windowali w górę rudę, węgiel, bale bawełny, beczki, cysterny, skrzynie, worki – tutaj, wprowadzeni do najtajniejszego sanktuarium, gdzie w podziemiach spoczywa odwieczne i na wieki wieków czczone święte świętych ludzkości, mieli oczy struchlałe, twarze zmienione. Żaden nie śmiał tu szepnąć słowa, każdy co chwila ocierał rękawem pot z czoła, choć w piwnicy banku było chłodno, a praca nadzwyczaj lekka.

Trapiła ich niespodzianka i fantastyczna oczywistość tego bogactwa, jego namacalna straszliwa bliskość. Jak we śnie, jak przez czary stała się prawdą legenda o niezmiernych skarbach. Nareszcie ujrzeli je na własne oczy, dotykali skarbów, czuli ich ciężar, mąciło im się w głowach, gdy usiłowali obliczyć, ile tego zmieści się we wszystkich żelaznych szafach, we wszystkich salach, na wszystkich trzech piętrach podziemia... Ludzie, którzy z rzadka lub ani razu w życiu nie mieli w ręku naraz od razu stu dolarów, a poniektóry z nich nie posiadał ich jeszcze ani razu w życiu, teraz przetaczali jakby nic baryłki ze szczerym złotem, a przecie każda warta była sto tysięcy...

Żeby im choć powiedziano naprzód, kędy ich powiozą i co tam mają robić, ale nie, agent wczoraj nie szepnął o tym ani słowa, a żaden o nic nawet nie spytał, rad, że się dorwał do roboty – nosić to nosić, dźwigać to dźwigać... Ale to było za mocne. Jeszcze trwali w osłupieniu, czepiała się ich jakaś zabobonna, nierozumna trwoga, jakby ich nagle przeniesiono do innego świata. Bogactwo ich przytłaczało, nie mogli się otrząsnąć z opętania. Jeszcze się w nich nie wszczepiła żądza, zawiść, myśl buntownicza, pragnienie zemsty za ten niesłychany odmęt nagromadzonego złota. Zaledwie się społtkwały obłędne spojrzenia, natychmiast uciekały ich oczy.

Urzednicy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi, policjanci na sali i tamci dwaj, stojacy we drzwiach, spoglądali na nich bacznie i surowo, podejrzliwie śledząc ich twarze i każdy ruch. Tajemnica zachowana, ale licho nie śpi – w tym Nowym Jorku marzy o podobnej aferze nie jedna i nie dziesięć band, gotowych na wszystko... A nuż agentowi wypsnęło się nieostrożne słowo i któryś z tych – który? – puścił je dalej? Tam na górze przed tylnym wyjściem z banku... Gdzieś po drodze... W dzielnicy portowej... W samym porcie... Wszędzie mocne posterunki, wszystko gotowe i zmobilizowane, każda rzecz przewidziana i przemyślana naprzód... Niepodobieństwo. Ale niepodobieństwa zdarzały się już nieraz – gra warta ryzyka, nawet szaleństwa – transport pięciuset baryłek złota – pięćdziesiąt milionów dolarów! Niech się im uda urwać i zabrać bodaj jedną pięciotonową ciężarówkę, i to się suto opłaci...

Po godzinie sto baryłek stało pośrodku sali, tworząc kwadrat ustawiony w ordynku. Pierwsza partia, przeliczona i sprawdzona po raz dziesiąty, była gotowa, by wydzwignąć się na powierzchnię ziemi i ruszyć w świat.

Dobiegły swego kresu i ustały dalekie, powikłane procesy dziejowe, polityczne, gospodarcze, finansowe, które w ciągu lat wojny i po wojnie powoli, stopniowo, nieustannie, milion za milionem odbierały Europie złoto. Banki Stanów Zjednoczonych jak potężne magnesy przyciągały zza oceanu jego ciężkie, lite sztaby i złoto starego świata zniewolone i bezbronne ruszyło w daleką wędrówkę, zostawiając po sobie pustkę w skarbcach narodów, a w osieroconych sercach, w ludzkich mózgach, w kieszeniach żrącą, nieutuloną tęsknotę. Odplynęła z żył krew żywiąca, zabrała z ciała moc i otuchę z duszy. Ustał przyrodzony pęd do wytwarzania bogactw i pożytków, przygasały paleniska w kotłowniach, nie słały się po ziemi błogosławione dymy z kominów fabrycznych, a miliony ludzi zaczęły świętować i wypoczywać o głodzie. Piękne kolorowe obrazki z cyframi, które, idąc z ręki do ręki w nieustającym obiegu, nieciły wszędzie bujne, radosnotwórcze życie, z dnia na dzień blakły, jak liście na jesieni gubiły żywość barw, kłamały prawdę i wagę swoich cyfr i napisów i traciły wiarę u ludzi niedawno jeszcze niezłomną jak wiara w Boga, jak wiara w samo złoto... I tak dalej. Rozpraszały się w nicość, zapadały się w nicość olbrzymie fortuny, bogactwo stawało się lotne jak pył, miliony, porwane z rąk przez wicher, chwytaly inne ręce, objawili się nowi ubodzy, nowi bogacze. Każdy zdradzał ojczyznę i pieniądz swego kraju, wszyscy czepiali się dolara, szukano

go, przepłacano, dolar stał się dla Europy ukochaniem, ideałem, mitem, cudem...

I tak dalej...

Tysiące krzyżujących się, poplątanych zjawisk, tysiące niedocieczonych, tajemnych przyczyn mąciły i myliły w najtęższych mózgach uczonych, genialnych praktyków i mężów stanu, stwarzały chaos, niepewność jutra i strach. Narody w poniżeniu błagały o łaskę, żebrały.

A jedyny bogacz świata, duszący się od nadmiaru złota wierzyciel Europy, tonącej w długach, dyktator Europy zaciskał świat w żelaznych kleszczach, radował się, chełpił się swoją potęgą, kupował i sprzedawał narody, szerzył lichwę, o jakiej nie słyssały dzieje, urągał nędzy i zbierał po świecie anegdoty. Wówczas to właśnie motorniczy, prowadzący tramwaj po ulicach Chicago, zarabiał więcej niż polski premier<sup>71</sup>.

Czas płynął, obracała się ziemia, wszędzie jednako szybko zmieniały się dni i noce, niknęły miesiące, mijały lata, aż z biblijno-egipskich siedmiu minął ostatni rok tłusty<sup>72</sup>, minął po równo dla wszystkich państw, narodów i plemion świata, nawet dla tych, których całe życie było chude.

Jak do tego doszło? Skąd się wzięło?

Potop odpowiedzi, odmęt definicji, przenikliwie diagnozy, dysputy uczonych, epokowe zjazdy, międzynarodowe konferencje, rewelacyjne odkrycia, śmiałe próby, fenomenalne błędy... A więc:

Nadmierna wybujałość produkcji rolnej – Południowa Afryka, Australia, Indie, Chiny... Powstanie i nieoczekiwany rozwój nowych ośrodków produkcyjnych... Nazbyt wysoki przeciętny poziom kosztów produkcji... Dysproporcja między pieniądzem i kredytem a rezerwami złota... Dysharmonia między wytwórczością surowców i towarów a odnośną absorpcją rynków... Kryzys zaufania,

---

<sup>71</sup> Choć w powieści mało jest polskich akcentów, to widać, iż Strug miejscami starał się przybliżyć realia ówczesnej Ameryki polskim czytelnikom. Premierzy w tamtym czasie zarabiali ok. 3000 zł miesięcznie, prezydent miał pensję 5000 zł. Dla porównania lekarz zarabiał wtedy ok. 400 zł, a nauczyciele od 160 do 260 zł. W 1935 r. pracownicy umysłowi dostawali przeciętnie 170–280 zł miesięcznie, czyli od dwóch do nieco ponad trzech tysięcy rocznie. Przed 1929 r. w USA podstawowe zarobki robotników niewykwalifikowanych wynosiły od 120 do 200 dolarów miesięcznie. Z uwzględnieniem przeciętnego kursu dolara w 1929 r., który wynosił 8,9 zł, dawało to zarobki w kwocie od ok. 1000 zł do 1800 zł.

<sup>72</sup> Nawiązanie do snu faraona z Księgi Rodzaju ze Starego Testamentu (zob. Rdz 41).



powodujący złą repartycję złota... Terror związków zawodowych, wysokie płace robotnicze, ustawodawstwo socjalne... Ograniczenia kredytowe... Panika finansowa i tezauryzacja<sup>73</sup> kapitałów... Spadek cen srebra... Przerost ingerencji państw, łamiących prawa ekonomiczne... Paraliż wymiany międzynarodowej, system kontyngentów i ceł... Korsarski dumping<sup>74</sup>... Kontrola dewiz zagranicznych... Niepostrzeżony w czas nadmierny przerost mechanizacji i racjonalizacji...

To dopiero wstęp i początek, gdyż genialny badacz niemiecki odkrył i naliczył jak dotychczas – 235, wyraźnie – dwieście trzydzieści pięć przyczyn kryzysu światowego. Imponująca cyfra! Stanowczo za wiele, żeby móc w tym cośkolwiek zrozumieć. Więc chyba jedno, że wszystko na nic i że stary, czcigodny, przemądry ustrój świata... Ale podobne przypuszczenie byłoby absurdem, zniewagą dla zdrowego sensu.

W rezultacie do dzisiejszego dnia – a dzisiaj właśnie cyfra bezrobotnych w światowym przemyśle, handlu, transporcie itd. przekroczyła dwadzieścia pięć milionów – nikt na świecie nie wie, skąd się to wszystko wzięło...

Tak czy owak, dlatego czy właśnie nie dlatego, zaczyna się powrotna wędrówka złota. Baryłki ruszyły z podziemia ze wszystkich wielkich banków Stanów Zjednoczonych i potoczyły się w świat. Nic strasznego – czyż zdrowie USA nie nadszarpnęło się poważnie przez nadmierne nagromadzenie kruszcu? Mówili to od dawna mądrzy ludzie. Będzie gorzej, gdy go za dużo odpłynie – ostrzegali również mądrzy.

Bądź tu mądry w takich czasach...

Zaledwie pierwsze pięć baryłek poszło w górę na dźwigu, w którym oprócz urzędnika pojechali również dwaj konwojujący policjanci, jeden z robotników, docker<sup>75</sup> Metcalf, poczuł się niedobrze, zaćmiło mu się w oczach, zaszumiało mu w uszach, zatoczył się i usiadł na pierwszej z brzegu beczulce. Natychmiast zerwał się na równe nogi, jakby złoto sparzyło go przez grube, dębowe klepki. Błędnyimi oczami obejrzał się dokoła i chwiejnym krokiem, dla

---

<sup>73</sup> Tezauryzacja – gromadzenie i przechowywanie dóbr materialnych: złota, pieniędzy, walorów, wierzytelności lub innych dóbr materialnych o dużej wartości poza instytucjami depozytowo-oszczędnościowymi.

<sup>74</sup> Dumping (z ang.) – sprzedaż produktów za granicę po cenach niższych niż na rynku krajowym lub po cenach niższych od kosztów ich wytworzenia.

<sup>75</sup> Docker (ang.) – doker, robotnik portowy, pracujący w dokach.



równowagi rozstawiając ręce, zmierzał do drzwi, kłapiąc okutymi trzewikami po kamiennych płytach.

- Co jest?!

Wachmistrz skinął, dwaj policjanci, stojący na straży po obu stronach drzwi, zasłonili sobą wyjście.

- Co takiego? Chory? Chodź ze mną, zaprowadzę...

- Do diabła, nie o to idzie... W głowie mi się pomieszało i jakieś dreszcze... Puść mnie pan stąd, nie mogę robić, nie mam sił, pójdę do domu.

- Do domu, to będzie nie zaraz, tu pan zostaniesz, póki...

- Natychmiast muszę stąd wyjść... Coś mię dusi...

- Żadne natychmiast, nie udusisz się pan przez te trzy godziny...

- Trzy godziny? Do ciężkiej cholery, puścisz mnie pan, czy nie?!

- Tylko powoli, bez cholery! Nie pchaj się pan, bo jak ja cię odepchnę...

Za zezwoleniem wachmistrza podeszli i otoczyli go koledzy.

- Metcalf, co ci jest? Napij się wody...

- Metcalf, nie wyrabiaj głupstw, przepadnie ci dniówka...

- Do czarta z całą dniówką!

- Toś bogaty...

- Nie chcę tu robić, nie chcę i już - rozumiesz jeden z drugim?

- A co?

- To nie dla mnie, to przeklęta robota!

- Patrzcie - Metcalf zwariował?!

- Jeszcze nie, ale jak mnie zaraz nie puszczą z tej piwnicy - zaraz zwariuję! Zwariuję, jak pana Boga Kocham!...

Zaryczał dzikim głosem i zaczął się bić pięściami po głowie. Praca nie przerwała się ani na chwilę, co pięć minut nowe pięć beczułek szło do dźwigu i jechało w górę. Metcalfa policjant przeprowadził pod ramię przez wąski korytarzyk do izdebki, gdzie nocowali woźni czuwający nad aparatami alarmowymi. Tam tłumaczył mu po raz dziesiąty, że dla bezpieczeństwa transportu wszyscy ładowacze mają zostać w banku dopóki ostatnia ciężarówka ze złotem nie wjedzie na niewiadome molo numer X niewiadomego portu, gdzie czeka inna grupa robotników, którzy też o niczym naprzód nie wiedzą. Metcalf miotał się po izbie i rwał się do klamki.

- Spokój! Spokój! Bo zaraz tu będzie z komisariatu nasz cywilny łapacz... A jak się jemu przywidzi, że panu tak się śpieszy do domu, bo pan masz czucie z jakąś bandą? Przy nim nie przewracaj pan oczami, nie wyprawiaj pan swoich min, bo taki zaraz pozna, że to

symulacja, byle się wyrwać i zdążyć zaalarmować bandę... A choć na ten raz z tego nic, bo przytrzymają, to popadasz pan w podejrzenie, zapiszą, odciski palców i photos<sup>76</sup> do kartoteki i będą już ciągać przy byle okazji, czyli do śledztwa, a przy tym i batów ile wlezie. Puszczą, owszem, dlaczego nie, ale zębów się pan też nie wszystkich doliczysz...

Nareszcie coś się w nim przetknęło, Metcalf przemówił, patrzył na policjanta, ale gadał jak dla siebie samego, to znowu jakby do kogoś bardzo mądrego, sprawiedliwego, który zrozumie w człowieku każdą rzecz.

– Nie!... Nie! W głowie się przewraca na jedno pomyślenie... Co tu złota! Człowiek całe życie haruje, mozoli się, dźwiga, aż mu trzaska w grzbiecie, żyje głupi w wiecznej nikczemności pod batem jak ten koń, jak muł, jak wół... Dzień za dniem, dzień za dniem, ani wypoczniesz jak należy, ani się wyśpisz do syta... Boże święty, takie niezmierne bogactwa – a ty człowieku cierp! Tak ci było i było, aż teraz co? Ha, ha, ha!... Stop, maszyna – masz ci siedem miesięcy świętowania – naśpij się! Chodzi każdy jak kołowaty za robotą i szuka, i skamla gdzie by się znowu namordować!... śmieszny los! Tysiące chodzą, miliony w głodzie i nędzy, jeden drugiemu wróg, przeklina ludzi i Boga – a tu masz złota pełniusienkie piwnice! Więc na ten przykład bandyci? Mądry jest bandyta, rację ma, każdemu to powiem do oczu, bo nie narobi się, nie zgnębi się i albo urwie coś i jest bogaty, a jak się wsypie, to siada sobie na takim krześle i w jedną sekundę już go nie ma. Bandyckie życie nie to co nasze, psie... Powiada pastor w kazaniu – uczciwy robotnik! Powiada socjał na mityngu – uczciwy robotnik... W gazetach wypisują – uczciwy robotnik! Każdy burżuj, co żyje z jego krzywdy, chwali go, a i on sam się chlubi swoją uczciwą pracą, idiota jeden, bałwan.

Policjant uśmiechał się dobronudnie i drwiąco, zabawiło go to wydarzenie, zaciekało. Skąd takie termedie<sup>77</sup>? Czy mu uderzyło do głowy złoto, które zobaczył pierwszy raz w życiu? Bandytów sobie zachwalał – co on, cymbał, wie...

– Głupstwa pan gadasz! Bandyta gorzej się napracuje niż dziesięciu dockerów, tu trza wypatrzeć, miesiącami rzecz przysposobić, a potem się okaże, że ani rusz. Na pięćdziesiąt razy raz się uda albo i to nie, ludzie się pilnują, a i policja też trochę wzbrania. I nie każdy

---

<sup>76</sup> Photos (ang.) – fotografie.

<sup>77</sup> Termedie – tu: skomplikowane zabiegi, kłopoty, ceregiele.

byle osioł ma zdatność na bandytę, takiego jak pan ostatnia szajka by do siebie nie wzięła, trzeba mieć pieprz pod ogonem, odwagę, spryt, rozum. Co do krzesła, to też nie prosta sprawa i niezbyt krótka – a nie łaska do Sing Sing<sup>78</sup> na dziesięć lat? Na dwadzieścia lat? Do śmierci, na całe życie?

Metcalf zniecierpliwiony zamachał na niego rękami, idiota policjant zupełnie go nie rozumiał, co go obchodzą bandyci? Nie powiedział tego, co chciał, bo i jak to wyrazić?

– Słuchaj pan, to złoto diabli wygrzebali, przez tysiące lat! Może z ziemi? Nie, z ludzkiej krzywdy. Ciągnęli złoto z niedoli, ze krwi, aż się go nagromadziło tyle. Dlatego właśnie jest takie strasznie ciężkie! Ja potrafię ciskać całymi bekonami, workami z kawą, dla mnie w porcie to żart wziąć na plecy dwieście kilo i ponieść... A powiem panu, że jakem toczył taką baryłeczkę, to aż mnie zmogło! Bo z każdej takiej baryłki aż stęka i jęczy...

– Słyszałeś pan?

– Tak, słyszałem – i co pan na to? Wyraźnie mówię, że słyszałem.

– No to pan słyszysz też jak trawa rośnie?

Metcalf umilkł, odwrócił się, przywarł czołem do ściany. Znów nie potrafił wypowiedzieć tego, co najważniejsze. Nie idzie o ucisk bogactwa, nie o ludzką krzywdę, bo któż tego nie wie? Ani o to, żeby rozdzielić całe złoto między biednych ludzi i dać każdemu po grudce... Najgłówniejsza zagadka jest chyba w tym, że w martwym złocie kryje się tyle strasznej potęgi... Dziwna tajemnica! Jak do tego doszło? Kiedy się zaczęło, jeżeli już w Piśmie Świętym stoi wyraźnie... Można rzec, że kiedyś bogaci się tak zmówili i że ta zмова już została na wieki wieków – i na tym koniec... Dobrze, ale czy jest na świecie jaki kontrakt, który by się trzymał przez tysiące lat? Na tyle ludzkich pokoleń, na tyle narodów? Można powiedzieć... Nie, co tu sobie głowę łamać, tego nikt nie zrozumie, w tym jest jakaś straszna tajemnica, nie do pomyślenia, taka sama jak śmierć, jak Bóg... Wszystkie cuda, które wychodzą ze złota, idą jeno z tej ludzkiej zakorzenionej wiary w tajemnicę.

Rozbolała go głowa, siadł na ławce, wsparł głowę na rękach, zamknął oczy i postanowił nie myśleć o niczym. Ale gdzie tam... Policjant stał w drzwiach i co chwila ziewał, co wnet udzieliło się i Metcalfowi. Ziewali obaj i tak trwało, aż wszedł młody szczupły

---

<sup>78</sup> Sing Sing – amerykański zakład karny o maksymalnym rygorze w stanie Nowy Jork, nad brzegiem rzeki Hudson.

człowiek w czarnym palcie i meloniku, zwyczajny i nawet uśmiechnięty, poszeptali w kącie z policjantem i ten sobie poszedł.

– Jestem wywiadowca Jonath z czwartej brygady bandyckiej – co mi pan masz do powiedzenia?

– Nic panu nie mam do powiedzenia.

– Tak?

– Ano – tak, czy ja pana wołałem?...

Urwał, gdyż dopiero w tej chwili spojrzął wywiadowcy prosto w twarz, ujrzał oczy nieruchome, ostre, jakby szklane, a w kącie ust uśmiezek, od którego zrobiło mu się zimno. Obejrzał się dokoła jak schwytyany, ogarnął go strach. Wydało mu się, że jest już dawno po wszystkim – siedzi w więzieniu na wieczne, do śmierci, za współnictwo z bandą, z której jednak nikogo nie mógł sobie przypomnieć, ani śledztwa, ani sądu... Tu już zostanie.

– Podobno śpieszy się pan do domu? To gadaj pan prawdę, puszczyć pana zaraz. Do kogo się pan śpieszył? Kto to jest? Nazwisko? Adres? Gdzie to jest? W jakiej knajpie? Może gdzie na rogu? Na którym? Prędejl! Prędejl, Metcalf, gadaj z dobrej woli, bo cię ze sobą zabiorę...

Skulił się, przywarował – wywiadowca zaraz go zwali palką po łbie – już ją trzyma w kieszeni palta... Mógłby go, chuchraka, jedną ręką pchnąć pod ścianę, aźby mu wszystkie gnaty potrzaskały... śmiało może tak uczynić, bo to wszystko głupi sen...

Nagle zerwał się, obudził się od napadu gwałtownego śmiechu – ale wywiadowca stał przed nim wciąż – rechotał, aż się zakasał, brał się za boki. Albowiem nie wiadomo skąd przyszedł mu do głowy naraz dwie myśli.

– Co będzie, jeżeli jakiś uczonec zrobi odkrycie i zacznie hurtownie wyrabiać złoto z ołowiu, z miedzi i jeszcze czort wie z czego? Ha, ha, ha!...

– Co będzie, jeśli nie dziś to jutro odkryje kto taką bezludną wyspę, gdzie czyste złoto od stworzenia świata leży zwałami jak kamienie? Ha, ha, ha!...

Docker Metcalf był uleczony z opętania złotem, co mu teraz znaczy złoto? Z ukontentowania śmiał się wciąż, a wywiadowca z czwartej brygady bandyckiej nie spuszczał z niego swoich szklanych oczu, aż wreszcie miał dosyć. Jako fachowiec już wiedział, że trafił na przebiegłego symulanta.

Abraham Osden, były długoletni sekretarz osobisty starego Slazengera, a następnie i jego spadkobierczyni, od dziesięciu lat w stanie

spoczynku na sutej, dobrze zasłużonej emeryturze, od samego rana krzątał się i przygotowywał do odwiedzin swojej dawnej pani. Kazał zdjąć pokrowce z mebli w salonie, naładować do kominka brzoźowych polan, sprowadził nawet trzy przepiękne i kosztowne w tej porze roku żółte róże, które Lucy tak lubiła. Niestety nie czuł się zdrowo i od miesiąca nie opuszczał swego domku w Harrison<sup>79</sup>. Marzec w Nowym Jorku nie jest odpowiednią porą do dalekich wycieczek dla dżentelmena liczącego siedemdziesiąt trzy lata, miesiąc ten, wedle statystyki, nadaje się najbardziej ze wszystkich miesięcy roku raczej do ostatniej ziemskiej wędrówki panów w tym wieku. Po co ułatwiać sprawę przeznaczeniu?

Na natarczywy telefon Lucy, domagający się niezwłocznego stawienia się u niej, odpowiedział z należnym uszanowaniem oraz z wielkim żalem, że tym razem choroba nie pozwala mu być bezwzględnie posłusznym, więc prosi o odwiedzenie jego skromnego domku, jeżeli sprawa jest tak pilna. Pani Lucy nigdy jeszcze nie była gościem Abrahama Osdena, więc jego młoda małżonka, licząca zaledwie lat sześćdziesiąt, wpadła w panikę przygotowań i zakupów, już po raz trzeci wysyłała murzynka szofera po specjalnie zamówiony tort i ciastka z migdałami, a w saloniku na gwałt zmieniała firanki.

Stary emeryt był szczęśliwy – jeszcze jest potrzebny komuś na świecie, zgadywał, o co idzie i czekał cierpliwie godziny piątej, był stęskniony, Lucy nie odzywała się do niego już od roku... Siedział w swoim starodawnym pradziadowskim, tak zwanym wolterowskim fotelu, ubrany odświętnie – żona kazała mu nawet zmienić całą bieliznę – i patrzył na świat przez pęki tulipanów, które dopiero co kupiono i porozstawiano w oknach, ażeby w domu wyglądało weselej.

Patrzył pogodnie z przygasłym uśmiechem w oczach, w ogródku karłowate drzewka owocowe rozprężyły malowniczo i fantastycznie powyginane gałązki. Czy zakosztuje jeszcze raz własnych wiśni, gruszek, czy doczeka nowego lata? Czy zasiądzie na wiosennym słońku na czerwono-białej ławeczce – ławeczkę trzeba koniecznie odmalować! Podłużne kopczyki, grubo przysypane liśćmi, były zupełnie podobne do skromnych, ubogich mogiłek, brak im było tylko krzyżyków... Z prostotą, bez odrazy i strachu myślał o śmierci, nie opędał się, jak czynią starzy, przed jej wpływającą zawsze,

---

<sup>79</sup> Harrison – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Nowy Jork, w hrabstwie Westchester.

wszędzie na jawie i w snach nieodczepną wizją. Marzył jednak z pewną naiwną nadzieją, że gdy odkopią zadołowane sztamy, zobaczy jeszcze w pełnym rozkwicie swoje ulubione róże i nasyci się bodaj po raz ostatni ich przepychem.

Tak, był szczęśliwy, żadnych trosk, niczego mu nie brakowało, a że nie można żyć po raz drugi, zrozumiał od dawna. Jedyną troską była sprawa młodszego syna, Willa. Przez proste przeoczenie w tych dniach zredukowano i jego przy zawieszeniu pracy w Slazengerowskich zakładach. Czy wypadało zwrócić się w tej sprawie bezpośrednio do Lucy, od której on i jego bliscy doznali już tyle łask? Żona zagroziła mu, że jeżeli będzie się zanadto namyślał, ona załatwi to niezwłocznie, dziś jeszcze. Dobrze, dobrze...

Coś tam zaszło, na wyżynach...

Czyżby przy likwidacji biura wywiadowczego „Mediator” wyszły na jaw jakoweś poszlaki, prowadzące aż do Lucy? Niepodobieństwo, gdyby groziła kampania prasowa i szantaż, przede wszystkim skierowano by się z propozycjami wprost do niego... Rogers, najuczciwszy z pośredników, został wynagrodzony po królewsku, zresztą zmarł w Europie, zginął w burzę, zerwał się z lawiną na Matterhornie<sup>80</sup>, właśnie jak przystało na takiego lekkoducha i morowca<sup>81</sup>... Sprawa zapomniana i zatopiona jakby na dnie oceanu. Pozostaje jedna jedyna możliwość...

Czyżby „galernik” dał znak życia? Ależ galernik nie miał, nie może mieć pojęcia o inicjatywie Lucy. Rzecz prosta bardzo był ciekawy, co za bóg jest sprawcą cudu i dopytywał się natarczywie, ale Rogers milczał, a Rogersa nawet w najdalszym domniemaniu niepodobna związać z Lucy, której ten wspomniały chłopak nigdy nie oglądał na swoje oczy... Domyślał się, oczywiście, za czyje pieniądze odprawia się cała wyprawa, gdyż stary Osden mu je wypłacał. Boże miłosierny, ileż kosztowała szalona fanaberia Lucy... Był czas, gdy Osden, najtajniejszy pomocnik swej pani, umierał z ciekawości o kogo i o co chodziło w zawiłanej, niepojętej aferze, ale pani milczała, pani wzięła od niego słowo honoru, które zostało święcie dochowane, że nie rzuci on okiem na raporty „Mediatora”, które miały być wręczane wyłącznie na piśmie w zapieczętowanych

---

<sup>80</sup> Matterhorn – szczyt w Alpach Pienińskich (4478 m n.p.m.), szósty pod względem wysokości samodzielny szczyt alpejski. Leży na granicy między Szwajcarią a Włochami.

<sup>81</sup> Morowiec – pot. spryciarz, zuch.

kopertach, ani nie będzie pytał o nic Stolpa, dyrektora agencji, a gdy ten sam zacznie mówić, uchyli się od rozmowy.

I Rogers po powrocie wedle instrukcji nie pisał ani słowa, powiedział tylko *all right*<sup>82</sup> i wręczył mu spory pakiet, opieczętowany na wszystkie strony – bez adresu. I stało się, że Osden, który finansował wszystko od początku do końca, przez którego ręce przeszły straszne pieniądze, sam nie wiedział, aż mu było niewyraźnie i głupio. Sługa sługą... Zaiste Lucy poprowadziła rzecz po mistrzowsku – czyżby się co popsulo?

O wpół do piątej Osden zerwał się i narobił gwałtu, zapomniał, nieszczęsny, na śmierć... Murzynek szofer, przerażony, że państwo zwariowali oboje naraz, zabrał się do roboty, lustro z hallu precz! I to z salonu znad kanapy! Pomagał sam pan i o mało nie spadł z krzesła. I jeszcze na wszelki wypadek lustro z gabinetu pana. Wszystkie lustra wpakowano naprędce do sypialni i zwalono na kupę byle jak. Już nie było czasu, aby zawiesić coś na miejscu lustra w salonie i nad kanapą ziała przykra i podejrzana pustka.

Pani Lucy weszła ożywiona i wielomówna od samego progu. Nad wyraz uprzejma zdobyła jeszcze raz panią domu, zdobytą już od dawien dawna – willa w Harrison wraz z całym urządzeniem i funduszem na jej utrzymanie oraz okrągła sumka dwudziestu pięciu tysięcy, ładny samochód i wiele miłych drobiazgów było darem jubileuszowym, gdy stary sekretarz przechodził na emeryturę. Pani Osden uznała, że Lucy ze swoją okrzyczaną brzydotą nie jest bynajmniej gorszą od wielu zwyczajnych, nieładnych kobiet.

Lucy zagadała ich, nikomu nie dała przyjść do słowa i Osden natychmiast poznał, że jest wyjątkowo zdenerwowaną.

– Ach, jak państwo mieszkacie! Obicia trzeba zmienić, meble też... Te standaryzowane urządzenia są okropne, po prostu nie spełniono mojej woli! Przepraszam! Jutro przyślę agenta, proszę przyjąć ode mnie tę drobnostkę. No, dobry jest i ten parkan naprzeciwno! Ja jestem winna, cóż, nie obejrzałam miejsca... Jak wy możecie znieść na stałe ohydne reklamy „Palm-Olive”<sup>83</sup> i pneumatyk „Firestone”<sup>84</sup>,

---

<sup>82</sup> *All right!* (ang.) – w porządku!

<sup>83</sup> Palm-Olive (właśc. Colgate-Palmolive Company) – amerykański międzynarodowy koncern, założony w 1806 r., produkujący artykuły gospodarstwa domowego, mydło, detergenty, pasty i szczoteczki do zębów. Siedziba firmy mieści się w Nowym Jorku.

<sup>84</sup> Firestone (właśc. Firestone Tire and Rubber Company) – amerykańskie przedsiębiorstwo założone w 1900 r. produkujące opony. Od początku istnienia fabryka dostarczała opony dla Ford Motor Company.



no i ten napis na parkanie yardowymi literami? Do sprzedania – dobrze, jutro kupię plac i co tam na nim jest, każę natychmiast rozebrać parkan, a na wiosnę założę łączkę i trochę krzewów i kwiatów... Ciepło tu u państwa – co za piękny ogień, proszę mi pokazać całe mieszkanie...

Pani Osden straciła głowę z wielkiej radości, a pan zaczął przypuszczać, że w interesach firmy Slazenger zaszła chyba jakaś katastrofa. Wciąż gadając o byle czym i nie patrząc na zwiedzane pokoje, Lucy z kolei wtargnęła do zamkniętej sypialni – oboje państwo ścierpli z przerażenia, Osdenowi na moment groźnie zamarło stare serce – ujrzawszy zwalone lustro Lucy parsknęła krótkim śmiechem i poprosiła o filiżankę herbaty. W salonie zapaliła papierosa i zamilkła na dobre. Osden popatrzał na nią przenikliwie, pragnąc coś odgadnąć. Nie wiedział, o czym mówić i z rozpaczą spojrzął na żonę, ta zaczęła natychmiast.

– Doprawdy, nie wiem, jak wypowiedzieć... Dotychczas nie miałam sposobności... Za to wszystko... A tu dzisiaj jeszcze... Doprawdy, pani Rascob...

– Nie ma o czym mówić, pani Osden, cóż tam dzieci?

– Chłopców tu nie ma, a córka...

– To państwo mają córkę? Zapomniałam... Zameżna?

– Mąż poległ we Francji w roku osiemnastym, a ona mieszka z nami.

– Gdzie poległ?

– Pod Sojzons.

– Wymawia się – Soissons<sup>85</sup>...

– Przepraszam. A co do młodszego syna, to właśnie, proszę pani...

– Panie Osden, co pan powie na te czasy? Ja już nic nie rozumiem, jak zresztą każdy i wszyscy, tylko nie każdy się do tego przyznaje. Pan Hoover<sup>86</sup> ogłosił moratorium dla Niemców, nie żądając nic w zamian, interes kiepski, stracimy co najmniej trzy miliardy, a oni się śmieją w kułak... Dolary łapali na całym świecie przez trzynaście lat jak wariaci, a teraz jakby się zmówili, wszyscy żądają wymiany, nasze złoto jedzie za ocean pełnymi ładunkami okrętowymi... Bezrobotni mobilizują się i gromadzą się w „korpusy”, aby

---

<sup>85</sup> Soissons – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Hauts-de-France, w departamencie Aisne.

<sup>86</sup> Herbert Clark Hoover (1874–1964) – amerykański polityk, 31. prezydent Stanów Zjednoczonych, działacz Partii Republikańskiej.



ruszyć na żer wedle starej tradycji, ale w tamtych czasach to były żarty... Cóż pan powie?

Osden zaczął swoje wywody, a korzystając z chwili, gdy żona wyszła, przerwał i przyciszonym głosem spytał wręcz.

– Pani Lucy, co się stało? Może przejdziemy do gabinetu?

Lucy drgnęła i przez jej pokraczne oblicze przeleciał nagły skurcz, jakby ją kto potrącił w miejsce bolesne, zranione. Wzdrygnęła się – w oczach łzy... Opanowała się, zapaliła świeżego papierosa.

– Gdybym panu mogła powiedzieć całą prawdę... Pan jest jedynym człowiekiem, który mógłby mi dać jakąś radę... Ale nie mam sił wyznać panu prawdy – wstydzę się... Umieram ze wstydu... I wiem z góry, że nic nie powiem, niepotrzebnie pana niepokoję, proszę mi darować, panie Osden, jestem bardzo nieszczęśliwa... Pogadajmy o byle czym, miło mi popatrzeć na pana, stary, wierny przyjacielu, napiję się herbaty i pojedę sobie. Od najmłodszych lat jestem skazana na samotność, ale chwilami trudno mi już podołać... Zresztą, pan mnie zna od dziecka – całe moje życie jest absurdem. Robotnicy moich zakładów, urzędnicy, którym daję chleb, za co mnie oczywiście nienawidzą, przezywają mnie „pokraką”, sami nie wiedzą, że pokraką jestem i w duszy jeszcze gorzej niż na twarzy. Ha, ha, ha! Te lustra... Jacyście wy oboje dobrzy, prości, kochani ludzie... Gdybyż mój syn był podobny do was... To chłopak zimny, skryty, bez cienia przywiązania do matki, dotychczas nie wiem, czy on mnie tylko toleruje, czy nienawidzi. Godzę się nawet na nienawiść, ale niechże wiem za co? Najokropniejsza jest taka nienawiść bez przyczyny, bo nie może minąć, jest wieczna jak przekleństwo ślepego losu. Pan wie, wyprawiam go na studia do Paryża, a w zimie i sama tam wpadnę, od dwudziestu lat nie byłam w Europie, zdziczałam zupełnie – co ja tu mam? Zresztą w Paryżu również mnie nic nie czeka... Będę się kłócić z Raldem i tyle.

Zerwała się z krzesła i siadła z powrotem. Szarpnęła w rękach złoty łańcuszek od torebki i zerwała go, zapaliła papierosa, pociągnęła raz i cisnęła nim prosto na ziemię, na dywan.

– Panie Osden, umówiliśmy się nigdy nie wracać do pewnych rzeczy... Chcę tylko zapytać, czy ten Rogers naprawdę nie żyje?

Zaczął gadać szybko, skwapliwie. Ależ tak – może okazać gazety szwajcarskie z opisem wypadku, posiada je, ma je tuż pod ręką, w kanadyjskim piśmie alpinistycznym umieszczono jego życiorys...

– Dobrze. Gdzie jest pochowany, w Zermatt?<sup>87</sup> Chciałabym mieć jego akt zejścia...

– Odnośny protokół policyjny gminy St. Nicolaus<sup>88</sup> można by mieć, ale zabierze to dużo czasu. Biedny Rogers... Pochowany nie jest, gdyż ekspedycja syndykatu przewodników nie zdołała natrafić na jego ślad, szczątki zawisły gdzieś na ścianach absolutnie niedostępnych... Ale protokół się wydostanie. Niech pani będzie najzupełniej...

– Dosyć! Dosyć!

– Pod słowem honoru, pani Lucy...

– Powiedziałaś dosyć!! Ani słowa więcej!

Herbata, tosty, ciasteczka, papierosy. Osden ośmielił się i powiedział wręcz, że zamknięcie wszystkich zakładów „General Industry” jest wielkim błędem. Potęgę Slazengera stać na przetrzymanie klęski, nie zwalnając ani jednego robotnika.

– Niech mi pan powie, jak to zrobić?

– To bardzo proste – na sześciogodzinnym dniu roboczym lub na pięciodniowym tygodniu.

– Więc drugi Ford? Czy pana przekonali socjaliści?

– Zobaczysz pani, na wiosnę wszyscy tak zrobią, bo muszą, to jedyne wybrnięcie z bezrobocia.

– Jeżeli wszyscy to i ja, poczekam do wiosny, ale wrywać się pierwszej?

– Inni są w gorszym położeniu, więc się boją, ale my chyba możemy sobie pozwolić na inicjatywę, żeby być pierwszymi, co stracimy, z czasem odzyskamy, nas stać na przetrwanie. Proszę pomyśleć, pani Lucy, za ten bohaterski, przełomowy krok zyska pani błogosławieństwo pięćdziesięciu tysięcy ludzi! Nasz przykład pociągnie innych, przyspieszymy rozwój ludzkości, w dziejach gospodarczych świata będą pisać o wielkiej córce Slazengera!

Stary mówił z zapałem, dopiero wczoraj przeczytał artykuł w tej sprawie i miał w pogotowiu argumenty, ale wnet spostrzegł, że Lucy go nie słucha, myśli o swoim. Wreszcie przerwała mu.

– Ciekawa doktryna, ale to nie moja rola puszczać się na eksperymenty dla filantropii albo choćby dla sławy, moje zadanie jest

---

<sup>87</sup> Zermatt – miejscowość i gmina w Szwajcarii, w kantonie Valais, położona na wysokości 1616 m n.p.m., u podnóża najwyższych szczytów Alp poza masywem Mont Blanc. Zermatt jest jedną z najpopularniejszych miejscowości wypoczynkowych w Szwajcarii oraz największym ośrodkiem wspinaczek górskich w tym kraju.

<sup>88</sup> St. Nicolaus – właśc. Saint-Nicolas, miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Dolina Aosty, położona na wysokości 1200 m n.p.m.

bardziej proste – ja wyrabiam rury. Od trzech milimetrów średnicy aż do metra osiemdziesiąt, z żelaza, ze stali, z mosiądzu, formowane z betonu, wypalane z gliny, lane, kute, ciągnięte... Mogę robić rury ze srebra i ze złota, jeżeli te kruszce będą nadal spadały w cenie, ale niechże ktoś potrzebuje moich rur, niechże je, do diabła, ktoś kupuje!

– Będą kupować, muszą kupować, kwestia czasu, społeczeństwo cywilizowane nie może istnieć bez rur!

– Dobrze, ale pozwoli pan, że ja zaczekam aż świat się namyśli. Wielki kanał, odprowadzający kolektor burzowy, jest nieodzowny dla miasta Chicago, ale miasto Chicago zbankrutowało i zawiesiło roboty publiczne i wypłaty. Obstalunek na dwa miliony i ani grosza, ogromny stock<sup>89</sup> wielkowymiarowych rur zalega moje składowiska, wszędzie na hutach, w betoniarniach, w rurach przyszłego chicagowskiego burzowca nocują, a nawet siedzą na stałe od jesieni bezrobotni i bezdomni, pozakładali w polu na moich terenach całe miasta, jedno się nazywa Nowe Chicago, a drugie na moją cześć – Pokrakowice, tam odbierają listy i oba nowe osiedla już figurują w indeksach poczty. Siedzą w rurach i nie dają się ruszać. Słusznie powiedziane – świat nie może istnieć bez rur, nawet w czas wielkiego kryzysu, tylko że ja od moich lokatorów nie pobieram czynszu, więc przykład nie kalkuluje się gospodarczo...

Wstała i zapuściła na oczy i do pół twarzy ciemną woalkę. Lucy wiernie trzymała się swego stylu, nawet gdy żadna kobieta na świecie nie nosiła woalek.

– Pani Lucy, proszę ze mną na chwilę do gabinetu...

– Doprawdy śpieszę się, jedzie się od państwa tak długo...

– Mam prośbę, kto wie, czy się jeszcze w życiu zobaczymy...

– Służę, służę – na twarzy Lucy odbił się przymus, uczyniła się jeszcze brzydszą i zupełnie starą.

Gdy Osden zamykał drzwi gabinetu, spojrzała na niego z nienawiścią. Nie chciała usiąść, Osden stanął po drugiej stronie okrągłego stołu, wsparł się obu rękami, pochylił głowę i westchnął głęboko. Na ten wstęp uroczysty Lucy zatrzęsała się ze złości.

– Pani Lucy, jest pani posiadaczką fortuny i osobą dojrzałą, ale ja nosiłem panią na rękę...

Cokolwiek by i jakkolwiek powiedział, byłoby spotkane szyderstwem, ale stary Osden zaiste nie mógł zacząć gorzej, Lucy parsknęła

---

<sup>89</sup> Stock (ang.) – towar, zapas, magazyn.

śmiechem, pobiegła do hallu, narzuciła futro i nie żegnając się z nikim, wyszła. Potężny studebacker<sup>90</sup> zahuczał, ruszył i znikł.

Za dziesięć minut murzynek wyjechał z willi po doktora, emeryt firmy Slazenger leżał w hallu w fotelu klubowym i dusił się, stare serce groźnie utknęło.

Gerald Carr Rascob słuchał z coraz wzrastającym zainteresowaniem trzeciego z kolei wykładu sekretarza generalnego dyrekcji głównej, zarządzającej całością majątku matki. Dwa razy na tydzień pan sekretarz Nickok przybywał do niego ze swoją teką i od piątej do siódmej wtajemniczał go w arkana wiedzy, którą Rald przezwiał Slazengerologią opisową. Kurs zamierzony był na dwadzieścia wykładów i na szereg bliższych i dalszych podróży dla zwiedzenia ważniejszych zakładów, wytwórni, kopalni, biur, agencji, terenów itp. obiektów, rozproszonych w kilkunastu stanach. Pierwsze dwa wykłady dawały podłoże teoretyczne struktury i rozbudowy wielkich nowoczesnych koncernów i zarys historyczny powstania i rozwoju kompleksu interesów firmy śp. dziada Slazengera. Obecnie Rald został wprowadzony w samo sedno sprawy, jak w gęstwinę przepastnej puszczy, w nieznane mu najzupełniej ostępy matczynej kolosalnej fortuny, która w swoim czasie przejdzie na niego. Słuchając dzisiejszego wykładu, w początkach drugiej godziny doznał nagle oszałamiającego wrażenia, dokonało się w nim nadspodziewane odkrycie i ten moment obudził go jakby z uśpiania, w którym spoczywał przez całe choć tak niedługie swoje życie. Zrozumiał, że nie posiadał on świadomości swojego bogactwa i jego potwornej wagi.

Od dziecka żył się z pojęciem, że matka jest bogata, że wszyscy krewni i znajomi są bogaci, a pan Osden, bona francuska Mlle<sup>91</sup> Oudry, szoferzy, pokojówki, lokaje, ogrodnicy nie są bogaci i służą mamie. Nieznajomi ludzie z ulicy byli jacyś inni, ale gdyby mama tylko zechciała, służyliby jej również wszyscy dlatego, że im potrzeba dolarów, których mają za mało... Potem Mlle Oudry opowiadała mu nieraz o bogatych i ubogich, czasami kazał w kościele pastor o miłosierdziu chrześcijańskim względem wydziedziczonych. Dalej,

---

<sup>90</sup> Studebacker – dawna marka samochodów amerykańskich, założona w 1736 r. przez holenderskiego imigranta Petera Studebakera, od 1902 r. produkująca samochody. Firma istniała do przełomu lat 1966 i 1967.

<sup>91</sup> Mlle (franc.) – skrót od *mademoiselle*, panna, panienska, kobieta niezamężna.

w Lincoln College koledzy wszyscy co do jednego byli bogaci, a ubogimi byli profesorowie i służba zakładu. Gdy wyszedł na wolność, porwały go uciechy nowego życia i choć każdy z coraz to rozszerzającego się koła znajomych dawał mu do zrozumienia, że jest istotą nadzwyczajną i wyjątkową, nie zaprzętał się tym, wiedząc, że tak już być musi i to raz na zawsze – dlaczego? Po prostu, gdyż Lucy jest bardzo bogata.

Teraz, gdy sekretarz generalny pan Nickok od pół godziny wyliczał, czytając z wykazu stan posiadania koncernu imienia Slazengera, jego rozmiary i zasięg olbrzymiały z chwili na chwilę, rosnąc wzwyż, wszerz, w głąb z każdą nową pozycją, i właśnie tu Rald doznał oszołomienia, w którym zdradzał się niepokój i poczynał się jakby strach... Proste, jasne pojęcie – Lucy jest bardzo bogata – stało się pustym słowem, zbyt nędznym w porównaniu z zarysowującą się już rzeczywistością.

Na świecie nie brak ludzi „bardzo bogatych”, milioner w USA był zawsze osobą dość pospolitą, a w skutku wojny światowej namnożyło się tego bez liku, każdy miał willę w Miami<sup>92</sup>, niekiedy na wyspach Sandwich<sup>93</sup>, i w takim razie własny jacht, abonowali się w Metropolitan Opera<sup>94</sup>, mieszkali w pałacach na Fifth Avenue, na Czterdziestej Drugiej, na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, prowadzili życie na stopę szeroką i zbyt kowną, na poziomie mniej więcej zbliżonym do tego, co widział we własnym domu, choć Lucy była skąpa, a raczej mało wymagająca i z pewnością mniej wydawała na dom niż pierwszy lepszy przeciętny taki sobie nowojorski najniższego rzędu milioner.

Ale absurdem byłoby mieszać Lucy z hołotą i nazywać ją osobą bardzo bogatą, milionerką. Fortuna matki, a więc fortuna jego, jak wypada z informacji Nickoka, ma zaledwie parę imion sobie równych. Rockefeller, Carnegie są znani całemu światu dla ich reklamowej manii filantropijnej, Ford, głośny eksperymentator, posiada znacznie mniej niż spadkobiercy wielkiego Slazengera, ale Lucy przez całe życie siedzi cicho, więc nikt o niej nie wie, jak

---

<sup>92</sup> Miami – miasto na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego w południowo-wschodniej Florydzie w Stanach Zjednoczonych, siedziba hrabstwa Miami-Dade.

<sup>93</sup> Wyspy Sandwich – archipelag jedenastu wysp wulkanicznych na południowym Atlantyku o powierzchni 336 km<sup>2</sup>, należących obecnie do Wielkiej Brytanii.

<sup>94</sup> Metropolitan Opera – teatr operowy w Nowym Jorku, pierwotnie znajdujący się w gmachu przy Broadwayu. Od 1966 r. Metropolitan Opera znajduje się w Centrum Lincolna dla Sztuk Scenicznych.

i o Shurmanie, który jest bezsprzecznie najbogatszy w Stanach, a nawet na całym świecie.

Sekretarz generalny dojechał właśnie do rur slazengerowskich.

– „General Production and Installation Industry” jest czystym w typie przemysłem samowystarczalnym, postawionym w idealnym pionie. Posiadamy własne kopalnie węgla, rudy żelaznej, miedzianej, cynku, własne pokłady glin i gliniek, własne wytwórnie wszelkich maszyn, niezbędnych dla naszej produkcji, cokolwiek nam potrzeba, wytwarzamy sami, aż do ubrań i obuwia dla naszych pracowników, którzy przez to otrzymują towar 25% taniej. Nasze rury mają monopol w obu Amerykach i w Kanadzie i tylko sama natura produkcji kładzie kres naszej ekspansji eksportowej na cały dalszy świat. Szanowna pani Rascob nie życzyła sobie fundować nowych wytwórni w Europie lub gdzie indziej poza granicami Ameryki, gdyby nie to, opanowalibyśmy kulę ziemską, co zresztą w każdym momencie da się zapoczątkować, gdyż własnych kapitałów posiadamy pod dostatkiem, w tym nadmiar zupełnie wolnych, leżących po bankach na znikomym oprocentowaniu.

...Dalszym rozgałęzieniem naszego centralnego pionu są roboty instalacyjne, kanalizacja, wodociągi, przewody kablowe, gazowe, centralne ogrzewanie, rurociągi naftowe, przenoszenie siły wodnej aż do budowy drobnych studni cementowych włączanie. W każdym stanie USA posiadamy stałe biura oraz w główniejszych miastach Kanady, Ameryki Centralnej i Południowej...

Rald dziwił się, zdumiewał się sam sobie. Aż do tej pory nie posiadał właściwego pojęcia o fortunie matki, nie był nawet ciekawy i ani razu nie zapytał jej o to – czyżby szwankował na inteligencji? Ogrom spadł na niego zupełnie nadspodziewanie, nie wywoływał radości ani pychy, jeno tępe zdumienie. Po tym odkryciu pierwszy przeblysłk jego myśli wyraził się w zbędnym, naiwnym pytaniu – po co tak potwornie dużo? A dalej, przelotny odruch jakby oburzenia – jak świat dopuszcza, żeby w jednym ręku zgromadziło się nieprawdopodobne bogactwo? Zaś najważniejsze – co on będzie z nim robił? Był przytłoczony – któż go skazał na taki los? Jak podołać niemożliwemu zadaniu?

Więc dlatego matka jest tak zdenerwowana i zachowuje się czasami jak wariatka... Dręczy ją bogactwo, albowiem przechodzi jej siły i miarę, zatapia ją... A on, choćby za lat dziesięć, gdy dojrzeje, czy wytrzyma miarę swego bogactwa, jego potworny ciężar?...

Sekretarz recytował głosem namaszczonym dalsze pozycje przedsiębiorstw i dawał krótkie wyjaśnienia, a z jego tonu łatwo można było wywnioskować, że jeszcze daleko do końca, był w pełnym rozpędzie.

– ...Tereny leśne w Kanadzie (500 000 ha), zakupione jeszcze przez śp. dziada pańskiego, panie Rascob, od paru lat zaczęły wydatnie procentować dzięki dwóm nowo zbudowanym odnogom Canadian-Pacific, otworzyliśmy własny port na Michigan<sup>95</sup> dla naszej flotyli holowników i barek. Niedaleko granicy zbudowaliśmy tartaki oraz wielką papiernię, logika pionu terenów leśnych domagałaby się w dalszym swoim rozwoju powołania do życia przedsiębiorstw budowlanych, mebli oraz własnego kartelu gazet...

– Gazet? A to po co?

– Dla korzystniejszego zużytkowania naszego papieru.

– Jakież to byłyby gazety?

– Wszelkich kierunków, panie Rascob, zakupilibyśmy grupę wydawnictw dobrze prosperujących, wielkie pisma polityczne, gazety lokalne, magazyny rozrywkowe, wydawnictwa specjalne rolnicze, handlowe, naukowe, artystyczno-literackie, religijne, tygodniki kinowe, humorystyczne, zaopatrując je w papier, poczynając od gazetowego aż do wysokich gatunków luksusowych. Niestety, szanowna pani Rascob nie zdecydowała się wstąpić na tę drogę. Ażeby skończyć z koncernem leśnym, wspomnę tylko, że przed trzema laty nasza pierwsza wyprawa lotnicza dla zdjęć w terenie w celu wygotowania dokładnych map odkryła bogate źródła gorące w nader malowniczej okolicy górskiej, wysłani tam eksperci uznali je za wyjątkowo cenne, obecnie kończymy budowę własnej drogi-autostrady, odchodzącej od bocznic Canadian-Pacific. Nowa miejscowość klimatyczna ma nosić nazwę „Gerald Creek” na pańską cześć.

Rald słuchał, nadrabiając powagę, jak przystało na dojrzałego człowieka, biorącego udział w konferencji o doniosłych sprawach.

Nade wszystko, niechże mu ktoś odpowie... Ale jakże zapytać? Wstydził się, pan Nickok gotów go wziąć za naiwnego młodzieniaszka, który nie dorósł do swojego stanowiska. Pan Nickok, człowiek pozytywny, wielki businessman, po prostu nie zrozumiałby pytania, a Rald nie zdołałby go nawet wyraźnie postawić.

---

<sup>95</sup> Michigan – stan w Stanach Zjednoczonych, leżący w części regionu Midwest nazywanej regionem Wielkich Jezior.



Wyraźnie – na to trzeba by niemałej odwagi, do tego zdolne są małe dzieci lub kobiety, gotowe zawsze spytać, gdy czego nie rozumieją, i zaryzykować najgłupsze pytanie. Powstrzymał się. Wiedział, że się nie myli, bez zgłębienia do gruntu racji bytu, po prostu potrzeby i sensu podobnego stanu rzeczy nie zdoła nigdy przejąć się swoją rolą i zabrać się kiedykolwiek do prowadzenia kolosalnego splotu interesów, odziedziczonych po matce. Choćby się nauczył z wykładów w Sorbonie<sup>96</sup> i z książek wszystkiego, czego nie umie, zawsze go będzie gnębić pytanie, które sformułowane szczerze i tajemnie, ot tak, dla samego siebie, brzmiałoby – po co u diabła to wszystko?

Jak można postawić podobne pytanie? Wszak podważa ono cały ustrój świata, niweczy jego wszystkie tradycje, obala cywilizację...

Jedno z dwojga – albo naprawdę jest on jeszcze za mało rozwinięty umysłowo, a więc nawet na swój wiek zanadto głupi, albo też ma słuszość i wówczas...

Wówczas perspektywy przyszłego życia stają przed nim w obłąkanych, pomylnych rzutach linii, krzyżujących się nawzajem. W takim razie absurdem staje się cały jego los.

– ...Na tym zakończyliśmy przegląd koncernów i przedsiębiorstw własnych w najściślejszym znaczeniu słowa, czyli ufundowanych przez jedną wolę, z kapitałów pochodzących z jednego i tego samego źródła, a kierowanych jedyną czysto osobistą decyzją. Następny wykład poświęcony będzie naszemu udziałowi w przedsiębiorstwach i interesach stowarzyszonych, jak spółki akcyjne, interesy czasowe lub stałe, oparte na wzajemnej umowie współnictwa i tym podobne. Dalej przejdziemy do wykazu finansowej części naszego majątku w postaci kapitałów płynnych, znajdujących się w obrocie w obcych rękach na naszych, a przeważnie na zagranicznych rynkach...

Pan sekretarz generalny Nickok ładował papiery do teki i zabierał się do odejścia. Rald zatrzymał go, kazał podać herbatę. Rozmowa toczyła się o wydarzeniach dnia, o katastrofalnym spadku papierów kolejowych, o długach wojennych, o buncie farmerów w Iowa, w Missouri, w Idaho<sup>97</sup>, o pewnym Polaku w Paryżu, który odkrył metodę sztucznego wytwarzania złota i został oskarżony

---

<sup>96</sup> Sorbona – francuski uniwersytet w Paryżu, powołany przez króla Ludwika IX w 1257 r. jako kolegium teologiczne. W średniowieczu jedna z najstarszych i najważniejszych instytucji tego typu, była wzorem dla innych uniwersytetów.

<sup>97</sup> Iowa, Missouri, Idaho – 3 z 50 stanów USA, położone w centralnej części kraju.



o oszustwo rzekomo przez potężną mafię finansistów, którym to odkrycie zagrażało ruiną<sup>98</sup>... Wreszcie Rald przypomniał sobie zdarzenie sprzed tygodnia, które trapiło go przez parę dni, aż wypadło mu z pamięci.

– Panie Nickok, pewnego razu spotkałem na ulicy mego przyjaciela i kolegę z Lincoln College. Jeszcze przed pół rokiem, gdy obaj kończyliśmy studia, opływał on we wszystko, był synem bardzo bogatego człowieka. Ujrzałem go w ostatniej nędzy, dość powiedzieć, że mieszka gdzieś kątem, a żyje z czyszczenia butów na ulicy. Podejrzewam, że mnie zmistyfikował... Zapewne wchodzi tu w grę jakiś dramat rodzinny – on zaś powiada, że ojciec stracił wszystko i umarł, okazało się, że jest zupełnym bankrutem. Czyż jest rzeczą możliwą, żeby wielka fortuna upadła w pół roku? Zdarzają się fatalne krachy – ale żeby nic nie zostało? Żeby w niecałe pół roku syn milionera...

– Można spytać o nazwisko tego młodzieńca? Zresztą zapewne po tak szczęśliwym spotkaniu skończyła się jego niedola...

– Otóż nie chciał ode mnie nic przyjąć, na razie nawet tych marnych stu kilkudziesięciu dolarów, które miałem przy sobie, ani żadnej pomocy – przecież matka natychmiast dałaby mu dobrą posadę... Powiedział mi – Rald, nie małpujmy sytuacji z kinodramatu<sup>99</sup> dla przedmieść – i uciekł jak przywidzenie, znikł we mgle... Nazywa się on – cóż, w tym nie ma wstydu – jest to Eddy Wychgram.

– Sam Wychgram, na Wall Street<sup>100</sup>, dobrze znany wypadek. Wysadziło go z relsów<sup>101</sup> bankructwo „U. S. Shipbuilding”, wszystkie jego interesy zachwiały się, puścił się na giełdę, wpadł w panikę, ratował się gorączkowo, nieprzytomnie, zapędził się, podpisywał na wszystkie strony duże zobowiązania na warunkach lichwiarskich, puszczał wszystko w ruch... Oprzytomniał, chciał zawrócić i potknął się na ogromnym pakiecie akcji „Indiana Consolidated Corporation”, które właśnie spadały na łeb na szyję. Czekał, czekał, a gdy doszły do dwunastu procent, otrul się. Odratowali go na razie, umarł dopiero w dwa miesiące później, zostawił ponad 3 miliony długów bez pokrycia, zrujnował wielu, wielu ludzi. Wierzyciele zabrali

---

<sup>98</sup> Brak informacji o tych wydarzeniach, chodzi prawdopodobnie o skutki Wielkiego Kryzysu.

<sup>99</sup> Kinodramat – tu: prawdop. melodramat.

<sup>100</sup> Wall Street – ulica w Nowym Jorku, na Dolnym Manhattanie, siedziba Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych.

<sup>101</sup> Relsy – dawn. szyny kolejowe, tory.

wszystko, ponieważ był to człowiek naprawdę rzetelny, a przy tym współnicy zdradzili go haniebnie. Czy zawinił? Nie powiem, kto mógł dopuścić samą myśl o możliwości bankructwa „U. S. Ship-building”? Komu się mogło przyśnić, że akcje Indiana stracą wszelką wartość? Gdyby był zwyczajnym człowiekiem interesów, urwałby cośkolwiek, czyli po prostu ukrył bodaj minimalną resztkę, jak się to czyni zawsze przy każdym bankructwie, jest na to mnóstwo sposobów, ale on tego nie uczynił i wygnał syna na bruk, wy kierował go na ulicznego pucybuta... Droga cudu, którą legendarny pucybut nowojorski wychodzi na milionera, jest i teraz zawodna i długa, za to cud przemiany milionera w pucybuta odbywa się za naszych czasów nieraz błyskawicznie, takiemu obrotowi rzeczy obecne stosunki sprzyjają jak nigdy. Co się u nas wyrabia... Co się wyrabia, panie Rascob... Ale szkoda, że pański przyjaciel, młody Wychgram, jest tak chorobliwie dumny...

– Zawsze był taki, od czasu jak go poznałem, miał wówczas trzynaście lat.

– Umieściłbym go zaraz.

– Zawziął się, obawiam się, że odmówi – jego na to stać. W spojrzeniu miał jakby szaleństwo... Zresztą jak go odnaleźć?

– O, panie Rascob, są agencje, które znajdują każdego, choćby dzie sięć razy zmienił nazwisko i uciekł na koniec świata!

– A więc dobrze.

– Do usług, panie Rascob.

Pani Lucy od trzech dni nie opuszczała swoich apartamentów i nie przyjmowała nikogo, nawet ulubionej sekretarki, miss Cynthii Vose, nawet Ralda, który zgłosił się raz jeden i nie próbował więcej. Zamknęła się na klucz w swej sypialni i przyległym pokoju, nie pozwoliła u siebie sprzątać, dzwoniła dwa, trzy razy dziennie na zaufaną pokojową (otrzymującą ponad zwykłą normę jeszcze trzykrotną pensję, która nie była uwidoczniiona w budżecie domowym) i w drzwiach odbierała od niej tacę z sandwiczami, z owocami, z herbatą, a co rano wraz ze śniadaniem dość ciężką paczkę, szczelnie zawiniętą i zawiązaną. W ciągu tych trzech dni nie odezwały się do siebie ani słowa, tak było ustalone, Bessie nie wolno było nawet podnieść oczu na panią.

Okresy absolutnego osamotnienia Lucy, trwające czasami i do tygodnia, zdarzały się parokrotnie w ciągu roku i obyczaj ten ciągnął się już od lat kilkunastu. Generalny pełnomocnik, wyżsi urzędnicy,

interesanci, służba mówili różnie: pani ma swój atak newralgii, pani pragnie odpocząć od ludzi, pani ma jakieś wielkie zmartwienie, pani obmyśla ważne sprawy, a chytra Bessie, której uroiło się, że wszystko wie – nic nie mówiła, gdyż pisać o tym słowa nie ośmieliłaby się pod groźbą utraty bajecznej służby i przyobiecane jeszcze bardziej bajecznego daru w gotowiznie, myślała: – stara znowu się wściekła i pije.

Lucy była abstynentką, w jej domu panował surowo-lojalny suchy obyczaj, piła tylko w dniach rozpaczy, nienawiści i odrazy do samej siebie i okropnej, niewysłowionej nudy, co było najgorsze i pochłaniało bodaj najwięcej butelek. Nie było innej rady na straszliwe ataki melancholii, która, towarzysząc jej nieodstępnie jak cień od wielu lat, od czasów niepamiętnych, w pewnych momentach wzbierała jak nikły górski potok po nagłej nawałnicy i zalewała ją furia, rozbijała w pył jej mocną wolę. Wypróbowała wszelkie gatunki i postacie zapijania swej niedoli; najstarsze, najdroższe wina, szampan, tęgie czarne moszcze hiszpańskie, dalmatyńskie, cypryjskie i wiele innych budziły w niej wstręt, piła duszkiem przez przymus, przeszła do wódki, to było w smaku nieco znośniejsze, a w skutkach szybsze i trwalsze, piła gin kanadyjski i rum.

Jej szalone tajemne dni i noce były jakby przerwami szczerzej prawdy i wolności w jej istnieniu normalnym, jałowym, udanym i przymuszonym, które wlokła za sobą nie wiadomo po co i na co, jak skazana. Pomimo wstrętu do siebie i zaprzysięganej za każdym razem poprawy, Lucy wierzyła i wiedziała, że się nie myli, gdy otrząsnąwszy się wreszcie z samotnego rozpasania, uznawała te okresy za jedyne dni zwycięstwa w swej opłakanej walce z losem.

W te dni, w te noce zapominała na długie godziny o najcięższym swoim udręczeniu, wówczas nie czuła się odrażającą, nie miała się za szpetną – to było bardzo wiele, niemal tryumf. Czasami zaś na wyżynach przepicia, zanim wódka zwała ją z nóg, wpadała w ekstazę szczęścia i zachwytu, a gdy wówczas spojrzała w lusterko, wydobyte z ukrycia, stawał się naraz cud – była młodą i piękną...

Jak przez czary odmieniał się świat i objawiał w całej bujności niezaznanego szczęścia. Porywała ją żądza życia, wyobraźnia stwarzała wszystko, jak być powinno, dawała nową wspaniałą rzeczywistość, jaką istnieją tylko jacyś inni, wybrani – ale wszak i ona jest inną, wybraną z wybranych, posiadając fantastyczne bogactwo, które dawało wszystko, pozwalało na wszystko. W orgiach wyobraźni dochodziła do obłędu, były to przygody, podróże, rozkosze już

przeżyte i powtarzane we wspomnieniu, albo rzeczy niebywałe, dopiero zamierzone, których spełnienie się zależało jedynie od zachcenia.

Była uwielbianą, iluż ludzi ją kochało...

Whisky dawało rozpasanie wyobraźni, wizje i ekstazy, rum dawał sny. One ją wciągały w niezgłębiony, poczwarny świat, dręczyły, przerażały, budziła się nieraz od własnego krzyku, rozpaczliwego wołania o ratunek, nieraz we łzach. Przechodziła przez piekło, ale bywała i w niebie, po ocknięciu w ciągu długich godzin spoczywała w bezwładzie, rozjątrzona rozkoszą, zmożona szczęściem... Albowiem w snach przychodził on, zawsze ten sam i wierny sobie, jedyny na świecie, w przestrzeni i w wieczności. W nim zjednoczyło się niebo z piekłem, on dawał błogość i mękę. Odpędzany z myśli, znienawidzony i zabity, zapomniany na długo, nieobecny w jej powszednich dniach i nocach, zmartwychwstawał w pijanych snach.

W rzeźbionej skrzynce, wykonanej dla osobliwości z żelaznego drzewa, dziwadła natury z wenezuelskiej puszczy, na którym tępi się siekiera i łamią się zęby piły, które nie chce płonąć w ogniu, a tonie w wodzie, Lucy chowała swoje tajemne wspomnienia. Cóż pozostało? Koperta z paru niebieskimi kartkami paryskiej poczty pneumatycznej, pęk czarnych włosów, związany na węzeł, kilka drobnych szkiców ołówkowych, wreszcie...

Kobięcy akt akwarelowy, oprawiony w grube szkło, był podniszczony, nieco wyblakły, bił z niego czar nie tyle mistrzostwa poprawnej zresztą akademickiej roboty, co dzikiego piękna w liniach modelu. Tors, wzniesione ramiona, zwłaszcza trudne do uchwycenia zaprawdę węzowe przegięcia w biodrach, znamionowały urodę wyjątkowo doskonałą. Miała ona wyraz niepokojący, pociągała pokusą, zarazem onieśmiała, nie posiadała nic z niepokalanego, klasycznego wzoru. Te piersi, ramiona, biodra, nogi, stopy nie dopuszczały czystej, niematerialnej ekstazy, artystycznego uwielbienia, domagały się uścisku, pocałunków, zdobycia, szału, rozpętywały wszystkie żądze. Ich szatańskie stygmaty wyzierały jawno grzesznie z młodzieńczo smukłego, mocnego ciała, artysta wy dobył je świadomie czy nieświadomie przez podstępny, wyrafinowany układ modelu, rozłożonego bez wstydu, bez żadnego zatajenia na stosie jaskrawych, wzorzystych poduszek na tle posępnego kobierca w ciemne, brązowe i czarnoczerwone rzuty. Przegiął ten kształt dziewczęcy jak w spazmatycznym skurczu, rozchylił biodra,

rozzucił nogi. Wiła się po poduszkach jak jadowita, cudna i straszna gadzina. Nad głową dwie dłonie z rozwartymi, drapieżnie nastawionymi palcami – potworna opętująca pajęczycza czyha na żer, biada temu, kogo skusi. Wyssie krew. Zadręczy.

Jednak była w tym obrazie dziwna martwota, pustka, nic nie przemawiały oczy, usta, brak było żywego wyrazu oblicza, które jest koroną i szczytem piękna w całokształcie ludzkiej postaci. Promieniało, przemawiało, kusiło jedynie ciało – akt nie posiadał twarzy, wtulonej między poduszki, tylko pasma splełanych jasnych złotych włosów wytryskały, ścieląc się na posłaniu.

Tak być musiało.

Nie mogło być inaczej, był to bowiem akt Lucy Slazenger, jednej z najbogatszych dziedziczek w Stanach Zjednoczonych, tragicznej panny, która na generalnym konkursie brzydoty oblicza zarówno jak na konkursie piękności aktu mogłaby się ubiegać o palmę pierwszeństwa.

Obraz był sprzed lat dwudziestu.

Lucy ustawiła go w najlepszym świetle, wychyliła szklankę whisky, otrząsnęła się z odrazy, ułożyła się wygodnie wśród poduszek otomany i pogrążyła się w zapatrzeniu. Po chwili w mózgu jej zaczęło się przyćmiewać i zanikać wszystko co niepotrzebne, oczy zmętniały, świat oddalał się i zamierał, wnet zostanie sam na sam ze swoją tajemnicą.

W głównym hallu na parterze zegar bił południe. Potężne, głębokie uderzenia dochodziły do niej zgłuszone i niepewne, zdawały się płynąć od dalekiego kościoła. To nic, że południe, w sypialni panuje noc, potrójne kotary zasłaniają okna, pali się jedna jedyna lampa, przyćmiona ciemnofioletową osłoną, nastawiona światłem na obraz. Zamiera ostatnie uderzenie zegara, zaraz odezwie się kurant południa, rzewna słodycz psalmu – *Bliżej do Ciebie, Boże mój*<sup>102</sup>...

To nic, to nic... Niech zegary liczą godziny, niechaj sobie dzielą dzień od nocy, tu nie sięgają prawa czasu, tu panuje niezgłębiona, nieprzespana, wieczna noc.

Dwadzieścia lat!

---

<sup>102</sup> *Bliżej do Ciebie, Boże mój* (org. *Nearer, my God, to Thee* – po polsku znana jako *Być bliżej Ciebie chcę*) – angielska chrześcijańska pieśń religijna inspirowana snem Jakuba opisanym w Księdze Rodzaju (Rdz 28,11–19). Oryginalny tekst został napisany przez Sarah Fuller Adams w 1841 r. Według świadków psalm ten był grany jako ostatni utwór przez orkiestrę na Titanicu.

Dwadzieścia lat to jedna chwila... Wczoraj leżała rozrzucona bezwstydnie przed jego rozmiłowanymi oczami, kryjąc twarz, patrząc weń jeno przepychem ciała. Oto jak winna zawsze okazywać się ludziom dotknięta srogim kalectwem brzydoty, upośledzona, sporniewierana przez los Lucy Slazenger.

On jeden odgadł ją oczami duszy, nieomylną wizją artysty, nie zwiódł go, nie odtrącił pozór, haniebna brzydota jej twarzy, wystawiona jak na urągowisko.

...Pracownia na Rue Danou<sup>103</sup> – przez wielkie okno pcha się do oczu całą swoją potęgą niezmierny obszar Paryża. Nędzne słomiane krzeselka, wyboiste posłanie, kotary, poduszki z jaskrawo drukowanego kretonu, brudne, wydeptane maty na ceglanej podłodze, żelazny piecyk z długą, pokrętną rurą, układającą się na tle okna i Paryża w olbrzymi, czarny, złowrogi znak zapytania...

Precz z wróżbami! Precz z tym śmiechem, którym od dwudziestu lat rechocą nad nią wszyscy diabli! Nie pytać o nic... Dość, dość...

Nie odrywając oczu od obrazu, sięga – potężny łyk prosto z butelki.

Rozstępują się ramy akwareli, objawia się cała pracownia we wszystkich zakątkach – już go widzi... Dymi fajką i pracuje zapamiętane – czyż może być piękniejszy człowiek na świecie? Co za głębia, jaka szlachetność w spojrzeniu... Właśnie szlachetność, a wy...

Precz diabli!...

Jedyny na świecie, którego kochała... Jedyny, pierwszy i ostatni, który ją w życiu posiadał... Przed dwudziestu laty... Jeszcze pała jego pocałunki, jeszcze boli ucisk jego ramion. Dwadzieścia lat? To jedna chwila! Niczym, pustką, cieniem, fikcją jest wszystko, co się działo potem aż do dzisiejszego dnia. Lucy jest starą kobietą? Fałsz! Jest tą samą, która leży tuż przed jej oczyma w pracowni Chuana<sup>104</sup> na Rue Danou.

Chuan jest bandytą? Mordercą? Złodziejem, który udawał wielką miłość, a dybał tylko na jej klejnoty? Chuan podłym, cynicznym oszustem? Nieprawda, ach, nieprawda, cóż to za nikczemnik nałgał jej o nim? Chuan to wielki artysta, Hiszpan z Argentyny, zubożały, dumny hidalgo<sup>105</sup>. On nic nie wiedział o jej klejnotach, o bogactwie, wszak poznali się na ulicy, niedaleko dworca St. Lazare...

---

<sup>103</sup> Rue Danou – prawdop. Rue Daunou, ulica w 2. dzielnicy Paryża, w pobliżu Place de l'Opéra, przy której znajduje się Théâtre Daunou.

<sup>104</sup> Chuan – postać z *Pieniądza*, artysta, przestępca, demoniczny kochanek Lucy Rascob i ojciec Ralda.

<sup>105</sup> Hidalgo – szlachcic hiszpański.

Nieprawda! Zabawne, potworne kłamstwo – Chuan, ukochany chłopcze, słyszysz, o co się oskarżają? Śmiejemy się, Chuanie, bierz mnie w objęcia i niech diabli porwą cały świat!

Lucy po raz więcej niż setny miała w ręku ten list, pamiętała każdy jego zwrot, każdy znak, każdy błąd gramatyczny francuskiego języka. W ciągu tygodnia czytywała go w zapamiętaniu i we trwodze. Później usiłowała rozważać go na zimno, rozsądnie, wmawiając w siebie, że jest on niezbitym faktem, zdarzeniem olbrzymiej wagi. Trzeba nieodzownie coś począć. Przygotować się na każdą możliwość – a ileż ich jest.

Trudno jej szło, nie było mowy, żeby się kogoś poradzić, nikt na świecie nie znał całej tajemnicy, pewien jej ułamek wyznała Rufusowi Rascob, gdy szukała legalnego ojca dla dziecka, mającego przyjść na świat. Mógł się domyślać i gubić się w domysłach stary Osden, posłuszne, pocziwe narzędzie jej szaleństwa, o którego pobudkach nie miał i dotąd zapewne nie ma pojęcia.

Nie miała przyjaciół, przyjaciółek... A któż wreszcie mógł dać radę w podobnej sprawie – nie ma na świecie takiego mędrca, nie ma nikogo, komu mogłaby wyznać całą prawdę. I o co się radzić? Sama nie wie, czego się lęka, a czego chce...

Sam list, pismo, w którym poznawała niezbitcie jego rękę, był dla niej jeszcze dotąd snem, przywidzeniem, jakimś mitem, niepodobna go była roztrząsać rzeczowo. Za każdym razem, gdy zatapiała się w czytaniu, jeszcze wątpiła, gubiła się poza tym w urojonych podejrzeniach, że ktoś ją zdradził... Kto? Że jej tajemnica wpadła w czyjeś nikczemne ręce... W czyje? Ten człowiek przed śmiercią... Skąd wiadomo, że nie żyje? Pismo jest podrobione, wynurza się jakaś banda, obchodząc samą rzecz zaczyna z daleka, kołuje, ale zmierza oczywiście do grubego szantażu, na miliony. To wypływa choćby z uderzającego objawu, że na początek wystrzegają się nawet wspomnieć o pieniądzach... Jest za to sentymentalna wzmianka o synu. Wszak Rald to ich najpewniejsza, murowana szansa, wiedzą, że za Ralda gotowa oddać im wszystko, co zechcą.

Roilo się w jej głowie od przypuszczeń, jak gdyby grała na zwłokę. Łudziła samą siebie, w istocie bowiem wiedziała od razu i raz na zawsze, że sprawa jest oczywista.

Odezwał się i już – cóż prostszego? Zdumiewać się trzeba, że tak późno, wszak od razu mógł napisać albo zgłosić się osobiście – czyli



przed trzema laty. Pisze wyraźnie, że natychmiast się domyślił, jakie niebo zesłało tajemniczego wybawiciela i skąd pochodzi królewski dar, który otrzymał na nowe życie.

– Ów cud mógł się ziścić przez nadludzką dobroć i przez miłość nie do pojęcia wierną, ale nie mniej i za sprawą wielkich pieniędzy, któż więc we wszechświecie mógł być tym cudotwórcą jak nie Ty, Lucy? Stąd wniosek, że uzyskałem przebaczenie, a raczej pewna osoba zrozumiała mnie w całej pełni. Czyż mogłem postąpić inaczej? Wszak byłem wówczas wykolejonym artystą, zawodowym bandytą i niczym więcej! Łaskawe względy ze strony pewnej osoby skierowały mnie na inną drogę, pragnąłem romans zakończyć uczciwie i honorowo i zrobić przy tym dobrą partię. Byliśmy na najlepszej drodze, niestety znajdowałem się w niewolniczej zależności od moich współników, którzy wysledzili mnie w Paryżu i odgadli mój plan. Postawili warunki, których nie mogłem przyjąć, a że byli to ludzie twardzi, spełnili swoją groźbę i wydali mnie w ręce policji. Musiałem uciekać, wyrzekając się wspaniałej kariery i porzestać na torebce z klejnotami, która w owej ciężkiej dla nas obojga godzinie przygodnie wpadła mi w ręce... Gdyby nie przekłety, ślepy traf, proszę pomyśleć, co byłoby z nami obojgiem o tej porze – nie dalej jak za pięć lat obchodzilibyśmy srebrne wesele...

-----

-----

...Wydostawszy się szczęśliwie z matni, nastawionej na mnie przez starych druhów, postanowiłem pędzić odtąd życie spokojne i uczciwe, a dzięki torebce z klejnotami, które wyprzedawałem ostrożnie i oszczędnie, mogłem oddać się poważnie sztuce. Dla zupełnego spokoju jeszcze raz zmieniłem nazwisko, narodowość, odnośne papiery i opuściłem Francję. Ale stare grzechy mnie szukały i ścigały. Eumenidy<sup>106</sup> wytropiły mnie nader szybko we Florencji. O wybuchu wojny dowiedziałem się już za tym posępnym murem, pod którym przechadzaliśmy się czasami o zmierzchu – pamiętasz, Boul<sup>107</sup>. Arago<sup>108</sup>? Spędziłem w Santé<sup>109</sup> lata wojny i jeszcze prawie

<sup>106</sup> Eumenidy – Erynie, w mitologii greckiej boginie zemsty, kary i gniewu.

<sup>107</sup> Boul – brak informacji o tym miejscu.

<sup>108</sup> Arago – prawdop. chodzi o jaskinię w południowej Francji, u wschodniego podnóża Pirenejów.

<sup>109</sup> Santé – La Santé, więzienie położone w 14. dzielnicy Paryża, jedno z najsławniejszych więzień Francji, zbudowane w 1867 r. przez francuskiego architekta Émile'a Vaudremera.



rok, a w dniu podpisania traktatu wersalskiego<sup>110</sup>, gdy z fortów La Rochelle<sup>111</sup> grzmiały salwy tryumfalne, odbijałem właśnie z tysiącem mnie podobnych „galerników” na antypody do tak zwanej po więzieniach La Nouvelle<sup>112</sup> – na całe życie. Płynąłem jak do własnego grobu, nie łudząc się nadzieją na żadną amnestię – a cóż dopiero z Twoich rąk.

---

...Proszę mi łaskawie wybaczyć, że natychmiast po odzyskaniu wolności nie wyraziłem ci mojej wdzięczności, piszę ze znacznym opóźnieniem, zwlekałem przez trzy lata! Ach, te trzy lata – jakże szybko przemknęły!... To mój okres wstępny do nowego żywota, trzy fazy rozwoju – niemowlęctwo, dzieciństwo i uroczy wiek młodzieńczy – jeszcze raz dzięki Ci, Lucy, za darowane, za zwrócone życie! Nie ma słów na oddanie moich przemian, przewrotów, żywiołowej radości z samego istnienia, młodzieńczych wzlotów, rojeń... I tych momentów zdumienia nad samym sobą, rozkosznej niewiary w rzeczywistość własnego powtórnego istnienia. W tych dniach wkroczyłem właśnie w czwarty rok od moich narodzin, ale pamiętam dobrze, że, licząc z przekłętą przeszłością, mam obecnie pięćdziesiąt pięć zwyczajnych ludzkich lat. Lecz hańba przeszłości jest pogrzebaną, umorzoną, już odpadła ode mnie, a ja czuję się młodym.

---

...Jedna, jedyna skaza na moim szczęściu. Myślisz, że to wyrzuty odrodzonego sumienia za przeszłość, bodaj za Twoją krzywdę, nie, sumienie mam spokojne. Moje kradzieże, włamania, rabunki, moje łajdactwo wobec Ciebie, wreszcie śmierć paru ludzi, którzy mi zawadzali, były złem koniecznym w moim zawodzie. Nie mniej, ale i nie więcej niż podstępny, oszustwa, rujnowanie ludzi, wyzysk, ucisk

---

<sup>110</sup> Traktat wersalski – traktat pokojowy kończący I wojnę światową, podpisany 28 czerwca 1919 r. przez Niemcy, mocarstwa ententy, państwa sprzymierzone i stowarzyszone. Traktat ustalił wiele granic między państwowych w Europie oraz wprowadził nowy ład polityczny.

<sup>111</sup> La Rochelle – miasto w zachodniej Francji, w regionie Nowa Akwitania, w departamencie Charente-Maritime, nad Zatoką Biskajską; port morski, słynny z wydarzeń w czasie wojny hugenockiej 1626–1629.

<sup>112</sup> La Nouvelle – francuska kolonia karna w Nowej Kaledonii na południowym Pacyfiku, więzienie w latach 1864–1924, deportowano tam ok. 21 tysięcy jeńców z Francji kontynentalnej.

robotników oraz ich mordowanie w razie oporu przez wynajętych pałkarzy i policję, co wszak towarzyszy przeciętnej karierze amerykańskiego milionera, i jeżeli ci panowie są rozgrzeszeni przez świat, to czemuż i ja... Bodaj we własnym sumieniu?

Piszę o mojej trosce, gdyż dotyczy ona dziedziny, która ongiś interesowała Ciebie – otóż obumarła we mnie sztuka, kochanka i pani mojej młodości, zdradzona i opuszczona dla głupiej, głupiej, po stokroć głupiej żądzy bogactwa. Dzikie, straszne koleje, które wycierpiałem, nadszarpięły mi ducha, strawiły do cna pewien talent, który przyniosłem ze sobą na świat. Zdrada się mści. Potrafię zrobić niezły portret, jaki taki obrazek... W Santé, na transportowcu, potem na Nowej Kaledonii setkami produkowałem podobizny moich katów dla pozyskania ich łask, przez dziewięć lat sportretowałem w mieście Noumei<sup>113</sup> wszystkie białe damy i wszystkich białych panów oraz ich dzieci – co mi przyniosło pewien zarobek... Ale sztuka opuściła mnie. Pracuję jeszcze i jeszcze nie tracę nadziei, ale nie wiem, czy odrodzę się jako artysta. Gdybym w siebie wierzył, przesłałbym ci kilka moich prac, kiedyś Lucy lubiła moją sztukę i wbijała mnie w dumę...

-----

-----

...W punkcie trzecim instrukcji, którą wręczył mi wysłaniec Twój, pan Rogers, miałem nakaz pozostać do końca życia w Australii, gdzie mnie w Port Adelaide<sup>114</sup> wyładował pod rygorem wydania mnie jako zbiegłego z francuskich osad karnych władzom tego państwa, w którym bym się pojawił, ale pomimo całej dobrej woli wytrwania w lojalności wobec mojej wybawicielki po dwóch miesiącach opuściłem ten ląd, zakażony do głębi sztywną, płaską, iście brytyjską popolitością i nudą, i przeszło rok spędziłem w podróży po świecie, poszukując kraju, gdzie mógłbym osiąść na stałe. Wpadłem i do Francji odwiedzić dwóch byłych przyjaciół, którym zawdzięczam pięć lat więzienia, dziesięć lat osad karnych oraz utratę Ciebie i Twoich stu czy więcej milionów, ale serca mego nie ucieszyłem słodyczą zemsty. Jeden stary łotr zmarł tymczasem

<sup>113</sup> Noumea – stolica Nowej Kaledonii, zlokalizowana na południowym wybrzeżu wyspy Nowa Kaledonia.

<sup>114</sup> Port Adelaide – portowy region miasta Adelaide, był bramą do Australii i w XIX w. pierwszym kontaktem z Australią Południową dla tysięcy emigrantów, którzy przybyli tu statkami.

w więzieniu, drugi, młody, padł bohaterską śmiercią w pierwszej bitwie nad Marną<sup>115</sup>, osłaniając swą piersią Paryż, który był dlań puszczą pełną łupu, gdzie prócz wielu grubych włamań dokonał był trzech morderstw.

Po tej nieco lekkomyślnej eskapadzie ustatkowałem się, dolarów otrzymanych od Ciebie nie roztrwoiłem, przeciwnie, powiodło mi się w operacjach finansowych i obecnie mam byt niezależny. Na wszelki wypadek nie załączam mego adresu. Znaczki pocztowe niniejszego listu nie pochodzą z kraju, gdzie obecnie przebywam. Dodam, że wyrzekłem się dowodów osobistych, dostarczonych mi przez pana Rogersa, lubię być niezależnym, po co ktokolwiek, bodajby jeden jedyny człowiek na świecie, ma posiadać mój ślad, po którym... Wolałem utonąć w morzu ludzkim, rozwiać się jak dym, więc jeszcze raz zmieniłem nazwisko i narodowość – to są fikcje, a ja pozostaję zawsze sobą i piszę się po dawnemu Twoim Juanem, za którego mnie poczytywałaś na Rue Danou w czasach naszej młodości... Nadmienię w końcu, że nic Ci ode mnie nie grozi ani Twemu synowi, choć kto wie, czy Cię nie odwiedzę prędzej lub później. Ot tak, bez żadnego interesu, po starej znajomości przeprosić za tamtego zbrodniarza i podziękować Ci za dobroć i hojność. Również aby się przekonać naocznie, że nasze dziwne, krótkie i dawne dzieje były rzeczywistością, a nie moim urojeniem, co mi się chwilami wydaje. Wreszcie – choćby dlatego, żeby się przekonać, jak mnie powitasz, przyjazną pogawędką o szarej godzinie i filiżanką herbaty, czy też telefonem do policji w wykonaniu rygoru, zawierającego się w punkcie pierwszym instrukcji pana Rogersa...

Whisky mieszało wszystko w jej głowie w nierozwikłany, zmienny, szybko mknący chaos. Sprawy przeżyte przerzucały się w czasie, myliły pamięć, chwilami wydarzenia, jedno za drugim, pędziły wstecz jak obraz filmowy, nakręcany w odwrotnym kierunku, ale gdy obłąkany operator dojrzał do jej ostatniej sprzed lat dwudziestu podróży do Europy, przerwała mu dzikim okrzykiem wściekłości, nie chciała i nie mogła tego widzieć... Operator zląkł się i urwał. To znowu wszystko obracało się w jarmarczną płaską farsę, tarzała się ze śmiechu. Łkała ciężkim, beznadziejnym płaczem pijackim, stoczyła się z otomany na bezcenny perski dywan i waliła głową o podłogę, chciała usnąć, chciała umrzeć...

---

<sup>115</sup> Marna – rzeka we Francji, w pobliżu Paryża uchodzi do Sekwany.

Długo leżała bezwładna, tonąc w koszmarach, w przywidzeniach na wpół sennych, w bzdurach. Wreszcie dźwignęła się z trudem i na kolanach podczołgała się do młodej Lucy, rozrzuconej bezwstydnie na Chuanowej pościeli. W prawym kącie ramy wyraźnie odcinały się słowa, wypisane ciemnym karminem – *à Lucy adorée Juan Carranza pinx. 12 février 1912. Paris*<sup>116</sup>.

Przywarła ustami do podpisu, całowała go przez grube szkło, szeptała.

– Prawda? Nieprawda? Wszystko jedno. Może Lucy naprawdę jest starą, skołataną kobietą, siwą i jeszcze brzydszą?... Może ty, Chuanie, naprawdę byłeś bandytą, a wobec mnie ostatnim łajdakiem? Jeżeli to prawda, to strasznie odpokutowałeś swój grzech, a ja i tak dawno darowałam ci winę... Miłuję cię mimo wszystko i gdybyś się przede mną zjawił... Jakże cię potwornie kocham, jak tęsknię do chimery, do straszliwego niepodobieństwa... Zbrodniarzu bez czci i wiary!... Byłeś i zostałeś jedynym, Tyś ojcem mego syna, a ja wieczna twoja niewolnica...

---

<sup>116</sup> *à Lucy adorée Juan Carranza pinx. 12 février 1912. Paris (franc.)* – kochanej Lucy Juan Carranza namalował, 12 lutego 1912, Paryż.



## Rozdział trzeci

### Złoto

Tymczasem docker Metcalf stał się znakomitością. Jego fotografie figurowały na naczelnym miejscu we wszystkich dziennikach amerykańskich, a za cztery, pięć dni ukażą się w Europie. Nie było zakątka ziemi, dokąd już nazajutrz nie dotarłaby sława jego imienia. Ze zgrozą, w niezmiernym tajemnym zachwycie powtarzały to imię miliony uczciwych ludzi, których wyobraźnia nie skalala się nigdy pomysłem o kradzieży, a coś dopiero o rabunku, w którym zginęło sześciu obrońców prawa a kilkunastu przechodniów było rannych. Tysiące policjantów mundurowych i tajnych dniem i nocą ganiało po mieście, poszukując sprawców niebywałego zamachu, niepokojąc i aresztując mnóstwo rzekomych zbrodniarzy i rzekomych współników, ludzi Bogu ducha winnych. Jedynym źródłem informacji był na razie docker Metcalf, nad którym wysilały się właśnie najbardziej nowoczesne metody badania, odkryte przez znakomitych teoretyków kryminologów, wyrafinowane zabiegi psychologiczne oraz inne, których niezawodna skuteczność wytrzymała próbę tysiącleci i znana była patriarchalnym prostakom z policji chaldejskiej i babilońskiej<sup>117</sup> równie dobrze, jak kulturalnym i dyplomowanym policjantom nowojorskim. Chmary reporterów, prywatnych agentów i niezliczonych kandydatów do nagrody stu tysięcy dolarów, obiecanej przez zainteresowany bank, hordy bywalców kina, z wyobraźnią, zaprawioną na bogatym repertuarze

---

<sup>117</sup> Chaldejczycy – starożytny ród, który między X a VIII w. p.n.e. najechał na teren Babilonu, dzisiejszego Iraku. Znani byli ze swojej wysoko rozwiniętej kultury i wiedzy na temat astronomii. Z kolei Babilończycy słynęli z postępów w takich dziedzinach jak: astronomia, astrologia, matematyka, medycyna, architektura. Strug miał na celu pokazanie skuteczności działania nowojorskiej policji opierającej swoje postępowanie na wiedzy.

bandyckim, czyniły dokoła sprawy zamęt i wrzawę, które też niebawem jak sztuczna mgła, jak zasłona dymowa ukryły sprawców i zatarły po nich wszelki ślad.

Rzecz niebywała...

Mniejsza o bandytów, każdy rozumie, że na ich wykrycie trzeba pewnego czasu, ale do diabła – do wszystkich diabłów – gdzież się podział pięciotonowy samochód ciężarowy firmy transportowej Holcomba, jeden z tych charakterystycznych żółto-czerwonych kolosów, które zna każdy z ulicy? Doszło do tego, że szukano go jednocześnie w paru miejscach Hudsonu i East River, daleko za miastem sondując dno przy brzegu i spuszczając nurków, z których jeden już nawet utonął. Według hipotezy urzędu śledczego, opartej zapewne na tajnych informacjach, bandyci, spłoszeni, zatopili samochód wraz z całą zdobyczą, aby przeczekać pierwszą furię poszukiwań. Cóż im pozostawało? Co mieli robić z tak niedogodnym łupem jak pięćdziesiąt sztuk ciężkich stukilowych baryłek? Ostatecznie nowojorscy gangsterzy przy całej ich bezczelności i zdumiewającym sprycie są też ludźmi, wbrew opinii tłumu, który ma ich za jakichś cudotwórców, fakirów.

A jednak...

Jak tego mogli dokonać, żeby ujść cało w biały dzień na ruchliwej ulicy portowej, pełnej ludzi, zatłoczonej samochodami? Co za diabeł rzucił urok na tłum uliczny i utorował im drogę?

Gdy na rogu ulicy West 14 i Ninth Avenue z piorunowym hukiem wybuchła petarda, gdy zawrzała strzelanina i bandyci mordowali eskortę, a publiczność miotła się w popłochu, natychmiast jak spod ziemi wyrosło kilkunastu policjantów, jedni chwyтали zbrodniarzy, a reszta obsiadła wóz i z rewolwerami w pogotowiu pognąła naprzód, ratując złoto przed ponownym zamachem, co w praktyce bandytów nowojorskich było zupełnie prawdopodobnym. Nikomu z tłumu nie przyszło do głowy ścigać policji ani legitymować agentów, uwijających się po ulicy. Toteż udało im się złapać paru „bandytów”, pobili ich do krwi, zaaresztowali i wśród niezmiernego zbiegowiska wsadzili do dwóch samochodów, a gdy prawdziwa policja, zaalarmowana, przybyła na miejsce, to oprócz trzech trupów i kilkunastu rannych nie zostało śladu po aktorach krwawej tragifarsy. Twórca tego pomysłu miał wyobraźnię – oto całe czarodziejstwo...

A dalej – sprzyjało im szczęście. W Uppertown, w górnym mieście, widziano samochód z policjantami, ale świadkowie twierdzą

jednogodnie, że nie był to czerwono-żółty wóz firmy Holcomba<sup>118</sup>, lecz nakryty zielonym brezentem z napisem „Walton Asplund Mills”. Dziwna ciężarówka z policjantami przecięła jeszcze Czterdziestą Drugą Ulicę, ale wedle zeznań świadków na tej brezent był niebieski z firmą „Cull Bent-Wood Furniture”. Później na siedem milionów mieszkańców Nowego Jorku ani jeden człowiek już nie spotkał wozu z eskortą policyjną, a na zwyczajne ciężarówki firmowe któż zwraca uwagę – po wszystkich dzielnicach miasta krąży ich tysiące i tysiące.

Pierwsze wyspało się radio, speaker przerwał audycję, aby obwieścić miastu, Ameryce i całemu światu o szczęśliwym uratowaniu złota narodowego, poza tym tylko dwie gazety w rekordowym pośpiechu w dwadzieścia pięć minut po wypadku zdążyły puścić na miasto nadzwyczajne dodatki w paru zdaniach, wydrukowanych najgrubszymi czcionkami. W godzinę później egzemplarze te, na gwałt ściągane z ulicy przez odnośne redakcje, dochodziły w cenie jako curiosum do pięciu dolarów.

– Najbezcenniejszy krwawy zamach bandytów nowojorskich odparty! Sprawcy pod kluczem! Nasza policja czuwa, nie szczędząc życia! Nasza policja jest pierwszą na świecie!

Zrabowane skarby i mityczna już teraz postać dockera Metcalfa, który – na razie – sam jeden dźwigał potworny ciężar pięciu ton złota i nadludzkich wysiłków władz śledczych, pochłonęły na kilka dni uwagę tłumu i zgłuszyły inne wydarzenia, które szły swoją koleją nowe pomniejsze napady rabunkowe na banki w Chicago, w Bostonie, w San Francisco, nowe bankructwa, nowe tumulty bezrobotnych, nowe filmy, nowy spadek kursów na giełdzie, nowe samobójstwa, nowe rekordy sportowe, nowe zwroty w międzynarodowych konferencjach genewskich, lozańskich, nowe cła wwozowe, nowe bombardowanie Szanghaju, nowe gabinety w Europie, nowe rewolucje w Ekwadorze i w Chili, nowe huragany w Arizonie, nowe powodzie w dorzeczu Missisipi i tak dalej, i tak dalej.

Plaga i hańba Ameryki, jej przekleństwo, ten jej jedyny, jak na teraz, kwitnący i rozrastający się z dnia na dzień przemysł narodowy – potworny i najczęściej bezkarny bandytyzm – stanął nagle w świetle bohaterstwa, powszechnego podziwu i sympatii. Objaw zgoła nowy, nadspodziewany, paradoksalny, groźne znamię czasu.

---

<sup>118</sup> Chodzi prawdop. o Holcomb Manufacturing Company – firmę samochodową założoną w 1903 r., produkującą samochody marki Holcomb. Wyprodukowano ich tylko kilka.



Albowiem nie tylko ciemny, zdziczały tłum i męty społeczne, nie tylko krocie bezrobotnych, ludzi zrozpaczonych, pełnych zrozumiałej goryczy, ale cały jak gdyby ogół popadł w szaleństwo zachwytu, z wyjątkiem chyba kwaków, pedantów, których nic nie poruszy, zawodowych urzędników cnoty, kapłanów wszelkich wyznań i sekt oraz wyższych osobistości oficjalnych. No – i milionerów.

Bandyci zadrwili sobie ze wszystkich potęg świata. Wystawili na śmiech władze, uzurpując sobie ich rolę, genialnie oszukali ulicę i zabrali, uchronili i utaili milionowy ładunek złota w warunkach najtrudniejszych, w okolicznościach absolutnego niepodobieństwa, jak gdyby tajemny świat przestępców postawił sobie za zadanie, aby w jednym wspaniałym zwycięstwie nad ustalonym i potężnie obwarowanym ładem społecznym rzucić władcom życia i potentatom złota swoje wyzwanie, a było ono pełne tak bezczelnego zuchwalstwa, że dochodziło niemal granic szczytności. Ten zamach w swoim zamierzeniu i efekcie zdawał się przechodzić poza pojęcie zbrodni, był jakby pierwszym natarciem w jakiejś poczarnej, poczynającej się wojnie – to mroki zemsty już wystąpiły przeciwko pomroce, w którą pogrążyła świat okrutna, nieludzka władza złota – przepotężna, potężna do absurdu – aż strawiła samą siebie oto już się chwieje bezradna w klęsce kryzysu światowego.

Tłum, zdręczony nędzą, niepewnością jutra, utracił wiary we wszystkie bożyszcza, w błogosławieństwo pracy, której nikt nie potrzebował, w wieczną trwałość bogactwa, kruszącego się w proch, w jego spiżową mądrość, pordzewiałą ze szczętem, zapadł w mętny, niespokojny mistycyzm, w którym groza zatracenia mieszała się z oczekiwaniem na cud, a poczucie ostatniego poniżenia i strachu z bezsilną, jadowitą żądzą odwetu. Bandyci z West 14 urosli do symbolu mistycznych aniołów mścicieli, zapomniano ich bezecne okrucieństwa, porywanie dzieci, podłe szantaże, terror, pod którym trzymali całe dzielnice miasta, zamieszkałe przez ubogą ludność, teraz byli oni mitem, baśnią, umiłowaniem. Robotnik włoski z Chelsea<sup>119</sup> klękał przed Madonną w kościele, Polak z Broux<sup>120</sup> klepał pacierze na intencję szczęśliwego ocalenia bohaterskich bandytów, bezrobotny kulis chiński w Greenpoint<sup>121</sup> kupował pałeczkę

---

<sup>119</sup> Chelsea – dzielnica w Nowym Jorku, w której znajduje się słynny Hotel Chelsea.

<sup>120</sup> Broux – prawdopodobnie Bronx, jeden z pięciu okręgów Nowego Jorku, położony w północnej części miasta, głównie na stałym lądzie.

<sup>121</sup> Greenpoint – najbardziej wysunięta na północ dzielnica Brooklynu.

najtańszego kadzidla i spalał je przed glinianym posążkiem Buddy, aby ten nie dopuścił tryumfu zła, czyli policji – nad dobrą sprawą.

A dalej – nałogi sportowe masy – kto zwycięży w niesłychanym meczu? Gdyby mógł ktoś obliczyć na całej przestrzeni USA wszystkie zakłady i kwoty – od pięciu centów do stu dolarów i wyżej, albowiem do gry stawali nie tylko ludzie z plebsu – wypadłyby sumy olbrzymie. Gorąco, fachowo omawiano szanse obu stron i wszędzie roiło się od bookmacherów, którzy byli niezbędni dla uporządkowania gry, gdyż zakładano się z datą do trzech dni, do tygodnia i tak dalej – aż do pół roku. Ze drzeniem czekano wyniku rozgrywki między policją a bandytami, rzucano się na gazety poranne, na gazety wieczorne...

Już w godzinę po wypadku Lucy pokłóciła się z synem, wieść zastała ich przy lunchu, na który Rald wyjątkowo raczył się zjawić ku wielkiej radości matki. Lucy ze zdumieniem patrzyła na syna, oniemiała ze zgrozy, Rald oszalał. Zerwał się od stołu i nie zważając na służbę, która celebrowała lunch z przyjętym w domu ceremoniałem, krzyczał, zanosił się od śmiechu, latał wzdłuż i w poprzek po olbrzymiej jadalni, tańczył, śpiewał.

– Mógłby ktoś pomyśleć, że jesteś ich współnikiem. Rald – dosyć tego!

Stary *maître d'hôtel*<sup>122</sup> ujrawszy twarz pani, skażoną wściekłością, skinął na trzech lokajów i wyprawił ich, a sam stanął pod kredensem z obliczem niewzruszonym, jak gdyby nic nie widział i nic nie słyszał, zresztą pani i młody pan przerwali się natychmiast na francuszczyznę.

– Ależ, *maman*<sup>123</sup> – to jest cudowne!... Nie – takiej rzeczy jeszcze świat nie widział.

– Milcz, ani słowa więcej – ja ci powiadam! Siadaj do stołu, zachowujesz się niktzemnie! Tylko głupota może cię tłumaczyć, ale nie przypuszczałam, że jesteś aż tak bezbrzeźnie głupi.

– *Maman* nie jest dziś grzeczna, ale nie przypuszczałbym nigdy, żeby to mogło być aż tak bezbrzeźnie... Cóż, cieszę się, że są jeszcze na świecie tacy morowcy – to wszystko i już. Czy może mam żałować tych pięciu milionów? Co mnie to obchodzi?

---

<sup>122</sup> *Maître d'hôtel* (franc.) – gospodarz hotelu, obecnie mianem tym określa się szefa służby hotelowej lub restauracyjnej.

<sup>123</sup> *Maman* (franc.) – mama.

– Masz się zachowywać jak dżentelmen, jak członek swojej klasy, a co najmniej jak porządny człowiek...

– Ręczę drogiej mamusi, że wszyscy porządni ludzie w Nowym Jorku cieszą się w tej chwili tak samo jak ja, a za godzinę wielkie *gaudium*<sup>124</sup> wybuchnie jak nasze Stany długie i szerokie. To poruszy każdego! Światowy rekord!

– Rekord zbrodni! Obrzydły, zdeprawowany chłopaku! Tam zginęło sześciu uczciwych policjantów, którzy strzegą i ciebie, chłystku jeden!

– Czyż mamusia się obawia, że nam zabraknie policjantów?

– Milcz i wynoś mi się natychmiast! Doprawdy, gdyby cię kto słyszał, powiedziała by, że tak mówić może chyba syn bandyty...

– Ja o tym nie mogę mieć własnego zdania, mama chyba najlepiej wie, czym jestem synem. Ale gdyby to słyszał papa Rascob, obraziłby się z pewnością i to z dwóch przyczyn...

– Precz mi z oczu, wyrodku...

Te słowa wymówiła pani Lucy głucho, bezdźwięcznie, niemal szeptem. Tknęło ją okropne przypuszczenie. Niemożliwe, obłąkane. Ta przelotna sekunda zdławiła ją jak zmora senna, która wywleka najtajniejsze, najgorsze i pastwi się – zabija.

Rald skłonił się wytwornie, z uprzejmym uśmiechem, a przechodząc koło maître d'hôtel, mrugnął doń porozumiewawczo i przyjaźnie, ale w martwej oficjalnej twarzy starego Aarona nic nawet nie drgnęło w odpowiedzi. Patrzył bacznie w surowym skupieniu na swoją panią.

Profesor van der Zypen po dotkliwej porażce, która go spotkała zaraz na pierwszym jego kroku na nieznanym terenie, odkrył, że wypadnie mu tu zabawić znacznie dłużej, niż to sobie wyrachował, aby pozyskać dla swojej idei bodaj paru szczytowych ludzi. Na samym wstępie popełnił fatalny błąd zaufawszy swemu starymu przyjacielowi, który uchodził za najpierwszego w Niemczech znawcę stosunków amerykańskich, za specjalistę, erudytę i eksperta w zawiłym splocie zjawisk kolosalnego zagadnienia Ameryka – Europa. Jego listy i rekomendacje skierowały go do ludzi, z którymi trzeba było zaczynać inaczej, a z połową przynajmniej ze wskazanych nie zaczynać całkiem, gdyż byli to prostacy, niemający pojęcia ani o czasach, w których żyją, ani o swojej roli, groszoroby,

---

<sup>124</sup> *Gaudium* (łac.) – radość.

spekulanci bez kultury i bez cienia wyobraźni – ot, ordynarne worki napchane milionami.

Jego marzenia, nadzieje i zamiary skupiły się dokoła osoby Shurmana, on to był właściwym celem jego podróży, ale cóż, haniebna porażka nie mogła dobrze usposobić ku niemu największego potentata Stanów. Jego powaga została nadwerężona, cóż on winien, że przez złe informacje znalazł się ze swoją wielką ideą pośród zwyczajnych chamów, którzy go zakrzyczeli i – nie ma co ukrywać – do pewnego stopnia ośmieszyli. W ciągu dziesięciu minut rozmowy zdołał co prawda uchylić nieco pokrywę z kolosalnego zbiornika swojej wiedzy i okazać, do pewnego stopnia, kim jest, ale nie zdołał w tak krótkim czasie zainteresować miliardera, nie otrzymał obietnicy ani nawet nadziei na dłuższe posłuchanie – on, van der Zypen, którego telefon lub karta wizytowa roztwierają na oścież w Europie drzwi najoporniejsze i wywołują uprzejme lub nawet przypochebne uśmiechy na najbardziej wyniosłych i zakamieniałych dygnitarskich obliczach. Czyżby taki Shurman nic o nim nie wiedział? Ameryka jest dzikim krajem.

Posłał mu dwie swoje większe prace teoretyczne i kilka odbitek z ostatnich głośnych w Europie artykułów – *Odszkodowania i długi międzysojusznicze – Ameryka nie chce być arbitrem świata – Czy złoto jest fikcją* – ale zresztą kto wie, czy on w ogóle czytuje cośkolwiek? Ameryka jest krajem prostaków i analfabetów...

Znajomości i wizyty w kołach naukowych były dzień po dniu kaskadą przykrych niespodzianek i rozczarowań, z nikim nie mógł się dogadać. Tutejsi ekonomiści, socjolodzy, pisarze polityczni, kryzysolodzy i genewoznawcy – specjaliści od Ligi Narodów<sup>125</sup> i rozbrojenia – zdumiewali go swoim symplicyzmem<sup>126</sup> i uporem, a najgorsi byli ci, którym bodaj raz w życiu udało się wpaść do Europy na jakie sześć tygodni. Tacy byli przerażająco kategoryczni w rozstrzyganiu najbardziej powikłanych zjawisk powojennego świata i wiedzieli literalnie wszystko.

---

<sup>125</sup> Liga Narodów – organizacja międzynarodowa, działająca w latach 1920–1946, powstała z inicjatywy prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona podczas paryskiej konferencji pokojowej kończącej I wojnę światową. Celem Ligi było utrzymanie pokoju po I wojnie światowej.

<sup>126</sup> Symplicyzm (łac. *simplex, simplicis* – zwykły, prosty) – tendencja do zbytznego upraszczania i spłykania jakichś zagadnień.

Nowojorskie Towarzystwo Ekonomiczne<sup>127</sup> urządziło na jego cześć uroczyste posiedzenie i bankiet. Po referacie znakomitego gościa na temat „Wartość i cena”, gdzie prelegent zanurzył się głęboko w zagadnienie czystej teorii i niemal dotknął dna otchłanej przepaści, kryjącej w sobie absolutne prawdy – w ożywionej dyskusji uczeni słuchacze, jakby za wzajemną znową, zignorowali trudny i drażliwy temat i jeden przez drugiego rozpytywali natarczywie i niemal napastliwie o odszkodowania, o gwarancje, o handel z Sowiecami „za nasze amerykańskie pieniądze”, o hitlerowskie 3%, o raty amortyzacyjne. Oczywiście brali go za Niemca, a jedynym zainteresowaniem uczonego audytorium była troska o owe trzy miliardy dolarów, rzuconych kapitalistom Rzeszy z lekkomyślnością niepełnoletniego spadkobiercy w upalnych czasach prosperity, a teraz zamrożonych fatalnie<sup>128</sup>.

Gdy w subtelnej i złośliwej replice uchylił się od odpowiedzialności za błędy Ameryki i za niewypłacalność Niemiec, gdy nadmienił, że sam nie jest Niemcem ani obywatelem Rzeszy, lecz czuje się obywatelem świata – od razu przestano się nim interesować w uczonym środowisku.

Urządzono mu jeszcze na odczepne odczyt w szerszym gronie; temat „Wilson<sup>129</sup> a Liga Narodów” zapełnił salę, ale przyszły niemal same panie. Starsze i stare słuchały, drzemiąc, młodsze i młode łyskały lusterkami i malowały sobie wargi, pudrowały nosy, szepcząc z nielicznymi młodzieńcami, którzy dali się im zaciągnąć na tę piłę. Gdy w końcu z prostej, formalnej grzeczności wobec dam nieostrożny prelegent zaproponował dyskusję, jedna stara pani zdruzgotała go rewelacjami o handlu opium, który rzekomo ma swoje centrum właśnie w owej Genewie – kaczka dziennikarza i potwarz... Po niej młoda, efektownie brzydka miss zainterpelowała

---

<sup>127</sup> Nowojorskie Towarzystwo Ekonomiczne – prawdop. chodzi o Economic Club of New York, założoną w 1907 r. amerykańską organizację non-profit zajmującą się promowaniem badań i dyskusji na tematy społeczne, ekonomiczne i polityczne.

<sup>128</sup> Mowa tu prawdop. o licznych pożyczkach udzielanych Niemcom po 1924 r., m.in. o planie Dawesa (od nazwiska Charlesa Gatesa Davesa, laureata Nagrody Nobla za rok 1925), w ramach którego syndykaty bankierskie z USA przekazały do tego kraju w ciągu dwóch lat, od 1924 r., 975 milionów dolarów. Również niemieckie przedsiębiorstwa, np. zakłady Kruppa, zapożyczały się na duże kwoty w amerykańskich bankach, a amerykańskie firmy zakładały swoje filie w Niemczech; np. Ford Motor Company założył fabryki w Berlinie i Kolonii.

<sup>129</sup> Thomas Woodrow Wilson (1856–1924) – 28. prezydent Stanów Zjednoczonych (w latach 1913–1921).

ostro o prawa murzynów i przytoczyła szereg obrzydliwych szczegółów z obyczajów domów rozpusty i z praktyki międzynarodowych handlarzy żywym towarem w Genewie „dla informacji tych panów, którzy śpią sobie nad pięknym, błękitnym Lemanem”<sup>130</sup>...

Gazety obwieściły jego przybycie z tytułami w rodzaju *Znakomity przedstawiciel wiedzy niemieckiej przybywa z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami* – „*Chłuba Holandii*” wylądowała u nas – *Przybył delegat Palestyny, wielki uczony żydowski*. Podano jego fantastyczne życiorysy i zmyślane misje. Sprostowań odmówiono, za to przeszono o wywiady. Po przeczytaniu pierwszego, gdzie jego słowa, idee i wszystko było poczwarnie uproszczone, a przy tym jeszcze zagmatwane górnolotnymi, najgłupszymi frazesami, profesor van der Zypen nie wpuścił już do siebie ani jednego reportera, toteż niezwłocznie zapomniano o nim.

Te drobne przykrości i niepowodzenia osobiste nie osłabiły jego wiary w Amerykę, tutejsi ludzie mogli być śmieszni i niezgrabni, poziom intelektualny ich elity był znakomicie niższy od odnośnych sfer Europy, o czym zresztą wiedział z góry.

Ludzie interesu, ich wielcy finansiści, kupcy, przemysłowcy razili go prostactwem i rozbrajającą lekkomyślnością, z jaką dalej szastali w najlepsze kolosalnymi cyframi i gnani przez fatum dziejowe brnęli w bezdroża, nie poczuwając się bynajmniej do żadnej klęski, o której tyle kalumnii szerzy się w zbałamuconej opinii europejskiej. Nie przyznawali się do błędów, ale owszem, stwierdzali lojalnie fakt przewlekłej „depresji”, której proces przechodzi zresztą normalnie i w najbliższych miesiącach osiągnie maksimum natężenia i wnet zacznie przemijać, co oczywiście zabierze sporo czasu, zanim nastąpi widome polepszenie, a za nim dawna, sławna, przyrodzona i wieczna amerykańska prosperity. Oczywiście zawiniła we wszystkim stara Europa, skłócona, uboga, wycieńczona przez wojnę i wciąż jeszcze chciwa na amerykańskie miliardy. Zbiorowisko obdłużonych po uszy narodów i nowych, zupełnie niepotrzebnych państw. Nieszczęsny, pokutujący jeszcze długo po wojnie, duch wielkiego Wilsona sprawił, że Ameryka uwikłała się w pożałowania godną manię samarytańską wobec skołatanej powojennej Europy i teraz

---

<sup>130</sup> Por. J. Słowacki, *Rozłączenie*, informacja poety pod wierszem: „Nad jeziorem Leman, d. 20 lipca 1835 r.”. Fragment utworu:

„Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć  
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem”.

sama znalazła się w pewnych kłopotach, jak niebaczny dobroczyńca, który wyhoduje żmiję na swoim łonie, jak każdy pierwszy lepszy bank, który ma nierzetelnych klientów.

Wielki uczyony brał to pobłażliwie, wszak w Europie również oskarżano o wszystko właśnie Amerykę i swój wielki kryzys datują tam od owego „czarnego poniedziałku” na Wall Street sprzed trzech lat. Ani jedno, ani drugie – nikt tu nie zawinił. Istoty światowego nieszczęścia nie ogarnęła nawet zaprawdę imponująca masa dwustu trzydziestu pięciu kryzyso-przyczyn, zbieranych przez badacza niemieckiego, profesora statystyki, skrzętnego, po benedyktyńsku pracowitego maniaka, opętanego przez cyfry.

Przyczyna powszechnej katastrofy? Jedyna droga ratunku? Zbawienia ludzkości – a więc cywilizacji – a więc – kapitalizmu?

Profesor van der Zypen, który znał siedem języków, czytał wszystko, a dzięki fenomenalnej pamięci niezdolny był zapomnieć ani jednego imienia, ani jednej daty, ani jednej cyfry z tysięcy przewertowanych książek, z niezliczonych artykułów, protokołów, memoriałów, odczytów, przemówień, który znał osobiście wszystkich wybitnych uczonych i mężów stanu powojennej Europy i całe chmary ludzi mniej głośniejszych, lecz decydujących w polityce i życiu gospodarczym swego kraju lub na arenie światowej, i miał w niezawodnej pamięci każdą wypowiedzianą przez nich enuncjację, myśl, a nawet każde słowo... Który miał znajomych i przyjaciół wszędzie i po równo – wśród konserwatystów, liberałów, anarchistów, klerykałów, socjalistów, komunistów, faszystów... Który we wszystkich stolicach Europy był jak u siebie w domu... Który znał utajone, zakulisowe intrygi i knowania dokoła spraw pierwszorzędnej wagi... Który od końca wojny nie opuścił ani jednej poważniejszej konferencji międzynarodowej...

Więc któż, jak nie on jeden jedyny, godzien był dostąpić najwyższej chwały – na razie do czasu tajemnej – odkrycia praprzyczyny wszech przyczyn zamętu światowego? Kto, jak nie on, mógł wskazać ludzkości środki ratunku i drogę wyjścia z fatalnego załamania się systemu gospodarstwa światowego, jakiego nie zaznał jeszcze w swych dziejach kapitalizm?

Nikt na świecie nie miał pojęcia, że wielka tajemnica, od której zależą losy świata, została odkrytą.

Nie tak dawno, nie dalej jak przed trzema miesiącami, van der Zypen ukończył swoje obliczenia, sprawdził, przemyślał, przedyskutował sam ze sobą jeszcze raz wszystkie tezy i uznał, że dzieło



jest dokonane. Zbłąkana, strwożona ludzkość znalazła swego zbawcę.

Z chaosu sypiących się z dnia na dzień zjawisk, z nieoczekiwanych kataklizmów, które raz po raz wstrząsają światem, z nędzy, zalewającej jak wody potopu coraz dalej, coraz szerzej niziny społeczne, te fundamenty kultury i bogactwa, oto wyłania się słoneczny promień prawdy. Wnet rozbłyśnie wśród głębokiej pomroki strachu i wątpienia. Otrząśnie się prawda z niemocy nieprzeliczonych rad, wskazań, uchwał, z kłótni i walk, ze wszystkich fałszywych teorii i ze wszystkich nierozwikłanych paradoksów i wypowie swoje słowo. Rzuci je ponad chaosem, ponad koszmarem i do beznadziejnego snu o niemożliwości rzeczy – stań się! Rzecz do konającego świata – Łazarzu, powstań! Weźmij łożę twoje i pójdź...

Świat nie usłyszy wezwania. Nie rozlegnie się ono głosem potężnym na całą ludzkość. Druty telegraficzne, kable podmorskie, stacje iskrowe nie rozniosą go w lot po wszystkich zakątkach ziemi dla otuchy znękanym narodom, dla zażegnania klęsk, wojen, rewolucji.

Nowa prawda nie obwieści się nawet najcichszym szeptem – dla zbawienia świata tak być musi. Nowa prawda nie wkroczy w sprawiedliwym gniewie z mieczem ognistym, by pokarać gnębieli a obronić pokrzywdzonych i na gruzach przeszłości ustanowić nowy ład. Nie przyjdzie z apostołską mądrością i dobrocią.

Wkradnie się nieznacznie w zaprzyjaźnionej, tajemnej zмовie mędrca, posiadającego jeno skarb swojej prawdy, z potentatami ziemi, którzy bez koron z łaski bożej i bez plebiscytu narodów władają i rządzą wszystkim, co żyje. W tym celu przebył ocean. Nie była spisana w tajemnej księdze mądrości ani w memoriale, ani w skrócie, ani w żadnej notatce, ani bodaj w paru słowach, streszczających najgłówniejszą myśl. Idea profesora van der Zypena nie znosiła zdradzieckich znaków pisma. Nie może zostawić po sobie śladu. Nigdy, nawet po swoim tryumfie, gdy zwycięży i dokona dzieła, po odmianie postaci świata i wszelkiej rzeczy ludzkiej, nie wyjdzie na jaw w obnażeniu całej swojej prawdy. Będzie wieczną tajemnicą, pozostanie w skąym gronie mężów zaprzyjaźnionych, burzycieli wszystkiego co jest, twórców nowego człowieka, nowej ludzkości.

Teraz kryje się w zwojach mózgu jednego jedynego człowieka, zasklepiona pod łysą czaszką van der Zypena, i razem z nim może zginąć każdej chwili. Od pierwszej lepszej nieobliczalnej, irracjonalnej przypadłości nędznego w swej kruchości ludzkiego organizmu. Od najgłupszego wypadku. A gdy w ślad za swym twórcą zgaśnie



przed czasem, nikt się nawet nie dowie, że dzieje ludzkości mogły się obrócić inaczej. Ileż razy w odwiecznej komedii świata powtarzał się ten dramat? Van der Zypen nie miał jeszcze powiernika, przybył go dopiero szukać.

Pomimo że w Europie znał wszystko i wszystkich i że miał tam około dwudziestu gruntownie przemyślanych kandydatów, udał się naprzód do Ameryki. Inaczej by sobie był poczynał, gdyby dożył tych czasów stary przyjaciel Hugo Stinnes, człowiek genialny, który nawet w straszliwym kataklizmie inflacji, gdy ginęły fortuny, gdy unicestwiona została w Niemczech cała klasa średnia, zamożna, twórcza i rdzennie zdrowa, potrafił skupić w swym ręku potworne bogactwo i niepodzielną władzę w życiu gospodarczym Niemiec. Ten byłby go zrozumiał w lot, z nim jednym można było zaczynać. Ileż trzeba podjąć trudów, ile stracić drogiego czasu, ile przetrwać zawodów, zanim powetuje się bolesna strata! Ślepy los zabrał wielkiego Hugona, w ręku nieudolnych spadkobierców uschła i zmarniała fortuna, która wszechprzenikającą siecią swoich korzeni obrosła olbrzymi ojczysty kraj i ogarnęła Europę i już sięgała poprzez góry, pustynie, przez morza i oceany w przestworza świata na dalekie lądy... Nie ma go i już nikt go nie zastąpi – niech spoczywa w spokoju...

Van der Zypen znał stan i rozciągłość interesów oraz całą karierę najwybitniejszych bogaczy świata. W jego rachuby wchodził tylko ci, których fortuna zaczynała się powyżej stu milionów dolarów, a przy tym znajdowała się bezpośrednio i niepodzielnie w jednym ręku. Pomijał na początek grubych milionerów, zawikłanych nadmiernie we współdział w towarzystwach akcyjnych, w wielogłowych koncernach, w anonimowej masie niezmiernie rozproszonych interesów, a nieposiadających własnego rdzennego majątku, dającego się obliczyć bodaj w pewnym przybliżeniu. Nie uwiódł go światowy rozgłos imion, z których niejedno w tych niepewnych czasach gasło nagle w efektownej katastrofie. Szukał na początek ludzi absolutnie niezależnych co do samej istoty władania i rozporządzania swoim majątkiem, tych, którzy stali mocno i twardo na własnym gruncie i na własnych nogach, a nie na ruchomym trzęsawisku wahań spekulacji giełdowych. Był bardzo ostrożny, zwłaszcza z firmami bankowymi czysto finansowymi i zatrzymał się na kilkunastu nazwiskach, w kolejności: Harry Shurman, Emery A. Vanderfoot, Thomas Hubbord, Frank Haferkorn, Lucia Rascob (sukcesja po wielkim śp. Slazengerze) i inni.

Wyszukał ich aż za oceanem nie tylko dla ponad europejskiej skali ich bogactwa, ale głównie z powodu ogromnej przewagi, jaką po wojnie zdobyła Ameryka nad wyniszczoną Europą. Potworny ciężar miliardów amerykańskich oddawał zwycięzców i zwyciężonych we władzę potężnego wierzyciela. W podziemiach banków USA leży ⅓ zapasu światowego złota, miliardy długów międzysojuszniczych, miliardy odszkodowań niemieckich i jeszcze raz miliardy – powojennego zadłużenia Niemiec w Ameryce, napór tych miliardów, ich gra, ich wzajemne tarcia i starcia, ich skomplikowana wielostronna gospodarcza i polityczna współzależność czyniły z Ameryki superarbitra narodów, stanowiącego o ich doli i niedoli, o nędzy lub pomyślności setek milionów ludzi, o trwałości lub rozsypce państw, o wojnach i rewolucjach. Tam, nie gdzie indziej, trzeba szukać ludzi, którzy mogą narzucić swoją wolę Europie i światu. Przedziwny splot wydarzeń dziejowych, przedziwny obrót losów narodów zwyciężonych i zwyciężonych sprawił, że tam za ocean przerzuciły się siły, zdolne poruszyć z posad stary, zmurszały ustrój, zatrzęść nim potężnie i przebudować go na nowy ład, zdolne uratować cywilizację. Obronić ją od obu wrogów, od zamętu w życiu gospodarczym, który trwa, wzmacnia się i zaszedł już straszliwie daleko – aż nad sam skraj przepaści. Obronić ją od budzących się mas proletariatu, które pchane przez wciąż wzrastającą nędzę i nienawiść, zapatrzone w potężny miraż sowieckiego kolosu, gotowe są – jeżeli dalej tak pójdzie – runąć jak lawina na stary świat i samym swoim bezmiernym, potwornym, brutalnym ciężarem zmiażdżyć wszystko, a wówczas z odwiecznego dorobku cywilizacyjnego ludzkości nie zostanie kamień na kamieniu.

Z fatalnego wyniku pierwszej, zaimprovizowanej konferencji u Harrela B. Quinby nauczył się wiele. Ostrożnie z tą Ameryką! Konferencją, która miała być tylko próbnym wypadem w górne sfery, wstępem niejako, prezentacją jego osoby, a w żadnym razie bodaj najsłabszym uchyleciem zasłony, okrywającej jego ideę, zawiodła pod każdym względem. Niezależnie od tego niepowodzenia zepsuł sobie opinię u upragnionego Shurmana, nie potrafił zachować się wobec niego jak należało, był zbyt rozdrażniony bezprzykładnym chamstwem wszystkich tych panów, poczynając od samego gospodarza domu. Był podniecony pierwszym zetknięciem się z potentatem, na którym budował tak wiele, był nawet – o dziwo – nieco onieśmielony, więc ratując się, a pragnąc z drugiej strony okazać ignorantowi, który nawet o nim nie słyszał, kim jest van der Zypen,

nagadał niepotrzebnych rzeczy, pośpieszył się i wtajemniczył go od razu w swoje ukryte zamiary. Spisał się marnie. Ten Shurman gotów go wziąć za nieopanowanego maniaka, za przybłędę, który gania po świecie i czepia się ludzi bogatych, aby ich nudzić i dręczyć, jeżeli nie eksploatować dla utopijnych celów lub dla własnej korzyści. Jak to naprawić? Kiedyż nareszcie powróci z Europy ten Youth, jedyny człowiek, przez którego można nakłonić zrażonego potentata, by go przyjął i wysłuchał?

Czasu nie tracił, podróżował, zwiedzał główne ogniska przemysłu, porty, wielkie banki, składał wizyty, odbywał konferencje, wciąż gorliwie uczył się tej żywej Ameryki, której wyobrażenie umiał na pamięć z jej polityki, z konferencji międzynarodowych, z rozmów z jej mężami stanu, z kolosalnej lektury czasopism specjalnych, z opisów, z monografii, z wykresów, z cyfr. Ujrzał na własne oczy jej potęgę, jej żywiołowy rozmach, kolosalność dokonań i zamierzeń, niepomną na nic, lekkomyślną, młodzieńczą odwagę w poczynaniach, a nade wszystko mężny, męski stosunek do ciężkiej klęski kryzysu, którego jednak nigdy i nigdzie nie wolno było nazwać właściwym imieniem. Ameryka nie znała klęski, ani nawet kryzysu – okolicznościowo, nie z własnej winy popadła w przejściowe kłopoty, które najtrafniej charakteryzowało nowe słowo – „depresja”. A depresja minie, musi minąć, już nawet jakby zaczyna przemijać. Van der Zypen potakiwał, a gdy napomynał o konieczności pewnych reform w kapitalizmie, aby go uleczyć z „depresji” i poniekąd odmłodzić, odpowiadano, że owszem, może to się przyda w ubogiej Europie lub gdzie indziej, a my w USA damy sobie radę i tak, my przetrwamy. Nie ma u nas przykrych europejskich „izmów” – militarizmu, faszyzmu, socjalizmu, komunizmu, za to posiadamy złota aż do zbytku. Nie, w naszym kapitalizmie nic nie trzeba zmieniać. Tak twierdziły grube ryby przemysłu, handlu, finansów, z których to wielorybów i rekinów jakże wielu w tych czasach już zmarniało, schudło lub zgoła szczezło i poszło na samo dno przepastnych wód tej nieprzejednanej koniunktury.

Już zgoła inaczej, ale ostrożnie, jakby się oglądając, żeby kto nie podsłuchał, mówili służebni kapitału, ludzie inteligentni, wspaniale opłacani dygnitarze trustów, kierownicy banków, wyżsi funkcjonariusze maszyny gospodarczej. Postękiwali, rozkładali ręce, dymili potężnymi cygarzyskami, namyślali się, zwlekali, wreszcie każdy i wszyscy nieodmiennie, jakby odprawiając ceremoniał umówiony w ich korporacji, zaczynali od zastrzeżeń, że rozmowa musi pozostać

w absolutnej tajemnicy, a gdyby wreszcie profesorowi wypadło w jakiejś pracy naukowej powołać się na ten lub ów wypowiedziany pogląd, to uchowaj Boże, bez nazwiska i daty informatora.

– Słowo honoru?

– Słowo honoru!

I profesor słuchał w skupieniu tajemnych rewelacji o sprawach, o których wiedział od dawna i to znacznie dokładniej od informatora. Ale nieraz zdobywał i fakty niezmiernie ciekawe, wręcz nieoczekiwane – wciąż pracował, wciąż się uczył.

Trzy głębokie, tragiczne uderzenia gongu i przed karmazynową kotarą stanął nagle, jak gdyby zmaterializował się z nicości, *conférencier*<sup>131</sup> klubu „Uistiti”, Peter Ginorio, poczwarny, krępy, barczysty, grubo ciosany, przyziemny karzeł o miłym zresztą, inteligentnym obliczu, jakby zdjętym z innej postaci i wypożyczonym na ten wieczór.

Oklaski.

– Zaczekajcie, drodzy państwo! Dziękuję, dziękuję, ale nie ma za co, za chwilę wszyscy będziecie gwizdać. Na dziś nie ma nic wesołego, żadnych dobrych nowin – od dwóch tygodni nigdzie ich nie mogłem dostać, za żadne pieniądze, pomimo licznych ogłoszeń, które drogo kosztowały nasz ubogi klub. Jedyna wiadomość szczęśliwa, a mianowicie gwałtowna i dawno oczekiwana przez dziesiątki tysięcy akcjonariuszów za wyjątkiem tych, którzy, niebaczni, odebrali sobie życie, zwyczajka akcji „U. S. and Foreign Securities Corporation” – z jednego dolara na dolar i trzy centy – okazała się nieprawdziwą, a przynajmniej przedwczesną, dlatego też jej nie podaję. Zaznaczę tylko, że przeszło od roku przewidzieli tę znamiennej zwyczajkę i przewidują ją nadal nasi wielcy uczeni Irving Fisher<sup>132</sup> i Roger Babson<sup>133</sup>. Ten ostatni dnia 26 grudnia roku 1930 złożył nam swój dar noworoczny na rok miniony, który jakoś, chwała Bogu, już minął. Oto co pisze mąż kompetentny i niezachwiany.

– Nadchodzący rok 1931 będzie nosił cechy roku najlepszych możliwości. W roku 1929 mieszkaliśmy w pałacu, zawierającym

---

<sup>131</sup> *Conférencier* (franc.) – wykładowca, mówca.

<sup>132</sup> Irving Fisher (1867–1947) – ekonomista amerykański, zajmował się ilościową teorią pieniądza oraz teorią dystrybucji.

<sup>133</sup> Roger Ward Babson (1875–1967) – amerykański przedsiębiorca, ekonomista i teoretyk biznesu w pierwszej połowie XX w.

w swych podziemiach materiał wybuchowy. Rok nowy zastanie nas w ubogim domku, ale w jego piwnicy mieszczą się złoża złota...

– I cóż, moi państwo? Trzeba było niedużego wysiłku, tyle żeby zejść do piwnicy, a każdy wróciłby bogatym. Zapewne miliony ludzi posłuchało tej rady, a jeżeli ktoś przypadkiem nie znalazł złota w swojej piwnicy...

– Tym gorzej dla niego! – ozwał się głos z widowni.

– Szanowny pan się myli! Tym lepiej dla niego! Bo teraz z tym złotem... Dość powiedzieć, że najmędrsi mężowie stanu naszej dawnej metropolii z Mc Donaldem<sup>134</sup> na czele, uczeni ekonomiści, publicyści lorda Rothermera<sup>135</sup> oraz „Times”<sup>136</sup>, „Daily Mail”<sup>137</sup>, „Daily Express”<sup>138</sup>, a nawet liberalny „Manchester Guardian”<sup>139</sup> i tak dalej, i tak dalej – wszyscy od ośmiu miesięcy tańczą z tryumfu i radości (rekord), że funt sterling oderwał się nareszcie od złota. Bo i cóż za magia jest w złocie? Fałsz i obłuda! Fikcja! Absurd! Do diabła ze złotem! Więc biada Ameryce, biada Francji! A tośmy się ubrali... Wyssaliśmy z całego świata, nagromadziliśmy potworne masy artykułu, który nagle stał się niemodny. Co my nieszczęśni pocniemy z naszym złotem? A jeżeli na złość dolarowi cała Europa obierze sobie za środek wymiany międzynarodowej inny metal, choćby platynę? Już o platynie piszą grube książki. Już o niej, a nawet – horrendum – o ekshumowaniu bimetalizmu rozprawiają najprzedniejsi matadorowie finansowi londyńskiej City! Hurra platyna! Niech żyje srebro! Aha – teraz już wiemy, dlaczego okręty wracające do

---

<sup>134</sup> Mc Donald – prawdop. James Ramsay MacDonald (1866–1937), brytyjski polityk szkockiego pochodzenia, premier Wielkiej Brytanii w latach 1924 oraz 1929–1935. Przewodził mniejszościowemu rządowi Partii Pracy, który załamał się wobec wielkiego kryzysu.

<sup>135</sup> Lord Rothermere – Harold Sidney Harmsworth, wicehrabia Rothermere (1868–1940), brytyjski dziennikarz, właściciel Associated Newspapers Ltd., najbardziej znany, podobnie jak jego brat Alfred Harmsworth, późniejszy wicehrabia Northcliffe, z rozwoju „Daily Mail” i „Daily Mirror”. Rothermere był pionierem dziennikarstwa popularnego.

<sup>136</sup> „The Times” – wysokonakładowy brytyjski dziennik społeczno-polityczny wydawany od 1785 r. w Londynie, od 1981 r. przez News Corporation Ruperta Murdocha.

<sup>137</sup> „Daily Mail” – brytyjski tabloid, pierwsze wydanie ukazało się w 1896 r.

<sup>138</sup> „Daily Express” – dziennik brytyjski, konserwatywny tabloid, pierwszy numer ukazał się w 1900 r.

<sup>139</sup> „Manchester Guardian” – właśc. „The Guardian”, dziennik brytyjski o poglądach centrolewicowych, założony w 1821 r. w Manchesterze.

Europy, w braku towarów do eksportu, a raczej w braku eksportu dla towarów, zabierają nasze złoto jako balast – oto grubsi posiadacze świętego metalu na gwałt pozbywają się swoich zapasów, żeby zdążyć przed generalną znową Europy, której narody pewnego pięknego dnia zdobędą się na heroiczną decyzję. Śpieszcie się, śpieszcie się, panie i panowie, kto wie, czy jutro nie zakablują nam, nie zaiskrują<sup>140</sup> zza oceanu:

– Wyprzedaje się wszystkie piwnice – ile ton zamawiacie z prawem pierwokupu, macie tyle, bierzcie i resztę, nam się złoto znużyło – ceny likwidacyjne – *good by USA*<sup>141</sup>!

Ufam, że nie będziemy tak głupi, żeby dłużej gadać i słuchać o złocie, zostawimy to mędrcom i milionerom, proszę uważać wszystko, co powyżej, za wstęp do naszego „złotego” programu. Słyszeliście przed chwilą uroczysty, dobrze znajomy głos naszego starego gongu? Posłuchajmy teraz nowego.

Przed karmazynową kotarą ukazali się dwaj tęczy ludzie w bluzach roboczych, dźwigając na drągu olbrzymi lśniący krąg o przeszło yardowej średnicy, uginali się pod brzemieniem, szurgali nogami i stanęli po środku, dygocąc z wysilenia. Conférencier z rozmachem grzmotnął buławą i gong rozebrzmiał basowym jękiem. Potężny dźwięk zapełnił salę i trwał, drgając, mieniąc się, nie milkł, zdawał się wzmaczać. Drugie uderzenie – nowa fala wibracji wparła się w pierwszą i grały do wtóru w zespole jakiejś dziwnej, przejmującej harmonii. Trzecie wplotło się między nie i na sali zapanował jęczący, głuchy, jakby podziemny grzmot w tonie drażniącym, niskim, rażącym ucho, wreszcie uczyniło się to wszystko naprawdę nieznośnym. Tak trwało, wlokło się i wówczas wielka łapa Petra Ginorio w białej rękawicze spoczęła na skraju gongu i rozjątrzone, rozedrgane wnętrze sali umilkło, zamarło, widownia odetchnęła z ulgą, cisza dzwoniła w uszach.

– Nasz nowy nabytek – złoty gong! „Uistiti” jest pierwszym klubem na kuli ziemskiej, który może się pochlubić podobnym rekwizytem. Nie wymieniam jego ceny, gdyż, chociaż jesteśmy starymi przyjaciółmi, obawiam się, że nikt by mi z was nie uwierzył. Za półdarmo, za bezcen! Co za czasy! Przecież to jednak – do diabła – szczerze złoto! To się nie mieści w głowie, a jednak to fakt! Trzysta funtów złota! Fakt! Fakt!

---

<sup>140</sup> Tu: nie połączą.

<sup>141</sup> *Good by USA* (ang.) – dobre, amerykańskie.

- Pete, gadaj, gdzieś to kupił?
- On to, pocziwy, ukradł dla klubu przez dziurę w banku Morgana<sup>142</sup>, nic dziwnego, że mu wypadło tanio!...
- Panie i panowie! To moja tajemnica i nie wydam jej za żadne tortury. Transakcje złote po cenach „depresyjnych” nie są jeszcze dopuszczone w detalu prywatnym, aby nie zachwiać ostatniej resztki zaufania do nieszczęsnego metalu.
- Nie kręć, Pete, cóż to, nam nie wolno skorzystać?
- No więc dostałem te parę funtów...
- Trzysta! Wszyscy słyszeli!
- Transakcję na te marne trzysta funtów zawarłem nieoficjalnie, na mocy *gentlemen agreement*<sup>143</sup>.
- Oho – to znaczy na lewo?
- Tak mówią dyplomaci w Genewie.
- I zwyczajni złodzieje u nas w Nowym Jorku i wszędzie...
- I złodzieje z trustów od zamierchłego czasu, gdy to z Rockefellera zrodził się pierwszy „Octopus”<sup>144</sup>...
- Proszę o głos! Panie i panowie, jest oczywiste, że złoto na gong było kupione od bandytów z Ninth Avenue! Protestuję i oskarżam! Stawiam wniosek nagły...
- Uspokój się pan i siedź cicho! Co do bandytów z Ninth Avenue, bądź pan łaskaw zaczekać i zapytać ich o to. Przyjdą tu sami, ale dopiero w drugiej części programu.
- Brawo! Cudownie!
- Brawo, Pete!
- Pete, jesteś genialny!
- Cóż – jestem – to nie moja zasługa, takim się już urodziłem. Ale dla honoru „Uistiti” muszę państwa zapytać, czy ci dżentelmeni, którzy, przychodząc na moje zaproszenie, ryzykują życie, mogą liczyć na waszą dyskrecję? Czy zdołamy i czy zechcemy ich bronić, nie szczędząc naszych zębów i kości, gdy na ten numer

---

<sup>142</sup> Bank Morgana – inaczej JP Morgan Chase & Co., jeden z największych holdingów finansowych na świecie, założony w 1799 r. w Nowym Jorku. Działa w ponad 50 krajach. Lider w zakresie bankowości inwestycyjnej oraz usługach dla klientów biznesowych.

<sup>143</sup> *Gentlemen agreement* (ang.) – umowa dżentelmeńska.

<sup>144</sup> W ówczesnych politycznych kreskówkach, autorstwa m.in. Udo Kepplera, przedstawiano zbiorniki firmy „Standard Oil” Rockefellera w postaci ośmiornicy z wieloma mackami owiniętymi wokół przemysłu stalowego, miedziowego i żelazowego, a także dom państwowy, Kapitol USA i jedną mackę sięgającą do Białego Domu.



programu wpadnie policja, której bynajmniej, proszę mi wierzyć, nie zapraszałem?

Wśród oklasków, śmiechu, wrzawy pokraczny Peter Ginorio z małpęczką uistiti na łysinie wsiąkł w kotarę, dwaj robotnicy, zgięci pod brzemieniem żółtego gongu, stękając i szurając butami, zadźwigali go za kulisy.

– Co teraz będzie?

– Zdaje się, że coś z Wall Street – czarny poniedziałek, czy jak...

– Oh – piła... O Wall Street błaznują bez ustanku po wszystkich kabaretach, cóż ten Pete?

– Nie bój się o niego.

– Głupi zwyczaj zatajania programu, tego nigdzie nie ma.

– Ja wolę nie wiedzieć nic naprzód.

– Może Ina?

Rald szukał jej od samego początku, rzucając ukradkowe spojrzenia po widowni. Jeżeli jej nie ma, to znak, że występuje. Tęsknił za nią niemal od miesiąca, a bał się jej straszliwie. Wówczas, gdy rzekomo po raz pierwszy w swoim życiu miała się ukazać nago jako Ewa w obrazie z wężem, uciekł, zanim wyszła na scenę. Znienawidził ją za bezwstyd wobec innych, lękał się ujrzyć ją w zupełnej nagości, gdyż wiedział, że od tej chwili będzie go prześladowała na jawie i we śnie. Wreszcie było to natychmiast po cudacznym spotkaniu na ulicy przed klubem z Eddy'm Wychgramem, to go wytrąciło z pogody ducha, odebrało wszelką ochotę do zabawy.

Wówczas to po raz pierwszy oburzyła go i zdjęła odrazą ta widownia, pełna ludzi bez troski, rozigranych, śmiejących się, nade wszystko obrzydłe wydały mu się rozpróżniane damy i pannie, puste i zimne nawet w swoich najdalej zachodzących flirtach, drwiące ze wszystkiego, absolutnie obojętne na ludzką nędzę i nieopisane klęski tych czasów. Te bezmyślne snobki, które człowiekowi, padającemu z głodu na ulicy w ich oczach, poskąpią marnego dolara, które nie ustąpią o jeden cal, o włos ze swoich przywilejów, a w razie niebezpieczeństwa będą całować po butach policjantów, żeby bronili ich pałaców i diamentów – one to najgorliwiej oklaskują Lota Boltera, gdy przeklina bogaczy, bogactwo i gdy im grozi krwawą zemstą, gdy opiewa bezrobotnych nędzarzy, przewraca do góry nogami cały ład społeczny i deklamuje swoje nieszczerze, robione, bolszewickie poematy.

Była to jego sfera – jakże nią gardził... Nie znał mas pracujących, tych nizin społecznych, motłochu, tłumu, który widywał

tylko na ulicy i to przeważnie przez szybę samochodu, ale czyż mogła istnieć na świecie nikczemniejsza hołota od zbiegowiska w „Uistiti”?

Po co ufundowali ten idiotyczny klub i utrzymują go wielkim kosztem? Żeby słuchać jak z nich ze sceny drwią, jak im złorzeczą w same oczy hojnie zapłaceni poeci? Żeby za własne pieniądze patrzeć na własną karykaturę, na przedrzeźnianie swoich postaci, na wytykanie palcem po imieniu i nazwisku? Czyżby wracał stary obyczaj, gdy królowie, księżęta i magnaci feudalni utrzymywali błaznów, którym wolno było szydzić z własnych panów? A może po prostu przychodzą się tu napić i upić, i spajać swoich artystów nadwornych? W „Uistiti” bowiem podawano jawnie i zawsze bezkarnie whisky, rum, szampana i wszelkie cocktaile jak za najlepszych mokrych czasów.

Atmosfera w ścisłym i niemal zamkniętym klubie „Uistiti” wydawała mu się haniebną, gdyż na dobitkę nosiła wmówione znamię elity intelektualnej i ultraradykalnej nowoczesności. Roilo się tu od ludzi literatury i sztuki, chmary artystów i artystek oblegały stoliki tępych, pewnych siebie bogatych jołopów i chamów, przy bogatych snobach wieszali się zarówno ludzie wybitnie utalentowani, jak i miernoty, nadrabiające błagą i bezczelnością. Wszystko to schlebiało mecenasom, poniżało się, żerowało, żebrało. Zresztą i Rald miał swoją lożę i stolik, gdzie królowała w całym splendorze swej młodości, urody i matczynych milionów, ale chwilami źle znosił bezwstydną i niedwuznaczne zaloty i zabiegi elity intelektualnej około jego osoby. W takich nastrojach umiał być niegrzecznym nawet dla uznanych znakomitości, nawet dla najbardziej uroczych aspirantek sztuki, ale przychodziło to i przemijało, a w ogóle bawił się nie gorzej od innych.

Dziś wzbierała w nim złość na Inę, na snobów, na elitę i na siebie samego, ale nie udało mu się wymknąć, zajęczał cicho nowy, rzekomo złoty gong i wibrował łagodnie ciągłym nieprzerwanym dźwiękiem, w którym niepodobna było uchwycić poszczególnych uderzeń. Głos jego wzrastał się i opadał, ozwał się niskie, chrapliwe zawrodo oboju snującego orientalną, zawikłaną melodię, zabrzączało murzyńskie banjo...

Ciemność – cisza – szelest kotary. W mroku sceny złote połyski – gong, obój, banjo – na widownię wionął gesty dym kadzidła. Wśród widzów przelatują niespokojne szepty, szmery...

Zielony zmierzch... Czerwony zmierzch. Ciemność. Nagle zahuczy gong i scena staje w oślepiającym świetle jupiterów – burza oklasków.

W głębi na tle czarnej, matowej, chłonej światło draperii, na czarnym podium stoi wyniosły, czworonogi bożek, iskrzący złotem, stwór schematyczny, spotworniały, stylizowany praarchaicznie na wzorach ostatnich wykopalisk z grobowca Tutanchamona<sup>145</sup> – dzieło stypendysty domu handlowego firmy „Todd i Hogan”, genialnego plastyka, młodzieńczego Tony’ego Kilpatricka. Przysiadł na zadzie wsparty na przednich łapach, sztywnych jak podpory ze złotych desek, z grzbietu wyrastają poziomo skrzydła ścięte na kant, falisty, długi ogon zgięty w łuk zamarł w rozmachu. Bożek wyciąga ku widowni długą szyję, ciemne, niemal człowiecze oczy wprawione w złoto patrzą głęboko i rozumnie, zaś szeroki, rozplaszczony, bydlęcy pysk ziejie bezbrzeżną, bezmyślną głupotą. Złote rogi zagięte i odrzucone w tył, wielkie ostrokończaste uszy rozstawione szeroko... Między sztywnymi, deskowatymi nogami dymi niski trójnóg, niebieskawa mgła uściela się warstwami nad sceną i widownią, ciężki osobliwy zapach kadzidła przenika wszędzie. Obój, banjo, gong splotły się w nierozwikłany, bezładny zespół monotonnej, tęskliwej melodii bez rytmu i wyrazu – kompozycja genialnego emigranta rosyjskiego Jake Bezshapkina, zostającego pod mozną opieką pani Nanny Both, świeżo rozwiedzionej z niedawno upadłą firmą ubezpieczeniową „Barnabes Blader”, który również gorliwie tu wysiadywał i pił ze zgryzoty, czekając lepszych czasów.

Rald, odurzony kadzidłami i muzyką, oślepiiony blaskiem zamarł w oczekiwaniu, mienił się na twarzy, wreszcie ze strachu przymknął oczy, przeklinał swoją słabość – po co tu został? Wstydził się własnego wstydu – cóż to, jest dzieckiem? Raz na zawsze nieodwołalnie znienawidził Inę, nieczystą wyrachowaną kusicielkę, która nic do niego nie czuje, a chce go usidlić. Dybie na jego bogactwo, jak tyle innych, jak wszystkie tutejsze rzekome artystki. Głupia, nie wie, że matka nic mu nie daje i nie da nic, póki żyje, że poza domem, gdzie go żywią, obsługują i odziewają, jako samodzielny dżentelmen jest na marnej pensyjce miesięcznej, tak marnej, że po prostu wstyd się przyznać. Cztery tysiące pięćset dolarów!...

---

<sup>145</sup> Tutanchamon, pierwotnie Tutanchaton (ur. ok. 1342–1339 p.n.e., zm. 1323 p.n.e.) – faraon XVIII dynastii panujący w Egipcie w latach 1333–1323 p.n.e.

Nie otworzył oczu nawet wówczas, gdy sala zaszemrała, westchnęła głęboko jakby z jednej piersi. Walczył ze sobą, pożerała go bolesna ciekawość – spojrzy, zobaczy ją w całym bezwstydzie i natychmiast o niej zapomni. Będzie wolny i szczęśliwy jak przed pierwszym z nią spotkaniem, gdy flirtował niejako z obowiązku, bo tak wypadało, bo tak robili wszyscy, ale w istocie nic go nie obchodziły kobiety, kpił z ich sztuk i czarów i żadna nie mogła go ani przywiązać do siebie, ani uwikłać. Miałby spokój i jasne, czyste myśli, żyłby sobie swobodnie z dnia na dzień, czekając na wypełnienie marzeń o jakichś nadzwyczajnych zdarzeniach, mających przyjsć, i zgadując, co też mu przyniesie los niewiadomy, łaskawy lub zawistny, a zapisany już kędyś w tajemnej księdze przeznaczeń. Pozornie, na pokaz robił miny zdobywcy serc i umiał nie gorzej od innych młodych ludzi ze swojej sfery wygadywać o kobietach cyniczne paskudztwa. Wstydił się swej czystości i krył się z nią starannie, ale cenił ją w sobie głęboko i strzegł instynktownie – jak dziewczyna.

Ina klęczała ze wzniesionymi ramionami i biła pokłony przed bożkiem, czarny jedwabny płaszcz okrywał ją szczelnie, rude włosy, upięte i splecione wysoko w asyryjską koronę, były w tonie ciemnego, starego złota jak i posąg Cielca.

Z wolna, w rytmie melodii, która przebijiała się kunsztownie przez zawile zawrozenia oboju, i rzadkie, mylne, zda się przedwczesne lub rzekomo spóźnione, arpedzia banjo<sup>146</sup>, dotykała czołem ziemi i odchyłała się w tył – nieznacznie, za każdym pokłonem zbliżała się do bożka, sunąc na kolanach.

Wreszcie palcami o złożonych paznokciach w ostatnim pokłonie dotknęła złotych, rozwidlonych racic i twarz, która aż dotąd widzialna była tylko w hieratycznym profilu, obróciła ku widowni. Uczesanie, skośne, ciemne brwi, przedłużone ołówkiem aż na skronie, odmieniały jej urodę, czyniły z tak dobrze znajomej Iny egipską kapłankę o nieruchomych oczach, o zakrzepłej twarzy. Uderzył gong – zerwała się i czarny płaszcz osunął się i usłął pod jej stopami w szeroką, czarną plamę.

Oklaski, oklaski, wrzawa, okrzyki bez końca.

Zagadano, zaszeptano przy stoliku Ralda.

– Cudowna!

---

<sup>146</sup> Arpedzio banjo (z wł.) – częściej używana jest nazwa „arpeggio”; w tym przypadku sposób wykonania akordu na banjo polegający na szybkim następcstwie dźwięków.

- Jednak ona jest naprawdę...
- Wydaje się jeszcze wyższa...
- Nie widziałem... Nigdy nie zobaczę podobnej linii nogi, takiego związania w kolanach...
- Włosy? Nie uwierzę, żeby mogły być prawdziwe.
- Pani się upiera, że są farbowane?
- Mniejsza o farbę, myślę, że to po prostu peruka i już.
- Zawiść i tyle. Kobieta współczesna, wiedziona obłudem – powojennym, pozbyła się swej najidealniejszej cechy kobiecej – długich włosów... Więc chwilami...
- Za to na ciebie ani włoska, ani puszku.
- Każda girlsa<sup>147</sup> robi tak samo!
- Słusznie! Gdyby kobieta zachowała w całości włosy na głowie, a za to... Byłaby to dopiero prawdziwa nowoczesność.
- Nie każda kobieta pokazuje się jak publiczna tancerka...
- Jednak każda się komuś wreszcie pokazuje...
- Co do mnie, gdybym nawet nie aspirował do żadnych intymnych pokazów, sama świadomość, że tak właśnie jest...
- Dosyć – co kogo obchodzą pańskie gusta?

Ina okrążyła bożka z mimiką uwielbienia, nie spuszczała zeń oczu, podchodziła blisko, ostrożnie sięgała doń ręką i odbiegała nagle jak spłoszona w sam kąt sceny. Wracała, skradając się, przystawała, onieśmielona, zawstydzona. W końcu przemogła się, podniosła nogę i odważyła się dotknąć bosą stopą brzeżka wysokiego podium – oburącz zasłoniła sobie oczy i zastygła w tym trudnym, osobliwym ruchu, na poły gimnastycznym, na poły bezwstydnym – po sali przebiegł szmer.

Lekko, bez cienia wysiłku, nie tknąwszy ręką podium uniosła się w górę, pochyliła się i uklękła, jej palce pobiegły, lekkie, chybkie, pieszczotliwe od rozkraczonych sztywnych nóg potwora ku jego płańskiej piersi i oplotły sztywną, prostą jak drąg złoty szyję. Powstała i nagle na uderzenie gongu chwyciła w objęcia tępy, obskurny, grubo ciosany bydlęcy łeb. Przywarła doń obu piersiami i zadrgała, zatrzęsła się w ekstazie – obój powtarzał w kółko jeden i ten sam frazes muzyczny, uparcie, nieznośnie, do zapamiętania. Z lubością tuliła twarz do szerokiej, obrzydłej paszczy, rozchyliła usta, przymknęła oczy i wiła się, targana żądzą, ocierała się o bożka, lgnęła do jego kanciastych boków...

---

<sup>147</sup> Girlsa (z ang.) – tancerka.

Rald spojrział i o mało nie zakrzyknął ze zgrozy, ze wstrętu, z oburzenia, z uwielbienia, z rozkoszy. Chciał wołać –

– Ina! Natychmiast precz ze sceny!...

– Jesteś podłym, publicznym stworzeniem! Ty ladacznico...

– Ina, uwielbiam cię, Kocham cię. Żadna nie jest jak ty...

– Wszystko ci wolno, wszystko – tylko mnie nie odpędzaj, spojrzysz na mnie!...

To, co widział, wydało mu się snem, jednym z wielu, w których prześladowały go szalone, wariackie wizje tej dziewczyny. Jej obnażone rozpętanie było nieprawdopodobne, zarazem ohydne i piekielnie, niebiańsko urocze.

Ina rzucała się w bezwstydzie, jej głowa targała się w obie strony, kunsztowna asyryjska fryzura rozluźniła się, rozplotła i wnet promienie ciemnozłotych włosów jęły wić się i latać dokoła jej ciała, muskały, smagały poczwarny kadłub złotego byka, płątały się w jego rogach, między racicami, płaszczem okrywały bawoli garb na jego karku, omiatały niski, przysadzisty zad – biegały, płynęły wszędzie. Obój na najniższej oktawie wciąż wybijał i powtarzał swój motyw jak niestrudzona maszyna. Efekt kompozycji genialnego Jake Bezshapkina nękał i opętywał słuchaczy; szybko mknący, szybko zmienny, coraz bardziej rozpasany taniec nóg, ramion, piersi, bioder, włosów – całej cielesnej istoty Iny wprawiał ich w pijaństwo ekstazy, oszałamiał gong, odurzały kadzidła, a do tego szampan, wódka i cocktaile, i grogi... Zdawało się, że lada chwila pęknie na tej sali ostatnia nić, wiążąca jeszcze instynkty tłumu, i naraz wszyscy wpadną w szal, obnażą się wszystkie żądze, wybuchnie gromadna orgia.

Ina rozszalała się, zaledwie można było podążać za jej ruchami, do utraty tchu, do wyczerpania ostatnich sił miotała się, okolona burzą włosów jak płomieniem – wreszcie w jednym skoku dosiadła Cielca, wzięła go między uda, ścisnęła i odchyłona w tył roztrzaskała ramiona, targnęła głową, jeszcze raz wzburzyła rude włosy i cisnęła między ludzi krótki, ostry krzyk – przenikliwy jak ból, jak spazm rozkoszy.

Zasłona. Oklaski, wywoływania – okrzyki – wrzask... Pomimo wściekłego ryku widowni Ina nie raczyła się ukazać. Conférencier Peter Ginorio na próżno jej bronił – upada ze znużenia, cóż to, państwo sobie myślicie, że dla tak subtelnej kobiety to nic mieć do czynienia z najpotężniejszym ze wszystkich bogów – z samym Złotym Cielcem? Przecież to – byk!

Wrzaski nie ustawały, w powszechnym gwałcie oprócz osób najbliższych siedzących nikt nie zauważył, że Rald grzmotnął ciosem bokserkim pięścią pod brodę swego przyjaciela Vicky'ego Andersa. Za co? O co im poszło? Nikt nie słyszał, co Vicky powiedział o Inie. Bełkocząc, przyciętym językiem i ocierając wargi z krwi, tłumaczył się, że nie powiedział nic takiego, że Rald jest wariatem, ujmując się za taką Iną, a przy tym to zwyczajny cham – *a golden churm*<sup>148</sup>. Rald zerwał się od stolika, chwycił i wypił duszkiem czyjś loumper<sup>149</sup> z cocktailem, cisnął szkłem o ziemię i poszedł precz.

Na próżno conférencier zabawiał publiczność, nie dali mu przyjść do głosu.

– ...Bo jeżeli nasza boska Ina nie chce się pokazać, znaczy to, że już pokazała wszystko, co za tym razem miała do pokazania, trzeba było uważać i patrzeć, a nie szeptać po kątach, korzystając z ciemności... Drzyjcie się, nic nie pomoże, choćbyście tam nie wiem co... Szkoda sobie zrywać płuca, przypominam, że grypa znowu zaczyna grasować w dolnym mieście, co to dla niej znaczy sięgnąć do waszych wyżyn. Ach, te pogrzeby... Proszę niech każdy z obecnych pomyśli o własnym pogrzebie i dajcie już raz pokój!... Panowie, panowie, a w pewnym procencie i panie, które w tym momencie nawiedził żółty demon zawiści – pomiarkujciez się! Przystaniecie wy wrzeszczeć.

Sala ucichała powoli, rozbijano się tylko przy paru stolikach, gdzie towarzystwo zdążyło już podpić. Ginorio podniósł wysoko na dłoni potulną, skuloną w swoich piórkach-kudełkach małpeczkę.

– Powstydziecie się choćby naszego szanownego prezesa honorowego... Liczcie się z tym, że nie tylko ja, ale i on może stracić cierpliwość...

– On? To samiczka, ty jeszcze tego nie wiesz, naiwny Pete.

– Kto nie wierzy, raczy się przekonać. Powszechnie mniemają, że każda małpka uistiti jako stworzonko urocze, minimalne i bezbronne musi być kobietą, tak samo jak każdy goryl, potężny brutalny małpozwierz – samcem. Jest to przesąd, skądże by się wzięły na świecie uistiti, goryle i wszelkie inne małpy, których kilka odmian dostrzegam na tej sali?

Wreszcie Pete dał za wygraną, znikł w szczelinie kotary, za chwilę zagrzemiał gong i na proscenium wypadł, jakby wypchnięty

<sup>148</sup> *Golden churm* (ang.) – złoty pomruk.

<sup>149</sup> *Loumper* (ang.) – luzem, tu: wolnostojący.



przemocą, ulubiony w klubie Lot Bolter, „poeta proletariatu i rewolty”, popierany szczególnie przez dwie podstarzałe dziewczynki, milionowe sukcesorki rentierki, zwariowane siostry Dune. I siostra Belinda, i siostra Thomasa niemal religijnie uwielbiały ten młodzieńczy, nieposkromiony, dziki talent, wydawały luksusowo, niemal na pergaminie półtora lub półarkuszowe numerowane plakietki w dziewięćdziesięciu dziewięciu egzemplarzach, które dzięki cenie, wygórowanej do bezczelności, oraz obelżywej treści były rozchwytywane przez snobów. Lot Bolter terroryzował je swoją nędzą, gruźlicą i samobójczymi aluzjami, za każdym razem długo musiały błagać go i żebrać zmiłowania, poniżyć się i szlochać, zanim zgodził się ustąpić i przyjąć co pewien czas czek na jakieś marne tysiąc dolarów. Mniej więcej raz na miesiąc.

Genialny Lot ukazał się w zwykłym swoim uniformie – rozczochrany, w bolszewickiej czerwonej koszuli, wyświechtanej kurtce i w kraciastych wypchanych spodniach, spode łba z odrazą spojrzął na salę i obelżywie lekceważąco burknął tytuł poematu:

– Ballada o dockerze Metcalfie...

Rald zabłąkał się w krętym, wąskim korytarzu piętra, gdzie mieściły się garderoby artystów i artystek; były to małe klitki, podzielone drewnianymi przepierzeniami, niesięgającymi sufitu. Drogę zagrodziła mu grupa bandytów z Ninth Avenue, którzy wałęsali się, czekając swojej kolei, potem spotkał słynnego żonglera japońskiego Kimurę w świetnym złotym kimono, zaproszonego na ten wieczór, wreszcie garderobiana, siwa murzynka, oznajmiła mu, że „pani” zakazała wpuszczać kogokolwiek, a nawet meldować, pani jest bardzo zmęczona i odpoczywa, bo jeszcze dziś występuje, za dwadzieścia minut – bardzo ciężki numer... Spojrzął na nią okropnymi oczami i wydobył sto dolarów, ujął paperek w dwa palce i podsunął jej pod rozplaszczony nos. Porwała banknot, rozwarła od ucha do ucha ogromną paszczę, pełną złotych zębów, i uciekła. Jeden z bandytów, znajomy aktorzyzna, ujął go pod ramię, zaszeptał.

– Radziłbym panu wynosić się czym prędzej z tej budy i ostrzec kogo tam pan ma bliższego na sali... Będzie cud, jeżeli przedstawienie dojdzie dziś do końca...

– Co takiego? Czego pan ode mnie chce?

– Nic mi od pana nie trzeba, ostrzegam z sympatii – planuje się napad na klub. Tutejsze męty społeczne, bezrobotni, baby, dzieci, a z nimi rzezimieszki, nożowcy, dranie w czerwonych szalikach, wystający tu na wszystkich rogach – mają napaść na nas całą hordą,

czyli na was – bogatych. Kiepski był dowcip fundować budę w takiej zatraconej dzielnicy, tutejsza nędza za długo już musiała patrzeć na wasze wspaniałe limuzyny. Podobno za bardzo cholerował na nas w ostatnią niedzielę tutejszy pastor – za bluźnierstwa, za pijatyki, za rozpustę... Najgorzej klechę zabolalo, że dawaliśmy w ostatnim programie żywe obrazy z raju – matka rodu ludzkiego Ewa całkiem na goło. Czego on chciał? Jak ją było, u diabła, wystroić? Panie Rascob – żarty na stronę... Pete się uparł i nie chce dzwonić do pogotowia policyjnego, za całą obronę mamy na ulicy dwóch głupich „copsów”<sup>150</sup>... Gdyby nie te kilka dolarów, nie czekałbym jednej chwili... Oni nas tu zmasakrują!

Murzynka wychyliła z dalekich drzwi nastroszoną siwą szopę, a pod nią łyskające oczy. Rald wydarł się aktorowi i popędził. Dusił go wściekłość ślepa i głucha, w tej chwili nie powstała w jego głowie żadna myśl.

– Ina – Ina – Ina!...

Nie wiedział, co jej powie, co z nią zrobi. Nie wiedział, czego od niej chce. Nie tylko w oczach, w głębi mózgu aż do bólu czuł ucisk jej bezwstydnego nagości. To było wszystko.

Siedziała w trzcinowym fotelu, zatulona w swój czarny, jedwabny płaszcz, pochylona nad niskim stolikiem i przez słomkę ssała jakiś zielonkawy, pieniący się napój z lodem. Murzynka zatrzasnęła za nim drzwi. Nie podniosła głowy, nie poprosiła go siedzieć, zresztą nie było na czym, drewniana klatka była pusta, z otwartej szafy w murze wybuchał chaos krzyczących barw i powtarzał się w wysokim, wąskim lustrze.

Rald ujrzał własne odbicie i nagle oprzytomniał – nie miał wyobrażenia, że mógł się tak odmienić... Skąd się to wzięło? Dlaczego? Teraz dopiero nie wiedział, po co tu jest. Zakochał się w niej? Ależ nie – nie i nie! Czy jej pożąda? Gdzież tam – brzydzi się jej wyuzdaniem za pieniądze, na pokaz. Więc co?

Teraz boi się jej straszliwie, uczynił fatalny, fałszywy krok, samochcąc wpadł w pułapkę. Ina ma go w rękę, jeżeli nie ucieknie stąd natychmiast – zginie. Z wolnego człowieka stanie się jej cieniem – pójdą precz marzenia o fantastycznym, górnym życiu, przechodzącym wszelkie poezje, powieści i kinodramaty. Nie znał jej zupełnie – dopiero teraz wie, co to za demon... Tylko dwa razy był z nią sam na sam, na kolacji w wytwornej restauracji

---

<sup>150</sup> Cop (ang.) – pot. policjant.

„Baltimore”, gdzie dwie godziny przegadali o niczym, jak dobrzy koledzy, i na rewii w podejrzanym lokalu „Scaglade”, tam Ina opowiadała o swoim sierocym, ciężkim dzieciństwie i o wiecznej nędzy panującej w rodzinach górników w Kentucky, i ni stąd, ni zowąd zaczęła się rozwodzić nad nieludzkim urządzeniem współczesnego świata – „którego zbrodnie wołają o pomstę do Boga”. – Ale rewolucja socjalna byłaby jeszcze gorsza – życie w ogóle nie ma sensu.

Gdy spotykały się ich oczy, mimo wysiłków, aby zapanować nad sobą i z góry przygotowanych postanowień, nigdy nie mógł wytrzymać do końca jej spojrzenia.

Dobrze, że nań teraz nie patrzy – dlaczego nie patrzy? Ze zmęczenia? Z jakiegoś wyrachowania? Ina – demon? Wolne żarty – ale cóż to za szelma...

W szklance zaklekotały kawałeczki lodu, drgnął na ten dźwięk, spojrzał na nią, popatrzył, ale nie wytrzymał i paru sekund – szatańskie oczy...

– Po co pan tu przyszedł?

– Nie wiem.

– To przynajmniej odpowiedź! A któż to ma za pana wiedzieć?

– Nikt. Może właśnie pani?

– Przecież... Skąd ja mam wiedzieć?

– Dobrze, więc przyszedłem oświadczyć, że to hańba niegodna pani urody pokazywać się publicznie... Co pani wyprawiała?!

– Oddawałam się bogu złota, tak wypadło z mojej roli, jestem artystką.

– Pani się oddawała wszystkim tym bogatym chamom, oni panią w lot zrozumieli, rzeli z uciechy. Taka z pani artystka.

– A pan to niby nie rzał?

– Jak pani śmie mnie równać z tą hołotą?! Ja nie jestem chamem!

– Bo pan jeszcze za młody, będzie i pan taki sam.

– Nigdy!

– Świat pana prędko zepsuje, no i kobiety...

– Kobiety! Kpię sobie z kobiet!

– I ze mnie również?

Nie odpowiedział, patrzył uporczywie na brzeg rozpostartego na ziemi czarnego płaszcza, spod którego wyjrzała obnażona stopa. Sponad przepierzenia dochodził gwar rozmów, śmiechy, ktoś tam próbował bębienka z brzękadłami, ktoś stroił jęczącą hawajską gitarę.

- Rald!

Spojrzał zdumiony, po raz pierwszy nazwała go po imieniu, patrzyła nań spokojnie, łagodnie, postąpił ku niej o krok.

- O czym tu mówić? Nie ma o czym. Co będzie z nami obojgiem? Nic a nic - uciekajmy od siebie. Najlepiej idź i nie wracaj - żal mi ciebie. Nie wierz nigdy żadnej kobiecie, na tobie cięży przekleństwo - z nadto jesteś bogaty. Teraz żegnaj, popatrz na mnie, napatrz się, bo - kto wie - może już nigdy nie zobaczysz mnie taką? Za piętnaście minut wychodzę na scenę i umieram ze strachu. Na włosku wisi moja uroda i cała moja kariera... Może będę potwornie oszpeconą, kaleką na całe życie, a może nawet zginę? Porywa mnie gra, ale boję się, boję...

- Co to będzie?!

- Zobaczysz, a lepiej nie patrz całkiem, uciekaj, wracaj do domu. Myślałam, że mi przyniesiesz szczęście, a teraz boję się i ciebie. Strasznie mi dzisiaj przeszkadzasz.

- Ach, taniec wśród mieczów! Słyszałem - przecie to straszne...

- Czeka mnie gorsza próba, ach, jak się boję...

- A któż ci każe, kto cię zmusza?

- Sama się zmuszam dla wypróbowania siebie, dla ryzyka, dla strasznego dreszczu... Coś mnie pcha... No i dla kariery, bo gdy to przejdę, pewien manager, który siedzi tam na sali, na pewno zaangażuje mnie na objazd Europy. Po obrazie Ewy bardzo się mną zainteresował, ale zażądał, głupi, żebym obcięła włosy - niedoczekanie jego...

- Za nic w świecie!

- Ten pan po dzisiejszej mimodramie układa paragrafy umowy, ale jeżeli się uda to, co ma nastąpić teraz właśnie, będzie mi musiał potroić honorarium. Trzeba sobie urządzić życie, sama jestem na świecie...

- Nie będziesz sama, ja za tobą pojedę do Europy!

- Mama cię nie puści, miły chłopcze...

- Co ty sobie myślisz, za dwa miesiące będę pełnoletni! Mogę sobie jechać na koniec świata.

- A za co? Jeżeli papa i mama nie dadzą?

- Dlaczego nie mają dać?

- Jak się dowiedzą, że jedziesz dla mnie...

- Zresztą i tak na wiosnę mnie wysyłają do Paryża do Szkoły Nauk Politycznych. Będę miał listy polecające do ambasady i do mnóstwa wpływowych osobistości, ja cię urządzę, wyrobię ci piękne

engagement. Pluń na tego głupiego managera i bez żadnych eksperymentów z mieczami...

– Rald, popatrz na mnie jeszcze, dlaczego nie patrzysz?

– Chcesz wiedzieć całą prawdę? Boję się twoich oczu i już.

– Więc zamknę oczy i nie otworzę, aż sobie pójdziesz, ale śpiesz się...

Z przejmującym szelestem rozsunał się i opadł czarny płaszcz i zawisł jak czarne skrzydła na jej wzniesionych ramionach, Ina naga z przymkniętymi powiekami wpółleżała w głębokim fotelu. Jeszcze lśniło kropelkami potu jej znużone ciało, wszędzie, na ramionach, na piersiach, na biodrach, na nogach błyskały płatki pozłoty, starte ze złotego cielca. Rald zdrętwiał – przeciągnęła się leniwie jak senna i opadła na fotelu, przegięta w biodrach w czystym, klasycznym wyrazie helleńskiego marmuru. Spojrzała spod cienia rudych włosów, opadających na czoło, spojrzała spod skośnych, narysowanych brwi. Rald padł przed nią na kolana, objął jej biodra, przywarł czołem do palącego, bezwłosego łona. Nakryła go płaszczem, schowała, uśmiechnęła się do siebie w lustrze, spojrzała na zegarek, leżący przed nią na stoliczku.

– Tym razem, moi państwo, będę nieco poważniejszy, proszę się nie obawiać, to mi prędko minie... Ale naprawdę, naprawdę proszę was, zachowajcie spokój i absolutną ciszę na nadchodzący numer programu. Apeluję do całej tej wykwintnej sali – bądźmy ludźmi! Nie dłużej jak na osiem do dziesięciu minut. Tylko! Potem każdemu wolno wrócić sobie do tego, czym tam jest. Idzie o zdrowie, a nawet o życie boskiej Iny, idzie o spokój i bezpieczeństwo klubu, gdyż w razie, nie daj Boże, wypadku lub katastrofy, po prostu zamkną nam budę, mniejsza o to, że przymkną przede wszystkim waszego najniższego sługę... Albowiem podobne produkcje w naszym stanie są wyraźnie i surowo zabronione, a humanitarni prawodawcy oraz siepacze z Albany czekają tylko sposobności, żeby się do nas zabrać. Sądzę, że to wystarczy? Cisza, cisza, jeszcze raz cisza!

Był zatroskany, niespokojny i głos mu się zrywał, ale Pete już tyle razy mistyfikował i wyprowadzał w pole swoją publiczność, że nikt mu nie uwierzył.

Gong. Cisza. Ciemność. Szelest kotary – na scenie nieprzebita ciemność. Żadnej muzyki, żadnych efektów wstępnych... Czerwony reflektor – w płomiennym kręgu objawia się Ina w całej nagości na tle purpurowego drewnianego ekranu, rozpostarte ramiona, rozpostarte nogi w literę X, w znak krzyża św. Andrzeja. W ciemnościach

coś łśni i migoce nikłymi przebłyskami, coś tam szczęka i szczęka żelaznym pochrzęstem.

Jaskrawy, niemal słoneczny blask zalewa scenę. Nikły, ciemnocy Japończyk we wspaniałym pozłocistym kimono potrząsa płaskim koszykiem i szczęka, i chrzęści. Obraca się ku widowni i przykłada do warg dwa palce. Tak stoi, stoi, stoi... I nagle trzy szybkie porywcze skoki i z ręką wzniesioną do góry staje jak wryty na dziesięć kroków przed Iną.

Sięga do koszyka i ciska z zamachem, sięga i ciska, i ciska, i ciska bez sekundy namysłu, bez jednego mgnienia zwłoki. Wśród martwej ciszy jednym nieprzerwanym pasmem tępych, groźnych dźwięków stukają o deski złożone noże, łyskają w przelocie złotym blaskiem. Już tkwią, dygocąc, wzdłuż obu ramion, znaczą ich zarys złotymi ćwiekami. Teraz po kolei między rozpostarte palce... Prawa dłoń, lewa dłoń. Idą wzdłuż boku, od pachy do stóp, zaznaczają niepokalaną, falistą linię bioder, linię odchyloną nogi... Przechodzą na prawą stronę...

Na widowni śmiertelna cisza tak doskonała, że chwilami słycać widmowy gwizd i furkot latających noży. Zdumienie, zachwyt, przerażenie – ludzie wstrzymują dech, przymykają oczy, kobiety dygocą w trwodze, ze wszystkich sił duszą w sobie krzyk strachu, tłumią błagalne wołanie – dosyć już, litości, ach dosyć!...

Rald, błakając się jak we śnie nieprzytomny, niemal po omacku, przez schody i zakamarki, przez jakieś oszklone korytarze, bez świadomości gdzie jest, wiedziony instynktem lunatyka, nawracając i kołując, dobrnął wreszcie i stanął w wejściu na widownię. Niósł w sobie cud pierwszego tchnienia rozkoszy, obudzonej z młodzieńczego uśpienia, niósł we wzburzonym sercu pierwszy przedsmak kobiety. Tajemne wibracje drgały w nim i jątrzyły aż do bólu, na wskroś przez całe ciało od stóp do głowy. Bił weń gorący wicher i obezwładniał go, szarpał na strzępy, porywał każdą poczynającą się myśl. Zdarzały się momenty, gdy zanikało w nim wszelkie pojęcie o Inie, gdy zapominał nawet jej obrazu i imienia. Dopiero gdy odruchowo dotykał ręką czoła, gdzie dolegało palące miejsce, odgadywał jej pocałunek i struchlały ze szczęścia chwycił fantastyczny moment, kiedy niepojęta magia nagiego ciała Iny uwiodła go i rzucała do jej stóp. I natychmiast zapadał w sen i tamto stawało się snem, ogarniała go trwoga, że się zbudzi. Z całej mocy trzymał się snu, wraz z nim ginął w nicości i wynurzał się, w ciągu sekundy przebywał przestrzenie, przechodził zagmatwane koleje i znowu,

zbliżając się, niknąc i zwodząc jak na rozkołysanej fali, nadpływała Ina i tuliła jego głowę do kolan.

W bocznych rozwartych drzwiach, prowadzących na widownię, zagroził mu drogę woźny w czerwonej liberii, stał zapatrzony, z rozwartymi ustami, z wytrzeszczonymi oczami. Rald otrzeźwiał, gdy tylko rzucił okiem na oblicze murzyna, skamieniałe w przerażeniu, z sali ziała przeraźliwa cisza. Spojrzał sponad ramienia woźnego.

Złote noże latały, migocąc i trafiały teraz między rozchylone nogi, od łona aż do ziemi, ocierały się o różowe ciało i dziobały w deski ekranu z zawziętym stukotem, a utkwivszy drgały przez chwilę. Ina jak w hipnotycznym uśpieniu patrzyła w przestrzeń nieruchomymi oczami i jej twarz zaskrzepła, skupiła się w nadludzkiem wysiłku, żeby nie poruszyć się, żeby nie drgnąć, nie upaść, nie uciec i wytrzymać do końca. Za każdym chłodnym muśnięciem noża przesywowało ją żywe wyobrażenie bólu, z drgania desek za każdym ciosem ona jedna wiedziała, z jaką zapamiętałą, złą, ślepą siłą godziły noże. Jeszcze chwila... Jeszcze jedna chwila... Szybko – szybko zbliża się koniec – ostatnia stawka...

Teraz najgorsze... Głowa, czoło, twarz, szyja, oczy, ach oczy... Jeżeli nóż draśnie, jeśli się zmyli o włos i zatnie ją, utkwi – skażona będzie na zawsze jej uroda, przepadną wszystkie marzenia, zgaśnie i szcześnie wschodząca gwiazda – Ina. Z nienawiścią cisnęła oczami w bogate zbiegowisko, upojone śmiertelnym igrzyskiem. Za taką cenę, za cenę kalectwa, życie i wszystko stawiając na kartę, walczy o byt Ina, sierota od małego dziecka, córka górnik, zmiażdżonego w starej galerii podstemplowanej próchniakami, dziecko nędzarki, wdowy, wyrzuconej przez kopalnię na bruk bez grosza zaopatrzenia, zabitej rychło przez trud i troski w czarnej krainie węgla w przeklętym Kentucky...

Pierwszy nóż musnął jej szyję. I wbrew wszystkim zakazom, wbrew solennej obietnicy, łamiąc dane słowo, spojrzała błagalnie na japońskiego zonglera – odpowiedział jej krótki krzyk, chrapliwy, zduszony, niehumaniczny, wściekły głos podrażnionego zwierza. Zacięła powieki. Załomotały noże dokoła głowy straszliwie głośno, straszliwie blisko, więzły w drzewie tuż przy skroniach, ocierały się o uszy, trącały po ciemieniu rozedrganymi trzonkami...

Poleciał, mignął złotem, uderzył i utkwiał ostatni nóż – setny dwudziesty piąty. Japończyk odwrócił koszyk dnem do góry – był pusty.

Widownia oszalała. Tłum zaroił się, zahuczał, ruszył z miejsca i parł na scenę. Wśród powszechnego ryku przebijały się historyczne,



wielogłose, ostre, spazmatyczne kobiece szlochania, jęki i piski. Grzmiała zwycięstwem fanfara trąb, huczał złoty gong. Na scenę sypała się ulewa kwiatów. Ina nie roztworzyła oczu, zastygła jak skała, rozkrzyżowana, zda się uwięzła między nożami. Padały u jej stóp najrzadsze kwiaty, wiązanki orchidei, cyklameny, pęki olbrzymich czarnych goździków, fiołki i róże, róże, róże... Kwiaty uderzały, muskały ją pieszczotą po całym ciele, czepiały się noży i zwiślały nad jej głową jak wieniec chwały. Tłum ją zakrył. Na sali mnóstwo panów pisało czym prędzej stylografami<sup>151</sup> w wąskich karnetach i nerwowo wydierało kartki. Do koszyka mistrza japońskiego sypały się czeki, banknoty, złote monety, za każdym datkiem żongler pochylał znużoną głowę i przykładał do piersi straszłą, niechybną prawicę.

Sama szanowna pani Ester Kimball, kwitnąca urodą małżonka starego Franka Elmera Kimballa, króla kauczuku, w asyście młodszego próżniaka Clive'a Gilmeta, którego jedynym zajęciem było trwonienie wielomilionowego spadku po ojcu, obchodziła salę i zbierała składkę na benefis Iny. Dżentelmeni, wypisujący czeki, teraz zastanawiali się nieco, manipulacja trwała dłużej, sumy były znaczne, do nadstawionego cylindra Gilmeta sypały się kartki czekowe, banknoty, dzwoniły sztuki złota.

Scena pustoszała, Ina znikła, paru kodakomaniaków<sup>152</sup> dokonywało zdjęć z ekranu, na którym widmo Iny obrysowane było linią złotych noży, które też na pamiątkę wydzierano i rozkradano z zapalem. Była przerwa, na widowni gęsto strzelały korki szampana (sto dolarów butelka), ustawicznie raz po raz wznoszono zdrowie Iny, wygłaszano górnolotne speache<sup>153</sup>, wydzierano sobie i pojono na umór genialnego Kimurę, oglądano, obmacywano jego rękę, jak gdyby na niej spodziewano się odczytać tajemnicę jego mistrzostwa, panie domagały się, aby sprzedał złociste kimono i już wszczęły licytację od trzystu dolarów, pani Mc Naughton – „Matthew Gibbings Mc Naughton”, koncern włókienniczy w Filadelfii, dwadzieścia siedem tysięcy robotników na razie zwolnionych – dawała już tysiąc dziewięćset dolarów.

– Panie i panowie! Przebyliśmy szczęśliwie straszliwą próbę. Mistrzostwo genialnego Kimury i męstwo Iny odniosły wspaniałe zwycięstwo. Sądzę, że zapamiętamy ten wieczór. Pani Ina za moim

---

<sup>151</sup> Stylograf – pióro wieczne.

<sup>152</sup> Kodakomaniak – tu: fotograf.

<sup>153</sup> *Speech* (ang.) – mowa, przemowa.

pośrednictwem przesyła państwu wyrazy swej serdecznej wdzięczności za ich łaskawe względy. Zbiórka benefisowa, wedle tego oto protokołu, podpisanego przez trzech świadków, wyniosła dolarów siedemnaście tysięcy sto dwadzieścia, a oto pokwitowanie. Pani Ina upoważnia mnie do oświadczenia, że piękną tę kwotę w całości przeznaczają jako zapomogę dla górników strajkujących w zagłębiu węglowym Kentucky, co czyni zaszczyt jej hojności i dobremu sercu.

Ginorio uciekł za kotarę. Na widowni głucha cisza – ani jednego okrzyku, ani jednego oklasku. Milczeli wszyscy, a po sali wionęło tchnienie ponurego chłodu. Siedzieli cicho służebnicy klubowej rewolucji, bluźniercy i oszczercy kapitału, siedział jak mysz pod miotłą i uśmiechał się niewyraźnie Lot Bolter, poeta proletariatu, autor dzisiejszej płomiennej ody do dockera Metcalfa.

Wreszcie ruszył się pijany Clive Gilmet, pustak i utracjusz. Na złość im wszystkim zburzył grobowy protest widowni, mniejsza o głupich górników, o ich nędzę, o ich strajki... Wydostał książeczkę czekową i krzyknął:

– Brawo, Ina! Doskonale! Ja ze swojej strony pozwalam sobie zaokrąglić tę kwotę do dwudziestu tysięcy.

## Rozdział czwarty

### Potentaci, mędracy

Gość odpoczywał po długich wywodach i rozkoszował się bezcennym shurmanowskim cygarem, jakich nie pali ani prezydent Stanów, ani jego wielkobrytyjska mość, ani żaden potentat świata, nie ma ich bowiem na rynku, a pochodzą z własnej plantacji w San Cristobal na Kubie<sup>154</sup>, ze specjalnie selekcjonowanych roślin i liści.

– A ostatecznie?... Bo jednak, jak dotychczas, nie ma się za co uchwycić – ani u nas, ani, jak widzę, nawet tam?

– Chciałbyś już ostatecznej odpowiedzi? Na razie mamy ich sto – tysiąc... Prowadzi się jednak kolosalną, intensywną pracę. Imponujące, wielkie umysły... Powołano do życia znakomite zespoły, powstają międzynarodowe instytuty badawcze... Zarysowują się na niedaleką przyszłość wielkie światowe konferencje...

– Tylko tyle... A więc na razie nic?

– Nic? Niepodobna operować pojęciem – nic. Jesteśmy na drodze do wykrycia prawdy, to już wiele.

– Wróciłeś, jak widzę, pogodzony z rzeczywistością. A jechałeś z takim zapałem? Ameryka liczyła na ciebie.

– Nikomu nie obiecywałem dokonać cudu.

Shurman nic nie odpowiedział. Kto wymagał cudów od genialnego Youtha? Ale głowa najtęższa w USA mogłaby się zdobyć na coś więcej, niż biadać za innymi i jak inni nic nie wiedzieć. Wielka światowa polityka oderwała go od żywych zagadnień gospodarczych, pan prezydent złamał jego linię. Uwikłał się biedny Youth w labirynt europejskim wraz ze swoją olbrzymią misją dziejową, a po trosze i sława uderzyła mu do głowy – ludzka rzecz... Europa przyjęła jego

---

<sup>154</sup> San Cristobal na Kubie – prawdop. chodzi o oryginalną nazwę stolicy Kuby San Cristóbal de la Habana.

głośny „plan” i fama rozniosła jego imię po całym świecie, ale co Niemcy zrobią z tego za pół roku? Niemcy mogą bodaj jutro wyczynić jakiś nowy kawał, wielki Youth pójdzie do kosza jak tylu innych zbankrutowanych geniuszów i tyle historycznych papierów, uroczyście sygnowanych przez mocarstwa planów, uchwał, protokołów, paktów... A gdyby był pilnował swojego i siedział nadal w rzeczach giełdowych, w koniunkturze, w złocie, w surowcach, to o tej porze, kto wie, może by i wykrył bakcyła, który toczy i żżera świat. Cóż, że opowiada tak pięknie fantastyczne epizody z tajemnych walk i przygód wojennych dolara, funta i franka, rzeczy, o których świat nie ma najsłabszego pojęcia... Bardzo, bardzo ciekawe. Shurman od dawna nie zabawił się tak znakomicie, ale jeżeli idzie o samo sedno rzeczy... Od czegoż, do diabła, mamy naszych wielkich ludzi?

Shurman, wielki praktyk, bojownik i twórca spraw żywych, nigdy w ciągu swego życia nie miał czasu, aby się zapoznać z teorią zjawisk gospodarczych, a prowadząc olbrzymie interesy, ani razu nie odczuwał potrzeby teoretycznego uzasadnienia zamierzonych operacji lub dociekania głębszych przyczyn ich powodzenia lub niepowodzenia. Miał doborowy sztab rzeczoznawców, doradców prawnych, finansistów, statystyków, uczonych ekspertów, specjalistów od każdego działu życia gospodarczego, ci panowie brali dobre pensje i coś tam badali, wyliczali i pisali grube memoriały, które następnie składano mu na biurku – nigdy tego nie czytał. A gdy wreszcie po raz pierwszy bezpośrednio po krachu bankowym na jesieni 1929 roku zażądał od swej uczonej czeladzi prostej odpowiedzi na najprostsze pytanie – skąd przyszła katastrofa i dlaczego nikt jej nie przewidział – otrzymał niebawem stos raportów i memoriałów, które w sposób komiczny przeczyły sobie nawzajem i gmatwały rzecz do absurdu na modłę wywodów sekciarskich wykładowcy Pisma Świętego. Już ich więcej o nic nie pytał.

Niebawem utracił wiarę w wiedzę ekonomiki, a raczej doszedł do przekonania, że wiedza takowa zgoła nie istnieje, są tylko znakomici uczeni, którzy w ciągu tych nieszczęsnych lat wszyscy co do jednego zdążyli się fatalnie skompromitować. Z powszechnego pogromu został mu jedynie stary przyjaciel Youth, Elbert Conway Youth – od półtora roku każdy człowiek na kuli ziemskiej zna to imię bodaj z gazet – on jeden budził w nim ufność głębockością swego sądu i niezachwianą wiarą w świetlaną i złotą przyszłość kapitalizmu. Albowiem – rzecz niesłychana – nawet i Shurmana ogarniało czasami tajemne zwątpienie i dręczyło, trawiło nieznośnie,

wówczas przyjaciel, który nie posiadał majątku i nie dbał o bogactwo, uśmiechał się dobrodusznie i uspokajał miliardera jak zalęknione dziecko.

– Harry, nie dawaj się uwieść pozorom i ludziom małodusznym, którzy wrzeszczą z przerażenia, wierzaj mi, że nasz świat jest niezniszczalny, trzeba tylko, a w tym „tylko” zawiera się ogromna praca, trzeba koniecznie wprowadzić doń nieco ładu. Nieco – czyli bardzo dużo nowych rzeczy! Harry, wiedz, że nie zachwiało się żadne z podstawowych praw, które rządzą życiem gospodarczym. One są wieczne i niewzruszone jak prawa natury, jak klimat danej strefy, jak waga gatunkowa pierwiastków, jak skład chemiczny powietrza lub wody. Jeżeli w połowie kwietnia wydarzy się zawierucha i na miasto spadnie „blizzard”<sup>155</sup>, któż powie, że zima wraca i nie będzie już wiosny ani lata? Pamiętaj, com ci mówił i powtarzał jak maniak, począwszy od dnia, w którym Stany Zjednoczone wstąpiły w szranki wojny światowej? Że ta wojna wstrząśnie światem do głębi i wzburzy, i pomąci wszystko. Że dopiero po ukończeniu działań wojennych zaczną wchodzić w grę tajemne i zawikłane procesy, które w swoim czasie, może dopiero w dziesięć lub więcej lat po nastaniu błogosławionego pokoju, dokonają swego ukrytego dzieła, objawią się i wybuchną, będzie to dla niewtajemniczonych jak grom z jasnego nieba. Mówiłem – te prawdy są przeze mnie napisane czarno na białym jeszcze w roku 1922, że za wojną krwi i zniszczenia pójdzie światowa wojna finansowa i gospodarcza – wojna miliardów. Wojna przewlekła, tak samo jak tamta będzie ona walką okropną, paraliżującą i zużywającą w sposób straszliwy siły świata. Oto ona! Pamiętaj, że mnie ani na chwilę nie złudził okres pomyślności powojennego świata ani napływ złota do nas, ani rozpasanie naszej ekspansji finansowej. Ostrzegałem kogo należy, pisałem o tym wciąż w kółko, mało licząc ze sto razy, ale i ty, jak wszyscy inni u nas i w Europie, drwiliście sobie z czarnych horoskopów Youtha. Doczekałem się smutnego tryumfu. Ale i ta wojna wygaśnie, atmosfera gospodarcza oczyści się po nawałnicy, spłynie z kapitalizmu mnóstwo fikcji, przesądów, brudu, łajdactwa, jedni będą zrujnowani, ich dobro przejdzie w inne ręce, masa bogactwa narodowego przesunie się na podobieństwo pokładów geologicznych w procesach tektonicznych skorupy ziemskiej. I znów zadymią kominy, ustalą się nowe wartości – świat odetchnie... Ale na to trzeba czasu.

---

<sup>155</sup> *Blizzard* (ang.) – zamieć.

Otóż z tym czasem...

Shurman wyobrażał sobie, że taki Youth, nie mając nic do zyskania ani do stracenia w tak zwanej wojnie miliardów, czeka sobie cierpliwie na wynik, a nawet w swym umyśle teoretyka i badacza rozkoszuje się tajemnie każdą nową katastrofą, każdą zagadką, każdym paradoksem i pilnie kolekcjonuje swoje obserwacje. Ten ma czas.

Shurmana czas nękał i trawił, gdyż on właśnie znajdował się w samym ogniu walki na czele potwornej armii swoich milionów i drugiej armii – dwustu tysięcy ludzi, zależnych od niego bezpośrednio, a ich ciężki los dolegał mu jednak w pewnej mierze. Potarganie wszystkich norm, niepewność, niepokój, no i wreszcie dotkliwie straty był to jego chleb powszedni w ciągu ostatnich trzech lat, a im dalej, tym było gorzej. Ponadto nieokreślone, ciężkie przeczucie, natrętna wizja jakowegoś fatum, które ściga jego i jemu podobnych i zapędza ich w straszliwą matnię... Miał tego nareszcie dosyć.

– A powiedzże mi, El, co w Europie słyhać o masach? Obawiam się, że tam może się zacząć coś... coś... Jednym słowem coś bardzo niepożądanego, bo jak się tam raz ruszy...

– Na razie nie ma obaw, wszystkie państwa rujnują się na zapomogi dla bezrobotnych i tym rozmnażają ich sztucznie, to odrębny problemat – a na wypadek objawów niepożądanych, czyli mówiąc po prostu – rozruchów lokalnych, wszędzie przygotowany jest olbrzymi i wspaniale zmontowany aparat administracyjno-policyjny. Pod tym względem celuje demokratyczna republika francuska, zwłaszcza Paryż.

– Rozruchy lokalne to głupstwo, rabowanie sklepów, tumult na parę godzin, zamordowanie paru policjantów, dużo krzyku i na tym koniec, ale zorganizowane siły proletariatu, socjaliści, komuniści, słowem ci, co już od trzech lat dzwonią na nasz pogrzeb...

– Dzwonią przedwcześnie, to wielki błąd z ich strony, proletariaccy teoretycy i badacze fałszują prawdę, wyłapują drobne fakty i trąbią na alarm, są na usługach demagogii. Zresztą z przywódcami w Europie można się dogadać, ich siły i możliwości dają się obliczyć jako pozycja wiadoma w układzie społecznym, gorzej u nas.

– U nas na szczęście nie ma zorganizowanego proletariatu, masa jest rozproszkowana, nie ma wielkich aspiracji ani politycznego oblicza i dlatego jest bezsilna.

- Tym gorzej! Bo masy są dla nas zagadką, wielką niewiadomą. Owo „X” w naszym obrachunku społecznym jest zbyt potężne, aby je lekceważyć – dwanaście milionów bezrobotnych! Dochodzi masa zrujnowanych farmerów bez grosza i bez jutra – na razie nie przypominam sobie, ile to wyniesie milionów. Dalej z dziesięć milionów wegetuje na dwóch lub trzech dniówkach w tygodniu, chmary przymierającej głodem inteligencji zawodowej na obciążonych płacach, na półpłacach. Opieka komunalna jest błaha, a wielkie miasta bankrutują jedno za drugim, już trzeszczy Chicago i nasz Nowy Jork... Problem naszych mas nie da się zalać zupą filantropijną, trzeba by pomyśleć poważnie o jakiejś ustawie państwowej z jej wszystkimi rygorem.

- Ustawa zdemoralizuje ich jeszcze bardziej, daj spokój Youth, ty Europejczyku, tą drogą nie pójdziemy. Każdy z nas daje na bezrobotnych, ale z dobrej woli.

- Nie każdy jest jak ty, na ogół dają mało, a te śmieszne ofiary jako objaw czasu stają się naprawdę tragiczne. Nędza szerzy się, a nikt nie wie, co myślą miliony nędzarzy, co zamierzają, na jak długo starczy im cierpliwości... Ich nienawiść, ich żądza chleba i pomsty nie znajdują wyrazu ani rzecznika, jeżeli nie liczyć pewnych kół literackich, które czasami ogłaszają pompacyjne odezwy i piętnują „konający” kapitalizm. W Europie jest lepiej, tam masy są zorganizowane w pewnej dyscyplinie, a ich niezadowolenie również. W Anglii, we Francji, w Niemczech rządy są przygotowane do odparcia ataku, gdyż doskonale znają przeciwnika, wiedzą, z kim mają do czynienia, a my idziemy na oślep. Tam aspiracje polityczne i socjalne proletariusza, jego ideologia i programy noszą znamiona pewnej specyficznej kultury, więc nawet w razie – mówię tylko dla przykładu – zwycięstwa rewolty, są do przewidzenia forma i normy nowego ustroju, gdy u nas stoimy wobec złowrogiej potęgi nieodgadnionego, nieobliczalnego żywiołu, wobec potwornego zlepianca ras, plemion, narodowości ze wszystkich końców świata. Co ich łączy z naszym krajem? Dolar! A gdy i tego im zabrakło – nie zostało już nic. Zaś komunista niemiecki będzie zawsze Niemcem, więc choćby nawet wyrzwał i wymorzył głodem swoich burżujów, uszanuje narodowy dorobek stuleci. Nasze masy w swoich trzech czwartych co najmniej nie posiadają ojczyzny, starej się wyzbyły, a do nowej nie przyglęły. Do diabła, za mało nas Anglosasów, za wiele przybłądów, aby między dwoma oceanami na tej kolosalnej przestrzeni stworzyć jednolity naród. Strach pomyśleć, co z nami



będzie, jeżeli ten stan rzeczy przeciągnie się jeszcze przez rok lub dłużej i ruszą się masy, te nasze masy, jakich nie posiada żaden kraj na kuli ziemskiej...

– No – no... No – no... Ponosi cię wyobraźnia – czyżby jeszcze rok? W takim razie nie tylko masy nie wytrzymają, ale i ja również się zbuntuję, ja we własnej osobie – Harry Shurman, ten miliarder...

– Zbuntuj się, ale nie czekaj do roku! Buntuj się natychmiast! Możesz nas jeszcze uratować!

– Wolne żarty...

– Shurman, jesteś jedynym człowiekiem w Stanach i przypuszczalnie jedynym jedynym na cały świat, który może otworzyć nową erę w dziejach kapitalizmu!

Youth umilkł i wpatrzył się w przyjaciela ostrym wzrokiem, z którego bił dziwny, nieoczekiwany nakaz. Na twarzy Shurmana stopniowo zamierał uśmiech, jeszcze przez chwilę iskrzył się w oczach, aż zgasł.

– Owszem, słucham cię, Youth, gadaj coś tam nowego wykombinował w Europie na mój rachunek, mamy czas. Wzrusza mnie twój upór, ty wciąż jeszcze liczysz na mnie?

– A na kogo mam liczyć? Czy ty wiesz, Shurman, że jesteś potęgą, z którą nie śmie się równać ani nawet mierzyć żaden z potentatów świata? A dalej – żaden ich zespół międzynarodowy, żaden najrozleglejszy koncern, którego władza i wpływy jawne oraz tajemne oplatają swymi mackami olbrzymie sfery życia gospodarczego i politycznego? Jesteś okazem kapitalizmu jedynym w swoim gatunku...

– El, i to, i resztę umiem na pamięć, ileż razy wmawiałeś we mnie czarodziejską potęgę i zadania wkraczające w dziedzinę mistyki? Po co te wstępy? Do rzeczy.

– Dobrze, do rzeczy!

– Ale chyba obejdziemy się dzisiaj bez fantasmagorii? El, jesteś poetą, niekiedy aż miło cię posłuchać, ale czasy są niewesołe – nie wypada się śmiać. Ja przynajmniej nie mam ochoty...

– Ani ja! Żadnej poezji, żadnej mistyki. Mam dla ciebie szereg konkretnych propozycji.

– Zaczynaj – po pierwsze mam postawić moją kandydaturę na prezydenta, po drugie – w miesiąc po wyborze, co jest z góry zapewnione (pięćdziesiąt shurmanowskich milionów i jakieś tam hasła), ożywiony duchem wielkiego Wilsona, przez kupioną prasę i przepukionych kongresmenów sprawiam cud, że USA wchodzi do twojej

ukochanej Ligi Narodów... No i od razu zmieniamy postać Europy i świata. Po trzecie... Po czwarte... Dalej gadaj już sam.

Youth przycinał starannie nowe shurmanowskie cygaro, obejrzał je z lubością, obwąchał i niemal ucałował, sięgnął po zapalnik, zawahał się, ale przymusił się i odłożył cygaro. Zaczął tonem rzeczowym, wykładowym, zaprawionym w niezliczonych konferencjach, odczytach i oficjalnych enuncjacjach.

– Prawa ekonomiczne są wieczne, ale przez wojnę i przez chaos powojenny, przez niedomogi moralne i intelektualne klas kierowniczych, przez ich zboczenia i odchylenia psychiczne stało się, że wraz z nimi i kapitalizm wygląda nam niezbyt zdrowo. Nie widzę w nim poważniejszej choroby ani, broń Boże, znamion starości, wydaje mi się, że przez zbyt bujne i nieopatrzne życie jest po prostu nieco sponiewierany, jak się zdarza młodym ludziom. Takiego młodzieńca trzeba powściągnąć i podleczyć, inaczej czekają go choróbka, najczęściej gruźlica. Nie inaczej i w naszym zagadnieniu – trzeba wziąć ten chaos pod kuratelę, trzeba zacząć kurację, bo wstyd patrzeć na to, co się dzieje. I wstyd, i żal, i nawet bodaj strach! Na początek i dla przykładu Shurman wznawia pracę we wszystkich swoich zakładach przemysłowych, w kopalniach, na plantacjach, w lasach, na łąkach i morzach, mobilizuje dwieście tysięcy swoich ludzi, tułających się po świecie, a ponieważ jednocześnie swoim władczyim dekretem wprowadza sześciogodzinny dzień roboczy, skreśliła z ponurego rejestru jednym pociągnięciem pióra wielką armię bezrobotnych. Te ćwierć miliona ludzi (co najmniej tyłu!) pracuje jak za najlepszych czasów, nie oglądając się na rynek, wytwarzają na skład. Shurman obniża ceny, nawet dokłada do swego eksperymentu, ale Shurmana na to stać. Shurman daje kredyt najlekkomyślniej – sprzedaje na granicy dumpingu. Ameryka się zdumiewa, Ameryka szydzi, Ameryka się śmieje, ale tu wkracza prasa Shurmana, którą zaczynamy kupować już od jutra. Pióra najtęższych specjalistów, wielkie imiona, no i moje w tej liczbie, rozślawiają epokowy czyn, a mnóstwem dokumentów, wykazów, cyfr racjonalizują jego pozornie romantyczny poryw i na początek, przypuśćmy, nawet po trosze podbłagowują<sup>156</sup>, albowiem absolutna prawda nie obawia się drobnych kłamstewek i uchybień czysto taktycznych. Wszczynamy wściekłą ofensywę na egoizm i ślepotę naszych górnych sfer, zwłaszcza na zbrodnicze koncerty finansowe, na tę hańbę i zakałę kapitalizmu.

---

<sup>156</sup> Podbłagowywać – tu: kłamać.

Wymieniamy nazwiska i firmy, puszczaemy się na demagogię, fundujemy specjalną gazetę, w której świat pracowniczy jednoczy się z naszą akcją i czaruje proletariat magią imienia wielkiego Shurmana. Zwołujemy konferencje, meetingi<sup>157</sup>, zakładamy z hukiem „Ligę Sześciu Godzin”, propaganda i reklama! Ogniste napisy na „skyscraperach”, na niebie, między gwiazdami, propagandowe loty wzdłuż i wszerz USA, deszcz naszych druków zalewa miasta, pola i lasy... Domagamy się prawodawczej gwarancji dla sześciogodzinnego dnia! Urządzamy poufne narady z wybranymi matadorami, walczymy z nimi pochlebstwem i strachem, prośbą i groźbą, ale grunt – to kolosalny żywy przykład – Shurman ruszył całą parą! Shurman dał sześciogodzinny dzień! Przy takich niemożliwych cenach? Szaleństwo! Ale Shurman jeszcze obniża wszystkie ceny – na miedź, na żelazo, na węgiel, na skóry, na maszyny rolnicze, na nawozy, na bawełnę, na wełnę, na konserwy i na mnóstwo innych rzeczy... W dodatku podnosi płace robocze, troszeczkę, powiedzmy o 15%! Shurman wstrząsa martwym rynkiem i sprawia cud – ludzie zaczynają kupować! Nie od razu, oczywiście, więc na początek przez podstawione firmy, rozrzucone po wszystkich stanach, Shurman kupuje sam od siebie, symuluje ruch, a dalej pójdzie samo. Przede wszystkim trzeba dokonać zabiegu ratowniczego jak nad topielcem, jak nad wisielcem, jak nad porażonym przez piorun lub prąd elektryczny – ugniataniem, zastrzykiem naprzód wywołać sztucznie oddech, pierwsze uderzenie serca i wreszcie martwy roztwiera oczy... Któż to robi? System gospodarczy świata zapadł w letarg i bardzo wielu, zbyt wielu chcą go jak najprędzej pogrzebać żywcem. Brońmy się póki czas! Otrząśnijmy się z przygnębienia, z lenistwa, z martwej rutyny. A dalej z fatalnych błędów i nałogów, w których zaprawiliśmy się w obłądnych latach wojny i trwamy dotąd – z rabunkowej gospodarki, z inflacji i kredytu, z bezecnego lichwiarstwa! Niechże się ktoś odezwie, niech zakrzyknie na alarm! Na Boga, niech ktoś zrobi pierwszy krok! Shurman, słuchasz?

– Słucham cię, słucham...

– Ty to uczynisz! Nie rozkładaj rąk! Ten gest ci nie przystoi, uwłacza twej energii, twej potędze. Musisz mnie posłuchać! A może i ten mój zupełnie konkretny plan uważasz za utopię? Mów szczerze.

– O tyle jest mi on miłszy, że tym razem nie pchasz mnie w wielką politykę. Utopia? Nie, twój plan, a raczej dopiero wizja planu nadaje

---

<sup>157</sup> *Meeting* (ang.) – spotkanie.

się do rozpatrzenia, zapewne opracowałeś swój pomysł w szczególności i w kategoriach realnych warunków?

– Tak jest, skreśliłem fachowy plan operacyjny podczas podróży powrotnej. Obliczyłem tę kampanię w czasie z bilansem półrocznym, nawet wystawiłem rachunek przypuszczalnych strat czystych w pojęciu księgowym, gdyż wyrachowałem zarazem z nader wysokim stopniem prawdopodobieństwa, że już w bilansie następnego półrocza podlegną one wyrównaniu.

– Cóż, tym lepiej...

– Tym lepiej, a jeżeli wypadnie inaczej? Na miły Bóg, cóż dla Shurmana jest stratą? Śmieszna rzecz mówić z tobą o głupstwach... W najgorszym razie dopłacisz sto, dwieście, trzysta milionów, to zdołaloby zabić jakichś stu milionerów, ale ty nie poczujesz nawet uszczerbku w ogromie twego majątku, który dla uproszczenia w kalkulacji śmiało można przyjąć za kategorię nieograniczonych możliwości, a w cyfrze, rozumując metodą porównawczą, trzeba go chyba wyrazić przez ósemkę położoną napłask<sup>158</sup>, czyli za masę nieskończenie wielką.

– Trzysta milionów?

– Maksimum! I to w przypuszczeniach najgorszych, spotęgowanych jeszcze przez rozmyślną tendencję, zaleconą w ocenie każdego zamierzenia eksperymentalnego absolutnie nowego – bez precedensów.

– Dobrze, nie będę udawał nędzarza, powiem po prostu, że mnie jeszcze na to stać, ale nie chciałbym tych pieniędzy puszczać na marne, bo nie mam wiary, że moja akcja pociągnie za sobą innych i wywoła wielki ruch w interesach.

– Wielki ruch? Zaraz? Tego ci nie obiecuję, na początek niech będzie mały, bodaj nieznaczny, przecie nam idzie o pierwsze drgnięcie życia, to nasze podstawowe zadanie, a dalej zobaczymy.

– Gdyby w tym celu udało się stworzyć wielki blok i pozyskać przynajmniej jeden mocny trust finansowy<sup>159</sup>...

---

<sup>158</sup> Napłask – tu: na płasko.

<sup>159</sup> Trust finansowy – umowa pomiędzy osobą, która chce przekazać swój majątek na określony cel (donatorem), a powiernikiem, który będzie zarządzać środkami w sposób określony w umowie. Trust może także oznaczać łączenie przedsiębiorstw tej samej branży, ich właściciele stają się udziałowcami powstającego trustu, kierowanego przez zarząd; przedsiębiorstwa tracą wówczas całkowicie swą samodzielność pod względem handlowym, wytwórczym i prawnym.

– To się nie uda, zaraz na wstępie ugrzęźniemy w bagnie, czyż nie znasz tych ludzi? Zapraszać trusty finansistów? Przecież my od razu musimy wystąpić przeciwko tej kanalii bez czci i wiary! Shurman, daruj mi, ale powiedziałeś wielkie głupstwo, bo kto jak kto, ale oni właśnie czują się jak najlepiej w tych mętnych czasach i żerują jak hieny na pobojuwisku. Ich dopuszczać do akcji? Owszem, przybiegną z ochotą, ale żeby nam psuć robotę – to są zbrodniarze! Żaden boothleger<sup>160</sup> nie pójdzie agitować przeciw ustawie Wolsteada<sup>161</sup>, za tołoży grube pieniądze na akcję prohibicyjną, żyją i bogacą się z łajdactwa.

– Dobrze, wyrzekam się trustów finansowych, niech je diabli... Natomiast obstawałbym przy bloku kilku solidnych nazwisk, twój eksperyment domaga się skupienia ogromnej masy pieniądza, ja sam nie podołam. A dalej, działanie zbiorowe sprawi większe wrażenie, nie mówiąc już o wzajemnej reasekuracji stowarzyszonych i równomiernym rozkładzie przypuszczalnych strat.

– Nie! Jeżeli mamy zaczynać, nie wiążmy sobie rąk i nóg. Upewniam cię, że Shurman sam jeden podoła zadaniu.

– Przecenisz grubo moje znaczenie.

– Cóż, postaram się obronić twoje znaczenie przed tobą samym, jak adwokat przed sądem. Wyobraź sobie, że zamierzamy inny eksperyment, wręcz odwrotny do naszych zamiarów – oto Shurman w epoce wielkiej pomyślności wycofuje się z interesów, likwiduje swoje niezliczone zakłady przemysłowe, puszcza na bruk setki tysięcy ludzi, wyprzedaje za byle co, za to co mu dadzą, wszystkie pakiety walorów, a niejeden taki pakiet wymagałby dla przewiezienia na Wall Street dwutonowej ciężarówki, dalej wymawia wszystkie kredyty w kraju, w Ameryce i za obu oceanami, zamyka swoje banki, agencje handlowe i tak dalej, i tak dalej, i traci samochcąc – bo tak mu się spodobało – do trzydziestu procent swego majątku.

– Przy podobnie wariackiej operacji musiałbym stracić co najmniej pięćdziesiąt na sto.

– Owszem, ale pół Shurmana to zawsze jeszcze nieco więcej niż dwudziestu Morganów. Więc za wycofane kapitały zakupujesz złoto

---

<sup>160</sup> *Boothleger* (ang.) – handlarz, ktoś, kto produkuje, kopiuje lub sprzedaje coś nielegalnie.

<sup>161</sup> Ustawa Wolsteada – właśc. ustawa Volsteada, wprowadzona przez kongresmena Andrew Volsteada (1860–1947), zakładająca zakaz produkcji, sprzedaży i dystrybucji alkoholu na terenie USA. Została ratyfikowana 16 stycznia 1919 r. i obowiązywała w Stanach Zjednoczonych przez kolejne 13 lat.

i chowasz je w piwnicach swego pałacu albo, jeszcze lepiej, kryjesz je w Górach Skalistych, w szczelinie lodowca. Przypuśćmy, że w obawie przed powszechnym bankructwem, przed bolszewizmem i tym podobnymi upiorami, opętała i ciebie panika, mania prześladowcza, zresztą mniejsza o to. Zbadajmy i postarajmy się obliczyć, jakie skutki bezpośrednio oraz następstwa wtórne pociągnęłyby w życiu gospodarczym tak nagłe zniknięcie fortuny Shurmana z czynnego życia gospodarczego. Potworne mnóstwo krachów, bezrobocie, dramaty, samobójstwa... Rozwarłaby się nagle olbrzymia pustka, naruszająca równowagę w układzie sił ekonomicznych, a więc – niszczące cyklony, huragany, podobnie jak w atmosferze. Nieprawdaż?

– Tak, z pewnością zawaliłoby się sporo fortun...

– Ależ to byłoby istne trzęsienie ziemi!

– No, trochę za mocno...

– Za słabo, Harry...

– Nie zapominaj, że obok zniszczenia wywołałoby to i pozytywne skutki. Gdybym puścił na ugór moje plantacje, cena bawełny podskoczyłaby o parę punktów i ktoś by na tym zarobił, gdybym zwariował i zakupił, jak chcesz, złoto za resztkę pozostałą mi po generalnej likwidacji, złoto podrożałoby znacznie, a gwałtowna różnica w cenie wywołałaby zamęt na rynku i mnóstwo objawów pochodnych, jedne byłyby ujemne, inne dodatnie, czyli jak to bywa zawsze, jedni by zarobili na stracie innych. W rezultacie całego rozruchu miliony przesunęłyby się nieco żwawiej z rąk do rąk i tyle, nic więcej. Zresztą, nie wiem do czego zmierzałeś ze swoim typowo dialektycznym przykładem... W życiu ekonomicznym podobne tezy nie prowadzą do niczego, są raczej absurdem – słowo „raczej” dodaję jedynie z grzeczności...

– Mój przykład jest absurdem, jeżeli go rozpatrywać merytorycznie, zagadaliśmy się zupełnie niepotrzebnie. Nie zamierzałem nic więcej, jak okazać ci namacalnie, że wycofanie się Shurmana rozwarłoby w rzeczywistości gospodarczej ogromną dziurę, pustkę. W zamian musisz przyznać, że przełomowe, iście rewolucyjne wkroczenie tegoż Shurmana całą swoją potworną masą w szranki życia wywoła olbrzymie wstrząśnienie, ruszy kraj z marazmu, z zastoju.

– Cóż, kiedy właśnie z twojego przykładu wynika, że jego działania negatywne przerastają znakomicie możliwy efekt pozytywny, niepodobna równać tych kategorii matematycznie, gdyż zabrnjemy w fikcję. Otóż Shurman, wycofany z życia, daje efekt negatywny

bardzo poważny, tenże, wkraczając w zastygłe życie gospodarcze z pełnym rozmachem i ze swoim rewolucyjnym sześciogodzinnym dniem roboczym, da nierównie słabszy efekt pozytywny, a coś dopiero mówić o przełomie.

– Przełom nastąpi później, gdy znajdziesz naśladowców i sojuszników, ty masz za zadanie zrobić wyłom w depresji, jesteś taranem, kolumną szturmową. Rozumiesz?

– Przełom, wyłom – piękne słowa bojowe. Nie każda pierwsza lepsza kłoda nadaje się na taran. Na to trzeba drzewa żelaznego lub dębu, a jeżeli ktoś jest miękkim pnem lipowym, wierzbowym, a w dodatku może jeszcze spróchniałym? Znasz mnie dobrze – przecież mnie się w ogóle nic nie chce... A coś dopiero...

Youth odpoczywał i słuchał, nareszcie dorwał się do cygara, zadył z rozkoszą i czekał, zbierał swoje argumenty do ponownego natarcia. Shurman mówił od niechcienia, znużonym, przygasłym głosem, wymawiał się od zaszczytnej, epokowej roli i w toku swej argumentacji mimowiednie popadał w ton spowiedniczy, zaczął się skarżyć. Youth był jego jedynym na świecie starym, wiernym przyjacielem, przed nim nie wstydził się wynurzeń, od dawna tęsknił za godziną szczerzej rozmowy, aby się wyzalić za wszystkie czasy. Nie widział go od pół roku; Elbert Conway Youth przez ten czas dokonał znakomitych czynów na terenie powikłanych spraw Europy, jako generalny ekspert finansowy Ligi Narodów nakreślił nowy plan odszkodowań wojennych, już trzeci z kolei w dziejach tego nieznośnego zagadnienia, bijąc rekord dwóch swoich znakomitych poprzedników. Swego projektu bronił na niezliczonych konferencjach i wreszcie odniósł zwycięstwo, plan został przyjęty przez zainteresowane mocarstwa, a jego twórca w gazetach i w świecie politycznym zdobył miano „arbitra Europy”. Pojechał jako badacz, znany jedynie w sferach naukowych, wrócił jako znakomitość narodowa, przywiózł laury, a w tajemnicy wyhodował kolosalny zamiar – rozwiązanie przeklętego zagadnienia kryzysu. Na początek potrzebne mu było imię Shurmana i jego miliardy, zamierzał ni mniej, ni więcej, jak wypchnąć jego właśnie na wielką arenę działalności publicznej, zakrojonej na niezmierną skalę.

Przyjaciel poszedł sobie, unosząc pod pachą ogromne pudło legendarnych shurmanowskich cygar, rozstali się najserdeczniej. Shurman wymówił sobie tydzień do namysłu, na odczepne naobiecował co niemiara. Youth zbyttnio nie nastawał, w nadziei, że uda mu się



rozruszać go, a nawet roznamiętnić, gdy przedstawi mu swój szczegółowy elaborat, którego, niestety, zapomniał przynieść ze sobą. Zapomniał, gdyż nie chciał od razu przystępować do szczegółów, aby go nie zrazić i dać mu czas pomyśleć spokojnie i oswoić się z samą możliwością problemu.

Shurman doskonale przenikał jego taktykę. Wiedział z góry, że nie da się wciągnąć w żadne fantastyczne zamierzenia – o tym nie było mowy. Co innego pogadać o ciekawej sprawie z mądrym człowiekiem, dać mu snuć swoje marzenia i udawać, że się je bierze na serio, a tym podniecać go jeszcze do rozpasania wyobraźni. Miła zabawa.

W uczonych rojeniach Youtha świat interesów otrząsał się ze swojej nudy, z rutyny, z powszedniości i przeobrażał się w olbrzymie misterium. Pieniądz, którego moc i przemoc, wybiegi i kręte drogi znał do gruntu, zarówno jak jego złudne maski, zagadki, zasadzki i paradoksy, w opowieściach i niewyczerpanych planach Youtha nabierał cech czarodziejskiej magii, pełnej tajemnic, i stawał się sam w sobie potęgą żywiołową, nieokiełznaną i, jakże często, szydzącą z wiedzy i woli człowieka, łudzącego się, że dla swego zysku zdoła kierować tą straszliwą, stworzoną przez siebie, fikcją. Youth był prawdziwym poetą – wizjonerem, Shurman nie powierzyłby mu kierownictwa żadnym swoim bankiem, a że Europa i USA oddały w jego ręce arbitraż w olbrzymim zatargu światowego znaczenia – to już ich sprawa, sami zobaczą, co wyniknie z tak zwanego „planu Youtha”. Ministrowie pełnomocni, szefowie gabinetów, parlamenty, konferencje międzynarodowe rozumują inaczej niż ludzie prywatni, a różnica polega między innymi, a może przede wszystkim, na okoliczności, że rozporządzają się pieniędzmi odnośnych państw, a nie swymi własnymi.

Jednak dobrodusznym uśmiechem pobłażania dla najświeższego poematu Youtha Shurman nie mógł się obronić przed tajemną zgryzotą.

Oto ludzkość, pchnięta przez nieprzenikniony los, wkroczyła w nowe dzieje niepojęte, na ich wstępie rozpostarły się lata klęski, jakiej nie zaznał jeszcze od dnia swoich narodzin zawsze zwycięski, panujący światu kapitalizm. Urwał się jego młodzieńczy, twórczy lot. Dlaczego? Dlaczego opadł na ziemię? Nie wiadomo. Ugrzązł jak w trzęsawisku i na próżno miota się i szarpie, walcząc o życie, na próżno wzywa ratunku...

Widział, jak dokoła przyćmiewały się i gasły fortuny, jak się łały mywały tęgie charaktery, aż w drugim roku depresji i na szczytach

oligarchii, władającej życiem gospodarczym, objawiły się pierwsze znamiona paniki. Każdy ratował siebie, spychając innych, gubiąc ich, a niewiele pomagając sobie; zanikły dobre obyczaje w interesach, przestało obowiązywać dane słowo, zszargała się nawet świętość podpisu. Wczorajsi wspólnicy nazajutrz łapali co się da z zagrożonej firmy, jak zwyczajni rabusie, i najczęściej ginęli wszyscy. Zdarzały się w tych sferach samobójstwa niczym nieusprawiedliwione rzeczowo, pochodzące z wyczerpania nerwów, zdręczonych w nieznośnej atmosferze.

Pojawiali się już ludzie małoduszni oraz maniacy, którzy w strachu przed załamaniem się dolara, w strachu przed widmem rewolucji bolszewickiej rujnowali się samochcąc, likwidowali się za bezcen i nie wierząc już w żadną walutę światową, w żadne walory i – o zgrozo, o szaleństwo! – nawet w czyste złoto, skupowali brylanty, wartość niezawodną, cudownie streszczoną, dającą ukryć w kieszeni wiele milionów, utaić je, przenosić z miejsca na miejsce, przechować i zachować nawet podczas najstraszniejszej zawieruchy socjalnej. Poszli i oni za owczym pędem ludzkiej miernoty i hałastry, która, ratując swoje śmieszne, uciulane dolary rzuciła się na brylanty w okresie, gdy ciułacze Europy, z nędzy, po prostu nie mając co jeść, wyzbywali się ich gwałtownie, co w wyniku wywołało inflację brylantów, obniżyło do połowy światową cenę, a południowo-afrykańska „De Beers Corporation”<sup>162</sup>, odwieczna potęga na rynku drogich kamieni, dożyła dnia, gdy jej akcie spadły do jednej dziesiątej nominalnej wartości...

Patrząc na nikczemną niezaradność i nędzę moralną swojej sfery, Shurman chwilami lękał się o przyszłość kapitalizmu, a zarazem wstydził się sam siebie. Rozmyślał, badał zjawiska bieżącego życia, radził się mądrych ludzi, chwilami jak w natchnieniu dostrzegał prawdę swego czasu i niemal widział drogę wiodącą do naprawy. Wszak i on budował wielkie plany w ciszy swego gabinetu, sporo ich przewinęło się przez jego tęgą głowę i kto wie, może był wśród nich ów jeden jedyny, niezbędny Ameryce i światu. Ale nikt nie znał i nie pozna samotnych marzeń Shurmana, pochłaniał je powszedni trud, niezmierny, ponad siły, a w istocie nieznośny,

---

<sup>162</sup> De Beers Corporation (właśc. De Beers Group) – międzynarodowa korporacja założona w 1888 r., specjalizująca się w wydobywaniu diamentów, handlu diamentami i przemysłowej produkcji diamentów.

niepotrzebny, ale w ciągu lat stał się on nieprzewyciężonym nałogiem, z którym na próżno walczyli lekarze.

Była to mania ostra, zabójcza dla zdrowia, ona to ścierała w nim z roku na rok cechy człowieczeństwa, aż zniweczyła je wreszcie i stworzyła doskonały automat, człowieka-maszynę. Shurman, na którego pracowały setki tysięcy ludzi, był sam najbardziej upośledzonym niewolnikiem swego bogactwa. Mozo- lił się bez miary i sensu i upadał ze znużenia. Od rana do nocy zagrzebany w papierach, w raportach, w kalkulacjach, w potwornej korespondencji, która zwałała się nań lawiną wraz z codzienną pocztą, w męczących rozjazdach, w pracowitych inspekcjach, w ustawicznych konferencjach, naradach. W ogłu- pniających godzinach przyjęć przez jego gabinet przesuwaly się codziennie dziesiątki interesantów, potentatów, projektodawców, wynalazców, znakomitych gości ze wszystkich stron świata, dele- gatów instytucji filantropijnych i tak dalej, i tak dalej, a każdy rabował jego drogocenny czas i wysysał zeń krew. Miał cały sztab ludzi dobranych, których obowiązkiem było spełniać te prace, wyręczał ich i przeszkadzał im, wprowadzał zamęt i chlubił się jeszcze, że zna do gruntu i w szczegółach całość potwornie rozga- łużonych swoich interesów, co było jawną nieprawdą, a również i niepodobieństwem.

Wiecznie skarżył się na brak czasu, a już nie umiał odpoczywać. W jego wspaniałej bibliotece na okrągłym malachitowym stole – dwaardy w średnicy – spoczywały wieńcem różnobarwnym stopy nowości, książki w trzech językach, ułożone wedle działów, na dru- gim, jeszcze rozleglejszym stole, który był arcydziełem inkrustacji ze stu gatunków i stu barw drzewa, leżały stopy czasopism. Przez oba stoły przepływały, zmieniając się regularnie, zwały dokumen- tów wiedzy, sztuki, kultury, odgłosy bujnego życia epoki i schodziły nietknięte, aby w kosztownych oprawach utonąć w cmentarzysku słynnej na całą Amerykę shurmanowskiej biblioteki. Od dawna, od ilu to lat posiadacz tych skarbów nie przeczytał, ba, nie roz- tworzył żadnej poważniejszej książki – nie miał czasu.

Od śmierci żony, która przemocą wyciągała go czasami do teatru, na koncert, na jakąś wystawę lub wozila go z wizytami, żył odcięty od świata, zagrzebany w pracy. Dziwaczał, rozpraszał się, tonął w drobiazgach i ludził się, że zarządza faktycznie całą swą niezmierną fortuną; to śmieszne zaślepienie tolerowali w nim łaskawie jego pełnomocnicy, dyrektorzy, prezesi i inni wysocy

funkcjonariusze, którzy, chyląc czoła przed jego absolutyzmem, w istocie robili ze swoim srogim szefem wszystko, co chcieli.

Z rzadka, ale niemal periodycznie, cztery, pięć razy do roku spadały nań momenty, godziny opamiętania, zawsze niespodzianie, bez wyraźnej przyczyny, zwykle w ostatniej godzinie pracy przed samym snem.

Shurman zrywał się od biurka i jak obudzony z ciężkiego snu rozglądał się ze zdumieniem po swoim gabinecie. Wszystko naraz staowało się tu nieznane i niespodziewane: i meble, kryte wytłaczaną marokańską skórą, i tekińskie<sup>163</sup> dywany, i obrazy, i monumentalny komin, wykładany mozaiką barwnych marmurów, i chińskie brązowe wazy... Ogromna przestrzeń pokoju budziła strach; nadmierna, przesadzona przez budowniczego wysokość powały, uciekającej kędyś znad głowy, sprawiała, że czuł się jak zagubiony w obcym miejscu... Zamęt wzrokowo-pamięciowy mijał po paru sekundach. Shurman wnet poznawał, gdzie jest, ale za to nie poznawał siebie, zdarzało się, że długo wystawał przed lustrem nad kominem, nie mogąc się pogodzić z obcą twarzą, patrzącą nań uporczywie z wyrazem ironicznego współczucia.

Dookoła pustka i nuda. Pustka, nuda, stare mieszkancki gabinetu, widma, kryjące się tu po kątach od wielu, wielu lat, wypełzały i snuły się niewidzialne, a powietrze wypełniało się jadem. Shurman biegał po cichych kobiercach, siadał przed kominem i patrzył w żarzące się węgle, zrywał się, zaglądał do okien, patrzył bezmyślnie w górę, gdzie zapalały się i gasły, zmieniając się kolejno na niebie płomienne litery „Chrysler” i „Five and Ten”<sup>164</sup>, kręcił się bez celu, poszukując czegoś niewiadomego, wreszcie wyciągał się na kanapie i przymykał oczy, udając, że zasypia. Sen na jawie wypełniały wizje bez sensu, pokracczne twarze, karykatury nieistniejących ludzi, zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca, i wiele innych głupstw, przemykających jedno za drugim szybko i jakby ukradkiem.

Znudzony wstawał i zmierzał do biurka do przerwanej pracy, ale zaledwie rzucił okiem na porozkładane papiery, na stos listów, pozostałych jeszcze do załatwienia z dzisiejszej poczty – jutro będą

---

<sup>163</sup> Tekin – safian turecki albo wołoski, wyprawiona skóra z kozy, garbowana roślinnie, barwiona na żywe kolory.

<sup>164</sup> *Five and Ten* (ang.) – ogólna nazwa sklepów sprzedających szeroką gamę niedrogich artykułów gospodarstwa domowego i osobistego.

nowe – na telefon, na kolorowe ołówki, którymi notował na aktach i na listach swoje uwagi i zlecenia, odepchnął go wstręt i niepo- hamowany gniew.

Zdarzały się momenty, gdy go brała ochota rozrzucić wszystko na biurku i cisnąć na ziemię, zgarnąć na kupę i deptać, deptać na miazgę. Sprawozdania, raporty, memoriały, akta kupna i sprzedaży, umowy, opiewające na miliony, kalkulacje, wykazy... Do diabła sprawy arcyważne, sprawy ogromne! Ze wszystkim raz do diabła!

Potem zebrać zmiętoszone papierzyska i cisnąć do kominka, a gdy buchną płomieniem, zaryczeć z uciechy i zatańczyć, i wreszcie zwariować...

Nagle opamiętał się. Ugiął się pod potężnym, ciężkim spojrzeniem. Z szerokich, złotych ram Tom Shurman karcił syna. W tych nieubłaganych oczach była pogarda dla nędznego epigona, wyrodnego spadkobiercy imienia i olbrzymich planów, niegodnego dziedzica miliardów. Pamięć ubóstwianego ojca prowadziła go w trudnym życiu, budziła wolę, dawała siłę na wszelkie ciężary losu, ona była jego wiarą, natchnieniem, katuszą, niewolą. Zmarły mocno trzymał go na łańcuchu i zza grobu pilnował swojego bogactwa. Syn nie buntował się nigdy, czasami skarżył się przed tym portretem, a z rzadka, bardzo rzadko wpadał w swój obłąkany „trans”, ale nawet w najgorszej godzinie pomylenia i upadku nie złorzeczył tyranii ojca. Zawsze brał winę na siebie, dręczył go tajemny wstyd i gdy nadchodziła chwila, że własny los wydawał mu się absurdem, widział w tym jedynie swoją własną marność, pospolitą nędzę charakteru, tonął w poniżeniu i błagał ducha ojcowskiego o przebaczenie. Od najmłodszych lat korzył się przed nim i wiernie, a niedołąźnie wypełniał jego wolę, był posłuszny i tak już zostanie do końca. Ale fatum rodu Shurmanów zechciało, by wielki ojciec, zostawiając mu miliardy i swój okrutny testament, nie przekazał mu geniuszu...

– Co zrobić, ojcze, jak sobie radzić w okropnych czasach?

Świat na niego patrzy, ludzie wmawiają weń, że ma do odegrania olbrzymią rolę dziejową. A on? Nic nie wie, niczego nie chce...

Wymknął się z gabinetu bocznym wyjściem od strony korytarza, aby nie przechodzić przez salon-poczekalnię, gdzie drzemie dyżurny sekretarz. Jak młodzieniec pędził po schodach na górę przez dwa ogromne pałacowe piętra. Uciekał. Kamerdyner, myśląc, że pan udaje się na spoczynek, roztwierał drzwi do sypialni; mijał

go, nie patrząc, i szedł dalej, odruchowo kiwnięciem głowy odpowiadał na głębokie ukłony dwóch olbrzymich drabów, byłych bokserów, którzy od zmierzchu do rana czuwali w skórzanych fotelach po obu stronach białych, złożonych drzwi. Ostrożnie nacisnął brązową, rzeźbioną klamkę. Już samo łagodne, niebieskie światło nocnej lampki dawało mu pierwsze ukojenie, przedsmak pewności, że zaraz rozproszy się tuman, osłaniający przed nim cały świat, że natychmiast ulotni się z głowy zabójczy czad. Najostrożniej i śmiesznie na palcach, rozkładając ręce dla równowagi, przekradał się przez pokój, w którym na łóżku polowym spała dyżurna wychowawczyni, i stanął w progu sypialni córki. Najczęściej nie posuwał się dalej, obawiając się ją zbudzić. Chwytał szmer jej oddechu, raczej wyobrażony niż dosłyszalny, długo wsłuchiwał się w ciszę, wpatrywał się w kojącą niebieską poświatę, w której majaczyło białe łóżko, białe, lekkie jak mgła, muślinowe firanki. Tam było szczęście, jedyny sens w jego sztucznym, wymuszonym życiu, tam spała Sisely.

Od niej, uśpionej niezamąconym snem dziecka, promieniowały dobre, łaskawe emanacje i kojące wzburzoną duszę ojca, tu w niefortunnym, udręczonym bogaczu, przywalonym ciężarem miliardów, budził się człowiek pospolity. Roztwierało się w nim serce, roztwierały się oczy na nędzę i absurd jego bytowania, dostrzegały w życiu wartość i piękno i ściagały chimere naprawy i dobrej odmiany, które już od jutra wyrwą go z obłędu niepotrzebnej pracy, wmówionych trosk i obrzydłych interesów. Niechże prędzej przemija ta noc! O poranku nowego dnia pierwsze spojrzenie Sisely, jej uśmiech, jej szczebiot uczynią cud – sprostują jego pomyłony, zagmatwany los...

Ale wiedział, że nazajutrz od rana zasiądzie do pracy i wszystko zostanie po dawnemu.

Dzisiaj ośmielił się podejść aż do białego łóżeczka i pochylił się nad śpiącą nisko, tuż nad jej głową, tak że poczuł na twarzy oddech Sisely. Trwał w zapatrzeniu, w zachwyceniu, w szczęściu – jakże jest szlachetna, piękna... Prawa córa rodu Shurmanów – uderzające cechy podobieństwa do świętej pamięci ojca, nawet do zmarłego stryja Roberta. Patrzał natarczywie, nie spuszczać spojrzenia, aż w twarzy śpiącej odezwały się drgania niepokoju. Lękał się, że ją zbudzi, ale nie mógł się oderwać, dostrzegł bowiem... To jest straszliwe... To cud... W czymś nieuchwytnym, co przemknęło w sennych rysach córki i znikło, ujrzał po raz pierwszy w życiu utajone, a może dopiero rozkwitające w tym jej czternastym roku podobieństwo...

Rodowe, zdumiewające podobieństwo do nieszczęsnej, tragicznej Jenny<sup>165</sup>...

– Boże cię strzeż i osłoń, dziecino... O, ty nie będziesz jak ona... Sisely, musisz być szczęśliwą...

Porwało go, zgnębiło swym czarem nieśmiertelne, wiecznie jątrzące wspomnienie, przeszył go żywy żal za zmarłą, jak gdyby to było wczoraj, i natychmiast ugiął się pod brzemieniem czasu. Dwadzieścia lat...

---

<sup>165</sup> Jenny – jedna z bohaterek *Pieniądza*, którą Strug opisał jako osobę niestałą w emocjach i niepoczytalną.





## Rozdział piąty

### Szkoła życia młodego Ralda

Pani Rascob siedziała w papierach, dzisiaj jak zawsze terminowo co do godziny otrzymała raporty z obu biur wywiadowczych za ostatnie dwa tygodnie. Tym razem „Argus” zgadzał się w najdrobniejszych szczegółach z raportem biura „Secret Help”; było to dowodem, że agenci wykonują uczciwie obserwację, było to również w pewnej mierze podejrzane, wywiadowcy obu agencji mogli się porozumieć i dla oszczędzenia sobie pracy oraz kosztów (pieniądze bowiem chowają po prostu do kieszeni) odbywają służbę kolejno, a raporty uzgadniają, wiedząc, że z chwilą, gdy się porozumieli, klient nie ma nad nimi żadnej kontroli. Istotnie, porównując oba elaboraty, dostrzegła te same wyrażenia i zwroty; trzeba będzie zmienić agencje lub przynajmniej jedną z nich, zresztą ci szpicle prywatni z pewnością mają własną organizację zawodową i znają się wszyscy. Mniejsza o to, nie podlega żadnej wątpliwości, że Rald jest osaczony...

Gorycz zalewała serce matczyne. A więc utraciła jego zaufanie... Zerwała się więź między nią a synem. Jak, od kiedy się to stało? Co go odepchnęło od matki? Czyżby drobne, głupie starcia? Czy taki dorastający chłopak nie rozumie, że musi jeszcze podlegać pewnej opiece i kontroli? Puścić go samopas w wir życia, w ten okropny nowojorski świat?

Ileż razy go ostrzegęła, żeby nikomu nie ufał, gdyż za nim stoją setki milionów matki. Będą nań dybać aferzyści, ciemne figury, a nade wszystko kobiety. W najlepszych domach będą się starali uwikłać go w przedwczesne narzeczeństwo z jakąś bezczelną i chciwą pannicą, wyfrakowani dżentelmeni o niezłych nazwiskach, a właściwie zawodowi szulerzy, wciągną go w gruby hazard, a z takimi nigdy nie wygra, zaczną się długi, weksle... Koledzy z Harwardu będą go

poili i zrobią zeń wstrętnego nałogowca, dobrze jeszcze, jeżeli się przy tym nie struje jakimś paskudztwem, spreparowanym na denaturacie. W najlepszych towarzystwach spotka zakonspirowanych gangsterów, racketeersów, szantażystów, którzy będą się starali z nim zbliżyć, aby go wtrącić w kabałę i przez całe lata ciągnąć zeń pieniądze... Na przykład, zaciągną go, uprzednio spojonego, do jakiejś spelunki w chińskiej dzielnicy i tam... Lucy wstydziła się wchodzić w szczegóły.

- I wyobraź sobie, budzisz się w komisariacie i tam ci dopiero pokazują protokół z podpisami świadków. Grozi ci skandaliczny proces i dwa, trzy lata więzienia, a ty nawet nic nie pamiętasz... Za wycofanie protokołu będę musiała wypłacić grubą sumę, a prócz tego grozi ci stały szantaż i wieczny haracz... Ale najgorsze niebezpieczeństwo to kobiety, nie ufaj nigdy żadnej...

Rald słuchał jednym uchem i śmiał się. Co stara Lucy może wiedzieć o urokach, tajemnicach i niebezpieczeństwach życia nowojorskiego? Plecie bzdury, wyczytane z felietonowych powieści i z błagi reporterów i kronikarzy skandalu.

- Gdybym miał wierzyć w podobne perspektywy, wolałbym być synem konduktora tramwajowego. Doprawdy byłyby to zbyt kiepski interes urodzić się bogatym...

Ta Ina Barnato wzbudzała w niej szczególną nienawiść i zazdrość o syna żrącą, szaloną, niemal kobiecą. Jako matka z bólem godziła się z przeklętą koniecznością, z nieprzepartym prawem natury, wiedziała, że prędzej czy później, nie dziś to jutro, Rald utraci swą cudną, chłopięcą czystość. Codziennie ze strachem i w pogotowiu do strasznej, niebywalej awantury czekała na godzinę lunchu. Od pierwszego wejrzenia rozpozna w nim fatalny przełom - zamącą się jego dziewczęce oczy, na ustach, tchnących urokiem kwiatu, legnie pieczęć pospolitej męskiej ohydy. W tym dniu odebraną jej będzie subtelna, przesłodka, przeczysta rozkosz matczyna - już nigdy w życiu nie ucałuje go w skalane usta...

Długo, w nienasyconej złości przeglądała jej fotografie, dostarczone przez biuro „Argus”, było ich mnóstwo - w strojach wieczorowych, sportowych, w futrach, w dziwacznych jakichś swoistych kapeluszach ani staromodnych, ani nowoczesnych, lecz przystosowanych do bujności jej włosów, nietkniętych przez nożyce... W egzotycznych przebraniach greckich, egipskich, średniowiecznych, w modach ludwиковskich, dyrektoriatu, cesarstwa, w krynolinach - tu nie raziły jej włosy, zdawały się być jednym z akcesoriów

kostiumowych. Za to agencja nie mogła dostarczyć ani jednego fotosu w szablonie kabaretowo-estradowym „à la girls”, w wyuzdanych, wyrafinowanych półnagościach, w dziwacznych wynaturzeniach bezwstydu. Agencja wyjaśniała brak owych zdjęć.

– Miss Ina Barnato ani w swych mimodramach, ani nawet w tańcu nigdy nie posługuje się trywialną charakteryzacją. Ukazuje się w stylowych kostiumach danej epoki lub w strojach fantastycznych własnego pomysłu. W ostatnim miesiącu dwukrotnie w prywatnym klubie „Uistiti” wystąpiła całkiem nago, ale nie dozwoliła żadnych zdjęć. W niedawnym wywiadzie tygodnika artystycznego „Pencil and Chisel” wypowiedziała zdanie: – albo w przystojnym stylowym stroju, albo nago.

Była piękna. Lucy pieniła się ze wściekłości, a nie zdołała wyszperać najmniejszej skazy w jej twarzy, w całej postaci. To przeświadczenie w swej zupełnej, samotnej szczerości było szczególnie dręczące. W każdej roli, w każdym przebraniu, w każdym zwrocie tańca Ina okazywała pełnię kobiecego wdzięku, nie miała w sobie nic z komedianctwa, z kokieterii, z żądzy popisu. Ani wytrzeszczania oczu, ani przesady lub pozy, które są tak właściwe fotosom gwiazd filmowych, aktorek i artystek estradowych. Prostota, umiar, powściągliwość. Tym gorzej...

Co ona za jedna? Wywiad nie zdołał, gdyż po prostu nie zdążył jeszcze, przedstawić wyczerpującego *curriculum vitae* tancerki z klubu „Uistiti”; agencja bada dopiero jej przeszłość.

– Nie ma jeszcze roku, jak zjawiała się w Nowym Jorku – na razie nie wiadomo skąd. Jest nadzwyczaj ostrożna, a może nawet pomimo wszystko – cnotliwa. Nie przyjmuje w domu mężczyzn, nie bywa w podejrzanych lokalach, nie używa alkoholu ani narkotyków. Jak dotychczas odrzuca wszystkie oferty bogatych bywalców klubu, skądinąd wiadomo, że młody Clive Gilmet ofiarowywał jej trzy tysiące na miesiąc, a stary Sims („Mexico Sugar” i bank „U. S. Providential”) doszedł do pięciu tysięcy. Nie przyjmuje podarunków i klejnotów, najwyżej kwiaty. Bywa zapraszana do pierwszorzędných domów, żyje skromnie, żadnego majątku nie posiada. W klubie „Uistiti” pobierała początkowo sto dolarów od występu, ale za dwa ostatnie już po trzysta. Składkę benefisową, zebraną przez publiczność na przedstawieniu w zeszłym tygodniu – scena solowa ze złotym cielcem i występ z żonglerem japońskim – wynoszącą około dwudziestu tysięcy, ofiarowała od razu na cel dobroczynny...

A więc szelma pierwszej klasy, wyrachowana i mierzy wysoko. Jeśli się waży skłonić Ralda do jakiegoś grubszego głupstwa, na przykład, gdyby go wciągnęła w narzeczeństwo...

– Ja się do niej zabiorę, a jeśli będzie tak szczwana, że nie da się kupić – zniszczę ją!

Na szczęście sprawy nie zaszły zbyt daleko, ona w sposób wyrafinowany udaje obojętną, a Rald jest jeszcze zbyt nieśmiały i niewinny, żeby wiedzieć, jak się należy zabierać do sprawy z taką – z taką...

Inne wiadomości były również niepokojące, przedstawiały się niejasno i fantastycznie. Rald odbywał dalekie wycieczki, zapuszczał się w odległe, ubogie, nieciekawe dzielnice.

Od szofera Smithsona, z którym zaznajomiło się paru agentów, na razie nic nie dało się wyciągnąć, pościg również nie dawał wyników, lincoln wyprzedzał i gubił taksówki i motocykle agentów.

– Dopiero w ostatnim tygodniu, gdy pan Rascob dla ostrożności czy dla innych sobie wiadomych powodów trzykrotnie wyruszył taksówkami, a nawet „busem” i koleją podziemną, udało się ustalić dom, do którego wchodził. Dalsza obserwacja ustaliła, że w domu tym, 180 Newark Avenue w okolicy Hamilton Park, w Jersey City<sup>166</sup>, zamieszkanym przez wyjątkową nędzę, odnajmuje kąt młody człowiek, niejaki Charles Ursholl, nocny sprzedawca papierosów i naganianacz okolicznych „blindspigsów”<sup>167</sup>. Z tym osobnikiem pan Rascob spotykał się dwukrotnie w czwartorzędnej restauracji włoskiej na Greenpoint, pierwszym razem przesiedzieli dwie godziny, drugim przeszło trzy. Z podsłuchanej rozmowy okazało się, że osobnik, odziany nie tylko ubogo, ale w najwyższym stopniu zaniedbania, wyrażał się językiem poprawnym, właściwym sferom inteligentnym, zatem nie pochodzi on ze „slumu”<sup>168</sup>, ani nawet z klasy robotniczej, zaś z młodym panem są po imieniu, ale pan Rascob mówi mu Eddy, a nie Charles. Pierwsza rozmowa toczyła się dokoła uczonych i specjalnych rzeczy społeczno-ekonomicznych, a mówił przeważnie osobnik z wielkim ożywieniem, nawet z namiętnością, ale niebawem, zapewne wskutek niezręczności podsłuchujących, obaj przeszli na język obcy, nieznanym agentom. W końcu osobnik uparcie odmawiał

---

<sup>166</sup> Hamilton Park – dzielnica w historycznym centrum Jersey City, w hrabstwie Hudson, w stanie New Jersey, skoncentrowana na parku o tej samej nazwie.

<sup>167</sup> *Blindspigs* (właśc. *Blind Pig*) – potoczna nazwa barów, w których alkohol był sprzedawany nielegalnie w czasie prohibicji.

<sup>168</sup> *Slum* (ang.) – slams, dzielnica biedoty.

przyjęcia pieniędzy od pana Rascob, co powtórzyło się i za następnym razem przy spotkaniu na drugim końcu miasta w tawernie przy ulicy E 148 w Mott Haven<sup>169</sup>. Za trzecim spotkaniem w kawiarni przy Patterson Ave na Long Island<sup>170</sup> po półgodzinie zjawił się człowiek starszy, ubrany niezgorzej, sądząc z wymowy cudzoziemiec. Osobnikowi temu wzmiankowany osobnik, Charles Ursholl, okazywał wielkie uszanowanie i w jego obecności przeważnie milczał. Wskutek niesprzyjających okoliczności, czyli zbyt długiego przepełnienia lokalu, nie udało się nic uchwycić z ich rozmowy, natomiast obserwacja, zarządzona niezwłocznie po rozstaniu się tych panów, ustaliła, że osobnik starszy, nazwiskiem Peter Borowiczenko, jest Rosjaninem, zatrudnionym w księgarni międzynarodowej pod firmą „Universum”, przy której również zamieszkuje. Księgarnia uchodzi w dzielnicy Borough<sup>171</sup> za punkt zborny socjalistów, komunistów, anarchistów, przeważnie Włochów, Niemców, Jugosłowian oraz Rosjan i już od roku znajduje się pod nadzorem policji.

Lucy osłupiała, było to zbyt nieoczekiwane i po prostu niemożliwe... Cóż jeszcze może ją oczekiwać? Rald zadaje się za pan brat z ostatnią hołotą międzynarodową i gotów wplątać się w jakiś wielki skandal. Już go usidlili komuniści czy socjaliści z najmniejszej bandy cudzoziemców, nasłanych przez Moskwę. Oczywiście chcą z niego ciągnąć pieniądze, a dalej pchną go do jakiejś publicznej manifestacji, żeby potem obnosić się po świecie ze znakomitą zdobyczą – czyż nie wtrącili w bagno rewolucyjne młodego Vanderholdta, który skalał własne gniazdo, a rodzina wydostawszy go z więzienia i spod sądu, wyparła się go publicznie?

Na razie może to być tylko snobizmem swawolnego chłopca, którego bawi robić na przekór swojej sferze, no i własnej matce, ale trzeba czuwać, żeby głupia zabawa nie zaszła za daleko. Prowadzić nadal obserwację! Dla osobistego bezpieczeństwa Ralda, zapuszczającego się w odległe dzielnice, wysiadującego po obskurnych knajpach wśród szumowin i mętów rewolucyjnych, zarządziła niezwłocznie, aby wszędzie i o każdej porze czuwało nad nim trzech tęgich, wytrenowanych drabów, którzy, nie szczedząc życia

---

<sup>169</sup> Mott Haven – dzielnica mieszkaniowa w południowo-zachodniej części nowojorskiej dzielnicy Bronx.

<sup>170</sup> Long Island – wyspa i dzielnica w obrębie Nowego Jorku.

<sup>171</sup> Borough (ang.) – nazwa obszaru administracyjnego (czasami utożsamiana z gminą lub okręgiem).

(potrójna taksa oraz polisa ubezpieczeniowa), broniliby go od rzeźmieszków lub bandytów, od porwania i uprowadzenia przez szantażystów – „racketeersów”, a w razie obławy lub starcia z policją osłoniliby go przed zbyt brutalną interwencją pałek gumowych.

Jednak największym utrapieniem była skrytość i obcość Ralda dla matki i tragiczny mus śledzenia syna przez agencje wywiadowcze, przez nikczemnych fachowców, prywatnych detektywów, których dopuszczało się do tajemnic rodzinnych. Co za poniżenie – ale inaczej nic by o nim nie wiedziała...

Dlaczego, jak zerwała się ich dawna przyjaźń, gdzie się zapodział ich swobodny, na wskroś nowoczesny a serdeczny stosunek? Nie poczuwała się do winy, była matką i musiała czuwać nad synem, wypełniała swój święty obowiązek. A w nim, gdy zaczął dorastać, *śnać*<sup>172</sup> odezwała się, zagrała przeklęła krew ojcowska – oto cała jej wina, mści się na niej stary, przedwieczny grzech...

Zamierzała niezwłocznie, choćby za cenę przerwania semestru w Harvard, wyprawić go do Europy; w chłopcu dusza wydierała się do Paryża, ale kto wie, czy teraz usłucha? Wiąże go ta Ina, zresztą Ina może za nim pojechać, takie „artystki” wciąż włóczą się po świecie... Paryż.... A czy tam nie przyczepi się doń inna, jeszcze gorsza? Czy nie wciągnie go paryska rozpusta, wyrafinowana, chorobliwa, nęcąca urokiem subtelnej trucizny? Co lepsze? Gdzie mniejsze zło? A co do komunizmu i rewolucji socjalnej, toż w Paryżu znajdzie nauczycieli i arcykapłanów przewrotu, opętujących mówców, no i wyborowych rosyjskich emisariuszów...

Roztworzyć serce, pomówić z nim szczerze? Na to już za późno, przebija się w nim jakby zatajona uraza do matki, jest zimny i ugrzecznony, ironiczny, w istocie lekceważy ją. Nie zniosłaby jego tonów i uśmieszków, skończyłoby się na jeszcze jednej awanturze i tyle. Jakże się przyznać, że go obstawiła szpiclami, żeby poznać jego tajemnice? Chwilami zdawało jej się, że Rald już się spostrzegł i drwi z niej. To znowu gnębiło ją dawne urojenie: że tamten łotr, który udaje przed nią skruszonego grzesznika i dżentelmena, już wyjawiał mu wszystko listownie, a może i osobiście... Jakże się zdobyć na prostotę i szczerłość, jeżeli zdarzają się złe dni, pełne podejrzeń i trwogi, gdy nie śmie spojrzeć w oczy rodzonemu synowi?

---

<sup>172</sup> *Śnać* (właśc. *śnadź*) – dawn. widać, widocznie, zdaje się.



Rald przyszedł pierwszy, zaledwie połowa stolików była zajęta, ale we wnęce pod oknem siedziało czterech ludzi. Barman, pomny na bajeczne napiwki młodego dżentelmena, zjawił się natychmiast, jowialna, czerwona gęba jaśniała porozumieniem i przyjaźnią. Rald nie znosił jego poufałości i poklepywania po łopatkach, ale musiał się nałamać do tutejszych zwyczajów, jak przystało na osobnika w płaskim kaszkiecie i wyświechtanej, skórzanej kurcie.

– Miejsce pod oknem? Już jest...

Ci z wnęki, siedzący we czterech nad jednym syfonem wody, ani myśleli się przenosić, byli lekko pijani, toteż barman przestał prosić ich po dobroci o miejsce „zamówione i opłacone z góry przez stałą klientelę”, lecz pochylił się i naszeptał jednemu z nich do ucha. Gość popatrzył nań bez gniewu, ale dziwnie przenikliwie i podniósł się, dał znak towarzyszom, z których jeden tylko zaklął dla przyzwoitości i wszyscy czterej posłusznie zwolnili stolik i po chwili wynieśli się z knajpy.

Rald patrzył przez okno, zabryzgane błotem, na osobliwy, obcy świat, w niczym niepodobny do siebie samego, czyli do wspaniałego miasta Nowy Jork, w którego granicach się zawierał, a był oddalony od Broadway i od Fifth Ave nie więcej niż o pół godziny drogi koleją podziemną. Tam jarzyło się od świateł, neonowe reklamy biły w oczy zamętem wszystkich barw, co krok to wspaniały sklep, co sklep to olśnienie; zbity tłum roił się po chodnikach i huczał wrzawą, zbita nawała samochodów gnała w obie strony, a z każdej przecznicy nowe ich mrowie czatowało na znak policjanta, aby runąć w chwilową przerwę. Blask, ruch, masa ludzka, ogrom budowli, uciekających pod niebo, bogactwo, wystawione na pokaz, oszałamiały, wydzierają człowieka samemu sobie, pogrążały go jakby we śnie – wszystko naraz stawało się niepewne, niepojęte, urojone. W fantastyczności swej wizji wydawało się koszmarnie piękne, gdyby dopuścić, że jest prawdziwe, wczorajsze i jutrzejsze, i wieczne – byłoby to nie do zniesienia dręcące. A jednak jest prawdą...

Rald patrzył na brudnoczerwone nędzne domostwa po przeciwległej stronie szerokiej, wyboistej ulicy, lśniącej od błota. W domach było ciemno, gdzieniegdzie tylko tlało mętne światło, chyba od świecy lub lampki naftowej. Na ulicy pusto, nie zajedzie w te strony ani jeden z miliona nowojorskich samochodów, rzadcy przechodnie, trafiający się tutaj, ruszają się, lecz nigdzie nie idą, wałęsają się leniwie, nikomu się nie śpieszy. Łażą, powłócząc nogami, jak ludzie chorzy lub śmiertelnie znudzeni; każdy, mijając smugę blasku, bijącego

z okna, popatrzy zawsze jednakowym martwym spojrzeniem na Ralda, na jego papieros, na koszyk z pieczywem, na kubek kawy. Były to widma, cienie ludzkie, istoty wygnane poza nawias życia, wykreślone przez los, niepotrzebne sobie ani światu – bezrobotni.

Ciężki, szary zmrok osnuwał pustkowie ulicy jak pajęczyną, a samotna, wysoko zawieszona, nędzna latarnia swym czerwonym, przykrym światłem zdawała się jeszcze przysparzać ciemności. Rald z odrazą patrzył na ulicę i na tych ludzi, a zwłaszcza na krople deszczu, które właśnie zaczęły pluskać po kałużach, jakby dla ostatecznego zbrzydzenia mu tych stron, pomyślał jednak, że taka ulica, a również i jej ludzie dopiero w słońcu i pogodzie ujawniają pełnię ohydy. Eddy miał osobliwy pomysł, wyznaczając taką dzielnicę i tę knajpę na ich spotkania, w czym podtrzymuje go znakomity konspirator rosyjski, gdyż takie miejsce rzekomo daje najpewniejsze bezpieczeństwo od tajnej policji politycznej. Czyż nie przyjemniej, a nie mniej bezpiecznie mogli pogadać w przyzwoitej kawiarni lub bodaj w hallu pierwszego lepszego podrzędnego hotelu? Eddy zrobił się maniakiem, co za komizm poprzysiąc sobie, że póki życia, noga jego nie przestąpi progu zakładu dla bogatych! Jak można upodobać sobie nędzę, smród, łachmany? To gorsze niż ascetyzm pierwszych chrześcijan, gdyż Eddy jak gdyby wyszukuje specjalnie najwstrętniejsze siedliska i objawy nędzy i chlubi się, że znosi dla idei podły byt nędzarza i wyrzutka, a nawet twierdzi, że mu to daje spokój i szczęście. Sam przyznaje, że mógłby znaleźć lepsze mieszkanie niż kątem w ciasnocie między ostatnią zbieraniną, gdzie towarzysze okradli go już z lepszego ubrania, a w dodatku jeszcze zbili. Mógłby się co dzień umyć i ogolić, ale na złość kapitalistycznemu światu i jego tak zwanej kulturze protestuje i chodzi zarośnięty, brudny i niechlujny, chce nawet z wyglądu zrównać się z wydziedziczonymi. Sam się chwalił, wcale niepytany, że pobiera dolara dziennie za naganianie klientów do tajnych barów. Bierze na siebie cały ciężar losu nędzarza i całe jego poniżenie, a nawet upodlenie. Nie chce być innym od swoich braci w niedoli, ani lepszym, ani szlachetniejszym, aby upodobnić się masie i wrosnąć w nią korzeniami, bo dopiero wówczas opanuje całkowitą wiedzę o proletariatuszu i nie będzie się nim brzydził jak uzurpatorzy władzy nad proletariatem – panowie socjaliści czy siepacze komunistyczni. Tą drogą zdobędzie prawo do przewodzenia masom. Odbywa właśnie wstępny okres wielkiej nauki, a potem... Jeżeli go nie zniszczy gruźlica, choroba proletariatusza, jeżeli nie zmarnieje i nie zdechnie z głodu, jeżeli go nie

zatłucze policja, jeżeli go nie wsadzą na piętnaście lat i nie zamęczą w Sing Sing – to świat usłyszy jeszcze i zapamięta imię Eddy’ego Wychgrama...

W smudze blasku spotkały się i przystanęły dwie kobiety, stara i młoda, z nimi czworo dzieci. Młoda, wiotka, wymizerowana, z gorączkowymi wypiekami na zapadniętej kościstej twarzy była jeszcze nędzniej przyodziana od starej, która, podkasana powyżej nóg, ostrokanciastych kolan, dźwigała olbrzymie kalosze na bosą nogę i tkwiła w obszernej kurcie marynarskiej z kapiszonem, połatanej i obdartej. Młoda, osłaniając piersi i szyję włóczkowym szalikiem, dygotała z zimna w wiotkiej sukieneczynie i, nie zważając na deszcz, gwałtownie gadała, zapewne skarżąc się, a jej błędne oczy, nieruchome, szeroko rozwarte i nawet piękne, zapatrzone były w okno. Rald zakręcił się na krześle, ale wnet poznał, że te oczy go nie widzą i nic nie widzą, jeno swoją jakąś straszną niedolę. Stara okazywała spod kaptura męski, wydatny nos, a z fałdów i zmarszczek twarzy wyzierał uśmiech mądry, sceptyczny – podobna była do znanego drzeworytu podobizny Woltera. Dzieci, wszystkie czworo, natychmiast przyłgnęły do szyby i zbiły się w kupkę na jednym miejscu, tam, gdzie na stoliku, dotykającym okna, znajdował się koszyk, wypełniony pieczywem i ordynarnymi, smażonymi na oleju ciastkami. Maleńkie obdartusy, opatulone w jakieś strzępy, w ojcowskich olbrzymich kaszkietach, spadających im na oczy, z głowami obwiązаныmi szalikami, rozpląszczały sobie nosy o szybę, cztery pary czerwonych dłoni przywarły do niej, wszystkie oczy w dziecięcym, nieprzebranym zachwycie patrzyły na bułki i ciastka. Rald nie mógł znieść tego, odwrócił się, spojrzął na zegarek i przypomniał sobie o liście od ojca, który doręczono mu w chwili, gdy wychodził z domu.

„Miły chłopcze, moja skrzynka, moje żerdzie i druty są w zmo-wie strajkowej, czyli razem biorąc tak zwana stacja nadawcza ekspedycji od trzech miesięcy utknęła, więc posyłam listy do matki i do ciebie na chybił trafił, drogą lądową i śnieżną. Ta psia poczta pójdzie w dosłownym znaczeniu rzemiennym dyszlem naprzód przez barren do posterunku na Slave Lake<sup>173</sup> i tam czekać będzie nowej okazji i albo ją kto zabierze dalej, albo i nie. Nie dziwiłbym się, gdybym sam powrócił wcześniej, niż nadejdzie moje pismo, a mam nadzieję zobaczyć was oboje dopiero w połowie czerwca. Powitam

<sup>173</sup> Slave Lake – miasto w północnej Albercie w Kanadzie.

cię jako człowieka zapewne niezbyt dojrzałego, ale już z dyplomem dojrzałości, co automatycznie uchyla zakaz naszej surowej matki i otwiera przed nami szeroki świat, w listopadzie możemy wyruszyć. Stracisz co prawda rok akademicki, nad czym Lucy będzie biadać, ale w moim mniemaniu zyskasz nieskończenie więcej, poznasz cuda świata polarnego i w pustyni lodowej zakosztujesz życia godnego człowieka. Piszę te słowa w igloo, uklepanym ze śniegu, w gościnie u szczerych i mądrych ludzi pierwotnych, u moich braci Eskimosów z delty Mackenzie<sup>174</sup>, o sześćset pięćdziesiąt mil od mojego zimowiska. Żyję jak oni i jak oni się przyodziewam, to samo jadam, tak samo się nie myję i jest mi doskonale. Odkryłem odmęt nieznanych zwrotów ich narzecza i prastare, już ginące słowa, zapisuję przysłowia, legendy i pieśni. Ratuję od zagłady szczątki jakichś wielkich dziejów, tlejące jeszcze w wymierającym plemieniu, które przed jakimś tysiącem lat należało do potężnego narodu łowców, panującego nad olbrzymią przestrzenią od oceanu aż do granic puszczy. Miałem się za klimatologa, za specjalistę od zjawisk magnetycznych ziemi i innych mądrości polarnych, znajomość narzeczy eskimoskich uważałem za środek pomocniczy: teraz widzę, że wyrobię się na wcale niegorszego etnologa i lingwistę...”

Nie mógł czytać dłużej, spojrzął na zegarek – a może tamci nie przyjdą? Miał niezmierną ochotę uciec. Ina wyznaczyła mu spotkanie w hallu hotelu Grosvenor dopiero na dziewięć; jeszcze cztery godziny... Żeby nie widzieć dzieci przylepionych do szyby patrzył na salę; siedziało tam w rozsypkę ze dwudziestu ludzi przy pustych stolikach, żaden nie miał przed sobą nawet syfona wody ani szklanki, ani nic, tylko najbliżej od wnęki siedzieli jacyś dwaj, popijali kawę i zajadali bułki z szynką. Oni jedni gadali ze sobą i palili w tym zbiorowisku potrójnych abstynentów niejedzących, niepijących i niepalących – poczwórnych, gdyż i milczeli zawzięcie. Zdawali się wszyscy na coś czekać, wyglądali na ubogich podróżnych, wysiadujących na nikiemnej stacyjce, zagubionej gdzieś w preriach, są smutni i zdręczeni, ale wnet oznajmi się i zajędzie pociąg i zabierze ich w szczęśliwsze kraje. Bezrobotni...

Wreszcie, w nagłym napadzie porwała go złość. Wściekły i zawstydzony chwycił koszyk z pieczywem i ciastkami i, nie patrząc na nikogo, podszedł do lady, zawalonej śledziami, serem, wędliną.

---

<sup>174</sup> Delta Mackenzie – delta rzeki Mackenzie wpadającej do Oceanu Arktycznego na Terytoriach Północno-Zachodnich w Kanadzie.

Nie zważając na barmana, który zagadał skwapliwie, zachwalając swoje podejrzone specjały, zagarnął kilka wiązek kiełbasek i ruszył ku drzwiom. Nie wiedział, jak się zachować, jak dokonać tak prostej rzeczy – dać zgłodniałym dzieciom trochę jadła... Wypada coś powiedzieć... Do diabła, ale co?... Rzucił błagalne spojrzenie na starą w kapiszonie, ta zaświdrowała w nim sprytnymi oczami, zrozumiała go w lot, rzecz załatwiła się gładko – po prostu nadstawiła swój koszyk i Rald wsypał wszystko, zabełkotał coś, wskazując na dzieci... Z reszty ceremonii zwolniła go stara, wyrzekła parę słów z dostojnością, nieco przesadnie, pompatycznie.

– Dziękujemy panu w imieniu dzieci, małym przejadły się same puste kartofle...

Pożegnała go dystyngowanym skinieniem głowy, Rald z wielkim zamachem ukłonił jej się czapką. Młoda kobieta zakasłała się, nie przerywając swej opowieści, zdawała się nie widzieć Ralda ani jego bułek. Dzieci grzebały w koszyku i już jadły.

– Rald, co ty wyprawiasz?

– Czekam z pół godziny, myślałem, że nie przyjdziecie.

– Niepotrzebnie zwracasz na siebie uwagę w tej knajpie, no a przede wszystkim na nas, zwłaszcza na naszego szanownego przyjaciela, który ma swoje poważne powody...

– Jeżeli głodne dzieci patrzą przez szybę, jak ktoś zajada sobie ciastka...

Usiedli. Rosjanin rozczesywał palcami zmoczoną żółto-siwą brodę i wycierał ją chustką; zdjął i przetarł okulary, zapalił papierosa i zagadał głosem przyciszonym w tonie pedantyczno-wykładowym, jak gdyby prowadząc dalszy ciąg rozpoczętej prelekcji.

– Pomoc indywidualna, czyli dobroczynność, inaczej zwana w języku biblijnym jałmużną, jest objawem społecznie niemoralnym, a w pojęciu rewolucyjnym wręcz szkodliwym. Wypływa ona z litości, pojęcia stworzonego przez obłudę chrześcijańską. Rewolucjonista oszczędza każdy grosz na cele ogólne, czyli rewolucyjne i nie trwoni go na dogadzanie swej uczuciowości, która jest przeżytkiem. Zaś jego litość, jeżeli nie zdoła jej w sobie wytępić, winna się w nim akumulować, uświadomić i przeradzać automatycznie w nienawiść socjalną, dźwignię psychiczną wszystkich wielkich ruchów i przewrotów społecznych. Mamy dzisiaj fatalną pogodę, powietrze jest całkiem zgniłe, przypomina mi się przedwiośnie petersburskie, a że jestem nieco zaziębiony, więc czekaliśmy na naszego lekarza, aby mnie zbadał, czy mogę dzisiaj wyjść – stąd nasze opóźnienie. Jednak

na następny raz Eddy postara się o inny lokal, pańskie napiwki oraz dzisiejszy akt miłosierdzia zanedbały uwagę, a tutejszy barman ma fizjognomię wyjątkowo łajdacką i, jak widzę, zanedbał się panu przygląda. Każdy szynkarz na peryferiach miasta jest na usługach policji, co nie przeszkadza mu pozostawać w najlepszym porozumieniu z boothlegerami i światem bandyckim – typowy objaw rozkładu moralnego z jednej strony drobnomieszczaństwa, z drugiej rządów burżuazyjnych. Sądzę, że pan jest dostatecznie obznajmiony z doktrynami Bakunina<sup>175</sup>, Krapotkina<sup>176</sup>, Réclusa<sup>177</sup>. Przejdziemy do działalności wielkiego praktyka rewolucyjnego anarchizmu, do bohaterskiej postaci atamana Nestora Machno<sup>178</sup>... Podczas gdy w wielkich centrach północnej Rosji anarchizm został wytępiony ogniem i mieczem przez bolszewicki socjalizm państwowo-centralistyczny, a w Moskwie główny nasz ośrodek, na ulicy Powarskiej, legł pod gruzami domostw zbombardowanych armatami czerwonej armii, ruch nasz przeżył na Ukrainie wspaniałą epopeję, której sam byłem świadkiem i uczestnikiem...

Na szybko napierał tłum dzieci, wyrostki, starzy, mnóstwo oczu patrzyło na nich, zwłaszcza na Rosjanina, który gadał, kiwając się rytmicznie, wciąż kładąc na stole i wznosząc do góry swą siwą brodę, szeroką jak łopata. Mówiąc, przymykał oczy i zdawał się nie widzieć zbiegowiska, stojącego przed nim nie dalej niż o trzy kroki. Eddy odwracał się od okna i co chwila z wyrzutem spoglądał na Ralda. Ten siedział jak na węglach. Straszliwe rozpasanie rewolucji, codzienne gromadne egzekucje, pożoga miast i wsi, krwawy chaos, absurdy, bezceństwa, cała kraina w masowym obłędzie, któremu przewodził furiant zbiegły ze szpitala wariatów... Stary zapamiętał maniak, który strawił dziesięć lat życia w carskich kajdanach, a dwa lata w bolszewickim więzieniu na Wyspach Sołowieckich<sup>179</sup>, wyklada spokojnie i metodycznie cały ten koszmar...

---

<sup>175</sup> Michaił Aleksandrowicz Bakunin (1814–1876) – rosyjski myśliciel, panslawista i rewolucjonista, uznawany za jednego z ojców anarchizmu.

<sup>176</sup> Piotr Aleksiejewicz Kropotkin (ur. prawd. 1842, zm. 1921) – rosyjski intelektualista, anarchista, rewolucjonista, pisarz i eseista, a także naukowiec.

<sup>177</sup> Onésime Reclus (1837–1916) – francuski geograf, piewca kolonializmu francuskiego w Afryce.

<sup>178</sup> Nestor Iwanowycz Machno (ukr. *Нестор Іванович Махно*; 1888–1934) – ukraiński anarchista i rewolucjonista.

<sup>179</sup> Wyspy Sołowieckie – grupa wysp położonych w Zatoce Oneskiej na Morzu Białym wchodzących w skład obwodu archangielskiego w Rosji.

Tłum nędzarzy, zebrany tuż za oknem, nie słyszy przez szybę epepei, która miała za zadanie znieść krzywdę, głód, nędzę, kapitalizm, kryzys, bezrobocie i uszczęśliwić ludzkość... Goście po dawnemu czekają nad pustymi stolami... Na co czekają? Gospodarz się uśmiecha, daje mu znad bufetu znaki zachęcające... Czego on chce?

Ogarniał go zamęt.

Nowa wiedza o krzywdzie i ucisku, o wielkiej misji, którą w sobie niesie proletariats, o odwiecznych zbrodniach kapitalizmu, o bliskim dniu pomsty ludu ukazała mu się nagle w wizji sennej, gdzie przypadkowe skojarzenie obrazów przez pozorny nonsens okazują jakąś najgłębszą istotę rzeczy. Doktryna zabawna i przekorna, a w dodatku – mniejsza o to – zdaje się najzupełniej słuszna, dopiero w tej chwili, w tym właśnie otoczeniu objawiła mu swoją potęgę i grozę.

Opowiadania Iny z sierociego dzieciństwa, jej żartobliwe, rzucane od niechcienia aluzje i półsłówka... Jej imponujący gest na ostatnim przedstawieniu... Estradowe produkcje światoburców i rewolucjonistów z klubu... Fantastyczne losy biednego Eddy'ego i jego ostramania pokuty i samoudręczenia, a teraz znowu anarchizm... Stary męczennik caratu i rewolucji, wzruszający i śmieszny patriarcha, nieludzki przyjaciel ludzkości, łagodny jak baranek, a zagłębiający się z lubością w bezecnościach rosyjskich i gotowy powtórzyć to samo w Ameryce...

Jeszcze przed sekundą były to bezkształtne okruchy myśli, przelotny pył kosmiczny niezmiernie odległych, obcych światów. Co go to wszystko obchodzi? Ciekawość, zabawa, dziwowisko, przekora łobuzerska...

Gdy Eddy został nareszcie odszukany, chciał mu po koleżeńsku dopomóc; sekretarz generalny Nickok miał dla niego gotową posadę, wcale niezłą jak na początek, tymczasem Eddy dostał bzika. Przeklął swój świat, uciekł od matki, przy której by mu niczego nie brakowało, i puścił się na przygody, aby zakosztować nędzy, nie myć się, głodować i awansować na prawdziwego proletariusza, a dalej miała z tego wyniknąć straszliwa rewolucja i eksmilioner Eddy będzie rznął nowojorskich milionerów. Rald widywał się z nim w nadziei, że uda mu się wreszcie doprowadzić go do rozumu, a swoją drogą bawiły go wycieczki w coraz to bardziej odległe, zatracone dzielnice. Wysiadywanie po obskurnych knajpach było nowością bardziej zajmującą niż wspaniałość wewnątrz, wytworność kuchni i pańskość



publiki w Delmonico<sup>180</sup>, Sherry's<sup>181</sup> lub Commodore<sup>182</sup>. Podobnych twarzy, podobnych łachmanów nie spotyka się nigdy w śródmieściu, chyba na ekranie w melodramatach „z życia szumowin portowych”, ale filmowi nędzarze i chuligani są marną fuszerką wobec typów spotykanych w Mott Haven lub Woodside<sup>183</sup>.

Za trzecim razem ni stąd, ni zowąd wypłynęła zjawą z opowieści Edgara Poe<sup>184</sup> – „profesor” Borowiczenko, i od razu zaczęły się systematyczne wykłady propagandowe. Rald otrzymał kilka broszur i nawet przeczytał je w domu – były zresztą bardzo cienkie. Nieprzebrane ukochanie przyjsć mającego złotego wieku ludzkości, absolutna negacja względem wszystkiego, co jest, i święta nienawiść. Absolutna wolność jednostki, potępienie wszelkiej organizacji, a przede wszystkim państwa. Propaganda i dynamit. Strajk powszechny w permanencji. Zniszczenie kapitalizmu, socjalizmu, komunizmu, przejściowa epoka zastoju i generalnego chaosu, wychowanie nowego pokolenia według najnowszych metod pedagogicznych. Zniesienie pojęcia Boga, rodziny, granic, państw, narodowości i wszelkiego przymusu, bezgraniczna wolność jednostki... Konfiskata, wywiezienie na pełne morze i zatopienie światowego zapasu złota... Uproszczenie życia, odrzucenie tak zwanej kultury obyczajowej, wstydlivosti i mistyfikacji małżeństwa... W końcu – szczęście ludzkości, które sformułuje się, stworzy się i ustali samorzutnie, bez żadnych praw i instytucji społecznych... Ha, ha, ha!...

Skądże teraz ten cudaczny, śmieszny zamęt wydarzeń, osób, teorii nabrał nagle powagi i sensu? Co złączyło w jedną więź Inę, młodego Wychgrama i tego zwariowanego profesora anarchizmu? Dlaczego jego wykład kojarzy się z kursem slazengerologii, prowadzonym przez generalnego sekretarza matki, pana Nickoka? Depresja w interesach światowych, zastój, bankructwa, zmierzch kapitalizmu, bezrobocie, wszystko, co w tych czasach obija się o uszy

---

<sup>180</sup> Delmonico – słynna restauracja w Nowym Jorku położona w dzielnicy finansowej, działająca od 1827 r.

<sup>181</sup> Sherry's – restauracja w Nowym Jorku założona w 1880 r. przy 38. ulicy i 6. alei.

<sup>182</sup> Commodore – bar i restauracja w otwartym w 1920 r. Commodore Hotel w Nowym Jorku.

<sup>183</sup> Woodside – dzielnica mieszkaniowo-handlowa w zachodniej części dzielnicy Queens w Nowym Jorku.

<sup>184</sup> Edgar Allan Poe (1809–1849) – amerykański poeta, nowelista. W jego twórczości dominowały wątki fantastyczne i związane z horrorem. Prekursor literackiej noweli kryminalnej.

do znudzenia, staje się prawdą i groźbą oczywistą i tak bliską, jak to zbiegowisko nędzarzy wypełniające okno.

Tłum zachowywał się spokojnie, dzieci śmiały się z profesora, jeden malec przedrzeźniał jego zapamiętałe kiwanie się i wytrząsanie rękami, a za nim zaczynali to samo inni, jednak Rald czuł, że wszystkie oczy wpatrzone są właśnie w niego, on tu jest napiętnowany i znienawidzony jako jedyny na tym miejscu przedstawiciel panującej kasty, rasowy bogacz, milioner z dziada pradziada... On winien wszystkiemu, ci ludzie odgadują go instynktem rasy proletariuszów. Ogarnął go niepokój, wstyd. Wiedział doskonale, że w tym nie ma sensu, ale nie mógł się zdobyć, aby spojrzeć w okno. Niech tylko raz rzuci okiem na nędzną tłuszcę, opamięta się natychmiast, ot, czepiły go się głupie przywidzenia... Cóż, kiedy stoją za blisko, napierają na niego, jest przyłapany, osaczony.

Absurd! Nonsens!

Nie ma w nim żadnej winy absolutnie, obiektywnie, a nawet w urojeniu neurastenicznych subtelności sumienia. Nikomu z tłumu ani się nie przyśniło obwiniać go, choćby nawet wiedzieli, kim jest, a przecież nikt nie wie... Zresztą nie włada żadnym majątkiem. Czyż on ma odpowiadać za matkę, jeżeli ta, jak i wszyscy w tych czasach, zamyka swoje zakłady i rozpuszcza robotników? A może jeszcze za przedawnione zbrodnie świętej pamięci dziadka Slazengera, który utuczony potem i krwią proletariatu zatonął przed dwudziestu laty? Śmiał się w duchu, szydził z ulicznej gawiedzi, ale nie odważył się spojrzeć w okno. Nerwy... Nie ma co, porządnie zdręczyła go Ina...

Od przedstawienia ze złotym cielcem i z japońskim żonglerem, od dziesięciu dni niepodobna się z nią zobaczyć. U siebie nie przyjmuje, odmawia spotkań, a raczej co dzień je odkłada, na telefony odpowiada znudzonym głosem, jak obca, jakby o wszystkim zapomniała. Co ona za sztuki wyprawia?

Dopiero na dzisiaj, na dziewiątą, pod przymusem jego telefonicznych błagań, zaklęć i złorzeczeń raczyła mu wyznaczyć spotkanie jak na odczepne, „najwyżej na pół godziny”... Nie ma czasu, prowadzi ważne pertraktacje, które stanowią o jej dalszej karierze artystycznej... Zapewne w najbliższych dniach wyjedzie... Z Europą się rozchwiało, za to odbędzie wielkie tournée ze złotym cielcem i z Kimurą... Czy daleko? Daleko... Tak, i na długo, poczynając od Meksyku aż do Ziemi Ognistej...

Czyż przypuszcza, że on na to pozwoli?

Ina ma się odsłaniać bezwstydnie przed hordami mieszai-  
ców centralno- i południowo-amerykańskich? Sto przedstawień  
z nożami? Przecie ten przeklęty żółtolicy musi bodaj raz kiedyś  
chybić!...

Zażąda wyjaśnień jak mężczyzna, dość ceremonii! Po tym, co  
zaszło, zdobył prawo do zupełnej szczerości, przecież ona sama,  
pierwsza, nienapastowana, całkiem nieproszona...

Od momentu spędzonego u kolan Iny w gorącym przepychu  
jej nagości przebywał w ustawicznym roztargnieniu. Pominąwszy  
włóczenie się pod oknami jej pensjonatu i codzienne przesyłanie  
kwiatów i niepoczytalnych, idiotycznych, mniejsza o to, listów,  
gdziekolwiek był, cokolwiek robił, zawsze i niezmiennie od dzie-  
sięciu dni między ludźmi czy w samotności, na jawie czy we śnie,  
ani na chwilę nie mógł oderwać od niej myśli. Opętała go. Buntował  
się, zrywał z nią co najmniej po dwa razy na dzień, napisał już parę  
obrzydlivych listów z insynuacjami, z obelgami, a w pół godziny  
odwoływał je w słowach najgłupszych i najczulszych, ślubując jej  
wieczną miłość i niewolę.

Dzisiaj stawił się na tajne posiedzenie jedynie dla zabicia czasu,  
aby doczekać upragnionej godziny dziewiętej. Gadanina profesora  
zaczynała go irytować, chciał zadać mu parę uszczypliwych pytań,  
aby wytrącić z dogmatycznej pewności siebie jego i jego broszury,  
na złość pełnym zachwytu fanatycznym oczom biednego Eddy'ego.  
Zapyta sobie niewinnie i zabójczo, jak to niegdyś w pierwszej kla-  
sie Lincoln College pytano czcigodnego Washingtona Cleeda, ich  
starego pastora, na lekcji religii, gdy wykladał o stworzeniu świata  
z niczego. – Czcigodny ojciec, a któż poprzednio stworzył nic?

Przeszkodził mu barman, pytając szeptem, czy dżentelmeni nie  
zechcą przejść do jego prywatnych pokojów za „saloonem”, gdzie  
również nie jest wykwinicie, ale za to spokojnie, tam może służyć  
dżinem i świeżym czternastoprocentowym piwem.

– Ostrzegam panów... Za chwilę może być za późno...

Rald wstał i odszedł ku bufetowi. Barman uśmiechnął się  
dwuznacznie.

– Z tutejszym „slumem” nigdy nie wiadomo, na czym się może  
skończyć, zwłaszcza w takich czasach... Mogą zrobić najście na lokal,  
dżentelmeni będą mieli nieprzyjemność, a mnie zrabują wszystko...  
Najgorzej jak poczują, że ktoś bogaty przybędzie tu z miasta, żeby  
ich podpatrywać... Przed miesiącem strasznie pobili u mnie dwóch  
reporterów za to, że fotografowali sobie przez szybę bardziej

zabawnych, to znaczy szczególnie obdartych przechodniów. Okazało się, ale już po wszystkim, że są to panowie z Towarzystwa Pomocy Najbiedniejszym, którzy zbierają materiał propagandowy... Bili ich ludzie z „saloonu”, paru z nich nawet siedzi tu dzisiaj... Wypadałoby albo poczęstować ich wszystkich, co zostawiam do uznania dżentelmenów, albo też czym prędzej zejść im z oczu, bo nie wiem, którzy gorsi, ci z ulicy, czy ci, co u mnie wysiadują całymi dniami bez dachu nad głową i bez pięciu centów przy duszy, a co najgorsze, bez szczypty tytoniu... Taki jeden z drugim za marnego papierosa...

– Co to nas obchodzi? Nie jesteśmy bogaci.

Barman zaśmiał się w kułak i mrugnął okiem jak stary cwaniak, poklepał Ralda po ramieniu.

– Tamci dwaj może i nie, ale za to pan... Żeby się pan nie wiem jak przebrał, sama mina pana zdradzi, tego nie da się ukryć.

– I pan masz wcale niezłą minę...

– Mina miną, dziękuję za komplement, ale ja nie mam wypchanego pugilaresu, ostatnim razem widziałem u pana piękną paczkę studolarówek, proszę nie pokazywać tego dzisiaj, bo ludzie patrzają...

– Cóż to, w pańskiej budzie bywają sami złodzieje i bandyci?

– Broń panie Boże! Czego by oni u mnie szukali? Ale w naszych czasach każdy bezrobotny, kiedy indziej wcale porządny człowiek, miewa swoje złe chwile i jeżeli na taką chwilę trafi mu się coś urwać – to dlaczego nie? Ulice u nas ciemne, puste, a policja się tu w ogóle nie pokazuje... Wieczorem, na takiej na przykład Harden Ave, to niczym na pustyni.

– Płacę!

– Reszty ze stu dolarów? Pan żartuje – gdzie ja to panu zmienię? Musiałbym chyba gnać aż na stację Long Island.

– To tak?

– A tak.

Rald szperał w portfelu, wreszcie zmacał pomniejszy banknot.

– Na resztę będzie pan musiał zaczekać, zaraz pchnę chłopca po sklepach...

– Nie mamy czasu, zresztą znanadto pachną te pańskie specjały. Weź pan sobie resztę i już.

– Cóż, jeżeli dla pana nic nie znaczą te szesnaście dolarów i osiemdziesiąt centów, to wezmę i podziękuję. Polecam się na przyszłość... Ale chyba wyprowadzę panów przez podwórze.

– Nie trzeba, damy sobie radę.

Skinął znacząco, Eddy wstał i ujął pod ramię profesora, zabrał go i wyszli na ulicę. Stary ani na chwilę nie przerwał wykładu. Tłum rozstał się przed nim w milczeniu. Rald patrzył na obdartusów wyzywająco, po pańsku, niech no go który zaczepi. Nie zaczepił go nikt.

– ...Wybuch w Nowym Jorku, a również we wszystkich większych ośrodkach od razu zgniecie i zmiążdży wszelki opór kapitału. Bezrobotni to żywioł raczej bierny, zmożony nędzą i głodem i zgnębiony psychicznie, a przy tym obciążony dziedzicznie niewolniczymi nałogami w jarzmie pracy, rozruszamy ich, rzucając im na pastwę sklepy, składy, domy, pałace i bogactwa burżuazji... Na czoło wysuną się od razu w pierwszym dniu naszej rewolucji szumowiny wielkowiejskie, ów klasyczny, poboczny wytwór kapitalizmu. Dopiero w tym dniu świat przekona się, co za niezmierna masa zdziczałego motłochu, odpadków, ludzi bez czci i wiary, bez strachu i bez żadnego hamulca gnieździła się w naszych wspaniałych stolicach. Niech no tylko policjanci zwieją z ulic... Możemy się nie obawiać socjalistów i komunistów wraz z ich przyrodzoną tendencją do ładu i dyscypliny, najpierw pożrą się ze sobą i zneutralizują swe wpływy. A przede wszystkim nasza rewolucja ma gotowe kadry naczelne w postaci zawodowych przestępców, tych zbrodniarzy, złodziei, bandytów, którzy wedle nieśmiertelnej teorii Bakunina są urodzonymi rasowymi rewolucjonistami, którzy bez żadnych teorii i bez żadnego frazesu rewolucyjnego od wieków zwalczają państwo i ustrój kapitalistyczny z jego świętym prawem własności. Nowy Jork, Chicago, Detroit, Boston, a dalej sto innych wielkich miast USA dają nam jedyny na świecie przykład rozwoju, rozkwitu, a nawet rozpasania potężnych, zorganizowanych band, a raczej prawdziwych armii zbrodniarzy, które drwią z przekupionej policji i sądów, łupią burżujów i ich banki, porywają im dzieci dla okupu, nakładają haracz na całe dzielnice, a na surowej ustawie prohibicyjnej zbudowali kolosalny, o miliardowych obrotach przemysł, przemysł i handel... Ta armia jest naszą główną siłą uderzenia, potężną kolumną szturmową anarchistycznej rewolucji, posiada genialnych wodzów, sztaby, ma broń i setki tysięcy oddanych, nieustraszonych żołnierzy – zresztą od razu otworzymy wszystkie więzienia. A więc nasz pierwszy etap, czyli zdeorganizowanie, obalenie i zniszczenie kapitalizmu wraz z całą jego machiną państwową, śmiało możemy uważać za rozplanowany we wszystkich szczegółach i niejako za dokonany, a to przez same przeciwieństwa

wewnętrzne ustroju i jego choroby organiczne. Już po pół roku chaos zupełny, idealny, integralny pochłonie ten olbrzymi kraj, a wówczas nasza idea na niezmiarzonej tabula rasa...

Na rogu najbliższej przecznicy Rald bez jednego słowa zawrócił w miejscu i szybko zapuścił się w nieznaną ciemną ulicę. Śnać nie zauważył tego Eddy, zasłuchany w olbrzymie horoskopy profesora, gdyż nikt za nim nie wołał. Z początku kłął najpodlejszymi słowami, jakie swojego czasu szerzył w Lincoln College Willy Snarson, który kierował się na lingwistę i z zamiłowaniem zbierał w dokach u marynarzy, u włóczęgów i chuliganów specyficzne powiedzenia, zwroty, świątwa i dziwotwory ich „slangu” jako przyczynki do wielkiego słownika amerykańskich gwar ludowych. Wreszcie roześmiał się głośno sam do siebie, sam ze siebie i od razu otrząsnął się z ponurości i nudy knozań anarchistycznych profesora Borowiczenki, ze swoich nastrojów i przywidzeń w knajpie na Hunters Point, z hipnozy obłąkanych oczu Eddy’ego, z ciężkiego problemu konającego kapitalizmu i ze wszechrzeczy proletariackich.

Nie wiedział, gdzie jest ani którędy iść do najbliższej stacji kolei podziemnej, na oślep zbaczał z ulicy w ulicę, starając się uchwycić kierunek. Młodość jeszcze raz przewyciężyła w nim zarazki obcego świata, ponure widziadła krzywdy, nienawiści. W ciemnej, lepszej od nędzy sieci uliczek i zaułków Greenpoint – wróciła duma należna królom świata.

Ponad dachami oblażonych z tynku murowańców i wykoszlawionych drewniaków jarzyła się daleko łuna i sięgała do zenitu chmurnego nieba. Rald niespodziewanie wyszedł na otwartą przestrzeń, znalazł się na wybrzeżu. Urwał się labirynt nędznych ulic, zaczerniały na niebie szkielety dźwigów portowych, ogarnął go bezmiar pustkowie. Za wodą, za przestworzem ciemności łyskała w niebo wspaniała wizja z blasków i barw. Wystrzelały i gasty, rodziły się i nikły rzuty zieleni, błękitu, purpury, sięgały chmur napisy, układały się w konstelacje, w girlandy i wieńce. Gromady potężnych, czarnych budowli wynurzały się ponad miasto ogarnięte pożarem. Sznury lamp, biegnące w nieskończoność, kreśliły zarysy i kierunki głównych ulic, trzy pasma światła wisiły rozciągnięte wysoko kędyś w przestrzeni na trzech mostach – Williamsbourg Bridge – Manhattan Bridge – Brooklyn Bridge<sup>185</sup>... Płonęły

---

<sup>185</sup> Williamsbourg Bridge, Manhattan Bridge, Brooklyn Bridge – słynne mosty nad cieśniną East River w Nowym Jorku łączące Manhattan z Brooklynem.

zarzewia Broodway, Fifth Ave, a oto ognista poprzeczna smuga Czterdziestej Drugiej Ulicy...

Rald stał długo na wybrzeżu, zapatrzony w zjawę miasta. niespodziewanie ogarnęło go upojenie ogromu i potęgi, jak gdyby po raz pierwszy w życiu pojął, czym jest w istocie swojej ów twór wspaniały i straszliwy – cud koszmarny, dziwoląg nieprawdopodobny, jakby przyśniony – Nowy Jork. Nic podobnego nie może się powtórzyć na świecie... To wyskok czyjejś samowoli twórczej, rozmyślny a niepojęty błąd w procesie dziejowym stawania się, nieodgadniony spiszek pokoleń, narodów i stuleci, chorobliwy, spotworniały wzrost wszelkiego pojęcia o zbiorowisku ludzkim. Jego obszar i natłok urągają wyobraźni, są nie do ogarnięcia wzrokiem ani umysłem, to miasto jest urągówiskiem ze zdrowego sensu, szatańskim eksperymentem – rekordem świata, dowodem *ad absurdum* zupełnego pomylenia cywilizacji nowoczesnej... I co jeszcze?

Jest przerażające i wspaniałe, odtrąca i pociąga jak szaleństwo, jak zbrodnia.... Kryje w sobie odmęt zagadek, całe jest jedną niezgłębioną tajemnicą. Czyż podobieństwem jest rozwikłać splot nieprzeliczonych sił i zjawisk, przyczyn, celów, przeznaczeń, które złożyły się na obraz stojący przed jego oczyma? Na ten nieogarniony wyraz w obliczu miasta płonącego w łunach wieczoru, na jego potężne tchnienie zatrute, oszałamiające? Rald patrzył, patrzył i pogrążał się w zamęcie.

Otaczało go ponure nadbrzeżne pustkowie, w ciemnościach wisały tu i owdzie samotne, rozproszone światełka, nigdzie żywego ducha. Na East River port był opustoszały, w basenach, zawartych między szeregiem tam, daleko biegnących w zatokę, stały gromady czarnych kadłubów, milczący mityng bezrobotnych parowców o dawno wygaszonych paleniskach, bez świateł, bez ludzi. Ponad głęboką, mroczną melancholię tego miejsca, gdzie zamarło wszelkie życie, które za lepszych czasów kipiało tu dniem i nocą, jak okiem sięgnął od widnokrzęgu do widnokrzęgu na niebie rozpościerała się czarodziejska feeria tryumfu. Raz po raz, bez ustanku strzelały w górę rzuty świateł, na chmurach wyrastały barwne napisy, imiona, słowa, prześcigały się, krzyżowały się, całymi rojami biegały po niebie. Światła wspinały się jak ogniste węże po ścianach olbrzymów-buildingów czterdziesto-, sześćdziesięcio-, ośmdziesięciopiętrowych, to tu, to tam tysiące okien rozpalało się naraz i gmachy jeden po drugim odrywały się od ziemi, unosiły się w przestworzu niewiarogodne dla złudzonych oczu, drgające



życiem, dymiące od cieni i blasków. Radość potężna, rozpięta radość żywiołu ogarnęła niezmiernie miasto. Spadła nań wielka wieść – nowina? Nowy Lindbergh<sup>186</sup> wylądował dziś z Europy na lotnisku w Bonnet Field? Może prezydent Hoover, który niebawem staje do ponownych wyborów, w epokowym manifeście do Senatu i czterdziestu ośmiu sfederowanych stanów postanowił, że dzisiaj o północy dwa upiory: kryzys i depresja załadowane zostaną na krążownik Good Hope i zatopione na granicy wód terytorialnych? Hourrah – hourrah – hourrah!! Kongres w Waszyngtonie zniósł prohibicję? Hourrah! Hip – hip!! Na Wall Street wszystkie walory skoczyły w górę i w jednej chwili ze szmat z papieru, z tysięcy ton makulatury odrodziło się szczerze złoto, potworne bogactwo! Wielki dzień! Wspaniała iluminacja!...

Nic się nie stało w Nowym Jorku. Tak samo jest co wieczora.

Rald dobrze to wiedział, czemuż dzisiaj, na tym miejscu, o tej godzinie zdumiewa go obraz miasta, znajomy i powszedni? Wydało mu się, że właśnie przed chwilą przemknął nad nim, nad jego losem moment przełomu, sekunda wielkiej przemiany, dawne się za nim zamknęło. Odsłania się coś nieznanego, nie może jeszcze ogarnąć tego w sobie ani pojąć i zapewne nigdy nie podoła, chwila uleciała jak zawikłane widziadło senne, którego niepodobna oddać w ludzkim słowie ani nawet odtworzyć we wspomnieniu myśli. Ale pozostanie w nim na zawsze zakłęcie chwili i będzie sprawowało tajemne dzieło.

Jedno zdążył i zdołał dostrzec – zło, okrucieństwo bijące jak mroźny wicher od tego miasta, przystrojonego w ogień, łuny i blaski. Jego nieprzebrane bogactwo, jego światowa potęga tchnęły fałszem, były znikomością wobec czegoś niewiadomego, co wzbiera tajemnie, gromadzi się i grozi jak nowy potop. Ten Nowy Jork jest skazany i zginie, szczególnie pod gniewem i mocą jakiegoś wielkiego jutra, jak Sodoma i Gomora, które dosięgnął dzień ognia i pomsty obrażonego bóstwa. Za czyje grzechy? Kto wie, czy na siedem milionów jego mieszkańców znajdzie się biblijne minimum dla dostąpienia łaski – siedmiu sprawiedliwych? Czyżby wszyscy byli winni? Wszyscy, co do jednego, bogaci i nędzarze, to miasto jest przekłute...

---

<sup>186</sup> Charles Lindbergh (1902–1974) – amerykański pionier lotnictwa, w 1927 r. jako pierwszy przeleciał samolotem między lądem Ameryki Północnej a Europą bez międzylądowań.

Do głowy pchały się natrętne myśli, zamaćcone, ponure. Otrząsał się, odganiał komiczną zморę profesora Borowiczenki i dręczącą zagadkę Eddy'ego Wychgrama, wypierał się najszczerzej, by zapadła mu w duszę bodaj jedna jedyna myśl z ich wariackiej doktryny, przenikał na wskroś jej zawziętą, tępą głupotę. Nic doń nie przylgnęło, mogły go co najwyżej obleźć wszy od obu brudasów, starego i młodego, którzy wyklęli brzytwę, grzebień i burżuazyjne mydło... Patrząc teraz na wieczorną zjawę miasta, powziął podejrzenie, a raczej odgadł, odgrzebał gdzieś w odmętach pamięci, że wspomniały ten obraz i jego przejmujące wrażenie zna od dawna ze snów dziecięcych. Po wielokrotnie od najwcześniejszych lat aż do pierwszych klas licealnych prześladował go ten sen o płonąącym mieście.

Kolosalny pożar ogarnia Nowy Jork, zewsząd płomienie tryskają w niebo i zaścielają je ciemnopurpurową luną. Palą się całe ulice domów wzdłuż i w poprzek niezmierniej przestrzeni, ogień przelewa się, kipi, pryska. Na ten widok mały Rald trzęsie się i truchleje ze strachu. Patrzy na pożogę z jakiejś wyżyny za miastem i widzi wszystko, widzi nawet samego siebie, śpiącego w swoim błękitnym pokoju w matczynym pałacu na dalekiej Czterdziestej Drugiej Ulicy, która na całej swej długości już stoi w ogniu. Jednocześnie śpi i czuwa, sam we własnej osobie jest tu i tam – dlaczego nikt nie obudzi nieszczęsnego dziecka, zagubionego w ogromnym, płonąącym domu? Gdzie matka? Czy się już spaliła żywcem? Chce krzyczeć, nie może wydobyć głosu, męczy się, dręczy się i wreszcie – jak to bywa we śnie – rozplywa się i zanika, odgaduje, że to sen i budzi się. Długo rozmyśla nad widziadłem w strachu i zgrozie, siada na łóżku, przeciera oczy i boi się zasnąć na nowo. Jednak zasypia i natychmiast ściany błękitnego pokoju pękają w pokrętne rysy, podłoga wygina się, z brzękiem trzaskają szyby, stół wraz z krzeselkiem sunie ku niemu, siwy koń na biegunach kołysze się i galopuje zawzięcie. Widzi przez okno, jak walą się domy, wieże kościelne, drapacze nieba – grzmot, pył, ciemność... Inny sen, inne miasto, ale ta sama ich zgroza – to trzęsienie ziemi we Frisco<sup>187</sup>, o którym tyle nasłuchiwał się od dziecka...

Rald popadł w zadumę, usiłował przypomnieć sobie, kiedy to po raz ostatni męczyły go znajome sny – przysięgłby, że było to właśnie dzisiejszej nocy. Oczywiście! I ani razu przedtem – ich powtarzalność,

---

<sup>187</sup> Trzęsienie ziemi w San Francisco w 1906 r. Na skutek trzęsienia i pożarów więcej niż trzy czwarte miasta legło w gruzach, w tym całe centrum.

stara z nimi zażyłość były również sennym przywidzeniem, które z rzeczywistością pomieszały się do nierozpoznania.

Po chwili utracił pewność tego, zamąciło mu się w głowie i znowu nic nie rozumiał – ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, kto wie, czy i teraz nie śpi? Wszystko dokoła stawało się mętne, zatarte w wyobrażeniu – nieprawdopodobne. Co on robi na jakimś pustkowiu? Skąd się tu wziął? Dlaczego lęka się i drży? Spojrzał na prawo, na lewo, obejrzał się – nigdzie żywego ducha, dookoła tajemna, fantastyczna, samotna okropność... Któż go obudzi...

Nareszcie zza rogu portowego hangaru, zapisanego od dołu do góry olbrzymimi literami jakiejś firmy, wysunął się człowiek i od razu pierzchnął i rozwiały się złe myśli, strachy i głupie nastroje. Opodał, pod latarnią stało jeszcze dwóch i naraz puste wybrzeże, parowce, składy portowe, dźwigi, sterczące nad wodą jak czarne szkielety, zatoka, lśniąca od świateł bijących z tamtej strony – wszystko obróciło się w pospolitą zwyczajność. Do dziewiątej miał jeszcze dwie godziny czasu, odpocznie w domu, przeberze się...

I nagle targnęło nim zniecierpliwienie – jakże on wytrzyma i przecierpi całe dwie godziny! Wśród ekstazy uwielbienia i tęsknoty przeszła go rozpacz – Ina znowu wydała mu się zimną, wyrachowaną dręczycielką. Czekał na nią od tyłu dni, nagadał jej w listach tyle głupstw, że dwie ostatnie godziny dzielące go od niej wydały mu się nie do pokonania. I cóż to będzie za spotkanie? W ludzkim tłoku, na oczach wszystkich... Musi się hamować, dręczyć, a ona będzie drwić... Jeszcze raz zerwał się w nim bunt. Szybko, z rutyną nabytą w ostatnich czasach przerobił w myśli zwykłe groźby, szyderstwa, postanowienia, sceny, awantury, po raz dziesiąty nieodwołalnie zerwał z Iną. I już.

Podjechała od tyłu rozklekotana, brzęcząca taksówka i, jakby spełniając jego pragnienie, zwolniła i sunęła na równi z nim.

– Wolny?

Kierowca zatrzymał maszynę, wychylił się, wyciągnął rękę i otworzył drzwiczki.

– Czterdziesta Druga – Bryant Park.

– Słucham.

Zaledwie wetknął głowę pod ciemną budę forda, czyjeś potężne łapy chwyciły go pod ramiona i wciągnęły z niepojętą łatwością i bezopornie, jak gdyby był małym dzieckiem. Posadzony i brutalnie pchnięty od tyłu wnet znalazł się w ciasnocie ciała, rąk, nóg,

związany w czyichś żelaznych objęciach. Łapa w twardej rękawicy zaciskała mu usta.

– Spokojnie, młody panie, tylko spokojnie!... My chcemy być od początku do ostatka grzeczni! Siedź no pan cicho... Nie dalej jak do tygodnia będziesz pan z powrotem u mamy i po krzyku. Pani Rascob to rozumna kobieta.

– Wiadoma rzecz – poręczał drab, zatykający mu usta.

Kłapnęły drzwiczki, motor zawarczał. Rald nie opierał się. Jeszcze nic nie rozumiał, stracił poczucie rzeczywistości, w okropnym uścisku pękały mu żebra, łapa w rękawicy miażdżyła mu twarz, w przebiegłym karku boleśnie załomotała tętnica i szybko nadbiegający skądś szum zapełnił głowę. Taksówka szerokim łukiem zawracała na pustym wybrzeżu. Zanim zdążyła się rozpędzić trzasnęły dwa strzały i znowu trzy – zadźwiękły<sup>188</sup>, posypały się przednie szyby.

Rald z nogami wywieszonymi na zewnątrz gramolił się ciężko, usiłując powstać, przez drzwiczki rozwarte na przestrzał ciągnął zimny powiew. Jeden z drabów podał mu rękę i pomógł.

– No, pańskie szczęście, że im wypadło zawrócić, inaczej byśmy nie nadążyli...

– Winszuję, panie Rascob! – ozwał się drugi.

– Spodziewamy się, że pan nie zapomni przy okazji przemówić za nami dobre słówko do wielce szanownej pani matki... No i co, Willy? Rusza się, nie rusza się?

– Gotów – ozwał się trzeci głos. – Bierzemy nogi za pas!

– Za dużo nabożów marnujesz, Willy. Trzy kule na jednego kapcana<sup>189</sup>?

– Musiałem dla pewności, bo uważasz, tu ciemno.

– To znakomitość naszej firmy, konkursowy strzelec, panie Rascob, zawodowiec. Naprzód nawalił im dwie opony. Ale z szoferem przesolił, za wiele hałasu, Willy.

– Za to już będzie milczał.

– Co wy za jedni?...

– Przyjaciele.

– A tamci?

– Zwiali. A teraz wiem i my. Miejsce jest puste, ale nuż nadejdą ludzie, narobią gwałtu o szofera... A jak licho nadarzy „copsów”?...

---

<sup>188</sup> Zadźwiękły – zadźwięczały.

<sup>189</sup> Kapcan – tu: niedołęga.

Chce się panu figurować we wszystkich gazetach i zeznawać przed sądem?

– Jazda, panie młody! Firmie też niedogodna reklama, u nas się urzęduje raczej po cichu.

– Do wszystkich diabłów!... Co za firma?!

– Niech pan spyta mamusi.

Rald dopiero teraz odgadł, co to wszystko znaczy. Ogarnęła go wściekła pasja, nienawiść do matki.



## Rozdział szósty

### Mądrością i pałką

Kampania wyborcza była w pełnym rozpędzie, na potwornym obszarze między oceanami, jak Stany długie i szerokie, szaleństwo ogarnęło bogatych i nędzarzy, rozumnych i ciemnych, polityków i bierne zazwyczaj masy. Rozbestwiona prasa, radio i tysiące zgromadzeń, tysiące afiszów, napisów świetlnych, ulewa odezw, zrzuconych z aeroplanów... Orgia słów, obietnic, kłamstwa i chamstwa, to samo, co w każdą amerykańską olimpiadę konstytucyjną – co cztery lata – dzieli i rozjusza opinię. Uczni, mężowie stanu, przewodnicy dusz, najwyżsi dygnitarze państwa i koryfeusze, wielcy i niedostępni dla tłumu, w tych dniach święta saturnalii<sup>190</sup> schodzili ze swoich Olimpów i kazali na wszystkich rogach ulic. Wszędobylska bezczelność płatnych agitatorów, którzy nieprzejrzaną chmurą spadli na kraj i grasowali, nie przepuszczając nikomu, rozniosła w zdumiewająco krótkim czasie ostrą zarazę obłędu, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie ani matacze polityczni, ani najbardziej kute i szczone managery – hieny i kanalie wyborcze, ale niesłusznie przypisywali to ożywienie własnej zasłudze oraz wyjątkowym zaletom swoich kandydatów.

W trzecim roku beznadziejnej klęski znękani ludzie nagle na gwałt zapragnęli cudu, mistyka ogarnęła masy. Sto dwadzieścia milionów obywateli zażądało zbawcy, człowieka jedyne go na te straszne czasy, a ponieważ było ich aż dwóch – zawrzała walka. Obustronni gębacze wmawiali w swoich mężów opatrnościowych potężne talenty, cnoty i zamiary przełomowe i niezawodnie skuteczne, a wrogięgo zbawcę obrzucali błotem.

---

<sup>190</sup> Saturnalia – roczne święto ku czci boga rolnictwa Saturna obchodzone w starożytnym Rzymie od 17 do 23 grudnia.



Wyborca domagał się od swego kandydata nadziei, otuchy, a dalej pogody i powrotu do tłustych lat pomyślności i dobrobytu (prosperity), czyli po prostu żądał od niego zwrotu z oprocentowaniem wszystkiego, co był utracił. Obaj kandydaci mężnie stawiali czoło potwornie ciężkim warunkom i uroszczeniom i z dobrotliwym uśmiechem ślubowali solennie ich wypełnienie. Rozwijali olbrzymie plany odbudowy, których jasność i prostota trafiały do każdego umysłu, a choć w zasadzie stali na przeciwnych biegunach, zgadzali się ze sobą we wszystkich punktach, które wysunęła niezłomna wola wyborców. W toku kampanii obaj co najmniej raz na tydzień zmuszeni byli czynić epokowe odkrycia ustrojowe, gospodarcze, finansowe i puszczać w świat rewelacyjne hasła, ani razu nie zabrakło im tematu i tupetu, ścigali się do mety, przesadzając najstraszliwsze przeszkody i przesadzając samych siebie.

Ku powszechnemu zdumieniu wielki Youth odstąpił swojego Hoovera i lojalnie motywował tę zdradę w licznych przemówieniach i artykułach. Pod jego naciskiem i Shurman, republikanin z dziada pradziada, przerzucił swe nadzieje ku nowej wschodzącej gwiazdzie, która rzekomo niosła w sobie ogromne bogactwo potencjonalnej energii twórczej oraz wszelkie znamiona wskrzesiciela i zbawcy.

Profesor van der Zypen lekceważył wybory i nie spodziewał się niczego po żadnym z kandydatów, nie wysuwał również własnego.

– Panie Shurman, dobra odmiana, czyli przewrót gospodarczo-społeczny nie dokona się nigdzie na świecie przez jakiegoś prezydenta, króla czy dyktatora drogą dyscypliny i genialnych dekretów. Manią i zaraźliwą chorobą naszej epoki jest wiara w cudotwórców, wodzów, słowem w zbawców, natchnionych przez demona dziejów. Poszukują ich gorliwie narody świata, gotowe oddać im swoje losy, swoje głowy, swoje wszystkie ludzkie ambicje aż do uczciwości i honoru włącznie. Należy się obawiać, że wskutek nadmiernego nasilenia prądów irracjonalnych, niemal mistycznych, lada chwila objawi się gdzieś tam jakiś kolosalny pajac, który po różnych perypetiach, ogłoszony przez fanatyków za bożyszcze, zdobędzie władzę. Ten wśród wrzawy i zamętu, wśród nieopisanych utopii, głupstw, bezceństw, zbrodni zniszczy swój naród, wtrąci go w niebywałą w dziejach jakąś pokraczną rewolucję, niepotrzebną nikomu i nieprowadzącą do niczego. Ten może wyleczy ludzkość z obłądu tęsknoty do zesłanych przez Boga Mojżeszów, doprowadzając do absurdu pojęcie, a raczej mit o wodzu-zbawcy.

– Tymczasem sam pan jest typowym mitomanem, tylko nieporównanie bardziej zaciekle niż nasz wspólny przyjaciel Youth.

– Za pozwoleniem, panie Shurman – pan nie jest moim mitem! Ja tylko oparłem na panu punkt wyjścia mojego systemu, gdyż właśnie w imieniu pańskim zawiera się kolosalny kompleks obiektywnych, ściśle sprawdzonych przeze mnie warunków.

– Policzył pan moje miliony?

– Pańskie miliardy? Oczywiście, policzyłem je również, ale byłyby one kapitałem martwym, gdyby nie władał nimi człowiek...

– Panie profesorze, doprawdy już raz dajmy temu pokój, proszę wierzyć, że nie działają na mnie komplementy<sup>191</sup>. Jestem tym, kim jestem, ani mniej, ani więcej.

– Nie, pan nie ma żadnego pojęcia o sobie. Może pan wie, kim jest na dzisiaj, ale ja jeden wiem, czym pan może być jutro!

– Niech się pan nie ludzi, będę tym samym co dzisiaj, zresztą jutro nie jest miarą człowieka.

– Owszem, w mojej koncepcji, która cała opiera się właśnie na sprawach jutrzejszych.

Z dnia na dzień wzrastała ich zażyłość. Shurman po pierwszej dłuższej audiencji, którą z pewnym trudem wymógł na nim Youth, usłyszał od profesora tak ciekawe rzeczy, że upoważnił go do następnych odwiedzin. Skrzywił się nieco, gdy van der Zypen zgłosił się już nazajutrz, przyjął go jednak i niepostrzeżenie został wciągnięty w sidła nowych, olbrzymich zainteresowań.

– Więc to tak?... Oto do czego idzie ludzkość, nic nie wiedząc, jak w zamroczeniu lunatycznym...

Wydało mu się, że go ktoś obudził. Otoczyła go nowa, zdumiewająca rzeczywistość. Jacyś inni ludzie roili się bez sensu koło śmiesznych spraw w jakimś przerażającym świecie. Wszystko naraz przybrało wyraz niewiarogodnego absurdu. Była to prawda oczywista, bezlitosna, straszliwie ponura – jak można żyć w podobnym świecie?

Profesor wykladał te potworności spokojnie, rzeczowo, cytował z pamięci kolumny cyfr, mnóstwo dat, faktów, obracał się ze swobodą po wszystkich oceanach i lądach. Był zawczasu przygotowany na każdą wątpliwość, uprzedzał zarzuty, jak gdyby czytał w myślach nieszczęsnego słuchacza. Jego zabójcza, podstępna natarczywość była dyskretną i zniewalającą, a jasno niebieskie, szklane, nieruchome

---

<sup>191</sup> Komplementy – dawn. komplementy.

oczy bez wyrazu, których nie odrywał od twarzy Shurmana, opętywały jak pajęczyną, zasnuwały mózg. Głosem przyciszonym i miękkim z lubością pastwił się nad bezbroną ofiarą. Co pewien czas uśmiechał się łagodnie, jakby mimowiednie, nie w porę i bez celu, był w spokojnym natchnieniu fanatyka, sam opętany tym, co mówił. Co pewien czas podnosił obie dłonie i przez chwilę trzymał je otwarte, jak to czyni ksiądz katolicki, gdy się odwraca od ołtarza ku wiernym na *Pax vobiscum*<sup>192</sup> i *Oremus*<sup>193</sup> – był to jedyny jego gest, którym zdawał się rzucać na Shurmana zły urok, aby go utrzymać pod władzą swojej idei.

Po dwóch godzinach wykładu Shurman był dobity. Wiele z rewelacji, wyroków i z prorocत्व profesora nie mieściło się jeszcze w oszłomionej głowie, ale najgłośniejsze, najstraszliwsze utkwilo w niej jak klin. Od razu wiedział, że na zawsze pozostanie w nim wizja okropnej prawdy – nie pozbędzie się jej nigdy. Jego świat przewrócił się do góry nogami i już się nie podźwignie – oto sedno rzeczy. Pogrzyżył go przekłety maniak, cóż, że go odegna i nie puści więcej na próg swego domu, jeśli nie zdoła odrobić w duszy spustoszenia, jakiego ten dokonał w nim nieodwołalnie, raz na zawsze?

Uwierzył mu. Uczony przybłęda zagnał go w matnię, odrygłował i roztworzył przed nim znienacka potajemne, zaczarowane okno i Shurman wyjrzał. Oglądał na własne oczy oblicze prawdy i momentu tego skreślić ani zapomnieć niepodobna.

Co gorsza odkrył, że sam od wielu lat nosił w sobie mętną, pozaświadomą gotowość do przyjęcia okropnej wieści o gasnącym świecie. Taiła się ona w zarodkach, przeczuciach i nawiedzała go w złych godzinach, posiadał w sobie początki wszystkich wątpliwości, niepowiedziane pytania, z którymi niepodobna było zwrócić się do nikogo na świecie, gdyż, pomijając trudności sformułowania dzikich problemów, były one wstydlive, najgłębiej tajemne, nosiły znamiona szaleństwa... Trzebaż było przekłętego trafu, spotkania z unikatem rodzaju ludzkiego, profesorem ponurej wiedzy o kataklizmie światowym, aby z mgławicy własnych złych myśli wystąpiła teza o nieubłaganym, już wypełniającym się zatraceniu całej cywilizacji,

---

<sup>192</sup> *Pax vobiscum* (łac.) – pokój z wami; w liturgii chrześcijańskiej *Pax* to skrót od łacińskiego pozdrowienia *pax vobis* lub *pax vobiscum*, które są używane w mszy katolickiej i luterańskiej służbie Bożej.

<sup>193</sup> *Oremus* (łac.) – zaproszenie, które kapłan kieruje do wiernych na początku każdej modlitwy.

opartej, jak twierdził, na pomyłonym rachunku, na fałszywej kalkulacji. Żaden profesor van der Zypen nie zdołałby, ani by zdążył w ciągu dwugodzinnej konferencji ograbić go z wiary w jego świat, zrujnować wszystko, czym żył, nie – on tylko znakomicie przyspieszył bankructwo, które wisiało nad nim od dwudziestu lat – od czasu, gdy mu zabrakło umysłu, woli i przewagi ojca.

Przed laty dwudziestu nie było kryzysu, który teraz obnaża wszystkie tajemne choroby pieniądza, bogactwa, kapitalizmu, ale i wówczas Shurman, młody spadkobierca, udręczony ciężarem samodzielności i fortuny, dochodzącej do miliarda dolarów, wyczuwał dokoła siebie jakby tchnienie absurdu.

Zamroczenie spadało nań znieca, nękało przez godzinę, przez pół dnia, w ciągu złej nocy i rozchodziło się bez śladu, a o swoim czasie powracało bez żadnej przyczyny.

Odziedziczone bogactwo i gorączkowa, wyczerpująca praca nad jego przymnożeniem, wspaniały, górny, olbrzymi los, jego powołanie nadczłowieka, bóstwa, Boga na ziemi – miliardera wydawały mu się wówczas jakąś szatańską zagadką, urojeniem, czystym nieprawdopodobieństwem. Nie widział w tym żadnego celu ani racji bytu, razem z całą swoją potęgą był zgoła niepotrzebny na świecie.

Gdy patrzył na ludzi swojej sfery, rojących się wśród płątaniny wielkich interesów, walczących ze sobą wszelkimi środkami o panowanie na rynku, o monopol, miotających się w paroksyzmach spekulacji na giełdzie, zdawało mu się, że widzi gromady szaleńców, opętanych przez diabła. Było to właśnie to samo, co zapadło mu głęboko w głowę i już zostało w wyobraźni, gdy jeszcze dzieckiem słuchał jak perorował i rzucał w twarz bogaczom straszliwe groźby, obelgi i prorocstwa pewien apostoł uliczny z wyżyny skrzyni po mydle, gdy jego córka przygrywała na pozytywce psalmy, a żona zbierała co łaska w powyżerany przez mole mężowski cylinder. Ale ci wielcy businessmani i on sam, górując nad światem potęgą swego złota, wykonywali jednak testament mądrego człowieka, jego wielkiego rodzica, świętej pamięci Toma Shurmana, postępowali więc słusznie, pełnili przyrodzoną im służbę społeczną i nie mogło być inaczej. Więc Shurman syn wstydił się przed duchem ojca i sam przed sobą tajemnych, dręczących momentów, wierzył światu i ludziom, nie wierzył sobie. Teraz uwierzył wędrownemu mędrcomi...

– ...Kapitalizm w swej obecnej postaci przeżył się do ostatnich swoich dni i od trzech lat choruje beznadziejnie – kona w naszych

oczach, biada tym, którzy tego nie chcą widzieć. Jego fundamenty, obliczone na wieczność, wytrzymały tylko sto lat plus wojna światowa, która o lat pięćdziesiąt co najmniej przyśpieszyła ich zużycie. Wspaniały gmach chyli się i już ledwo stoi, cały w rysach i szczelinach, przez które dmie na przestarzały wicher śmierci. Zbudowany na przeciwieństwach, w zawrotnej swojej karierze dziejowej sam rozpętał je do granic absurdu, aż tryumfalny pochód jego utknął... O tej porze tryumfatorzy są w rozsypce, w panice, strach odbiera im – już odebrał – ostatnie źdźbło zdrowego rozsądku... Każdy usiłuje ratować z pożaru co może, miota się bezprzytomnie... Państwa, zwyrodniałe w służbie kapitalizmu, niezdolne są do zasadniczej reformy, najwyższe, na co się jeszcze mogą wysilić – to obłąd dyktatur. Ten wynalazek czysto policyjny wprowadzie zahamuje napór mas, ale na bardzo krótko, za to nasycając psychikę mas nienawiścią i żądzą odwetu, uczyni katastrofę jutra i tak nieuniknioną – jeszcze straszliwszą, według moich obliczeń co najmniej o tysiąc procent.

Mnożą się znamiona obłądki, kraje eksportowe niszczą potworne masy gotowych produktów lub prawodawczo ograniczają produkcję, bariery celne oraz najnowszy idiotyzm, który wchodzi w modę, idea tak zwanej autarkii<sup>194</sup>, zawracają świat ku średniowieczu, o co mniejsza – ale one to uniemożliwiają rozrachunki międzynarodowe, spłatę długów. Nikt nie chce kupować, każdy chce sprzedawać i to za gotówkę, z którą zresztą nie wiedziałby, co teraz robić. Budżety wszystkich państw są księgami handlowymi bankrutów z niezmienną, rujnującą pozycją wydatków na armię – a więc ratujmy się! I patrzmy od roku na kolosalną farsę – międzynarodowa konferencja rozbrojeniowa obraduje w permanencji. Więc Europa oczekuje wojny, która jest arcymożliwa i to w dowolnych kombinacjach. I tak dalej, i tak dalej...

Sprawa bezrobocia jest dla kapitalizmu sama w sobie problemem życia i śmierci. To samo z kwestią złota. Na razie złoto *in effigie*<sup>195</sup> – bo przecież nikt już nikomu nie wierzy – a więc w beczułkach, w skrzyniach odbywa po całym świecie przejażdżki zdrowotne drogą lądową, morską, nawet powietrzną, wraca i ucieka, lata jak kot z pęcherzem... A pieniądź? Mniejsza o funty i franki, o liry, pesety,

---

<sup>194</sup> Autarkia – samowystarczalność gospodarcza państwa lub grupy państw; polityka zmierzająca do osiągnięcia takiej samowystarczalności.

<sup>195</sup> *In effigie* (łac.) – w obrazie; w prawie średniowiecznym: wykonanie kary na wizerunku przestępcy zbiegłego lub zmarłego przed egzekucją.

złote, yeny... Ale nasz święty dolar? Wiara i ucieczka wszystkich ciułaćy świata!... Panie Shurman, co pan mniema o dolarze?

– No, dolar jest w położeniu wyjątkowo zabezpieczonym...

– Toteż ma przed sobą jeszcze parę miesięcy nienadwerężonego żywota.

– Parę miesięcy? Panie van der Zypen, pan nie zna cudownego mechanizmu naszego Federal Reserve...

– Jego mechanizm jest zadziwiający, ale nie obliczano go na zjawiska kataklizmowe, które drwią sobie z takich pięknych pomysłów. Za pół roku, najdalej za pół roku, panie Shurman, wasz Federal Reserve sam zacznie obniżać kurs dolara, po troszeczkku, z dnia na dzień, aż do pięćdziesięciu procent! Federal musi to uczynić, trudno, zabrnęliśmy i my, panie Shurman. USA nie może się przeciwstawić całemu światu, pójdzie za prądem, a raczej prąd i ją niebawem wciągnie, i tak opierała mu się z nadzwyczajnym męstwem, aż przeholowała w bohaterskim uporze, trwa już on za długo, za to trzeba będzie zapłacić osobną, bardzo grubą grzywnę pogwałconemu przeznaczeniu. A jednak słusznie pan zauważył, że dolar jest wyjątkowo zabezpieczony, Ameryka jeszcze teraz posiada co najmniej dwie trzecie światowego zapasu złota. Tym gorzej dla was...

– Paradoks, złoto jest złotem!

– Dziś jest, ale jutro może nim nie być, podstawa złota jest to warunkowa umowa, od trzech lat ileż międzynarodowych kontraktów, konwencji, paktów, zobowiązań zostało złamanych przez napór okoliczności? Teoretycy złota znaleźli się w strasznych tarapatkach, żaden nic nie wie. A praktycy, czyli posiadacze złota? Są to nadludzie, budzący cześć i zawiść, ale ja, człowiek bez majątku, nie chciałbym na te czasy być w ich skórce. W istocie swojej złoto zawsze było tylko kolosalną fikcją, odwiecznym mitem ludzkości, o czym dobrze wiedzą teoretycy, traktują jednak tę swoją wiedzę rzekomo tajemną jako czystą teorię, czyli znowu za fikcję fikcji, ale nadchodzi dzień, gdy złoto może zachorzeć i umrzeć nagle po tysiącach lat wszechwładnego panowania i pojęcie złota zgaśnie, wróci naprawdę do fikcji. Międzynarodowa Delegacja Złota przy Lidze Narodów, obsadzona przez najświetniejsze siły fachowe świata, odbędzie ostatnie posiedzenie likwidacyjne i na pożegnanie sfotografuje się w malowniczej grupie...

– Panie van der Zypen, czy pan jest bolszewikiem?

Shurman rzucił to pytanie niespodzianie dla samego siebie, był rozdrażniony, zjadliwa analiza wszelkich spraw tego świata, fatalne

prorocstwa, a w dużej mierze mechaniczne, martwe, mimowiedne uśmiezki profesora, jego rytualne rozkładanie rąk, słodkawy głosik, świdrujące oczka w połowie drugiej godziny tej konferencji doprowadziły go do wybuchu, na domiar złego wściekły był na siebie za to, że wszystko co gadał siwobrody Buno z Keith Hippodrome trafiało mu do przekonania bez żadnego oporu ani sprzeciwu.

Profesor uśmiechnął się, rozłożył dłonie na *Dominus vobiscum*<sup>196</sup> i zaczął łagodnie, wnikliwie, bez cienia urazy.

– Byłem tam przed półtora rokiem, jechałem bez szczególnej sympatii dla nich, a wróciłem z wyraźną antypatią. Powiem nawet: ze strachem, gdyż ci barbarzyńcy, jak to widziałem na własne oczy, rozpętali tak kolosalny wysiłek dla wypracowania na zadany termin swej sławetnej pierwszej „piatiletki”<sup>197</sup>, że uląłem się, by przypadkiem nie dokonali cudu i wbrew wszelkim moim teoriom nie narzucili znękanemu światu swojej bolszewickiej koncepcji ustroju społecznego. Albowiem stary nasz świat waha się, namyśla i, że tak powiem, wciąż jeszcze stoi w miejscu i drapie się w głowę, gdy tamci z dzikim uporem ludzi pierwotnych brną przez kolosalne, straszliwe przeszkody, przez głód, przez krew, przez potworne zbrodnie, nie cofając się przed niczym, i to jest w nich wielkie, przerażająco groźne dla świata i dla mojego systemu. Jeżeli uda im się eksperyment godny Boga a zarazem szatana, ich zwycięstwo runie na starą Europę. Nawet nie trzeba będzie wojny, sama wieść o tryumfie, potężna legenda podniesie i pouczy zdręzione masy, które wszak i obecnie na całej kuli ziemskiej mają zwrócone oczy i wszystkie tęsknoty duszy ku rosyjskiemu olbrzymowi. Szósta część powierzchni ziemi, wszystkie bogactwa naturalne i sto sześćdziesiąt milionów ludzi kierowanych żelazną wolą... Konający kapitalizm zostanie dobity jednym ciosem bolszewickiej maczugi. Chamstwo zaleje świat, zniszczy naszą cywilizację i kulturę – nie, panie Shurman, ja nie jestem bolszewikiem. Dość powiedzieć, że po powrocie z Rosji włączyłem do mojego programu wojnę świętą przeciw Sowietom, na początek w formie najostrzejszej ofensywy gospodarczej – blokada bezwzględna, osaczenie, bojkot. Trzeba ich zdusić póki czas, bo czyż nie jest to symptomem obłądki i deprawacją moralną konającego ustroju, gdy wszystkie kraje eksportowe

---

<sup>196</sup> *Dominus vobiscum* (łac.) – Pan z wami.

<sup>197</sup> *Piatiletka* (ros.) – Pięciolatka, nazwa pięcioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej ZSRR, zapoczątkowanego w 1928 r.



prowadzą olbrzymi handel z Sowietami? Łakomią się na ich ceny dumpingowe, rujnując wszelką kalkulację wymiany światowej, zabiegają o łaskę obstalunków, przesadzają się w uprzejmościach i dla nędznego zysku, dla podtrzymania bilansu zagranicznego z dnia na dzień wzmagają szanse wroga, którego najwyższym marzeniem jest wytepić burżujów. Uczynią to bronią, którą sami fabrykujemy dla nich na najdogodniejszych warunkach kredytowych. Jedyna droga ratunku to mój system blokady gospodarczej, politycznej i moralnej.

– Ale w imię czego? Jeżeli pan w ryczałt potępia kapitalizm, nie zostawiając na nim suchej nitki? Jeżeli skazuje pan nasz ustrój na śmierć nieodwołalną i w dodatku tak haniebną? Cóż panu pozostaje? Tylko bolszewizm...

– Rozumowanie pańskie jest bardzo rozpowszechnionym błędem, jest to przesąd intelektualny, właściwy naszej epoce, wzburzonej, ale zastraszająco mętnej i płytkiej. Uproszczony schemat, albo – albo... Nie, panie Shurman, możliwe są jeszcze inne drogi i rozmaite wyjścia, proszę mi wierzyć, że przepracowałem je wszystkie i odrzuciłem co do jednej, za to zbudowałem swój własny system, który daje ostateczne rozwiązanie straszliwej zagadki naszego pokolenia. Z tym odkryciem właśnie do pana przychodzę.

Van der Zypen powstał i uczynił się uroczysty, wparł w Shurmana oczy wytrzeszczone i władcze i położył na wargach dwa palce, jakby nakazując milczenie, a gdy jeszcze rozłożył dłonie na *orate fratres*<sup>198</sup>, Shurmana targnęła nagle niepowściągnięta irytacja. Właściwie był ciekaw owego planu, spodziewał się, że będzie to coś arcyzabawnego jako elaborat osobliwego maniactwa, w tej dziedzinie mógł uchodzić za eksperta, gdyż z każdą pocztą otrzymywał memoriały ku zbawieniu świata, a niektóre z nich nawet czytał. Ale oburzał go bezceremonialny zamach na jego osobę, na jego spokój; dziwak miał nań jakieś fantastyczne zamiary. Był zmęczony, alarmy, wróżby i czarne, beznadziejne wywody profesora pograżyły go w ciężkim przygnębieniu, chciał odetchnąć. Za godzinę, był to bowiem czwartek, w białej sali, całkowicie urządzonej do wyświetlań kinowo-dźwiękowych, miało się rozpocząć przedstawienie

---

<sup>198</sup> *Orate, fratres* (łac.) – wezwanie obecne w czasie mszy w rycie rzymskim pomiędzy *lavabo* a modlitwą nad darami albo sekretą, podczas którego celebrans prosi uczestników mszy o modlitwę, pouczając o jej potrzebie i ważności.

dla Sisely, a „Paramount”<sup>199</sup> dobierał zawsze nadzwyczaj ciekawe obrazy życia, rzeczywistość i prawda zebrane z całego świata, mała nie lubiła bowiem kinodramatów i nie uwiodła jej żadna gwiazda. Te wieczory czwartkowe wprawiały ojca i córkę w jednakowe upojenie. Shurman, pracując przez cały dzień, właściwie już od rana wyczekiwał na tę błogą godzinę siódmą – tymczasem zanosi się na jakąś fantastyczną piłę, przewlekłą i na domiar uroczystą...

– Panie Shurman, jest pan pierwszym człowiekiem na kuli ziemskiej, który usłyszy...

– Bardzo to sobie cenię i dziękuję panu za zaufanie, ale doprawdy, nie jestem teoretykiem, a z drugiej strony...

– Nie będę pana nudził żadną teorią. Mój plan jest czysto praktyczny i życiowy, składa się z dwudziestu siedmiu punktów...

– Czyby pan nie pomówił raczej z naszym przyjacielem, Youthem?

Van der Zypen nagle upadł na fotel, jego nikła postać utonęła w głębokim klubie, w twarzy zgasło uroczyste natchnienie. Był zawiedziony boleśnie, przerwano mu brutalnie wzlot ku szczytowi marzeń... Jako człowiek wyrobiony i obyty natychmiast się powściągnął – cóż, trzeba odłożyć wielki moment, ten miliarder nie zdaje sobie sprawy z ogromu idei, którą za chwilę miałby zaszczyt poznać. Gdy zaczął mówić, w jego głosie nie przemknął się nawet cień goryczy lub urazy.

– Nasz przyjaciel, pan Youth, niestety nie nadaje się do wtajemniczenia w mój plan, inaczej od dawna pracowalibyśmy razem, gdyż jest to skądinąd człowiek pod każdym względem najpierwszej klasy.

– To bardzo dziwne, bo jeżeli pan Youth, pański przyjaciel, który tak gorąco polecał mi pana, nie jest godzien...

– Tego nie powiedziałem! Youth godzien jest najwyższego zaufania, tylko typ jego umysłowości nie odpowiada wymogom, jakie stawia moja idea. Poza tym jest to człowiek zwichnięty przez wielką karierę, zbyt dyplomatyczny i, że tak powiem, urzędowy. Ten jeszcze wierzy w Ligę Narodów, w jej pompatyczne i puste posiedzenia, w komisje i podkomisje oraz w międzynarodowe konferencje, które w naszych okropnych czasach stają się już czystym błazeństwem. Wasze gazety nazywają go wielkim ekspertem, nawet arbitrem Europy – a ja zapytam, jak można być „ekspertem” w zawiłaniach wręcz nowych, nadspodziewanych, nieposiadających żadnych

---

<sup>199</sup> Paramount Pictures Corporation – amerykańska wytwórnia filmowa założona w 1912 r. przez Adolpha Zukora zajmująca się produkcją i dystrybucją filmów.

precedensów ani nawet analogii w całej przeszłości świata? Toteż wielkie komisje największych rzeczoznawców od spraw nieznanych dały nam tylko zwały protokołów, wydawanych luksusowo przez Ligę, a tych już poza mną nieszczęsnym nikt nigdy nie czyta. Youth podjął się misji wręcz niemożliwej do spełnienia, gdyż była ona uświęcona powagą wysokiego zgromadzenia Ligi, a jeżeli to mu wystarcza... Chcę powiedzieć, że jest wyjątkowo niezdolny do zrozumienia koncepcji rewolucyjnej, a cóż dopiero do powzięcia przełomowej decyzji; gdybym chciał mówić po prostu, nazwałbym go tchórzem, naturalnie w pewnym czysto specyficznym znaczeniu tego niemilego słowa...

– To doskonałe, któż pana zapewnił, że ja się nadaję do pańskiej rewolucji?

– Odpowiem tak: Youth, ekspert finansowy, ministrant Ligi Narodów, a do niedawna agent prezydenta Hoovera, może się nadawać lub nie nadawać do mojej koncepcji, może mieć w tej sprawie takie lub inne przekonania, ale Shurman musi się nadawać, Shurmanowi nie wolno się cofnąć ani się nawet zawahać, ten nie ma wyboru!

– Jak to, ja nie mam wyboru?!

– Tak jest. Pozostaje panu jedynie przyjąć moją koncepcję urzędzenia świata, jeżeli...

– Jeżeli co?

Przez długie pół minuty obaj patrzyli na siebie w milczeniu, Shurman z oburzenia zaniemówił, ale profesor patrzył nań wyzywająco. – Oczywiście, wariat – pomyślał Shurman. – Mam go! – tryumfował van der Zypen. Odezwał się ostrożnie, niemal szeptem z pewną jak gdyby czułością w głosie.

– Pana dziwią moje śmiałe słowa?

Shurman roześmiał się szeroko, tubalnie, po amerykańsku, jak śmiał się jego świętej pamięci ojciec, jak się śmieją w Stanach dżentelmeni od dwudziestu tysięcy rocznego dochodu wżwyż, ale Shurman zazwyczaj nigdy nie śmiał się głośno, teraz jedynie napadło go coś... Jakże inaczej odpowiedzieć na zuchwalstwo tego nudziarza, opętańca, takiej pokraki ludzkiej, takiego Bunona z Keith Hippodrome<sup>200</sup>?

Ten zaś wytrzymał wybuch szyderczego śmiechu w najwyższym stopniu obraźliwego i zapuścił się w rozważania dookólne, pełne erudycji, o psychice mas w nowoczesnych, wielkich ruchach

---

<sup>200</sup> Zob. przypis 45.

rewolucyjnych, na podłożu przewrotów gospodarczych. Mówił o niedalekiej, dalszej i coraz dalszej przyszłości z pewnością siebie, jak gdyby odsłonię mu były wszystkie tajemnice jutra. W istocie chciał przeczekać w swoim miliarderze moment buntu, aby jeszcze na dzisiejszym posiedzeniu ponowić atak wręcz. Przyglądał mu się bystro – Shurman sapał, gwałtownie dymił cygarem i zapamiętane bębnił palcami po stole. Może jednak odłożyć główną rzecz do sposobniejszej pory? Dać mu czas opamiętać się i wniknąć w sedno wielkiego problemu być albo nie być? Trzeba, żeby uwierzył, zostawić go w spokoju... Jest zły, przerwać natychmiast, odejść, już, już. Zaraz pójdzie, ale na pożegnanie trzeba go czymś rozruszać, dla zatarcia niemiłego wrażenia opowie mu parę najnowszych anegdot genewskich – krótko, w paru słowach, niech się ubawi, roześmieje...

Opowie, jak przewodniczący podkomisji sporów mniejszościowych, Boliwijczyk, były minister Las Penas<sup>201</sup>, powierzył zatarg w Cylicji<sup>202</sup>, pozostającej pod mandatem brytyjskim (Azja Mniejsza), ekspertowi od spraw polsko-ukraińskich Galicji Wschodniej (Polska), a ten, oszczędzając drażliwość szefa, przekazał ją samowolnie właściwemu ekspertowi od stosunków katalońskich – prowincja Galicja<sup>203</sup>... Nie, lepiej o kiju z międzynarodowej konferencji rozbrojeniowej – delegat Urugwaju, generał Calaphonia, obstawał przy tym, że kij długości do dwóch metrów nie jest bronią ofensywną, gdy pułkownik grecki Fugadralas dopuszczał kij defensywny tylko do metra dwudziestu pięciu centymetrów. Kontradmirał Moo, ekspert chiński, zgłosił wniosek kompromisowy – problemat kija bez względu na jego wymiary daje rozstrzygnięcie obustronne, o ile kij ma tylko dwa końce, a te są zakończone absolutnie identycznie.

Ale nie zdążył zacząć żadnej z repertuaru swoich genewskich anegdot, nagle drgnął od stóp do głów, zaskoczony przez niepojęte zjawisko. Tuż przed nim rozwarła się ściana, obita ciemnowiśniową

---

<sup>201</sup> La Penas – prawdop. San Pedro de las Peñas, miasto w Boliwii.

<sup>202</sup> Cylicja – kraina historyczna na pograniczu Azji Mniejszej i Syropalestyny, obecnie w całości leży na terytorium Turcji (prowincje: Mersin, Adana, Osmaniye).

<sup>203</sup> Galicja – wspólnota autonomiczna Hiszpanii, region geograficzny i kraina historyczna na Półwyspie Iberyjskim z centrum w Santiago de Compostela, graniczy z Asturią oraz Kastylią i Leonem od wschodu, z Portugalią od południa i z Oceanem Atlantyckim od północy i zachodu.

skórą, wytłaczaną w złocone wzory, i ukazała się, objawiła się jak w bajce cudna królewna – był olśniony.

– Ojczy! Ojczaszku! Już przyszli... Przepraszam pana, nic nie wiedziałam... Słuchałam pod drzwiami – było tak cichutko... Dobry wieczór panu! Ale pan nie wie, że dzisiaj właśnie jest nasz czwartek kinowy, ojcu koniecznie należy się jakaś rozrywka. Nie wiem, może mam sobie pójść? I cóż będzie?...

Przytuliła się do ojca, głaskała go po głowie i dość pochmurnie patrzyła na gościa. Po chwili uśmiechnęła się, jej promienne oczęta mówiły najwyraźniej:

– Z pewnością jesteś dobrym staruszkim i zresztą rozumiem, że interesy... Ale dziś zwolnij mi tego biednego ojca, zabieraj się i idź sobie, przyjdiesz jutro, dobrze? Podobasz mi się, jesteś śmieszny, ktoś teraz nosi taką brodę? Mogłabym cię nawet polubić, tylko, tylko wynoś mi się czym prędzej...

Człowiek automat, zagrzebany w cyfrach i w światowych problematach gospodarczych, obcy wszelkim wzruszeniom serca, zarówno w stosunkach osobistych, jak w swoich teoretycznych decyzjach o życiu i śmierci klas społecznych, narodów i przyjsć mających pokoleń, zapamiętał się w oczarowaniu. Z oczu cztertnastoletniej Sisely uderzył weń urok innego świata, objawiło mu się nadspodziewanie odkrycie, że prawda życia i istota ludzkich przeznaczeń nie mieszczą się w olbrzymich ruchach społecznych, w zatargach, wojnach i przewrotach, że żadne uczone traktaty ani cyfry nie ogarną piękna, czaru i potęgi, które biją od tego dziecka... Że matactwa wielkiej polityki, brutalna walka o byt, cyniczna gra interesów, opętańczy sabat miliardów, wojny, rewolucje są szaleństwem, absurdem i zbrodnią, jeżeli się zapomina o najgłębszej wartości życia, o jego jedynej treści i jedynym celu... Gdy z rachunku odrzuca się wzruszenia bijących serc, ich rozkosz i ból, pojęcia dobra, ideę piękną, wcielone w jednostkę, w żywą, czującą istotę ludzką... Albowiem miarą wszystkiego jest człowiek.

Skąd te myśli? Nadleciały same na tę chwilę z dobrych, prostych lat, z rojeń dalekiej młodości, dźwignęła się stara pierś, aby szeroko, głęboko nabrać oddechu, ale wnet się zapadła w głuchym westchnieniu. Zagasła irracjonalna, pomyłona wizja profesora van der Zypena.

Ale Shurman uchwycił błysk uniesienia i zachwytu, który odbił się w jego wyschłym, mumiatowym obliczu i od razu darował mu wszystko.

- Widzisz, mała, znowu wpadłaś niewołana, nieproszona, co sobie pomyśli pan profesor? Że taka duża panna...

- Profesor nie pomyśli nic złego - bardzo, bardzo dla mnie szczęśliwie, że miss zajrzała do nas... Bo mam przyjemność ją poznać...

- I mnie jest bardzo przyjemnie. Pan jest profesorem? A czego pan uczy?

- O, Sisely, to są mądre rzeczy, a teraz pan profesor dawał lekcję twemu ojcu.

- To nieprawda, ty, ojciec, już wszystko umiesz.

- Nie, tego właśnie jeszcze nie umiałem.

- Niech i tak będzie - ale lekcja już skończona, prawda, panie profesorze?

- Tak jest - uśmiechnął się van der Zypen - ale tym razem to ja uczyłem się od pani ojca.

- Tak też myślałam - odrzekła Sisely z całą powagą.

Widząc odmłodniałą, wypięknioną twarz Shurmana, zapatrzonego w córkę rozkochanymi oczami, van der Zypen zawsze czujny, opętany jedyną ideą, zdążył pomyśleć, że w tej małej czarodziejce mógłby pozyskać nie lada sojuszniczkę, skuteczniejszą niż wysokie protekcje ze świata polityki i finansów. Trzeba ją czymś ująć, warto by było zaprzyjaźnić się z małą, gdyż po pierwsze przez nią wejdzie w poufniejszy stosunek z domem, a gdy ona go polubi, to - po drugie - Shurman da mu się łatwiej poprowadzić. Albowiem do wielkiego celu idzie się, zważając na wszystko po drodze.

Przeciągając chwilę pożegnania, zagadał do małej, chwalać nowe nadprogramy Paramountu i przyznał się, że nie znosi dramatów kinowych, głupich, fałszywych i szablonowych. Z niepokojem oczekiwał, czy Shurman zaprosi go jeszcze, czy też wymilczy się, odprawi go raz na zawsze.

- I pan nie znosi tych obrzydliwych przebojów i gwiazd? Doskonale - to tak samo, jak ja!

- Bardzo mnie to cieszy, bo, proszę pani, wielka, epokowa sztuka kinowa została wykoszlawiona przez przedsiębiorców, bezczelnych łapigroszów, obniżających wartość obrazów do poziomu najniższego motłochu. Wszak to wielkie odkrycie przeznaczone jest do rzucania na ekran żywej rzeczywistości, do chwytania zdarzeń i osobliwości z całej kuli ziemskiej, aby każdy mógł poznać dalekie kraje, wszelkie postaci pracy ludzkiej, wspaniałe bogactwa natury...

– A dziś właśnie ujrzymy, jak puszczają lody na Yukonie, potem połów wielorybów, ekspedycję Byrda<sup>204</sup>, pierwsze wejście na szczyt Loganu<sup>205</sup> w północnej Kanadzie.

– Mnie zdarzyło się widzieć w Londynie na prywatnym przedstawieniu w Królewskim Towarzystwie Geograficznym<sup>206</sup> ekspedycję w góry Manya Konka<sup>207</sup> w centralnych Chinach, w kraju absolutnie nieznanym cywilizowanemu światu; było to wspaniałe. Ale żaden teatr świetlny nie pokaże tych cudów, gdyż gruboskóry, ciemny plebs wielkomięjski mógłby się znudzić, za to inaczej będzie w przyszłej, prawdziwej kulturze, do której wciąż dążymy, ale jeszcze jakos nie bardzo zmierzamy. Pani tych czasów doczeka z całą pewnością...

Sisely była zachwycona, że mówią z nią jak z dorosłą, śmieszny brodac z podobał jej się coraz bardziej.

– A co pan jeszcze widział ciekawego? Co się panu najbardziej podobało?

– Widziałem dużo rzeczy, połów pereł w atolach melanezyjskich i tajemnice dna morskiego, życie i obyczaje ślimaków, również i aligatorów w jednym z dopływów Amazonki, sezonowe wędrówki łososi... A dalej wielkie zamierzenia i prace ludzkie, budowę kolo-salnej tamy na Dnieprze, osuszenie odwiecznych bagien pontyjskich, były to obrazy niemal równie ciekawe jak prace termitów i pewnych gatunków czerwonych mrówek. I jeszcze zdjęcia spod mikroskopu... A proces tworzenia się i narastania kryształów? Czy-sta magia, wywołana przez wiedzę z najgłębszych tajników przyrody – cóż znaczą wobec tych cudów wszystkie filmy miłosne – ach, ci wylizani amanci filmowi – detektywne, bandyckie...

– Przyznam się panu, że wyjątkowo co do bandyckich, to bardzo je lubiłam kiedyś, ale płakałam, jak ich w końcu łapali, bo mimo woli zawsze trzymam z nimi przeciwko policji, a to jest przecież

---

<sup>204</sup> Richard Evelyn Byrd Jr. (1888–1957) – amerykański lotnik, pionier wypraw polarnych. Chodzi prawdop. o ekspedycję z 1928 r. nad Antarktydą, w której brały udział dwa statki i trzy samoloty.

<sup>205</sup> Logan – masyw górski w Ameryce Północnej, najwyższa góra w Kanadzie i drugi szczyt pod względem wysokości w Ameryce Północnej.

<sup>206</sup> Królewskie Towarzystwo Geograficzne – Royal Geographical Society, towa-rzystwo naukowe utworzone w 1830 r. w Londynie, w celu propagowania i roz-woju geografii, obecnie zajmuje się wspieraniem badań naukowych, ekspedycji naukowo-badawczych i edukacji geograficznej.

<sup>207</sup> Góra Manya Konka – właśc. Minya Konka, najwyższy szczyt w paśmie Daxue Shan o wysokości 7556 m n.p.m. w południowo-zachodnich Chinach, w prowincji Syczuan.



niemoralne, więc ojciec zabronił u nas w domu takich obrazów. Uwielbiałam Bancroffta<sup>208</sup> ...

– Tak, ten w rolach bandyckich jest niebezpiecznie sympatyczny.

– Kochany człowiek!

Już po pożegnaniu – Shurman jednak nie napomknął o następnej wizycie – Sisely, jak gdyby była w spisku z gościem, wyrwała się z niespodziewaną, samowolną inicjatywą.

– A może by pan został u nas na przedstawieniu? Pan profesor ma czas?

Van der Zypen uśmiechnął się w zakłopotaniu, pomimo najwyższej pokusy wypadało się wymówić.

– I ja bardzo proszę. Jeżeli pan rozporządza wolną godzinką...

W trzecim tygodniu strajku górników w Saltplacid<sup>209</sup> (Kentucky) koło intelektualistów-społeczników, grupujących się w Nowym Jorku wokół znakomitego pisarza Abła Fanchera, postanowiło udać się gremialnie na miejsce walki, aby naocznie sprawdzić straszne pogłoski, jakie krążyły w sferach socjalistycznych o nędzy strajkujących mas, a zwłaszcza o bezceństwie i zbrodniach, o terrorku i morderstwach, dokonywanych jawnie i bezkarnie przez tak zwaną ochronę kopalń, czyli po prostu oddziały policji prywatnej, zorganizowanej po wojskowemu i uzbrojonej. Szeroka opinia nie wiedziała o niczym, jak gdyby wypadki te miały miejsce na księżycu, gdyż cała prasa w solidarnej zмовie nie przepuszczała najlżejszej wzmianki o wydarzeniach, a pisma socjalistyczne i organy związków zawodowych rozchodziły się wyłącznie w organizacjach robotniczych, przetrzebionych, bezsilnych, zgnębionych przez trzy lata kryzysu, dziesiątkowanych przez bezrobocie. Najwybitniejsi obywatele, którym opowiadano, co się dzieje w Saltplacid, uchylali się od jakichkolwiek kroków, zmierzających do powściągnięcia rzekomego bestialstwa właścicieli kopalń i karygodnej bezczynności ze strony władz stanowych i lokalnych, twierdząc, że objawy podobne w demokratycznej republice są wręcz niemożliwe. A że tam poturbują trochę komunistów...

---

<sup>208</sup> George Bancroft (1882–1956) – amerykański aktor filmowy, którego kariera trwała ponad trzydzieści lat, od 1925 do 1956 r. Został obsadzony w wielu znaczących filmach u boku ówczesnych gwiazd filmowych.

<sup>209</sup> Saltplacid (Kentucky) – miejscowość nieistniejąca; być może chodzi o Lake Placid – wieś w stanie Nowy Jork, w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, gdzie w 1932 r. odbyły się zimowe igrzyska olimpijskie.

Youth, do którego udał się z interwencją znakomity pisarz Abel Fancher, na jego wyraźne pytanie, czy w USA zostało zawieszono prawo koalicji robotników przemysłowych, odpowiedział również wyraźnie.

– Prawo koalicji robotników jest zastrzeżone w konstytucji, ale przedsiębiorca ma również święte prawo doboru sobie personelu wedle swego upodobania, więc w danym razie może zwolnić robotników należących do związku, a przyjąć innych, niezorganizowanych. Nasz wielki Ford nie ścierpi w swoich zakładach żadnego związkowca i mimo to osiemdziesiąt tysięcy jego pracowników ma pięciodniowy tydzień pracy, najwyższe stawki płac i ubóstwa swego szefa.

– Ta złota era przeminęła już nawet w Detroit, odkąd Ford ze swej armii uszczęśliwionych zdemobilizował i puścił na bruk za jednym zamachem sześćdziesiąt tysięcy, czyli trzy czwarte.

– Nie on temu winien, wiemy to obaj.

– Jego robotnicy też nie są winni, czy pan się ze mną zgadza? Inaczej sędzi pański znakomity kolega pan Babson w ostatnim numerze „The Nation”<sup>210</sup>... Ale odchodzimy od sprawy. Zatem, wedle pana, skoalizowane kopalnie i huty w Saltplacid są w swoim słusznym prawie, obalając ustawę o wolności związków, gwarantowaną przez konstytucję? Pomijam terror policyjny, gwałty i morderstwa, idzie mi o zasadę.

– Przedsiębiorcy w Saltplacid nie gwałcą żadnej ustawy, bronią jedynie swobody w doborze swoich pracowników, sądzę, że pan nie zechce ich pozbawić tego prawa? Co by pan powiedział, gdyby ktoś zechciał narzucić panu kucharkę, która by panu nie odpowiadała?

– O, panie Youth, dajmy spokój mojej kucharce, czy pan zaprzeczy, że pańskie postawienie sprawy czyni z wolności zrzeszeń i związków czystą fikcję?

– Nie. Przecież robotnicy związkowcy zawsze mają prawo szukać pracy gdzie indziej...

– Zechce im pan łaskawie wskazać, gdzie mają się udać te trzydzieści tysięcy wolnych obywateli z Saltplacid dla otrzymania pracy. Są w położeniu przymusowym, przedsiębiorcy popełniają grubą szantaż. Wszędzie w Europie rząd przez swoje powołane organy

---

<sup>210</sup> „The Nation” – najstarszy tygodnik w Stanach Zjednoczonych, założony w 1865 r.

pośpieszyłyby wkroczyć i pośredniczyć w polubownym załatwieniu zatargu, gdy u nas...

– U nas stosunki ułożyły się odmiennie, szanujemy wolną grę interesów, na tej odwiecznej zasadzie jak na fundamencie zbudowana jest potęga gospodarcza Stanów i nie chciałbym dożyć jej nadwyrężenia, i dlatego...

– Przecież pański kandydat, ów pan Roosevelt<sup>211</sup>, wyraźnie propaguje zerwanie z tą smutną tradycją?

– Dużo się propaguje, jak to przed wyborami... Upewniam pana, że Roosevelt nie jest socjalistą.

– Ani ja, i nigdy nim nie zostanę!

– Ani ja, dlatego też nie dopuszczam interwencji państwa.

– Nawet gdy...

– Nawet gdy... Szanowny pan opiera się na agitacyjnych alarmach kierowników związków zawodowych, tej biurokracji robotniczej, osobiście zainteresowanej, żeby rozdmuchać pewne zajścia.

– Opieram się na niezbitych faktach, o których milczy pańska zdeprawowana prasa, kupiona przez bandytów węglowych! Pańskie stosunki i wpływy są ogromne, nieograniczone! Gdyby pan był człowiekiem dobrej wiary, zadepeszowałby pan do swojego prezydenta!... Umieściłby pan uczciwą, odważną odezwę w niezależnym piśmie!

Autor głośnej epepei *Bicz ze złotego piasku*, tłumaczonej na wszystkie języki świata, kandydat do Nagrody Nobla zaczął naprawdę wymyślać arbitrowi Europy. Zdręczony bezowocnym kołataniem do różnych wysokich drzwi, do sumienia, do rozsądku opinii, on, zakuty stary liberał, prawowierny mason szkockiego obrządku<sup>212</sup> i fabianista<sup>213</sup>, radykalizował się z godziny na godzinę, a w tym czwartym tygodniu strajku przemawiał, piętnował, szydził, groził i wróżył rzeczy krwawe, a nawet niejako do nich nawoływał – niczym prawdziwy rosyjski bolszewik.

---

<sup>211</sup> Franklin Delano Roosevelt (1882–1945) – amerykański polityk, 32. prezydent Stanów Zjednoczonych, wybierany na ten urząd w latach 1933–1945 czterokrotnie, z ramienia Partii Demokratycznej.

<sup>212</sup> Mason szkockiego obrządku – Ryt Szkocki Dawny i Uznany (RSDU), jeden z dominujących i bardziej rozbudowanych rytów masońskich, przeniknięty tradycją judaizmu. Posiada 33 stopnie wtajemniczenia. Związany jest przede wszystkim z masonerią regularną.

<sup>213</sup> Fabianista – Fabianie lub Towarzystwo Fabiańskie (ang. The Fabian Society), angielskie stowarzyszenie reformistyczne, założone w 1884 r. w Londynie, mające na celu przekształcenie ustroju kapitalistycznego w system socjalistyczny.

Ciskał się, ale pomimo olbrzymiego rozgłosu swego imienia nie obudził opinii, a utwierdził tylko tych, którzy i tak byli przekonani. Poróżnił się z lożą macierzystą, naraził się śmiertelnie swoim anabaptystom, których był wiernym wyznawcą z dziada pradziada, sporniewierał braci po piórze, wyklął amerykańską literaturę i niczego więcej nie osiągnął w tej wojnie, a prasa dobiła go milczeniem.

W końcu postanowił udać się osobiście na teren wypadków w bliżej nieokreślonych celach heroicznych, a grono „Humanitas”<sup>214</sup> oświadczyło, że jedzie gremialnie ze swoim mistrzem.

Wówczas to nieznaną mu miss Ina Barnato zgłosiła się z czcią na dwadzieścia tysięcy i z prośbą, aby pozwolił jej towarzyszyć sobie w charakterze sekretarki. Czek i oferta zostały przyjęte, a młodzieńcy z „Humanitas” natychmiast rozbiegli się po mieście po zakupy dla ulżenia nędzy strajkujących górników. Do tej pracy Ina wciągnęła i Ralda. Ten, nie chcąc być gorszym od Iny, złożył na fundusz pomocy również dwadzieścia tysięcy, były to w jego życiu pierwsze weksle i podpisywał je z niemałą dumą, gdyż był to niejako akt i dokument jego dojrzałości, zarazem dokonał tego z przekorą pełną radości, myśląc o wielkiej awanturze z matką za trzy miesiące. Będzie to dla niej słuszna kara za szpiegostwo i za nieproszoną interwencję w zamachu nowojorskich racketeersów na Greenpoint. Zaciął się, że zjadliwą premedytacją nie wspomniał matce ani jednym słowem o całej awanturze i dręczył ją od tygodnia, a ona, otrzymawszy szczegółowy raport o zajściu, umierała ze wstydu i ze strachu.

Ina nie potrzebowała wielu argumentów, aby rozbudzić w Raldzie nie tyle współczucie dla nieszczęśliwych górników, ile zjadłość względem magnatów węglowych, „wrogów ludu”. Dość jej było opowiedzieć parę epizodów ze swojego dzieciństwa w Saltplacid.

O wielkich strajkach, a raczej bezwładnych buntach, które wybuchaly zda się bez żadnego powodu, rodząc się z potwornego wyzysku, krzywdy i nędzy, które w całym zagłębiu Saltplacid były wieczną regułą i zasadą, gdyż nie robiono sobie żadnych ceremonii ze zbieraniną przybyszów zza oceanu, ciemnych i bezradnych Włochów, Irlandczyków, Rusinów, Polaków, Serbów, Litwinów... Ani razu, jak pamięta, nie zwyciężyli górnicy, a zawsze ulegali pod pałkami

---

<sup>214</sup> *Humanitas* – dawna niemiecka loża wolnomularska, skupiająca członków wyznania mojżeszowego, której siedziba mieściła się w Gliwicach. Istniała w latach 1886–1924, nazywana była Lożą Pokoju.

i rewolwerami siepaczy z prywatnej policji Pinkertona<sup>215</sup>. Zagłębie Saltplacid było dziką krainą, gdzie człowiek pracy, emigrant-cudzoziemiec, wyjęty był spod prawa. Gdy kopalnia zamordowała jej ojca, matka została z pięciorgiem drobiazgu bez grosza odszkodowania, gdyż nie miała na adwokata ani na prawowanie się z kopalnią, wyrzucono ich z mieszkania i zaczęła się nędza. Ina patrzyła jak cherłało i jedno za drugim umierało rodzeństwo, żebrała na ulicach od siódmego roku i zarabiała na chleb i kartofle dla całego domu, dawali jej, bo była ładna, tańczyła z bębenkiem i umiała śpiewać parę neapolitańskich *canzoni*<sup>216</sup>. Potem nocami przed kawiarniami sprzedawała kwiaty, kradzione w odosobnionych willach bogatej dzielnicy, nauczyła się przełazić przez kolczaste płoty, jednać sobie psy i tylko raz dała się złapać. Wcześniej poznała ulicę, zakamarki nędzy, brud i ohydę, ale dopiero, gdy zmarł z rodzeństwa najstarszy braciszek i trzeba było na trumnę i pogrzeb, a matka już w tym czasie nie wstawiała z barłogu... W strachu, w obrzydzeniu, we łzach i w nienawiści do Boga, do ludzi i do całego świata po raz pierwszy poszła do znanej pani Atherton, która nieraz zaczepiała ją na ulicy, częstowała cukierkami i obiecywała jej łatwe, słodziutkie życie. Skończyła wtedy jedenaście lat.

– A potem?

– Drugi raz już nie poszłam, bo matkę udało się pochować na koszt naszej katolickiej „Jednoty świętego Antoniego za morzem”, a wszyscy moi czterej braciszki już pomarli.

– I co dalej? Z czegoś żyła?

– Różnie bywało.

Rald chłonał w siebie wszystkie krzywdy Iny, a wraz z tym i jej głuchą, zaciekłą nienawiść do świata gnębicieli, który był wszak jego rodzonym, na całe życie przeznaczonym światem. Po brzydkiej i bezskutecznej awanturze, którą wyprawił był pocziwemu panu Milliken, estecie i mecenasowi młodych talentów, właścicielowi młynów i handlarzowi zbożem, prezesowi zarządu klubu „Uistiti” za złamanie kontraktu z Iną, Rald odgrażał się i pomstował

---

<sup>215</sup> Policja Pinkertona – amerykańskie przedsiębiorstwo zajmujące się ochroną mienia i osób oraz wykonujące usługi detektywistyczne, założone w 1850 r. przez Allana Pinkertona.

<sup>216</sup> *Canzone* (wł.) – pieśń; pieśń neapolitańska nawiązuje do muzyki ludowej pochodzącej z okolic Neapolu, komponowana do tekstów w języku neapolitańskim. Do najbardziej znanych utworów tego gatunku należą: *Santa Lucia* (1848), *O sole mio* (1898).

na chamstwo i głupotę bogatych mamutów z zarządu, nie rozumiał jeszcze istoty rzeczy. Reżyser i conférencier, zacny Pete Gino-rio, strapiiony utratą tak wybitnej siły, uznawał jednak, że prezes nie mógł postąpić inaczej, że Ina przez swą demonstrację stała się w „Uistiti” niemożliwa i z pewnością na najbliższym występie wygwizdano by ją haniebnie.

– Taka już jest nasza publiczność.

– A nasz Jesse, specjalista od zohydzenia milionerów? A kawały o milionerach? A Lot Bolter ze swoimi rewolucyjnymi poematami?

– Dajże spokój Rald – to są błazny, bawiące ich z zacięciem pewnej socjalnej pikanterii, aby tym panom było jeszcze śmieszniej, ale Ina w jednym swoim geście odsłoniła się. Zrozumieli, kim ona jest i co o nich myśli. To było zrobione naprawdę, zupełnie na serio, a oni tego nie lubią i trudno im się dziwić, wiesz co im najdotkliwiej dopiekło? Że sobie z nich zadrwiła, sprawiła, że ich własne pieniądze poszły na strajk, wymierzony w ich rodzoną klasę, i to wcale ładne pieniążki, był to wieczór fenomenalnej hojności, niektórzy entuzjaści szarpnęli się grubo – a tu masz wdzięczność. Dalej – po takim rozbestwionym tańcu na cześć złotego cielca – okazuje im swoją własną pogardę dla złota, dla dwudziestu tysięcy dolarów! To jeszcze jedna zbrodnia, będą ją bojkotować, obawiam się, że mimo urody i talentu nie dostanie u nas poważniejszego engagement, a jak się jej uda gdzieś zaczepić, ich gazety ją zaszczują; ja radzę, niech jedzie do Europy, będzie sławna na cały świat. Już ją przezywają agentką bolszewicką, Żydówką, nasłaną z Rosji, aby szerzyła rozpustę, siała trujące doktryny i uwodziła nam młodych milionerów – strzeż się, Rald...

Wyprawa humanitarystów zajechała do Saltplacid z entuzjazmem i najlepszymi chęciami, przywożąc ze sobą sporą kroplę w morzu tutejszej niedoli w postaci dwóch wagonów, wyładowanych mąką, słoniną, konserwami, mlekiem skondensowanym, odzieżą, bielizną, mydłem. Delegacja komitetu strajkowego w składzie czterech górników, z których dwaj mieli obandażowane głowy, a jeden złamaną rękę, powitała ich uroczyście na dworcu, przepraszając, że przewodniczący nie mógł być obecny, gdyż ciężko pobity we wczorajszym starciu z ochroną kopalni i aresztowany za zakłócenie porządku publicznego leżał w szpitalu więziennym.

– Tak, u nas tłuką morowo, niech się i panowie przygotują na pewne nieprzyjemności.

Zaraz na dworcu Abel Fancher udzielił obszernego wywiadu reporterom miejscowych gazet, gorliwie rozpytywano i fotografowano Inę i najuprzejmiej udzielano informacji znakomitemu pisarzowi i jego ekspedycji ratunkowej. – Nie jest tak źle, myśleli przyjezdni humanitaryści. Ale Dom Górników, siedziba związku zawodowego, był zamknięty, a na placu biwakował oddział policji z samochodem pancernym i z karabinami maszynowymi, afisze, oznajmiające o odczycie wielkiego pisarza, nocą zostały zdarte co do jednego.

Mer przyjął go z najwyższym szacunkiem i podziwem, ale radził przekazać dwa wagony ładunku miejscowemu komitetowi strajkowemu, który zajmie się rozdawnictwem, i nie szukać osobistych kontaktów z masą górników... Nie należało wcale przyjeżdżać, a zwłaszcza zbiorowo i tak manifestacyjnie, ale gdy się to już stało, najlepiej będzie odjechać z powrotem i to po cichu, najbliższym pociągiem.

– Trudno, takie są tutejsze stosunki, roznamiętnienie z obu stron. Każdej chwili czekamy masowych rozruchów, dziesięć tysięcy bezrobotnych, sprowadzonych dla uruchomienia kopalń... Właśnie wahają się pod naciskiem, a raczej terrorem strajkujących, a gdy ci przerwą pracę, kopalniom grozi zatopienie... Pan wie, co to znaczy? Katastrofa. Więc jeszcze raz radzę najserdeczniej...

– Dziękuję za serdeczną radę i tak komiczną, przybyłem zbadać położenie i przeprowadzić obszerną ankietę, a zarazem odwołać się do tutejszej niezależnej opinii, spodziewam się wielu przeszkód, ale nie jestem tchórzem ani czternastoletnią panienką, żeby się zrażać byle czym. W każdym razie polecam siebie oraz grono szlachetnej młodzieży, która mi towarzyszy, pańskiej opiece jako gospodarzowi miasta i czynię pana osobiście odpowiedzialnym...

– Szanowny panie Fancher, pan jest poetą... Oświadczam, że nie biorę za nikogo i za nic odpowiedzialności! Na cały czas strajku nie jestem żadnym gospodarzem miasta, wszystkim i mną również rządzi związek kopalń! Co wy sobie wyobrażacie w Nowym Jorku? Widać pan nie ma najsłabszego pojęcia o naszej rzeczywistości... Niechże się pan nie miesza do naszych spraw ciężkich i brutalnych i niech pan wraca pisać swoje piękne powieści.

– Owszem, proszę mi wierzyć, że gdy spełnię mój obywatelski obowiązek, wrócę, aby zacząć pisać wielką powieść o strajku w Saltplacid. Na cały świat rozgłoszę prawdę o tym, co się tu dzieje! O wszystkim i o wszystkich! Cywilizowany świat dowie się



i o pewnym skandalicznym merze, który właśnie tak jak pan pojmuję swoje obowiązki wobec gminy.

Zapowiedziany odczyt nie odbył się, gdyż teatr świetlny „Hiavata” w ostatniej chwili zamknął salę, a górników gromadzących się na ulicy przed teatrem policja rozpedziła patentowaną motorową sikawką. Rald na czele młodych humanitarystów przypuścił szturm do złośliwej maszyny i został zlany do nitki i obalony przez potężny prąd wody. Wobec tego znakomity autor udał się na pobliski plac i wstąpił na cokół pomnika generała Lee<sup>217</sup>. Tłum otoczył go natychmiast. Rozpoczął słowami Cycerona z mowy przeciwko Katylinie: *O urbem venalem...*

– O miasto sprzedajne, zginiesz rychło, gdy tylko znajdzie się kupiec na ciebie<sup>218</sup>... Panie i panowie! Oznajmiam wam, że wasze piękne miasto razem z wami wszystkimi i z waszym honorem już zostało sprzedane! Kupił was hurtem, niczym stado bydła, bezecny trust waszych kopalni, szajka zbójów, których dusze są czarniejsze od węgla. Jak do tego doszło? Jak pozwolił na to nasz rząd, nasz prezydent, stróż konstytucji, oraz obrany przez was mąż zaufania, mer tego miasta? Czyż i oni są kupieni? Panie i panowie, a któż to was sprzedał łotrom, was, wolnych obywateli demokratycznej republiki? Ja wam to powiem, darujcie mi szczerze słowa! Zaprzedały was w haniebne jarzmo wasza własna słabość ducha, wasza uległość złu, wasze nikkczemne tchórzostwo...

W tym miejscu wściekły rzut wody trysnął naprzód w generała Lee, potem w mówcę, który potoczył się ze stopni cokołu, dalej motopompa jeła szaleć w tłumie słuchaczy, którzy we мгnieniu oka rozpierzchli się na wszystkie strony i popędzili suszyć się do domów. Mowa była skończona.

---

<sup>217</sup> Robert Edward Lee (1807–1870) – amerykański wojskowy, pułkownik kawalerii Armii Stanów Zjednoczonych oraz generał Armii Stanów Skonfederowanych w czasie wojny secesyjnej.

<sup>218</sup> Stwierdzenie dotyczące przyszłości Rzymu, wypowiedziane przez Jugurtę (ok. 160–104 p.n.e.), wnuka Masynissy, władcy Numidii, który pod koniec II wojny punickiej przeszedł na stronę Rzymu, walnie przyczyniając się do zwycięstwa Scypiona Afrykańskiego Starszego odniesionego nad Hannibalem w bitwie pod Zamą w 202 r. p.n.e., w uznaniu za to uzyskał koronę Numidii. W mowach Cycerona przeciwko Katylinie brak jest tego cytatu. Zdanie to pojawia się w rozdziale 35 *Wojny z Jugurtą* Salustiusa „Opowiadają, że kilkakrotnie spojrzawszy w milczeniu wstecz w stronę stolicy, wyrzekł w końcu te słowa: „O miasto przekupne i na bliską zgubę przeznaczone, jeżeli tylko znajdzie kupca». Por. Gajus Salustius Crispus, *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przeł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 62.

W żadnym hotelu nie było miejsca dla nowojorskiej ekspedycji, wreszcie przygarnęła ich litościwa jejmość, właścicielka skromnego włoskiego pensjonatu na dalekim przedmieściu, gdzie goście zaczęli suszyć się i przebierać. Ina zajęła się sędziwym pisarzem, którego stan nerwów wymagał troskliwej opieki. Rald z jednym z członków komitetu strajkowego oraz z paru odważniejszymi humanitarystami udali się natychmiast tramwajem na kopalnię, aby osobiście zetknąć się z górnikami w samym terenie.

Wjechali między czerwone mury, między żelazne szkielety wyciągów i otoczył ich ponury, czarny las kominów. Mijali nieskończone szeregi nędznych, odrapanych domów robotniczych, skupiska beznadziejnej, zapuszczonej brzydoty, poniżenie wszelkiego pojęcia o ludzkiej siedzibie, tu i owdzie sklepy, sklepiki, restauracje, teatrzyki kinowe, budy, oblepione krzyczącymi afiszami. Wciąż przecinali tory kolejowe, poprzepłatane w gęstą sieć, wysoko w powietrzu na krzyżujących się w nieprzerwanych korowodach stalowych linach w powolnym, niestrudzonym ruchu, wiecznym dniem i nocą, sunęły wagonetki z węglem, ze szlaką, z piaskiem. Długie, nieskończone pociągi przewlekały swoje skręty między czerwonymi budowlami, wynurzały się niespodzianie spoza kolosalnych hałd, usypanych w ciągu pokoleń. Na przejazdach, na przystankach tramwajowych posterunki policji, a przed główną bramą każdej kopalni biwakował cały oddział z ręcznymi karabinami maszynowymi.

Rald rozglądał się ciekawie, po raz pierwszy w życiu znalazł się w zagłębiu węglowym, wszystko tu było potwornie ciężkie, tytaniczne, odpychające, ponure, czarne i złe, przede wszystkim złe – nieludzkie, bezlitośne. Mury, kominy, kable powietrzne, tory kolejowe, nasypy, wiadukty, wykopy, wyniosłe pasma nagich, czarnych hałd, których bezpłodnego zbocza nie czepi się źdźbło trawy – to było oblicze ziemi, gdzie rodziły się, pracowały i marły setki, krocie tysięcy ludzi, z których olbrzymia większość nie wyjrzy nigdy w szerszy świat. Zatracona czarna kraina, ziejąca dymem i czadem, przysnuta pyłem węglowym... żelazne rusztowania wyciągów o zakłóconej konstrukcji, strzelające w niebo na każdym kroku, a na ich szczytach koła z nawiniętymi linami, obracające się gorączkowo, śpiesznie lub leniwie w tę lub w drugą stronę, znamionowały, że sprawa najgłówniejsza, najgorsza, prawdziwa istota rzeczy odprawia się w bezdennych podziemiach, w ciasnych powikłanych kretowiskach, gdzie zalega niezmierne na miliony lat bogactwo. Tam spędzają trzecią część swojego życia, tam dręczą się owe tajemnicze,

niepojęte masy proletariatu, którym na pomoc przybywa Rald z ekspedycją humanitarystów...

Górnik z obwiązaną głową, człowiek o nieprawdopodobnym nazwisku – na biletach jego, które jeszcze na dworcu rozdał wszystkim dla ułatwienia stosunków, stało: Joseph Shtchaebraesheeneatz – monter, socjalista członek centralnego komitetu strajkowego, wiódł ich na poufne zebranie informacyjne, gdzie spotkają najbardziej uświadomionych towarzyszy.

– Już niedaleko, zobaczcie, panowie, ludzi na wybór, pierwsza klasa, będzie ich trzydziestu paru, a tylko jeden nie jest jeszcze socjalistą, tak samo jak wy, panowie z Nowego Jorku... Ale nasi was przekonają, a prócz tego zobaczcie zapewne po raz pierwszy w życiu – co, albo nie? – prawdziwych bojowych ludzi z proletariatu, a to już samo, myślę, niejednego z was przyciągnie. Bo na te proletariackie rzeczy nie dość ruszać jednym mózgiem, jak to jest u was, inteligentów, tu trza i serce roztworzyć, tak jak my tutejsi traktujemy socjalizm, nie wedle uczoności, a po ludzku, jako proste robociarze. Popatrzcie na nas, posłuchajcie, a dostąpicie prawdy, bo ludzie jesteście wykształceni i znać, że porządni. Zaraz będziemy na miejscu.

Jednak nie dojechali, tramwaj utknął w gęstym tłumie, dzwonił, przepychał się, wreszcie stanął na dobre opodal rozwartej na oścież żelaznej bramy, przez którą wylewał się zbity potok ludzki, górnicy usmoleni prosto z pracy gadali w podnieceniu i krzyczeli wszyscy na raz, w setkach czarnych twarzy łyskały zęby i białka oczu. Stało się coś i chyba nic złego, gęby górnikom się śmiały od ucha do ucha, wrzask w ciżbie był radosny.

– No, panowie, wytrzeszczajcie oczy i patrzcie dobrze! Trafiliście na wielki moment dziejowy! Łamistrajki rzucili pracę! A wiecie wy, co to jest? Bezrobotni górnicy z Pensylwanii, wygłodzeni, wycieńczeni nędzarze, sprowadzeni z ogromnym kosztem, bo to najbogatsza kopalnia w naszym okręgu, ale dla ludzi chyba najgorsza na świecie... Czepili się roboty, ani z nimi było gadać, my ich biedę rozumiemy, ale i nasz strajk święta rzecz! Kopalnia poszła w ruch obstawiona policją, szpiczlami... Aż tu masz! Ozwało się w nich proletariackie sumienie, a w nim jest i mądrość prawdziwa, bo dziś tobie, jutro mnie... Przez ten kryzys okrutnie wzmogło się uświadomienie w ciemnym masowym człowieku, uważajcie... Uważajcie i uczcie się, panowie z Nowego Jorku. Ten czarny, co będzie przemawiać, to Buller, maszynista, nasz człowiek, z partii...

Na ciężarówkę, która ugrzęzła w tłumie, wlaź młody człowiek w kaszkiecie i w granatowym roboczym overallu<sup>219</sup>, zaplamionym smarami, górnicy skupili się, ścisnęli się koło wozu, ucichali. Ale zaledwie podniósł ramiona, jak gdyby witając braci w nawróconych odstępcach, gdy nagle ryknęła ogłuszająco syrena głównej kotłowni, położonej tuż za bramą. Jej potężne chrapliwe wycie rozdzierało uszy, drgało w każdym fibrze ciała, mąciło w mózgu, w tramwaju zadzwoniły szyby. Członek komitetu złapał się za swoją potłuczoną, obandażowaną głowę.

Tłum podniósł wrzask oburzenia, znać to było po otwartych gębach i zaczerwieniłych z wysiłku twarzach, ale nieprzerwany, potężny i jakby wciąż wzmagający się jeszcze w natężeniu ryk syreny krył to wszystko. I jakby na jej zew, na sygnał w bramie ukazał się uformowany we czwórki dziwny zastęp panów w kociołkach i w cywilnych paltotach, wszyscy niemal o głowę przerastali tłum, rozrośnięci w barach, z ponurą zawziętością w pyskach. Naparli, werżnęli się w ciżbę, otaczającą ciężarówkę, łysnęły białe pałki gumowe i jęły prac na wszystkie strony. Zaczęło się.

Rald osłupiał, nigdy nie widział czegoś podobnego. W napastników padały skądś kamienie, kawałki węgla, kawałki cegły, ale ci, którzy byli najbliżej, waleni pięściami, kastetami i pałkami, kopani w brzuch, po krótkiej chwili wahania i jak gdyby próby oporu zaczęli umykać, dokoła samochodu uczynił się luz, syrena ryczała wciąż, a na platformie ciężarówki wyrósł potężny drab w kociołku i jak na pomoście „ringu” zaczęła się walka. Niedoszły mówca, maszynista Buller, bronił się przez parę sekund, aż przyparty do skraju platformy zwalony został jednym fachowym ciosem pięści w szczękę, przechylił się przez deski poręczy, przeważył się i runął z wyżyny, tam zajęli się nim inni, w kilku naraz zaczęli go kopać i tarzać w błocie. Na to wypadła skądś stara kobiecina i próbowała odciągnąć siepaczy, szarpiąc ich za poły, po chwili już leżała na ziemi, dwóch młodych ludzi wyskoczyło spod ciężarówki, padli na ziemię i osłonili sobą nieszczęśliwą ofiarę, zamigotały nad nimi białe pałki.

Rald nie mógł na to patrzeć. Z trudem, w zapamiętaniu przepychał się przez zbitą ciasnotę we wnętrzu tramwaju, wreszcie wydostał się i w dwóch krokach dopadł siepaczy.

Nie wiedział, co pocnie, przecież ich wszystkich nie przepędzi, nie da rady nawet jednemu, ale poprzez grozę i wściekłość

---

<sup>219</sup> Overall (ang.) – kombinezon roboczy.

czuł w sobie niezłomną pewność, że samym zjawieniem się swoim powstrzyma straszną masakrę. Niech go te draby zobaczą.... Niech powie kim jest – Gerald Rascob, za nim wszak stoją matczyne dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów – do trzystu, jak wyliczał na ostatnim wykładzie generalny sekretarz pan Nickok... Nikt go nie śmie tknąć, we mgnieniu oka rozstąpią się przed nim najemne draby.

I kto wie, co by się jeszcze stało, gdyby nie głużący wszystko ryk syreny – wielkie trzystumilionowe nazwisko to zakłęcie, które na całym Bożym świecie mocne jest sprawić cud. Postać Ralda, jego pewność siebie oraz wspaniałe lisy zastanowiły na parę sekund jednego z drabów, skrzywił się, nadstawił ucho, żeby dosłyszeć, co mówi młody dżentelmen, dziwnym trafem zamieszany w ten tumult. Na tę chwilę sponiewierany mówca ocknął się i dźwignął z błota głowę. Ujrawszy jego twarz zmasakrowaną, zalaną krwią, Rald rzucił się ku niemu na pomoc, gdy właśnie spory kawał węgla ugodził w ramię jednego z siepaczy, wymachującego pałką nad pobitym mówcą, pałka wypadła mu z ręki. Rald poczuł tępy wstrząs w tyle głowy, zaszumiało mu w uszach, trysnęły iskry i zgasły i wszystko pogrążyło się w mroku, a w głębi ciemności zarysował się napis z paru olbrzymich liter, zniknął i ukazywał się znowu, dziwne słowo było mu do głębi znajome, ale nie rozumiał jego znaczenia, wreszcie słowo znikło, a z nim cały świat.

Znakomity autor zapadł na rozstrój nerwowy, grupa jego uczniów błąkała się po mieście bezradna, nie mieli tu nic więcej do roboty, gdyż rozdawnictwem pieniędzy oraz darów zajął się komitet strajkowy. Mówili – wszystko już wiemy, po co tu dłużej siedzieć? Główna nasza akcja i tak toczy się w Nowym Jorku. Ale Abel Fancher, który też sądził, że najrozsądniej byłoby wyjechać jeszcze tego wieczora, energicznie stłumił małoduszność i kazał czekać rozkazów. Spodziewał się, że do jutra zdoła powziąć jakąś decyzję, niezwłoczne opuszczenie miasta okryłoby śmiesznością jego i całą akcję stowarzyszenia „Humanitas”. Dyktował Inie ostrą depezę do prezydenta, do kongresu, do ministra spraw wewnętrznych, zaskarżając mera miasta i gubernatora stanu Kentucky. W istocie w głębi ducha już planował nową powieść na tle wielkiego strajku górników i właśnie szukał do niej tytułu, z czym zawsze mu szło najtrudniej, a bez idealnego tytułu, w którym wyrażałaby się naczelna myśl zamierzonego utworu, nie mógł zacząć pisać. Ina wrywała się do Ralda, który po opatrunku leżał i gorączkował w miejscowej lecznicy chirurgicznej,

ale szef nie puszczał jej, była mu potrzebna, zamierzał trzymać ją przy maszynie bodaj przez całą noc, nawalał myśli i materiału do nowej powieści musiała być bodaj dorywczo zanotowaną.

Nareszcie jeden z humanitarystów przyniósł wieczorne gazety, był jak oszalały, miotał się, wytrząsał płachtami papieru, gadał bez sensu. Ugrzecznieni reporterzy, którzy dziś na dworcu notowali pilnie każde słowo Fanchera, Iny i każdego po kolei z przybyszów, dali taką próbę stylu, fantastycznego łgarstwa i bezczelności, że wielki autor nie wierzył własnym oczom.

– Głośny oszczerca Ameryki, autor osławionych powieści deł, grubych i tandetnych, kandydat, pozał się Boże, do Nagrody Nobla z ramienia kliki nowojorskiego żydostwa, przypałał się do naszego miasta na czele próżniaczej smarkaterii i zamierza tu grasować, pasożytując na nędzy ludzkiej. Strajkującym górnikom nie potrzeba pana Fanchera, ale oni jemu są niezbędni dla reklamy i podtrzymania opinii opiekuna uciśnionych. Na domiar miał nieszczęśliwy pomysł zabrania ze sobą damy swego serca, niejakej Iny Barnato, publicznej tancerki, zazwyczaj bosonogiej, a na pewnych prywatnych estradach oraz w wiadomych bogatych spelunkach nowojorskich, dokąd nie sięga władza policji – wręcz bezwstydnie nagiej. Toteż nic dziwnego, że ekscentryczna ta para w całym mieście nie mogła znaleźć hotelu, który zgodziłby się umieścić ją na liście gości. Stary mistrz jątrzenia społecznego i kalumnii zamierza wygłosić u nas szereg komunistycznych odczytów, zawsze wierny swym poplecznikom z dalekiej Moskwy i swej umiłowanej kieszeni... Na zagajenie owej konferencji zapewne piękna Ina wykona nago rosyjski taniec rewolucyjny, mając za całe przystrojenie młot i sierp...

Tak pisał miejscowy organ naczelny. Mniej poważne piśmiennictwo popularno-brukowe, wydawane przez miejscową giełdę węglową, podało po prostu tylko kilka wierszy, ale najgrubszym drukiem, który zajął całą pierwszą stronicę:

– Obywatele i obywatelki! Dziś rano przybył z czeredą swoich łobuzów stary cymbał Kain Fancher, aby nam prawić kazania i uczyć nas naszych obowiązków, a przy okazji kłać wszystko, co uważamy za święte. Precz z przybłądą!

Bracia górnicy!

W ciężkich dniach waszego sporu zjawia się ta ciemna figura. Znany wichrzyciel, chciwy na dolary, chce jeszcze raz skorzystać z zamętu, aby się obłowić, i obrał sobie za ofiarę was, choć jesteście w nędzy. Kto nasłał starego zaprzedańca wraz z jego dziesięciu

ulizanymi paniczkami i jedną wyfiokowaną pannicą? Na czyj koszt przyjechała ta banda? Spytajcie ich o to, jeżeli ośmielą się mącić między wami i burzyć jedność robotniczą. My zaś powiadamy wam, że wrogim, ciemnym siłom, bardzo zależy na tym, aby nie dopuścić do słusznej i sprawiedliwej ugody, jaka w tych dniach ma nastąpić na wszystkich kopalniach. Oto gdzie jest prawda! Więc kiedy zaczną się kręcić między wami, a łąć, a bałamucić, a zbierać pieniądze na jakie składki z waszej robotniczej krwawicy, pokażcie im, że jesteście świadomymi robotnikami! Precz z Ablem Fancherem – tym Kainem brata swego!

Do diabła z rozbijaczami! Huzia ich!

Fancher od wielu lat abonował się w biurze wycinków i posiadał wielkie archiwum głosów, dotyczących jego osoby; były tam różne różności, głębokie studia, pienia chwalebne i zjadliwości, i urągania, i plugastwa – ale czegoś podobnego...

Rald miał potłuczoną głowę, nadwreżony nos i cztery zęby wybite. Dolegało mu dotkliwie pod żebrami, w dolnej części brzucha i między łopatkami.

– To od skopania, buty mają ścierwy na specjalny obstalunek, sam widziałem, podeszwy dwa centymetry grubości, a jeszcze jak okute... Do nich idą wyranżerowane boksery a zapaśniki i takiemu dostać się w ręce...

– Co za niesłychana okropność!

– Owszem, okropność jest, ale niesłychana tylko dla panów, od pięćdziesięciu lat działa firma Pinkertona, legalne organizacje żółtych zawodowych łamistrajków, no i pałkarze, oddziały prywatnej policji. Dawniej tylko prali, teraz już i mordują na śmierć, wywożą autami i nikt o nich więcej nie dopyta.

– Potworne...

– Słusznie pan mówisz, potworne, owszem, ale jedna jest tylko przy tej potworności dla nas dobra strona, że tak powiem pomimo woli...

– Dobra strona w masakrowaniu ludzi?!

– Po takim praniu najciemniejszy robociarz, nawet taki zaprzędany niewolnik, przychodzi do pewnego uświadomienia, a i człowiek wykształcony, gdy go spotka coś podobnego, nabiera siłę przekonania.

– Zrobimy z tego kolosalną aferę! Odślonimy przed sądem całą potworność.



- Z naszym tutejszym sądem? Przeciw kopalniom? Niczego pan nie odślonisz, sędziowie będą przekupione jeden w drugiego...

- Przysięgli?!

- Na dwunastu co najmniej ze sześciu będzie się bało i za darmo, ale jak im dadzą po sto dolarów to i ci wezmą, a w drugiej połowie trafi się dwóch prawych, ideowych burżujów, którzy zawsze obronią policję, no a reszta będzie się długo targować, aż wycygną dobrą cenę. I dostaną swoje, żeby głosowanie było jednomyślne, bo dla kopalni tak ładniej...

- Znajdziemy świadków, zresztą i z nas trzech widziało wszystko, no i pan...

- Na razie niepotrzebne świadki, znajdź no pan naprzód tego, który sprął waszego towarzysza, inaczej kogo będziecie oskarżać? Nigdy go nie znajdziecie, a choćby sam Duch Boży zstąpił z nieba i wskazał, i rzekł - widziałem go, ten ci jest, to taki drań zawsze znajdzie sobie murowane alibi.

Rald, oblepiony plastrami na czole, na nosie, stękał i przewracał się po łóżku cały obolały, nie mogąc się ułożyć wygodnie. Dopiero teraz odezwał się po raz pierwszy, od paru godzin zżerała go głucha wściekłość, był w zamęcie nienawiści i chaosu fantastycznych planów zemsty za to, co go spotkało. Zabelkotał spuchniętymi wargami, zaseplenił przez szczyby po wybitych zębach.

- Ja nie będę ciągał po sądach najętych drabów, którzy mnie sprali... Sam wymierzę sobie sprawiedliwość, ale na prawdziwym winowajcy...

- To będzie chyba gubernator stanu albo mer? Bo z urzędu oni są nad policją, ale nie nad prywatną ochroną kopalni.

- Nie! Ja spiorę... Zmasakruję i skopię w taki sam sposób samego właściciela kopalni, której straż napadła na mnie... Zęby mu też wybiję! Niech popamięta, bo to było zrobione przez niego i dla niego! Może taki pan o niczym nie wie, siedzi o tej porze gdzieś daleko w Kalifornii, w Miami, w Paryżu, w Nicei, a jednak w istocie rzeczy on winien. Niech popamięta!

- Racja! To się nazywa utrafić w sedno rzeczy, pan już zaczynasz rozumować, niemal socjalistycznie, ale co pan robi, jeżeli ta „Lucia”...

- Co za Lucia?

- Ta właśnie kopalnia, na której pana tak elegancko urządzili... Jak pan sobie będzie poczynał, jeżeli interes należy do towarzystwa akcyjnego? Kto tu będzie odpowiedzialnym właścicielem? Za dużo zachodu i roboty, jeżeli ich będzie z pięć tysięcy, a dlaczego nie dzie sięć? Zwłaszcza, że ci sami górnicy z „Lucii” też nieraz posiadają po

parę akcji. Obić za karę właściciela dobra to rzecz, ale nie tak prosta, jak się zdaje, kapitalizm jest diabelnie powikłany. Według logiki nie będzie pan chyba wybijał zębów głównemu dyrektorowi towarzystwa akcyjnego albo prezesowi rady nadzorczej, bo byłoby to znowu to samo, co prawować się z wynajętymi hyclami. I co pan zrobisz?

Towarzysz Szczebrzeszyniec, który nie wiedział, kim jest pobity inteligent z Nowego Jorku, pouczał go po swojemu, agitując jak umiał i okólną drogą naprowadzał go na socjalizm, a po trosze drwił sobie, rad, że przykra przygoda spotkała wreszcie bodaj raz nie robociarza, a tak pięknie ubranego panicza.

Rald milczał, męczyła go wzrastająca gorączka, myśl o zemście zżerała go nie tylko w poniżonej duszy, ale jątrzyła w każdym bolącym miejscu ciała, było to uczucie nowe, pełne zapamiętania i dzikości. Ocknął się w nim zwierz niepomny na nic i nierozumujący, wściekły, gotów był spalić tę kopalnię, wysadzić ją dynamitem, zrujnować jej posiadaczy, choćby ich było sto tysięcy... Odszuka starego profesora Borowiczenkę i wraz z Eddym urzędzą wspaniały zamach sabotażowo-anarchistyczny, przez tutejszych górników da się zgromadzić wielkie ilości środków wybuchowych, kapsle, lonty....

– Na pańskie pocieszenie powiem już prawdę, że „Lucia” nie jest towarzystwem akcyjnym, cała ta podła kopalnia jest w jednym ręku jak w garści, ale...

– Kto to taki? Jak tylko przyjdę do siebie i wstawię sobie szczękę...

– Ale tu wychodzi nowa trudność, a nawet cała przeszkoda...

– To nic, niech się tylko dowiem kto...

– Bo to jest kobieta, czyli taka gruba milionerka, wielka dama, jakże ją tak zwyczajnie po zębach? Dżentelmenowi całkiem nie wypada...

– Jakże się nazywa ta wielka dama?

– Firma jest koncernu Slazengera, który sam dawno nie żyje, a w spadku wzięła wszystko córka jedynaczka, to jest pani Rascob z Nowego Jorku. No i co? Widzisz pan, że nic z tego wielkiego prania, chyba byś pan sobie ulżył na jej mężu? Ale ona jest za jednym wariatem, co się przyżeńił do milionów, ale nie dba o bogactwo ani o żonę, tylko wysiaduje całymi latami w lodach z Eskimosami, gdzieś pod samym biegunem. I gdzie go pan będziesz szukać? Trudna sprawa, upiekło się tej damie.

– Już ja dam rady tej pani.



## Rozdział siódmy

### Świat będzie uratowany

W Santos<sup>220</sup> w Brazylii na mocy uchwały Rady Kawowej spalono i zatopiono 8 354 356 worków kawy, ogólnej wagi 417 717 800 kilogramów. W Stambule, w Angorze, Smyrnie, w Trebizondzie<sup>221</sup> i innych większych miastach Turcji z powodu braku zapaści na rynku władze miejskie wprowadziły sprzedaż kawy na kartki.

Gubernator stanu Południowej Karoliny, po uzgodnieniu opinii z izbą handlową w Charlestown<sup>222</sup>, wydał rozporządzenie obowiązujące o zmniejszeniu na rok przysły uprawy bawełny o dwadzieścia procent przestrzeni na wszystkich plantacjach w granicach stanu. Stowarzyszenie dobroczynne „Koszula dla każdego” w Minneapolis wydało wzruszające wezwanie do ofiarności publicznej na rzecz bezrobotnych, którzy już w zupełności obdarli się z bielizny.

Przemysł rybny w dorzeczu Juniata<sup>223</sup> alarmuje z powodu masowego zatrucia i wyniszczenia rybostanu, przyczyna – zmowa farmerów, którzy od tygodnia zlewają nadmiar mleka do wszystkich dopływów rzeki. Znakomity muzyk polski, Paderewski<sup>224</sup>, na prośbę

---

<sup>220</sup> Santos – miasto w południowo-wschodniej Brazylii, w stanie São Paulo, nad Oceanem Atlantyckim.

<sup>221</sup> Sztambuł, Angora, Smyrna, Trebizonda – miasta w Turcji. Angora to dzisiejsza Ankara, miasto w środkowej Turcji, stolica państwa od 1923 r. Trebizond to obecnie Trabzond, miasto w północno-wschodniej Turcji położone nad Morzem Czarnym.

<sup>222</sup> Charlestown – dzielnica Bostonu od 1874 r., wcześniej było to oddzielne miasto założone w 1628 r.

<sup>223</sup> Juniata – rzeka w stanie Pensylwania.

<sup>224</sup> Ignacy Jan Paderewski, herbu Jelita (1860–1941) – polski pianista, kompozytor, działacz niepodległościowy, polityk. Od 1919 r. sprawował funkcje premiera i ministra spraw zagranicznych RP.

komitetu pań w Milwaukee zgodził się dać jeden koncert na rzecz „Fundacji mleka dla najuboższych dzieci” w tym mieście.

Specjalny ruszt, który z wielką korzyścią dla kolei żelaznych zużytkowuje pszenicę, żyto oraz wszelkie zboże w ziarnie do opału lokomotyw, został świeżo wprowadzony na pewnym dystansie linii Canadian-Pacific<sup>225</sup>. W ten sposób udało się szczęśliwie uniknąć marnotrawnego niszczenia nadmiaru zboża na razie w jednej Kanadzie. Czy nasi producenci rolni w Dakota, Ohio oraz koleje przebiegające te rozległe dzielnice nie skłonni są porozumieć się i pójść za przykładem swoich sąsiadów z północy?... I tak dalej... I tak dalej...

W gazetach dzień w dzień pełno bajek, są to sny i zmyślenia rzeczywistości, wypadki, wydarzenia, zjawiska nieprawdopodobne a prawdziwe; kto jest zbyt rozumny, by temu wszystkiemu wierzyć, nieco później lub niebawem sam na sobie i na własnej skórze przekona się, że gazety nie zawsze kłamią. W tych czasach sceptycy, drwiący sobie z dziwołagów rzeczywistości, wymierali szybko i nagminnie, mordował ich niepoznany sprawca – każdy powszedni dzień. Trzymał się jeszcze przy życiu pogodny apostoł dobrobytu i pomyślności, prezydent Hoover, który stawał właśnie do ponownych wyborów, a z nim paru znakomitych mężów wiedzy, jak Irving Fisher, profesor Babson i pomniejsi, którzy w upartym mozole oblewali się potem, a nie dawali się porwać panice, ogarniającej cały świat, wszystkie narody ziemi, a w nich zarówno nieszczęsny plebs, jak i szczęśliwą elitę. Ci żadną miarą nie mogli pogodzić się z wyrokiem, że jakieś parę lat kryzysu władne są nie tylko nadwerżyć, ale wręcz przekreślić odwieczną logikę, naukowe żelazne prawa, ugruntowane teorie, doświadczenia przeszłości, wreszcie prosty zdrowy rozum, bez którego człowiek staje się idiotą, a społeczność zamienia się jak teraz właśnie i dziś – w poczwarny zakład dla obłąkanych, w instytucję na wywrót, gdzie chorym polecono uzdrawiać lekarzy. Ta garść ludzi statku i zdrowego rozumu zgromadziła się dokoła swego prezydenta jak na wzniesieniu zalanym wezbranymi wodami i gdy zwyciężą, Hoover sprawi, że po pewnym czasie opadnie topiel bezrozumu i paniki. A jeżeli ich wyspa zostanie zalana, zanim dojdzie do wyborów?

---

<sup>225</sup> Linie Canadian-Pacific – Kolej Transkanadyjska (również Kanadyjska Kolej Pacyficzna, ang. Canadian Pacific Railway), wybudowana w latach 1875–1885 linia kolejowa łącząca Montreal z Vancouver.

W tym okresie przeklęty czas posuwał się zdumiewająco szybko, jak gdyby zawział się osiągnąć jakiś diabelski rekord... Niósł w sobie co raz, co dzień, co godzina nowe niespodzianki, paradoksy, zagadki, prześcigające wszelką możliwość orientacji, był to pożar, który gaszony w jednym miejscu przerzucał się na inne, wybuchał naraz tu i tam. Czas przeskoczył przez znękanego człowieka i wyprzedzał go, uciekał kędyś. Wszyscy żyli w tragicznym opóźnieniu, fakty rodziły się samowolnie jakby poza wolą i wiedzą odwiecznych regulatorów świadomego życia. Namnożyło się obserwatorów, ludzi bystro patrzących a pustych, ci z bieżącego dnia z rozkoszą wydlubowali rzeczy kłopotliwe, mniej dostrzegalne lub zgoła niewidoczne, kryjące się wstydliwie po kątach, kolekcjonowali nieszczęścia świata, osobliwości, absurdy. Więc gazety odpychają, a zarazem pociągają jak straszna, niesamowita opowieść, są fantastyczne. Mówi się również, że dziennikarze przesadzają, dołgują<sup>226</sup> lub zgoła zmyślają, wiedząc doskonale, że w życiu współczesnym niepodobna odróżnić prawdy od zakłamania, a realnego faktu od niedopuszczalnej, absolutnej niemożliwości. Ale dziennikarze nie wszystko wiedzą, nasz czas jest zbyt bujny i bogaty, aby cały bez reszty mógł się zmieścić w gazecie.

Są fakty obdarzone wyrafinowaną chytrąścią i obłudą, te wodzą za nos opinię z niezawodnym skutkiem, pewne kategorie zjawisk społecznych wymykają się publikacji, gdyż zbyt biją w oczy, aby mogły być dostrzeżone, niektóre wreszcie nakładają maski i w swoim otoczeniu genialnie wyzyskują prawo mimikry, te po prostu nie istnieją. Są jeszcze inne.

Dzieje ludzkości znają wieki, nawet tysiąclecia próżniacze, gdy istniało się bez pracy, ale Jehowa dla przyczyn i celów sobie tylko wiadomych, a dla nas do dziś dnia niepojętych, wygnał człowieka z raju i zaczęła się cywilizacja – w pocie czoła. Przez nowe tysiąclecia los napędzał człeka do roboty głodem, batem, wreszcie wzniosłą ideologią, egzaltacją, religią, niemal poezją pracy, potępiano, piętnowano, zaszczuwano próżniaka przez cały jego nędzny żywot i zapewniano mu piekło po śmierci. Aż odwróciły się czasy – dziś człowiek spragniony pracy jest największym kłopotem i prawdziwym nieszczęściem wszystkich narodów i państw, zagraża

---

<sup>226</sup> Dołgować – tu: rozmazywać, wyolbrzymiać. Por. Jan Jasień o dziennikarstwie sanacyjnym, które, opisując różne afery, „dołguje, rozmazuje, wyolbrzymia”. Tenże, *Gdzie jest poziom*, „Akademik Polski” 1932, nr 10, s. 2.

spokojowi, kulturze, wisi nad światem jak lawina, udręcza nerwy władców życia, przeszkadza im skutecznie myśleć i wyprowadzić ludzkość z chaosu. Liczą ich w USA na dwanaście milionów i jeszcze się mnożą...

Fanatyczne, chorobliwe umiłowanie pracy wśród mas przeszło wszelkie oczekiwania i wzmagало się z każdym dniem, aż zastraszyło mędrców, prawodawców, kaznodziejów i poetów. Stało się karygodnym, więzienia przepelnione są ludźmi, dobijającymi się pracy gwałtem, w olbrzymich, nieraz krwawych zbiegowiskach, tamujących ruch uliczny i normalny bieg spraw państwowych. Szukano pracy zbiorowo, rozgłośnie, a również po cichu, ukradkiem, jak się tylko dało. Na targowiskach, w portach, na rogach ulic ustaliły się nieoficjalne giełdy pracy, gdzie młodzi, silni ludzie obnażali swoje bicepsy, walili się w klatkę piersiową, aż odezwowało się jak z beczki na znak doskonałego zdrowia i stawali do konkursu, licytując się in minus. Tam agenci przedsiębiorców znajdowali wyborowe siły robocze bezpiecznie za samo skromne życie ze wspólnego kotła. Te giełdy trzeba zobaczyć na własne oczy, bo gazety o nich milczą.

Nie piszą o osobliwych więźniach, którzy buntują się, gdy ich wypuszczają w swoim czasie, i nie chcą iść na wolność, ośmielając się stawiać warunki – dajcie nam pracę, inaczej nie pójdziemy! I co z takimi robić? Wyrzucają ich za łeb.

W kronice handlowej, ani w żadnej innej, nie piszą o istotnych przyczynach podniesienia się ceny na pijawki. Zaznaczyło się ono w ostatnich czasach i wzmogło zaniedbaną hodowlę tych niesympatycznych stworzeń, które bardziej są znane z demagogicznego języka propagandy socjalistycznej jako symbol kapitalisty niż w swej realnej istocie i postaci. Popyt na nie wzrastał wraz z bezrobociem, gdyż jednostkom zdrowym, ale bezdomnym i bezradnym pijawka otwierała wstęp do szpitala i to na czas dłuższy, wywołując gwałtowny krwotok i inne objawy ciężkiej niemocy żołądka. Należą ją tylko połknąć.

Ani jedna gazeta nie zamieściła komunikatu o bezdomności, w którym Armia Zbawienia<sup>227</sup> oblicza ogólną ilość jednostek bez

---

<sup>227</sup> Armia Zbawienia – międzynarodowe chrześcijańskie wyznanie protestanckie oraz organizacja dobroczynna założona w 1865 r. w Londynie, zorganizowana w sposób hierarchiczny na podobieństwo organizacji militarynych. Obecnie działa w 128 państwach na świecie.



dachu nad głową w Stanach na milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy, z tego przypada na kobiety dwieście tysięcy, a czterysta tysięcy na dzieci.

Lecz w tych czasach i klasa bogatych, te jakieś sto tysięcy ludzi, ma również swoje nędze, ich niedolą nie zajmują się stowarzyszenia humanitarne, nikt nie prowadzi statystyki ich nieszczęść, żaden z upadłych milionerów nie otrzyma od żadnego szlacheckiego komitetu marnej łyżki zupy filantropijnej... Codzienna kronika dramatów i skandalów nie poda osobliwych kolei rozbitków wielkiej fortuny. Gazety o nich milczą, albowiem nikt się nie wzruszy ich losem, a wywlekanie na jaw smutnych tajemnic bogactwa na szyderstwo rozzuchwalonej gawiedzi byłoby czynem antyspołecznym, gdyż osłabiłoby w masach kult i cześć dla niezniszczalnej potęgi grubego pieniądza, które są wszak podstawą naszej cywilizacji.

Edwin M. Delby, milioner średniej, ale przystojnej miary, zwany w pewnych kołach królem desek, został tknięty paniką dopiero pod koniec roku tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego, wielu innych uległo tej chorobie znacznie wcześniej, zwłaszcza jeżeli oddawali się zbyt gorliwemu czytaniu artykułów, broszur i studiów kryzysologicznych, dla których erą i istnym rogiem obfitości stał się wiekopomny czarny poniedziałek na Wall Street (październik 1929). Edwin M. Delby nie ucierpiał w pierwszym krachu, nie ucierpiał w drugim ani w następnych, był to bowiem człowiek nieco staroświecki, solidny i zawsze ostrożny. W złych latach ograniczył swoje interesy i rozmyślał jeno jak zabezpieczyć zdobyte bogactwo i przekazać je dzieciom, których miał pięcioro. Na każde więc wypadłoby po osiem milionów. Długo myślał. Obserwował wielkie bankructwa istotne i podstępne, szarpaninę i miotanie się innych, samobójstwa, rozpaczliwą, niepoczytalną spekulację, którą niejedni usiłowali się ratować w ostatnich podrygach. Myślał i myślał, aż obmyślił sposób radykalny i heroiczny, aby za cenę ciężkich strat uratować co się da i zabezpieczyć się integralnie, idealnie i generalnie przeciwko wszystkim i wszelkim nawet najbardziej fantastycznym przeciwnościom losu, do rewolucji bolszewickiej włącznie. Stopniowo, bez zbytniego pośpiechu likwidował swoje przedsiębiorstwa, wyprzedawał tereny leśne, tartaki, zakłady chemiczne, wycofywał kapitały, wymawiał kontrakty i ściągał do kupy gotowy pieniądz, nie cofając się przed żadnymi stratami, które na pewnych obiektach dochodziły i do pięćdziesięciu procent. Nawet

pięćdziesięcioprocentowe transakcje podpisywał z zimną krwią, ale w domu, zamknąwszy się w swoim gabinecie – płakał.

Był to wielki dramat jego pracowitego życia. Utracił wiarę w swój świat. Zabrakło mu gruntu pod nogami, powietrza do oddychania, celu, racji bytu, nie stało Boga na ziemi. A bodaj, że i w niebie... Jego okropny zawód sięgał potęgi metafizycznej, jego los godzien był helleskiej tragedii i aby ją napisać trzeba zaprawdę wielkiego ducha, wielkiego pióra. I trzeba stulecia czasu, by wznieść się na wyżyny tematu, ponad zamęt dzisiejszy i wszystkie katastrofy jutra, ponad szyderstwo zawistnego tłumu i jego proletariacką radość z upadku wroga, jednego z wielkich gasnącego świata. Król desek zawczasu składał koronę swego posłannictwa, choć mu jej nikt jeszcze nie zdzierał z głowy. W nieodwołalny koniec kapitalizmu uwierzył raz na zawsze, mocniej niż to mógł uczynić najbardziej fanatyczny doktryner socjalista, a łomot bolszewickiej rewolucji, dobijającej się do bram jego pałacu na Fifth Avenue, słyszał już teraz, o wiele wcześniej niż wszyscy razem wzięci amerykańscy komuniści. Życie jego dobiegało kresu, runął wielki teatr, w którym odgrywał był godnie swą rolę dziejową, pozostało mu tylko bronić marnego ludzkiego istnienia i dbać o los dzieci, zapewnić im byt na przetrwanie, albowiem – kto wie – jego prawnuki mogą doczekać przesilenia się wielkiej katastrofy i powrotu lepszych czasów.

Gromadził złoto, wartość niezniszczalną i wieczną, bez której nie może się obejść zarówno kapitalizm, jak rewolucja socjalna i każdy, jaki tylko wyobrazić sobie można, przyszły ustrój społeczny. Wyprzedawał się z żywego aktywnego bogactwa, pomnażającego się w zyskach z każdym rokiem, z każdym dniem i wszelką sumę dolarów, uzyskaną z likwidacji, niezwłocznie przetapiał w martwe, nierentujące złoto. Byle żyć po ludzku, żyć niegorzej wraz z umiłowaną rodziną podczas burzy dziejowej, prześladowania, rabunku, głodu, nędzy, gdy ci mądrzejsi od niego posiadacze bogactw, którzy teraz właśnie, mówiąc o jego systemie likwidacyjnym, stukają palcem w czoło – będą sprzedawać na ulicach sznurowadła i bolszewickie gazety. Będzie żył ze złota, puszczając je po funcie, po jednej płytce, ostrożnie, ukradkiem przed drakońskim prawem zwycięskiego proletariatu. Zagrzebie się gdzieś w głuszy w pobliżu zakopanych skarbów i cóż mu kto zrobi...

Początkowo zamierzał umieścić cały majątek zagranicą w dolarach po najmocniejszych bankach krajów dających absolutną pewność przeciw rewolucjom, w Danii, w Holandii, w krajach

skandynawskich, przeważnie w Szwajcarii, dokąd przenieśli się na stałe i zajęły się obserwowaniem wydarzeń oraz wychowaniem dzieci. Ale rychło dojrzała w nim koncepcja integralnej rewolucji światowej, która z fatalizmem zjawiska kosmicznego musi przeorać całą kulę ziemską, nie szczędząc nikogo i niczego. Będzie musiał trzymać przy sobie swoje złoto, a raczej złoto będzie więziło jego.

Zaczyna się romantyczna opowieść o cottage'u, o farmie w górach i lasach, o szmaragdowym jeziorze, na którego dno w wiadomym miejscu została spuszczone połowa skarbu, druga – jest zakopana w odległości szesnastu jardów prosto na wschód od pewnego dębu, zaś podręczny zapas, wartości około pół miliona dolarów, spoczywa w ogrodzie w lodowni, zamurowany w trzech skrytkach przy pomocy wiernego murzyna, Sebastiana, zaprzysiężonego i obdarowanego po królewsku. W niesłychanym mozole i wysileniu ostrożności, w tajemnicy przed całym światem, przed żoną i dziećmi.

A teraz wszyscy szatani mogą rozpoczynać swój sabat światowej rewolucji.

Rald spojrział na zegarek chyba po raz dwudziesty. Czeka godzinę i siedemnaście minut – tego jeszcze nie bywało. Z rozpaczą spojrział po pustej sali, w jej ogromie ginęły osoby, rozproszone przy kilkunastu stolikach. Leniwie, opornie, apatycznie nadciągała piąta, ale z jej uderzeniem trojgiem monumentalnych drzwi potokiem zaczęły napływać ludzie, zrobi się pełno, potem ciasno. Już na estradzie murzyni z jazzbandu brzdąkają po strunach, przedmuchiują saksofony. Niebawem ustronne zawczasu obrane miejsce otoczy hałastra ludzka, jazz stłumi słowa, ale będą ich obserwować mężczyźni bezczelnie zapatrzeni w Inę. A może całkiem nie przyjdzie?... Kobiety niemniej bezczelnie będą zerkać ku niemu jak zawsze, a wszyscy razem będą czytać w jego twarzy, szpiegować i wyłapywać chciwie każde jego spojrzenie na Inę, każdy gest – że też nigdy nie może mówić z nią ani na nią patrzeć spokojnie, zaraz wszystko po nim znać... Nie, chyba dzisiaj już nie przyjdzie...

Porywała się w nim wściekłość, znowu poczuł tępy ból w nasadzie nosa, nowa szczęka, nieznośny obcy przedmiot, rozpychała mu usta, dolegała, trzeba jej było nieustannie pilnować jak niesfornego psa, wciąż miała ochotę wyrwać się i wypaść, przemknęła poczwarna matczyna maska, zapomniał się, zacisnął zęby i natychmiast pograżył się w rozpaczy, odczuł nieszczęsną sztuczną szczękę jak ciężkie kalectwo – to już zostanie na całe życie... Matka umknęła. Poczynał

się drażniący przedsmak nienawiści do Iny, była w tym jakby radość, niemal rozkosz. Już on ją powita, niech mu się lepiej dzisiaj nie pokazuje na oczy.

Za dziesięć minut piąta, między stolikami już się snują goście, wybierając sobie miejsca, cały komplet służby zaczerniał u trojga drzwi, dodano światła i olbrzymia sala kawiarni-dancingu hotelu „Drake” jeszcze się rozrosła w blasku, rozbiegła się we wszystkie strony i wzwyż, strop uniósł się, dźwigając w górę kolosalny, migocący kryształami, żyrandol. Wszędzie to samo, rekord obszaru, zbytku, wydziwaczenia w ultra najnowszym, najmodniejszym, połatanym stylu, na każdym kroku niezrozumiałe, niepotrzebne cudactwa, bijące w oczy jaskrawością barw i połamaniem płaszczyczyn, zygzakami linii. Wszędzie ta sama publika, te same szablonowe panie o jednakowej sylwecie, tak samo uczesane, tak samo umalowane, tak samo uśmiechnięte do swoich młodych i starych panów, bezmyślne lalki nakręcone do tanga, do foxtrotta, do rumbi. I żeby pójść na koniec Nowego Jorku, czy to Brooklyn, czy Hoboken, czy Bronx, czy Long Island – wszędzie o tej porze tłok. Gdzież jest u diabła ten kryzys?

Rald po raz pierwszy był w „Drake”, na każde spotkanie z Iną zmieniał miejsce, nie wierzył matce, która przysięgała, klęcząc zapłakana przy jego łóżku, że nigdy już nie pójdzie za nim żaden agent. Chciał przynajmniej utrudnić zadanie wywiadowcom, to była cała jego przyjemność i cała szansa w grze z maniactwem matki. I nagle roześmiał się nieopatrznie, po młodzieńczemu – gruby pan, sadowiący się właśnie obok ze swymi damami, spojrzał nań przenikliwie i przyczepnie, co znowu było śmieszne, ale Rald pohamował się. Jakżeż się nie śmiać, kiedy sama Lucy wygadała się w strapieniu, że trzech niezwykłych siłaczy z „Secret Help”, którzy pojechali za nim do Saltplacid, nie zdołali go uchronić od srogiego prania, gdyż za samą próbę interwencji zostali fatalnie, gorzej niż on, poharatani wszyscy trzej przez drabów z policji prywatnej pod bramą kopalni „Lucia”. Była to dlań jedyna pociecha w niemiłej przygodzie, mniej go wzruszyło, że matka wyłamała się z lokautu i przyjęła warunki swoich robotników.

Po raz dziesiąty zabierał się do swojej gazety, nic nie rozumiejąc z tego, co czytał. Zajączał, zabrzczał, zaskowyczał jazz, zgasł oślepiający blask, a po sekundzie pomroki zapaliły się przy stolikach lampki, przyćmione różnokolorowymi kloszami, z elipsy tanecznej po środku sali spod przezroczywej podłogi trysnęło purpurowe

światło. Jak miło można by pogadać w zacisznym półmroku, znikła ogromna sala, znikli obcy, ale cóż, Ina nie przyjdzie, zresztą nie znajdzie go w tym kolorowym zmierzchu... Trzeba wstać i pilnować u drzwi. Nie ruszy się, ani myśli, ma dosyć czekania, ma dosyć samej Iny.

Dokonało się w nim niesłychane odkrycie – po raz który? O tym nie pamiętał. Przecież cała awantura, uporczywa miłość, uwielbienie, pożądanie są wierutnym fałszem, który sam w siebie wmówił. Dał się opętać, uwikłać jak prawdziwy smarkacz urokiem bezwstydu, albowiem po raz pierwszy w życiu ujrzał obnażoną kobietę, która na dobitek dała mu się objąć w biodrach i całować – co za obrzydliwość... Pozwala się dręczyć, wodzić za nos, poniżać – nareszcie się ocknął. Od dzisiaj... I tak dalej.

Uporczywie patrzył w gazetę, a jego postanowienie było nieodwołalne – tym razem już naprawdę. Nie czuł żalu za tym, co zgłosił i przepadło w nim wraz z Iną, był wyzwolony, szeroki piękny świat znowu roztworzył się przed nim i uśmiechnęło się doń z kuszącym powabem ogromne, nieznane życie, ileż obietnic niosło w sobie... Przeczuwał, niemal wiedział, że czekają go dziwne koleje, doświadczenia, przygody, niechby nawet katastrofy. Nie jest stworzony do banalnego, sztucznego życia w spokoju i bogactwie – sporty, weekendy, campingi, rozrywki w rodzaju tego dancingu, flirty, podróże po wszystkich hotelach i muzeach Europy, a potem jakaś nieunikniona żona, rodzina, nuda i niewola obowiązków towarzyskich, godna reprezentacja swego majątku i wreszcie interesy, interesy, obracanie milionami, wyteżona praca codzienna i aż do końca bez potrzeby, bez celu i bez sensu. Nie wie, co będzie robił, jedno jest pewne, że odrzuci raz na zawsze głupi przymus, złote kajdany bogactwa, jak to uczynił od razu jego ukochany ojciec, najmądrzejszy filozof jakiego zna. Ten nigdy nie dbał, co o nim powie świat, znalazł sobie własny cel i jest szczęśliwy w zadymionej, zimnej norze lodowej ze swoimi cuchnącymi Eskimosami – żaden mąż, żaden ojciec, człowiek doskonale wyzwolony, oddany jednej jedynej idei – imponujące! Ojciec twierdzi, że wielkie miasta, ich kultura tłoku i rechwachu są absurdem, a prawdziwie znośne istnienie zaczyna się dopiero na północy, o tysiące mil od Nowego Jorku. Ten miał odwagę negacji, urządził się po swojemu i plunął na resztę, gdybyż nauczyć się od niego sztuki wolnego życia! Zapewne ojciec przekazał mu we krwi nieco własnych upodobań i skłonności, ale to nie wszystko, samemu trzeba szukać i wybierać. To zrobi się, mam czas.

Jazz przycichł, urwał, salę zalał biały blask, Rald powstał i rozglądał się wokoło bez cienia niepokoju, bez oczekiwania, owszem, raczej niech przyjdzie, im prędzej oznajmi jej swoją wolę, tym lepiej, a nie zapomnieć o listach! Zażąda wydania wszystkich do ostatniego świstka, są poniżające, są głupie do niemożliwości, kto wie zresztą, co ona jeszcze z nimi kiedyś zrobi – są tam uroczyste zobowiązania do małżeństwa, może żądać odszkodowania, może mu wytoczyć proces i cały świat będzie się śmiał z jego listów – z kobietami trzeba być zawsze ostrożnym. Zajadł się na Inę, nie cofał się przed niczym w nienawiści. Brnął aż do absurdu. Ale nigdzie jej nie dostrzegł, sala zapadła w półmrok, orkiestra wywodziła upajająco jakieś przepiękne, beznadziejnie tęskne tango i Ralda zdjął żal, dojmujący do łez, smutek straszego osamotnienia – wszak teraz nie ma już nikogo...

Jęczało, zawodziło tango, jego powikłania, uniesienia, niespodziewane opady były tak subtelne, cudownie muzyczne, że zdawało się nie do wiary, by mogła to grać ta sama orkiestra, kalifornijski jazz, który przed kwadranssem wyczyniał na wszystkich możliwych instrumentach karkołomne, błazeńskie sztuki, dla tej melodii było zniewagą, że w jej rytm tańczy bezduszna, pospolita hałastrą. Rald usiłował zapomnieć, gdzie jest, by upoić się melodią, która dla niego jednego była stworzoną i dla jego tragicznej godziny.

Siedział we wnęce olbrzymiego okna wyłożonej lustrami, wzruszyło go odbicie własnej postaci. Najpierw, w twarzy nie znać było śladu gumowych pałek i obcasów, a o sztucznej szczęce nikt nie wie... Dalej – wyraz jego urody idealnie zespałał się z jego dramatem i z melodią tanga. Gdyby zjawiała się teraz Ina, przetańczyłyby z nią po raz ostatni – byłoby to ich pożegnanie...

W lustrze odbijały się setki kolorowych lampek i tłum, zmieszany w zarysach, pogmatwany w powtórny odbiciu od lustro do lustro, gubił się gdzieś w nieskończoności. Na pierwszym planie był on sam, a tuż za nim przy sąsiednim stoliku... Z lustro wyjrzała ku niemu osobliwa zjawą. Oczy posępne, badawcze, nieprzeniknione, dziwnie znajome, był to piękny starszy już człowiek po pięćdziesiątce, siedzący w towarzystwie młodej pani, wsparł się na rękę uporczywie zapatrzony w lustro, ich oczy związały się ze sobą na długą chwilę. Rald był przekonany, że nieznajomy go obserwuje, choć patrzył mylącym spojrzeniem, jak gdyby nie na niego, a jednak go widział, było to drażniące, zaciekawiało. Skąd on go zna? Nie, nigdy nie spotykał tego pana, a jednak pamięta każdy rys jego



twarzy. Było w nim coś nierzeczywistego jak w postaci przyśnio-nej, której obraz kryje się poza świadomością i na coś czeka, aż nagle odsłania się w wyobraźni i zastanawia, i każe zgadywać, gdy sen od dawien dawna zaginął z pamięci. Nieznajomy już odwrócił oczy, a Rald podpatrywał go i uporczywie dociekał, co zacz jest ta niesamowita figura, czemu czepiła się jego myśli? Ten starszy pan był po prostu fantastyczny... Ale nieznajomy już więcej ani razu nie spojrzął w lustro.

Wreszcie Rald domyślił się wszystkiego i nagła nienawiść do matki poniosła go jak złe natchnienie. Za długo znosił te obrzydliwości... Z Lucy rozprawi się w domu, a z tym dżentelmenem, który widać również czeka na Inę, pogada natychmiast. Wyjaśniła się tajemnica niepokoju, który bił od dziwnej postaci, w końcu nauczył się jakimś psim węchem wyczuwać szpiclów. Ale skądże piękny pan dowiedział się o ich spotkaniu, kiedy nikt na świecie prócz ich dwojga... Czyż nie ma żadnego sposobu na takich zawodców? Ina zwierza się komuś, gada z przyjaciółkami głupio, po babsku, ta fenomenalna, wyjątkowa kobieta jest jak każda inna, jak wszystkie, cóż dziwnego, że któryś pies z obławy, którą matka roztoczyła dokoła niej, wyciągnął umówione spotkanie w „Drake” od jakiejś pannicy z pensjonatu „Alicia”, z którą na pewno flirtuje w wiadomych celach...

Tymczasem, błędząc oczami po gazecie, natrafił na notatkę, odbitą grubym drukiem, przeczytał ją trzy razy, zanim zrozumiał, że nie ma w tym żadnego przywidzenia.

„Dziś w nocy, dzięki zbiegowi szczęśliwych okoliczności, udało się wykryć piekielny spiszek anarchistyczny, wymierzony przeciwko nowojorskiej centrali Morgana na Wall Street. W księgarni międzynarodowej «Universum» aresztowano emigranta rosyjskiego Piotra Borowiczenko, autora zamachu. W mieszkaniu młodzieńca nazwiskiem Charles Ursholl znaleziono sześć funtów ekrazytu pochodzenia kopalnianego, rozkład piwnic banku i listę ścisłej grupy wtajemniczonych, złożonej z ośmiu anarchistów, przeważnie Włochów. Śledztwo w toku, zbrodniarzom grozi dożywotnie ciężkie więzienie”.

Nowina oszołomiła Ralda, ale najbardziej zdumiewające w ponurej niespodziance było odkrycie, że jak gdyby już wiedział o wszystkim, zanim przeczytał notatkę w gazecie? Jak? Skąd? Może mu się wyśniło dzisiejszej nocy? Nie. Dobrze wie, że już wiedział, tylko zapomniał. Jak mógł zapomnieć? Ani stary profesor, ani Ed nie



mówili przy nim nigdy o zamachach dynamitowych, nie widział ich od spotkania we włoskiej tawernie na Greenpoint i nie miał pojęcia, co się z nimi dzieje.

Obok notatki była depecha agencyjna o katastrofie budowlanej w Toronto – i o tym już wiedział... Dalej, w tej samej kolumnie znajdowało się ogłoszenie o wyprzedży świętecznej w „Five and Ten”, rzecz znajoma... Potem idzie karykatura prezydenta i hasło wyborcze republikanów: Hoover jest najlepszym organizatorem! Dlaczego? Bo znakomicie zorganizował nam kryzys. Poniżej drobnym drukiem: – Głosujcie na Roosevelta! Znał i ten dowcip...

Ogarnął go zamęt. Na sali huczała rumba, zbity tłum tańczący roił się w błękitnym zarzewiu, puszczanym spod podłogi, na estradzie kalifornijski dyrygent nadawał takt, zdumiewająco zręcznie żonglując swoim cylindrem, jeden z murzynów, stojąc na drabince, dął w potworny, ogłuszający saksofon długości co najmniej trzech jardów – i nagle – cisza... Murzyni zawyli jeszcze końcowy akord becząco, głupkowato, jak stado baranów, i wszystko stanęło w blasku, sala zadudniła gwarem ludzkim – Rald ujrzał niedaleko od siebie Inę, rozglądającą się dokoła. Jej lekkie skinienie głową, jej uśmiech porwały go i rozrzuciły w pył i w proch czarne myśli, obdarzyła go szczęściem. – Jestem głupi, głupi jak but – przecież ona mnie kocha!

Nie było mowy o spóźnieniu, o udręczeniach, o niezłomnym postanowieniu zerwania, Rald wszystko jej darował, a raczej od pierwszego spojrzenia natychmiast zapomniał o sobie i o całym świecie.

– Nie patrz tak na mnie, pomiarkuj się, ludzie na nas patrzą, wszyscy się z ciebie śmieją...

– Więc dlaczego nigdy nie chcesz spotkać się ze mną bez ludzi, nie puszczasz mnie do siebie na próg...

– Tak lepiej dla nas obojga.

– Słyszałem to już tysiąc razy! Czy tak ma być do końca?

– Do końca? Co za koniec?

– Póki nie nadejdzie dzień, że cię zabiję. A zaraz potem puszcze sobie kulę w łeb. Może być i tak, nie wierzysz? Będziesz miała koniec!

– Słyszałam to już tysiąc razy i jakoś żyję, jesteś śmieszny, głupi dzieciak, zupełnie jeszcze nie umiesz udawać dorosłego. Ale, doprawdy, szkoda czasu gadać o głupstwach. Rald, powiedz mi, czy znasz niejakiego pana Nickoka?

– Jednego znam, co to za Nickok?

– Ten sam, zaufany twojej matki, dzisiaj był u mnie po raz drugi, ale myślę, że już nie przyjdzie więcej...

Rald nasrożył się, między brwiami wyrosła mu pionowa zmarszczka, wargi zaczęły drgać, błysnęły piękne nowe zęby, cudo techniki z głośnej pracowni „Bolton Institute”<sup>228</sup>, oczy zionęły złością.

– Z tym gniewem jesteś jeszcze piękniejszy, ale cóż ty, biedaku, znaczysz przy panu Nickoku? To za wielka figura na twoje srogie miny, nie podołasz...

– Jesteś dziś przyjemna niczym żmija... I cóż dalej? Opowiadaj!

– Za pierwszym razem był zanadto pewny siebie, zaczął ze mną prosto z mostu, niczym ostatni cham, przystąpił do interesu zupełnie jakby przeczytał w ogłoszeniu, że jestem wystawiona na sprzedaż. Po dwóch minutach kazałam mu się wynosić, wstał i posuwał się ku drzwiom, co krok podnosząc cenę, ale doszedł zaledwie do stu tysięcy. Czy twoja mamusia jest taka skąpa?... Na drugiej wizycie po trzech dniach był to już całkiem inny człowiek, wytworny salonowiec, ugrzeczniiony, miły, sadzący komplementami i – co za bezczelność – przyniósł mi wiązanek kwiatów, zielone orchidee. Mówił o zatrwożonym sercu matki, o twojej bezbronnej młodości, przekonywał, usiłował mnie wzruszyć, wreszcie, sam przerażony swoją hojnością, wyjąkał sumę – pół miliona, a gdy to nie sprawiło wrażenia, zaczął grozić. – Pani Rascob to kobieta potężna w naszym kraju... I jeśli nic nie wskóra łagodnością, ma prawo ratować swego jedyne go syna innymi sposobami... Cóż, sama pani będzie winna... Przez swój upór. Pani Rascob daje pani trzy dni do namysłu, po czym pozostawiamy sobie wolną rękę... Doprawdy, żal mi pani... Oto mniej więcej wszystko. Powiedz mi, Raldzie, czy twoja matka zdolna jest do popełnienia podłości albo pospolitej zbrodni?

– Teraz widzę, że w mojej sprawie matka naprawdę zdolna jest do wszystkiego. Po tyłu łzach, przysięgach... W tej kobiecie siedzi nieodgadniony diabeł... Ale nie bój się, nic ci się nie stanie, ja...

– Ty, Raldzie? Cóż ty możesz zrobić, biedaczyno...

– Zobaczysz. Naprzód spiorę Nickoka, oćwiczę mu jego tłusty pysk doskonałym bykowcem, ach, cóż to za łotr...

– Będzie ci jeszcze wdzięczny, bo mama przyłoży mu na każdą pręgę cudowny plaster tysiąc dolarowy.

---

<sup>228</sup> Bolton Institute – dawna nazwa publicznego uniwersytetu w Bolton, założonego w 1824 r.

– Postaram się, żeby ją to kosztowało jak najdrożej, po czym zabieram się do starej...

– Zapomniałam ci powiedzieć, czym Nickok mi zagroził na pożegnanie – jeżeli przed tobą pisnę słowo o jego wizytach, będę niezwłocznie ukarana za nadużycie zaufania, tak się wyraził.

– Kpij sobie z tego! Na czworakach przejdzie cały Broadway, żeby cię przeprosić, będzie przed tobą lizał podłogę, a matka natychmiast wyrzuci go ze służby.

– Dziękuję ci, że tak dbasz o obronę mego honoru, zresztą co nas obchodzi taki sługus? Powiedz lepiej, co zrobisz z matką?

– Z tą opętaną matką mogę zrobić, co tylko zechcę, ale najlepszy sposób na nią... To już zależy od ciebie, Ino. I gdybyś nie była taka uparta, zła, gdybyś miała rozum...

– Przypuśćmy – więc co?

– Więc jeszcze w tym tygodniu bierzemy ślub i składamy matce uroczystą wizytę z prośbą o błogosławieństwo. Niech pęknie, a nic nie poradzi.

– Myślę, że ona naprawdę pęknie, ale przedtem nas wydziedziczy, to dla mnie kiepski interes.

– Ino, błagam cię, bądź poważna, pomyśl rozumnie, bo, na Boga żywego...

– Oh, nie tak uroczyście, nie wzywaj imienia boskiego nadaremno, a przede wszystkim pohamuj się trochę, ludzie patrzą.

– A więc, do starego diabła, jeżeli wolisz, mówię, że czas już skończyć tę naszą awanturę!

– Już kończymy, bo właśnie w tym tygodniu wyjeżdżam do Frisco<sup>229</sup>, podpisałam bardzo korzystną umowę z pewnym filmiarzem na obrazy do poufnych wyświetleń w zamkniętych klubach. Jeżeli zważać na przesady, to kariera typowo haniebna, miss Barnato w scenach mitologiczno-pornograficznych – na psy schodzi twoja Ina – ale płacą wspaniale. W swoim czasie z pewnością mnie ujrzysz na ekranie w jakimś bardzo męskim klubie, jeżeli w ogóle starsi dżentelmeni dopuszczą na to świństwo takiego niewinnego smarkacza.

– Ino – czemuż nie bierzesz lepiej pół miliona od pana Nickoka? Jakaś ty głupia!

---

<sup>229</sup> Frisco – w Stanach Zjednoczonych są dwa miasta o tej nazwie – jedno w stanie Teksas, w hrabstwach Collin i Denton, drugie w stanie Kolorado, w hrabstwie Summit. Z tekstu powieści trudno określić, o które z nich chodziło Strugowi.

– Sam głupi, a chce mnie uczyć! Czyż nie rozumiesz, że tamto pomimo wszystko jest w istocie uczciwym zarobkiem, ani gorszym, ani lepszym jak prostytutka, jak pisanie przeciw przekonaniu w sprzedajnej gazecie albo praca w rzeźni lub czyszczenie kanałów; we wszystkich paskudztwach muszą się unurzać, urobić ręce i dusze proletariackie. Tak jest urządzony świat dla was, bogatych. Ale brać od twojej matki pół miliona odczepnego i za judaszowe pieniądze sprzedać tego, kogo się kocha... To dopiero hańba! Rald! Ostrożnie! Wszyscy na nas patrzą.

Rald spuścił oczy na stół, na rozłożoną gazetę – znowu tragiczny Ed ze swoim obłąkanym profesorem Piotrem Borowiczenko... Na całe życie do Sing Sing... Kiedy on jest i będzie przez długie, długie lata aż do śmierci tak bezgranicznie szczęśliwy... Czy ona we własnej postaci siedzi naprzeciwko niego? Czy naprawdę wyznała, że go kocha? Ina, dręczycielka, jego niedostępne bożyszcze, fantastyczna kobieta, która nienawidzi bogactwa i naprawdę gardzi jego milionami?

– Ino, błagam cię, powtórz mi to słowo, bo nie mogę uwierzyć... Kochasz mnie?

– I cóż, że cię kocham? Nic z tego nie będzie.

– Co to znaczy?

– Przekleństwo ciąży nad naszym losem, na to nie poradzimy ani ty, ani ja, mniejsza o twoją matkę.

– Co za idiotyzm... Przekleństwo?!

– Twoje przeklęte bogactwo! Cóż, kiedy ty jesteś jeszcze małoletni, nie rozumiesz najprostszych rzeczy. Musisz podrosnąć, a kiedy dojrzejesz, będzie za późno, miliony przeżrą cię na wskroś i będziesz taki sam jak wszyscy z twojej sfery, zatracisz serce, duszę i oblicze ludzkie. Za parę lat nie będziesz mnie chciał ani ja ciebie, nie będziesz już moim cudnym, młodzieńczym Raldem, porywczym, zapamiętałym i tak uroczo głupim... Nie nadstawisz ty łba w obronie robotnika pod policyjne pałki przed bramą własnej kopalni i niech no ci kto wspomni za jakie dwa, trzy lata o krzywdach proletariatu...

– To potwarz, wiesz dobrze, że cię kocham na całe życie i mam ugruntowane przekonania, nie ty pierwsza uczyłaś mnie o proletariacie. Ani myślę się zmieniać, bo kpię sobie z matczyńskich milionów i niechbym teraz odziedziczył wszystko, zobaczyłabyś dopiero, co bym zrobił... A jeżeli się boisz, to pobierzmy się zaraz, będziesz mnie pilnować, tyś starsza i mądrzejsza.

– Jesteś naprawdę wzruszający, jakże takiego nie kochać?

Pochyliła się nad stolikiem i wpatrzyła się weń serdecznie swymi dziwnymi oczami, które zda się umiały tylko drwić, a teraz zaszklily się od łez. Rald po raz pierwszy doznał łaski jej kobiecej dobroci, ujrzał niczym niezamąconą, nieosłoniętą prawdę, jak gdyby zajrzał na samo dno jej duszy. Ina, jej obraz i pojęcie przeistoczyły się w jednej sekundzie, znikła złota, gorąca nagość tancerki, wiecznie obecna, nieustannie jątrząca w jego myślach, objawiło się zarazem jak niespodziany dar jej kochające serce, tkliwa, opiekuńcza troska o niego i – o dziwo – uroczę, kobiece, pokorne poddanie się jego woli... Odkrył w niej skarb niewiarogodny. Poczuł w sobie rozkoszny ból szczęścia. Przeszkody? Pogróżki matki? Walka o Inę będzie krótka, najstraszniejsze niebezpieczeństwo było w niej samej, a gdy to zostało przezwyciężone, cóż mu znaczy biedna, wściekła Lucy ze swoimi milionami? Wybuchwały w nim myśli radosne, wydierał się zeń odmęt słów dziękczynnych, szalonych słów mądrych i słów szczęścia bez żadnego sensu, ale trudno było mówić, niepodobna było nawet zacząć. Olbrzymia sala hotelu „Drake” zagrzmiiała potwornymi trąbami, których mosiężne paszcze wyrosły nagle wysoko nad orkiestrą i zionęły na publiczność ogłuszającym i rozdzierającym rykiem, jakby chcąc ostatecznie sterroryzować wszystkich i wygnać ich co do jednego. Był to głośny „Niagara foxtrott” kompozycji szefa jazzu, znakomitego muzyka z Kalifornii; on sam, stojąc na wysokim, wątlwym stoliczku o jednej nodze, dokonywał cudów mistrzostwa – żonglował jednocześnie saksofonem, banjo i klarnetem. Ina zasłoniła sobie uszy.

Nareszcie straszna muzyka urwała jak uciął. Sekunda ciszy uderzyła w uszy szumem i bólem i natychmiast zerwał się grzmot oklasków, wołania, krzyki – bis, bis! Sala była zachwycona – jeszcze jedna nawała kalifornijskiego barbarzyństwa...

Rald milczał, trąby pomieszały mu wszystko w głowie, zdjął go smutek w jakimś złym przeczuciu, uderzyła radość i natychmiast odepchnął ją strach. Drgnął cały pod spojrzeniem Iny, jej skośne oczy obrzuciły go ogniem, rozchylone wargi złączyły się jakby w szybkim, skradzionym pocałunku, natychmiast opanowała się i utkwiała wzrok gdzieś w przestrzeń poza Raldem. W jej twarzy odbiło się zdziwienie i rosło, zapatrzyła się w coś.

– O czym myślisz, Ino?

– Rzecz szczególna... To doprawdy zdumiewające! Co za traf! Wiesz, o czym myślałam? Zgadywałam, co z nami będzie za rok, za dziesięć lat i dalej... Czas, ten czas... Będziemy się starzeć... Jak też

będziemy wyglądać oboje za lat dwadzieścia? I oto natychmiast odpowiedź, bo tuż za tobą przy następnym stoliku siedzi starszy pan tak szalenie podobny do ciebie... Aż się nie wierzy oczom! To jesteś ty za lat trzydzieści albo trochę więcej i wiesz, jesteś jeszcze piękniejszy niż teraz z mądrym, przenikającym spojrzeniem, z tą siwizną na skroniach... Zdumiewające podobieństwo... Obejrzyj się nieznacznie, przeskocz w myśli długie lata, a zobaczysz siebie...

– Widzę go w lustrze, przyglądałem mu się więcej niż przez godzinę, czekając na ciebie, wydał mi się bardzo dziwny, niesamowity, jakby skądś znajomy, podejrzewałem go nawet, ale nie spostrzegłem żadnego podobieństwa, dopiero teraz. Naprawdę... W tym jest coś całkiem dzikiego, to się chyba nigdy nie zdarza...

– Stary Raldzie, pięćdziesięcioletni dżentelmenie, jesteś uroczy... Ale starej Iny nie ma koło ciebie, jak smutno... Widać umrę do tego czasu, bardzo dobrze i tak być musi, bo prędko ginie uroda w kobiecie, a ty wstydziłbyś się mnie, przecież ja jestem od ciebie starsza o całe osiem lat!

– Będę cię ubóstwiał młodą, starą, najstarszą... Choćbyś została kaleką, choćby cię kto oszpecił, bodaj ten twój przekłety japoński nożowiec... Kocham twoją duszę!

Światła przygasły, rojem rozsypały się po sali różnokolorowe lampki, ozwały się ciche, najcichsze, pierwsze tony tamtego, tego samego niewysłowionego tanga. Rald powstał, skłonił się.

– To dla nas, tylko dla nas dwojga, nikogo tu nie ma, jedni my, sami ze sobą, pójdź!

Gdy ją objął ramieniem, gdy już utonęli w tłumie tańczących w pomarańczowym zarzewiu, bijącym spod przezroczystej podłogi, Ina zatrzymała go i powiedziała dobitnie.

– Ale pamiętaj, ani słówkiem nie wspomnisz matce o tym, że wiesz o Nickoku! Jeszcze nie! Mam w tym bardzo poważne przyczyny, możesz popsuć całą sprawę.

– Jak to? Dlaczego? Trzeba natychmiast...

– Nie, sama ci powiem, kiedy będzie można, za parę dni.

– Dobrze, jeżeli wytrzymam. Ale jak ją zobaczę, to chyba nie wytrzymam.

– Musisz! Raldzie, dla naszego szczęścia...

Nastąpiła siódma z kolei konferencja – jak do tego doszło? Shurman sam nie wiedział, został wciągnięty przymocą, opętany. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, czy plan przekonał go swą potęgą, nowością,

rozmachem, matematyczną ścisłością i konstrukcją, opracowaną do najdrobniejszego szczegółu, nieodpartą, logiczną, ślepo logiczną, a zarazem jakby jasnowidzącą... Czy porwał go swoją fantastyczną poezją, której tchnienie i rytm unosiły się nad każdym z dwudziestu siedmiu punktów całkowitego programu i towarzyszyły argumentom, dokumentom, kolumnom cyfr... Cała kalkulacja była wielką natchnioną poezją, kunsztownym, a przejrzystym obliczeniem koniunktury taktycznej i psychicznej epoki, jej objawów gospodarczych, finansowych, politycznych, socjalnych, moralnych... Było to wstrząsające „objawienie” epoki – nowa Apokalipsa.

Shurman zatracił się w kolosalnej koncepcji, był odurzony – nie pojmował, jak czyjś indywidualny intelekt mógł podołać niezmiernemu zadaniu, po raz pierwszy w życiu spotykał człowieka, w którego głowie w dziwnej harmonii współdziałały zimne, przenikliwe obliczenia z rozkiełznaną wyobraźnią. Niepodobna było z nim dyskutować, na każdą wątpliwość miał gotową, wyczerpującą odpowiedź, a przeważnie sam uprzedzał możliwe zarzuty i obalał je, zanim zostały wypowiedziane. Zadanie wtajemniczenia w sprawy niesłychanie zawiąlane ułatwiał jak urodzony pedagog i popularyzator; Shurman chwilami czuł się jak mizerny uczeń w obliczu wszechwiedzącego mistrza, jak dziecko wobec dorosłego – był bezradny i bezbronny. Nowa wiedza, wtłaczana weń z łagodną, a jednak bezwzględną dyscypliną, już zapychała mu głowę. Była w tym przemoc, w duchu buntował się, a jednak godził się na wszystko, jak zastraszony i tym upoważniał profesora do najdalej idących nadziei na jego czynny udział w niesłychanym przedsięwzięciu. Nie zobowiązał się jeszcze do niczego, nie mówiono o tym, van der Zypen nie występował z żadnymi żądaniem, rozmowy ich były czysto teoretyczne, a raczej, co podejrzewał Shurman – profesor jak gdyby mniemał, że już zapadła między nimi jakaś milcząca umowa i udział jego jest zapewniony ponad wszelką wątpliwość.

Nosił w sobie i zawsze miał w pogotowiu swoje categoryczne zastrzeżenia, dochodzące do odmowy wręcz, ale milczał, milczał i profesor. Shurman bał się nawet napomknąć o tej sprawie najważniejszej. Pocieszał się, że zawsze może oznajmić mu, a jeszcze lepiej napisać w krótkich oficjalnych słowach, że „wiadoma sprawa przestała go interesować i dalsze pertraktacje uważa za zbędne i ostatecznie zerwane”. A sekretarz osobisty otrzyma odpowiednie zarządzenie i profesora nie puści się na próg. Wiedział dobrze, że nigdy nie zdołacie się na stanowczość, sam był opętany olbrzymim marzeniem.



Śnać van der Zypen zahaczył w nim o jakąś ukrytą namiętność, rozbudził instynkty, które do końca życia mogły być spoczywać uśpione, czyż tak nie bywa? Nikt nie wiedział, a najmniej chyba ten przybysz zza oceanu, o jego życiu wewnętrznym, a jednak dopiero on natrafił na niemożoną, odwieczną pustkę jego duszy, na żrącą go nudę i sprawił cud – zdołał go zainteresować swoją apokalipsą, a w końcu nawet pochłonąć. Inna rzecz odgrywanie w wielkim, rewolucyjnym misterium czynnej, a nawet przodowniczej roli, jak tego zachciało się natchnionemu przez demona czasu wołaczowi z Nowego Patmos<sup>230</sup>. Nie – do tego nie miał ambicji ani ochoty, ani wreszcie uzdolnienia, wola, geniusz wyczerpały się w jego rodzie na imponujących postaciach ojca i stryja Roberta... Ale co za rozkosz, będąc wtajemniczonym, obserwować z ukrycia samą walkę o wielki plan, być powiernikiem ludzi odważnych, badać ich knowania, intrygi, czyny bohaterskie i wielkie zbrodnie, porażki i zwycięstwa... Za takie widowisko warto zapłacić nie małą cenę, nie pożałowałby miliona, nawet wielu milionów, niech fantastyczny reżyser bierze od niego, ile zechce... Były to porywające marzenia, a Shurman nigdy nie marzył jak poeta i rozumiał tylko zamiary, pociągające kalkulacje. Więc gdyby van der Zypen zażądał na rozpoczęcie planu dużo pieniędzy, nie targowałby się z pewnością.

Jednak mimo całej powściągliwości kusiciela nadchodził moment, gdy trzeba będzie powziąć postanowienie i dać wyraźną odpowiedź. Toteż rozmyślnie przewlekał dyskusję, by opóźnić tę chwilę, wchodził w szczegóły, upierał się, marudził, ale van der Zypen był anielsko, czyli szatańsko, wyrafinowanie cierpliwy. Na tym siódmym posiedzeniu Shurman uwziął się ze strachu i niespodzianie nawrócił jeszcze raz do zagadnień ustrojowych, sprawy już omówionej i uzgodnionej bez dużego zachodu, ściśle wedle przesłanek planu. Okazało się, że mu nie tak łatwo pożegnać się z demokracją... Znaczy to, że albo nie zrozumiał całego planu od początku do końca, co było nieprawdą i niemożliwością, albo szuka pozoru, żeby się ze wszystkiego wycofać. Van der Zypen z łagodnym uśmiechem, z całą ochotą, zżywieniem natychmiast podjął zagadnienie bez cienia zdziwienia ani znudzenia. Niemożony pracownik wielkiej idei, zahartowany na każdą przeciwność

---

<sup>230</sup> Patmos – grecka wyspa na Morzu Egejskim, na którą został prawdopodobnie zesłany św. Jan Ewangelista. Została wspomniana w Apokalipsie św. Jana.

losu, nie cofnął się przed nudą wykładu, który powtarzał już po raz trzeci – zwykła dola w zawodzie proroka i agitatora. A więc...

– Demokracja polityczna, zdobyta w wielu rewolucjach, przez pół stulecia służyła wiernie interesom nowoczesnej klasy posiadającej, usuwając z widowni dziejowej arystokrację, szlachtę oraz wszelki przywilej urodzenia, pod jej osłoną rozwinął się wspaniale kapitalizm, przemysł, handel, finanse, ale nie mogło to trwać bez końca. Niestety, prawa człowieka i obywatela, równość i wolność polityczna rozwinęły zarazem i ruch ludowy, który wybujał wreszcie do aspiracji i uroszczeń socjalnych o tendencjach rewolucyjnych, aż wreszcie po wojnie światowej masy ludowe zażądały w sposób groźny i niedwuznaczny równości materialnej, uspołecznienia produkcji, handlu, finansów i tak dalej, co oczywiście niesło w sobie wyrok śmierci dla kapitalizmu i klas posiadających. Oto logika demokracji w jej pochodzie dziejowym. Nasz świat, nasz ustrój społeczny, nasza cywilizacja i kultura, wreszcie samo nasze ludzkie istnienie zagrożone jest zalewem i zniszczeniem przez ciemne masy, dyszące chciwością i ponurym uczuciem zemsty socjalnej, pełnym zwierzęcego okrucieństwa, nagromadzonego przez setki pokoleń. Trzeba im jak najrychlej odebrać prawo głosowania do parlamentu i sam parlament, inaczej w każdym kapitalistycznym państwie o konstytucji demokratycznej prędzej lub później nadejdzie dzień, kiedy masy legalnie, jawnie, konstytucyjnie przegłosują swoją większość i ogłoszą kapitalizmowi jego akt zejścia – integralnej demokracji stanie się zadość. Kto nie chce do tego dopuścić, żeby go legalnie zarżnięto, musi się bronić zawczasu, toteż niemal wszędzie budzą się potężne tendencje antydemokratyczne, antyparlamentarne, antyliberalne, a tu i ówdzie utwierdzają się i panują już wyraźne dyktatury. Jest to logiczny wyraz naszej walki o byt, najdonioślejszy głos wołający epoki. Wielka światowa wojna socjalna już się toczy przed naszymi oczami i biada tym, którzy jej jeszcze nie widzą. W naszym obozie jest takich mnóstwo, ale na dobro i ku honorowi kapitalizmu trzeba stwierdzić, że on pierwszy wyczuł niebezpieczeństwo i pierwszy uderzył zaczepnie, toteż wszędzie jego ofensywa była zwycięską. Są to jednak zaledwie zwycięstwa wstępne, mało znaczące, nieistotne, pozorne. Nawet Mussolini<sup>231</sup>, pomimo

---

<sup>231</sup> Benito Amilcare Andrea Mussolini (1883–1945) – włoski polityk, założyciel i przywódca ruchu faszystowskiego; premier Włoch w latach 1922–1943, do 1945 r. dyktator Włoskiej Republiki Socjalnej. W 1943 r. odsunięty od władzy,

druzgocącego tryumfu i dziesięciu lat panowania, pomimo, że wytypił u siebie wszelki ślad i cień liberalizmu, socjalizmu, teraz jeszcze boi się swojego szczęśliwego i ujarzmionego ludu i patrzy z trwogą w niepewne jutro. Dlaczego? Bo te dyktatury, quasi-dyktatury, pseudodyktatury i dyktatury *in spe*<sup>232</sup> oparte są na fałszu, na tchórzliwej nieszczerości, na demagogii, osłaniają swoje cele frazesem patriotycznym, obiecują wydziedziczonym raj na ziemi, tępią bez miłosierdzia socjalizm, komunizm, a zapożyczają się u nich, małpują je na każdym kroku, aby oszukać masy, uspić je bodaj na jakiś czas. Dyktatorzy, ich rządy, ich ideologowie, ich poeci, ich kazuści, interpretatorzy nowych ustaw, ich kapłani i policjanci wyprawiają niesłychane błazeństwa, aby omamić opinię ludu, zamącić wszystkie pojęcia i przeszechrować wszelkie wartości, ale jednego nie dokażą – nie zdołają oszukać swego czasu. Ten zaś domaga się jasnej odpowiedzi – tak albo nie, i my ją damy znękanemu światu! Nasza idea zbierze plon po wszystkich złamanym przez czas kierunkach myśli społecznej, albowiem jest ideą jedyną, najwyższą – uniwersalną! Odbierze socjalizmowi i komunizmowi ich podstawowe i słuszne żądania prawa do bytu dla wszystkich, faszystom zaś, neofaszystom, rozmaitym tak zwanym „narodowym socjalizmem” oraz ustrojom „odrodzenia”, „obudzenia narodowego”, „sanacji moralnej” zabierze ich zdobycze pod postacią zachwiania lub zniweczenia idei liberalizmu, parlamentaryzmu, swobód obywatelskich – demokracji. Wyłonimy się z mroków beznadziejnej nocy jak pierwszy brzask wschodu i znękana ludzkość zawoła – słońce! Słońce! Wyrośniemy ze zniszczenia, z zamętu epoki jako płód dojrzwały. Ku nam zwrócą się znękane oczy ludzkości, ku nam wyciągną się wszystkie zdrętwiałe, bezrobotne ramiona! Nasze zwycięstwo jest matematycznie pewne, gdyż będziemy jedyną prawdą świata. Dopiero my, niwecząc ze szczerem demokrację, socjalizm, komunizm, faszyzm, nacjonalizm, przyznamy się otwarcie do naszego celu szczerze i uczciwie. Powiemy: urządzamy świat inaczej, opiekamy go na władzy absolutnej, ale mądrej, nieomyślnej, sprawiedliwej, nasza władza, mocna, a w tym pokoleniu może i bardzo ciężka, ma być rozumem i sumieniem świata. Pozbawienie praw politycznych, karność, posłuch, dyscyplina – ale w pierwszym paragrafie

---

utworzył później satelicki względem Niemiec rząd rezydujący w północnej części kraju. W 1945 r. schwytyany przez antyfaszystowskich partyzantów i rozstrzelany.

<sup>232</sup> *In spe* (łac.) – w przyszłości.

naszej ustawy zasadniczej umieszczamy słowa: – Na każdym obywatelu ciąży obowiązek pracy, każdy ma prawo żądać i otrzymać pracę, godziwą zapłatę, dach nad głową i warunki ludzkiego życia. Słowo „bezrobotny”, „głodny”, „bezdomny” tracą swoje znaczenie, wykreślają się z obiegu, uznają się za niebyłe i żadne, a dopuszczone są tylko w fikcjach i zmyśleniach literatury pięknej lub w studiach nad minioną barbarzyńską epoką oraz w pamiętnikach. Nasz ustrój w zamian za złudy i mamiłła demokracji daje każdemu prawo do życia, a przez to dokonywa kolosalnego przewrotu moralnego. Tego nie było jeszcze na świecie. Prawo do istnienia! Czyż może być potężniejsza idea? Nie zawiera jej religia chrześcijańska ani żadna inna, ani najbardziej liberalna konstytucja i nie daje jej żaden zbawca ojczyzny, rzekomy opiekun ludu, ubóstwiany dyktator, opierający się na policji i na fałszywych obietnicach. W zasadzie propaguje ją socjalizm i odkłada do szczęśliwych, przyjsć mających czasów, na całym świecie jeden jedyny bolszewizm rosyjski dał ją, ale wskutek barbarzyńskiej gospodarki wielka idea jest tam na razie czekiem bez pokrycia, kartką na chleb – bez chleba. My zaczynamy od chleba! I czyż każdy człowiek i masy, czyli miliony, miliony ludzi nie oddadzą nam swoich iluzorycznych, martwych praw politycznych za jedno prawo do istnienia? Czyż nie zniosą z lubością naszego jarzma? Nie poczują go! Czy będą pytać i dociekać, kto im panuje, dlaczego, jak? Po pierwszych latach nieuniknionych nieporozumień, starć, represji, towarzyszących każdemu przewrotowi, wszyscy przejdą do nas, socjalizm, komunizm, faszyzm stracą klientelę, po czym będziemy mogli nawet okazać akt łaski względem uwięzionych prowodyrów i puścić ich na cztery wiatry – nie odzyskają już swoich mas, bo odbierzemy im podstawowy argument i całą rację bytu. Przewrót będzie nas drogo kosztował, pochłonie on co najmniej połowę majątku narodowego i światowego, ale z drugą połową kapitalizm zabezpieczy sobie byt do końca świata i pod wodzą swej elity rozkwitnie wspaniale, stworzy nową cywilizację, nową kulturę, nową filozofię, nową moralność, nową religię, która tak potrzebna jest ludzkości...

Tak, tak... Plan van der Zypena obliczony był na lat pięćdziesiąt, twórca jego zamierzał przeżyć w pełni sił umysłowych – zwłaszcza po powtórzeniu zabiegu odmładzającego – co najmniej pierwszy okres lat dziesięciu, okres przewrotu najtrudniejszy, wszechstronnie rewolucyjny. Z tego pięć lat poświęci na utrwalenie nowego ustroju w USA, następnie w Europie, a dalej ruszy na wielką wojnę

ku unicestwieniu jedyne groźnego przeciwnika – Rosji sowieckiej... A gdy to się dokona, może już zejść z tego świata, jego testament przewiduje i reguluje wszystko. W ciągu pierwszych dziesięciu lat dokona się selekcja kierowniczego materiału ludzkiego, wybór tymczasowego autarchy<sup>233</sup> Stanów Zjednoczonych świata i dziesięciu jego zastępców, członków Rady Przybocznej, dobór stu archontów i tysiąca synarchów<sup>234</sup>, praca najtrudniejsza odbędzie się z jego osobistym, czynnym udziałem. Resztę dalszych stopni drabiny hierarchicznej będzie się wypełniało co najmniej pod jego nadzorem, a wciąż na podstawie dziesiętnego systemu ustalenia dziesięciu tysięcy namiestników autarchy, stu tysięcy jego pełnomocników i miliona delegatów. Po gruntownym zbadaniu kolosalnego problemu ustroju władzy nad nowym światem, profesor van der Zypen ustalił, że jeden milion, sto jedenaście tysięcy i stu jedenastu członków elity intelektualnej i majątkowej (1 111 111), wybranej ze wszystkich narodów i państw na kuli ziemskiej, wystarcza do rządzenia ludzkością, która nie jest tak znowu kolosalnie liczebną i różnorodną, z jej wszystkimi sprawami, które nowy ustrój będzie znakomicie upraszczał. Na pierwszego autarchę przeznaczył Shurmana nie dla jego genialności, której był całkowicie pozbawiony, ale właśnie dla typowej amerykańskiej przeciętności jego umysłu – co zapewniało van der Zypenowi faktyczne kierownictwo interesami globu – a przede wszystkim, oczywiście i najśluszniej, dla jego majątku, albowiem imię pierwszego w dziejach autarchy świata, opromienione aureolą paru miliardów, stawało się właśnie symbolem nowego porządku rzeczy. Po trosze i z tej przyczyny – po trosze i poniekąd – tak formułował sobie w myśli ten motyw tak wysokiej nominacji, że Shurman, przystępując do spisku, który na początku przy pierwszych swoich krokach zawiśnie niejako w próżni nad przepaścią *vacuum*<sup>235</sup> w przestrzeni kosmicznej, z pewnością nie pożałuje garści milionów na prace wstępne, propagandę, podróże organizacyjne, jednanie przychylności lub

---

<sup>233</sup> *Autarcha* – władca absolutny; *autarchia* – rządy nieograniczone, władza absolutna.

<sup>234</sup> *Synarchia*, *synarchizm* (gr. *syn*: razem i *árchein*: panować, rządzić) – pojęcie zastosowane przez Alexandre'a Saint-Yves d'Alveydre'a w książce *Prawdziwa Francja albo misja Francji* (1887), opisujące jego zdaniem idealną formę rządów, ustrój polityczny będący przeciwieństwem anarchii, zakładający hierarchiczne uporządkowanie życia społecznego.

<sup>235</sup> *Vacuum* (łac.) – pusta przestrzeń, próżnia.

akcesu wybitnych osobistości, obezwładnianie przeciwników lub jednostek niedogodnych, rozbijanie starych partii proletariackich, tworzenie nowych itd., itd.

Van der Zypen przenikał w pewnej mierze, co się działo w duszy jego ofiary; plan, przedstawiony otwarcie i w całej rozciągłości, zaimponował Shurmanowi, działając głównie na jego wyobraźnię, olśnił go, ale zarazem zastraszył. Kilkakrotnie zapewniał, że gotów jest poprzeć finansowo wielkie zamierzenie i okazywać mu nadal swoją przychylność, ale uciekał przed jakąkolwiek rolą odpowiedzialną i uparcie milczał, gdy usiłowano podniecać jego ambicję.

– We wszystkich miastach globu ziemskiego staną pomniki pierwszego autarchy świata, dzieje nowej ludzkości rozpoczną się pod wezwaniem jego imienia, które i po tysiącach lat znać będzie każde dziecko... Potomność otoczy cię i miłością jego ród w najdalsze pokolenia.

Mówiąc o postaci pierwszego autarchy, van der Zypen wpadał w mistyczną ekstazę, stawał się poetą, prorokiem, który w natchnionym jasnowiedzeniu przeczuwa i niemal widzi przyszłego zbawcę świata i rodzaju ludzkiego, ale żadne deklamacje, wymowne spojrzania i niedwuznaczne napomknienia nie odnosiły skutku – Shurman milczał.

Nie mogło tak trwać bez końca, wreszcie odważył się i wybrałszy chwilę, gdy wyczuł, że uparty kandydat miesza się i jak gdyby się kryje przed jego spojrzeniem, zapytał wręcz głosem nie swoim, nieco zbyt surowym, albowiem był to głos historii, budzący uśpioną wolę, wzywający do olbrzymiego czynu, było to zresztą pytanie czysto formalne, odmowa była nie do pomyślenia. Shurman odpowiedział natychmiast bez jednej sekundy namysłu – odmówił wręcz. Powstał z fotela, wysztywnił się i czekał, patrząc obojętnie w okno. Upoważniało to gościa do pożegnania się i odejścia – wielka epopeja dziejowa w tej kombinacji runęła bezpowrotnie, sprawa była skończona.

Van der Zypen siedział w swoim fotelu bynajmniej nie wytrącony ze zwykłego spokoju, przez trzydzieści sekund, które zdawał się liczyć, zachowywał milczenie, ale ani na jedną sekundę nie pogodził się z przegraną. Zdawało się, że przewidywał taki właśnie obrót rozmowy, pomimo wyraźnej zachęty do odejścia nie ruszał się, nie tracił nadziei i był zawczasu przygotowany na dalszy ciąg rozprawy. Grzeczniej, poprawniej, bardziej dyplomatycznie byłoby pożegnać się na przysze, da Bóg lepsze „do widzenia”, ale sprawa



zbawienia kapitalizmu zawisła na włosku... Nie wolno mu było odkładać sprawy nawet do jutra, które zresztą mogło całkiem nie przyjść i nie istnieć, jeżeli pozostawi Shurmana w jego uporze, jutro może zastać drzwi pałacu na Fifth Avenue zamknięte i zaryglowane.

Jak uciążliwy gość, jak pierwszy lepszy bezczelny petent nie dostrzegając oficjalnej i wyraźnie wyczekującej postawy gospodarza. Naprzód wydobyl chustkę i utarł nos, który tego bynajmniej nie potrzebował, a dalej, nie śpiesząc się, wybrał sobie cygaro, zaznaczając tym, że nie zamierza wynieść się tak prędko. Spostrzegł, że Shurman irytuje się, a wyczuł, że jest nieśmiały i bezradny, dlaczego? Znać się czegoś boi – to dobrze. I w trzydziestej pierwszej sekundzie uśmiechnął się i nacinając drogocenne cygaro, zaczął łagodnie, z odcieniem przyjacielskiego wyrzutu.

– Zapomniałem przypomnieć panu, gdyż mówiliśmy już o tym, że na początku, przez rok, a może więcej, działalność nasza będzie ukryta dla świata, ściśle poufna, tajemna, widome będą tylko pewne jej objawy zewnętrzne, powstaną nowe pisma poważne i brukowe, szerzące nowe poglądy, założone będą organizacje naukowe, propagandowe. Opinia weźmie nas nie więcej niż za radykalnych filantropów, naszymi zasiłkami pozyskamy najbardziej znane osobistości spośród działaczy humanitarnych, Czerwony Krzyż, Armię Zbawienia, sieć wolnomularskich instytucji dobroczynnych oraz niezliczone prywatne stowarzyszenia. Nikt nie będzie wiedział o naszym tajnym ośrodku spiskowym, zamierzającym kolosalny przewrót! Ani o jego członkach, ani o jego celach istotnych, ani o jego przewodniczącym, przysłym Wielkim Autarsze świata. Tysiące wybitnych ludzi, rozsianych po świecie, będzie pracowało, nie wiedząc, kto nimi kieruje i do czego ich prowadzi... Tymczasem, nie tracąc czasu, będziemy gromadzili pierwszy zastęp ogniska kierowniczego, szczupły, ale złożony z mężów doborowych, posiadających wolę, rozum i pieniądze. Zaczynamy! Jest nas tylko dwóch na całym świecie, aby zacząć, trzeba nam kogoś trzeciego i to nie byle kogo, więc Harry Shurman w towarzystwie mojej skromnej osoby udaje się naprzód do Thomasa Hubbarta i mówi po prostu: – Słuchaj, Tom, nadchodzi ostateczna katastrofa, która, jeżeli dalej tak pójdzie, zmiecie nas z powierzchni ziemi, przypomnij no sobie Rosję... A teraz powiedz, Tom, czy chcesz uratować połowę swego majątku? Wiem, wolałbyś uratować cały i ja bym też wolał, ale to niemożliwe, więc i ja oddam moją połowę na akcję ratunkową. Z czasem możesz tę stratę odrobić i nadrobić, a po śmierci zostawić dzieciom piękną fortunę, której im



już nikt nie ruszy. Tymczasem idź z nami i płac – zrobili to mądrzejsi od ciebie i bogatsi. Ratuj się, Tom! Rozważ naszą ofertę, a myśl krótko, bo nie ma innego wyjścia i nie ma czasu, burza jedzie nam na karkach. Przestań wytrzeszczać oczy, zbierz uwagę i słuchaj, co ci wyłoży pan profesor van der Zypen, a wszystko, co ci powie – to prawda – za to rękę ci ja, Harry Shurman. I odda go pan w moje ręce, więcej zachodu nie będzie to pana kosztowało, ale pierwszy krok ku pozyskaniu nowego stowarzyszonego musi pan uczynić osobiście, aby każdy usłyszał na własne uszy i widział na własne oczy, że tak mówi obecny we własnej osobie Harry Shurman, na tym polega dziewięć dziesiątych powodzenia, a więc zdobycia ludzi z tej sfery. Harry Shurman ich zastraszy i przerazi, a dalej imię Shurmana jest poręczycielem i hipoteką ogromnego zamierzenia, którego wagi niejedyn z nich nie będzie w stanie ogarnąć swoim prostackim umysłem businessmana, pospolitego człowieka interesu...

Shurman mu nie przerywał – dobry znak! Ale wciąż jeszcze nie siadał na swoim miejscu – wszystko się waży... Koniecznie trzeba go posadzić i to niezwłocznie... Umiał odmówić, ale nie może jeszcze zerwać... Za minutę wysili się i zdobędzie się na stanowczość... Ach, jak on się boi... Całą siłą woli błagał go w duchu – siadajże! Siadaj...

Van der Zypen był już zmęczony, z rozkoszą zaciągnąłby się bodaj jeden raz wybornym cygarem, ale nawet dziesięć sekund milczenia, potrzebne dla zapalenia i pierwszego pociągnięcia, mogłoby popsuć całą sprawę, tu trzeba było mówić bez żadnej przerwy, przetrzymać w Shurmanie zły moment. Teraz waha się, może by i chciał nawiązać, ale nie wie, jak to zrobić, wstydzi się cofnąć i z głupiego, dziecinnego wstydu gotów zawziąć się i uprzeć jak muł... Tak myśląc, denerwując się, już w pewnym popłochu nie przestał ani na chwilę mówić.

– ...Oczywiście z każdym będzie się zaczynało inaczej – *ad hominem*<sup>236</sup>. Dla wielu najbardziej dręczącą jest przyszłość, ta roztwierająca się przepaść, troska o rodzinę, o dzieci... I zaprawdę, mówiąc uczciwie, bez fałszywej obłud, nędza i głód dzieci bezrobotnego proletariusza lub zrujnowanego człowieka średniej sobie miary są niczym w porównaniu z poniewierką dziecka grubszego milionera...

---

<sup>236</sup> *Ad hominem* (łac.) – do osoby, skrót od *argumentum ad hominem* odnosi się do kilku rodzajów argumentów, z których niektóre, ale nie wszystkie, są błędne. Zazwyczaj termin ten odnosi się do strategii retorycznej, w której mówca atakuje charakter, motyw lub inny atrybut osoby argumentującej, zamiast atakować istotę samego argumentu.

Ta degradacja i wdeptanie w błoto rewolucji jakiegoś królewicza lub, co nierównie okropniejsze, takiej córeczki magnata, królowny z bajki? Dla niejednego z naszych bardziej opornych kandydatów momentem decydującym może stać się po prostu żywa troska o rodzinę, o dziecko, nieraz jedyne...

Shurman usiadł.

*Koniec tomu pierwszego*



*Tom II*



## Rozdział pierwszy

### Lekarze i znachorzy

Po półtorej godziny czekania stało się oczywistym, że Ina już nie przyjdzie i, kto wie, może nie pokaże się więcej. Po raz nieprzeliczony pożałował nieszczęsnej i niecofnionej sekundy, gdy wydarła się zeń żądza szczerości i prawdy.

Starzeje się Emery Elton, szczywany gracz, na podobny błąd może sobie pozwolić człowiek porządny i uczciwy – czyżby już tak daleko zaszła w nim nostalgia serca, głód prawości? Ina przelęknęła się mętnego napomknienia, a raczej wyrazu tajemnicy, która zdradziła się w rozedrganym głosie, w spojrzeniu – o mało nie wyznał jej wszystkiego... Nie mogło być mowy o wszystkim, jednak, jednak wyrwało mu się słowo, które w tym stanie rzeczy mogło zwichnąć, a bodaj zabić sprawę – imię Ralda padło między nimi straszliwie nie do naprawienia przedwcześnie. Musiałaby być jasnowidząca, by domyśleć się czegoś więcej z jego poczwarnej historii, ale i tego dość dla obudzenia jej czujności i daleko idących podejrzeń co do pana Eltona, artysty malarza, który nastreczył jej się w tak oryginalny sposób. Zaiste, wygadał się idiotycznie – czyż do takiego stopnia ogłupiają człowieka najszlachetniejsze uczucia? Nie ma żadnej zaprawy we wzniosłościach – tak ułożyły się jego losy – nie odczuwał ich zbyt często w życiu, czyli nie zaznał ich nigdy i ani razu, aż do chwili, gdy odszukał i ujrzał na własne oczy Ralda.

Cud przerażającego ich podobieństwa porwał go, przepoił dumą ojcowską i bezgranicznym nie do pojęcia ukochaniem...

I ona nie jest ślepa, oczywiście i ją uderzyła od pierwszego wejścia zjawa sobowtóra jej umiłowanego chłopca. Tyle, że starszy o trzydzieści lat. I czyż nie przemknęło się przez jej głowę, że tylko w synu, w rodzonym synu zdoła się przekazać tak nieprawdopodobny fenomen? ... Może to pierwsze wrażenie samo jedno jedyne

sprawiło, że tak gładko ułożyła się ich znajomość, że szybko, po trzech dniach, przeszła w zażyłość, niemal w przyjaźń – a ot i portret rośnie w oczach, pięknieje... Emery Elton nawet ośmieszył się przelotnym posądzeniem Iny, że zakochała się w nim i po pewnym posiedzeniu w pracowni chciał rzucić wszystko i uciekać. Głupstwo... Piękna kobieta, przedziwna i szlachetna, i mądra. Inna rzecz, czy da ona szczęście najdroższemu chłopcu – na dobrą żonę wydaje się zanadto samowolna i osobliwa... Troszczył się o przyszłość tego syna, jakby go był wychował od małego.

W chwilowym uniesieniu popełnił grubą niezręczność, ale na ogół przygotował się do wielkiej i świętej sprawy odzyskania syna równie chytrze i przemyślnie jak wówczas, przed dwudziestu laty, gdy grał komedię miłości i haniebnie, iście po bandycku uwodził przyszłą matkę Ralda dla pospolitego rabunku. Ale tamto było błahostką, zwyczajnym kawałem złodziejskim w porównaniu z tym, na co ważył się teraz. Przytłaczał go spiętrzony ogrom trudności, zamierzenie było tytaniczne i bezczelne ponad ludzką miarę, ale groźne śmiertelne niebezpieczeństwo porywało jego wyobraźnię i wyzwało w szranki namiętność do wielkiej gry. Posiadł nareszcie cel życia, nie wyrzeknie go się za żadną cenę i zwycięży. Nie puszczał, by Lucy ordynarnie i po prostu wydała go w ręce policji, broniąc syna przed uroszczeniami bandyty i galernika, wiedział, że przynigdy nie odważy się odsłonić przed Raldem prawdy w jej całej ohydzie i potworności. Ona miała go w rękę, ale i on trzymał ją mocno. Jednak wolał nie pokazywać się jej na oczy, zanim nie dokonają się pewne niecofnięte fakty, które ją zwiążą i oplączą jak muchę w pajęczynie. Tymczasem ostrożnie, pracowicie, cierpliwie skradał się ku swemu celowi, a gdy nareszcie pewnego dnia przez Inę spotka się z chłopcem, pozna go w atmosferze zaufania i zbliży się z nim bez trudu i zawodu.

Gdyby tylko nie ten przedwczorajszy głupi wybryk ojcowskiego serca... Przyjdzie? Nie przyjdzie? Nie, już nie przyjdzie – przekleństwo...

Gdy nareszcie zjawiła się w pracowni, zdążył już przerobić dawny plan – nie pozostawało nic innego jak uderzyć w szczerłość, wyjawić prawdę. Przyzna się do ojcostwa – historia zupełnie prosta – Paryż, pokryjome wycieczki milionowej amerykańskiej miss między cyganerią międzynarodową Montmartru i Montparnassu<sup>1</sup>, kabarety,

---

<sup>1</sup> Montmartre i Montparnasse – popularne dzielnice Paryża.



pracownie, ekstrawagancje, wreszcie grzech panieński młodej Lucy. Rodzice go odtrącili, sterroryzowali. Potężny milioner, stary Slazenger nie pożałował dolarów i przez najpodlejszą prowokacyjną intrygę w stylu dzisiejszych gangsterów wpakował go do więzienia – i tak dalej, i tak dalej...

Ina ułatwiła mu zadanie, z samego progu przeszła do rzeczy, była nasrożona, zła i jeszcze piękniejsza.

– Spóźniłam się, do ostatniej chwili nie wiedziałam, czy w ogóle do pana przyjdę... Proszę mówić prawdę, proszę od razu odpowiedzieć mi wręcz – pan naprawdę jest ojcem Ralda?

– Odgadła pani, tak jest – i czyżby to było zbrodnią? Sprawy ludzkie nawet w zestandaryzowanej Ameryce nie zawsze układają się w szablony.

– Po prostu, nie wiem, co z panem począć, bo to jest niepodobne do wiary, toć to amerykański dramat kinowy!

– Oby miał szczęśliwe zakończenie – *happy end!* Panno Ino, oboje powinniśmy tego pragnąć dla naszego drogiego chłopca. A on o niczym nie wie.

– Boję się, dziś tchnie od pana coś złowrogiego... Pan mnie przeraża!

– Jestem człowiekiem honoru, tylko tragicznie skrzywdzonym, straszliwie zmasakrowanym przez życie...

– Bardzo wygląda na to, że pan jest zbrodniarzem, nasłanym na mnie przez tę kanalię Nickoka, naganiacza matki Ralda. Jeszcze nie mam pojęcia, jakim sposobem zamierzacie mnie zgnębić... Co za świństwo uknuliście na moją zgubę? Kiedy odrzuciłam pół miliona odczepnego za porzucenie Ralda, zapowiedział mi wyraźnie, że będę straszliwie ukarana...

– Kto pani groził?

– Nickok, ten sam, który panu płaci za całą podłą intrygę, no i za ten portret, który, jak teraz widzę, jest podłym szantażem. Ma on obciążyć mnie przed Raldem. Widzę, jak matka pokazuje mi moją podobiznę – patrzaj, synu, oto twoja narzeczona, pozująca bezwstydnie do aktu w tajemnicy przed tobą...

– Co pani plecie? Tu się nic kupy nie trzyma, przecież dalej wypadłoby, że to pani Rascob wykopała skądś człowieka zdumiewająco podobnego do jej syna – niech pani zważy, ile trzeba było zapłacić za taką sztukę – i po co? Na co jej się może przydać tak drastyczny falsyfikat? Aby się pochwalić przed światem? A może przed synem? Pani rozumuje jak obłąkana, pani jest tknięta manią prześladowczą!

... Nie miałem pojęcia, że mama Rascob wypowiedziała pani wojnę, a jednak było to nie trudne do przewidzenia... Wydaje mi się, że mógłbym panią obronić, trzeba mi tylko zaufać. Niech pani siada, pomówimy poważnie.

Ina porywczo postąpiła parę kroków i stanęła pośrodku pracowni, w jej obliczu szybko przemykały drgnienia niepokoju, strachu, gniewu, w oczach mieniły się iskry nienawiści, wyzwania, naraz rysy jej zmiękły, źrenice zaszkliły się, wybuchła płaczem. I stary malarz Emery Elton, dawny bandyta, eksgalernik, w ukrytej, nieznanym głębinie swej istoty poczuł łzy. Ogarnął ją ramieniem, usadowił w fotelu i trzymając jej dłonie w swoich, poczuł, że rozwarło się jego serce, będzie ojcem i dla niej. Cud jeszcze jednej przemiany napełnił go błogością, uniosła go i poniosła ekstaza, wiara w swoje odzyskane człowieczeństwo, w nowe, spokojne, godne życie. Więc biada temu, kto zechce mu je zamącić lub zburzyć, każdy kto idzie przeciw Raldowi, każdy wróg Iny spotka w nim bandytę Derjac'a, zbiega z wiecznych galer Carranze, dzikiego drapieżnika, który zachował dawną potęgę skoku i swoje kły i pazury.

Długo trwała opowieść starego malarza. Ina w zdumieniu i zgrozie słuchała jego spowiedzi z długich lat burzliwego żywota, wchłonęła w siebie jego cierpienia i walki jako czystą, choć trudną do wiary prawdę, a jego krzywda i hańba całego życia, na którą skazała go przemoc bogactwa, władza pieniądza, zbratała ich ze sobą. Czyż jej nie grożą teraz, w dwadzieścia lat po klęsce Emeryka Eltona, już w drugim pokoleniu te same przeklęte slazengerowskie miliony? On również nie chciał sprzedać swej miłości i honoru i nie ustąpił przed groźbą – zamordowano go. Gorzej, bo na długie lata wtrącono go do więzienia. I jeszcze gorzej, najgorzej – za pomocą krzywoprzysiężnych świadków i sfałszowanych niezbitych dokumentów przekonano nieszczęsną Lucy, że on był zbrodniarzem, splamionym krwią bandytą, który ją oszukał i uwiódł niegodnie, aby sięgnąć po jej miliony. Bóg pokarał podłych oszczerców; rodzice Lucy zginęli oboje w pamiętnej katastrofie Atlantica<sup>2</sup>, ale na tym poprzestał nieprzenikniony Bóg, nie zechciał obronić niewinnego ani naprawić krzywdy wołającej o pomstę. Musiał radzić sobie sam i w końcu wy dostał się na wolność, ale dziesięć najpiękniejszych, najdojrzszych, najplodniejszych lat żywota spędził za kratą w hańbie, w okropnej poniewierce. Teraz pod przybranym nazwiskiem,

---

<sup>2</sup> Nawiązanie do wydarzeń z powieści *Pieniądz*.

w wiecznej niepewności przed pościgiem policji wszystkich państw świata, skołatany, samotny i stary posiada tylko swoją sztukę i tę nadzieję rozpaczy, że danym mu będzie kiedyś zbliżyć się do Ralda, nie jako ojciec do syna – w zagmatwanych, nieszczerych warunkach obecnego życia, z którego wygnano prawdę i prostotę, jest to absolutnie niemożliwe... Ale chociażby jako przygodny znajomy, może przyjaciel?

– Panno Ino, posiadasz moją tajemnicę! Obecnie, gdy już wymarło po kolei paru bliskich mi ludzi, już nikt na świecie prócz ciebie jednej nie zna całej tajemnicy tragicznego człowieka, który nosi imię i nazwisko Emeryka Eltona. Rodzonego ojca twego ukochanego Ralda... Dałem ci w zastaw całego siebie z ciałem i z duszą, teraz nie możesz mi nie wierzyć!

Gdy skończył, Ina długo nie mogła się zdobyć na pierwsze słowo, była odurzona, jak gdyby nieobecna, oderwana od rzeczywistości. Oplątały ją, krążąc wokół całym tłumem zmienne obrazy snów i widziadeł, okropnych kolei fantastycznego człowieka, który żadną miarą nie mógł istnieć na świecie, choć opowiadał prawdę... Patrzyła na niewiarogodną zjawę Ralda, postarzałego o lat trzydzieści, patrzyła na wielkie płótno, gdzie rozpościerała się jej nagość okryta jedynie płaszczem rozrzuconych włosów. I portret stał się niemożliwością – jak do tego doszło? Zgubiła wątek zdarzeń z ostatnich dwóch tygodni, ten natręt opętał ją od chwili, gdy go ujrzała po raz pierwszy na dancingu w „Drake”. Już nazajutrz zgłosił się jako wielbiciel jej talentu i „starszy kolega”, również artysta. A jeżeli już pozwala podziwiać swoją nagość tłumowi bogatych snobów, to czemuż by nie miała ofiarować paru posiedzeń staremu malarzowi, który i w sztuce jest staroświeckim, za to żadną modną manierą ani jakimś pokracczym „izmem” nie skazi jej olśniewającej urody, portret zaś będzie sensacją sezonu na jesiennej wystawie i posłuży jej jako reklama, od której nie uchyla się nowoczesny artysta. Było to bardzo proste i oczywiste, chwilami wydawało jej się, że rozmawia z Raldem, od nieznanego bił urok zagadki, jego oczy zniewalały, wzywało z nich coś przerażającego, a zarazem niebezpiecznie, nieodparcie uwodzicielskiego. Gdy mówił, słyszała najwyraźniej kochany, jedyny w swoim rodzaju głos Ralda i jego to kuszący uśmiech podkreślał przyjacielską natarczywość, z jaką stary artysta namawiał ją do portretu. Dziwiąc się samej sobie, nie odmawiała, zgodziła się nawet zbyt pochopnie, jak gdyby już od dawna marzyła o czymś podobnym i już nazajutrz pojechała do

pracowni na Gay Street<sup>3</sup>, oczywiście w tajemnicy przed Raldem, gotując mu małą niespodziankę. Zachowanie się malarza było pełne prostoty, przyjacielskie z miłym umiarem i nieco jakby ojcowskie, nawet gdy po raz pierwszy stanęła przed nim naga, zdawał się nie dostrzegać w niej kobiety, co w sposób śmieszny dotknęło Inę. Za to innego razu, gdy zawzięcie pracował w milczeniu, spotkała się ze spojrzeniem drapieżnym i władczym – ugięła się pod nim, spłonęła, struchlała i gdyby w owej chwili mistrz Elton zechciał i odważył się... Czemuż to Rald nie umiał jeszcze tak na nią spojrzeć – właśnie tak...

Podlegała niebezpiecznemu zamąceniu, które chwilami bywało rozkoszne, czasami straszliwie dręczące, Emery Elton rozdawał się i na kilka chwil stawał się Raldem, podstarzałym, ale jeszcze piękniejszym i bliższym sercu – łączyło ich życie spędzone w szczęściu. W jednej sekundzie zwierzał się ogrom czasu, niepojęte trzydzieści lat, odmęt dni i nocy, doli, niedoli, wydarzeń, dalekich podróży, wyjazdów i powrotów, chorób, ozdrowień, trosk i radości, czuła w duszy, w całym ciele swoją starość, widziała własne wnuczęta – jak zdumiewająco szybko, jakże dawno, podorastały te dzieci... Minęło życie.

Jakże nie wzniesć hymnu dziękczynnego za szczęście zesłane przez Boga, jak nie zapłakać z żalu w obliczu starości i bliskiego końca? A jednak jeszcze dzisiaj przed godziną Rald był uroczym, zapalczwym, głupiuteńkim młodzieniaszkiem – niepojęta, niezgłębiona jest tajemnica czasu, na który brak ludzkiej miary.

Błękitny Orzeł<sup>4</sup> wisiał w przestworzu ponad niezmierną USA, dzierżąc w szponach swoje złote strzały, orlimi dalekosieżnymi oczami widział wszystko i patrzył w niego każdy. Skrzydłami rozpostartymi od oceanu do oceanu ogarniał kolosalne miasta, kolosalne rzeki, pola i lasy, prerie, stopy, góry, jeziora, głosił pokój ziemi i ludziom, wpajał nadzieję w struchlałe serca bogaczy i nędzarzy, zapewniał żar wygasłym paleniskom fabryk, a posępnemu cmentarzysku kominów wesołe dymy. Każdemu dawał pracę i chleb, wróżył bogatym zachowanie i pomnożenie skarbów. Z zachwytem, z zawiścią patrzyły weń dalekie narody ziemi, dziwował mu się cały znękany świat – Błękitny Orzeł był świętym znakiem zbawienia,

---

<sup>3</sup> Gay Street – ulica na Manhattanie w Nowym Yorku.

<sup>4</sup> Błękitny Orzeł – symbol aktu prawnego NIRA.

a mistyczne imię jego było NIRA<sup>5</sup>, słowo czarodziejskie, ze czcią wymawiane we wszystkich ludzkich językach.

Nowy prezydent wiekopomnym orędnem swoim powołał i zgromadził potężny zastęp mędrców, parlament najświetniejszych narodowych mózgów, by po raz pierwszy w dziejach świata wcieliła się w życie idea Rzeczypospolitej Platona – rządy mądrości. Za panującą władzą mędrców od razu opowiedziały się ciemne wygłodniałe masy i natychmiast odezwało się mnóstwo poetów, piszących swe ody, peany i epinikia<sup>6</sup> kolumnami cyfr, wykresami, niezliczonymi formułami zbawczych dekretów. Mędrzy wróżbici porzucili gwiazdy i z rojowiska cyfr, z ich konstelacji, z układu ich zstąpień i wstąpień, z koniunkcji i opozycji przepowiadali na dość rozbieżne, lecz niedalekie miesiące, dni i godziny świetlaną, niezawodną przyszłość. Kapłani moralności społecznej, doktorzy i profesorowie savonarologii<sup>7</sup> ekonomicznej domagali się stosu dla bankierów, brokerów i giełdy. Neosolidaryści ocknięci z letargu na gwałt wznawiali stare Oratorium Zgody ułożone na chór mieszany bogaczy i nędzarzy. Gazety wściekały się z gorliwości, powołani mędrzy i czarne mrowie niepowołanych specjalistów półgłówków zadreżczali słuchaczy radia. W niedzielnych kazaniach objawił się nowy święty, wybraniec Boży, w kapliczkach poniektórych sekt już śpiewano litanie do patrona uciśnionych, prezydenta Roosevelta, na którego zstąpił widomie Duch Święty.

Choć termometr koniunktury ani jeszcze drgnął, choć statystyka samobójstw, prowadzona przez zainteresowane przedsiębiorstwa pogrzebowe, wskazywała wciąż jeszcze, zapewne z przyzwyczajenia, uporczywe tendencje zwykłe, choć dzięki zjawisku interferencji wśród nawały nowych billów<sup>8</sup>, dekretów, actów, kodeksów pracy bankructwa szły w trybie nieco przyśpieszonym, a cyfra bezrobotnych z dnia na dzień rosła, zdrowy, dopingowany zastrzykami

---

<sup>5</sup> NIRA – *National Industrial Recovery Act*, Prawo Pracy USA (1933), prawo legislacyjne uchwalone przez Kongres USA jako środek walki z Wielkim Kryzysem. Z perspektywy historycznej NIRA doprowadziła do rozrostu administracji państwowej.

<sup>6</sup> Epinikion (gr. *epinikion* – dotyczący zwycięstwa) – w greckiej liryce chóralnej odmiana ody. Gatunek ukształtował się w VII w p.n.e.; za jego twórcę uważa się Symonidesa z Keos.

<sup>7</sup> Savonarologia – termin utworzony prawdop. od nazwiska Girolamo Savonarola (pol. Hieronim Savonarola, 1452–1498), dominikanina, florenckiego reformatora religijno-politycznego.

<sup>8</sup> *Bill* (ang.) – rachunek.

propagandy optymizm tym rozgłośniej intonował – hosanna! Chwała prezydentowi na wysokościach! A na ziemi pokój ludziom dobrej woli, głodnym, bezdomnym, bosym i obdartym. Niech żyje NIRA i jej Błękitny Orzeł! Radowali się w głębi ducha, potajemnie nawet ludzie najostrożniejsi, przerażeni niebezpiecznym przewrotem. Opozycja składała się z urażonych mędrców, których pominięto przy mobilizacji mózgów, a dalej z wszystkich rekinów i hien giełdowych, wreszcie z milionowej czerni bootleggerów, którym grozi ruiną powszechnie oczekiwany koniec prohibicji.

Ani potężne grzmoty propagandy, ani wrzask i rwetes reklamy, ani najświetniejsze czołowe imiona Ameryki, ani oczywistość tysiąca faktów, nic nie zdołało zachwiać Edgara Livingstona Delby w raz powziętym postanowieniu. Dalej nie wierzył w nic i w nikogo, jeno w nieuniknioną rewolucję socjalną i w bolszewizm. Jego systemat dawał mu integralną pewność, że wraz z uмиłowaną rodziną przetrwa straszliwą epokę, a choć łącno może nie doczeka lepszych czasów, zachowa i pozostawi dzieciom bardzo piękną fortunę, która wówczas gdy opadną wody potopu, objawi się nowej ludzkości jako fenomenalny unikat. Będzie jedyną na świecie potężną bryłą złotą, pozostającą w osobistym prywatnym posiadaniu i otoczy splendorem jego synów, a w najgorszym razie wnuków i sprawi, że starożytnie rodowe nazwisko Delby odegra wyjątkową rolę w dziejach odrodzenia ludzkości. Więc dalej wyprzedawał się systematycznie przy fatalnych kryzysowych cenach. Nabywcy, maklerzy, adwokaci i pośrednicy okradali go bezczelnie, wiedząc doskonale, że stary Delby zwariował. Na dobitkę złoto, które wiedza najnowsza skazała właśnie na degradację i deprecjację, urażone – niesprawiedliwym w swoim mniemaniu – wyrokiem, zaczęło wyprawiać na rynku światowym zagadkowe i niepoczytalne fanaberie, po czym gwałtownie poszło w górę, pogrążając wszystkich ekspertów w zdumieniu, bezpłodnych dociekaniach i w harcach polemicznych po gazetach i na łamach wydawnictw specjalnych. Milioner Delby znosił to ze spokojem prawdziwego filozofa i z wolterowskim uśmieszkiem, który już na stałe przywarł do jego niegdyś tak pogodnej twarzy. Szydził z Błękitnego Orła, z jego przełomowych, ratowniczych dekretów, kodeksów, billów i actów i wyprzedawał dalej swoje lasy i puszcze, tartaki, zapasy budulca, terpentyniarnie, smolarnie, zakłady chemiczne, drzewne, papiernie, fabryki dykt klejonych

i fornierów<sup>9</sup>, przenośnych gotowych domów, posadzkarnie, meblarnie, urządzenia portowe na rzekach, parowce, barki, pontony, dźwigi, łańcuchy i liny...

Mrs Delby czołgała się u stóp męża, błagając go o litość nad dziećmi, syn najstarszy oraz obaj zięciowie odbywali tajne konferencje z adwokatami w celu ubezwłasnowolnienia szaleńca i oddania go pod kuratelę. A gdy go zapraszano na bridge'a do domu syna, do domów córek, wiedział, że będzie spożywał kolację oraz grał w karty z zaproszonymi *ad hoc* zamaskowanymi psychiatrami. Z szyderym wolterowskim uśmiechem jadł i grał, i robił swoje.

Świat borykał się z dżumą kryzysu, radził na wciąż rozłażących się i wciąż wznawianych konferencjach międzynarodowych, które przenosiły się ze stolicy do stolicy, nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca ani wypocić czegośkolwiek, co miałoby choć odrobinę sensu. Cały świat miotał się, burzył się, kłócił i w końcu nic nie mógł i nic nie wiedział.

A Edgar Livingston Delby wiedział swoje. Podstawowa, a w istocie jedyna realna wartość w cywilizowanej społeczności – czyste złoto zapychało już jego ogniotrwałe kasy i rozmaite skrytki w pałacu na Fifth Avenue, czas było pomyśleć nad przeniesieniem tego skarbu z niebezpiecznego Nowego Jorku, zagrożonego w pierwszej linii rewolucją, rabunkiem, rekwizycją bogactw, i ukryciem go w miejscu odległym, ustronnym i absolutnie, integralnie pewnym. Czas nagiął i trzeba się było pośpieszyć, gdyż zaczęto uporczywie przebąkiwać i szeptać, że Błękitny Orzeł zamierza wzbronić prywatnych operacji złotem, wstrzymać jego wolny obrót, ustanowić państwowy monopol na złoto i wprowadzić ścisłą kontrolę nad wszystkimi obywatelami, posiadającymi bodaj jedną uncję kruszcu. Utajenie złota miało powodować jego konfiskatę – absurd! – oraz karę więzienia – bezecny wymysł! Ale w tych czasach nie był niemożliwy nawet i taki zbójcecki bill, act lub dekret. Błękitny Orzeł był drapieźnikiem, a jego przekłete teleskopowe oczy sięgały do każdej kieszeni i do każdego skarbcza.

– Zaczyna się – pomyślał Edgar Livingston Delby i niezwłocznie wybrał się w dłuższą podróż krajoznawczą w poszukiwaniu ustronia, odpowiadającego jego wysokim celom. Powinno to być gdzieś na pograniczu z Kanadą, w miejscowości górzystej, z dala od linii kolejowej i większego miasta... Skromny, ale wygodny

---

<sup>9</sup> Fornir (z niem.) – cienki płat drewna uzyskiwany przez skrawanie.



domek – cottage w lesistej dolinie (dęby!) nad malowniczym (szmaragdowym) górskim jeziorem. Jezioro i dęby były po równo nieodzowne, albowiem należały organicznie do wielkiego planu wraz z wiernym murzynem Sebastianem, który też towarzyszył swemu panu w tajemniczej podróży.

Profesor van der Zypen nie miał przyjemności poznać milionera Delby'ego ani jego *Delby Industrial Recovery Act* (DIRA)<sup>10</sup>, wydanego na własny użytek po cichutku bez żadnej reklamy. Znakomity uczony nie wiedział w ogóle o istnieniu oryginalnego planu walki z kryzysem ani o jego twórcy, ale i on nie mniej stanowczo przeciwstawił się kolosalnemu bluffowi. Wytrawny znawca otaczającej go rzeczywistości, którego geniuszowi obserwacyjnemu nie uszedł najdrobniejszy objaw współczesności polityczno-gospodarczej, był fatalnie, upokarzająco zaskoczony przez olbrzymie wydarzenia, które podstępnie, nad wyraz nielojalnie wykuwały się tajemnie poza jego plecami. W głębi duszy był dotkliwie urażony, więc błyskawicznie szybko dostrzegł skandaliczne błędy w ogólnej konstrukcji tych gigantycznych zamków na lodzie, które planowało i – o nieba – już budowało i to z amerykańskim rozmachem amerykańskie zarozumiałe nieuctwo w spółce z kryzysowym powszechnie światowym obłędem.

Wiedział dobrze, czym mu grozi to okropne i nagminne zaślepienie. Nowy prezydent ani jego parlament mózgow nie mieli pojęcia o tajnym planie Autarchii świata, a jednak potworne baterie NIRY, nabite straszliwymi pociskami dekretów, kodeksów, billów i actów były skoncentrowane i wymierzone przeciwko genialnemu odkryciu, które jedno jedyne mogło przebudować i uratować cywilizację i kapitalizm. Prezydent Roosevelt, ten niezdarne słoń w składzie porcelany, dyletant, partacz i ordynarny demagog od razu zbałamucił i zwichnął opinię sfer gospodarczych, nieziszczalnymi obietnicami zrewoltował ciemne masy, zamącił wszystko i na dobre kilka lat zahamował olbrzymie dzieło van der Zypena. Dopiero po nieuniknionym krachu, na ruinach i zgłiszczach, w warunkach niesłychanie ciężkich i właśnie najgorszych, a może w pełni rewolucji będzie można podjąć na nowo dzieło zbawienia świata, ale jedyne gotowy plan, praca całego życia zostaje przekreślony, obalony ze szczętem. Cóż ocaleje z jego dwudziestu

---

<sup>10</sup> Nazwa fikcyjna.

siedmiu zasadniczych punktów, gdy kataklizm przewróci wszystko do góry nogami?

Był w rozpaczy i wściekał się – ale po swojemu, jednym słowem, żadnym gestem nie zdradził swoich uczuć, ani jedna najslabsza, najprzelotniejsza iskierka nie zapaliła się w jego jasno-niebieskich porcelanowych żrenicach, gdy rozprawiał o tych okropnych sprawach. Dygotała w nim namiętna nienawiść do intruza prezydenta, jego przenikliwa wiedza mogłaby w niewielu słowach i argumentach obalić i zdruzgotać jedną po drugiej wszystkie tezy parlamentu amerykańskich mózgow, ale jawnie, wobec ludzi, nie pozwolił sobie na najlżejszą krytykę. Popularność prezydenta i NIRY była zbyt bezprzykładną, opętującą umysły i wyobraźnię, by można było na razie w tym pierwszym miodowym miesiącu szczęśliwych oblubieńców zadzierać z tak nagminnym i szczerym porywem. Wszyscy wtajemniczeni – licząc z Shurmanem było ich razem dopiero siedmiu – jak jeden mąż zdradzili go i odpadli natychmiast pod nowe sztandary pomimo zaprzysiężenia, wiążącego wszystkich na pięć lat i dziewięć miesięcy, a złożonego uroczyście z ręką na Biblii i w obliczu brązowego popiersia Washingtona<sup>11</sup>, które stało tuż, w tym samym gabinecie Thomasa Hubbarda na malachitowej kolumnie. Odszczepieńcy z całą naiwnością twierdzili, że wobec olbrzymich rzeczy, które się poczynają, Autarchia świata staje się już niepotrzebną. NIRA była bardzo uciążliwa dla kieszeni i na swój sposób niemal rewolucyjna, ale przede wszystkim nie przerażała ich ogromem i mistycznym apokaliptyzmem swoich zamierzeń i – również przede wszystkim – była nieskończenie mniej wymagająca, prezydent napomknął był raz, i to niewyraźnie, a raczej symbolicznie, w stylu ewangelii, o jakowejś dziesięcinie, którą wypada złożyć w ofierze, gdy apostoł Autarchii świata rujnował ich, zabierając pięciokrotną i to bynajmniej nie symboliczną dziesięcinę, a – mówiąc po prostu – połowę fortuny!

Profesor van der Zypen nie miał złudzeń co do swoich wtajemniczonych i zniósł ze spokojem ich solidarną deklarację odstępstwa, ale natychmiast wszedł na drogę represji zastrzeżonych w tajnym regulaminie, stwierdzając z całą prostotą, że tajny regulamin sprzysiężenia nie przewiduje odwołania uroczyście zaciągniętych

---

<sup>11</sup> George Washington (1732–1799) – generał, polityk, mąż stanu, wódz naczelny Armii Kontynentalnej, deputowany do Kongresu Kontynentalnego, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

zobowiązań, nie wolno mu zatem przyjąć do wiadomości zgłoszonych rezygnacji. W imieniu swoich wysokich mocodawców zmuszony jest oświadczyć jak najpoważniej, że uważa je za niebyłe i żadne. Orzeczenie to jest rozstrzygające i ostateczne.

Sprzysiężeni przyjęli ten werdykt w ponurym milczeniu, grobowa cisza trwała około minuty; zapewne ze zdumienia i oburzenia odjęło im mowę. Wszyscy patrzeli na Shurmana, ale i on siedział cicho.

Wreszcie sprzysiężony Samuel John Gilchrist powstał uroczyście i odważył się zaprotestować.

– Odwołujemy się do Wysokiej Centrali sprzysiężenia w Paryżu, nasz wielce szanowny Wysoki Generalny Sekretarz (w nomenklaturze wewnętrznej sprzysiężenia wszystko nosiło znamię wysokości) pozwoli łaskawie, że skorzystamy z naszego prawa...

– Przypominam ukochanemu Wysokiemu Bratu Gilchristowi, że podobne prawo nie istnieje! Na mocy wysokich pełnomocnictw udzielonych mi przez Radę Najwyższą postanowienia moje nie podlegają na terenie tutejszym żadnej instytucji odwoławczej. Tu obecni Wysocy Bracia jako pozostający w stopniu wstępnym, pierwszym i najniższym, czyli przygotowawczym i próbnym, nie mogą rościć sobie uprawnień, które im jeszcze nie przysługują.

Samuel John Gilchrist na chwilę oniemiał, rozejrzał się po zebranych spłoszonymi wybałuszonymi oczami, po czym z jakichś głębin swej istoty jęknął w dziwny sposób, a raczej pisnął, wyprostował się, skrzyżował ręce na piersiach i dopiero ruszył ku van der Zypenowi. Ale uczynił tylko dwa olbrzymie kroki, stanął pośrodku wspaniałego gabinetu Hubbarda, zapchanego arcydziełami sztuki, sztywno i wysoko wznosił prawicę i przez dziesięć sekund patrzył wyzywająco prosto w twarz *Portretu Rycerza Veroneza*<sup>12</sup>, pod którym siedział wysoki generalny sekretarz – komisja ekspertów w swoim czasie uznała ten obraz za nieautentyczny, choć skądinąd nie stwierdziła fałszerstwa – cena dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów.

– W imieniu wszystkich tu zebranych dżentelmenów...

– Jesteśmy tu w kole braci – przypomniał mu łagodnie van der Zypen.

– Więc w imieniu wszystkich braci...

– W imieniu wysokich braci...

---

<sup>12</sup> Paolo Veronese (1528–1588) – jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy renesansowych tworzących w XVI-wiecznej Wenecji.

– Niech będzie wysokich! Więc my wszyscy tak zwani wysocy bracia protestujemy jak najbardziej stanowczo...

– Proszę nie mówić w moim imieniu – burknął Thomas Hubbard, z nienawiścią patrząc na van der Zypena.

– Oho... Zatem w imieniu pozostałych...

Wystraszony Frank Haferkorn, Union Bank, zaprzeczył, machając obu rękami:

– Zaznaczam, że nie upoważniłem wysokiego brata Gilchrista... Ja mogę mieć również swój odrębny pogląd na sprawę dyscypliny wewnętrznej, lecz mam zaszczyt oznajmić, że nie zgłaszam żadnego sprzeciwu!

– Tak! Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić szanownych panów! Moja godność...

– Chyba szanownych wysokich braci – podpowiedział wysoki generalny sekretarz – skądinąd czynię Wysokiego Brata uważnym, że nie może być żadnej mowy o...

Wysoki brat Gilchrist, jedyny w tym wysokim zespole klasyczny amerykański dorobkiewicz z niczego, przerwał mu i wybuchnął, zdradzając utajone prostactwo swego pochodzenia.

– Nie uznaję tu żadnych braci wysokich czy niskich! Występuję z podejrzaną mafii, gdzie mnie próbują terroryzować! To zabawa nie dla mnie, proszę panów, żegnam – i oczywiście żądam natychmiastowego zwrotu mej pierwszej wpłaty w sumie pięćdziesięciu tysięcy.

Wśród niewypowiedzianego przykrego ciszy wszyscy siedzieli ze spuszczoneymi powiekami, patrząc uporczywie w ziemię, w bezcenny perski dywan, który zaścielał cały gabinet Hubbarda. Wbił oczy w dywan i sam awanturnik, czekając na dalszy ciąg rozprawy. Jeden generalny sekretarz patrzył na to z pogodnym uśmiechem, jak gdyby nie rozumiał języka, w którym przemawiał Gilchrist.

– Wysoki Brat skończył? – zapytał uprzejmie, z przychylnym zaciekawieniem.

– No chyba! Co ja tu mam jeszcze do gadania? Oddawajcie moje pieniądze i niech was wszystkich...

W tym miejscu profesor van der Zypen uległ gwałtownemu przeobrażeniu, w jednej chwili opadła zeń powłoka zwykłej, przyrodzonej mu dobroci, słodczy, w jasnoniebieskich porcelanowych oczach zaiskrzyło się, łysnął z nich gniew, rysy ściągnęły się w skurczu woli i siedmiu potentatów amerykańskich po raz pierwszy ujrzało w nim człowieka władzy, pełnomocnika straszliwych niepojętych sił

ukrytych, gotujących się do przebudowy świata. Jego imponująca wiedza, nieodparta argumentacja, genialna intuicja i zaiste proroctwo dar przewidywania zjawisk polityczno-społecznych, olbrzymie stosunki, sława jego imienia, jego powaga i niezachwiana pogoda ducha oraz wiele innych zalet i uzdolnień nie wystarczało, by opanować wolę tej garstki siedmiu spiskowców, aby poskromić ich indywidualne odchylenia i rozbieżności i nakazać posłuch. Brakowało im czegoś w tym człowieku, aż tak doskonałym; czego innego potrzeba było tym ludziom zepsutym przez fortunę, brutalnym i samowolnym o prostackich grubych nerwach, tym genialnym praktykom w sferze interesów i bezprzykładnie ciemnym nieukom w dziedzinie ujmowania zjawisk społecznych tej trudnej, zmaganej epoki.

Van der Zypen to w nich dostrzegął i teraz skorzystał ze sposobności, by ich przekonać, że jeżeli ktoś nie ujawniał dotychczas pewnych swoich możliwości i uzdolnień, to nie stanowi to dowodu, że ich nie posiada. Trochę ich rozpuścił; póki czas trzeba zebrać cugle i to mocno, żeby poczuli wędziło.

– Ukochany nasz Wysoki Brat Samuel Gilchrist zachował się niegodnie jak osioł i ostatni gbur. Nakazuję mu stawić się u mnie jutro o godzinie siódmej rano minut piętnaście dla stosownego pouczenia. Na tym zamykam na dzisiaj niebywały skandal, który splamił jego sprawcę. Za pogroźki samowolnego opuszczenia naszego wysokiego grona tudzież za domaganie się zwrotu wpłaconej kwoty zarządzam, aby ukochany Wysoki Brat Gilchrist niezwłocznie, tu na miejscu wypisał dla naszego skarbu czek na sto tysięcy dolarów jako grzywnę za karygodne zapomnienie się na plenarnym posiedzeniu koła. Wysoki Brat Skarbnik wykona zarządzenie. Przechodzimy do pierwszego punktu porządku dziennego – przyjęcia nowych członków. Przystępujemy do omówienia kandydatury pani Lucji Rascob...

Winowajca stał i obzierał się<sup>13</sup>, wodząc dookoła szybko mrugającymi oczami. To, co go spotkało, nie mogło być rzeczywistością, gdyż nie mieściło się w najosobliwszej ani w najgorszej, ani w ogóle w żadnej rzeczywistości nadającej się do pomyślenia. Tu ktoś na poczekaniu zwariował, albo wysoki generalny sekretarz, albo on sam. Sto tysięcy? Cóż to, rozbój?! A ci siedzą i milczą...

---

<sup>13</sup> Obzierać się – dawn. obejrzyć, badać wzrokiem, oglądać coś, przypatrywać się czemuś.

– Więc jakże to? Jeżeli dobrze słyszałem... Ale tego niepodobna zrozumieć... Gdzie? Co? Jak? Czy jestem w szpitalu dla obłąkanych? Niechże się który odezwie! Obudźcie mnie! ... Na miłosierdzie boskie!

– Budzę cię, Gilchrist, opamiętaj się! – zawołał wysoki brat wielki skarbnik.

– I cóż z tego? Cóż dalej?!

– Sam! – odezwał się Shurman – nie zabieraj nam czasu, rzecz jest prosta; przeproś wysokiego brata sekretarza generalnego i nas wszystkich, a potem siadaj i płąć.

Na tym zakończyła się pierwsza próba buntu. Jednak w zasadzie położenie było fatalne. W istocie rzeczy wtajemniczeni mieli słuszność; pomimo ciemnoty w wysokich materiach generalnych, wiedzeni instynktem ludzi giełdy i interesu odgadli, że koniunktura Autarchii świata była o tej porze w najwyższym stopniu nieomyślną. Profesor van der Zypen wiedział o tym najlepiej, więc dla uspokojenia gromadki podwładnych sobie milionerów uciekł się do metody, jaką ratują się od wielu stuleci mężowie stanu – zaczął kłamać, żeby przetrwać i zyskać na czasie. Kręcił prawdą, rzeczywistością i oczywistością, kłamał na potęgę, z całym kunsztem niedoścignętego dialektyka i erudyty. A więc NIRA zrodziła się nieomylnie z ducha czasu i musi pójść w tym samym kierunku i, prędzej czy później, ideowo spotka się z Autarchią. Jest to prąd dla nas pomyślny i winniśmy wszyscy jako tajemny zespół wziąć w nim czynny udział, starając się, by nasi ludzie odegrali w ruchu wybitną rolę. Będziemy szukali nowych braci w parlamencie mózgów, tak właśnie brzmi ostatnia instrukcja Rady Najwyższej, gdzie powiedziano między innymi – starajcie się, by jak najprędzej pozyskać, wtajemniczyć i zaprzysiąc samego prezydenta...

To zwłaszcza wzbudziło zachwyty w siedmiu milionerach. Krnąbrny Gilchrist, który po przykładowym skarceniu siedział ponuro i opłakiwał w swym skąpym sercu stutysięczną grzywnę, na tę wieść rozchmurzył się, rozpromienił i gorącym oklaskiem uczcił wielką chwilę. Pochylił się do ucha wysokiego brata Clive'a Mortona, siedzącego obok maleńkiego, suchego jak szkielet starowiny, Matthew L. Pattersona, i wyszeptał w sekrecie dudniącym basem tak, aby usłyszał generalny sekretarz:

– Teraz widzę, że to morowiec. I ja jestem niezgorszy chłop, całym do rzeczy, trzeba mnie tylko wziąć za mordę.

W dalszym ciągu posiedzenia po długich rozprawach przegłosowano i uchwalono przyjęć za braci Harry'ego Elmera Kimballa

z Chicago oraz Thomasa Rice'a Hestona z San Francisco. Kandydatura Lucji Rascob, wniesiona po raz drugi przez samego wysokiego sekretarza generalnego, po raz drugi upadła wszystkimi głosami prócz głosu jednego Shurmana. Zarzucano jej, że jest nieznośną złośnicą i dziwolągiem, że interesy swoje prowadzi niepoczytalnie, że jest maniaczką, samotnicą, z nikim nie żyje i nikt jej nie zna, że wreszcie trudno byłoby we wtajemniczonym gronie znaleźć śmiałka, który odważyłby się pójść do niej i mówić o sprawie wielkiej, niesłychanej i trudnej z osobą nieznaną i obcą, a do tego wyjątkowo powikłaną i osobliwą. Shurman, zawsze chłodny i zrównoważony, nie mógł ukryć swego niezadowolenia.

– Powiedźcie lepiej po prostu, że jest kobietą. To wystarcza naszym konserwatystom, aby ją odrzucić, a dla większości radykalnej jest znowu za stara, a zwłaszcza wyjątkowo brzydka. Czemu nie mówić szczerze – niektórym z nas byłoby niemiło patrzeć na nią na konferencjach.

Dlaczego tak mu chodziło o pozyskanie Lucy? Gdyby i od niego zażądano szczerości, musiałyby się przyznać, że dobro Autarchii nie grało tu głównej roli.

Eddy Wychgram spodziewał się wyroku śmierci. W śledztwie policyjnym zapowiadano mu to w ciągu całych trzech dni i nocy po każdej palce w łeb, przy każdym kułaku w zęby, przy każdym kopnięciu między żebra, tak że w końcu musiał w to uwierzyć. Jedynie przyznanie się do winy i wydanie współników mogło go ułaskawić na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia karnego w Sing Sing. Inni już po paru godzinach bicia przyznawali się do bomb, do ekrazytu, których całkiem nie było, do zamachu na bank Morgana, o którym nikomu się nawet nie śniło i wplątywali pierwszych lepszych obcych ludzi, byleby uniknąć dalszych męczarni. Eddy rychło zmiarkował się, że jest to typowa sprawa, jedna z wielu, uknuta przez policyjną brygadę specjalną, oparta celowo na czystej prowokacji, aby za wszelką cenę wytępić w Nowym Jorku ugrupowania anarchistyczne, złożone przeważnie z cudzoziemców. Nie było mowy o jakiegokolwiek obronie, o dochodzeniu prawdy; sąd musi ich skazać i skaże – dla przykładu innych, Włochów, Rosjan, Chińczyków, Polaków, Skandynawów, Żydów, Hiszpanów, Turków, Persów, Arabów, którzy by zechcieli odgrażać się dynamitem i rozwieszać na drutach telefonicznych czarne sztandary.



Bity, poniewierany, ciskany o ziemię, krwawiąc i wypluwając wybite zęby, Eddy darł się wniebogłosy i błagał o zmiłowanie, ale zawstydził się okropnie, gdy przyszła kolej na profesora i stary znosił wszystko w bohaterskim milczeniu, nawet wydzieranie garściami patriarchalnej brody, a w przerwach tortury, gdy siepacze odpoczywali, usiłował ich oświecać słowami wymownej propagandy, za którą niebawem obrywał osobno, ponad normę. To też w drugim dniu śledztwa, gdy profesor leżał już nieruchomy i nieprzytomny, a ci jeszcze go kopali obcasami po twarzy, wyskoczył ze swego kąta, porwał leżący na stole młotek do obtłukiwania palców i zdążył walnąć jednego w czoło między oczy. Ocknął się dopiero w szpitalu więziennym, a po dwóch tygodniach, gdy przycichły straszliwe obolenia i jako tako przyszedł do siebie, zaczął rozmyślać nad swoim losem.

Przewlekła i nudna procedura śledztwa sądowego, gdzie już nie bili, nie zajmowała go zupełnie. Nie usprawiedliwiał się ani się nie obarczał, przygotowywał się po trosze do przemówienia na sądzie, ale i tej demonstracji publicznej, pierwszej i ostatniej w swoim życiu, nie nadawał zbytnej wagi. Ze spokojnym, mrozącym fatalizmem każdy pusty i nikczemny dzień więzienny popychał go ku jakiemuś dziwnie obojętnemu końcowi, za którym rozpościerała się bezbrzeżna nicność, wieczysta ciemność. Jego życie, zanim się zaczęło, urwało się w sposób zagadkowy, absurdalny, a niepodobna było zbadać przyczyny takiego obrotu w jego losach, zresztą zagadnienie nie było warte zachodu, albowiem jednostka nie posiada żadnego własnego znaczenia, podobnie jak kropla wody, która dopiero w niezliczonych miliardach kwintylionów, zagubiona w masie nabiera wartości, staje się olbrzymią żywiołową siłą, żywi, zabija, tworzy, niszczy i przeobraża postać ziemi. Odpędzał dociekanie o sobie, które w samotności natrętnie pchało się do głowy, bo cóż za osobliwość zdoła w sobie wykryć? Eddy Wychgram razem z jego początkiem, z niedługą karierą i z bliskim końcem jest po prostu śmieszny, to coś pomyłonego, w rekordowym stopniu nieudanego. Bo i co by z nim było, gdyby biedny ojciec nie był zbankrutował? Z pewnością pędziłby puste bytowanie przeciętnego milionerskiego synka, a w przyszłości zostałby oszustem, wyzyskiwaczem i zbrodniarzem społecznym jak każdy człowiek bogaty. Dlaczego uciekł od matki? Z odrazy do skromnego pensjonatu, dokąd wygnano ich po licytacji pałacu przy

Gramercy Park<sup>14</sup> i ze wstydu, że przestał być bogatym. Włóczęg się po przedmieściach, marzył o cudach, o niesłychanych spekulacjach na giełdzie, które pozwoliłyby mu spłacić ojcowskie długi i odzyskać honor nazwiska, a potem, gdy zdychał z nędzy i poniewierki, głupia dziecinna ambicja nie pozwoliła mu wrócić do matki i byłby zginął w niemiłosiernej dla nędzarzy pustyni Nowego Jorku lub, aby żyć – gdyż nie nauczono go pracować – przystałby do złodziei i co najwyżej dosłużyłby się stanowiska popychadła przy jakiejś bandzie gangsterów, dopóki by go wreszcie nie wsadzono. Dopiero mistrz Borowiczenko nadał sens jego niepotrzebnemu istnieniu.

Zaczęły się rzeczy olbrzymie; objawienie o fałszu w ustroju staroświata i wizja nowej społeczności, a dalej straszliwa apokalipsa rewolucji socjalnej i po niej szczyt i ujście wszystkich przeznaczeń kuli ziemskiej, złoty wiek ludzkości – anarchia! Nie wiadomo, jak i kiedy minął ten rok od pierwszego spotkania z mistrzem aż do chwili, gdy zagrożony i wstrząśnięty w posiadach moloch kapitalizmu rozwarł potworną paszczę i połknął ich obu, proroka i wyznawcę. Było to jakby jedno mgnienie oka i w nim wypełniły się do ostatka losy Eddy’ego Wychgrama, bezsprzecznie ciekawe, może nawet tragiczne, ale niepoważne. Jeszcze nie wiadomo, czy dzień sądu i wykonanie wyroku pozwoli mu skończyć w więzieniu jego dziewiętnaście lat? Diabelnie krótkie życie! Czyż nie mądrzej było nie urodzić się całkiem? Daremnie dociekać sensu w ludzkim istnieniu; żaden myśliciel nie odkrył go jeszcze, nie ma go bowiem zupełnie, jeżeli rozumować uczciwie bez metafizycznej blagi. A jeśli tak, to czy potrzebne są wielkie idee ludzkości, programy, walki, rewolucje ze straszliwym zniszczeniem, cierpieniem i przelewem krwi? Dzieje społeczeństw są zjawiskiem powikłanym, a w istocie niepojętym i przez to – przerażającym. W samotności więzienia myśli się inaczej niż między ludźmi, a wobec bliskiego nieuniknionego końca zatracza się i obumiera zawczasu tak zwana dusza, człowiek staje się niepogrzebanym trupem i cuchnie sam sobie. Odeszły, oddaliły się i znikły sprawy życia wielkie i małe, nie ma o co zaczepić się, a myśl uporczywie nie chce zgasnąć, snuje niepotrzebne tworzywo fikcji, snów na jawie, poczwarnych obrazów, absurdów. Unosi się w bezimiennym przestrzeni poza światem

---

<sup>14</sup> Gramercy Park – nazwa ogrodzonego prywatnego parku i otaczającej go dzielnicy określanej również jako Gramercy na Manhattanie w Nowym Jorku.

i przebywa już w dręczącej nicości, której żadną miarą niepodobna pojąć, tak samo jak ludzkiego istnienia. Z niczego i ku niczemu rodzą się żale, pragnienia, zamiary, natchnienia. Złe są majaki niezliczonych snów, jeszcze gorsze – godziny bezsenne. Nie ma wytchnienia ani dniem, ani nocą.

Eddy nie zaznał jeszcze w więzieniu rozpaczki ani strachu; los swój rozważył przy wydatnej pomocy kodeksu karnego i sędziego śledczego, a gdy go raz przesądził, poddał mu się bez oporu. Był więźniem spokojnym, rzecz można – wzorowym. Całymi dniami czytał opowiadania Jacka Londona<sup>15</sup> z szerokiego wolnego życia, ale czytał tylko oczami i myślał o czym innym. Poczucie miał nijakie, ale raczej niezłe; był poza światem, niezmiernie daleko od nienawistnego Nowego Jorku, nie widział nikogo, nie czuł dokoła siebie obrzydliwości ludzkiej i smrodu gromadnego życia w ciasnocie potwornego miasta, był wyzwolony z przymusu goryczy, nienawiści i walki, jak gdyby się zaparł i pozbył samego siebie; stał się wolnym – i cóż, że ta wolność nie prowadzi do niczego? Nic, krótkie słowo, oddawało teraz dokładnie całą treść jego istnienia. Wyzbył się już wszystkiego, poprzestawał na niczym i tak mijały dni, tygodnie, a z każdą godziną coraz dalej zagłębiał się w jakiś nowy byt; rzeczy, sprawy dawne oddalały się, nikły, obojętniały. Wielka rewolucja odbędzie się bez niego i dalej poprowadzi dzieło swoje aż do zwycięstwa i oczywiście nikt nie zapamięta jego imienia; czyż przez to stanie mu się krzywda? Nie zasłużył na pomnik ani na kartę w dziejach, co innego stary mistrz, osiwiwały w bojach na obu półkulach...

Co też on myśli sobie teraz w ostatniej samotności, w swojej ponurej celi, tak blisko, a jednak jakby na końcu świata, na tym samym korytarzu więzienia śledczego w Tombs<sup>16</sup>? Czy go czasami wspomni bodaj przelotnie, czy go pożałuje? Eddy nie żądał więcej, ale jakże by mu było ciężko, gdyby się dowiedział, że ubóstwiany nauczyciel dawno już o nim zapomniał...

Nie mogło być inaczej; zbyt ogromne sprawy wypełniały klatkę, w której przebywał stary rewolucjonista, żeby miał czas na sentymenty. Czasu w ogóle było już za mało nawet na rzeczy najważniejsze, a cóż dopiero... Wyliczył, że sprawiedliwość amerykańska

---

<sup>15</sup> Jack London (1876–1916) – urodzony jako John Griffith Chaney, amerykański pisarz, autor m.in. słynnej powieści *Biały kiel* (1906).

<sup>16</sup> The Tombs – potoczna nazwa Manhattan Detention Complex, miejskiego więzienia na Dolnym Manhattanie.

skończy z nim najdalej za dwa miesiące, więc podzielił sobie ten czas na trzy okresy, w ciągu których przerobił po kolei trzy natarczywie niezbędne zagadnienia. Za wszelką cenę musi zdążyć, choćby kosztem bezsennych nocy, gdyż niepodobna zejść z tego świata, nie rozstrzygnąwszy naprzód strasznych i dojmujących wątpliwości, które opadły go dopiero tutaj zaraz w pierwszych dniach po uwięzieniu. Wkrótce zrozumiał, skąd się to wzięło; nadchodził kres – to już jego ostatnie więzienie i ostatnie tygodnie życia. Sumienie rewolucjonisty jak w zwierciadle pokazało mu cały jego długi żywot strawiony w walce i domagało się sprawiedliwego obrachunku z zasług i błędów; chciał umrzeć godnie, w spokoju i harmonii ducha. Krytyka tego, co było, potępienie wszelkich niesłuszności, wykrycie nowych prawd, uzasadnień, programów, doktryn, lepszych zasad taktycznych – cała ta praca myśli nikomu nie będzie znana i zginie razem z nim. Sądząc po ludzku, z punktu widzenia korzyści społecznej, szkoda, że nie może być inaczej, ale w istocie to już wszystko jedno. Wytracony poza granice życia postawiony był sam na sam oko w oko z prawdą rewolucji, z jej absolutem. Teraz, tutaj w The Tombs nie wchodzi w grę i nie mając sądu żadne względy postronne, potrzeby polityki dnia lub uroszczenia, przesady, oporność gromady ludzkiej i jej potężna, wieczna ciemnota. Tutaj panuje wolna myśl, jest bezużyteczną, bezinteresowną, służy samej sobie. Moment śmierci jest zjawiskiem ostatecznym, niepowtarzalnym, w jego obliczu potężnieją władze ducha i dochodzą do nadludzkich wyżyn, osiągając niekiedy prawdę najwyższą, jedyną, prawdę prawd – absolut. Chyba że ohyda fizycznego cierpienia obezwładni człowieka i w ostatniej chwili uczyni zeń nędzarza, chyba że w długim czekaniu na szubienicę, gilotynę lub fotel elektryczny opęta skazańca upodlenie strachu. Ale on ani razu nie zaznał strachu, gdy nań wydawano wyrok śmierci i za każdym razem odczuwał w sobie podwojenie sił moralnych i umysłowych. Przed dwudziestu siedmiu laty, gdy go skazano za robotę bojową w Partii Socjalistów Rewolucjonistów<sup>17</sup>, w ciągu przedśmiertnych trzech dni i trzech nocy rozważył całe swoje życie, porzucił wszystko dawne i doszedł do nowej, wyższej

---

<sup>17</sup> Partia Socjalistów-Rewolucjonistów (SR, ros. Эсеры) – inac. eserowcy, eserzy; rosyjska socjalistyczna partia polityczna założona w 1901 r. przez rewolucjonistów wywodzących się z tzw. narodników. Do rewolucji lutowej i obalenia caratu była nielegalna; po przewrocie bolszewickim (rewolucji październikowej) została zdelegalizowana przez bolszewików.

prawdy – z esera<sup>18</sup> stał się anarchistą, a na czwarty dzień przyszło ułaskawienie na dożywotnią katorgę. Trzydzieści lat dzwonił kajdanami i wiernie służył anarchii, aż nadeszła Wielka Rewolucja i władza ludu. I znowu w tych samych moskiewskich Butyrkach<sup>19</sup> czekał na rozstrzelanie z wyroku panującego proletariatu, jak dawniej na carską szubienicę; siedł na śmierć niezachwiany, w ekstazie, wołając – „Niech żyje anarchia!”. W ostatniej chwili wzbudził politowanie, jako że był niepoczytalnym maniakiem, steranym na katordze, schorzałym, głupim i starym. Wygnano go na Wyspy Sołowieckie<sup>20</sup>...

Bezustannie, całymi dniami, nieraz i nocą biegał od kąta do kąta drobnymi przyuczonymi kroczkami więźnia i myślał, rozprawiał ze sobą; wspominał walki, prace długich lat, wędrówki emigracyjne, więzienia. Tak samo rozmyślał, chodząc z kąta w kąt na skos ciasnej pustej celi w Krestach<sup>21</sup>, w Butyrkach, w paryskim La Santé, w berlińskim Moabicie<sup>22</sup> i w Plötzensee<sup>23</sup>, w wiedeńskim Graues Haus<sup>24</sup>. Rozważał wszystkie sprawy świata i badał siebie, odczytywał swój niespisany pamiętnik, obrachunek życia, ale nie przyszło mu do głowy obliczyć, czy więcej swoich lat spędził po więzieniach czy na wolności.

Pierwsza teza: czy anarchia, rozpętując wszystkie żywioły dla zburzenia bezceństw kapitalistycznego ustroju i państwa, nie pograży świata na długie wieki w nieopisanym zdziczeniu? Czy na miejsce starych zbrodni nie wytworzy panowania nowych, jeszcze gorszych? Czy pozwalając na wszystko w okresie wielkiego

---

<sup>18</sup> Eser – członek Partii Socjalistów-Rewolucjonistów.

<sup>19</sup> Butyrki – więzienie przejściowe i śledcze w Moskwie. Powstało w XVII w. jako jedno z najcięższych więzień państwa rosyjskiego. Po upadku powstania styczniowego Rosjanie wzięli tam tysiące polskich powstańców.

<sup>20</sup> Wyspy Sołowieckie – por. przypis 179 w tomie pierwszym. W czasach Imperium Rosyjskiego Wyspy Sołowieckie były miejscem zsyłek więźniów politycznych, a w Rosji sowieckiej – pierwszych łagrów.

<sup>21</sup> Kresty – więzienie Kriesty (Кресты, Krzyże), potoczna nazwa aresztu śledczego w Sankt Petersburgu, położonego na prawym brzegu Newy, w historycznej Dzielnicy Wyborskiej, zbudowane w latach 1884–1890, było największym więzieniem w Europie.

<sup>22</sup> Moabit (Berlin-Moabit) – dzielnica Berlina, od 1 stycznia 1861 r. w granicach miasta.

<sup>23</sup> Plötzensee (Berlin-Plötzensee) – więzienie zbudowane w latach 1869–1879 w pobliżu jeziora Plötzensee, w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg-Nord.

<sup>24</sup> Graues Haus – potoczna nazwa więzienia Josefstadt przy Wiedeńskim Sądzie Okręgowym ds. Karnych w Wiedniu, największego więzienia w Austrii, oddanego do użytku w 1839 r.

przełomu, zniszczywszy wreszcie burżuazję, nie wyniesie na czoło społeczeństwa klasy łotrów, kanalii, potępieńców bez czci i wiary, którzy dorwawszy się do władzy, dopiero pokażą doskonały obraz ohydy? Jak z tym pogodzić wysubtelniony, wymarzony, wypiełgnowany przez mędrców o duszach chrystusowych ideał etyki anarchistycznej?

Druga: czyż zaprawdę nic nie waży i za nic się nie liczy niewymierzone potworne cierpienie i krzywda człowieka, jakie mu wyrządza rewolucja, powołana dla zniesienia cierpienia i krzywdy? Jaki nowy ustrój, bodaj raj na ziemi dla przyszłych pokoleń, odkupi męczarnie długich lat i dziesięcioleci, które spadną na niewinne tragiczne ofiary, na współczesników wielkiego przewrotu; czy w znaczeniu moralnym opłaca się jego okrucieństwo? Które bezceństwo gorsze: caratu czy rewolucji? Kapitalizmu czy władzy sowieckiej? Bolszewizmu czy anarchii?

Trzecia teza była jeno natrętną wizją wspomnienia, które jak upiór wychyńło niespodzianie z grobu przeszłości w pierwszych dniach po uwięzieniu. Którejś nocy wyśnił mu się i powtórzył jak żywy pewien obraz zapomniany ze szczętem. Było to za wojny domowej na Ukrainie w Hulajpolu<sup>25</sup>, w czasowej stolicy przelotnie zwycięskiego atamana Machny<sup>26</sup>. Na rynek miasteczka przypędzono gromadę jeńców z rozbitej białej armii. Smutny był ich los, gdyż w tej wojnie żadna strona nie żywiła jeńców, ale tym razem stało się, że ba'tko<sup>27</sup> zapragnął uradować swe srogie serce, czy też może pożałował naboi dość, że rozkazał wyróżnąć, wykluć, wyrąbać nikkzemników białą bronią. Wesołym gwarnym kręgiem otoczyli ich mołojcy; rozłupywano czaszki, miażdżono twarze, odrąbywano ramiona, wypuszczano kiszki, śnieg na rynku poczerwiał od posoki – wreszcie koniec. Patrzy batko i oczy mu się świecą, patrzy stojący przy nim szef oświaty i kultury Piotr Borowiczenko i ani mu słodko, ani gorzko, tyle już widział na swoje oczy, a rewolucja nie może inaczej, dopóki nie zwycięży – za to gdy zwycięży...

---

<sup>25</sup> Hulajpole – miasto na Ukrainie, w obwodzie zaporoskim, w rejonie połohowskim, siedziba hromady.

<sup>26</sup> Nestor Iwanowycz Machno (zw. *Батько Махно* – *Tatko Machno*; 1888–1934) – ukraiński anarchista i rewolucjonista. Walczył w Hulajpolu z okupacyjną armią austro-węgierską i niemiecką. Jego oddział zyskał wielką popularność wśród miejscowego chłopstwa, z którego wielu zaciągało się w jego szeregi. Żołnierze Machny wyróżniali się odwagą i okrucieństwem.

<sup>27</sup> *Bat'ko* (ukr. *Батько*) – tato, ojciec, opiekun.

A kiedy pościągano pomordowanych, żeby ich zabrać i wywieźć na lód rzeki Hajczura<sup>28</sup>, widzi, że ataman skradającym się krokiem, jakby boczkim podchodzi do kupy poszlachtowanych trupów i konających, którzy gdzieniegdzie ruszali się jeszcze, jęcząc, znie-nacka wskakuje na kupę ciał i zaczyna zawzięcie deptać zwyciężo-nych wrogów. Depce po głowach, miażdży twarze, przechadza się, krąży po zbitej masie, coraz prędzej przebiera nogami w szcerwie-niałych butach, aż nagle wyrzuci rękami w powietrze, zakrzyknie, zanuci i puści się w dzikie prysiudy<sup>29</sup>. Mołojcy z twarzami zbry-rganymi krwią zarechocą z zachwytu i utną zgodnym chórem hulaszczą pieśń chochłacką<sup>30</sup> z biciem w dłonie, z wykrzykami, z przygwizdywaniem.

Wnet odnalazł się harmonista i jął prążyć wściekłego triepaka<sup>31</sup>.

*...I twij tato i mij tato  
Buły sławni kozaki,  
Posiadały koło chaty  
Taj nas... jak byki!*

---

<sup>28</sup> Hajczur – rzeka na Ukrainie, w obwodzie zaporoskim, w rejonie połohowskim.

<sup>29</sup> Prysiudy – przysiady w ukraińskich i rosyjskich tańcach ludowych.

<sup>30</sup> Pieśń chochłacka (właśc. chachłacka) – gwara chachłacka to przemieszanie języka ukraińskiego z polskim, białoruskim lub rosyjskim (rusińskim), nie miała odmiany pisanej.

<sup>31</sup> Triepak – inaczej. trepak, taniec ludowy na Ukrainie i w Rosji, charakterystyczne dla tego tańca są drobne kroczyki i przytupy. Jednym z najbardziej znanych jest trepak Piotra Czajkowskiego z baletu *Dziadek do orzechów*.





## Rozdział drugi

Tam gdzie twój skarb, tam i serce twoje...<sup>32</sup>

Udaremniiony zamach na nowojorską centralę Morgana kosztował matkę Ralda okrągłe sto tysięcy dolarów, które z trudem wytar-gował pan Nickok; firma „Secret Help” żądała dwa razy tyle. Szanujący się i lojalny dom wywiadowczo-informacyjny nie mógł za niższą cenę odstąpić od obywatelskiego obowiązku zgłoszenia do władz posiadanych wiadomości o bliskiej zażyłości i wielokrot-nie powtarzanych poufnych naradach pana Geralda C. Rascoba z prowodyrami zbrodniczego zamachu. Tylko niezachwiana wiara firmy w niewinność młodego dżentelmena, który jak to bywa w tym wieku, nieopatrznie zawiązuje przygodne znajomości, spo-wodowała szczęśliwą możliwość polubownego załatwienia drażliwej sprawy. Prokurator, sędzia śledczy, wreszcie sąd inaczej, i to nader inaczej, mogliby zapatrywać się na pewne przykre i dwu-znaczne okoliczności, zanotowane w swoim czasie przez agentów firmy, dżentelmenów, zawodowców dyplomowanych i sędownie zaprzysiężonych.

Nieszczęsna Lucy po załatwieniu się z tym szantażem zamknęła się na trzy dni w swoich apartamentach z całą baterią butelek; musiała zapamiętać się i unurzać z głową w sromocie samotnej rozpusty, aby znieść nowy niespodziewany cios, aby uśmierzyć szalejące nerwy, czekała ją bowiem walna rozprawa z wyrodkiem. Ogłosi mu swoją decyzję, postawi mu warunki, zmusi go, aby jej

---

<sup>32</sup> Por. Ewangelia według św. Mateusza: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się, i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się, i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” Mt 6,19–23 (cyt. za Biblią Tysiąclecia).

wyznał całą prawdę: dość już ma niegodziwego terroryzmu milczenia, niech powie nareszcie, czego od niej chce! Wszak przy odrobinie dobrej woli z jego strony nie wykluczone jest porozumienie. Jednak okropnie bała się tej rozmowy, gdyż, pomijając resztę, ona nigdy nie zgodzi się na Inę Barnato, publiczną nagą tancerkę, która i przed nią stanęła w całym bezczelnym obnażeniu swoich uroszczeń, gdy odrzuciła zaofiarowany sobie kapitał pół miliona dolarów; przebrała miarę i zdradziła się ostatecznie. Trzeba ją złamać, zniszczyć – nie chciała po dobroci, odrzuciła szlachetną hojną ofertę urażonej matki – sama sobie będzie winna; niechże wie, na co się ważyła.

Mniejsza o dziewczynę; gdy się ją raz usunie czy unieszkodliwi, a jak – o to niech już boli głowa pana Nickoka – Rald po pewnym czasie uspokoi się i zapomni, ale idzie przecież o całą przyszłość chłopca zagrożoną w najwyższym stopniu, o pokierowanie losem dziedzica ogromnej fortuny, a kto tego dokona, jeżeli między nim a matką nie nawiąże się porozumienie i ta żywa, urocza łączność serc, utracona nie wiadomo dlaczego, kiedy i jak... Rozpacz ją brała, gdy spotykała zimne, obce spojrzenie syna, strach było odezwać się do niego... Więc drżała przed stanowczą rozmową, wciąż odkładała ją z dnia na dzień.

A teraz szuka zapomnienia i ucieczki, szuka odwagi i siły w tajemnych swoich praktykach, w upodleniu duszy pijaństwem, w zakłamanym ekstazach, wizjach szczęścia, zawartych w butelce whisky lub rumu – o ohydo... Piekielna rozkoszy! Wnet znajdzie się poza światem, w nowym, niepojętym kosmicznym wymiarze, wyzwolona z pamięci o dręczących sprawach ziemskich, w czarownym obłądnie, w którym się dzieją cuda. Nie potrzebuje się brzydzić i wstydzić swej przeklętej szpetności – jest piękną. I nie wiadomo, we śnie, na jawie, przywołany magią tęsknoty i wymarzenia czy wyżarty, wytrawiony w przepitym mózgu przez nową butelkę czterdziestoprocentowego rumu – do diabła, wszystko jedno! – nareszcie przychodzi on. Demoniczna zjawia łotra, szubrawca, krzywdziciela pogrąża ją w ekstazie ubóstwienia – wszystko darowane, ani słowa skargi, samo szczęście!

– Witaj Chuanie, ukochany zbrodniarzu! Bierz mnie w ramiona i nie odwracaj oczu, nie zaciskaj zębów z odrazy, dziś odmieniło mnie czarodziejstwo, patrz, patrz jak piękna jest dzisiaj twoja Lucy! Czy to prawda, że dziesięć lat spędziłeś za kratą, z ogoloną głową, w żelazach? A czy to prawda, że tamto było przed laty

dwudziestu? Nic podobnego – jesteśmy młodzi, jakże lekko, bez sekundy odpoczynku, bez zadyszenia wbiegam teraz po ciemnych, krętych schodach na twoje siódme piętro – Rue Danou...

Reverend Carrel zasiedział się dzisiaj, porwany wykładem o uchu igielnym, które od dwóch tysięcy lat bez mała nastręcza tyle kłopotów teologom, przedmiotem sporów, herezji oraz złośliwej demagogii. Mówił o dobrych bogaczach, których bogactwu sam Chrystus błogosławi, i o pewnym znikomym zresztą procencie nieco gorszych, i jest rzeczą oczywistą i stwierdzoną przez naukę nazywaną egzegezą Ewangelii świętej, że tych jedynie może mieć na uwadze przypowieść. Błędnym jest mniemanie, jakoby nauka o wielbłądzie i uchu igielnym nie odnosiła się do ubogich, choć o nich nie wspomina wyraźnie; stosuje się ona do wszystkich ludzi grzesznych, a wiadomo, że największy procent zatwardziałych, niepoprawnych grzeszników liczą właśnie klasy niższe, zwłaszcza w naszych czasach, a to dzięki knowaniom żywiołów buntowniczych, bezbożnych, hołdujących grubemu materializmowi, a również z powodu ciemnoty mas proletariatu, braku higieny, ich próżniactwa i pijaństwa.

Mała kilkakrotnie chciała go zapytać o coś bardzo ważnego, gdyż nie rozumiała dobrze wykładu, ale ksiądz pastor wpadł w krasomówstwo jak na niedzielnym kazaniu i nie dał jej przyjść do słowa, a gdy dwukrotnie odważyła się i zdążyła rzucić pytanie, zachował się jak głuchy, to bowiem do jego metody – w nauce religii nie było dyskusji między kapłanem a uczennicą. Sisely była już porządnie znudzona; spoglądała z irytacją na zegar, który wskazywał wyraźnie, że na dziś przepadła już dwudziestominutowa przerwa między lekcjami, zaraz zjawi się z niemiłosierną co do sekundy dokładnością pani Madden. Dobre i to, że stary nudziarz przychodzi ze swoimi kazaniem tylko raz na tydzień – mój Boże, co za szczęście być zwyczajną dziewczynką i chodzić do szkoły, gdzie jest strasznie wesoło, gdzie człowiek ma mnóstwo koleżanek, z którymi lżej znosić wszelkie udręczenia, albowiem nuda w szkole rozkłada się na kilkudziesiąt uczennic, gdy tutaj ona jedna musi wytrzymać na sobie cały jej ciężar. I pani Madden jest niegorszą nudziarą, ale już nie taką; z nią przynajmniej można pogadać o tym, o owym i jakoś zejdzie ta godzina; zresztą lekcje o sprawach społecznych są same przez się daleko ciekawsze od księżęgo żyłowania.

Czcigodny Walter Robinson Carrel siedział jeszcze w najlepsze, gdy weszła pani Madden ze swoją wypchaną czerwoną teką. Sisely doskonale wiedziała naprzód, jakie będzie ich powitanie.

- Witam panią, pani Madden, mamy dziś piękną pogodę, nieprawdaż?

- Tak, czcigodny, choć z drugiej strony trzeba przyznać, że leje od samego rana, że psa trudno wygnać.

- Leje? Owszem, trudno się nie zgodzić, że trochę pada, ale to deszczyk już prawdziwie wiosenny, zatem winniśmy się cieszyć. A jak zdrowie szanownej pani?

- Dziękuję, krople, które mi czcigodny zalecił, robią swoje, bóle nie powtórzyły się...

- Widzi pani! A żołądeczek?

- Ach, nie mówmy lepiej o moim żołądku, byle co mi zaszkodzi, na przykład wczoraj...

I tym podobne. Sisely w prostocie ducha sądziła, że zawód nauczycielski zapewne dla dobra młodzieży dobiera sobie specjalnie takie właśnie typy, które mają uosabiać powagę wiedzy, choć sama wiedza bynajmniej nie jest nudną, jest cudowną – ale tylko w książkach, wyciąganych ukradkiem z biblioteki ojca. Za to jej nauczyciele i nauczycielki... Ojciec powiada, że ją uczą najznakomitsze siły naukowe, osobistości głośne w Nowym Jorku i rozrywane przez najbogatsze domy miasta. Jeżeli ci są naprawdę tacy znakomici, to jakże okropni muszą być pośledniejsi!

- ...i wszędzie nastąpiły okropne bunty i niszczenie maszyn, cudownych wynalazków geniusza ludzkiego, które stworzyły najpiękniejszą cywilizację, jaką zna historia świata... Gdyż ciemne masy robotnicze zupełnie nie rozumiały dobrodziejstwa postępu dla całej ludzkości.

- Nie rozumiały również własnego dobrze zrozumianego interesu. Powtórz, Sisely!

- Te ciemne masy nie rozumiały również własnego dobrze zrozumianego interesu. One wciąż chciały powrotu do starych czasów, a to było niemożliwością, gdyż duch postępu jest niepowstrzymany, ten duch doprowadził wkrótce do ogromnego rozwoju kapitalizmu i bogactwa narodowego...

- I powszechnego szczęścia ludzkości, proszę powtórzyć!

- I powszechnego szczęścia ludzkości, które zapanowało powszechnie od połowy dziewiętnastego wieku, gdy kapitały zaczęły nadzwyczajnie wzrastać, i tak już będzie na zawsze, więc...

– Poczekaj, Sisely, skąd wiesz, że tak już będzie zawsze? Zapominaś o najważniejszym, pomyśl i odpowiedz!

Sisely pomyślała, a raczej na gwałt przypomniała sobie pewne miejsce w książeczce *Podręcznik ekonomii dla młodzieży chrześcijańskiej*, za który pani Madden otrzymała złoty medal od jakiegoś stowarzyszenia kobiet – aha...

– Wszyscy wiemy o tym z nauki ekonomii, bo bardzo mądrzy uczeni nareszcie wykryli zasady kierujące całym światem i te zasady są już wynalezione raz na zawsze, bo są takie mądre i żeby tam nie wiem co, to nigdy już nie mogą zmienić się na gorsze, dlatego też nazywają się prawami żelaznymi, żeby ludzkość przebywała w ustawicznej pomyślności i dostatku, kiedy dawniej bywały ciągle różne wstrząsy, które powodowały okropną nędzę, że ludzie jak muchy padali na ulicach i marli z głodu, ale te barbarzyńskie czasy minęły raz na zawsze wraz z rozkwitem kapitalizmu, który stworzył jednocześnie demokrację, czyli wolność i jednakowe prawa dla wszystkich ludzi.

– Dobrze. Gdzie kapitalizm i demokracja są najsilniejsze?

– U nas! W USA panuje największa pomyślność i największy dostatek, dlatego też w Ameryce każdy pracowity człowiek może w krótkim czasie dorobić się majątku, więc u nas również jest najwięcej milionerów, którzy wciąż niezmordowanie pracują i gromadzą kapitały dla służeńia dobru powszechnemu, a nasza sławna konstytucja otacza opieką prawa zarówno bogatych, jak i ubogich, a nawet czarnych, i dlatego u nas nikomu nie dzieje się bezkarnie krzywda, to też z dawien dawna ogromne mnóstwo cudzoziemców z całego świata przyjeżdża do nas, aby korzystać z wolności i się wzbogacić. Jesteśmy krajem najbardziej ucywilizowanym i najszczęśliwszym na całej kuli ziemskiej, więc u nas nie ma i nie może być żadnych buntów, socjalizmu, komunizmu i faszystów, które szerzą się w zacofanej i ubogiej Europie, gdzie po wielkiej wojnie światowej podupadła moralność publiczna i prywatna, przemysł i handel. Usiłowaliśmy ratować te nieszczęśliwe kraje i pożyczaliśmy im dużo miliardów, cóż kiedy oni zmówili się i od dwóch lat przestali nam płacić procenty, to też nie dostaną nic więcej i z pewnością pobankrutują, a w takim razie w jednych krajach zacznie się faszyzm, a w innych bolszewizm... Proszę pani – a co jest lepsze?

– To są dwie najstraszliwsze klęski naszych czasów; zapytaj raczej, co z dwojga złego jest gorsze!

– Przecież, jak jedno jest gorsze od drugiego, to chyba drugie już przez to samo musi być lepsze? Ja tam wolę bolszewizm.

Pani Madden, siedząca sztywno i prosto, osunęła się nagle w krzesło, a długie ramiona zwisły po obu stronach niemal do ziemi. Sisely poznała, iż wyrwała się z czymś nie tyle może głupim, ile w najwyższy sposób niedozwolonym; przerażenie nauczycielki upewniło ją, że miała słuszność. Pani Madden zerwała się i wzniosła ręce do góry. Była to osoba czterdziestoletnia, niezmiernie cienka i wysoka o długiej, nieco końskiej twarzy – teraz uczyniła się jeszcze wyższa, a twarz wydłużyła jej się znacznie, binokle spadły z haczykowatego nosa i Sisely rzuciła się je podnosić. Schylona pod stołem, wyprawiała tajemne miny z gwałtownym wywieszaniem języka i po chwili ukazała się z twarzą strapioną. Nareszcie lekcja zaczynała być zajmująca. Pani Madden w świętym oburzeniu z propagatorskim zachłystywaniem się jęła wyliczać zbrodnie bolszewików, zaczynając od zagrabienia majątków prywatnych z naruszeniem świętości safesów i bandyckiej odmowy spłacenia miliardowych długów zaciągniętych przez Rosję zagranicą. I tak dalej, i tak dalej. Sisely wytrzymała, póki mogła, wreszcie i ją porwał zapał polemiczny.

– Więc pani woli faszystów? A oni właśnie mają na sumieniu tyle trupów! Wszyscy wiedzą, że Mussolini kazał zamordować Matteottiego i półwiartować go na drobne kawałeczki<sup>33</sup>, Mussolini ma taką żelazną klatkę, a w niej wilczycę z dwojgiem małych na pamiątkę założenia Rzymu i co dzień rzuca tym wilkom kawały świeżego mięsa ludzkiego, które mu co rano dostarczają z więzienia, gdzie trzyma swoich przeciwników...

– Dziecko nieszczęsne, któż ci opowiada podobne brednie? Ja to muszę wiedzieć, rozumiesz, Sisely? Poproszę o audiencję i poskarżę się ojcu!

– On karmi ludzkim mięsem również i raki w swoich stawach, żeby były tłuste i smaczne, a potem je naturalnie zjada ze swoimi faszystami...

– Kłamstwo! Absurd i nonsens!! Plagiat z przekręconych faktów historycznych – to Neron<sup>34</sup> według Tacyta<sup>35</sup> rzekomo miał karmić ryby

---

<sup>33</sup> Giacomo Matteotti (1885–1924) – włoski polityk socjalistyczny, zamordowany przez bojówkarzy faszystowskich. Historycy twierdzą, że Mussolini wiedział o planowanym morderstwie Matteottiego.

<sup>34</sup> Neron – piąty cesarz rzymski w latach 54–68, syn Gnejusza Domicjusza Ahe-nobarbusa i Agrypiny Młodszej, późniejszej żony cesarza Klaudiusza.

<sup>35</sup> Tacyt (właśc. Publius Cornelius Tacitus) – historyk rzymski, prokonsul Azji w latach 112–113.



mięsem swoich niewolników, a ty mi tu wypłatasz o Mussolinim i jeszcze o jakichś rakach... Obrzydliwość!

W toku dyskusji do pokoju szkolnego wszedł niespodzianie ojciec, ale stropiła się nauczycielka, nie uczennica. Pani Madden nigdy nie widywała ojca Sisely, stawiała go wyżej nad półboga, przypisując mu chyba więcej niż trzy ćwierci istoty bóstwa na ziemi, miała go za tytana. Nauczanie córki nadczłowieka i jedynej dziedziczki jego miliardów uważała sobie za najwyższy zaszczyt i za drogę do wielkiej kariery pedagogicznej. Rzeczywiście bogate domy zaczęły już wydierać ją sobie na przyszły rok szkolny, ofiarowując bajeczne honoraria za godzinę lekcji, o wiele wyższe, niż otrzymywała w domu Shurmana, ale tu uczyłaby za darmo, dopłacałaby nawet. Z zapałem pracowała nad ukształtowaniem światopoglądu społecznego młodocianej istoty, powołanej do odegrania swej roli życiowej na zawrotnych wyżynach. Wpajała w nią cześć dla wielkiego pieniądza i bezgraniczną wiarę w jego wieczystość jako panującej potęgi, jako źródła ładu społecznego, powszechnego dobrobytu, jako jedynej ostoji cywilizacji i postępu. Była szczerą, jej cześć dla bogactwa była religijnie idealną, zupełnie bezinteresowną, ale przesadzała nieraz w gorliwości, aż stawała się śmieszna, co Sisely zaczynała już spostrzegać.

Teraz, stanąwszy znienacka w obliczu samego Harry'ego Shurmana, zmieszana się fatalnie. Nie wiedziała, jak się zachować; myśli w popłochu uciekły wraz z tą odrobiną wiedzy, którą posiadała, w głowie pustka – co będzie, jeżeli potentat zapyta ją o cośkolwiek... Trzeba było koniecznie na gwałt, bez straty chwili, odznaczyć się czymś, pokazać się, olśnić erudycją, wyrobieniem, bodaj dowcipem – a tu masz... Było to coś w rodzaju porażenia, jakie powinien odczuwać człowiek głęboko religijny, gdy w ekstatycznej wizji objawia mu się uosobiony Bóg lub jakiś znakomity święty z kalendarza. Na szczęście Shurman nie pytał o nic, poprosił tylko o zwolnienie małej z reszty lekcji, nie wdając się zresztą w wyjaśnienia, dlaczego to czyni, skłonił się lekko, zabrał małą i poszli.

– Ach, ojczu, postąpiłeś cudownie! Gdzie pojedziemy?

– Dziś nie pojedziemy, po prostu mam parę godzin czasu i chcę z tobą pobyc.

– Ależ tak właśnie najlepiej! Mam ci tyle do naopowiadania! Od trzech dni nie mogłam cię złapać na porządne pogadanie, a twoje dzień dobry i dobranoc – to jest przecie do niczego. I powiedz mi nareszcie, po co ty tak strasznie pracujesz?

- Dobrze mówisz, Sisely, sam wiem, że w tym nie ma sensu...  
- A widzisz! Masz do interesów tylu, tylu panów, w samym Nowym Jorku pełne biura – jest ich chyba z tysiąc...  
- Więcej niż trzy tysiące...  
- Widzisz, ojczcie! Więc niech oni robią.  
- Słusznie, słusznie, od dzisiaj się poprawię.  
- Już to słyszałam, mój drogi, tobie trudno wierzyć.  
- Nie byłem w biurze, nikogo nie przyjmowałem i ani jednego telefonu! Odpoczywam; tak będzie przez całe dwa tygodnie, może nawet gdzie wyjedziemy...

- Co za może?! Jazda i już! Do Miami? Do Kalifornii? Na słońce, na upał! Ale aeroplanem! Wstyd doprawdy, że ja jeszcze ani razu w życiu, a i ty również, słyszana to rzecz?

Już sam dźwięk jej głosu dawał przecucie radości, wydierał go z ciężkiego zgnębienia, uśmiechał się, choć jeszcze jakoś martwo; starał się słuchać, co mówiła, raczej trajkotała bez przerwy, po dziecinnemu przeskakując od rzeczy do rzeczy, ale nie bardzo podążał za nią, wciąż pogrążony w tępej zadumie nad jakimś nieszczęściem nie do naprawienia, nad swoją wielką, dziwną, niespodziewaną przewiną, choć właściwie myślał o niczym, w głowie czuł pustkę i przykry pulsujący ból.

Zaczęło się od sensacyjnego komunikatu policyjnego we wszystkich dzisiejszych gazetach, nowinę oznajmił mu na dzień dobry sekretarz osobisty Rodryg Canbank jako ciekawą osobliwość i gdybyż ten miły, serdeczny Rod, przyjaciel domu i poufały Sisely, wiedział, co narobił... Zdziwił się tylko przelotnie, że szef tak nadzwyczajnie zainteresował się obcą sprawą. Komunikat zawierał tylko pięć wierszy druku o tym, że władzom śledczym udało się stwierdzić tożsamość jednego z głównych uczestników anarchistycznego zamachu na centralę Morgana, młodego człowieka, podającego się za Charlesa Ursholla. Jest to Edward Wychgram, syn szeroko znanego na Wall Street wielkiego przedsiębiorcy i milionera Sama Wychgrama, który przed niespełna rokiem odebrał sobie życie wskutek bankructwa i zupełnej ruiny majątkowej.

Ten fakt nic nieznaczący i daleki stał się owym drobnym odłamkiem skalnym, który poruszony z miejsca na usternym<sup>36</sup>

---

<sup>36</sup> Ustermany – usypany. Por. W. Eljasz, *Szkice z podróży w Tatry*, Kraków 1874, s. 147: „ściany trzy tego niby szalasu ustermane są z głazów”.

usypisku górskim powoduje groźne oberwanie się lawiny kamiennej. Wszystko zawaliło się naraz przez krótką, suchą notatkę o tragicznym Eddym Wychgramie, o którego istnieniu Shurman zaledwie cośkolwiek wiedział był kiedyś i dawno zapomniał, jak zapomniał o ruinie i samobójstwie Wychgrama – ojca. Śnać wciąż nieustannie wisiało nad nim nieuniknione rozładowanie ciężkich problemów życia, czekało na swoją godzinę i godzina nadeszła. Tajemnym instynktem poznał, że to nie przelotne złe samopoczucie z kłopotów, z przepracowania, z nudy. Coś w nim rosło, zapuszczało coraz głębiej korzenie, aż dojrzało do ostatka. Może już nigdy nie zazna spokoju...

– Wiesz, ojcze, wyglądasz dziś marnie, co się zowie. Dlaczego ty nic nie mówisz? Stało się co, a może jesteś chory? Bądź weselszy, uśmiechnij się, bo mnie jest dzisiaj tak wesoło, tak strasznie mi z tobą dobrze...

– I mnie dobrze, Sisely, jestem z tobą zupełnie szczęśliwy...

Powinno tak być, po to rzucił wszystko i uciekł do niej, zabrał ją z lekcji, a teraz nie wiedział, co z nią począć, z początku zdawało się, że mała i tym razem wybawi go swym czarodziejstwem, ale gdzie tam! Rzecz niesłychana, Sisely zaczynała go już męczyć swą gadaniną, nudzić. Nagle zapragnął znaleźć się na końcu świata, na bezludnej wyspie, sam jeden na bezmiarze oceanu. Po co mu to? Jak to po co? Aby umrzeć spokojnie, a o jego śmierci nikt nie ma wiedzieć. A Sisely? Cóż z tego, że Sisely – wszystko na świecie jest śmiesznym przywidzeniem, nonsensem, niepotrzebnym nikomu. I niespodziewanie zrozumiał do głębi wszystkich samobójców; o cokolwiek im tam chodziło, każdy w ostatniej przedśmiertnej chwili wiedział to samo, co i on teraz: nie warto pożałować niczego, co zostaje na świecie, z niczym nie trzeba się żegnać, tylko uciekać, uciekać!

Sisely szeroko rozwarła oczy, zagasło jej promienne, radosne wejrzenie, w głębinie źrenic rozwarło się jakby nagłe jasnowidzące zrozumienie i czystą jej twarzyczkę skaził strach...

– Co, ojcze? Co to jest?

Ojciec przygarnął ją do siebie z taką mocą, że straciła oddech, ramieniem gniótł jej żebra, a drugą ręką przycisnął do piersi jej głowę. Trwało to mniej niż dwie, trzy sekundy, ale ją porwał lęk, że ten ojciec zmiażdży ją na śmierć.

– To nic... To nic, Sisely... Bo sama widzisz... Zanadto cię kocham, moje dziecko...

Tak minęła najgorsza chwila, ale przysięgłby, że gdyby teraz nie miał koło siebie małej, nic by go nie powstrzymało, w biurku, tuż pod ręką, od dawna czekał na taką chwilę colt naładowany i gotowy.

W tym gabinecie siedział nie tak dawno, składał ręce i błagał ratunku stary Wychgram, żebrał o jego podpis i wreszcie płakał – czy nad sobą, nad swoją ruiną? Nie, beznadziejnie skazany bankrut prosił na próżno, z góry wiedząc, że nic nie wskóra i tutaj postanowił skończyć ze sobą i ze wszystkim, więc zapłakał nad losem jedynego syna. Albowiem ujrzał go był w niemyślnej wizji przedśmiertnej w więzieniu, na ławie oskarżonych, skazanego na śmierć...

Demon racjonalizmu, kalkulacji, poprawności w interesach nie pozwolił Shurmanowi ustąpić przed rozpaczą starca, przyjaciela jego zmarłego ojca, niedola ofiary kryzysu, uczciwego, czystego człowieka nawet nie mogła go wzruszyć, bowiem odwieczną zasadą pieniądza jest pewność.

Odmówił wręcz. Nie mógł postąpić inaczej; nie darmo pouczał go ojciec, by w interesach przewycięzał sentyment, to też gdy w ciągu lat wytępił go ze szczętem, nie wziął do serca ruiny starego Wychgrama ani jego tragicznego końca. Bankructwa, samobójstwa były wówczas, i dalej są, zjawiskiem codziennym. Oczywiście, mógł mu dopomóc, mógł go nawet uratować bez najmniejszej trudności, ale w jakim celu miałby ryzykować trzy miliony dolarów? Dla uczczenia pamięci ojca? A więc z sentymentu? Nie.

Dopiero teraz upiór nieszczęsnego Wychgrama powstał z grobu i upomniał się o swoją krzywdę. Przed nieskazitelnie czyste, przerażająco zimne sumienie Shurmana stawia syna swego, niedorosłego chłopca, którego ruina i śmierć ojca wyrzuciły na bruk i pchnęły między męty społeczne, sponiewierane, poniżone i wściekłe, oślepię z nienawiści ku wszystkiemu, co stoi wysoko, panuje... Pożałowałeś, Shurmanie, bogaczu nieprzebrany, puścić na niepewne tych marnych kilku milionów, które były dla ciebie, są i zawsze będą niczym, jednym groszem. O tobie to, Shurmanie, powiada Pismo Święte: tam gdzie twój skarb, tam i serce twoje...

Natychmiast zajął się chłopcem. Polecił wyszukać mu pierwszorzędnego, bardzo drogiego, szeroko i wysoko ustosunkowanego adwokata, puścił w ruch duże pieniądze. Po raz pierwszy w życiu poważił się na rzecz nielojalną i karygodną, a nawet bez żadnych przenośni po prostu karalną wedle litery prawa, był to bowiem

typowy amerykański „graft”<sup>37</sup>. Postanowił wyciągnąć małego, a potem zająć się nim jak ojciec, nakazał pozyskać, opłacić, kupić każdego po kolei z gentlemanów, od których zależał przebieg śledztwa, akt oskarżenia, sąd i wyrok. Zajął się tym z gwałtowną, niemal chorobliwą gorliwością. Los biednego Eddy’ego chwycił go za serce, ale było to złudzenie, usiłował oszukać sam siebie, a w istocie składał ofiarę dla przebłagania, a raczej przekupienia tajemnych potęg, które obudził był i pchnął na niego skrzywdzony samobójca.

Odmowa żyra<sup>38</sup> staremu Wychgramowi była takim samym nonsensem, jak i doniosła operacja, której dokonał był wczoraj – zakupienia ryczałtowego na wyjątkowo dogodnych warunkach wszystkich przedsiębiorstw koncernu „Wool & Cotton Co.”, który po upadku Jefferson Trust Bank znalazł się w położeniu natarczywie przymusowym. Operacja ta była klasycznym kawałem „Spoils-systemu”<sup>39</sup>, rabunkiem, łupem kryzysowym. Po co to uczynił? Z rutyny, z przyzwyczajenia, przy natarczywych namowach zarówno ze strony swoich ludzi, jak i pośredników i adwokatów, choć było mu to zupełnie niepotrzebne. Działał tu automatycznie i samowolnie napór wielkiego pieniądza, potworny ciężar nagromadzonego kapitału; shurmanowskie miliardy jak wylew lawy szukały dla siebie ujścia i obszaru, dla owego nadmiaru złota, które nie może już zmieścić się w pancernych skarbcach, rozsadza je i wydziera się w świat jak nieposkromiony żywioł, aby tworzyć lub niszczyć, budować lub rozwalać, dawać ludziom pracę i chleb lub je odbierać... Wszystko jedno – nikt nie zapyta o sens tych procesów, o ich potrzebę czy pożytek. Naczelne żelazne prawa kapitału, to nade wszystko nieustanny obrót, wieczny ruch, ślepa, obłądna pogoń za procentem, za dywidendą, za zyskiem, za lichwą.

„A reszta będzie wam przydaną...”<sup>40</sup>

W tym dniu fatalnym Shurman nie mógł się doszukać żadnej reszty. Nieludzka, niewolnicza praca trzydziestu pięciu lat jego

---

<sup>37</sup> *Graft* (ang.) – przeszczep, w amerykańskiej wersji języka angielskiego słowo to oznacza łapówkę.

<sup>38</sup> Żyro – rodzaj poręczenia, najczęściej finansowego.

<sup>39</sup> *Spoils system* (ang.) – w polityce i rządzie: system łupów; praktyka, w której partia polityczna, po wygraniu wyborów, daje pracę rządową swoim zwolennikom, przyjaciółom i krewnym jako nagrodę za pracę na rzecz zwycięstwa i jako zachętę do kontynuowania pracy dla partii.

<sup>40</sup> Por. Mt 6,31: „Starajcie się naprzód o królestwo i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane” (cyt. za Biblią Tysiąclecia).

życia nie dodała mu nic dla duszy, dla serca, nawet dla byle jakiej przyjemności. Póki żył ojciec, panowała w nim przewaga jego geniusza i woli; wierzył w wielką misję pieniądza, a w niej – w swoją rolę służebnika realnych, a zarazem mistycznych celów kapitału. Potem, zostawiony sam sobie, ugiął się pod potwornym ciężarem dziedzictwa i surowego testamentu ojca, który snać dostrzegał w synu zaród słabości niedopuszczalnych wątpliwości. Nie mógł się otrząsnąć z dogmatów, którym hołdował cały świat; momenty buntu bywały rzadkie, przelotne i niemrawe. Mijały lata, wreszcie popadł w nałóg zbijania milionów, mechaniczny, bezduszny, pozbawiony uroku wielkich zamiarów, bez ambicji, bez planu, bez świadomego celu. Inni potentaci z jego otoczenia robili to samo, czyli robili pieniądze, ale z zapalem, z rozmachem, z namiętnością wielkiego hazardu. Wypowiadali wojny, wszczynali długie uporczywe kampanie, staczali walne bitwy, broniąc siebie, niszcząc przeciwnika, a i teraz w dobie katastrofalnego kryzysu i załamania się przeróżnych żelaznych praw i tylu ustalonych wartości nie utracili wiary w swoje szczytne powołanie, w ideę wielkiego służenia społeczeństwu, w owo iście amerykańskie pojęcie własnego znaczenia oraz narodowego pożytku ich pieniądza, w wieloznaczące, magiczne słowo *service*<sup>41</sup>. Nie uważali go za swojego, był człowiekiem nieamerykańskim, nieaktywnym, szanowali nie jego, lecz pamięć Shurmana-ojca, bojownika i zdobywcy minionej epoki, oraz jego miliardy, z którymi Shurman-syn przez całe życie jak gdyby nie wiedział, co począć.

Nie wiedział i teraz w tym ciężkim dniu obrachunku...

Gdyby żył w „czasie onym” jako bogacz na miarę żydowskiej Galilei, łatwo by mu przyszło „rozdać swe mienie ubogim”<sup>42</sup>, jak w prostocie ducha nakazywał Nauczyciel, i stać się wolnym; ale cała mądrość Chrystusowa nie zdołałaby teraz podzielić i rozdać shurmanowskich miliardów. Więc założy kolosalną, na miarę światową fundację swego imienia na wzór funduszy Carnegiego i Rockefellera i bez trudu pobije ich znamienite rekordy hojności, miłosierdzia, kultury, międzynarodowości i reklamy, albowiem odda ludzkości cały swój niewiarogodny czysty dochód z mnóstwa

---

<sup>41</sup> *Service* (ang.) – służba.

<sup>42</sup> „Wtedy Jezus spojrział z miłością na niego i rzekł mu: «Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną!» ” Mk 10,21 (cyt. za Biblią Tysiąclecia).

przedsiębiorstw, które dalej będzie musiał prowadzić. Co prawda uwolni się od ciężkiej plagi nagromadzania się dochodów, które pchają go do ustawicznego rozszerzania interesów bez miary i kresu – *ad absurdum*<sup>43</sup>; jest w tym duża ulga i nawet niejaki sens. Owszem, owszem...

Podobne plany pozbycia się bogactwa i wszystkie inne możliwe rozważał z pewnością pewien wariat, zanim wreszcie... Osławiony na cały świat człowiek-unikat, który rzekomo żyje jeszcze i nie może doczekać się śmierci, gdzieś w zamknięciu pielęgnowany starannie i pilnowany jak w więzieniu, aby zaś nie uciekł po raz dziesiąty na włóczęgę i na żebrany chleb. Od dawna zapomniany, w głębokiej starości snuje swoje tajemne myśli wielki ongiś mocarz pieniądza. Pewnego dnia, przed dwudziestu pięciu laty, znikł był bez śladu, aż dopiero przedziwnym trafem Shurman-ojciec na parę miesięcy przed swoją śmiercią spotkał go był na ulicy w Paryżu w łachmanach, trzęsącego się z zimna, gdy wyciągał dłoń po jałmużnę. On to zabrał go przemocą i oddał w ręce rodziny ze wstrętem, z niesłychaną pogardą – to był zaprzaniec bogactwa i zakała swej klasy – Everett Sanfort Binnegan. Odrzucił absurd i ciężar olbrzymiej fortuny, zapragnął głodu, nędzy, ponieważ, ale odnaleziono go w bezmiarze świata i pod strażą jak przestępcę odstawiono z powrotem do jego milionów, a na dobitkę, jak na złość, uratowano cudem w straszliwej katastrofie „Atlantica”. W tej fantastycznej postaci zawierały się głęboka filozofia i cały program. Ale Shurman szukał czegoś innego.

Kolosalny plan Autarchii świata oraz nieruchome, niebieskie, porcelanowe, opętujące oczy van der Zypena, nieudźwigniony ciężar jego argumentów, wprzęgły go w nowe prace o niemałym uroku konspiracyjno-wariackim, to też rytualne posiedzenia z wysokimi braćmi, dyskusje, a nawet instrukcje Rady Najwyższej z Paryża uważał początkowo za niewinną rozrywkę, a jego nominacja *in spe*<sup>44</sup> na Wielkiego Autarchę była mu nawet naprawdę miłą, gdyż rodziła w nim górnolotne marzenia, a przede wszystkim nie zobowiązywała do niczego. Była to jakby złuda własnej wyższości w jakimś nieprawdopodobnym sennym przywidzeniu. Wszystko otoczone było jeszcze atmosferą chimeryzmu, pustego eksperymentu, czegoś w rodzaju seansów spirytystycznych w klubie milionerów. Dopiero

<sup>43</sup> *Ad absurdum* (łac.) – argument odwołujący się do absurdu, rodzaj argumentu.

<sup>44</sup> *In spe* (łac.) – w przyszłości (spodziewanej).



tego dnia, jak mówi Pismo, „łuska spadła z jego oczu”<sup>45</sup>, przeniknął i dostrzegł wielkość i głębię całego zamierzenia, i naprawdę uwierzył w van der Zypena.

Stało się to nie wiadomo jak, zapewne mocą tajemnego podświadomego procesu, który trwał długo, aż dokonał swego; musiała przyjść chwila, gdy umęczona, wytęskniona prawda dała mu wreszcie dostąpić łaski i oddała mu się jak kapryśna, wymagająca, trudna kobieta. Objawiła się nagle, olśniewająco – jak w natchnieniu.

Pojechali ciężkim pancernym buickiem z atletą Joe Campiognim przy szoferze, a za nimi jak zawsze, gdy Sisely wyruszała na miasto, dwa motocykle z eskortą czterech uzbrojonych ludzi. W Muzeum Przyrodniczym oprowadzał ją, dając objaśnienia zdławionym i zgnębnym głosem, a na jej pytania odpowiadał bez sensu. Potem okrążyli cały Central Park i na żądanie małej pojechali w stronę tunelu pod Hudsonem, gdzie jeszcze nigdy nie była, przez Eight Avenue i Greenwich Street, i powrócili tą samą drogą. Shurman jechał jak we śnie, pogrążając się w momentach ciemnej nicości i wynurzając się na światło dzienne; wówczas zdumiewała go nawała rozpędzonych samochodów i tłumy ludzkie, nie poznawał ulic i przymykał zdrewnione oczy, a czyjś głos dochodził go z daleka martwo i sztucznie jak przez telefon. Ktoś go pyta o coś natarczywie i budzi, szarpiąc go za ramię. Z trudem wydziera się z ciężkiej ospałości, ze zdumieniem widzi, że to Sisely, głos jej się załamuje, mała ma w oczach łzy.

– Co? Mów głośniej, Sisely, bo nie słyszę...

– Gdzie on mieszka?! – krzyczy wystraszona.

– Kto?

– Doktor Wuard! Każ do niego jechać! Zaraz, natychmiast! Ty jesteś chory! Albo nic nie mówisz, albo odpowiadasz ni w pięć, ni w dziewięć... Jak ty patrzysz na mnie? Na pewno masz gorączkę, ojczule! Ja się boję!

– To nic, daruj mi, maleńka, zamyśliłem się trochę.

Serdecznie, miękko przytulił do siebie córkę, jej kochające spojrzenie odpędziło precz zmorę. Roześmiał się ze swoich przywidzeń; jak można być nieszczęśliwym, posiadając taki cud, taki skarb!... I odezwał się do niej jak król z bajki, potężny i wszechmocny,

---

<sup>45</sup> Fragment Dziejów Apostolskich dotyczący nawrócenia Szawła: „Natychmiast jakby łuski spadły z jego oczu i odzyskał wzrok, i został ochrzczony” Dz 9,18 (cyt. za Biblią Tysiąclecia).

któremu w dobrej chwili zachciewa się okazać komuś całą pełnię swojej łaski.

– No, Sisely, powiedz, co ci się tam znowu marzy, co chciałabyś teraz mieć, wszystko będziesz miała.

– Naprawdę wszystko? Słowo?

– Słowo!

– Bo widzisz, ja mam wielki kłopot... Od przedwczoraj! I sama nie wiem, co robić... Przecież po ostatniej awanturze o tę moją protekcję dla trzech wydalonych urzędniczek tyś mi zabronił raz na zawsze wtrącać się do twoich interesów...

– Aha... Znowu cię ktoś nabiera i oczywiście na fundusz w ścisłym znaczeniu słowa. Pomówię dziś z panią James, bo jakoś zbyt łatwo ma do ciebie dostęp pierwszy lepszy nabieracz. To się musi raz skończyć, rozumiesz, Sisely?

Od chwili przyjścia na świat córki manią Shurmana stał się strach przed rocketeersami, ustawicznie obmyślał coraz to bardziej ulepszone metody zapewnienia jej bezpieczeństwa przed porwaniem, w tym względzie zdarzało mu się nieraz przebrać miarę aż poza granice zdrowego rozsądku. Toteż mimo straży, czuwającej nad Sisely na każdym kroku bez przerwy dniem i nocą, paru niewątpliwie samozwańczych pośredników wyzyskiwało go bezczelnie, pobierając co miesiąc stały haracz bezpieczeństwa w imieniu rzekomych szajek, wyspecjalizowanych w porywaniu małoletnich. Zapewne ci sami spryciarze zasypywali go listami z pogrózkami. Shurman wstydził się, wściekał, ale w najgłębszej tajemnicy płacił i płacił. Mania zaostrzyła się po zbrodni, która wzburzyła Amerykę i cały świat – po porwaniu i zamordowaniu dziecka Lindbergha.

– Nie było u mnie żadnego nabieracza, mój drogi, to sprawa bardzo poważna, dziewczynki z Kalamazoo Michigan<sup>46</sup> przysłały do mnie list zbiorowy, czyli można powiedzieć całą petycję, napisaną na maszynie, ale pod nią jest siedemset piętnaście podpisów; policzyłam je dokładnie – to są tylko starsze, ale tam jest jeszcze trzysta siedem małych dziewczynek, co nie umieją pisać, czyli razem – tysiąc dwadzieścia i dwie. Jeżeli dodać chłopców, co najmniej drugie tyle, wypadnie nam dwa tysiące czterdzieści i czworo dzieci, a one nie mają ani ubranek, ani bielizny, ani trzewików, no

---

<sup>46</sup> Kalamazoo – miasto w Stanach Zjednoczonych, w południowo-zachodniej części stanu Michigan, siedziba hrabstwa Kalamazoo, nad rzeką o tej samej nazwie. W mieście znajduje się Western Michigan University.

i ciągle są głodne od samego Nowego Roku, kiedy kazałeś zatrzymać tę fabrykę...

– Ja kazałem? Mówisz, jakbym to zrobił umyślnie na złość tym dziewczynkom! Czyż nie wiesz, co się dzieje u nas i na całym świecie? Od roku nikt nie kupuje moich rondli aluminiowych...

– A cóż temu winne biedne dzieci?

– To może ja jestem winien?

– Ja nie mówię, że jesteś winien, ale trzeba im pomóc, koniecznie i to zaraz, bo co ja im nieszczęsna odpowiem? Będziesz płakał, czytając ich list, tak jak ja!

– Owszem, mogę płakać, ale zrozum, że nie możemy karmić i odziewać całego świata.

– Ależ to dzieci naszych robotników! Czy ty tego nie rozumiesz, ojczu?

Zmieszał się, odpowiedź była zupełnie nieoczekiwana; zdjął go przelotny gniew, ale ponieważ gniewać się na Sisely było dlań niepodobieństwem, więc zawstydzził się – jednak ta mała dała mu po nosie... Milczał przez chwilę, po raz pierwszy w życiu problemat robotnika ukazał mu się w dziwnym nowym świetle; ręce robotnicze był to po prostu jeden z czynników produkcji, jak pieniądź zakładowy i obrotowy, jak maszyna, węgiel, surowiec, rynek zbytu. Reszta – były to sentymentalne frazesy lub demagogia. To ładnie, że Silesy ma dobre serce, ale nie można pozwolić, by nadużywając jej imienia, eksploatowali go prowodyrzy związków. Ta sztuka im się nie uda – tak odgrażał się z przyzwyczajenia, ale raczej formalnie, gdyż w istocie...

– Nie wiem, czy pamiętasz, co napisał w swoim noworocznym orędziu nasz biskup Kirkpatrick?

– Nie czytałem tego.

– On napisał, że nie zna się na sprawach ekonomicznych – to tak samo jak ja, ale żeby tam nie wiem jakie mądre racje były w tym kryzysie, to jest niedopuszczalne, żeby cierpiały niewinne dzieci, inaczej klątwa Boża spadnie na podły świat, bo panu biskupowi idzie tylko o biedne dzieci, tak samo jak mnie. Ty myślisz, że mnie po tym liście przyjemnie zajadać dobre rzeczy? Całkiem nie.

Shurman kazał zawrócić na Broadway do wielkiego domu towarowego R.H. Macy & Co<sup>47</sup> i stamtąd zatelefonował do domu. Zaczęli

---

<sup>47</sup> R.H. Macy & Co. – obecnie Macy's; amerykańska sieć domów towarowych założona w 1858 r. przez Rowlanda Husseya Macy'ego.

jeździć po wysokich piętrach, oglądać ubranka, swetry, bieliznę, trzewiki, książki, zabawki, po dwudziestu minutach stawił się Rod, zjechali pod ziemię do kolosalnych składów słoniny, mąki, cukru, konserw, szynki i wszelakich różności, pomimo wykrzywiania się ofiarodawczyni Rod dodał jeszcze do każdej paczki aż po pół galona tranu. Umówili się z Sisely, że sama z całym ładunkiem uda się na miejsce i według ostatnich wykazów kontrolnych fabryki zajmie się rozdawnictwem, ażeby nikt niepowołany nie nadużył jej zaufania, na pewno bowiem zgłosi się cała hurma obcych bezrobotnych z mnóstwem dzieci.

– Ach, biedni! Trzeba obdzielić wszystkie, wszystkie dzieci bezrobotnych w Kalamazool.

– O nie, o tamtych niech już pomyślą ich własni fabrykanci!

– A jeżeli oni nie pomyślą?

Shurman nie mieszał się do rzeczy, wśród układania spisu najprzeróżniejszych sprawunków nie zapomniano i o niemowlętach – w zamęcie i natarczywości sprzedawców, którzy skręcali się jak w ukropie przy tym nadzwyczajnym obstalunku – średnio po pięćdziesiąt dolarów paczka – pogrążył się w zadumie nad odkryciem, które dokonało się w nim nie wiadomo jak. Po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie – dla kaprysu małej – na hojność zupełnie irracjonalną, na filantropię nieprowadzącą do niczego i był zadowolony ze siebie, a Sisely wzbudziła w nim zachwyty i wdzięczność.

Rzecz zdumiewająca – przecież to ona wywiodła go z pomroki nędzy na jakieś nowe życie! Co dalej? Nie wiadomo, ale dawne zastażale i obmierzłe skończyło się w nim bezpowrotnie, trzeba rzucić wszystko i poczynać inaczej. Reszta, wielka odmiana zależy już od niego, mała zrobiła swoje. Jak nie opowie jej, co uczyniła kiedyś dla biednego ojca w przełomowym dniu jego niedoli. Wydierały się z niego słowa czułości i podzięką, ale cóż, mała nie zrozumiałaby ani słowa. On sam również jeszcze nie wiedział, co się w nim właściwie stało.

Gdy wracali do domu, na Czterdziestej Trzeciej Ulicy utkwili na długo w zatorze przed Keith Hippodromem: do czwartego piętra sięgało kolosalne jaskrawe i ordynarne malowidło reklamowe – nowy program – „Buno poskramia rekiny, szczury i wszystkie mały! Buno zwalcza kryzys światowy!”. Brodaty kłown w kapeluszu Buffalo-Bill<sup>48</sup>

---

<sup>48</sup> Buffalo Bill (właśc. William Frederick Cody; 1846–1917) – myśliwy, organizator i aktor widowisk rozrywkowych; bohater Dzikiego Zachodu.

z czerwonym szalikiem, w niezmiernych cowboyskich majtadałach<sup>49</sup> kręcił nad głową lassem i cwałował na rozhukanej żyrafie w pogoni za uciekającym w panice stadem najrozmaitszych bydła, które snać wymknęły się z jakiejś menażerii. Uciekały przed nim lisy, wilki, tygrysy, lamparty, krokodyle, hieny, szakale, dzikie świnie, węże, nawet rekiny, a dalej szczury, małpy, śmierdziele... Za Bunonem i żyrafą zdążyło, jak mogło, nieprzejrzane stado baranów.

– Ojczy, tyle razy obiecywałeś mi Bunona! On może wyjechać na koniec świata, może być wybranym na Kongres, a nawet może umrzeć, a ja go nie zobaczę! Rod, widziałeś go już w nowym programie?

– Nie, ale podobno wspaniale przedrzeźnia groźne mowy nowego prezydenta do audytorium tych wszystkich zwierzaków, które słuchają go pilnie i potakują każde swoim głosem, a potem hurmem rzucają się na niego i pożerają go żywcem wraz z żyrafą, a barany biją oklaski i beczą – brawo!

– Ale patrz, ojczy – przecież on jest zupełnie podobny do twojego uczonego manekina, do tego nudziary, co ci zabiera tyle czasu – do profesora Vanderzypena!

– Naturalnie! To rodzeni bracia, a do tego bliźnięta!

– Wstydzilibyś się, Rod, a ty, Sisely, nie pozwalaj sobie zanadto. I wiedzieć oboje, zapamiętajcie sobie, że profesor to wielki człowiek, a niebawem na cały świat zasłynie jego imię! Ja wam to mówię.

Shurman szczerze wierzył w swoje słowa, wypowiedział je niespodziewanie dla samego siebie, jak w przystępie natchnienia. Nie dostrzegł nawet, że dopiero dzisiaj, właśnie w tej chwili, doznał łaski objawienia nowych prawd i uwierzył w swojego proroka.

Była to wiara irracjonalna i mistyczna, zrodzona z pustki i z rozpaczy, odtąd będzie się jej trzymał jak tonący i nie puści jej, choćby od sprzysiężenia odpadli wszyscy wysocy bracia. Czy zostanie owym nieprawdopodobnym, wyobraźalnym Autarchą, panem świata? Czy wielki spisek zwycięży kapitalizm, socjalizm i wszystkie egoizmy, rozbieżności i przeciwieństwa starej ludzkości?

Gdy to rozważać, myśli rozbiegają się w popłochu, ale sama idea uderza do głowy jak wspaniałe wino, budzi wyobraźnię, zapal, żądę czynu, namiętność władzy, rozkoszną ciekawość – co będzie?

---

<sup>49</sup> Majtadały – duże, szerokie majtki.

## Rozdział trzeci

### Bliżej do Ciebie, Panie

Rald obudził się raźnie, z ciekawością do tego dnia, ale bez decyzji. Wczoraj wieczorem otrzymał od matki kartkę dość liryczną – jest niezdrowa i nie może go widzieć, przeczuwa swój niedaleki koniec. – Stara się boi, bo grubo przeszkrobała, więc puszcza w ruch kokieterię trumny... Nie chciałyby go zostawić całkiem nieprzygotowanym do objęcia i wypełnienia tak niezmiernie trudnej roli w życiu, tym bardziej, że czasy są groźne... Zarządza przeto wznowienie wykładów, przerwanych przez wiadome smutne wydarzenia – aha, Kentucky – i prosi, by nazajutrz stawił się w bibliotece punktualnie o godzinie dziesiątej rano.

Biblioteka dziadka Slazengera, który nigdy nic w życiu nie przeczytał, zarówno jak i jego córka, budziła w nim śmiech. Zbudował ją i zaopatrzył w standaryzowane dziesięć tysięcy tomów arcydzieł obowiązkowych dla szanującego się milionera, zapewne z nadzieją, że – da Bóg – syn, a jak nie, to wreszcie wnuk może jednak zajrzy tu czasami wypalić cygaro w rozkosznie wygodnym fotelu, mając pod stopami skórę z białego niedźwiedzia, a przed oczyma kędy spojry – rzędy ciasno zbitych złoconych wytłaczanych marokańskich i kordobańskich, safianowych, pergaminowych, archaicznych, klasycznych i secesyjnych grzbietów dzieł nieprzeliczonych autorów.

– Jestem, drogi dziadku, i obiecuję ci, że gdy już będę bardzo stary, zacznę wygniatać swym strudzonym siedzeniem twoje bajeczne fotele, kaszląc, sapiąc, zrzedząc, popijając najlżejszą herbatę lub kwiat lipowy – i prawdopodobnie będę tu coś czytać, a jeżeli nie ja, to mój syn, a może dopiero wnuk... Na razie, wybaczone, mam coś lepszego do roboty.

Rald słuchał i tylko z rzadka rzucał nań ukradkowe spojrzenie, nie chcąc się zdradzić; od razu poznał, że nie jemu mierzyć się z takim Nickokiem, podziwiał aż do zdumienia wyrobienie tego człowieka, wykladał, jak zawsze przed tym, rzeczowo i spokojnie, bynajmniej nie uchylając się od patrzenia mu prosto w oczy, i tego szczególnie bał się Rald, gdyż w jego płochliwym wejrzeniu ten szczwany drań mógł snadnie uchwycić jakiś niebezpieczny moment. Z jego swobody i swady poznał, że ufa sobie bezgranicznie i ani mu na myśl nie przyjdzie, by Ina zastraszona poważyła się zdradzić przed Raldem tajemnicę jego podłych zabiegów. Ten sługus wierzy niezachwianie w terror, jaki szerzy wśród ludzi wszechmoc wielkiego pieniądza – pani Rascob to kobieta potężna; dość tych paru słów, by truchlała i milczała jak śmierć taka sobie Ina Barnato. Była w tym tępota i naiwność wielkiego łajdaka, który wszystkich bez różnicy stawia pod względem charakteru na jednym poziomie ze sobą i przez to nieraz przegrywa – przegra i teraz. Rald z lubością myślał o pewnej chwili, gdy zwolniony nareszcie przez Inę z danego słowa będzie mógł dobrać się do jego zakazanego pyska.

Jednak powściągliwość taka wydała mu się poniżającą. Ina nie powinna wtrącać go w podobne położenie, on nie znosi fałszu i nie życzy sobie udawać głupiego, a kiedy już tak wypadło, że spotyka się z infamisé, to należało wystąpić otwarcie zaraz od pierwszej chwili. Ogarniało go rozdrażnienie... Pan Nickok w lot uchwycił mimowiedny błysk nienawiści w jego oczach, a choć zgasł natychmiast, było to wyraźne ostrzeżenie. Nic nie drgnęło w szeroko rozlanym obliczu, nastawionym na wyraz dobrotliwy i jowialnie ojcowski, ale poznał, że Rald wie wszystko. Już w następnej sekundzie rad był temu: sprawa wyjaśnia się, panna Barnato wybrała wojnę, a więc zginie. Zawziął się na nią nie tylko z obowiązku służby, żeby dogodzić swej pani, za co będzie hojnie wynagrodzony, ale i niemal bezinteresownie, po trosze z zemsty za obrazę, a głównie z zamiłowania do świństwa, które w ciągu swej kariery traktował sportowo. Niemniej ważyło i pewne wyrachowanie, aby dokonać nad Iną jakiegoś całkiem grubszego łajdactwa i tym oplątać samą mocodawczynię i utrzymać ją dalej pod swoim wpływem, a w razie niełaski ze strony kapryśnej i nieobliczalnej pani Rascob mieć ją w rękę i odnowić działanie pańskich łask przy pomocy szantażu.

Uśmiechnął się życzliwie do Ralda i wykładając dalej, lubował się planem zawczasu przygotowanym – wytoczy się pannie Barnato proces komunistyczny; zbyt afiszowała się ze swymi poglądami



w „Uistiti” i w Kentucky, opinia zatem jest z góry uprzedzoną, zresztą będą świadkowie i dowody rzeczowe, a dla zachowania pozorów dołączy się do sprawy kilku głupców jako współoskarżonych i skaże się podsądnych zbiorowo – wyrok do trzech lat więzienia piękna pannica ma zapewniony – okres czasu aż nadto wystarczający, by chłopak zapomniał o głupich amorach. Przez ten czas będzie miał z dziesięć kobiet, może wybierać sobie najpiękniejsze, każda poleci na niego.

– ...Można by sądzić, że nasz piękny kraj dusi się od nadmiaru bogactwa, zamiera wskutek swej gigantycznej zdolności do ekspansji, wpada w śmiertelne osłabienie od zbytku własnej potęgi – co za paradoks! Nie wiadomo, co będzie za rok, ale na dzisiaj jest to, niestety, prawda. Nasz minister rolnictwa dał tytuł swej broszury programowej – *America must choose* – Ameryka musi wybierać, a jego przeciwnik, anonimowy polemista, uderzył weń tytułem swej odpowiedzi – *America must loose* – Ameryka musi przegrać. Idzie o modną dzisiaj samowystarczalność gospodarczą; przebudowa naszej organizacji produkcji jest konieczną i nieuniknioną. Ale u nas autarkia pociąga za sobą skreślenie wszystkich naszych wyrytelności zagranicą, a więc około dwudziestu siedmiu miliardów dolarów – prosiłbym zapamiętać tę potworną cyfrę – i to bynajmniej nie przez ruinę czy też złośliwość państw zadłużonych, lecz po prostu dlatego, że bez normalnej międzynarodowej wymiany spleta tych należności jest teoretycznym i praktycznym niepodobieństwem... Mówiliśmy już o niemożliwości powrotu do dawnej zasady – eksport i import, a więc stoimy wobec dylematu pełnego ciężkich przeciwieństw; jest to nasz własny, czysto amerykański kryzys w kryzysie... Nasz nowy prezydent niebawem otrzyma od Kongresu pełnomocnictwa w sprawie zmian w taryfie celnej oraz prawo zawierania międzynarodowych umów handlowych – jest to przywilej na miarę olbrzymią; w jego rękę znajdzie się wkrótce cały nasz los – pokój lub wojna, nasze życie i śmierć... Przeżyliśmy już z jego łaski niezgorszą serię plag egipskich, których tylko dziesięć spuścił na faraona nawet niemiłosierny w zemście Pan Izraela, my zaś doczekamy się ich grubo więcej. A więc – systematyczna rzeź kapitału finansowego, noc świętego Bartłomieja na tysiące i tysiące banków, dalej embargo na złoto, a w sześć tygodni później – co za tempo – niefortunna kampania przeciwko funtowi doprowadza nas do porzucenia parytetu złota. Prawo z dwunastego maja upoważnia prezydenta do obniżenia wartości dolara do pięćdziesięciu procent

celem ubłagania w niebiosach tak zwanej „poprawy samoczynnej”, która, proszę mi wierzyć, nigdy nastąpić nie może. Dalej kongres przyznaje mu do dyspozycji trzy miliardy przeznaczone na doraźne pożarcie przez naszych farmerów. I wreszcie w pięć dni później – co za tempo – kongres uchwała *National Recovery Act* i obdarza nas generałem Johnsonem<sup>50</sup> i iście bolszewicką tyranią czterech liter N-I-R-A, a to w nieosiągalnym celu wskrzeszenia z letargu masowego konsumenta. Z tego już wypływają same przez się kodeksy pracy, których refleksy socjalne z żelazną logiką poprowadzą nas do rewolucji. Nie czekając pierwszego sierpnia, gdy ustawowo wchodzi w życie, już teraz widzimy ich fatalne skutki; rozzuchwalone masy robotnicze organizują się na gwałt do generalnego ataku...

– Oczywiście pan musi zwalczać NIRE, bo tak panu kazała moja matka, ale niech pan nie próbuje mnie nakłonić, abym wziął do serca te wywody spod ciemnej gwiazdy. Czy to robotnik amerykański ma być skazany już na całą wieczność na los białego niewolnika bez prawa do obrony swoich interesów? Na los górnik z Kentucky? Niedoczekanie pańskie, panie Nickok!

Sekretarz generalny zdawał się nie słyszeć tych obraźliwych słów ani ich prowokacyjnego tonu, nie widział wściekłych oczu Ralda. Roześmiał się dobrotliwie i poufale, szeroko rozciągając wygoloną głębę i rozłożył ramiona, podkreślając swą bezradność w polemice z zapalczywym a głupiutkim młokosem.

– Kentucky? Ależ owszem, panie Rascob, któż nie oceni w tym przykrym wydarzeniu pańskiego młodzieńczego, szlachetnego serca? Co do mnie byłem głęboko wzruszony i starałem się przekonać pańską wielce szanowną matkę, tak strapioną wówczas...

– Do rzeczy, panie Nickok! I daj pan spokój mojej biednej matce. Opętałeś ją jak pająk, ale wara ci ode mnie!

– Doprawdy, pan dziś wyjątkowo zdenerwowany! Może prze-rwiemy wykład na dziesięć minut? Wypalimy papierosa; pogadamy o pogodzie...

– O pogodzie?! Ty łajdaku bez czci i wiary!

Pan Nickok wreszcie zrozumiał.

Rald zerwał się i przez stół gwizdnął mu pod samym nosem zamasytym bykowcem – zabrał go jednak ze sobą... Był to straszny, cięty bicz, skręcony z bawolich strun nerwowych ze sztywnym

---

<sup>50</sup> Edward Johnson (1816–1873) – znany także jako Allegheny Johnson (czasem pisane: Alleghany); oficer US Army i generał Konfederacji w wojnie secesyjnej.

rzemykiem na końcu, twardym jak drut – wyrób specjalny nieużywany w hípice, służy jedynie poskromicielom cyrkowym przy tresurze dzikich zwierząt. Ciężki spasiony pan Nickok uciekał, biegnąc dookoła stołu, ale po trzecim okrążeniu zabrakło mu tchu i Rald dopadł go. Pierwsze cięcie wydobyło z nieszczęsnej ofiary przeraźliwy ryk. Rycząc i drepcąc na miejscu, usiłując się schronić za rozłożystym fotelem, Nickok wniebogłosy wzywał ratunku, zasłaniając sobie twarz rękami. Rald ciął po rękach, ręce opadły, bykowiec chlastał i świstał w powietrzu raz po raz i w niecałe pół minuty olbrzymie, twarde i bezczelne oblicze generalnego sekretarza było pocięte wzdłuż i w poprzek straszliwymi pręgami, krople krwi ściekały pomieszane ze łzami. Ten nieoczekiwany płacz, gwałtowny, zachłystujący się i piskliwy jak u dziecka uratował go od dalszej masakry, Rald opamiętał się i dał mu spokój, w jednej chwili znikła mu z twarzy wściekłość oszpecająca jego urodę, ale szyderczy śmiech na nowo skaził młodzieńcze rysy, narzucił nań znamię cynicznego zuchwalstwa, upodobnił go do triumfującego złoczyńcy gangstera.

– No, teraz jazda precz, panie Nickok, byle prędko, bo ci jeszcze dołożę! Obrzydły tchórz, szczur giełdowy, szwindlarz... Nawet się nie próbował bronić... A kto wie, może byś mi dał rady – ale ja jestem dla ciebie poświęcany, nietykalny... Uciekaj, przekupiona duszo, zmykaj póki czas, leć do swojej pani, niech cię pożałuje, ona ci da na maść do smarowania pyska...

Tak złorzecząc, świstał w powietrzu bykowcem i siekł nim po wspaniałej pozłocistej w ciemno malinowy rzut utkanej makacie damasceńskiej okrywającej stół biblioteczny. Pan Nickok rzeził i charczał, zapatrzony jedynym okiem, które widziało jeszcze cośkolwiek, w złowieszczą, spotworniałą twarz swego kata. Na gwałt chciał uciekać, a bał się ruszyć z miejsca, dygotał, otłuszczone serce waliło jak młotem, dławiło go boleśnie, nogi uginały się pod nim.

– Słuchaj, drabie! Poważyles się grozić? Więc zapamiętaj sobie to lanie!

Weszła Lucy. Zdręzione nerwy nie pozwoliły jej dłużej odkładać stanowczej rozmowy z Raldem, umyśliła sobie, że najlepiej będzie, gdy przyjdzie tak sobie pod sam koniec wykładu, pogadają we troje o byle czym, a potem, gdy Nickok pójdzie... Nade wszystko nie cierpiała i bała się początków i wstępów w swoich rozprawach z synem, gdyż w ostatnich czasach cała rzecz utykała od pierwszych słów, a dalej wszczyniała się awantura.

Stanęła w progu.

Pan Nickok z jękiem podobnym do skomlenia natychmiast pobiegł i ukrył się za nią, Rald przestał trzaskać bykowcem po stole i skłonił się z zanadto uprzejmym uśmiechem.

– Na Boga, co się tu dzieje?!

– Już nic, na ten raz skończone. Właśnie ukarałem tę kanalię, która działała z twojego rozkazu, ale któż od ciebie zażąda rachunku, droga matko? Oby cię Bóg nie pokarał!

– Już mnie pokarał tobą, wyrodku...

Lucy wybuchła potokiem bezładnych słów, okrzyków, pytań, zawodzeń, gróźb, wyrzekań, jęków, wreszcie zanosła się od płaczu, przerywanego napadami jakiegoś wariackiego śmiechu, wtórowały temu skrzekliwe odgłosy schowanego za jej plecami Nickoka. Rald obserwował ją bez cienia współczucia, ze złym, radosnym szyderstwem. Nagle Lucy umilkła, z przerażeniem zapatrzyła się w syna, postąpiła ku niemu parę kroków – Nickok za nią, jak cień – patrzyła, patrzyła, aż zawrzała i wyciągniętymi dłońmi osłoniła się przed nim jak przed okropną zjawą.

– Widmo!... Upiór!

Uciekła. Tuż za nią, drepcząc jej po piętach, wymknął się Nickok. Zaiste ujrzała upiora – w złej, zbrzydzonej, wynaturzonej przez szyderstwo twarzy syna objawił się, powtórzył się najokropniejszy moment jej żywota, przekłeta chwila, ta sama, która złamała, zniszczyła ją na zawsze. Tymi samymi oczami, tymi samymi rysami twarzy szydził tamten, gdy zrzucił maskę kochanka i do wszystkich kieszeni wpychał jej klejnoty, a z jego precudnych oczu – oczu Ralda – nagle wychynął otwarcie, bezwstydnie oszust, bandyta...

Niedługo trwało embargo nałożone w USA na nieszczęsne utracone złoto. Zgarnięte potężną dłonią prezydenta z powierzchni życia i zapędzone w podziemia banków, zaryglowane w kasach pancernych, utajone w skrytkach prywatnych, a dalej pod siennikami, w garnkach zakopanych w ziemi, w dziuplach starych drzew uciekało przed rygiorem jawności i nie przyznawało się do siebie. Wypierał się posiadanego kruszcu i truchlał ze strachu Edgar Livingston Delby, który go już liczył na tony, tym bardziej pierwszy lepszy ubogi ciułacz, biedzący się, gdzie najpewniej schować marne dwadzieścia dolarów – ale prawdziwych, rzetelnych, tych wiecznych, nieśmiertelnych, dźwięczących pełną wartością, bowiem papierowy schodził sobie kędyś w dół jak po drabinie, tracąc punkty, z dnia na

dzień obsuwając się o parę szczebli i nie wiadomo było, kiedy się zatrzyma, do jakiej śmiertelnej czeluści zejdzie, by tam się wreszcie opamiętać i ustabilizować. Charles Horner<sup>51</sup>, znakomity szef propagandy NIRY, pięknymi afiszami, w niezliczonych artykułach i ulotkach, na meetingach i przez radio w entuzjastycznych słowach witał ów świadomy odwrót strategiczny dolara wróżący ostateczne zwycięstwo. I tak będzie, gdyż twierdzi to zasłużony mąż, ten sam, który ze wspaniałym powodzeniem prowadził swego czasu propagandę pożyczek wojennych i Liberty Bonds<sup>52</sup>. Nie każdy w to wierzył, ale wszystkich sceptyków przeszedł Edgar Livingston Delby, a do nieuleczalnej fobii przed bolszewizmem przyłączyła się w nim mania wielkości – bo czyż w przewidywaniach swoich, a nawet w przecuciach nie okazał się genialnym?

Tymczasem uwięzione złoto odwiecznym wzorem niezadowolonych więźniów uciekło się do jedynej broni uciśnionych za kratą – wszczęło strajk głodowy. Przedziwnym zrzędzeniem nader powikłanych wydarzeń światowych oraz fatalnego zbiegu innych koniunktur i okoliczności ową głodówkę odczuli wszyscy w kraju i za obu oceanami, a wreszcie i sami strażnicy więzienia. Nieludzki wyrok został złagodzony i w końcu uchylony. Amerykańskie złoto wyrwało się z więzów i upojone wolnością dalej wyprawiało swoje harce i psoty, znowu wszczęło fantastyczne podróże w baryłkach, w skrzynkach, w workach; drogą lądową, morską, powietrzną przenosiło się do dalekich, obcych skarbców bankowych, nieraz jak w odwiedziny krótsze lub dłuższe i wcześniej czy później wracało do domu. Czasami nie wracało i rozlażyło się po zachłannych międzynarodowych kieszeniach.

Genewska „Delegacja Złota”, którą każde z państw zrzeszonych w Lidze Narodów zaopatrzyło w swoich najtęższych ekspertów, urzędowo konsekrowanych biskupów wiary i wiedzy kapitalistycznej, radziła nad anarchią na wzór koncylium średniowiecznych teologów. Wysoko powołani delegaci zagłębiali się w przepastne zagadnienie, snując przesubtelne nici wywodów już prawie nieuchwytnych dla zwyczajnego rozumu, wkraczających w dziedzinę

---

<sup>51</sup> Charles Horner – dyrektor do spraw reklamy i edukacji NIRY.

<sup>52</sup> *A liberty bond* (lub *liberty loan*) – obligacja wolności (lub pożyczka wolności), obligacja wojenna sprzedawana w Stanach Zjednoczonych w celu wsparcia aliantów podczas I wojny światowej. Subskrypcja obligacji stała się symbolem patriotycznego obowiązku w Stanach Zjednoczonych i po raz pierwszy wprowadziła ideę finansowych papierów wartościowych.

szczytnej fikcji, która coraz bardziej oddalała się od poziomych prawd i potrzeb życia i dochodziła niemal do mistyki.

Demon Złota nie dawał się zakląć żadnym magicznym słowem, żadnym egzorcyzmem formuły, choć w uczonych protokołach Delegacji figuruje ich znacznie więcej niż dosyć. Demon tropił i gnębił niegodną *hipostasis*<sup>53</sup> swojej boskiej istoty – pieniądź obiegowy, utracił waluty, nasyłał plagę niepojętych, a raczej niezbadanych jeszcze i nienazwanych przez naukę pasożytów, powiedzmy – mikrobów, które przejęły w naszej epoce misję i mit biblijno-egipskiej szarańczy oraz sławetnych myszy, znanych z bajek i dziejów bajecznych niejednego narodu. Nie zjadały żywcem królów, prezydentów, dyktatorów i innych władców; przeżerały banknoty, walory, akcje i wszelki papier wartościowy, opiewający na złoto, przekraczały pilnie strzeżone granice państw, przenikały wszędzie, nie było przeciw nim prawa, zakazu ani zamknięcia. I sprawiły, że każdy pieniądź papierowy kłamał swymi ozdobnymi napisami – był autentyczny, a jednak fałszywy.

I spuścił Demon Złota drugą plagę na ludzkość – czyżby ich miało być również dziesięć?<sup>54</sup> Zesłał wielkie pomieszanie języków na mężów wiedzy oficjalnej, pełnomocników narodów, na ojców burżuazyjnego kościoła powszechnego, na doktorów świętej teologii kapitału, na uczonych w piśmie magicznych ksiąg polityki, dyplomacji, ekonomiki i kryzysu. Ich teorie i wnioski przeczyły sobie nawzajem, ich debaty były kłótniwe, mozolne, przewlekłe i jałowe, albowiem nikt nikogo nie rozumiał.

W jednym zgodni byli wszyscy: jak za niezaprotykowaną znową postanowili sobie nie dostrzegać rzeczy najgłówniejszej. Pomijali ją solidarnie, nikt się z nią nie wyrywał, nikt się o niej nie zająknął. Każdy z wysokich delegatów nosił w duszy i w głowie jej dolegliwy ucisk, ale żadnemu nie przeszło przez gardło pierwsze jej słowo, nawet jego cień, najlżejsze napomknienie. Straszna sprawa wchodziła bez karty wstępu na każde posiedzenie każdej konferencji międzynarodowej i wisiła nad stołem obrad, wciskała się do zamkniętych i strzeżonych gabinetów dygnitarskich, gdzie szeptem

---

<sup>53</sup> Hipostaza (gr. *hypóstasis* – podstawa, czyli to, co pod spodem) – w filozofii chrześcijańskiej termin ten oznacza trzy osoby Trójcy Świętej pojmowane jako odrębne podmioty.

<sup>54</sup> Odwołanie do dziesięciu plag, które Bóg zesłał na naród egipski, opisanych w Księdze Wyjścia (Wj 7–11).

knuto najtajniejsze intrygi, zasiadała nieproszona na trzecią przy poufnych dyplomatycznych śniadaniach, gdy dwaj mężowie upęnomocnieni pragnęli spożyć posiłek i przełknąć ważną rozmowę we cztery oczy. Ona trapiła ich w snach, jej zhora przybierała różne maski, ale władcy życia odgadywali ją niemylnie i – jak ze starą dokuczliwą Kassandrą<sup>55</sup> – toczyli fantastyczne beznadziejne nocne rozprawy i budzili się w zimnych potach.

Ale gorszy był strach białego dnia, na jawie, ów strach nieubłaganej rzeczywistości, wyłażący z wszelkiej i z każdej sprawy, towarzyszył tajemny, wierny, nieodczepny. Nikt nie ośmielił się do niego przyznać, więc po świecie rozlewała się jak powódź, jak zaraza wysilona i chora bezczelność, ta odwaga bezradności i rozpacz, rozpanoszyło się prawo pięści jako doktryna nowej zapobiegawczej kultury, jako metoda ratunku przed nadciągającą grozą. Ze śmiertelnego strachu zrodziła się zasada integralnego gwałtu – aby zastraszyć, zgnębić i zniweczyć wroga, zanim ten opamięta się i pozna własną siłę. Na zmianę mądrości i sztuki rządzenia przyszło prostackie chamstwo, w niejednym państwie jedyną racją stanu był strach dyktatora przed utratą władzy, każdy zaś lojalny poddany składał mu w hołdzie swoje prawo człowieka i obywatela, a w zamian był zapisywany w poczet pełnowartościowej elity i stawał się policjantem – biada zwyciężonym! Zwycięzcy dygotali przed zdeptanym wrogiem wewnętrznym, przed jego ciężką masą, przed olbrzymią większością narodu – więc stąd orgie bestialstwa, mordów, udręczeń i stokroć gorsze – bachanalie cynizmu, prowokacji, podłości i fałszu.

Kolosalny gmach kłamstwa rósł w oczach, przebijał chmury, godził w niebiosy, rozkraczał się w postawach, ogarniał państwa, narody, budził zdumienie, przerażenie, przyprawiał o obłęd... To zamek zbudowany na lodzie – zawali się, zatonie i szczytnie – niech tylko przyjdzie wiosna... To pałac z kart – padnie od pierwszego czyjegoś tchnienia... A kto nie wierzył w wiosnę, kto nie uwierzył w czyjeś tam kiedyś tchnienie... Marniał w bezsilnej udręce poniżenia, zasklepiął się w milczeniu, dziczał. Zakopywał się pod ziemię jak kret, z rozpacz umierał, odbierał sobie życie lub – gdy chciał wyżyć i mieć co jeść, i mieć dach nad głową, i nie siedzieć w mordowni obozu odosobnienia – sam poddawał się kłamstwu, żył kłamstwem i kłamstwu służył...

---

<sup>55</sup> Kasandra – w mitologii greckiej wieszczka i królowa trojańska.



Jeszcze nie wszędzie tak jest, ale ku temu idzie het przez świat jak długi i szeroki, rozmaity, okryty mrowiem narodów, pokreślony granicami, na których stoją w pogotowiu milionowe armie. Gdyż wisi rzekomo w powietrzu nowa powszechna wojna światowa, dla której państwa rujnują się w szaleństwie zbrojeń. Tymczasem kędy spojrzal, gotują się, wszczynają się lub wrą w całej pełni wojny domowe.

O co?

Wszędzie o to samo.

Nie wiadomo, które było bardziej uszczęśliwione z nadspodziewanego pojawienia się fantastycznego przybysza z delty Mackenzie – żona czy syn; obojgu był natarczywie potrzebny w ich fatalnym sporze jako jedyny łącznik i rozjemca, poza tym, że lubili go bardzo, każde po swojemu, choć nieraz zapominali o jego istnieniu na całe tygodnie, jeżeli nie miesiące, co zresztą zdarzało się i jemu w stosunku do nich. Już taka była ta rodzina. Panu Rufusowi Rascob nie przyszło nawet do głowy nadać z drogi depeszę o swoim powrocie z pierwszej stacji, do której dotarł psim zaprzęgiem; tłumaczył się, że zapomniał o istnieniu telegrafu.

– To fatalny błąd, Rufusie, gdyby Rald wiedział, że jesteś w drodze, nigdy nie dopuściłby się podobnego bezceństwa, zaczekałby na ciebie, poradziłby się – przecież on cię uwielbia.

– Uwielbia? Doprawdy, nie ma za co, a względem bezceństwa, to bywają gorsze, po prostu był to nieopanowany odruch szlachtetnego chłopca, któremu chciano przehandlować jego pierwszą młodzieńczą miłość. Ta panna nie dała się sprzedać za pół miliona – to w każdym razie dobrze o niej świadczy, zresztą w tych dniach zobaczę się z nią... I wybacz, Lucy, że nie przejmuję mnie los twojego Nickoka, zawsze byłem zdania, że to kanalia.

– ...Nie pozwalam ci wychwalać przy mnie tej kreatury ani odzywać się w podobny sposób o moim zaufanym człowieku!

– Nie pozwalaj, Lucy, nie pozwalaj – to w niczym nie zmieni istoty rzeczy.

– Rufusie, czyż po to nie widzieliśmy się przez całe dwa lata, żeby się pokłócić zaraz w pierwszym dniu?

– Widzisz, odwykłem od waszych spraw światowych, dla mnie to drobiazg i głupstwo, a ty zaraz wyprawiasz tragedie...

– To mój jedyny syn!... Gdybyś miał syna...

– Lucy, przecież ja go mam! Wyobraź sobie, urodził mi się przed pół rokiem w igloo, ulepionym ze śniegu, w nieopisanym brudzie,

swędzie i smrodzie, tak samo odbywała się nasza miłość z Sodnalim – co znaczy „Oko Mewy” – jak na tamtejszą miarę piękna dziewczyna i nawet bogata. Chłopak jest już tęgim zwierzątkiem i doprawdy sprawił mi wielką radość, daliśmy mu na imię Upligsamalik, to znaczy „Kieł Morsa”. Ślub dawał nam sławny czarownik z Sermersoak<sup>56</sup>, czyli proboszcz tamtejszej parafii, a zarazem biskup diecezji, rozciągającej się od Manning Point<sup>57</sup> aż do Cape Bathurst<sup>58</sup> na przestrzeni trzydziestu pięciu tysięcy mil kwadratowych – wszystko odbyło się legalnie i formalnie.

– A więc popełniłeś dwużeństwo! – Lucy się nareszcie roześmiała po raz pierwszy od długiego czasu, może od roku lub więcej.

– Popełniłem je, Lucy, ale niejako w czwartym wymiarze, dokąd nie sięga pojęcie prawa ani władza jego brytyjskiej mości, tam rządzi jeszcze bezpośrednio Törnarsok, czyli po naszymu sam Bóg we własnej osobie. Cudowny kraj!

Lucy nie spodziewała się wielkiej pociechy z powrotu tego męża, ale nie przypuszczała, żeby od razu i tak stanowczo wzięła stronę Ralda. Niepoczytalność życiowa znakomitego podróżnika przez ostatnie dwa lata obcowania z Eskimosami rozwinęła się jeszcze, dawniej było to urocze pięćdziesięcioletnie dziecko, zresztą jak dla despotycznej Lucy zawsze zanadto samowolne, teraz ugruntował się w nim maniak, negujący w ryczałt cywilizację i kulturę, świat zaczynał się dla niego dopiero poza kręgiem polarnym Arktyki, Antarktydy nie lubił i nie uznawał, gdyż było to absolutne bezludzie. Był zapamiętały rozkochany w lodowych pustyniach, w nocy polarnej, w lecie polarnym, w krajobrazie, w potwornych mrozach, w zorzy północnej, a nade wszystko w surowej pierwotności bytu mieszkańców rozproszonych i zagubionych po ogromnych przestrzeniach. Miłował ich ciężką pracę, bohaterską, epicką walkę z niemiłosierną przyrodą, ich obyczaj, legendy, wierzenia, pieśni, ich zapowietrzane osiedla, ich psy, reny, nawet ich okropną strawę. Dla niego było to plemię bohaterów, cudem ocalałe przed zalewem cywilizacji i szablonu wygodnego życia. Wszystkie szczepy, rozsiane nad Oceanem Lodowatym w Ameryce, na północnych krańcach

---

<sup>56</sup> Sermersooq – jedna z czterech gmin Grenlandii położona w centralnej części wyspy.

<sup>57</sup> Manning Point – przylądek na zachodzie Kanady, w prowincji Kolumbia Brytyjska, na wyspie Hornby.

<sup>58</sup> Cape Bathurst – przylądek i półwysep położone na północnym wybrzeżu Terytoriów Północno-Zachodnich w Kanadzie.

Europy i na bezmiernej linii pobraża Syberii, był to jednolity gatunek ludzki, określony typ psychofizyczny. Pomimo różnych nazw i narzeczy Eskimos, Lapończyk, Samojed, Jukagir, Czuczka, Koriak<sup>59</sup> tworzył jeden naród o identycznych tradycjach i ideologii, wywodzący się od tych samych praprzodków, którzy w niepamiętnych czasach odeszli byli dobrowolnie z ciasnoty świata na najdalsze krańce północy, uciekając dla świętego spokoju przed przemocą i okrucieństwem społeczeństwa, jego prawa, religii i cywilizacji, aby żyć bodaj w najcięższych warunkach bytu, ale jako ludzie wolni. Tradycja przodków zaginęła już od stuleci w świadomości potomnych, ale żyje w ich podaniach, mitach, obrzędach, w ich kosmogonii. I tak dalej, i tak dalej... Na potwierdzenie tej koncepcji znakomity podróżnik zgromadził olbrzymi materiał w ciągu dwudziestu pięciu lat swoich wypraw, na które Lucy łożyła z hojnością monarszą. Wojnę światową od początku do końca spędził na północnych krańcach Syberii – uprzednio otrzymał był złoty medal od Cesarzowskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu<sup>60</sup> – i zawieszenie broni zastało go na Kamczatce<sup>61</sup>...

Zabierał się właśnie do napisania wielkiego dzieła, które będzie rewelacją w wiedzy o dalekiej północy i jedynie w tym celu przyjechał. Może tym razem wypełni się jego najtajniejsze marzenie pomimo całej odrazy do kultury – otrzyma złoty medal od brytyjskiego Royal Society<sup>62</sup>, które nie wiadomo dlaczego uparczywie nie brało go na serio – w angielskich sferach naukowych przezywano go milionerem, szarlatanem polarnym i w najlepszym razie sportowcem. Szkodziły mu bez wątpienia przesadna malowniczość opisów,

---

<sup>59</sup> Eskimosi, Lapończycy, Samojedzi, Jukagirzy, Czuczki, Koriacy – przedstawiciele głównie ludów paleoazjatyckich lub paleosyberyjskich, kilkanaście niewielkich grup narodowych stanowiących pozostałości dawnego zaludnienia północno-wschodniej Azji. Wyjątkiem są Samojedzi zamieszkujący północno-zachodnią Syberię.

<sup>60</sup> Cesarzowskie Towarzystwo Geograficzne w Petersburgu – najstarsza rosyjska organizacja pozarządowa, założona w 1845 r., jedno z najstarszych stowarzyszeń geograficznych świata, w latach 1850–1917 noszące nazwę Cesarzowskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne; obecnie ogólnorosyjska organizacja pozarządowa o nazwie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne.

<sup>61</sup> Kamczatka – półwysep w azjatyckiej części Rosji, rozdzielający Morze Ochockie i Morze Beringa.

<sup>62</sup> The Royal Society (właśc. The Royal Society of London for Improving Natural Knowledge) – Towarzystwo Królewskie w Londynie; założone w 1660 r. brytyjskie towarzystwo naukowe pełniące funkcję brytyjskiej akademii nauk.

niegodna człowieka wiedzy, fantastyczne, graniczące z obłędem hipotezy oraz zbyt grzmiąca amerykańska reklama, na którą małżonka wielkiego podróżnika nie szczydziła setek ani tysięcy dolarów. Toteż i teraz wszystkie gazety już rano podały jego podobizny wraz z bombastycznymi wzmiankami o szczęśliwym powrocie „chluby USA, Ameryki i całego świata”, umieszczonymi na naczelnym miejscu wielkimi, grubymi czcionkami; hall slazengerowskiego pałacu okupowała gromada reporterów, rozglądających się z otwartymi gębami po wspaniałościach wnętrza, rozległego jak świątynia, a zwłaszcza podziwiali monumentalny zegar wmurowany w ścianę, który na dziesięciu tarczach wskazywał godzinę w dziesięciu punktach kuli ziemskiej, z napisami: San Francisco, Paryż, Moskwa, Capetown<sup>63</sup>, Bombaj, Szanghaj, Tokio, Honolulu, Valparaíso<sup>64</sup>, Sydney.

Rald od razu zabrał się do ojca i wziął go pod swoją komendę, ujął go urodą i czarem dorastającego młodzieńca, a najbardziej wymyślaniami na głupie i bezecne urządzenie świata, domagające się gruntownej rewolucji zarówno w ustroju społecznym, jak w podstawach moralnych i obyczajach między ludźmi.

– Trzeba zabić własność i pieniądz, a więc wymordować co do nogi businessmenów, bankierów, przedsiębiorców, giełdjarzy, szwindlarzy, zaczynając oczywiście od milionerów, bo ci nie ustąpią i będą się bronić aż do zdechu – za dobrze im się dzieje.

– Słusznie mówisz, ale i przy twoim bolszewizmie, choćby był najmądrzejszy i najsprawiedliwszy, życie w ciasnocie i w masie będzie zawsze obrzydliwe.

– Nie jestem bolszewikiem, nie wiem, czym jestem, ale...

– Socjalistą?

– I to nie, zresztą na te sprawy za mało mam wiedzy, właściwie nie posiadam żadnej, ale czuję...

– Więc anarchistą?

– Od tego zacząłem – u anarchistów byłem przez parę tygodni i dałem spokój, to niepoczytalni maniacy. Nieraz gubię się w tym wszystkim...

---

<sup>63</sup> Capetown – Kapsztad, najstarsze i jedno z największych pod względem liczby mieszkańców miasto w Południowej Afryce.

<sup>64</sup> Valparaíso – miasto w środkowym Chile położone u podnóża Andów, stolica regionu Valparaíso, port nad Oceanem Spokojnym. Założone w 1536 r. W okresie kolonialnym port i ośrodek gospodarczy wicekrólestwa Peru.

– Więc słuchaj. Klęską ludzkości jest nadmierne rozmnażanie się człowieka na ziemi; stąd idzie kapitalizm, walka klas, nacjonalizm, imperializm, faszyzm, wojny, kryzysy i cała reszta. Ludzie duszą się w ciasnocie, trzeba żeby przestrzeń z powrotem zapanowała nad człowiekiem, a nastaną czasy błogiej pierwotności, bez granic państw, bez rywalizacji narodów, bez miast, kolei żelaznych, aeroplanów, armat, gazet, radia i mnóstwa innych niepotrzebnych wynalazków, które stają między nami a przyrodą...

– Ależ, ojczu, kto tego dokona?

– Nikt, to się zrobi samo. Gatunek ludzki jest zdumiewająco wytrzymały i płodny, nie poradziły mu głody, morowe powietrza, nieustające wojny i wszystkie klęski historii. Nasza wielka wojna światowa? Najkrwawsza, najbardziej niszczycielska rewolucja rosyjska? Kryzys? To nic nie znaczy. Ludzi jest coraz więcej. Ale niebawem, powiedzmy za jakie tysiąc lat, postrzegą nie tylko uczeni, ale każdy – obniżenie się średniej temperatury rocznej na całej kuli ziemskiej, znaczny spadek urodzajów, opóźnianie się wiosny, wcześniejsze i ostrzejsze zimy, dalej – polarne cieśniny, kanały, inletry<sup>65</sup>, kędy można było żeglować w ciągu paru miesięcy lata, zupełnie przestaną odmarzać, linia zasięgu gór lodowych przesunie się na południe, wzmogą się i wydłużą lodowce wszystkich gór świata i za pamięci ostatniego pokolenia, niejako w oczach narodzą się nowe... Ujścia wielkich rzek północy – Mackenzie, Jukonu, Leny<sup>66</sup>, Jenisieju<sup>67</sup>, Obi<sup>68</sup> – byłem tam wszędzie i wiem, co mówię – zostaną zatarasowane przez wieczne lody. Lodowce Islandii okryją całą wyspę, wygonią człowieka i uczynią z niej drugą Grenlandię... Północne fiordy Norwegii z powrotem wypełnią lodowce gór Kjölen<sup>69</sup>. I tak dalej. To będzie początek, alarm, gwałt, dopieroż zaroją się! Ale przemija drugi tysiąc lat...

– Więc powrót okresu lodowego?

---

<sup>65</sup> *Inlet* (ang.) – wlot, tu: przesmyk.

<sup>66</sup> *Lena* – rzeka w azjatyckiej części Rosji, w obwodzie irkuckim i Jakucji. Jest jedną z największych rzek Azji, 10. pod względem długości na świecie oraz 9. pod względem powierzchni dorzecza.

<sup>67</sup> *Jenisej* – rzeka w środkowej Syberii w azjatyckiej części Rosji. Jedna z największych rzek Azji i świata.

<sup>68</sup> *Ob* – rzeka w azjatyckiej części Rosji, na Nizinie Zachodniosyberyjskiej.

<sup>69</sup> *Kjölen* – Góry Skandynawskie, łańcuch górski w zachodniej i północnej części Półwyspu Skandynawskiego, ciągnący się wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego na terytorium Norwegii, Szwecji i częściowo Finlandii.

– A tak! A tak! Dlaczego by nie? Obserwacje ludów polarnych są pod tym względem przekonujące, lody już ruszyły i prą w dół globu ku południowi, za dziesięć tysięcy lat plemię ludzkie potężnie zrzednie na naszej półkuli. Chciałbym widzieć nasz Nowy Jork w roku pańskim jedenaście tysięcy dziewięćset trzydziestym trzecim, upewniam cię, że na ulicach nie będzie tłoku. Po naszej obecnej West Czterdziestej Drugiej Ulicy o tej porze mogą łązić białe niedźwiedzie, na Coney Island<sup>70</sup> będą się wylegiwać stada fok i morsów, a potomek giełdjarzy z Wall Street odziany w skóry wyjdzie z „igloo”, ulepionego ze śniegu na miejscu dawnego banku Morgana, z łukiem i włócznią na uczciwy, godny człowieka zarobek... I dopiero odmęt problemów, głupstw, paskudztw ludzkich ulegnie generalnemu umorzeniu, życie uczyni się proste.

– Jak widzę, ojciec ma czas, a mnie się trochę śpieszy, nie mam zamiaru czekać dziesięciu tysięcy lat na ten wątpliwy raj ziemski...

– I ja nie czekam, większą część życia spędzam właśnie w tym raj, a do ognisk kultury się nie śpieszę, wpadam tylko z rzadka i dorywczo, więc patrzę na wasze sprawy jak na szatańskie przyśnienie, jak na misterium masowego obłądzenia. Z pierwszym śniegiem wracam w moje strony zimować w Kaungak<sup>71</sup>, ale drogą lądową, bo Lucy gotowa mi pożałować na nowy okręt, mój biedny „Kane”, jak wiesz, zabrały lody i niosą kędyś jego szczątki. Obrąłem sobie cudowny nowy szlak od stacji kolei Jasper House<sup>72</sup> tysiąc mil na saniach do Sermersoak<sup>73</sup>. Puszcze modrzewiowe, olbrzymie jeziora, przełęcz, na których dmie „chinook”<sup>74</sup>, śnieżycy trwające po tygodniu, noclegi i dniówki po opuszczonych chatkach traperów, potomków „braci leśnych”, po wigwamach<sup>75</sup> Indian puszczańskich, po zagubionych

---

<sup>70</sup> Coney Island – półwysep i położona w jego środkowo-zachodniej części dzielnica wchodząca w skład nowojorskiego okręgu Brooklyn.

<sup>71</sup> Kaungak – nazwa fikcyjna.

<sup>72</sup> Jasper House – założone w 1830 r. miejsce handlu na rzece Athabasca, funkcjonujące jako główny punkt zaopatrzenia dla podróży przez kanadyjskie Góry Skaliste.

<sup>73</sup> Sermersoak (właśc. Sermersooq) – nazwa skalistej historycznej krainy w Grenlandii, słynącej z miejsc do polowania. Por. D. Brunn, *The Icelandic colonization of Greenland and the finding of Vineland*, „Meddelelser om Grønland”, t. 57, Kopenhaga 1918, s. 87. W języku duńskim *Sermersuaq* oznacza duży lodowiec, czapę lodową. Por. przypis 56 w tomie drugim.

<sup>74</sup> Chinook – ciepły wiatr wiejący od Gór Skalistych na równiny.

<sup>75</sup> Wigwam – rodzaj nieprzenośnej chaty Indian Ameryki Północnej, głównie zamieszkujących obszar Wielkich Jezior.

fortach i faktoriach, a przeważnie w namiotach i szałasach. Przy ognisku, rosół z łosich chrapów, pieczeń z karibu, strugany łosoś mrożony na surowo – to jest dopiero strawa godna bogów, nie tam twoje milionerskie delikatesy, wypitraszone frykasy... A dalej, szczerza, potężna, naga pustynia, kępki karłowatych sosenek i brzózek, odmęt królików, sowy polarne, stada wilków, byki piźmowe, czasami zabłąkany od oceanu biały niedźwiedź, bezmiar śnieżnego stepu – „barren”! Trzydzieści sani, dwudziestu pięciu dzielnych chłopów, sześćset psów! Ralddie – do diabła ze wszystkim, co tu zostaje – jedź ze mną!

– Cóż, ojczy, jeżeli mi załatwisz rzecz z Lucy i jeżeli Ina zechce z nami pojechać, to jestem gotów.

– Ach, z tymi babami! Przecież, choćby nawet Lucy ustąpiła, to twoja panna będzie nam diabelnie przeszkadzać, zatruje mi całą drogę, wierzaj mi, to nie są strony nadające się na podróż poślubną.

– Naprzód ją zobacz, a potem pogadamy, czy ci z nią nie będzie miło. Jeszcześ takiej nie widział, ojczy Rascob.

– Jeżeli jest aż tak piękna, tym gorzej, ludzie mi się pobałamucą, to młode, zdrowe, morowe chłopcy, a i ja sam, choć stary...

Zaczęły się rokowania i awantury codzienne, wreszcie Rald zerwał z matką, napisał do niej niepoczytalny list i gdzieś się przeprowadził, Lucy zerwała z mężem i wymówiła mu dom – Rascob senior ani myślał się wynosić – za wysławianie Iny, jej urody, talentu, inteligencji, wdzięku, bezinteresowności. Zaprzyjaźnili się ze sobą od razu – zdziczyły papa Rascob był oczarowany, a jako człowiek pierwotny nie zawsze umiał się pomiarkować, to też Rald zmuszony był już dwukrotnie odegrać przed nimi najgłupsze sceny zazdrości. Trzymali się razem, we trójkę chodzili po restauracjach i dancingach, pustelnik polarny, który życie spędził w nienawiści do uciążliwych i zbędnych wymysłów kultury, na tych swoich wakacjach bawił się jak dziecko i w głębokiej tajemnicy, w mozołe, jak tresowany niedźwiedź, uczył się na gwałt trudnych wykrętasów fokstrota, tanga i rumby, aby móc zatańczyć z Iną. W wolnych chwilach dawał wywiady, miewał odczyty, pisał artykuły i obnosił się ze skarbem znalezionym w osiedlu najpierwotniejszych Eskimosów, w zatraconych czeluściach „barrenu”, gdzieś nad Rzeką Miedzianą<sup>76</sup> – była to stuletnia niemal relikwia po zaginionej ekspedycji

---

<sup>76</sup> Rzeką Miedzianą (ang. Copper River) – rzeka w Stanach Zjednoczonych, w południowo-wschodniej części Alaski. Jej długość wynosi ok. 400 km.



Franklina<sup>77</sup>, łyżeczka srebrna ze znakami J. F., a więc używana ongiś osobiście przez tragicznego bohatera północy, który przez okres całego pokolenia zapełniał świat sławą swego imienia, którego śladów oraz okrętów „Erebus” i „Terror” poszukiwało na próżno piętnaście kolejnych ekspedycji w ciągu trzydziestu lat. Łyżka, wystawiona w honorowej witrynie „Rascob’s Polar Museum” na Park Avenue, ściągała nieprzejrzone tłumy, z których 99% dopiero przy tej sposobności dowiadywało się o istnieniu muzeum i po raz pierwszy usłyszało imię nowego wielkiego badacza Arktyki.

Lucy wściekała się i z rzadka chyłkiem jeździła na tajne narady do Nickoka, który znikł dla świata i leczył się w domu, zacierając bolesne ślady po ostatnim wykładzie o kryzysie światowym. On jeden mógł jej poradzić i dopomóc w ciężkich kłopotach, które lawiną bez przerwy sypały się na nią z łaski „NIRY”. Generał Johnson uwziął się i ordynarnie ją szantażował, grożąc bojkotem państwowym wszystkich jej przedsięwzięciom, a nawet jej klienteli prywatnej, jeżeli nadal będzie się opierała odnośnym kodeksom. Robotnicy ośmieleni demagogią rządu występowali z wariackimi żądaniami, a tysiąc urzędników, nikczemna, biurokratyczna hołota, ci tak zwani „robotnicy w sztywnych kołnierzykach”, wszczęli za tajemną zмовą podstępny, tchórzliwy a bezczelny sabotaż w biernym oczekiwaniu na nakazaną przez kodeks minimalną piętnastoprocentową podwyżkę. Niedoczekanie ich! Świetne tradycje slazengerowskiego koncernu nie pozwalają jej przyłożyć ręki do bolszewizacji kraju, dałaby dowód paniki i małoduszności, a jej wielki ojciec przewróciłby się w grobie. Pan Nickok z jej polecenia zrzeszał właśnie opornych pod nieoficjalną firmą „Trustu Wzajemnego Ratunku” – Mutual Saving Trust – według wskazań genialnego eksperta, znakomitego uczonego z Europy, profesora van der Zypena, który sam zgłosił się, aby służyć idei oporu i czynił to bezinteresownie, ale prosił o ścisłą poufność i zezwolił na odsłonięcie swego udziału jedynie przed panią Rascob, którą również pragnąłby poznać osobiście.

Lucy z powodu awantury z Raldem i przyjazdu męża wciąż odkładała jego odwiedziny. Zżerała ją przygnębiająca nuda, przerywana napadami furii, ilekroć stawał przed nią wyraźnie

---

<sup>77</sup> Mowa o tragicznie zakończonych ekspedycjach badawczych Johna Franklina do Arktyki z 1845 r. na dwóch statkach „Erebus” i „Terror”, oba statki uległy zniszczeniu, nie wróciła również załoga.

problemat Ralda i Iny, i momentami obłądnego strachu, gdy rozważała parę słów karteczki, otrzymanej przed tygodniem ze stemplem pocztowym Ottawy – „Pozdrowienie z pięknej Kanady! Niezadługo zobaczymy się, sądzę, że będę powitany mile – Juan”.

Nie przyjmowała nikogo, ale od wizyty Harry’ego Shurmana żadną miarą niepodobna było uchylić się, jego sekretarz osobisty dzwonił już dwukrotnie. Zdręczona przymusem i nie wiadomo dlaczego przecuciem czegoś niemiłego czekała nań, przybrawszy się nieco i zasunawszy do połowy portieri we wszystkich oknach gabinetu, żeby osłabić wrażenie swej przekłętej brzydoty. Z Shurmanem nie łączyły jej żadne stosunki, po raz ostatni widziała go za niepamiętnych czasów jeszcze za życia rodziców, był to przystojny młody człowiek, skromny i cichy, śp. matka upodobała go sobie i roiła nań jakieś plany rodzinne, z czego Lucy wyśmiewała się – droga mamó, ten chyba nie potrzebuje pieniędzy, więc dlaczego by miał wybrać właśnie mnie?

Gdy wszedł, w jego przygarbionej postaci, w znużonych oczach, zmiętych rysach, w siwiźnie, a przy tym w sporej łysinie objawiła się jej nagle jako rzecz niepojęta – straszliwość czasu. Ten człowiek nic jej nie obchodził, a jednak wzdrygnęła się, doprawdy chciało jej się zapłakać, ach, jakże jest zdenerwowana...

Gość skłonił się zimno i nie bawił się w żadne wstępy.

– Witam panią, pani Rascob, proszę darować, że panią niepokoję, tym bardziej że przychodzę ze sprawą przykrą, nawet ciężką...

– Co się stało?! Niech pan mówi, chcę wiedzieć natychmiast!

Zerwała się, nieokreślone złe przecucie przerosło w pewność jakiegoś wielkiego nieszczęścia, w wyobraźni rozszalały się wszelkie możliwości i niemożliwości – ale Shurman? Skąd właśnie Shurman? I nagle zdjął ją przeraźliwy strach, nagi, beztreściwy.

– Proszę się uspokoić i dać mi powiedzieć, o co idzie, sprawa da się uratować, choć nie bez zachodu, od pani jednej zależy, żeby ją załatwić pomyślnie.

– Tak jest. Słucham, słucham pana.

Zdumiewało ją samą pokorne posłuszeństwo, które niespodzianie odezwało się w tych słowach, jak gdyby była małą dziewczynką, na którą wydało się coś i zaraz ją ukarzą – za co?

– Interesuje mnie los pewnego młodego człowieka, który wpadł w ciężkie opały, właśnie staram się go wyciągnąć. Adwokat mój twierdzi, że bez pani pomocy nie da się go uratować, grozi mu

w najlepszym razie dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Pani wie, o kim mówię...

- Nie wiem! Nie mam pojęcia...

- Eddy Wychgram, zresztą kolega pani syna, proszę się nie wypierać...

- Jak pan śmie tak do mnie mówić?! Ja się nie zapieram, ja naprawdę nie znam tego człowieka...

- Bardzo być może, ale nie idzie o to; za pani wolą i wiedzą i za pani pieniądze wplątano go w proces anarchistów, aby usunąć spod jego wpływu syna pani. To jest zbrodnia!

Lucy zerwała się, rzuciła w górę ramiona, rozkrzyżowała je w nieudolnym geście zdumienia, oburzenia, ale nie mogła zdobyć się choćby na jedno słowo.

- Proszę nie wyprawiać komedii, pani musi odwołać oskarżenie, ale przyznanie się ściąga na panią co najmniej osiem lat więzienia, jeżeli zaś pani przypuszcza, że zbrodnia da się zwalić na niejakiego Wilforda, który był bezpośrednim managerem tej afery i osobiście płacił policji i prowokatorom z wydziału śledczego za podrzucenie ekrazytu i za inne dowody rzeczowe oraz kupował fałszywych świadków, to tenże Wilford we własnej obronie wymieni nazwisko pana Burta, jednego z doradców prawnych pani koncernu, który z kolei zdradzi pana Nickoka, no, a ten oczywiście nie będzie udawał bohatera i wyspie panią, co mu straci parę lat więzienia... A choćby za jakieś szalone pieniądze milczał i wziął całą winę na siebie, to dla opinii pani będzie napiętnowana jako winowajczyni tej podłości. Opinią całych Stanów Zjednoczonych pani może sobie gardzić, ale proszę się zastanowić, co na to powie pani syn?

Cios ugodził śmiertelnie. Zabił w niej buntującą się dumę i niezłomną pewność bogactwa, była bezbronna, była zdeptana, zamarły słowa uszczypliwe, kłujące, groźące, obelżywe o spisku, o szantażu i zamarły słowa błagalne. Patrząc na Shurmana, który nie unosił się, nie oburzał, mówił ze spokojem i umiarem, wiedziała, że nie czas prosić o zlitowanie; jest osaczoną, trzeba się poddać na łaskę i niełaskę.

- Musi pani cały ten proces umorzyć, uwolnić nie tylko młodego Wychgrama, ale i co do jednego wszystkich siedmiu oskarżonych.

- Ależ panie, to są anarchiści...

- Owszem, ale w głowie im nie powstało wysadzać w powietrze Morgana, ten zamach uplanował Nickok.

– On przekroczył moje instrukcje! Ja o tym nie wiedziałam! Przyśięgam panu na wszystkie świętości! Na głowę mojego syna! Zresztą dwóch się przyznało!

– Dajmy pokój zakłębom, pani kłámie. Straszny los siedmiu niewinnych ludzi nie dolegał pani sumieniu, w śledztwie ich katowano po bestialsku – oto, dlaczego dwóch się przyznało. A jest między nimi i pewien Rosjanin, człowiek sterany, przeszło sześćdziesięcioletni. Czy to nie za droga cena za odciągnięcie pani synka od złego towarzystwa? Pani ufała, że u nas za pieniądze wszystko da się zrobić i że największa zbrodnia ujdzie bezkarnie, byleby dobrze zapłacić, pani i teraz jeszcze w to wierzy, nawet w tej chwili, ale proszę się przestać łudzić, bo w razie uporu odpokutuje pani strasznym skandalem i ośmioletnim więzieniem. To zapowiadam pani ja, Harry Shurman i, na Boga, dotrzymam słowa! Ale zdaje się, że niepotrzebnie ostrzegam panią – pani się śmieje? Dobrze.

Shurman wstał, odwrócił się i bez słowa więcej szybko zmierzał ku wyjściu. Lucy zerwała się, zabiegła mu drogę, rozkrzyżowała ramiona przed zamkniętymi drzwiami.

– Więc?

Padła mu do nóg. Wybuchła płaczem. W bełkocie zdyszanych słów, niepoczytalnych, niezrozumiałych chciała mu wypowiedzieć całą niedolę swego życia, skarżyła się jak przed jedynym człowiekiem na świecie, który mógł ją zrozumieć i uzalić się nad nią; gdyby jej okazał odrobinę serca, wyznałaby mu o sobie bez wstydu i utajenia i to, o czym nikt na świecie nie wie...

– ...Ja się nie śmieję, ja się straszliwie boję... To w mojej okropnej twarzy taki skurcz, kiedy mi bardzo źle... Przecież ja jestem ohydna... Piekielne moje życie – ach, gdyby pan wiedział, płakałby pan nade mną!... Jestem zła, wściekła nie ze złości, tylko z nieprzebranego nieszczęścia... Nikogo nie mam na świecie, jedyne moje ukochanie, syn mnie opuścił i zdradził, czyż z mojej winy?... Niepotrzebnie żyję, jak przez sen koszmarne, jak w obłądnie... Ta nuda, pustka bogactwa, niechże będą przeklęte moje miliony i ojciec, który je mnie zostawił!... Oboje niech będą przeklęci, że mnie zrodzili straszny ludzkim z niezatartym piętnem brzydoty! Niech pan spojrzysz na mnie, błagam o jedno spojrzenie, bo z tej ohydy wywodzi się cała moja tragedia, wstrętne, do niczego niepodobne... Pan mi grozi więzieniem? Odetchnęłabym w więzieniu, nawet w piekle!... Jedyne człowiek, którego pokochałam... Rekord okropności! Pan wie, kto on był?!

Shurman miał tego dosyć, ale nie mógł odejść, Lucy leżała mu na drodze w samych drzwiach.

– Pani Rascob, skończmy te komedie! To pani nic nie pomoże.

Lucy spojrzała ku niemu błędnymi oczami.

– Komedie?! Całe moje życie jest farsą, ale teraz nie wyprawiam żadnych komedii. Niech pan słucha! Tego nikt nie wie, tylko on i ja...

A dalej mówiła już niemal szeptem.

– Powiem, powiem, samej sobie na złość, na urągowisko – to był potwór... Splugawił mnie, obarczył mnie, i Rald, jego syn, ma krew skażoną i on rośnie na potwora... Przez całe życie muszę się kryć, udawać, cóż za nędzna komedia! Od dwudziestu lat dygocę ze strachu przed upiorem... I pragnę go i może go ubóstwiam! Za co? Za diabelską urodę? Za podłość? Za to, że mnie sponiewierał?... Ha! ha! ha!... Ha! ha! ha!...

Był to napad histeryczny, moment zupełnie obłąkany; zanosząc się ze śmiechu, nie przestawała mówić, wołać, krzyczeć, ale z tego już nic nie rozumiał, chciał nareszcie odczepić się od wstrętnej wariatki, odejść i zostawić ją samą, ale chwyciła go za nogi z dziwną siłą, jak gdyby go chciała obalić, tarzała się, miotała się, Shurman kłął głośno i cudem jeszcze utrzymywał się na nogach, ale wiedział, że lada chwila upadnie. Z furją, brutalnie wyrwał jedną nogę i ustawił się pewnie; czuł, że grubą podeszwą trzewika przeorał jej po twarzy, porwały go, ponosiły go tylko gniew i odraza – ani cienia ludzkiego współczucia, widział w tym wstrętną komedię poniżenia się ze strachu. Ale i tym go nie prześlaga – zawziął się.

Lucy dźwignęła się na rękach, podniosła ku niemu głowę.

– Panie Shurman, litości! Błagam o jedno spojrzenie, jedno dobre słowo...

Spojrzał. Była okropna.

– Oto moje ostatnie słowo – dzisiaj jeszcze o godzinie czwartej będzie u pani mój adwokat, na wstępie podpisze pani otwarte szczere wyznanie swojej winy, on je pani podyktuje, wymieni pani swoich wszystkich zauszników, którzy maczali ręce w tej intrydze i zaprosi ich pani do siebie na konferencję na godzinę ósmą wieczorem.

– To wszystko dzisiaj?

– Tak jest, dzisiaj.

– Litości, panie Shurman, pan widzi w jakim jestem stanie!

– Widzę. Niech się pani przezwycięży, rzecz nie cierpi zwłoki, rozprawa wyznaczona od dziś za tydzień, jeżeli do niej dopuścimy,

mój adwokat oskarży panią publicznie i nieodwołalnie, musi to zrobić i zrobi, gdyż inaczej ci ludzie będą skazani.

– Litości, panie Shurman!... Jutro! Jutro wykonam wszystko, przysięgam!

– Nie, dzisiaj! Na wieczornej konferencji wszyscy trzej pani zaufani podpiszą szczegółowe zeznania, a następnie niech radzą, jak odrobić swe łajdactwa i skończyć z tym na trzy dni przed rozprawą. Spieszcie się, bo idzie o wasze głowy.

– Na Boga – jak to zrobić?

– To już wasz kłopot, a zresztą mój adwokat wam dopomoże i już dopomógł w mierze – czterech fałszywi świadkowie z najgorszego gatunku zawodowych killerów<sup>78</sup> i hanchmenów<sup>79</sup> już złożyli na piśmie deklaracje odwołujące dawne zeznania; czeka ich od czterech do sześciu lat więzienia za fałszywe oskarżenie i za wprowadzenie w błąd sprawiedliwości, tym bardziej, że są to niepoprawni, parokrotnie karani recydywiści. Pani im za to zapłaci jeszcze raz, oczywiście grubo więcej za naprawę łajdactwa niż za jego popełnienie; są odpowiednio zastraszeni i pilnowani, by stawili się u sędziego z dobrowolną skruchą, poza tym są już ugodzeni i otrzymali zadatek – adwokat przedstawi pani rachunek wszystkich moich wydatków.

Lucy długo jeszcze siedziała na wypłowiałym, prastarym, bezcennym bagdadzkim dywanie, uporczywie wodząc oczami za czarno utkanym napisem, obiegającym dokoła brzegów, jakby go spostrzegła po raz pierwszy w życiu, jak gdyby od odczytania tej arabskiej modlitwy czy też wersetu z Koranu zależał teraz cały jej los. Cekał ją dzisiaj wstyd haniebnej pokuty i potworny, nieudźwigniony wysiłek woli – temu już nie podoła, a litości nie ma dla niej na tym świecie. Czy nie czas, czy nie nadchodzi nareszcie godzina, gdy trzeba odejść? Ciemność, cisza, nicość – wieczne zapomnienie...

Na zegarze w hallu biło południe głębokim, zgłuszonym basem, jakby zatajonym gdzieś w głębinie na dnie, wielki dzwon uderzał potężnie jak z wieży dalekiego kościoła. Z nakazującą powagą, nieodwołalnie mierzył swoje głosy zaziemskie, wołające kędyś.

– Idę... Idę – szeptęła Lucy, usiłując dźwignąć się z ziemi.

Cisza.

---

<sup>78</sup> *Killer* (ang.) – zabójca.

<sup>79</sup> *Henchmen* (ang.) – poplecznicy.

Teraz uderza miękko, czując jak sercem pierwszy idealnie zestrojony wielodzwonny akord psalmu i popłynęły łzy ukojenia. Nie ma w tych dźwiękach strachu, rozpacz, chaosu ostatniej chwili, gdy w ową noc straszliwą, w mrozie, w wichrze, w ciemnościach tłum potępieńców miotał się, parł siłą, walczył pięściami, zębami o miejsce w łodziach, zsuwając się po przechylonych pokładach, depcąc i miażdżąc wszystko po drodze... To dobry Bóg woła ją do siebie, sprawiedliwy i najmiłosierniejszy. Który w człowieku grzesznym widzi i wie wszystko.

*Nearer, my God, to Thee,  
Nearer to Thee;  
E'en though it be a cross, That raiseth me,  
Still all my song shall be:  
Nearer, my God, to Thee!*<sup>80</sup>

---

<sup>80</sup> Por. przyp. 104 w tomie pierwszym.





## Rozdział czwarty

### Chińska waza

Trudności piętrzyły się, zastraszające wieści ze świata dzień po dniu, bez przerwy sypały się jak z rogu obfitości niewyczerpanych klęsk. Uroczą Amaltea<sup>81</sup> zgorzkniała na starość i stała się złowrogą wiedźmą. Agencje telegraficzne wszystkich państw prześcigały się nawzajem w gorliwości, dostarczając czytelnikom porannych gazet coraz to bardziej wyszukane „menu” świeżych okropności.

Tej wiosny wyścig rekordowo prowadziły Niemcy. Jakże daleko odsadził się Hitler-Wódz od Duce Mussoliniego, od Generalnego Sekretarza Stalina, od Ghaziego Kemala Paszy<sup>82</sup>, od Regenta królewskiego Horthyego<sup>83</sup>, nie licząc już pośledniejszej reszty wschodnio-europejsko-bałkańsko-bałtyckich quasi-dyktatorów! Ci nagle bez własnej winy spadli do kategorii ciamajdów, a ich niewolnicze ludy przekonały się dopiero, że naprawdę żyją w raju.

Świat anglosaski zawrzał oburzeniem za Żydów i za splugawione najszczytniejsze ideały ludzkości, lordowie najstarszych rodów, biskupi wszystkich kościołów i sekt, najgrubszy milionerzy z Dominiów<sup>84</sup> i z USA podpisywali szlachetne protesty i zasiadali

---

<sup>81</sup> Amaltea (lub Amalteja) – w mitologii greckiej jedna z nimf; opiekowała się Zeusem w dzieciństwie.

<sup>82</sup> Kemal Pasza (właśc. Mustafa Kemal Atatürk; 1881–1938) – turecki polityk, wojskowy, marszałek Turcji, współtwórca i pierwszy prezydent Republiki Turcji (1923–1938).

<sup>83</sup> Horthy (właśc. Miklós Horthy de Nagybánya; 1868–1957) – węgierski polityk i wojskowy, od lutego do listopada 1918 dowódca Marynarki Wojennej Austro-Węgier, w latach 1920–1944 autorytarny przywódca Królestwa Węgier. Wziął udział w II wojnie światowej po stronie państw Osi.

<sup>84</sup> Dominia brytyjskie – forma ustrojowa istniejąca w ramach imperium brytyjskiego, stanowiąca formę pośrednią między kolonią a suwerennym państwem. Pierwszym dominium brytyjskim była Kanada, która otrzymała ten status w 1867 r.

na honorowym miejscu w prezydiach meetingów przeciwko barbarzyństwu, a w duchu i jego nieprzeniknionych skrytościach taili podziw i uwielbienie. W zgorzkniałych, w najbardziej wystraszonych budziła się wstydliva nadzieja – może wielki przykład natchnie, może bezprzykładne zwycięstwo ośmieli jałowe, waha-jące się rządy? Wszak, kto wie, być może, choć zapewne z drugiej strony... Po miesiącu myślano – a jednak owszem, możliwe, bardzo możliwe, kto by był powiedział?... Po dwóch miesiącach zaszepetano – ależ tak, tak! Oczywiście, nie ma dwóch zdań! W trzecim miesiącu zaczęto mówić głośno, rozważać bez oburzenia, pisać rzeczowo bez patosu i obelg, pozostawiając to niepoprawnym idealistom, nic nieznaczącym w globalnym obrachunku sił oraz broniącym własnej skóry socjalistom, komunistom, emigrantom niemieckim i Żydom.

Albowiem przez ten czas nadchodziły, zjawiały się i zostawały duże, mocne fakty. Sowiety, które winny były zapłonąć pożarem oburzenia, ogłosić mobilizację sił zbrojnych i ruszyć na Berlin, a przynajmniej odgrażać się wojną, a choćby podjąć generalny bojkot Trzeciej Rzeszy – w niczym nie zmieniły swoich dobrych stosunków dyplomatycznych i handlowych i nie kwapiły się bynajmniej do zbyt jaskrawych demonstracji ani do przygarnięcia masy uchodźców komunistycznych. Liga Narodów oraz oficjalna dyplomacja międzynarodowa subtelnie czułymi względami otoczyły proaryjskiego i nordyckiego herosa, który poskromił Niemcy, a choć wszystkich swoich pacyfistów powsadzał do więzienia lub rozegnał na cztery wiatry, a książki ich kazał spalić, choć ruszyły na trzy zmiany wszystkie fabryki broni, tak głośno i uporczywie pyskował o powszechnym rozbrojeniu, że niebawem ogłoszono go za wielkiego gwaranta pokoju, tak upragnionego przez cały świat. A dalej – tu kula ziemską kręci głową i długo, bo aż po dziś dzień skrobie się za uchem – zaroili się odnośni dyplomaci i trzy najpotężniejsze mocarstwa niespodzianie zapraszają go na czwartego do przełomowego Paktu. Polska urażona i strwożona podstępna zdradą Francji – Korytarz, Śląsk, Pomorze – rzuca się w ramiona bezbożniczym Sowietom, pomimo że traktat w Rapallo<sup>85</sup> pozostaje

---

<sup>85</sup> Traktat w Rapallo – w mieście Rapallo we Włoszech zostały podpisane dwa traktaty. W 1920 r. – traktat między Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców a Włochami regulujący spory terytorialne między stronami traktatu. Strona włoska rzekła się pretensji do Dalmacji, otrzymując w zamian m.in. prawie całą Istrię z Triestem, pas wybrzeża łączący Włochy z Fiume (obecnie Rijeka). Obie strony zobowiązały się przeciwdziałać restauracji Habsburgów na Węgrzech i w Austrii.

w całej swej mocy Czytelnicy gazet, upośledzeni profani biedzą się i głowią, szukając w epokowym wydarzeniu zdrowego sensu, dyplomaci wyjeżdżają, przyjeżdżają, odwiedzają się nawzajem, trącają się szampanem, zjadają wystawne obiady, fotografują się i milczą lub rozmawiają o pogodzie. Niechże się nareszcie ktoś odezwie po ludzku! Dlaczego, do diabła, nikt nie mówi o najważniejszym?

*O sancta simplicitas*<sup>86</sup> ...

Jeżeli polityka międzynarodowa nie jest improwizacją poetycką niebezpiecznych grafomanów, jeżeli nie jest komedią z pomyłek wodzów zawsze genialnych, opatrnościowych mężów stanu i załganych do mistrzostwa wirtuozów dyplomacji, lecz posiada w sobie odrobinę zdrowego sensu, choćby niedostrzegalną dla współczesnych, a objawić się mającą dopiero szczerom archiwalnym dla rozrywki nieurodzonych jeszcze pokoleń, i tak dalej – to musi się opierać na splocie zjawisk, interesów i przeciwieństw gospodarczych, co znowu nie może być bezstronną definicją prawdy, gdyż to samo właśnie w ślad za Marxem aż do znudzenia powtarzają doktrynerzy socjalizmu. Jednak pomimo tylu ciężkich zawodów i skandalicznych fiask konferencji międzynarodowych świat z tą nową piękną wiosną jak gdyby znowu odzyskał dziewictwo nadziei i gotował się z całą powagą do powszechnego soboru finansowo-gospodarczego na miesiąc czerwiec w Londynie. Sceptykom odpowiadano, że wprawdzie dotychczas konferencje zawodziły, ale ta ma przed sobą wyraźny cel, na który godzą się wszyscy, a za sobą spalone mosty, przepaść, widmo ostatecznej zagłady. Konferencja musi się udać, a zresztą żadna nie była tak wspaniale przygotowana. Dlaczego bowiem utknęły na niczym, a raczej na wielkim światowym skandalu drugi już rok trwające rokowania rozbrojeniowe? Gdyż oparte były na wzajemnej nieufności ku sobie mnóstwa odmiennie umundurowanych generałów, którzy sztukę nieszczeroci, kłamstwa, wybiegów i wszelkiego rodzaju szacherki doprowadzili do karykatury, gdyż, udając zawodowych dyplomatów, przesadzili i przesolili w tej międzynarodowej komedii. Dopomagali im gorliwie zapłatać wszystko aż do absurdu potężni i szczwani agenci jedynego szczerze międzynarodowego mocarstwa – tajnego związku

---

W 1922 r. został podpisany tzw. układ w Rapallo o ustanowieniu stosunków dyplomatycznych i gospodarczych, z klauzulą najwyższego uprzywilejowania, pomiędzy Rosyjską FSRR i Niemcami.

<sup>86</sup> *O sancta simplicitas* (łac.) – o, święta naiwności.

fabrykantów broni, od których nikt nie może wymagać, by dopuścili do zawieszenia lub bodaj zmniejszenia zbrojeń, przeciwnie, robili wszystko, by je zwiększyć i dopięli swego. Był to jedyny pozytywny rezultat konferencji rozbrojeniowej, nie licząc nowego wylewu literatury pacyfistycznej, przygrywającej do tego przewlekłego skandalu swoje szlachetne arie, mnóstwa anegdot zrodzonych z poczucia własnej nicości i z piekielnych nudów oraz wyrafinowanych dociekań scholastyczno-talmudycznych nad tym, jaka broń jest co do istoty swojej bronią zaczepną oraz nad idealną definicją pojęcia o „napastniku”. Zresztą widmo wojny, które miało podniecać twórczą gorliwość konferencji, należy do kategorii odległych możliwości, jest nieobliczalne i nienamacalne, gdy kryzys bez jednego wystrzału już od czterech lat niszczy, zabija i cały świat zamienił w jedno pobojowisko, zasłane zgliszczami i zwałami trupów. Jego straszliwa wojna trwa i jeszcze się szerzy.

Nie, powszechny sobór londyński roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego nie będzie się wdawał w teologię sporów nad dogmatycznymi fikcjami Wielkiego Kryzysu. Jak ongiś sobór w Clermont<sup>87</sup> ma on radzić i ogłosić pochód krzyżowy przeciw klęsce, która zalała straszliwym najazdem ziemię świętą kapitału i wyгнаła go z rajy pomyślności, prosperity. Któż będzie na nim Urbanem Wtórym<sup>88</sup>, wzywającym do ofiarnego boju, kto będzie natchnionym Piotrem Pustelnikiem<sup>89</sup>? Kto powiedzie zastępy w miejsce zagrożonych świętości?

Na podobną przedkonferencyjną gadaninę i pisaninę skupiona i martwa maska profesora van der Zypena przybierała uśmiech tajemniczy i wyniosło-szyderczy. Dwie były po temu przyczyny: po pierwsze, znał naprzód cały przebieg i wynik konferencji, jak gdyby miał przed sobą jej protokoły, będzie to jeszcze jeden więcej pompatyczny międzynarodowy skandal i nowy jaskrawy dowód, że kapitalizm niezdolny jest do samoobrony dotychczasowymi

---

<sup>87</sup> Sobór w Clermont – zebranie zwołane przez papieża Urbana II w 1095 r., którego głównym postanowieniem było ogłoszenie rozpoczęcia pierwszej wyprawy krzyżowej.

<sup>88</sup> Urban II (właśc. Odon de Lagery; ok. 1035–1099) – papież od 12 marca 1088 r. do 29 lipca 1099 r.

<sup>89</sup> Piotr Pustelnik (1050–1115) – inaczej Piotr z Amiens, Piotr Eremita; francuski zakonnik, prowadził pustelniczy tryb życia w środkowej Francji, na wezwanie Urbana II został przywódcą I wyprawy ludowej. Jego kazania przyciągały do kruzjatyki tłumy chłopów.

środkami połowicznymi, jego wyobraźnia ani odwaga nie sięgają poza uparty i ślepy egoizm klasowy; po wtóre, pierwszy, a zarazem ostatecznie zwycięski pochód krzyżowy już wyruszył w pole, obyło się bez wcielonych kopii papieża Urbana Wtórego, Piotra Pustelnika i jego hasła „Bóg tak chce!”. Tym razem zachciał, zechciał kto inny, genialny samozwaniec, bez plebiscytu ludów i bez namaszczenia świętą oliwą, nie powoływał się na zaświatowe moce ani się podawał za ich ziemskie objawienie, nie był również we własnym mniemaniu nawiedzonym przez bóstwo prorokiem – po prostu był uczonym, ale zarazem głęboko rozumnym człowiekiem, nie miał żywej, wiążącej moralnie i ogłupiającej spójni z żadnym narodem, był obywatelem świata i patrzył na jego sprawy okiem niezaślepionym i bezstronnym. Wreszcie – posiadał wyobraźnię i odwagę.

Jeżeli lękał się czegokolwiek, to chyba własnej odwagi; chwilami zdejmowała go ona prawdziwym przerażeniem. Jakże kolosalne brzemień podźwignął i poniósł na sobie – cóż tu znaczy mizerne słowo „kolosalne”? Każde słowo przymiotnikowe przystawione do jego zadania jest zbyt lekkie i za małe, bo nikt jeszcze jak świat światem nie powziął podobnego zamierzenia, chyba obłąkany, obracający się w swoim czwartym wymiarze pojęć i wyobrażeń, albo poeta, tworzący olbrzymie rzeczy na papierze – ale w życiu realnym, w niebywałej burzy dziejowej, w strasliwym powikłanym splocie zjawisk gospodarczych i polityczno-społecznych?!

Czasami nocą budziło go jakby czyjeś trącenie, zrywał się i siadał na łóżku, przez sekundę w sennym odrętwieniu nie wiedział, gdzie jest, kiedy, jak ani co się z nim dzieje i nagle jak błyskawica oślepiła go niewiarogodna straszna rzeczywistość. Jak to? Dziesięciu milionerów! Dziesiątym był Montgomery Guy Bishop. Gotowi są oddać połowę majątku na rzecz autarchicznej rewolucji – niesłychane! I już płacą regularnie wyznaczone im grube woły na rzeczy wstępne – to dopiero cud! Strzegą tajemnicy jak prawdziwi spiskowcy, wierzą we wszystko, co im się powie, jak fanatyczni sekciarze. Słuchają ślepo, zaprzysięgli wierność Radzie Najwyższej...

Ależ to sen fantastyczny i głupi, opętał go i trzyma... Dlaczego się tak męczy, czego się boi? Jeżeli już wie, że śpi, to znak, że zaraz się obudzi.

Budzi się w zimnych potach – milionerzy nie znikają, stoi przed nim w kupie wszystkich dziesięciu, patrzą weń natarczywie, nie spuszczać oczu. Zna ich z postaci, z imienia, z nazwiska i zna ich interesy, wie, na ile szacować każdego, wie, który jest mądry,

który tępy, który zaś zgoła głupi, który pewny, a który w końcu zawiedzie, a ten Shurman... Gdy Shurman jakby mimo woli, nie zwracając się do nikogo, wycedził głosem cichym i znużonym jak w westchnieniu cyfrę swojej fortuny, van der Zypen poznał, że to jednak jeszcze chyba sen.

Wyskoczył z łóżka i chwycił się za głowę – więc to naprawdę?! I co on narobił? W co się wdał, czego się podjął?! I co dalej? Nic nie wiedział, głowę miał pustą, zmaconą, porażoną strachem – nic, tylko rzucić wszystko i uciekać, gdzie oczy poniosą.

Po sekundzie zachichotał drobniutko cienkim, piskliwym falsem, tym swoim tajemnym śmiechem, którego nikt u niego nie znał i nigdy nie słyszał, było to stare nawyknięcie, wyraz najwyższej uciechy, której z nikim nie mógł dzielić, ukryty samotny śmiech z wiecznej komedii ogromnych spraw tego świata. Był zbyt spoufalcony z ministrami przeróżnych państw i za dobrze znał zakulisowe zakamarki tak zwanych wydarzeń dziejowych, by robić sobie wielkie rzeczy z ludzi przeciętnie małych i z ich niezliczonych – a miał na to pamięć niezawodną – głupstw, gaf, wsyp i wpadunków, które wypełniały tę dziwną epokę i szybko przemijały, gasły w zapomnieniu, by ustąpić miejsca nowym. Widowisko to, gdy mu się dość napatrzył, ośmieliło i jego – nie święci garnki lepia – do wystąpienia w szranki. Zbrojny doświadczeniem, okryty od stóp do głów pancerzem filozoficznego cynizmu nie podnosił przyłbicy, był rycerzem bez imienia, a właściwie cieniem, a jednak – wierzył w to niezłomnie – on to zwycięży najświetniejszych zawodników światowego turnieju i dokona dzieła, które da mu nieśmiertelność. Jego sprawa rosła w oczach, milionerzy odpowiednio oświeceni i urabiani psychicznie, każdy z osobna według jego odrębnych właściwości, byli karni i posłuszni, nawet Gilchrist, nawet, o dziwo, Shurman. Przestało go to dziwić, gdy się przekonał, że wszyscy, prócz jednego może Shurmana, po prostu umierają ze strachu. Bali się bolszewizmu, bali się Roosevelta i jego NIRY, bali się Rady Najwyższej, a najbardziej jej generalnego sekretarza. W tym splocie strachów zwyciężył van der Zypen. Posiadał on sztukę sugestii w szerzeniu paniki wśród swoich wtajemniczonych, przerażał ich spokojnie, beznamiętnie, ze straszliwą łagodnością, rzeczowo, uczenie, wywlekając z kłębowiska wydarzeń piekielne cyfry i niechybne własne prognozy; z tych kilka już się nawet sprawdziło, na resztę przyjdzie kolej w przewidzianym czasie. Zgłębił do gruntu psychologię bogactwa w tym czwartym roku kryzysu i jego ciekawe psychozy, nieraz nader śmieszne,



a przez to samo tragiczne. Wedle jego spostrzeżeń w tej sferze najgórniejszej bogactwa, której cyfrę na całym świecie podawał na jakieś sto tysięcy ludzi wielokroć milionowych, już zaczynają się szerzyć znamienne objawy przedśmiertne, załamanie instynktu życiowego, niespokojna bezradność umysłów, porażenie woli, to co w myślach swoich nazywał lękiem nadprzyrodzonym – horror mysticus. Demon lęku już się usadowił na szczycie piramidy socjalnej, panowie świata popadają w szaleństwo paniki i szerzą ją dalej wśród swoich podwładnych wasali, zależnych od manewrów wielkiego pieniądza, od jego nakazów, od jego uczuć. Niebawem, zapewne rychlej niż mniemają najbardziej zajadli rewolucjoniści czyhający na zgubę wroga, odsłoni się dla wszystkich oczu śmiertelna niemoc duchowa ludzi władających światem, jak odsłoniąca jest już teraz ruina ich ustroju; strach stanie się jawnym, zakrzyczy głośno, już bez wstydu, albowiem będzie nazbyt okropny. Zaczną się miotać, ciskać, nurzać się i wynurzać jak tonący, którego ciągnie za nogi jego własny strach, aż zachłysną się i pójdą na dno. Kto wie, może się poddadzą fatalizmowi swojej doli i ulegną, zanim masy ruszą, aby ich dobić? Może na wstyd rewolucji ludowej, nieświadomej swych własnych sił, na dziwowisko temu staremu światu, który widział już tyle, obnażą taką niemoc i nędzę, że przyszłe pokolenia przez całe stulecia będą się zdumiewać, że ostatni władcy pieniądza oszukali i przeżyli własną śmierć, że przetrwali aż tak długo...

Na posiedzeniach braci wtajemniczonych wysoki brat sekretarz generalny nieraz powtarzał łagodnie, ale dobitnie, ze swoim błędym, martwym uśmiechem, który mroził słuchaczy:

– Ale śpieszmy się, bracia, czasu mamy niewiele, pośpieszajmy...

Więc już pierwszego czerwca ukaże się pierwszy numer „Planu”, wielkiego dziennika; firmę daje mu sam Shurman, on również osobiście i wyłącznie finansuje olbrzymie przedsięwzięcie. Na pytanie, jaki budżet wyznacza piśmie, odpowiedział z monarszą prostotą: ile będzie trzeba. Dzięki temu, w zdumiewająco krótkim czasie van der Zypen zakupił i zakontraktował na niesłychanych warunkach całą partię najznakomitszych piór, łamiąc zawarte umowy i płacąc gotówką wysokie okupy. „Plan” – z podtytułem „The United States and World’s Unic Plan” w pierwszym swoim numerze, w naczelnym artykule redakcyjnym ogłosi się uroczyście za zwolennika NIRY, a w drugim, następnym z kolei, od razu uderzy w prezydenta Roosevelta, w trust mózgow, w generała Johnsona, w jego afisze, meetingi, radiomowy i w jego święty batalion sześciuset

inspektorów. Olbrzymia idea NIRY została złamana i zdradzona przez jej własnych twórców i wykonawców. W jej rozgłosie i reklamie, w surowych i rewolucyjnych rzekomo nakazach kryje się perfidne oszustwo – złowrogi cień demagogii socjalnej Mussoliniego i Hitlera, Stany Zjednoczone i cały świat, zarówno kapitał, jak i praca domagają się prawdy i szczerości; „Plan” będzie im tylko służył, a na pierwszym i naczelnym miejscu stawia sobie zasadę sprawiedliwości społecznej – święte prawo każdego człowieka do istnienia, albowiem wypełniły się czasy i tego właśnie prawa domaga się obywatel USA i obywatel świata. Ślepy, kto tego nie widzi. Świeżo zakontraktowani wybitni myśliciele i świetni publicyści, odstępcy od wręcz odmiennych dolarowych ideałów, wyznawanych przez ich dawne redakcje, z entuzjazmem przyjęli nowy światopogląd, trafił on nieomylnie wraz z shurmanowskimi warunkami umowy do poczucia ich interesów zawodowych, a przypuszczalnie w pewnej mierze zapewne nawet i do przekonania – oczywiście w granicach podpisanej umowy.

Założono bogato wyposażone „Towarzystwo Badań Socjalnych” pod honorowym przewodnictwem znakomitego Abla Fanchera, do którego weszła *in corpore*<sup>90</sup> cała młodzież ze związku „Humanitas”, czasopismo „§ 19”, ilustrowany tygodnik dla bezrobotnych, rozdawany za pół centa, propagujący uzupełnienie konstytucji USA przez nowy punkt: „Każdemu obywatelowi konstytucja zapewnia, a państwo przez rząd federalny dostarcza pracę wynagradzaną uczciwie”.

Poza tym van der Zypen znosił co raz to nowe projekty, posiadał już własne biuro, wyposażone w siedemnaście pokoiów, w jedenastu myślicieli, ekonomistów i socjologów, w pięć stenotypistek, w sześciu urzędników manipulacyjnych, czterech woźnych i czterech murzynków, pięć samochodów i dziesięć telefonów. Milionerzy zdumiewali się ogromowi jego pracy, jeszcze bardziej podziwiali, ale między sobą ostro krytykowali jego zaiste dziką bezinteresowność: nie chciał on przyjąć żadnego wynagrodzenia, bodajby jakiegoś marnego tysiąca dolarów miesięcznie i żył z własnych funduszy najskromniej, byle jak, ascetycznie, żeby nie powieździeć – po psiemu, oczywiście w skali oceny milionerskiej.

– To jest bardzo, bardzo szlachetne i nawet wzruszające, ale w najwyższym stopniu nieprzyzwoite...

---

<sup>90</sup> *In corpore* (łac.) – w komplecie.

– Gorzej, bo zawiera w sobie wyraźną krytykę naszego prywatnego życia.

– Jeszcze gorzej! On ma pogardę dla pieniędzy! Dla mnie taki człowiek jest zawsze podejrzany.

– Taki mędrzec, a tego nawet nie rozumie, że pieniądz to jest pieniądz i basta! U nas wie o tym każde dziecko już w trzecim roku życia!

– Rozumieć – to on dobrze rozumie, ale ma już taką swoją filozofię...

– Więc po co, u starego diabła, tak gorliwie nas ratuje?

– Najgorzej – jeżeli on nas tam w ogóle ratuje...

– Coś ty powiedział, Tom?!

– Nic nie powiedziałem, ja tylko tak sobie... Każdy może mieć swoje zdanie.

– Jeżeli masz takie zdanie, to za co płacisz i po co siedzisz tu między nami?

– Po co tu siedzę? Ze strachu tak samo jak wy. A co mam robić w tych przeklętych czasach? Diabli nas biorą – z tą cholerną Autarchią czy bez niej – ot co jest!

Thomas Hubbard, pierwszy powołany po Shurmanie, pierwszy wypowiedział głośno to, co tkwiło jak cierń w każdym z wtajemniczonych, nie wyłączając w pewnym stopniu i samego Shurmana, który jeden ze wszystkich zdolny był ogarnąć i zrozumieć olbrzymią koncepcję van der Zypena. Reszta szła na oślep za Shurmanem, sterroryzowana przez argumenty i opętujący fanatyzm swego łagodnego poskromiciela; byli karni, posłusznie płacili, ile tam uchwalono – a raczej ile im kazano – a dalej gubili się zupełnie w olbrzymich zadaniach Autarchii i w zastraszającej z dnia na dzień coraz szerszej i głośniejszej działalności, podjętej i prowadzonej w ich imieniu. Na oficjalnych posiedzeniach rzadko który zabierał głos, nie występowano z zastrzeżeniami, ale gdy się zeszli we dwóch czy w kilku, biadali gorzko na swój los i czasami na samego „tyrana”. Biadał za innymi i Sam Gilchrist, który nie zapomniał swego buntu, upokorzenia i wysokiej kary, ale za każdym razem, gdy usłyszał ostrzejsze słowo o „tyranie”, biegł do niego i donosił o nieprawomyślności kolegów. Ten dziękował mu za lojalność, ale brał te donosy dobrodusznie, sam dobrze rozumiał, że wtajemniczeni nie mogą żywić dlań uczuć przyjaznych, jak chory dla chirurga, który, ratując go od śmierci, sprawia mu okropne bóle. Żaden prócz jednego Shurmana nie był zdolny do ideowego przejęcia się Autarchią, każdym powodował jedynie strach o własną skórę, ale cóż, nie miał

pod ręką bardziej inteligentnych milionerów; ci, których z biedą udało się spędzić do kupy, byli wedle opinii Shurmana jeszcze lepsi od innych.

– Jednego mi żal – nie będę mogła tańczyć! Teraz, gdy prawie nie sypiam po nocach, przychodzą mi do głowy coraz to nowe pomysły do mimodramatów solowych i zespołowych, niektóre są wprost wspaniałe w swojej symbolice; ruchem, rytmem, spojrzeniem, grą twarzy i całej postaci od stóp do głów można wyrazić najtrudniejsze rzeczy. A dalej kostiumy, mądre, świetne kostiumy, no i przede wszystkim nagość, święta nieskalana nagość... Już wiem, że mi to będzie wzbronione i sama rozumiem, że nie może być inaczej... a szkoda... Chyba że po jakimś czasie wyzwolisz się z więzów naszej amerykańskiej faryzeuszowskiej pruderii, my uprawiamy po wszystkich budach pornograficzną ohydę girlsów, gorzej niż gołych, ale gdy idzie o prawdziwą wysoką i czystą sztukę...

– To nie pruderia, do diabła z pruderią! Nie chcę, żeby cię to całe męskie draństwo pożerało oczami, nie chcę i koniec, miałem tego dość w „Uistiti”. Będziesz tańczyła tylko dla mnie! Urządzimy cudowną salę, co za światła, kotary, co za tła, palmy i pełno, pełno kwiatów! Wiesz, to by się dało zrobić w naszej cieplarni?

– Rozporządzasz się bez pani domu, a jeżeli ona nie zgodzi się dać cieplarni? Bo, że dopóki żyje nie zgodzi się pobłogosławić nas na wspólne życie – to pewne i mocne jak dobry mur.

– A ja ci ręczę, że w duchu już się zgodziła. Trzeba tylko poczekać, aż się w niej przełamie duma, żeby się mogła do tego przyznać. Już ja jej dałem dobrą szkołę, popamięta!

– Znowu awantura?

– Ha! ha! ha!...

– Opowiedz!

– Nie warto, awantur między nami było nie mało... Więc jeżeli Lucy nie da cieplarni? Wybudujemy sobie własny dom, a przy nim cieplarnię, nie taką fabryczną szklarnię jak u nas na Czterdziestej Drugiej Ulicy, bo ta jest do głupoty ogromna jak w wielkich zakładach ogrodniczych i, wiesz, od dwudziestu lat nikt tam nawet nie zagląda...

– A gdzież stanie nasz dom? W Miami na sztucznej wyspie? W Nicei obok Willi Rockefellera? Odkupisz od ekscesarza Wilhelma samotnię tragicznej cesarzowej Elżbiety austriackiej, wiesz, ten cud

świata – „Miramare” na Korfu<sup>91</sup>? Może nad Lago Maggiore<sup>92</sup> z marmurami, z cyprysami? Ach, ty niepoprawny milionerze... Nic z tego – ja nie chcę takiego życia, rozumiesz? Gdy patrzę na wasz przepych i tę potworną wymyślność, zgroza mnie bierze i taka nienawiść...

– O, słyszałem tę arię proletariacką! Jak się pobierzemy, sama zobaczysz, że to nie takie straszne. Mamy się dla zasady głodzić i umartwiać? Jeździć tylko subwayem i busami? Odmawiać sobie głupiej łoża w operze czy podróży do Europy? Ino, powiedz mi, gdzież tu jest sens?

– To nie znaczy, żeby wyrzekać się wygody czy rozrywki; postaraj się zrozumieć, że sam poziom życia twojej sfery, te wspaniałe przyjęcia, fanaberie i frykasy, które, zachłystując się z zachwytu, opisują reporterzy, są zniewagą dla nędzy milionów bezrobotnych i niewolniczej pracy tych, co jeszcze mogą zarobić na życie! To szaleństwo musi zniknąć, zdechnie razem z wami i nigdy nie odżyje na nowo, bo świat tego nie ścierpi...

– Dobrze, dobrze, rewolucja nas wymiecie, wiesz chyba, że nic nie mam przeciwko temu, opuszczę mój pałac, pogwizdując wesoło z rękami w kieszeniach, bez żadnego bagażu, jednak, co mam robić na tymczasem? Powiedz, jeśliś taka mądra?

– Całkiem nie jestem mądra, ale ja czuję, a od ciebie nawet nie można tego wymagać na razie; cała rzecz socjalna polega na odczuwaniu, rozumiesz?

– Doprawdy, ja bardzo czuję – czasami...

– Dobrze i to, a jak czasami nie poczujesz?...

– To będę słuchał ciebie i już.

– Pamiętaj!

Układali swoje przyszłe życie, będzie ono rozkoszne w szczęściu, a zarazem bujne i wielkie przez pracę i walkę dla ludzkości, ale żadne nie wiedziało, jak mają sobie poczynać z tymi milionami, aby obróciły się na zbawienie świata, zdawałoby się, że w tych czasach, po czterech latach kryzysu, gdy kapitalizm ma przetrąconą kość pacierzową, nietrudno z takimi pieniędzmi wywołać rewolucję w USA, a już co najmniej znacznie ją przyśpieszyć. Poradzą się mądrych

---

<sup>91</sup> „Miramare” na Korfu – prawdopodobnie chodzi o letnią rezydencję Elżbiety Bawarskiej znajdującą się na Korfu, bardziej znaną pod nazwą Achillon. Miramare to nazwa jachtu wykorzystywanego przez księżną, na którym wielokrotnie przepląwała Morze Śródziemne.

<sup>92</sup> Lago Maggiore – jezioro polodowcowe we Włoszech i Szwajcarii.

ludzi, a tymczasem marzą, stwarzają na poczekaniu wielkie fakty historyczne, przewracają do góry nogami stary zmurszały świat i budują nowy, jadą do Rosji badać ustrój sowiecki i całują się, całują.

Jak gdyby wszystkie przeszkody były już przełamane wraz z Lucy, która najserdeczniej matkuje młodej parze i jej światoburczym zamierzeniom, oddając na ten cel swoje trzysta milionów.

- Ale ona nigdy się nie zgodzi, wyrzuci cię z domu, wyklnie cię, wydziedziczy - ach, gdybyś ty był choć o parę lat starszy i trochę mądrzejszy! Byłoby to może najlepsze, pobralibyśmy się, zarabiali-  
byśmy na życie jak zwyczajni porządni ludzie. Ralddie, mamy takie zawrotne, wspańiałe zamiary, ale cóż ze mną zrobić - ja się boję bogactwa!

- Jeżeli się tak boisz, to walmy od razu do szeryfa twojego okręgu, a potem się zobaczy - ileż razy mam ci to powtarzać?

- I ja ci powtórzę po raz setny, że zaraz bym to zrobiła, gdybyś tylko nie był takim głupim chłopiątkiem; mógłbyś nie wytrzymać takiego eksperymentu, a co by się ze mną stało? Poczekajmy, może się znajdzie jakiś sposób.

Miała sposób niezawodny, znała go od dawna, ale dla niej był za mocny. Na próżno wyśmiewał ją wierny przyjaciel Emery Elton, który nie tylko upoważnił ją wplątać go w całą intrygę, ale nastawał i męczył ją, jak gdyby mimo straszego ryzyka z jego strony miał w tym i jakiś własny cel.

- Sam bym to zrobił za ciebie, panno Ino, i nawet bym się ciebie nie spytał, ale nijako mi jeszcze spotykać się z Lucy, a nawet pisać do niej; na to grubo za wcześnie, na razie w takim jestem położeniu.

- Za nic w świecie! To obrzydliwy szantaż! A co by powiedział Rald?

- Słowo jest przykre, ale sposób zupełnie odpowiedni jak na osobę tak bezwzględną jak pani Rascob; jak nie będzie mogła pozbyć się ciebie inaczej, ręcę ci, że nie zawaha się nawet przed morderstwem.

- Żarty!

- Tym bardziej, że jej sumienie całkiem dobrze to zniesie, a tajemnicę i bezkarność ma oczywiście zapewnioną. Zrobią to za nią specjaliści bez ryzyka, na pewniaka, nawet nie będzie ją to tak wiele kosztowało. Więc napisałyby pani parę słów...

- Nie!

- Można by wreszcie i bezimiennie trzy wiersze na maszynie, literalnie trzy wiersze, tyle, żeby wiedziała, że jest ktoś, posiadający jej tajemnicę, krótkie zapytanie: czy życzy sobie, żeby Rald dowiedział się, kto jest jego ojcem? To wystarczy.

- Przenigdy! Cóżby Rald...
- Ależ Rald o niczym by się nie dowiedział!
- I tak z nim żyć, ze wstrętną tajemnicą w duszy?
- A cóż?

Lucy przeglądała łąpczywie świeże raporty agencji informacyjnej „Argus”, cienkie bibułki maszynowego pisma szeleściły w drżących rękach. Nareszcie ją przyłapała – dobry Boże, co za szczęście! Skończone utrapienia z rudą bezwstydnicą, Rald uratowany, odzyskany. Bo serce matki jest jasnowidzące, nieomyślne. Nieszczęsny chłopak zrozumie jej upór, przygarnie się do niej, wypłacze na jej piersi swoją dziecięcą tragedię miłosną i na długo odstrychnie się od kobiet – a to w jego wieku najważniejsze – spoważnieje, będzie się uczył, zajmie się sportem, będzie dobrym synem... Rozpromieniona marzyła o cichym szczęściu domowym, poczuła się starą i była w tym słodycz ukojenia, należy się jej na ostatnie lata trochę ulgi i wytchnienia. Gdyby jeszcze dało się opamiętać zwariowanego Rascoba i zatrzymać go w domu, stworzyliby sobie we troje podobieństwo normalnego ludzkiego życia, jakiego ona właściwie nigdy nie zaznała.

Była wdzięczna do głębi serca utrapionej hecarce<sup>93</sup>, że dała się złapać na gorącym uczynku, zarazem trzęsła się z oburzenia, że ta kreatura poważyła się zdradzać Ralda. Zatem jest do gruntu nikczemna, wyrachowana i jakże głupia, nie umie pohamować się ani ukrywać naleźycie swoich schadzek. Prowadząc grę o tak olbrzymią stawkę, czyż nie przypuszczała, że może być śledzoną przez matkę, która ma chyba prawo wiedzieć dokładnie, kim jest i jak się prowadzi „narzeczona” jej syna? Lucy triumfowała, była niemal szczęśliwa, wierzyła w dobrą przyszłość, zapomniała o wszystkich swoich udręczeniach dawnych i najświeższych, o krwawej masce Nickoka, o wizycie Shurmana, nawet o straszliwej godzinie, gdy wiła się po ziemi w hańbie i wstydzie, jakich niepodobna przeżyć, w żalu, w strachu zaciskając w rękę ampułkę z cyjankali. Kto uratował ją od śmierci? Dobry Bóg, albowiem gotował jej wieść szczęśliwą za to, że tyle wycierpiała. I znowu chciała żyć. Jej rojenia były zapamiętałe, dziecięco urocze, znikła nawet na chwilę dławiąca, nieodstępna zmora brzydoty.

---

<sup>93</sup> Hecarka – cyrkówka. Zob. B. Wieczorkiewicz, *Słownik gwary warszawskiej XIX wieku*, Warszawa 1966. Określenie to pojawia się także w powieściach Balzaca *Fałszywa kochanka* i Gabrieli Zapolskiej *Fin-de siècle’istka*.



– Ów malarz jest to człowiek mocno niemłody, przypuszczalnie już po pięćdziesiątce, ale wyjątkowo piękny. Pomimo bardzo poważnych trudności zdjęcie portretu panny Barnato w naturalnej wielkości i w całkowitej nagości tej ostatniej będziemy mieli zaszczyt dostarczyć przy następnym raporcie, jak również personaliów wyżej wzmiankowanego artysty malarza.

W kopercie jeszcze coś było – wycinek z tygodnika artystycznego „Cheesel and Pencil”<sup>94</sup>, reprodukcje jakiegoś portretu i dwóch martwych natur, krótki artykułik recenzyjny „Emery Elton”, a na odwrotnej stronie podobizna artysty. Lucy spojrzała przelotnie i już miała odłożyć wycinek, ale kochanek Iny, ów w najwyższym stopniu obojętny Emery Elton zdążył rzucić na nią zuchwałe wejrzenie i nagle olśnił ją wspaniałą męską urodą, przerażającą jak zjawa upiora. Spętał, przykuł do siebie oczy.

Cios byś mocny. Jak pałką po ciemieniu. Ogłuszyło ją, poleciała kędyś, wzbija się na niezmierną wyżynę, urwała się i runęła w dół – tak bywa w snach. Ze wszystkich sił zacisnęła powieki, aby nie widzieć okropnego zjawiska, aż chwycił ją kurcz w oczach, w policzkach, w skroniach, twarz spotworniała jak maska zamęczonego na śmierć w okropnych torturach, ale podobizna Emery’ego Eltona ani na jedną chwilę nie przestawała jej nękać, wbiła się jak klinem w mózg, rozdzierała nieszczęsną głowę. Nieomylny głos nieszczęścia obwieścił jej całą prawdę w jednym wyszeptanym słowie; wiedziała już wszystko i broniła się beznadziejnie, zagłuszając prawdę chaosem wybiegów, pytań, przypuszczeń, udanym zdumieniem dla niepojętego podobieństwa – ale to się zdarza, zdarza – udanym uśmiechem lekceważenia, ale go jednak nie mogła wydobyć na twarzy, zakrzepłej w grozie.

– Nerwy, moje nieszczęsne nerwy – powtarzała w kółko – przywidzenie, idea natrętna mego przeklętego życia, mania prześladowcza... A głos nieodwołalny wtórował jej, szepcząc – to on, on, on... A tamten wciskał się pod zawarte powieki, patrzył beczelnie i drwił.

– Ależ to ja, Lucy, sama wiesz, że ja... Nie zamykaj oczu, popatrz na mnie, jeszcze warto spojrzeć, prawda? Za to ty, biedna Lucy... Tobie nie pomogła nawet starość, od której się już niczego nie wymaga...

Po okrutnych słowach poznawała go jeszcze lepiej niż z rysów twarzy, ale mówił prawdę – jest szatańsko przepiękny, nawet piękniejszy niż był, to typ Chuana pogłębiony przez wielkie burze życia,

---

<sup>94</sup> Nazwa fikcyjna.

doskonały, skończony w swoim idealnym wyrazie. Rald – to już nie żadne tam zdumiewające podobieństwo – Rald jest jego powtórzeniem, sobowtórem, dzieli ich tylko dwadzieścia lat, ale ani jeden rys, ani jeden ruch, ten sam głos, ten sam uśmiech... Cud, najgłębsza tajemnica ojcostwa, w tym jest okropność, bo i Rald obarczony bez winy wyrasta na demona, czymże będzie, gdy dojdzie do lat trzydziestu pięciu jak paryski Chuan? Nie potrzebuje być bandytą, bo ma miliony, ale czy nie stanie się potworem, wymyślnym, ohydny okrutnikiem, bezkarnym dzięki bogactwu zbrodniarzem, stokroć gorszym od pospolitego zbrojnego, galernika, kryminalisty? Cięży na nim ślepe przeznaczenie.

Ono sprawiło, że ci dwaj musieli się zetknąć ze sobą na bezmiernym świecie – syn z ojcem w miłości do jednej kobiety... Jeszcze nie wiedzą o sobie, a może się już znają od dawna i oto Rald poniewiera matką, bo choć milczy, posiada jej tajemnicę...

Nagle promień słońca przebił zwały chmur i odmienił wszystko – ależ to nieprawda! Omamienie podobieństwem i rozpętana wyobraźnia. Wielki grzech jej życia ściga ją i tropi, ale przez własny strach; niech policzy, ile razy bez żadnego powodu miała napady najgłupszych podejrzeń, jak budziła się rano z myślą, że tego dnia musi ją spotkać coś okropnego, jak niekiedy bała się otworzyć pierwszy lepszy list z osobistej poczty, przeczuwając w nim po jakichś niewidzialnych oznakach wieść od niego... Za każdym nawrotem podobnego maniactwa drżała ze strachu, trapiła się fikcją, nigdy nienauczona, a po paru godzinach, po godzinie, nieraz już po kilku minutach przychodziła do siebie. Tak samo i dzisiaj samochcąc – zatrzuwa sobie radość dobrej wieści.

Rozumowanie ukoilo ją na chwilę, jak uśmierza ból parę kropli specyfiku lub zastrzyk. Ale marzenie zleniwiło, nie ponosiło już natchnieniem, tworzącym odnowione życie, dającym przedsmak spokoju, błogości; przełomowa nowina zmaląła, bo jednak fotografia jest trochę podejrzana, nawet nie tylko trochę... A nuż to prawda? Niepodobieństwo – ale zawsze trzeba się naprzód upewnić, bo jeżeli istotnie... Kogo zapytać, jak sprawdzić? Puścić w ruch Nickoka? Wtajemniczyć agencję „Argus”? Ach, za nic w świecie... Lepiej nie tykać sprawy, zaczekać, pomyśleć dobrze... Nikogo nikogusieńko, żeby mu wyznać prawdę, poradzić się – okropna wieczna samotność! Zgasł promień słońca, naniósł chmur, znowu wszystko ciemne, ponure...

Bo jeżeli to on, trzeba się wyrzec triumfu, wyrzec się, utracić Ralda... Albo wziąć na zwłokę, zezwolić na to małżeństwo, wyznaczyć

im termin za trzy lata i może się coś wyjaśni. Nie zechcą czekać, więc za dwa lata, wreszcie – za rok! I przez rok wiele może się odmienić, takiemu chłopcu może się spodobać inna. Oby tylko nie spotkali się ci dwaj i nie spojrzeli sobie w oczy... Jakże łatwe wyjście, gdyby to było dopuszczalne – napisać anonim do Ralda, niech śledzi swoją ukochaną i niech ją zastanie w pracowni malarza w obliczu nagiego portretu, oczywiście pójdzie tam w furii i ze swoim bykowcem i, zanim spojrzy, zanim dostrzeże podobieństwo, schlaszcze twarz rywala do niepoznania. Elton ucieknie, Ina zniknie, nie zdoła przebłagać Ralda...

Marzenie! Jeżeli ten Elton jest naprawdę Chuanem Carranzą z jego dzikością i muskulaturą, to sprany byłby właśnie Rald, napastnik, i zrzucony ze schodów... Co nie nastąpi, gdyż tamtych dwoje, Elton ze swoją kochanką, tworzą spółkę dla wciągnięcia Ralda i eksploatacji zamierzonego małżeństwa... Więc jeszcze gorzej, najgorzej, co zupełnie nie jest niemożliwe – szczwany, wypróbowany łotr chwyci go za ręce, obezwładni i wyjawi mu prosto w oczy całą prawdę: malował Inę nagą, bo jest artystą, a ona i tak obnosiła się ze swoją nagością po kabaretach, uknuli we dwoje niespodziankę dla niego – piękny portret... A zaprzyjaźnili się – chcesz wiedzieć dlaczego, drogi chłopaczku?

Lucy widziała tę scenę i przyglądała się jej z chciwością – Rald stoi zapatrzony błędnymi oczami w swego rywala, Ina śmieje się, Chuan Carranza panuje nad sobą ale – o dziwo – doprawdy jest wzruszony; czyżby w tym zakamieniałym potworze... Rald na próżno miota się i szarpie w potężnych ramionach, Chuan roztwiera i jego zaciśnięte palce z łatwością jak u dziecka, odbiera mu bykowiec i odrzuca precz. Ciągnie go przemocą do wielkiego lustra – w każdej pracowni malarskiej jest takie, było nawet w paryskiej ubogiej klitce na Rue Danou i odbijało ich nagość i rozpustę.

– Umyślnie poznałem się z twoją narzeczoną, miły Raldzie, aby ci dopomóc w sporze z matką i przez to zbliżyć się do ciebie... Tragiczne losy, które opowie ci panna Ina, rozerwały nasz związek z miss Lucy Slazenger w Paryżu, przed dwudziestu laty... Miss Lucy niedługo szukała męża, gdyż nosiła w sobie dziecko, poczęte z pierwszej miłości, chłopca, który choć nosi nie moje nazwisko... Przez dwadzieścia lat byłem daleko, daleko, aż na starość zapragnąłem bodaj rzucić okiem na swego rodzzonego syna. Nieprawdaż, co za dziwna baśń? Rodzonemu synowi należą się od rzekomego ojca dowody, dokumenty – na razie spojrz w to lustro...

Tak, lustro wystarczy i – o przekleństwo – Rald uwierzy w zjawę ojca. A kiedy tak, to musi uwierzyć i matce, ona mu dopowie o „tragicznych losach” ojca, najwstrętniejszego bandyty, i jej za dowód prawdy wystarczy, by powiedziała:

– Spójrz na mnie, czy taką można pokochać? Zawodowy złodziej, pseudomalarz i pseudoargentyński Hiszpan uwiódł mnie, aby zagrabić moje klejnoty wartości siedmuset tysięcy dolarów, zabrał je, plunął mi w twarz i uciekł – oto twój ojciec!...

Nic nie utai. W tym rozpaczliwym położeniu nie zabraknie jej odwagi, spali za sobą mosty i – o Boże – nareszcie zazna ulgi, pozbędzie się brzemienia, które dźwiga od dwudziestu lat! A Rald? Zaprawdę, byłby nikczemnikiem, gdyby się nie uzałił nad matką.

Pozostaje Ina – tę odda się w niezawodne ręce Nickoka, niech z nią zrobi, co zechce. Da Bóg, na jej obronę nie zjawi się jakiś drugi *deus ex machina*<sup>95</sup> – powtórzony Shurman...

Była śmiertelnie wyczerpana i naprzód już znużona, do jęku, do niewytrzymania storturowana tym, co ma nastąpić, co musi przyjść i przyjdzie. Czy pokona wstyd przed Raldem i swoje haniebne poniżenie? Czy to przeżyje? Stworzyła sobie fikcyjną wersję i kolej zdarzeń, przeżyła je niemal, przewidziała zda się wszystko. Ale któż zdoła przeniknąć pogmatwanie, paradoksalne szyderstwo i okrucieństwo faktów? A nuż w tych jutrzejszych niewydarzonych jeszcze dziejach tai się jakaś niespodziana, najgorsza okropność?

Nie ma rady, trzeba się zdobyć na czyn szaleństwa, na to, co od razu zaświtało w głowie, gdy z fotografii spojrzął na nią Chuan Carranza; ta pierwsza myśl, natychmiast odpędzona jako jawna niemożliwość, teraz wydała się jedyną drogą, prowadzącą do celu. Jest najcięższą dla niej, jednak od razu przecina wszelkie powikłania i ich nieobliczalne następstwa: pójdzie do niego sama. To niesamowite spotkanie jeszcze nie mieściło się w głowie i wymykało się wyobraźni – wszak było ono zmorą, lękiem śmiertelnym i palącą, pogmatwaną pokusą całego jej żywota. To jakby przekroczenie granic realnego świata i pogrążenie się w otchłani innego, niepojętego bytu; jakże ona stanie przed nim, przemówi do tego, który był jeno jakby sennym widziadłem tak dalekiego

---

<sup>95</sup> *Deus ex machina* (łac.) – bóg z maszyny; określenie wprowadzone do dramatu antycznego przez Eurypidesa. W znaczeniu alegorycznym oznacza nagły, niedający się wyjaśnić zwrot akcji.

wspomnienia, że zatracala się niemal jego prawdziwość, był już urojeniem, mitem... Ach, to pierwsze spojrzenie!...

Zaczynało się opętanie znajome z plugawych godzin samotnego zatracenia, stawała się pijana i szalona bez rumu i whisky. Jakże zdoła wypowiedzieć, rzucić mu prosto w twarz te słowa:

– Ile ode mnie jeszcze chcesz? Masz, bierz swój okup i zgiń, maro piekielna, przepadnij!

– Schowaj swoje dolary, ja chcę odzyskać syna!

Co czynić, jeśli tak właśnie odpowie? Niepodobna przewidzieć, co powie, jak się zachowa dawny rzekomy Chuan Carranza, obecnie fałszywy Emery Elton, zawsze ten sam, zuchwały zbrodniarz, niepokromiony dziesięcioletnią katogą człowiek bez czci i wiary. Będzie się chełpić bezwstydnie, będzie szydzić, będzie się domagać Bóg wie czego, będzie groził, że wszystko opowie Raldowi.

– Nie powiesz mu całej prawdy, bo Rald plunie ci w te bezczelne oczy, i nie możesz skłamać, bo ja mu dopowiem resztę; odgrażasz się, a jesteś bezsilny, to ja cię trzymam w rękę, Chuanie Carranza, bandyto, galerniku! Moja łaska zdjęła ci kajdany, a ty śmiesz nastawać na mój spokój? Chce ci się z powrotem do Noumei, na łańcuch? Idźże precz!

Nauczy się na pamięć tych słów i wypowie je od razu na powitanie, głośno, dobitnie, nie patrząc nań... Bo jeżeli raz spojrzy...

Ogarniała ją pijane uniesienie, dochodziło już niemal do szczytu zapamiętania, jak bywało z nią dopiero po paru butelkach, rzeczywistość zaćmiła się, ciężka sprawa, nad którą biedziła się nadaremnie, stała się naraz znajomą wizją obłąkana, szaleństwem, tajemną, samotną orgią...

Otrząsnęła się z odrazy i po raz pierwszy w życiu samej sobie rzuciła w twarz prawdę, omijaną nawet w snach, zakopaną gdzieś głęboko na zamulonym dnie duszy – czyż tylko z ciekawości szukała po świecie jego śladów? Czy tylko z chrześcijańskiego miłosierdzia wykupiła go z niewoli?... Czyż nie po to spisała dlań w punktach formalny nakaz pozostania do końca życia na antypodach w Australii pod rygorem wydania go w ręce sprawiedliwości, żeby go pobudzić do przekroczenia nakazu? Czyż go nie znała? Z niemałym dochodem i ogromnym kosztem gotowała sobie to spotkanie i wyczekuje na nie przez długie lata – czystą komedią jest jej strach, zgroza, odraza...

Zerwała się, schwyciła z rozłożonego przed nią raportu w obie garście po kilka kartek, zmięła je i jęła biegać po pokoju. Bagdadzki

dywan tłumił jej kroki, latała jak cień, tylko cichy, przenikliwy szelest bibulek maszynowego pisma szedł za nią i właśnie ten nikły dźwięk poza jej wiedzą rozdrażniał ją coraz bardziej. Nie mogła się go pozbyć, opędzała się od niego, uciekała, w najcichszym a wyrażonym podszeptywaniu rozjątrzał ją ktoś, namawiał do szaleństwa...

Wreszcie, ze wszystkich sil cisnęła kartkami, zaszeleściły, rozleciały się po gabinecie i umilkły. Ale było za późno, furia już ją chwyciła pod gardło, zdusiła.

Od dawna znała te napady, przerażała rodziców, znieważała ludzi, niszczyła drogocenne sprzęty, biła szkło, w przystępie wściekłości potłukła kiedyś na miazgę perła po perle słynny i jedyny w świecie swój poczwórny naszyjnik wartości czterech milionów dwustu tysięcy franków w złocie... Później, za samodzielnego samotnego żywota, znajdowała ujście i ulgę w butelce, zapijała swoją furie; dziś spadła na nią zniecacka, nie oznajmiwszy się niczym, już rzęził w gardle dziki charkot, twarz nabrzmiała, zamglone błędne oczy rozglądały się dokoła – była straszna, ohydna i pomimo wszystko, nade wszystko o tym wiedziała. Skradała się do olbrzymiej prastarej bezcennej wazy chińskiej, zrabowanej swojego czasu w pałacu cesarskim w Pekinie podczas międzynarodowej ekspedycji karnej... Jej hieratyczny kształt i ogrom, wysokość wzrostu człowieka, czarnomатовy, obrzucony pękami liści klonowych srebrno-zielonkawych i ciemnozłoty, zepchnięty z marmurowej podstawy wnet rozleci się na skorupy, a i te będą zdeptane na pył i proch, aby przepaść i znikło ze szczętem to, z czym żyła się w domu od dziecka, co kochała niemal. Bywało jej ulubioną zabawą stukać palcem w posępną wazę i nadłuchiwać tajemniczego głosu, długo brzmiącego jęku dobywającego się z wnętrza, wyobrażała sobie, że to za każdym jej uderzeniem odzywa się posłusznie mandaryn<sup>96</sup> skośnooki z wiszącymi cienkimi wąsami, z długim czarnym warkoczem i z wachlarzem, który siedzi w środku, pełniąc u ojca jakąś zagadkową służbę. Był to dobry duch domu, jego melodyjne westchnienia nie budziły strachu, brzmiały łagodnie i rzewnie, choć smutno, pytała go nieraz, co mu jest, czego mu trzeba, opowiadała mu najpiękniejsze bajeczki, ale on odpowiadał po swojemu tylko na stukanie. Na pociechę wrzucała mu do wazy drobne zabawki, cukierki, róże, banany, nawet sandwicze, a gdy była starsza – dziecinne książki z obrazkami. Po latach stukał do tajemniczego chińczyka i czynił tak samo mały Rald.

---

<sup>96</sup> Mandaryn – urzędnik w cesarskich Chinach.

W ostatniej niepoczytalnej chwili, gdy oburącz dotknęła dłońmi zimnej wazy, by pchnąć ją z całych sił, zadźwięczały pierścionki i rozległ się przeciągły jęk mandaryna, którego duch od stuleci, od przedmandżurskich dynastii<sup>97</sup> wciąż jeszcze pokutował w pekińskiej cesarskiej wazie. Żalosne westchnienie – od iluż lat niesłyszane, zapomniane – odbiło się aż w najtajniejszej głębinie jej zdręzzonego serca, ujrzała swe dalekie dzieciństwo, gdy była tak szczęśliwą, bo nie wiedziała, że jest brzydką... Ulękła się tego, co miała uczynić, zdjął ją wstyd, żal. Zadumała się, patrząc bezmyślnie w okno.

Za pustym podwórcem, wyłożonym bazaltowymi płytami, za złożoną brązową kratą, łączącą oba skrzydła pałacu, rozpościerał się obcy daleki świat.

Czterdziesta Druga Ulica, jak zawsze o tej porze, mieniła się, kipiała tłumnym ruchem w swoim zakamieniałym, spokojnym szaleństwie. Gromada czarnych ludzi w nieskończonej, niewyczerpanej masie wciąż mijała i mijała kratę i zawartą złożoną bramę, dwa potrójne pasma samochodów sunęły w obie strony, mknęły szybko, zwalniały, przystawały, zgęszczając się, nabrzmiewając jak gadziny szykujące się do skoku, i ruszały dalej, prędzej, coraz prędzej, nadrabiając stracony czas, i znowu skupiały się, stłaczały w zbitej pstrej ciasnocie. Nawała ludzka gęstniała, napierała na mury, nie mieściła się w wyciosanych zrębach jak wzbierająca rzeka. Potoki tłumu, potoki samochodów mrowiły się, aż od patrzenia ćmiło się w oczach i nagle obraz ulicy stał się widziadłem sennym, urojeniem. Ani jeden dźwięk nie wybijał się z tysięcy odgłosów, nie przenikał przez idealnie uszczelnione okna, dochodził jeno głuchy jakby wstrząs podziemny, zmieszany, stopiony w jedno nigdy nie milknące nieodgadnione słowo, wyraz i zamię duszy potwornego miasta. Lucy znała dobrze ten zew, wchłaniała go od małego dziecka i nigdy nie mogła pojąć jego znaczenia, czasami ciągnęła do siebie i kusił, najczęściej odpychał, a chwilami budził w niej lęk i zgrozę. Ten świat był jej wrogiem zawziętym, prześladowcą, nie mogła go przekupić całym swoim bogactwem, każdy człowiek z czarnego bezimiennego tłumu wytykał ją palcem i szydził z niej, gdziekolwiek się pokazała; była pośmiewiskiem, niewolnicą, skazaną na wieczne zamknięcie w nieznośnym przepychu swego pałacu. Jest oblężona

---

<sup>97</sup> Dynastie przedmandżurskie – Strugowi chodzi o dynastie przed Dynastią Qing, ostatnią dynastią cesarską Chin, nazywaną też dynastią mandżurską, panującą w latach 1644–1912. Należała do nich m.in. Dynastia Ming (1368–1644).



przez nienawiść, zawiść, pogardę; ani jednej duszy oddanej, bodaj przyjaznej, choćby życzliwej – rzekomy małżonek – to obłąkany maniak, od którego niczego nie można wymagać; w rodzonym synu dochowała się wroga, ten czeka tylko na jej śmierć.

Po co więc żyje, co ma na tym świecie? Bogactwo, kilkaset milionów, a w istocie jedyne, co posiada na zawołanie, to chyba ta butelka whisky i godzina urojonego zapomnienia, a potem tępy pijacki sen, a dalej dni i tygodnie obrzydzenia do siebie. Wreszcie ma swoje przekłete widmo, upiora, który może w tej właśnie chwili stoi naprzeciwko jej domu po drugiej stronie ulicy w tłumie gapiów, tam przed wejściem do hotelu „Rollath” i patrzy ku niej z szyderstwem w oczach, a kto wie, może ją nawet widzi w oknie – wzrok miał niegdyś jastrzębi – i czeka na gest zapraszający...

A zatem – dobrze.

Postąpi z nim jak z niepoprawnym przestępcą, pogrąży go do końca życia. Ma w sekretnych papierach całe jego *curriculum vitae*, kopię aktu oskarżenia, raporty śp. Rogersa, daty i dokumenty. Napisze bezimienne doniesienie na artystę malarza podającego się za Emery’ego Eltona, zamieszkałego w Greenwich Village przy Gay Street nr 13, jako że jest ukrywającym się, zbiegłym z Nowej Kaledonii w roku 1929 dożywočním więźniem, skazanym przez sąd francuski w roku 1919 pod imieniem Juan Carranza – resztę załatwi machina urzędowa, policja i sąd. Niech zginie! On i pamięć jego!...

Zbierała z podłogi porozrzucane strzępy raportu biura informacyjnego „Argus”, z nienawiścią wpatrzyła się w rysy nikczemnika, który ją splugawił, zniweczył całe jej życie. Przedarty, zmiętoszony Emery Elton śmiał się jej prosto w oczy.

– Nic mi nie będzie, biednaś ty, Lucy – nigdy nie napiszesz na mnie żadnego doniesienia.



## Rozdział piąty

### Miarą wszystkiego jest człowiek

Eddy Wychgram już po raz trzeci zgłaszał się do pani Rascob i tego dnia również nie został przyjęty; Lucy umierała ze wstydu i ze strachu przed awanturą, z którą do niej przychodził świeżo uwolniony anarchista i raz na zawsze nakazała go odprawiać. W najgorszym razie otrzyma list obelżywy z pogrózkami i domaganiem się pieniędzy, da mu coś na odczepne, i koniec. Czyżby adwokat Shurmana nie dotrzymał tajemnicy, na co miała jego formalne zobowiązanie, albo też anarchista sam w toku procesu domyślił się prawdy? W każdym razie, gdyby rzecz doszła do Ralda, wyprze się wszystkiego z najwyższym oburzeniem.

Ale tym razem Eddy miał szczęście; dowiedział się od służby, że młody pan nareszcie powrócił do domu. Powitanie ich było bardzo serdeczne; Rald ze wstydem wyznał, że wciąż wybierał się odwiedzić go w więzieniu, ale z początku nie mógł dostać pozwolenia, a potem jakoś mu zeszło, miał dużo własnych kłopotów. Oczywiście ani na chwilę nie uwierzył w te głupie bomby na Morgana, bo rzecz nie miała sensu, więc był najpewniejszy, że ich uwolnią wraz z profesorem i że się ze sobą niebawem zobaczą, ale na samym początku musi mu oznajmić, że przestał być anarchistą, zresztą, prawdę powiedziawszy, nigdy nim nie był.

- I ja zerwałem z anarchią, doszedłem do tego w Tombs.

- A cóż na to nasz profesor?

- Nie gadałem z nim, zaraz po sprawie, prosto z sądu zabrali go, rozchorował się i leży gdzieś w szpitalu, pewno umrze, bo go porządnie obrabiali w urzędzie śledczym, odbili mu coś we wnętrzu, a on już za stary na taką procedurę.

- I ciebie prali?

– Jeszcze jak! Mało brakowało, żebym się nie przyznał do bomb, do Morgana i do wszystkiego, co by tylko żywnie chcieli. Widzisz, sprawa była prowokacyjna, z fałszywymi świadkami, z podrzuconym ekrazytem, nieoparta na niczym; szło o to tylko, żeby zniszczyć nasze gniazdo i paru wyrokami śmierci rzucić postrach, a myśmy przecie nic jeszcze nie robili, stary profesor agitował, gadał, a myśmy słuchali i tyle wszystkiego. Na pewno ze dwóch posadziliby na krzesło, a ja miałbym murowane dwadzieścia lat Sing Singu, gdyby nie pewien cud: ni stąd, ni zowąd zjawia ci się taki morowy adwokat i, co powiesz, fałszywe świadki, takie ostatnie dranie, zawodowcy, hanchmeny bez czci i wiary odwołują swoje zeznania, żałują publicznie, płaczą i dostają za to po cztery lata, dwóch z urzędu śledczego za nasze tortury już siedzi w ciupie, tak że nawet utworzył się komitet obywatelski, który zajął się ich obroną i zbiera składki na ten cel. Czytałem ich odezwę – śliczny dokument burżuazyjnej moralności! Otóż, z przyczyny tego cudu dobijam się do pani Rascob, ale na próżno po raz trzeci nie chce mnie przyjąć, zapewne ze szlachetnej skromności uczuć, a ciebie aż po dziś dzień nie było w domu – chodźmy do niej zaraz!

Rald nic nie rozumiał, a gdy mu Eddy wyłożył rzecz całą, popadł w tępe zdumienie i jak nieprzytomny pytał po dziesięć razy o jedno i to samo. Poraziła go wieść nie lada; wypadało na to, że nie miał pojęcia ani wyobrażenia o własnej matce; ta zwariowana Lucy jest nieobliczalną nie tylko w złym, ale i w dobrym. Któż ją mógł posądzić o tyle inicjatywy i szlachetności w sprawie ratowania chłopca, którego gościła przed trzema laty jako kolegę i przyjaciela syna i który wraz z dwoma innymi chłopcami z Lincoln College spędził zeszlóroczne miesiące wakacyjne w jej posiadłości w Alleganach – oto wszystko...

Lucy nie zapomniała o nieszczęsnym synu bankruta i samobójcy, zadała sobie wiele trudu i wydała moc pieniędzy, aby opłacić policję, świadków, sędziów za ów „cudowny” obrót sprawy, przez który siedmiu najzjadlejszych wrogów kapitalizmu uniknęło krzesła elektrycznego lub długich lat więzienia. Pani Lucy Rascob, córka Slazengera i dziedziczka trzystu jego milionów – broni anarchistów!

Po raz pierwszy – co najmniej – od całego roku Rald poczuł dla tej matki coś w rodzaju cieplejszego uczucia i od razu darował jej niemal wszystko, powstydział się i pożałował swoich złościwości i awantur, gotów był przeprosić ją i żyć z nią nadal w zgodzie, jeżeli tylko zostawi w spokoju Inę.

Natychmiast połączył się z nią. Sekretarka miss Cynthia Vose długo zwłóczyła, wreszcie usłyszał ostry głos Lucy, wyjątkowo tym razem nieprzyjemny.

– Jestem, czego chcesz?

– Droga matko, nie gniewaj się już, daruj mi moje niezliczone winy... Doprawdy, chcę, żeby odtąd między nami było inaczej...

– Co to znaczy?!

– To znaczy, że siedzi u mnie Eddy Wychgram, który daremnie kołacze do ciebie, by ci podziękować...

– Za co?!

– Nie wypieraj się, Lucy, bo to piękny czyn, jestem nad wyraz wzruszony... Jakaś ty dobra!

– Nic nie rozumiem! Mów po ludzku, albo wynoś się do diabła razem ze swoim Wychgramem!

– Czego ty się złościś, doprawdy, z tobą to człowiek nigdy nie wie jak gadać... Uspokój się i słuchaj, ponieważ z tej zbytnej skromności nie chcesz się sama domyśleć, więc ci powiadam, że Ed dowiedział się od twojego adwokata...

– Co znowu za adwokat?

– Ed, jaki to adwokat?

– George Luis Hollingsworth.

– Więc adwokat Hollingsworth powiedział mu, że to ty pokryłaś wszystkie koszty procesu...

– Tak... to prawda...

– Brawo, Lucy, jesteś dzielna, kochana!...

– Adwokat zdradził mnie, bo ja mu surowo zakazałam, żeby o tym nikt nie wiedział...

– Dobrze zrobił, a teraz idziemy do ciebie, strasznie chcę cię zobaczyć!

– Za nic na świecie!

– Masz sobie! – Znowu nerwy?

– Niech będą nerwy, nie mogę was przyjąć i już, tamtego ani dziś ani jutro, ani nigdy. A tobie jutro dam znać.

– Lucy, psujesz mi całą radość.

– I ty mi popsujesz niejedną, drogi chłopcze.

– Święta prawda, ale odtąd będzie zupełnie inaczej!

– Daj Boże. A teraz do widzenia.

– Rald, powiedz no jeszcze matce o tych dwudziestu pięciu tysiącach, że ja ich nie mogę przyjąć i nie przyjmuję!

– Lucy, jeszcze jedno...

Telefon nie odpowiadał.

– Widzisz, moja matka jest już taka... Zirytowała ją niedyskrecja adwokata, bo ona różne rzeczy zgoła niepotrzebne albo i gorsze robi jawnie, a nawet wyzywająco, za to dobre ukrywa jak coś nie-przyzwoitego – to jej styl. Uparła się i całkiem nie chce cię widzieć.

– Szkoda, będę musiał do niej napisać, a nie wiem, czy potrafię, bo trzeba, żeby dobrze zrozumiała, o co mi idzie. Chyba, że ty jej powtórzysz?

– Co za ceregiele! Podziękujesz jej w paru prostych, szczerych słowach i na tym koniec.

– Wcale nie mam zamiaru jej dziękować – też przypuszczenie! Za co? Że przyszła jej fantazja rozporządzać się bez pytania moim losem? Ja jej do tego nie upoważniłem i nie poczuwam się do żadnej wdzięczności, a że sypnęła pieniędzmi? Ma ich aż zanadto. Ja ją zapytam, jakim prawem...

– Ed, czego ty od niej chcesz? Żeby odrobiła wszystko i przez swoje stosunki i pieniądze wpakowała cię z powrotem do więzienia? Pakuj się sam, zrób co takiego, to całkiem nietrudno, a jej nie będziesz wyprawiał głupich awantur, ja na to nie pozwolę! Każdy ma prawo czynić dobro, nikogo nie pytając.

– To etyka chrześcijańsko-burżuazyjna, zresztą rzadko stosowana, ale w danym razie narusza ona moją wolność indywidualną; chcę, żeby pani Rascob to rozumiała...

– Nie obawiaj się, nie zrozumie! Ani ona, ani ja, ani żaden rozumny człowiek, chyba twój obłąkany profesor...

– A zarazem chcę jej oznajmić w postaci bardzo stanowczej deklaracji, że nie uważam się za kupionego moralnie ani pieniądze i niezwłocznie rozpoczynam działalność rewolucyjną, wymierzoną również przeciwko niej samej i jej bogactwu.

– Dużo to ją obchodzi! Ed, dosyć o głupstwach, powiedz lepiej, jakie masz zamiary, jeżeli naprawdę zerwałeś z anarchią, to z kim teraz trzymasz? Socjalizm? Komunizm? Może jest jeszcze coś trzeciego? Oczywiście, i w tym trzecim właśnie całe zbawienie świata.

– Gadaj, gadaj! Nic o tym nie słyszałem!

– Nic dziwnego, bo dopiero mnie pierwszemu przyszło to do głowy.

– Patrzcie go, mądrala! Ed, ty mówisz na serio?

– Żeby odkryć prawdę niekoniecznie trzeba być sinowłosym mędrce, który zjadł całe biblioteki, czasami bywa wprost odwrotnie.

– Bywa, ale chyba rzadko?

– Może i rzadko, tym bardziej mi miło, że ten wypadek trafił właśnie na mnie, niepotrzebnie się śmiejesz jak głupi, jeżeli jeszcze nie wiesz, o co idzie.

– Bo mnie przeraża i bawi twoja powaga i pewność siebie, ale bardzo jestem ciekaw!

– Więc siedź cicho, słuchaj, nie przerywaj mi ani jednym słowem; wiedz, że jesteś pierwszym człowiekiem na świecie, któremu powierzam moje odkrycie.

Rald stłumił uśmiech i ściągnął brwi, zaciął usta, przybierając wyraz nadmiernego skupienia. Dopiero teraz spostrzegł, jak dalece zmienił się Eddy po pięciu miesiącach więzienia; wydał mu się starszy o kilka lat, sprawił to zupełnie nowy, obcy wyraz oczu, które zapadły się i patrzyły przenikliwie i nieruchomo. Mówiąc, kiwał się zwolna, rytmicznie, całą połową ciała, zapatrzonej kędyś w przestrzeń i Rald natychmiast ujrzał starego Borowiczenkę, wykładającego w knajpie na Greenpoint i głaszczącego się po rozpostartej żółtosiwej brodzie, więc gdy i Eddy zaczął przebierać palcami prawej ręki po podbródku, na którym nie było jeszcze ani jednego włoska – nie wytrzymał i prychnął, maskując się kaszlem. Eddy tego nie zauważył, zapadł w natchnienie.

– ...Wiara w przeznaczenie jest filozoficznym przesądem, ale również przesądem byłoby zmuszać się i udawać, że się nie widzi oczywistych tak dziwnych znaków wróżebnych, których namnożyło się tyle w ostatnim roku mojego życia. Oto prawie przed rokiem bankrutuje mój ojciec i z milionerskiego synka staję się nędzarzem. Samobójstwo mego biednego ojca odkrywa przede mną potworną nieludzkość, fałsz, a zarazem niegodną, błazeńską farsę całego współczesnego życia, ustroju, opartego na bałwochwalczej, fantastycznej czci dla pieniądza. Postanawiam z tym zerwać raz i na zawsze – tylko dla siebie jednego, bez żadnych zamiarów rewolucyjnych, byłem jeszcze zupełnie nieświadomy sprawy socjalnej i pogrążony we własnej, czysto osobistej nienawiści do całego świata. Uciekam z domu matki, wychodzę na ulicę bez jednego centa w kieszeni, idę na poniewierkę, o jakiej rzecz prosta nie miałem żadnego wyobrażenia, zawzięłem się i wytrzymałem, choć nieraz przygnany strasznym głodem błąkałem się koło domu matki, ale nie wstąpiłem ani razu. Nieraz zdawało mi się, że jestem obłąkany, że zabrnąłem w jakiś absurd, teraz wiem, że wiodła mnie instynktowna mądrość, podświadome przeczucie, a chwilami – niemal



jasnowidzenie mojej przyszłej roli. Odkrył się przede mną okropny świat wyzysku, krzywdy i nędzy, na których opiera się nasza wspólna cywilizacja i kultura, z których jak z żyznego gnoju wyrosły miliony mego ojca i twojej matki, Raldzie. Powiedziałem sobie: ja się na to nie godzę, odrzucam taki porządek rzeczy, i już. Trafiłem między anarchistów, ciemnych nędzarzy, bezrobotnych, których kryzys rzucił na bruk, ci głodowali, buntowali się, niejeden kradł, rabował, jak się dało, stręczył małe dziewczynki, puszczał się na najhaniałniejszy proceder. Ci twierdzili, że póki świat jest taki, to nędzarzowi wszystko wolno. Z początku brzydziłem się nimi, ale przyznawałem im słusność, wreszcie i sam, raz i drugi dla protestu wypróbowałem siebie, dałem się wciągnąć w pewne dość śliskie interesy, do których teraz wstyd mi się przyznać... Od tych ciemnych wyrzutków społeczeństwa, odpadków ze wszystkich narodów i plemion świata, zarażonych wściekłą nienawiścią i zemsty socjalnej, nauczyłem się wiedzy tajemnej o skrzywdzonym człowieku... Ale dopiero rosyjski profesor i paru inteligentów obdartych, chudych i gruntownie wykolejonych, wprowadzili mnie na wyżyny, z których jedno spojrzenie odsłania człowiekowi błakającemu się wśród brudów i nieprawości życia jego właściwe powołanie i cel istnienia. Już zerwałem z anarchią, ale zaszczyt i cud spotkania na mojej drodze wielkiego apostoła, męczennika i mędrca zaważył na całym moim losie, a choć porzuciłem jego naukę, będzie on zawsze w mojej duszy światłością, we czci i wdzięczności zachowam jego pamięć. Dla ciebie był on tylko śmieszny, ale choć miał w sobie pewne cechy komizmu, był sercem i duchem niezłomny, wielki, wzniosły... A dalej – sprawa o zamach na Morgana, nowy etap mojej drogi! Doświadczyłem na sobie najpodlejszej broni kapitalizmu w jego walce przeciwko masom ludowym w obronie wiekuiętego trwania niewolnictwa, nędzy i bogactwa: prowokacja! Można wiedzieć i oburzać się, że taka metoda łącznie z torturami istnieje i praktykuje się na całym świecie, można oburzać się na barbarzyństwo, nawet je sobie do pewnego stopnia wyobrazić, ale zupełnie co innego – doznać tego na własnych kościach. Gdy po katowaniu w ciągu trzech dni i nocy przyszedłem nieco do siebie, poczułem w sobie, że staję się jakby innym człowiekiem, tamten młodzieńczy Ed, zapalczywy i głupi, odszedł ode mnie kędyś wstecz na długie lata i odpadł, został dalekim wspomnieniem. Kiedy ustały bóle i dolegliwości, a w sponiewieranej duszy uśmierzyła się męka poniżenia i upadającego strachu przed jakimś nowym bezceństwem,

zacząłem rozumować jak człowiek dojrzały, mężczyzna – opanowałem nienawiść i zalewającą mnie żądzą zemsty, przestałem o tym myśleć i niemal zapomniałem o sobie, czego młody człowiek prawie nigdy nie zdoła osiągnąć. I wówczas ohyda świata objawiła mi się w nowej mocy i potędze, urosła ponad wszelkie dotychczasowe pojęcia, a środki naszej walki – ruch masowy, strajk generalny, sabotaż, terror, dynamit, przewroty polityczne i wszelkie postacie rewolucji socjalnej – wydały mi się jałowe i bezsilne. Przy tych jedynie środkach walki bez głębokiej rewolucji moralnej ohyda człowieka przetrwa każde zwycięstwo proletariatu – jak to widzimy bodaj w Rosji sowieckiej – gdyż nie tylko przewaga jednej klasy społecznej, nie tylko takie czy inne instytucje, nie najmądrzejsze i najsprawiedliwsze dekrety stanowią o istocie przebudowy świata. Można przelać morze krwi dla szczęścia ludzkości i położyć pokotem wszystkich co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wytepi się ciemnoty, gwałtu, chamstwa, brudu i tysiąca absurdów, które wejdą wraz ze zwyciężcą przez próg nowego domu i rozgoszczą się tam na dobre i na długo, może na zawsze, jeżeli uprzednio nie odnowi się w człowieku dusza. Tego oczyszczenia duszy nie zastąpi żadna doktryna ani nowe prawo, ani nowy proletariacki obyczaj, albowiem miarą wszystkiego jest człowiek i oto w czterech prostych słowach całe moje odkrycie. Widzę, że sprawiłem ci zawód? Pomyśl, rozważ moje słowa, w tej formule zawiera się olbrzymi nowy świat, jego wizja dała mi upojenie i najwyższe szczęście w mojej ciasnej klatce więziennej. Nie miałem w sobie dumy ani wyniesienia ponad innych, gdyż zapomniałem o własnym istnieniu, zaznałem błogości obcowania z prawdą, z jedyną, nieomylną, niezastąpioną prawdą, której sądzonym jest odmienić postać świata. Zapamiętałem się w marzeniu, budowałem od podstaw zręby olbrzymiej świątyni, w której kiedyś będzie się sprawiał kult odrodzenia duchowego ludzkości. Nowa religia – Religia Socjalizmu – porwie ospałe, bierne masy proletariatu, tak niezmiernie trudne i dawniej, i teraz do obudzenia i popchnięcia do walki o wyzwolenie! Albowiem proletariat i cały świat pracy od wieków nieświadomie i bezwiednie tęskni za jakimś nowym słowem, za wielkim hasłem, od którego uderzyłyby wszystkie serca, które znalazłoby odzew w każdej zdręzionej, poniżonej i znieprawionej duszy, czeka na wielki przykład wiary i bohaterstwa. Gdy to będzie im dane, masy ogarnie uniesienie religijne, święty fanatyzm, a w ich ogniu spłoną pożarem stare brudy i zbrodnie ludzkości, rozwieją się w popiół i nie ożyją nigdy! Ja im

rzucę to nowe słowo. Zachowam nieśmiertelną naukę socjalizmu i jego święte księgi – przedtem je wszystkie przeczytam, gdyż wiem, że jestem jeszcze nieukiem – ale zapowiem, że szczytne miano socjalisty domaga się odnowienia duszy w człowieku, że wyznawane zasady – to nie tylko teoria i doktryna, że każdy musi je przyłożyć do siebie i strzec ich w każdym dniu i na każdym kroku swego osobistego życia. Ja dla pozyskania masy nie będę jej schlebiać ani prawić słodkich, plugawych i nieszczerých słówek propagandowych, odrzucę fałsz i demagogię, ja stanę przed nią jako surowy sędzia, żelaznym pługiem będę orał w sumieniach! Będę wymagał wiary i bohaterstwa, niech dusze przyobleką się w szaty godowe, zanim pójdą na święty bój. Niech się w nich odnowi i oczyści człowiek, niech się zbędzie zawiści do bogactwa, bo ono jest jego uwielbieniem, niech się wyzwoli z podłego strachu, który jest haniebnym piętnem niewoli... Niechaj się wyzbęda małości i łatwości, a ważą się na wielkie rzeczy! Niczym jest każda trudność dla dzielnego człowieka, nie ma niepodobieństwa dla rozpętanej woli mas ludowych!...

...Na początek stworzę zastęp ludzi wybranych, najlepszych, nowy zakon, sztab przysiężnej armii; będziemy krzewić nową naukę w szczupłych kółkach tajnych wyznawców, będziemy rozrastać się, wreszcie pewnego dnia wyniesiemy naszą prawdę na światło dzienne, a każda karta naszych pism, każde słowo naszego mówcy na wiecu będzie świeże, niezaznane, nigdy niezasłyszane, a upragnione i od dawna oczekiwane w duszy przez szarego człowieka z masy... Dla nas poświęcenie całego siebie, gotowość na śmierć nie będą frazesem, tak samo jak braterstwo ludzkie walczących, jak karność i posłuszeństwo w działaniu, jak słowo i cześć proletariusza. Przyjdą do nas najlepsi synowie ludu i wówczas zacznie się odgrzebywać jak spod ziemi i odsłoni się bezmierne bogactwo sił duchowych, zakrzepłych w bezwładzie, utajonych w nieporuszonej głębinie mas... Ogłosimy wielką mobilizację serc!

...Zapytamy, czemu to stary socjalizm, który liczy sto lat, nie zdołał obalić kapitalizmu? Dlaczego proletariat, pomimo hucznych uchwał, przysięgi i odgrążania się, jednak dopuścił do wojny światowej? Jak się stało, że przez cztery lata rzezi trwał karnie w szeregu i mordował się wzajemnie? Czemu po wojnie poza jedną jedyną Rosją nie uchwycił swojej godziny dziejowej i nie obalił starego ustroju? Zapytamy towarzyszy włoskich, dlaczego dali się złamać i spętać, i poszli w niewolę faszystów? Trzynastu milionom socjaldemokratów i komunistów niemieckich rzucimy w twarz

nieodparte oskarżenie, jako że przez lenistwo ducha w ciągu siedemnastu lat hodowali u siebie Hitlera, a gdy dojrzał, poddali się jego bezceństwu, pokonani bez walki i bez sławy. Otwarcie i szczerze wytkniemy dyplomatom, sofistom i krętaczom bolszewizmu wszystkie grzechy sowieckiej Rosji, która zamiast być pochodnią rewolucji światowej, buduje swoje olbrzymie imperium narodowe na wzór carów i wszystko dlań poświęca, handluje, zawiera pakt, całuje się z Mussolinim, z Hitlerem i trzyma w żelaznym ucisku swój głodny, obdarty proletariatus, do cna obełgany<sup>98</sup>, ujarzmiony przez doktrynę i terror policyjny. Nikt na świecie, tylko ja jeden z moją niezłomną, uporczywą wiarą w człowieka mam prawo sądu nad stuleciem błędów i bezdroży socjalizmu – lecz dosyć o tym.

Pewnego dnia ocknąłem się z zapamiętania i runął olbrzymi gmach marzenia, wizja moja zamgliła się, poszarzała i zgasła jak niebo po zachodzie słońca – przypomniałem sobie, że jestem za krata, że czeka mnie wieczne dośmiertne więzienie lub co najmniej całych lat dwadzieścia... Zapłakałem gorzko jak dziecko, które zbudzi się i na próżno szuka dokoła siebie cudnego snu; nie siebie było mi żal, lecz wielkiego dzieła, które zmarnieje wraz ze mną w straszliwej katowni Sing Singu... Lecz oto cud: tego samego dnia zjawia się u mnie pan Hollingsworth, wielki nowojorski adwokat i bierze moją beznadziejną, z góry przegraną sprawę w swoje potężne ręce.

– Młody człowieku, bądź dobrej myśli, pewna szlachetna osobistość zainteresowała się twoim losem i puściła w ruch ogromny pieniądz. Jeszcze nie wiem, czyś winien zamachu na Morgana, czy też cierpisz niewinnie – w każdym razie wykupimy cię. Rzecz jest pewna, na to daję ci moje słowo.

Dopiero przed kilku dniami dowiedziałem się, że sprawiła to twoja matka, a więc na twoje, Raldzie, wstawiennictwo, ukochanego, ubóstwianego syna jedynaka, któremu się niczego nie odmawia. A teraz wiem, że uczyniła to z własnego natchnienia, nawet bez twojej wiedzy i oto nowy, jeszcze jeden, może najdziwniejszy cud w cudzie mego ocalenia! Pani Rascob ze swoją filantropijną improwizacją była bezwiednym, ślepym narzędziem losu. Ten długi łańcuch niezależnych od siebie wydarzeń, które wyraźnie kierują moim losem, pogrąża mnie w jakimś przesądnym lęku, w świętej zgrozie. Teraz wiem, że mego dzieła dokonam, więc żyję w radości, w upojeniu mistycznym – stare to słowo i pojęcie irracjonalne, ale

---

<sup>98</sup> Obełgiwać – dawn. okłamywać, oszukiwać.

czyż mój zamiar i jego zwycięstwo nie wkraczają w granice wielkiej Mistyki Społecznej?

W prywatnej lecznicy chirurgicznej doktora Farrella przy Czterdziestej Ulicy Ralda nie dopuszczono do windy ani na schody, nie pomogły uspakajające perswazje ani codzienne konferencje z dyżurnym lekarzem, ani prośby, ani groźby. Portier, murzyn ciężkiej wagi, bez żadnej ceremonii odpychał go, aż odlatywał do samej ściany, i w szóstym dniu tych walk zapowiedział, że w razie ponownej próby szturm do klatki schodowej pan dyrektor zakáže wpuszczać go nawet do przedsionka – będzie mógł wyprawiać swoje awantury na ulicy.

Nie wierzył doktorom, którzy uśmiechali się z fachowo zamaskowanym okrucieństwem w oczach i poklepywali go po ramieniu z fałszowaną dobroduszością.

– Przede wszystkim – cienia niebezpieczeństwa! A dalej, wielkie szczęście, wyjątkowa szansa, jedna na tysiąc – oczy – oczy uratowane!...

– Więc dlaczego miss Barnato nie napisze bodaj paru słów ołówkiem na świstku papieru...

– Sto razy powtarzaliśmy kochanemu panu, że oczy – uratowane – są zabandażowane i podlegają bolesnym zabiegom i opatrunkom. Chora błaga pana o zachowanie spokoju, ta przyjąć pana jeszcze nie może i nie życzy sobie... Przedwczorajsza wizyta władz śledczych wyczerpała ją nerwowo, trzeba ją szczerzyć... Oszpecenie? Na razie tak, ale rany są powierzchowne, w grę wchodzi jedynie skóra, a w tej dziedzinie nasi znakomici dermatolodzy i kalotechnicy<sup>99</sup>... Po zagojeniu nastąpią naświetlania, masaże, może częściowe przeszczepienie naskórka w razie potrzeby, wreszcie cudotwórczy, niezawodny rad...

Rald wiedział, że uroda Iny przepadła na zawsze, umarła. Bez ustanku, wszędzie, o każdej porze, nawet we śnie zaglądała mu w oczy jej okropna maskara, twarz spalona, zorana bliznami, zrostami, pościągana szwami, zaskrzepła w ruinie, a w niej ocalałe oczy, te promienne, jedyne, niewysłowione, teraz ogołoczone z brwi, z rzęs, przeżarte i wiecznie chore, osłupiałe w bólu, w strachu, w rozpaczach... Jej czarodziejski uśmiech stał się nieopanowanym konwulsyjnym

---

<sup>99</sup> Kalotechnik – specjalista zajmujący się pielęgnacyjną kosmetyką ciała, włosów i paznokci.

skurczem, grymasem, poczwarnym w swym komizmie, który budzi zgrozę, wyciska łzy... Czyż jest w mocy człowieka znieść to pohańbienie cudu? Czy ona to zniesie? Ale – rany są powierzchowne, w grę wchodzi tylko skóra... Gdzież jest niezbadana mistyczna tajemnica urody – czyżby tkwiła tylko w ludzkiej skórze? Pozostaną wspaniałe włosy, jedyne na cały świat ramiona, ręce, nogi i stopy, wężowo gibkie ciało złote, które olśniewało oczy tłumy – ciało bez twarzy, martwy kształt, ułomek człowieka... Lucy jest uderzająco brzydka, ale i z najgorszą brzydotą można się żyć, bo w każdej tkwi jednak znamię ludzkie, niepodobna oswoić się z kalectwem kobiety, pozbawionej oblicza...

Co to jest miłość? Kocha się duszę, serce, umysłowość, wdzięk, odrębny, niepowtarzalny urok osobowości, organicznie związany kompleks psychiczny, więc kocha i będzie zawsze kochał Inę, boć jest i zostanie sobą, zawsze tą samą, będzie ją miłował tym goręcej, że jest obaloną przez los – nieszczęśliwą. Ale brał go lęk i zgroza przed momentem, gdy ją ujrzy po raz pierwszy i dlatego pchał się do niej, ciągnęła go jak przępaść – ach, spojrzeć...

– Nic pan nie zobaczy, jest cała w plastrach i bandażach, nie widzi, nie może mówić – trzeba poczekać...

– Jak długo?

– Sądźmy, że trzy, cztery tygodnie.

Ogrom nieszczęścia zwałił się nań miazdząco, do tego stopnia, że w pierwszych dniach nie pomyślał nawet dochodzić, kto dopuścił się zbrodni. Uwierzył notatkom dziennikarskim, które wszystkie z dziwną jednomyślnością stwierdzały że to „dramat zazdrości”. Tak, Ina była przez wielu pożądaną, uwielbianą, kochaną, więc znalazła się jakaś dzika kobieta, podła i głupia, której się przywidziało, że mąż czy kochanek zdradza ją ze słynną tancerką – zbrodnia rozpętanej, chorobliwej, erotycznej wyobraźni. Szpiegowała ją, zakradła się i w ciemnej wnęce bramy pensjonatu „Alicja” chlusnęła jej w oczy żrącym kwasem i uciekła. Ina nie zdążyła dostrzec jej twarzy, na porzuconym flaconie z resztą płynu nie odkryto nawet śladu palców, nie było gdzie ani jak szukać winowajczyni – i czyż warto było tego dochodzić...

Ale z kolei rzeczy, niewołana, niepomyślana, sama ze siebie nadeszła jednak chwila, gdy szarpnęło nim pierwsze podejrzenie.

Kiedy indziej od razu posądziłby matkę, która w sprawie z Iną wpadła była w psychozę i aby ją usunąć z drogi syna, ważyłaby się na wszystko, ale po wizycie Eddy’ego Wychgrama zaszedł

przełom – pogodzili się. Rald zdobył się na serdeczność, wyczuwał ją, nawet się rozczulił, dopiero teraz poznał własną niegodziwość wobec nieszczęsnej Lucy i wyznał to, przyznał się nawet do weksla na dwadzieścia tysięcy dla strajkujących górników z Kentucky, który został natychmiast wykupiony, ale i w rozpętaniu szczerości nie napomknął o Inie. To straszne imię, które dotąd dzieliło ich jak mur, Lucy wymówiła pierwsza, snąc w nieopatrzonym roztkliwieniu matczynym, niemal nieprzytomna z nadmiaru szczęścia, a zaznawszy go nareszcie, gotowa była na każdą ofiarę, aby je utrwalić i utrzymać, na najwyższe zaparcie się siebie i nawet na zbrodnię. Rald był zdumiony – więc z tą matką wszystko można osiągnąć dobrocią, nic – uporem i awanturami! Mówiła bardzo rozsądnie, przeciwstawiała się tej osobie, dopóki podejrzewała ją o interesowność, ale gdy odrzuciła pół miliona ofiarowywane jej na odczepne przez tego nieszczęsnego Nickoka, zmieniła zdanie. Poddała ją drobiazgowemu dochodzeniu i dopiero teraz wie, że jest to kobieta nader inteligentna, utalentowana, najzupełniej przyzwoita i absolutnie niedostępna jakimkolwiek zakusom ze strony ludzi bardzo bogatych. Pomimo, że tańczy publicznie i nago – ta okropność musi się niezwłocznie skończyć i zatrzeć w pamięci – cieszy się powszechnym szacunkiem nie tylko w swoich sferach artystyczno-literackich, ale i u ludzi poważnych. Cóż, w zasadzie zgadza się na jego wybór, bo musi, bo nie ma prawa stawać w poprzek jego szczęściu, ale samo szczęście stanowczo odkłada na później, co najmniej do osiągnięcia przez Ralda pełnoletności, czyli do półtora roku. Pod tym warunkiem gotowa jest przyjąć pannę Inę Barnato i zbliżyć się z nią.

Rald z zapałem przyjął ten ciężki warunek, wiedząc, że Ina podbije matkę od pierwszego wejrzenia, a zresztą dobrocią synowską, pieśczołą, prośbą przymilną, uśmiechem przekabaci surową Lucy i jakoś tam poradzi sobie z wyznaczoną kwarantanną. Jednak papa-Rascob ostrzegwał go, że to pierwsze przełomowe spotkanie z Iną będzie nader ryzykowną próbą, bo nie trzeba zapominać, że Lucy jest maniaczką i gotowa ją znienawidzić od pierwszego wejrzenia właśnie za nazbyt już uderzającą „straszną” piękność, w której, niestety, nawet najwyższa zawiść i zła wola nie zdołają wynaleźć najłżejszej skazy. Rald go wykpił i polecał ze szczęśliwą wieścią prosto do Iny. Po wielu awanturach wykołatał był prawo bywania u niej, ale – z wyjątkiem jednego jedyne go razu i jednej niepełnej godziny – tylko w ogólnym salonie do przyjęć, gdzie zawsze siedziało lub snuło się co najmniej jedno jakieś nieodstępne utrapione



bydlę. Powiedziała mu kiedyś z szatańską szczerością i prostotą anielską, że nie może go ani na chwilę wpuścić do swego pokoju, gdyż w ostatnich czasach nie ręczy za siebie, obawia się, że po pierwszym pocałunku będzie z nią mógł zrobić co zechce, a to obojgu im wyszłoby na złe.

Ina w jednej chwili zgasiła jego zapał i radość z powodu zgody matki na spotkanie z nią i domniemane zbliżenie; pobladła, spochmurniała, przelęknęła się.

– Nie pójdę tam! Za nic nie pójdę, rozumiesz?

– Coś ty zwariowała?!

– W tym jest jakiś wyrafinowany podstęp, zasadzka, której jeszcze nie rozumiem.

– Histeria!

– Twoja matka ma co do mnie tylko jeden cel: chce mnie zgubić! Teraz gdy spływa na mnie jej łaska, boję się jej bardziej niż kiedykolwiek. Czy wiesz, że ona mnie od dawna szpieguje?

– Przywidzenie. Wiesz dobrze, że pomimo obietnic i przysięg szpieguje stale mnie, a przez to pośrednio i ciebie, gdyż wciąż przebywamy razem. To mania, na którą nie poradzą żadne moje awantury; trudno, trzeba ją brać, jaką jest.

– Więc słuchaj, nie dalej jak wczoraj do pracowni pewnego malarza, który wykańcza mój portret...

– Co za malarz? Jaki portret?!

– Nie rzucaj się, malarz jest już stary, mógłby być twoim ojcem – ach, głupi chłopcze! Jak chcesz, możesz go poznać, a portret to moja niespodzianka dla ciebie. Otóż wczoraj wyszedł o zwykłej porze, ale po kwadransie wrócił, bo czegoś zapomniał, no i przyłapał szpicla z aparatem fotograficznym, robił właśnie zdjęcie z portretu. Za łeb go! Ten wybucha śmiechem: – trudno, poddaję się, mistrz mnie złapał na gorącym uczynku, pozwoli mistrz, że się przedstawię – XY, sprawozdawca pism artystycznych, zakradłem się, aby pierwszy zdobyć odbitkę arcydzieła, o którym szeroko mówią w naszych sferach – łgarstwo wierutne, o portrecie nie mówią w żadnych sferach, gdyż po prostu nikt o nim nie wie, a wystawiony będzie dopiero, gdy ty się na to zgodzisz. Więc dalej: – zarówno imię mistrza, jak osoba naszej uwielbianej, boskiej Iny... Z czystego fanatycznego zamiłowania do sztuki, niczym zawodowy złodziej – ha, ha, ha!... Zresztą sam opiszę mój komiczny wpadunek, sądzę, że nie pójdziemy do komisariatu, zresztą, choć to wielka szkoda i strata dla miłośników sztuki, mogę pod przymusem zwrócić

mistrzowi kliszę lub ją zniszczyć... I tak dalej... Ale mój malarz, choć stary, trzyma się jeszcze dzielnie, zaczyna pracować, ale co się zowie, kijem. Ten błaga o zmiłowanie, ale nie krzyczy gwałtu, skulił się, wreszcie zemdleł, czy tylko udał i leży, a gdy się ocknął – rewizja osobista. Więc legitymacja agenta wywiadowczego prywatnego biura informacyjnego „Argus” i notatnik, w którym zapisane było, gdzie chodziłam, com robiła i z kim się widziałam w ciągu ostatnich dwóch dni, oczywiście jest tam i o tobie, jest opisany papa Rascob... Dla kogo prowadzony jest wywiad? Ten odpowiada, że agenci nigdy nie wiedzą, dla kogo pracują, tylko dyrekcja biura, a gdy pan Elton – tak się nazywa mój malarz – znowu ujął za kij, wyznał, że akcja prowadzi się na rachunek niejakiego pana Nicka, co jest pseudonimem, gdyż osoby zainteresowane nigdy nie podają własnego nazwiska, ale my z tobą, Raldzie, zanadto dobrze wiemy, że aby je poznać, trzeba do tego Nicka dodać tylko dwie litery. Podobno matka miała z nim zerwać?

– Oczywiście oszukała mnie znowu, ale po dzisiejszej naszej rozmowie i pogodzeniu się na pewno się opamięta, swoją drogą jest wysoce wstrętą ze swoją manią szpiegowską. Cóż, darujmy jej wszystko, zaręczam ci, że od dzisiaj będzie zupełnie inaczej. Koniecznie chce cię zobaczyć jak najprędzej, zapewne już w tych dniach.

– Nie zobaczy mnie w tych dniach, niech poczeka.

– Na co? Po co? Trzeba chwycić sposobność, z taką jak Lucy rozstrzyga fakt dokonany, tu nie wolno zwłóczyć, bo kto ją tam wie...

– Jeszcze nie rozumiem jej gry, boję się.

– Czy i ty wpadłaś w manię? Czego się boisz? Co ona ci może zrobić?

– Ona? Do wszystkiego jest zdolna – może zaraz na pierwszej uroczystej wizycie oznajmić przy tobie, że ten stary malarz to mój kochanek, a gdyby jeszcze jej szpicel zdążył się wymknąć z kliszą mojego portretu, z dostojnym oburzeniem i z triumfem okazałaby ci odbitkę – patrz, oto twoja narzeczona, kobieta, której ufałeś...

– Co ty wygadujesz? Nic nie rozumiem, czy chcesz, żebym się wściekł?

– Bo to jest mój akt! Dowód oczywisty, że się puszczam z malarzem!...

– Akt! Co za akt? To znaczy zupełnie nago? Niepodobieństwo! Ty byś tego nigdy nie zrobiła...

– Kochany chłopcze, tak mi się spodobało! Zachciało mi się mieć obraz mojej nagości w pełnym rozkwicie urody, dla pamięci, jak tam kiedyś było, bo lata płyną, a uroda krucha rzecz... Głównie zaś dla ciebie – jak mnie porzucisz lub jeśli umrę...

– Co za głupstwa! Dlaczego ty płaczesz?

– To nic, nerwy – twoja matka mnie przeraża!

– Moja matka! Bywa czasami niepoczytalna, ale przecież jak przyjdiesz, nie rzuci ci się z zębami do gardła, jeszcze się nie wściekła!

– Nie wiem... Trzeba ci było widzieć Nickoka, jego racze oczy, jego obiecujący obleśny uśmiech, gdy mówił na pożegnanie: – proszę się namyśleć, radzę się strzec, pani Rascob to kobieta potężna...

– Więc oberwał za to! Chcesz, spiorę go jeszcze raz? Ale nie róbże demona z biednej Lucy!

Ina płakała, a gdy weszło do salonu jakieś rozgadane, roześmiane towarzystwo, zerwała się, nie mogąc opanować łez i skinąwszy głową Raldowi, uciekła do siebie. Wyszedł w zamęcie, zły na nią i przestraszony, prześladował go uśmiech, którym go pożegnała, był zagadkowy i rozdzierająco smutny, wzbudził w nim podejrzenia – widać Ina ma jakieś własne, nieznanne kłopoty i zmartwienia, coś przed nim ukrywa... Zawsze było w niej coś niejasnego, jakby zatajonego i nadawało jej niespokojny, drażniący urok, zawsze czegoś w niej nie rozumiał, nigdy nie ogarniał jej całej, a teraz ta zawziętość względem Lucy i jej oczywistej dobrej woli... A portret? Ów malarz, trzymany w tajemnicy – „stary” malarz – w każdym razie chciałby go zobaczyć... Co za pomysł z tym aktem!... Pozować do aktu, godzinami wysiadywać nagą w zaciszu pracowni, sam na sam z mężczyzną, to grubo więcej niż wystawiać swoje ciało na scenie wobec kilkuset ludzi, bo w „Uistiti” między jej nagością a widownią był dystans psychiczny, cały obszar tam odgradzał ją jakby mur, gdy taki artysta ze swoją podejrzaną starością wpatrywał się w nią, wnikał w każdy zakątek jej ciała, delektował się – i to się nazywa miłą niespodzianką dla narzeczonego... Dlaczego zniósł to tak spokojnie? Zagadała go...

Wrócił się z ulicy z niezmierną ochotą na awanturę, ale Iny już nie zobaczył, powiedziano mu, że jest chora i przyjąć go nie może. Pojechał prosto do domu pisać do niej list wściekły, głupi, jeden z wielu.

Wspominał, rozpamiętywał to ostatnie ich spotkanie przed katastrofą i wierzył, że Ina przeczuwała nieszczęście, kto wie, może z pustej przekory nadużyła swojej druzgocącej kobiecej

przewagi i uraziła śmiertelnie jakąś wściekłą zazdrośnicę, a teraz bała się jej; może dostaje listy z pogrózkami? W wyobraźni majaczyła tragiczna tajemnica Iny, ludzie nieznani, powikłania miłosne, intrygi, jakies jej życie ukryte... Zadręczał się podejrzeniami, zniewazał swoją ukochaną i ubóstwiał ją, i drżał o nią, przysięgał sobie nie przeżyć śmierci jej urody. Gdy sprawdził się najgorsze, nie odważył się na nią nawet spojrzeć, zamknął się gdzieś w ciemnym pokoju i w pierwszym i jedynym uścisku miłosnym, we łzach i w ekstazie, w rozpacz i w rozkoszy przełknął piorunującą truciznę. Każą się pochować we wspólnym grobowcu, który ma być pomnikiem tragizmu i piękna; w płaskorzeźbie ze złoczonego brązu jakiś artysta, wielki na cały świat, w świetnej i głębokiej symbolice da wyraz okrutnego fatalizmu, który poraził ich młodość i piękność... Układał nawet napis grobowy, zwarty, a tak wymowny, by i za sto lat, gdy zaginie o nich wszelka pamięć, każdy przechodzień mijający to miejsce na cmentarzu w Green-Wood<sup>100</sup> musiał zadumać się i uronić łzę, a przynajmniej westchnąć. Poszukiwał również odpowiedniej cytaty w Piśmie Świętym i u wielkich poetów. Szkicował w myśli swoją ostatnią wolę, Lucy musi przystąpić do NIRY, więcej trudno od niej wymagać, ale za to Eddy otrzyma od niej na swoją akcję, powiedzmy – dwadzieścia milionów.

Wśród tych myśli, natchnień i utrapień, jakby poza nim, gdzieś obok niego przemykały się momenty jątrzące jak nagle ukłucia, budziły się i gasły wizje obłędne lub przemocą lały do głowy natarczywe absurdy, które nie łatwo dawały się odpędzić...

Gdyż w obliczu nieszczęścia, które nań spadło, Lucy była bez zarzutu, cierpiała wraz z nim, pół dnia spędzali razem, natychmiast po wypadku naradziła się z lekarzami i sprowadziła aeroplanem głośną na cały świat znakomitość w tej dziedzinie, profesora doktora Johna Murphy z Chicago, a gdy ten, zbadawszy chorobę, długo kręcił głową nad jej ciężkim stanem i wreszcie zaczął zachwalać piękne i niemal cudowne wyniki metody doktora Ledera z Berlina, gotowa była niezwłocznie sprowadzić tego Niemca zza oceanu. Prawdziwymi, szczerymi łzami płakała wraz z synem, oglądając fotografie Iny, a pewnego wieczora nawet zemdląła – było to w chwili, gdy wspomniął o nowym portrecie Iny.

---

<sup>100</sup> Green-Wood – cmentarz o powierzchni 478 akrów w zachodniej części Brooklynu w Nowym Jorku.

- Nie widziałem go jeszcze, bo to niespodzianka, podobno bardzo piękny, on przeżyje urodę Iny i przekaże ją ludziom, szkoda, że nie dostarczono ci zamówionego zdjęcia, zapewne już ci donieśli, że twój fotograf został złapany i obity przez malarza, niejakiego Eltona; to utalentowany stary oryginał, miałem go właśnie poznać... Płótno trzeba będzie darować do Whitney Museum<sup>101</sup>, mnie ono nie będzie potrzebne, bo ja chyba nie zdołam żyć, jeżeli... Jeżeli... Mniejsza o to, ale ty, Lucy, nie będziesz mu więcej nasyłała szpicłów, nieprawdaż? Pocięszam się, że to dawniejsze twoje dyspozycje jeszcze sprzed naszego porozumienia... Teraz wszystko będzie inaczej.

Rald przestraszył się, narobił gwałtu, z niemałym trudem dopiero w pół godziny docucono się jej, wzywany był lekarz, po czym usnęła. Wpatrzył się w tę osobliwą swoją matkę i pytał siebie, czemu się tak stało, że w ostatnim roku stracił dla niej dawne, może niezbyt wylewne, ale poprawne, zwyczajne uczucie synowskie? Zawsze, od czasu jak zapamięta, była dziwaczką, nieraz dręczącą despotką i jakoś to znosił, bo wiedział, że jednym uśmiechem w porę, pocałunkiem rozbroi ją i w ogóle zrobi z nią, co zechce - wreszcie znudziły mu się awantury o byle co, znudziło go przymuszanie się do uśmiechów i pocałunków, zaczął udawać dorosłego i kłócił się z nią zęb za zęb jeszcze na długo przedtem, zanim Lucy odkryła Inę i już zupełnie się wściekła. Kto był winien, kto się zmienił - on czy ona? Zapewne oboje, a może poróżniły ich jego radykalne buntownicze idee, które przynosił do domu i od których zaczęły się pierwsze chryje? Matka stała się dlań uciążliwa, zbędna, uciekał od niej, po strasznych awanturach udało mu się wyłamać z patriarchalnych obyczajów domowych, przestał zasiadać z nią do stołu, a potem, gdy się przekonał, że go tropi na każdym kroku pod pozorem ochrony przed porwaniem, którego próba co prawda wydarzyła się z nim, ku jej wielkiemu triumfowi - znienawidził ją po prostu, nie mógł na nią patrzeć i dokuczał jej, jak mógł. Po niesłychanej rewelacji z Eddym, po zdumiewającym pogodzeniu się matki z jego uczuciem do Iny, postanowił się poprawić, lecz nawet po katastrofie, gdy doświadczył tyle dobroci z jej strony, nie mógł obudzić w sobie żadnej serdeczności. Ale teraz zasiadł nad jej łóżem jak dobry syn.

---

<sup>101</sup> Whitney Museum of American Art - nowojorskie muzeum sztuk pięknych założone przez rzeźbiarkę i kolekcjonerkę Gertrude Vanderbilt Whitney i otwarte dla publiczności w 1931 r.

Patrzył w twarz uśpionej ze współczuciem, nawet z pewną obawą o jej zdrowie, ale nigdy nie wydała mu się tak odrażająco brzydką jak w tej właśnie chwili, sen napiętnował ją jakimś obcym, nieznanym mu wyrazem. Widywał ją w złości, w przystępach furii lub po przewlekłych bólach newralgicznych, gdy to po parę dni cierpiała w samotności, nie pokazując się nikomu – aż zjawiała się z twarzą obrzękłą i siną, z mętnymi oczami, podkutymi czarnymi plamami, ale ani razu nie dostrzegł w niej okropności, jaka obecnie wydobyła się na jaw. Szybko mknęły w nim, przerywając się co chwila, wyobrażenia, porównania usiłujące odgadnąć i nazwać to, co majaczyło w uśpionych rysach Lucy – jakaś nieludzka pycha okrucieństwa, obnażona, niepoczytalna uciecha idiotki, która podpaliła dom i patrzy na pożar... Zjawiał się strach, usta roztwierały się szeroko, była to karykatura antycznej maski tragicznej, to znów twarz drgała, latały brwi jak u śpiącego, który usiłuje spędzić natarczywą męczę. Bez przerwy szeptała, pomrukiwała, bełkotała coś nieuchwytnego, na próżno pochylał się nad nią i nadśluchiwał, wreszcie zaczęła jęczeć ciężko, miarowo, znać było, że przez sen zmaga się z jakąś męką – położył jej rękę na ramieniu, potrząsnął łagodnie, obudził.

Zerwała się i wpiła weń przerażone oczy; długo patrzyła badawczo, przenikliwie, a potem rozwarła usta, na twarz jej wypełził strach, jak gdyby na miejscu syna ujrzała widmo. Nieśmiało, wahać się ujęła go za obie ręce i nagle zacisnęła je konwulsyjnie z dziwną siłą.

– Dziecko drogie, nie wierz nikomu i niczemu, żadnym pozorom – jednej jedynej matce... Mam wrogów, snują się dokoła mnie przerażające intrygi... Chcą oderwać cię ode mnie, bądź ostrożny, błagam cię o jedno, pomyśl, pomyśl tysiąc razy, zanim posądzisz matkę!... A teraz mów prawdę – bo bredziłam przez sen, powtórz co ja mówiłam? Dusiła mnie zmora, cały stek niemożliwych okropności... Zapewne usłyszałeś coś takiego, że teraz myślisz o tym... Powiedz, Ralddie, to są głupstwa bez sensu, ja ci wszystko wytłumaczę...

– Nic nie mogłem dosłyszeć, nie uchwyciłem ani słowa...

– Może jednak jakieś słowo? Mów! Mów! Nie patrz tak, ja się ciebie boję! Ty coś przede mną ukrywasz, jakąś straszną rzecz i wierzysz, że to prawda!... Ach, ci podli ludzie! Nagadali ci, a ty zamiast zapytać mnie wprost... Nie, nie mów teraz nic, zlituj się nade mną... Tak, jestem zła, zawsze podejrzliwa, stara dziwaczka, tak, przyznaję się, kazałam śledzić ciebie i tę twoją Inę jako zaniepokojona matka,

tak, byłam dla niej niesprawiedliwa... Mam tysiąc wad, przywar, brzydkich nałogów, bo tak ułożyło się moje przeklęte życie, gdyż urodziłam się z okropnym kalectwem... Ale przysięgam ci, nie jestem zbrodniarką, nie zdolna jestem do podłości... Ja się nie bronię, nie usprawiedliwiam, bo nie jestem winna, tylko nie mogę znieść twego spojrzenia... Co ty sobie myślisz?! Jak śmiałeś choćby na jedną sekundę pomyśleć o rodzonej matce...

Rald brutalnie wydarł jej ręce i nie słuchając błagań i krzyków, nie obejrzawszy się za siebie, poszedł precz. Szybko, po dwa stopnie zbiegał z monumentalnych slazengerowskich schodów. Uciekał od własnego pomyslenia, które nigdy nie powstałoby mu w głowie bez ostatnich beładnych słów matki. Ona sama go naprowadziła...

Depesza iskrowa z okrętu Bremen oznajmiła, że znakomity specjalista z Berlina, profesor Otto Lederer wylądował nazajutrz. Lucy sprowadziła go bez wiedzy Ralda, który od tygodnia przeszło nie pokazał się u matki. A więc było źle, jeżeli wezwano aż cudotwórcę zza oceanu... Od załganego optymisty, dyrektora kliniki dowiedział się, że doktor Lederer jest obecnie jedynym na kuli ziemskiej wskrzesicielem i niezawodnym hodowcą spalonego, wyżartego lub w inny sposób unicestwionego naskórka, podczas wojny światowej czynił swoje próby i doświadczenia na wielu tysiącach żołnierskich twarzy, okrutnie poranionych, zmasakrowanych przez postrzały, przez miotacze ognia, przez wybuchy, przez żrące gazy. Przywrócił oblicze ludzkie niezliczonej ilości poszkodowanych, a po wojnie oddał się całkowicie ratowaniu poszwankowanej urody kobiecej; do jego kliniki zjeżdżają się z całego świata z beznadziejnymi urazami panie wyłącznie jednak bogate, albowiem jest niesłychanie kosztowny. Posiada on i z pewnością zabrał ze sobą album fotografii, pierwszorzędných dokumentów ludzkich, dowodzących skuteczności jego metody...

Ale Rald nie spodziewał się niczego, wiedział niezbitcie, że nic nie da się ocalić z dawnej Iny. Znanym, niezupełnie podświadomym wybiegiem psychicznym, który nakazuje upierać się i obstawać w przewidywaniach przy najgorszym obrocie rzeczy, aby uspić i podejść spodziewany szczęśliwy wynik, aby ukorzyć się przed podejrzliwym bóstwem fortuny, a nawet podrażnić je i niejako sprowokować, by na złość człowiekowi uczyniło właśnie na przekór jego pesymizmowi – rozważał i układał w wyobraźni wszelkie możliwości pożycia z okaleczającą Iną. Aby zachować w sobie i dla



siebie skarb jej dawnej urody i uczynić go niezniszczalnym, ani razu nie spojrzy w straszliwą prawdę i będzie żyć z urokiem złudy, wbitym w mózg na zawsze, aż do śmierci. Ina nigdy nie zdejmie w jego obecności słony czy maski... Albo będą spotykać się ze sobą tylko po ciemku... Albo on pozbawi się wzroku... Urządzą sobie jakiś fantastyczny tryb wspólnego życia, staną się dla ludzi tragiczną legendą miłości i szczęścia małżeńskiego w okropnym nieszczęściu. Marzył o dobrowolnym zagrzebaniu się wraz z nią gdzieś w dalekim zakątku górskim, w zupełnym odcięciu od świata, aby Ina nie dręczyła się wirem otaczającego ją hucznego życia, z którego jest na zawsze wykluczona. Zbudują sobie wspaniałą pustelnię, zakupią około tysiące hektarów dzikiej puszczy, do której obcym dostęp będzie wzbroniony... Marzył i o bezludnej wyspie, o jachcie „Ina”, na którym żyliby w nieustającej wędrówce po wszystkich morzach świata...

Zagłuszał się marzeniem, a gdy stawało się zbyt ciężko, wracał do myśli o wspólnym samobójstwie, co było najmądrzejszym, może jedynym rozwiązaniem sprawy. Uciec od splotu czekających ich udręczeń i trudności, o których można rozmyślać na sto sposobów, ale dopiero rzeczywistość okaże, czym one są w swojej straszliwej prawdzie... Uciec od musu dociekania, od zatracania się na jednej myśli, świdrującej w mózgu do niezniesienia, do obłądzenia. Ciężka nad siły bezpłodna praca odpychania od siebie podejrzeń i posądzenia, gubienie się w ustawicznym zgadywaniu – tak? Nie? I znowu, i jeszcze raz – tak? Nie?... Więc uciec precz i na zawsze od katuszy, uciec od prawdy, bo jeżeli... Jeżeli naprawdę – tak? Jakże w to uwierzyć, jak znieść i przełknąć potworność i z nią w duszy żyć?

...Nie zrodziło się to z jej zmieszania, nie z jakichś słów zdradliwych, wyszeptanych przez sen... Zanim się zbudziła, zanim zaczęła się miotać, błagać, zaklinać go – wyczytał straszne przypuszczenie w konwulsyjnych drganiach jej uśpionego oblicza, w tej nowej, plugawej brzydocie, w której odsłoniła się jakaś zatajona ohyda. Była to jedna sekunda, ale głęboko utkwiała i jątrzy jej jadowite żądło...

Rald wiedział, że straszna myśl nigdy nie odczepi się od niego, całe życie spędzi w niepewności, we wciąż wahającym się podejrzeniu, chyba że wykryje prawdę, co jest prawie niepodobieństwem, gdyż podejrzana nie wyzna jej dobrowolnie, a wydobywać ją postrachem, chytrą obłądą, zastawiać na nią sidła, tropić ją ze świętą cierpliwością w ciągu lat, osaczać ją – była to robota

obrzydliwa, zatruwająca, nad jego siły i najpewniej bezowocna. A gdyby wreszcie uchwycić prawdę, gdyby się okazało ponad wszelką wątpliwość, że właśnie ona to, nikt, tylko ona... Co zrobić? Należałoby... Ale jakże ją zabić?...

Do diabła z tym! Niczego nie dochodzić, opuścić podły świat, jego zbrodnie i tajemnice, zabrać ze sobą Inę w podróż bez kresu, w krainę wieczystej nicości.

Wciąż nie miał od niej wieści poza banalnymi pozdrowieniami przez lekarzy i słowami otuchy. Wreszcie pewnego dnia telefon – Emery Elton. Stary malarz wyznaczył mu spotkanie na dziesiątą rano w małej kawiarni artystycznej na Mac Dougall Street. Rald przeszedł kilka brudnawych i ciemnych pokoików, wytapetowanych kartonami i płótnami bez ram, zupełnie pustych o tej porze, tylko ostry zastarzały osad czadu po wypalonych tam krociach i milionach papierosów, cygar i fajek znamionował, że w lokalu w innych godzinach bywało ludno i ciasno. W ostatniej, największej salce bez żadnego śladu okna i oświetlonej marną żarówką była wtłoczona w sam kąt mała estradka z pianinem, a nad nią wypłowiła dekoracja, przedstawiająca spiętrzony pejzaż Paryża z białą bazyliką na szczycie. Całą przestrzeń zajmowały stłoczone chaotycznie w kupę krzesła wyplatane słomą, powietrze zastępował gęsty, nieruchomy, nieprzejezdny smród, snadź od dawna gromadzony i konserwowany z pietyzmem, jak gdyby gospodarz i goście tej spelunki w taki właśnie sposób wyobrażali sobie autentyczną atmosferę Montmartre’u. Z ostrą przykrością Rald spostrzegł na ścianie, upstrzonej kubistycznymi i innymi bohomazami, wielki, brawurowy i jaskrawy karton, przedstawiający Inę w jakimś fantastycznym tańcu i w fantastycznym, nader nikłym zresztą przybraniu. Spod tego malowidła wstała i ujawniła się w półmroku wyniosła postać.

– Jestem, panie Rascob, proszę tutaj!

A więc ów Emery Elton bynajmniej nie jest stary... I dlaczego wyznaczył mu spotkanie w tak wstrętnej norze? Dlaczego właśnie pod szkicem obnażającym Inę, zapewne własnego pędzla... Jeszcze tego brakowało, żeby i ona bywała w tym zapowietrzonym miejscu. Całkiem nie stary... I co za uroda!... Ale jakiś bardzo niemiły człowiek... Naraz wydało mu się, że go zna, że gdzieś, kiedyś już go spotkał przelotnie, ale po chwili wspomnienie zamąciło się i znikło. Spostrzegł, że jest jakiś zmieszany i jakby nadrabiał miną, ten Emery Elton patrzy zanadto przenikliwie, wyraża się jakoś sztucznie, porusza się niespokojnie.

- Szczycę się przyjaźnią i zaufaniem Iny, właśnie mieliśmy się poznać z panem na uroczystym wernisażu jej portretu, o którym pan jeszcze nie wie, gdyż miał być niespodzianką...

- Wiem, wiem...

- Okrutny los... Zbrodnia, wołająca o pomstę, sprawiła, że choć pragnąłbym zupełnie inaczej... Mój Boże! Ina tak się cieszyła myślą, że się z panem poznamy i zbliżymy... Nic z tego! Wstrząsają mną okropne obawy... Powracam właśnie od niej...

- I co?

- Ach, panie! Więc Ina przesyła panu...

- Gadaj pan od razu! Co się stało?! Dlaczego mnie pan dręczy?

- Jest bardzo źle...

- Zakażenie?! Więc idzie o życie?... Proszę powiedzieć wszystko...

Od razu!...

- Gorzej niż o życie! Czasami życie bywa gorsze od śmierci.

- Już wiem. Od samego początku niczego się nie spodziewałem. Doktorzy mnie obełgają, nie wpuszczają do niej na krok... Za to pan tam chodzi!

- Bywam po dwa razy dziennie, a pana nie dopuszczają, gdyż ona sama zakazała kategorycznie...

- Dlaczego?! A panu nie zakazała?

- Pan tego nie rozumie? Ja się nie liczę, jestem jej zaufanym przyjacielem, doradcą, pocieszycielem, jednym słowem jakąś starą wygodną ciotką, czyli – że tak powiem – niczym w porównaniu z panem, który jest dla niej wszystkim na świecie. Jakże ona, dopóki jest zagrożona straszliwym kalectwem, gorszym od... od samej śmierci!... Powiedziała sobie, że dopóki... Więc nie chce pana widzieć, aż będzie o sobie wiedziała coś pewnego. Jutro przyjeżdża ów Niemiec, bo tamci już opuścili ręce, jedno oko jednak uratowali, tak dalece, że Ina za parę dni będzie mogła do pana napisać, za to drugie...

- A z drugim co?!

- Trzeba było wyjąć. Wczoraj ją operowali, ale... Biedny chłopcze, bądź mężczyzną... Wycięli to nieszczęsne oko, ale razem z dolną powieką...

Rald zmałał, skulił się na krześle, skręcił się w sobie, aż stuknął czołem o stolik. Gdy podniósł głowę, twarz malarza ściągnęła się i skamieniała – Emery Elton ujrzał jego drwiący uśmiech.

- To głupstwo. Panie Elton, po co zaraz być mężczyzną? Przecież Niemiec odrobi oko, od tego jest cudotwórcą! Zaszczepi jej nowe

oko, nową powiekę, ręczę panu, że odda nam dawną Inę bez jednej skazy, matka zapłaci mu za to sto razy więcej, niż jest wart cały i niż sam zamarzy – milion, dwa miliony, dziesięć milionów!... Za dziesięć milionów wskrzesiłby umarłego, dziesięciu umarłych, a cóż dopiero... Ha! ha! ha!...

Emery Elton porwał go w objęcia i przycisnął mocno, mocno. Wypełnił się cel – o który tylekroć pytał – jego dziwnego, dzikiego, okropnego, fantastycznego żywota, teraz uwierzył, że po to tylko żył, aby doczekać tej chwili.

We drzwiach salki ukazała się postać nieznaczna i pospolita, o nieokreślonym wyglądzie i wieku. Szary człek pochylił się naprzód i z wyciągniętą szyją ostrożnie, nie przekraczając progu, zajrzał do ciemnawego wnętrza. Obrócił głowę w prawo, w lewo, a rozejrzawszy się w półmroku, popatrzał i wycofał się tyłem bez szmeru, znikł jak cień.

Ina od trzech dni dyktowała swój list, całym napięciem woli przełamując ból nieustanny, który piekł ogniem w całej twarzy okrytej jedną żywą raną, wwiercał się w sam rdzeń mózgu przez krwawą jamę, rozwartą na miejscu wykrajanego oka.

Bolało ją każde słowo, wymówione spalonymi wargami, bolało ją aż w głębi serca, albowiem w każdym słowie żegnała młode życie i szczęście precudnej miłości.

Nie mogła zebrać myśli na dłużej niż na kilka minut; godzinami trwały przerwy, pogrążała się w sztucznym oszukany śnie, przez który jak przez cienką ścianę dobijał się do niej ból. Budziła się i z trudem związawszy kilka myśli, wypowiadała je zdręczonym głosem cierpienia przerywanym przez głucho jęki.

Nieodstępny towarzysz ostatnich jej dni podtrzymywał ją tabletkami, kroplami oraz zastrzykami, które w tajemnicy przed dyżurnym lekarzem stosowała pielęgniarzka, pozyskana i uwiedziona nieodpartym urokiem Eltona. Pisać sama nie mogła, więc najszczerzej i bez wstydu jemu powierzyła najtajniejsze myśli, uczucia, pragnienia, żale i tę najokropniejszą swoją rozpacz, że przed śmiercią nie zobaczy już Ralda...

– ...Gdybym w mej okropnej niedoli spojrzała na ciebie bodaj jeden jedyny raz tym moim biednym ocalałym okiem, straciłabym wolę i rozum i bodaj zostałabym nędznie na tym świecie, aby być z tobą, przywarłabym do ciebie ze wszystkich sił ze ślepym egoizmem, który się rodzi w wielkim nieszczęściu i już bym ci nie dała spokoju.

Spętałabym twoją młodość, zatrulałabym ci życie. Piekło udręczenia dla ciebie, piekło dla mnie, czyż mogę dopuścić, by doszło do potwornego absurdu? Przemyslałam, przemarzyłam wszystkie możliwości, aby się utrzymać przy życiu i być z tobą, żadna się nie ostała... Pograżałam się w odmęty fantastyczności, przyśniło mi się, że wykłułeś swoje cudne młode oczy, aby zachować w sercu dawną Inę – ale takiego koszmaru miłości nie wyśpiewał żaden poeta...

To, co czynię, jest jedynym rozumnym, uczciwym rozwiązaniem sprawy, inaczej byłabym obłąkaną zbrodniarką. Ach żyć! Nasze szczęście byłoby wzniosłe i piękne, dokonalibyśmy z tobą wielkich rzeczy, zostałyby po nas ślad między ludźmi... Nic z tego!... Więc bądź szczęśliwy, choć beze mnie i znowu kogoś pokochaj; to nie zdrada naszej miłości, lecz prawo życia. Ale pamiętaj o mnie... Teraz jakże żałuję mego uporu, mojej głupoty! Czemu cię odpychałam, czemu nie oddałam ci się, Raldzie, cudny mój chłopcze, jakże spragniona byłam twoich uścisków... I gdy przyszłoby nieszczęście, które mi było sądzone, uciekłabym, ukryłabym się przed tobą na cały ten czas, zaczekałabym, aż wydam na świat nasze dziecko – jakież byłoby piękne! Dopiero przekazawszy tobie żyjącą pamięć o mnie, odeszłabym sobie. Ilekroć spojrzalbyś na nie, pogłaskał po główce, ucałował... Płaczę, Raldzie, płaczę, bo przecie nigdy, przenigdy tak nie będzie.

.....

.....

Przychodzili i odchodzili lekarze, przenoszono ją na wózek, zabierano do sali operacyjnej, dręczono opatrunkami. Męczyła ją strasznie i biedziła się z nią niemiecka znakomitość, przybyła zza oceanu, aby nad nią dokonać cudu za niezmierne pieniądze... Ciskały je bez miary zbrodnice ręce, aby niemi przysypać podejrzenia i pogrzebać podły strach.

Ina godzinami nie mogła wymówić słowa, patrzyła wówczas na Eltona przez szczelinę w bandażach swym jedynym okiem i zatapiała się w złudzeniu. Było to, a może dopiero będzie – czy nie wszystko jedno – po wielu, wielu latach, widzi przy sobie Ralda i nie może się oderwać od jego wspaniałej, dojrzałej męskiej urody. Mąci się w niej wszystko, to znów rozjaśnia, przechodzą przez nią chmury, wizja Ralda oddala się, przybliża się, bywa wymarzoną zmyśleniem, aż oto – oto staje się prawdą...

.....

.....

– Jakże ja cię zostawię samego bez mojej rady, pomocy, bez kochającej opieki, a życie zawodne i trudne, a czasy takie okropne... Umieram z ciężką troską, wszak jutro już mnie nie będzie, a jesteś niemal dzieckiem... Strach bierze, gdy pomyślę, że porwie cię wir i chaos świata – odmęt wydarzeń, wrażeń, wpływów, fałszywych przyjaźni, wyrachowanych uczuć, ustawicznych zakusów ludzkich... Z urodzenia należysz do rasy panów, bogów ziemi, kto się do ciebie zbliży, nigdy nie zapomni policzyć twoich milionów, one będą stały między tobą a ludźmi jak mur; bądź rozważny, na to jesteś skazany, aby nikomu nie zaufać. Trzeba ci zdobyć mądrość w ocenie człowieka, inaczej utoniesz w nieszczerości, w nikczemnym pochlebstwie, wśród zamaskowanych oszustów. Dopóki nie dojrzejesz, broń się, opędzaj się od miłości, aby ta, którą pojmiesz za żonę, nie posłużyła tylko twojego bogactwa, jak najdłużej igraj z miłością, baw się kobietami, może to cię nauczy i ustrzeże...

.....

.....

Środki uśmierzające pograżały ją w tępych, głuchym trwaniu bez wiedzy o sobie, bez czasu i miejsca. Chwilami przewlekały się przez jej obojętny mózg widziadła dalekie od rzeczywistości i w niczym niepodobne do ludzkich snów – jak gdyby uchylały się już przed nią straszne wrota nieznanego świata. Za każdym razem, gdy wracała do siebie z ciężkiego odurzenia, coraz trudniej zbierała myśli, ogarniał ją strach, że zapomniała o najważniejszym, że już nie zdoła przekazać Raldowi jakiejś rzeczy jedynej... A był to dzień nieodwołalny, dłużej nie podoła męczarni, szybko nadbiegała ostatnia godzina.

Aż nagle gwałtownym nawrotem cofnęły się czasy i stała się małą dziewczynką, klęczy pośrodku izby i usiłuje się modlić za duszę matki, ale zaledwie może wyjąkać – Boże, Boże... Trup matki od trzech dni leży na barłogu niepogrzebany, gdyż nie ma pieniędzy, nie ma trumny. Mała dygoce ze strachu, płacze z żalu i z głodu.

I ujrzała czarną krainę węgla, ojczyznę swoją – Kentucky nad Krwawą Rzeką...

– A teraz żądam, byś święcie wypełnił moją wolę! Raldzie, dlaczego ja umieram? Kto na mnie dybał, kto mi groził, kto mnie gorzej niż zamordował? Ta nikczemność przechodzi wszystkie granice zbrodni, tego nie pozwoliby przebaczyć sam Chrystus, Bóg ponad ludzkiego miłosierdzia! Ale nie szukaj zemsty, wierzaj mi, ona i tak się wypełni. Zapomnij o sprawcy i uderz w podstawę zbrodni,

w samo jej źródło, zapytaj, skąd poszło, jak się stało, że musiałam zginąć marnie? Jestem ukarana za zuchwalstwo mojej miłości, poważylam się bowiem wkroczyć w sferę wzbronioną takim jak ja. Zmiażdżył mnie ciężar złota, twoje bogactwo, Raldzie, najwyższa potęga dzisiejszego świata, zachłanna, wszechmogąca, bezkarna siła pieniądza. Na jej żołądź jest po równo cnota jak zbrodnia, więc ginę, bo się nie dałam kupić – oto żelazne prawo dolara, gdy idzie w miliony i w miliardy.

Zostaniesz pewnego dnia dziedzicem potwornej fortuny – w tym dniu pamiętaj o mnie! Nie o mojej krzywdzie, lecz o naszej idei, o naszych marzeniach, o naszych wielkich zamiarach, bo kto wie – nie wiemy ani ja, ani ty – jakim będziesz o tej porze. Otrząsam się, gdy pomyślę, że mógłbyś jak inni pójść w jarzmo bogactwa, aby przez wszystkie krzywdy ludzkie płodzić je bezmyślnie i bez końca, składać miliony do milionów aż do absurdu! Więc w godzinę śmierci mojej wołam do ciebie – obróć swoją potęgę na dobro człowieka, na obronę sprawiedliwości, na wydarcie świata z niewoli pieniądza! Wypełniły się czasy i nadchodzi straszliwa godzina sądu i kary; idź z tymi, co gotują ów dzień! Poznasz ich niemylnie, są to bojownicy szlachetni, mądrzy, odważni. Wprzęgnij twoje miliony do ich ciężkiego dzieła! Rzuć na szalę słusznej sprawy potworną wagę twego złota! Wytopione z krzywdy pokoleń, wyciśnięte z ich krwi, potu, łez, wyrosłe na kościach niezliczonych ofiar niechże wraca do tych, co je stworzyli, niech wspomóż ich walkę o wyzwolenie!

.....

.....

Była zdeptana na miazgę przez cierpienie i nie mogła już wyszeptać jednego słowa więcej. Dosyć! Resztę mu dopowie Elton. Ale walczyła ze sobą, nadaremnie chciała się przemóc i jeszcze raz zapowiedzieć mu to, co powtarzała co dnia.

– Pozyskaj go, niech się do ciebie przywiąże – bądź mu przyjacielem i opiekunem. Ale do śmierci zachowasz tajemnicę – nie wyznasz nigdy, że jesteś jego ojcem!

I Emery Elton zaprzysiągł, że wolę jej wypełni, poprzysiągł jeszcze, że ją pomści.

Teraz całował jej ręce, dotknął ustami bandaża na czole, zapłakał. Ostrożnie przechylił buteleczkę z ciemnym płynem i poił ją na wieczny sen.

Chwyciło ją na czarne, potężne skrzydła uniesienie śmierci, jej namiętne zapragnienie i poniosło, poniosło górą, górą ponad



wszystkim. Ale nie odrywała wzroku od ostatniego człowieka, którego widzi na ziemi. To stary Rald stoi nad nią umierającą w starości i żegna ją łzami. Spływają łzy po jego twarzy jedynej, przez całe życie nienapatrzonej.

– Nie płacz, lecz podziękuj Bogu... Spędziliśmy piękne, długie życie...



## Rozdział szósty

### Drogi w pomroce

Van der Zypen był zachwycony gorliwością Shurmana, jego inicjatywą i niewyczerpaną zdolnością do pracy; miliarder przestał zajmować się własnymi interesami i wszedł cały w sprawy Autarchii. Nie trzeba go było namawiać i popychać, raczej hamować tę kipiącą działalność, mistrz nie mógł nadążyć za genialnym uczniem, który nie tylko w śmiałych, ryzykownych pomysłach, ale i w niektórych faktach przez się dokonanych zdradzał nieoczekiwaną samodzielność, jeśli nie samowolę. Nareszcie kolosalna idea znalazła swego człowieka i jej twórca odetchnął z ulgą – zwycięstwo przestało być mitem, nabierało cech prawdopodobieństwa. Iściły się sny i marzenia, oto natchnienie czystej teorii wciela się w potężnego męża, który w wielkiej zamierzonej wojnie sam jeden starczy za batalion szeregowych milionerów. Olbrzymiego wysiłku kosztowało pozyskanie go, ileż wyrafinowanych sztuk trzeba było z nim rozegrać, aby rozproszyć jego namysły, wahania, a dalej wyważyć go z zastarzałej bierności i apatii, ale gdy wreszcie ruszył z miejsca, objawiły się w nim znamiona urodzonego wodza. Van der Zypen z zachwytem przyglądał się, jak Shurman mustruje swoich milionerów; szybko ustały dyskusje, nałogowe gadulstwo Franka Haferkorna, prezbiteriańskiego kaznodziei, zapędy i dywersje człowieka zgorzkniałego, niedoszłego na ostatnich wyborach senatora Edwina W. MacMullena. Zebrania ogólne zwoływał rzadko, a takse miesięczną od wta jemniczonych podniósł dwukrotnie; decyzje pobierał wprawdzie po porozumieniu z generalnym sekretarzem, ale raczej zawiadamiał go o swoich zamiarach, nie zawsze pytając o zdanie, i tak w ciągu niewielu tygodni niepostrzeżenie wymknął mu się spod opieki. Van der Zypen przy całej swej skromności był dotkliwie urażony, ale ukrywał to poniekąd nawet przed samym sobą i ze złośliwą

ciekawością obserwował pierwsze poczynania przyszłego Autarchy, czekając na poważniejsze głupstwo, które niechybnie musi popełnić; wówczas wkroczy i zażąda wyjaśnień oraz ustali ich wzajemny stosunek, bowiem hierarchiczny ustrój nie znosił zamętu w podziale władzy. Ale Shurman nie popełniał błędów.

Po raz pierwszy w życiu czuł, że to, nad czym pracuje, ma nareszcie jakiś sens i wartość. Opętanie miliardów pożarło i strawiło bez mała wszystkie jego lata, całą młodość i wiek dojrzały, i to wielkie szczęście, że choć na starość wydarł się z przekłętego jarzma. Fatum bogactwa odebrało mu wolność, rozum i dostojeństwo ludzkie, wyzwolił go zaiste cud. Jego nieświadomym narzędziem był ten człek najosobliwszy, dziwoląg, maniak. Przyczepił się do niego ze swoją obłąkaną ideą – ratowania kapitalizmu przez wielką światową rewolucję socjalną, której dokonać mają właśnie posiadacze najgrubszych kapitałów, aby w świadomie wywołanym i przeprowadzonym przewrocie utracić jedną połowę swojej fortuny, ale za to ocalić resztę i tym kalkulującym się jednak kosztem uniknąć bolszewizmu, a nawet objąć niepodzielną władzę nad przeobrażonym światem. Genialny agitator potrafił wmówić tę kombinację w biednego Hubbarda i w innych; w tych ludzi spłoszonych można wmówić wszystko...

Shurman dał mu swoje miliardowe imię i poparcie, bez niego nie dałoby się pozyskać dla kabalistycznego słowa „Autarchia” ani jednego, nawet najgłupszego i najbardziej zastrachanego milionera, a gdyby się teraz wycofał ze sprzysiężenia, nie przetrwałoby ono jednego dnia. Sam, na pewien czas, ściśle – może na jaki tydzień, uległ olśnieniu fantastyczną ideą, i to nie tyle dzięki argumentom oraz natarczywości van der Zypena, co z pobudek własnej psychiki. Wypadło, że w owym czasie znalazł się znowu na rozdrożu, w mroku zwątpienia, w rozpaczliwej kontemplacji własnej nicości i absurdu swego istnienia. Tym razem czuł się już nazbyt okropnie, nie do zniesienia, więc jak tonący uchwycił się deski, ciśniętej mu z napisem – „Autarchia”, równie dobrze czepiłby się czegokolwiek bądź, byle zdobyć choćby złudzenie, że jest możliwe jakieś wyjście z matni, w którą go wtrąciło fatum miliardów. Tak powstało historyczne sprzysiężenie.

Shurman tylko w pierwszych czasach, i to na parę chwil, które wytryskały jak błyskawica i gasły, widział siebie pierwszym Autarchą świata, władcą, którego imię nawet po tysiącu lat ma znać u wszystkich narodów każde dziecko, a jego pomniki, rozsiane po całej kuli

ziemskiej... Ogromna planowa przyszłość świata zawarta w dwudziestu siedmiu punktach programu van der Zypena przekraczała jego wyobraźnię, była dlań czymś w rodzaju gospodarczo-politycznej mitologii, która usiłowała ująć w ramy pięknych obrazów nowy kosmos i jego bogów; nie zaprzętał się tym, a zagłębił się całkowicie w dniu dzisiejszym. Potrzebował ruchu, swobody, przestrzeni, całym wieloletnim nałogiem pracy i jej rutyną przywarł do nowego dzieła. Było mu tak, jakby z ciemnego zamknięcia, zapowietrzonego wyziewami i paskudztwem ludzkim, wydarł się na światło dzienne, odczuwał błogość wolnego, czystego oddechu. Z rozkoszą wydawał mnóstwo pieniędzy na przepadłe, sprawiało mu ulgę, że te czeki, asygnaty, idące na propagandę, nigdy już nie wrócą do jego kas, z radością przeglądał zestawienia różnic, wynikłych w pierwszym miesiącu po podniesieniu płac i uposażeń o dwadzieścia pięć procent – NIRA zalecała piętnaście – oraz ograniczeniu tygodnia pracy we wszystkich przedsiębiorstwach do trzydziestu sześciu godzin – NIRA marzyła o czterdziestu. Robotnicy jego, zredukowani od trzech lat, aż uzbierało ich się do trzydziestu tysięcy, wszyscy co do jednego zostali przyjęci z powrotem, zakłady od dawna pozamykane puszczono w ruch, zapychając składy towarem, o który oczywiście nikt nie pytał. Bawiło go przerażenie jego prezesów, dyrektorów, ekspertów, biura „meteorologów”, które badało koniunkturę i ustalało beznadziejną prognozę jutra, bawił go entuzjazm Youtha, obecnie wybitnego dygnitarza „sztabu mózgów”, który przybiegł wieszować mu, że nareszcie zdecydował się, jak przystało wielkiemu Shurmanowi, wprowadzić w życie jego dawny rewolucyjny plan obudzenia produkcji, nie czekając na koniunkturę spożycia. Bawiła go radiomowa samego prezydenta, który wynosił go pod niebo i stawiał go za wzór obywatela. Bawiło go przerażenie drogich braci wtajemniczonych, którzy, załamując ręce ze wzdychaniem i stękaniem, poganiani brutalnie przez despotę, straszni niemilosiernie przez brata generalnego sekretarza, opornie, leniwie wlekli się wraz ze swymi biznesami w ogonie minimalnego programu NIRY – było to maksimum, co na początek udało się z nich wycisnąć. Nieszczęśnicy buntowali się po cichu, skarżyli się przed van der Zypenem na Shurmana i odwrotnie, bali się ich i oszukiwali obu.

Ci pierwsi powołani apostołowie Wielkiej Nowiny byli żalonym obrazem upadku ducha i zupełnej rozterki, zaplątani w groźną intrygę z gruntu niezrozumiałą dla ich poziomu umysłowego, fantastyczną, ryzykowną i nader kosztowną, żyli w udręczeniu, z dnia

na dzień, zgadując trwożliwie, co przyniesie jutro, jaką jeszcze katastrofę, jaki nowy dekret prezydenta, co wymyśli dla nich straszny zbawca Shurman, co dołoży im od siebie van der Zypen z nielitościwym łagodnym uśmiechem. Wszyscy byli umęczeni, wytrąceni z kolei przez cztery lata kryzysowe i bez sił, w zamąceniu paniki dali się bez oporu wciągnąć w sidła tajemniczej mafii.

– Pociechy to się z nich nie dochowamy – uskarżał się van der Zypen, zapoznawszy się bliżej z materiałem ludzkim dobranym przez Shurmana – ani inteligencji, ani woli, cienia amerykańskiego rozmachu, gdybym się ośmielił sądzić tak potężnych ludzi, powiedziałbym, że to kierdel baranów...

– Owszem, ale tacy są najlepsi na początek, będą ze strachu słuchoać i milczeć, w duchu mogą nas nienwidzieć i przeklinać jak choroby surowego lekarza; tę odrobinę praw możemy im zostawić. Ci dżentelmeni posiadają i rozmach, i inteligencję, niektórzy nawet geniusz, ale tylko w swoich interesach; gdy kryzys przeciął ich radosną twórczość, załamali się haniebnie i okazali, że w sferze spraw natury ogólnej, wykraczających poza ordynarne milionowe groszóróbstwo, są ciemni i bezradni, nie potrafią nawet obronić swojego bogactwa. Za nich musi to czynić „trust mózgow”, gdzie nie ma ani jednego prawdziwego milionera – w mojej sferze nie hodują się pełnowartościowe mózgi; masowa, ustandaryzowana fabrykacja pieniędzy nie wymaga tego. Zresztą bywają wyjątki...

– Irénée Dupont de Nemours<sup>102</sup>, Andrew Mellon<sup>103</sup>, Harald Mc Cormick<sup>104</sup>... Gdyby się nam udało pozyskać choćby jednego de Nemoursa...

– Z tych żaden do nas nie pójdzie, są właśnie za inteligentni na tak niesłychany eksperyment, nie posiadają wyobraźni, a przede wszystkim jeszcze ich nie dotknął lęk, nie widzą przed sobą

---

<sup>102</sup> Éleuthère Irénée du Pont de Nemours (1771–1834) – amerykański chemik i przemysłowiec francuskiego pochodzenia, założyciel przedsiębiorstwa chemicznego E.I. du Pont de Nemours and Company, znanego współcześnie jako DuPont.

<sup>103</sup> Andrew Mellon (1855–1937) – amerykański miliarder, bankier, kolekcjoner sztuki, polityk, dyplomata, ambasador USA w Wielkiej Brytanii od 5 lutego 1932 do 20 marca 1933 r. Zainicjował powstanie National Gallery of Art. Jego zbiory stały się podstawą kolekcji w National Portrait Gallery w Waszyngtonie.

<sup>104</sup> Harold Fowler McCormick (1872–1941) – prezes rady nadzorczej International Harvester Company. McCormick był najmłodszym synem Cyrusa McCormicka, wynalazcy i producenta mechanicznej żniwiarki. W 1909 r., wraz z Johnem D. Rockefellerem Juniorem i Frederickiem Gatesem, został jednym z powierników Fundacji Rockefellera.

przepaści; rzecz znamienne, wszyscy trzej są nieprzejednanymi przeciwnikami prezydenta, powiadają, że jego leki i zabiegi są gorsze od samej choroby. Ford ustąpił, a ci się trzymają, potrafili się uniezależnić od kredytów federalnych i drwią z pogroźek generała Johnsona.

– Do czasu, aż i ich przyciśnie potrzeba... Ukorzą się przed NIRA, a wreszcie i my ich kiedyś wchłonimy.

– Zgoda na kiedyś; za rok, dwa, aż zmiękną, wówczas nie będą nam przeszkadzać; na teraz będziemy brali samych „baranów”, co nic nie znaczą sami przez się jako ludzie, ale pomnożą kapitał zakładowy naszego trustu. Wie pan, jaka jest żywa waga naszej dziesiątki?

– Wiem, dochodzi do miliarda!

– Nareszcie pan czegoś nie wie! Dochodzi, razem wzięwszy, do trzech miliardów. Posługiwał się pan złą metodą, u nas w Stanach nie należy obliczać czyjegoś majątku na podstawie wymiaru podatku dochodowego, ludzie bogaci mają na swoje usługi niedościęgniętych wirtuozów w prowadzeniu księgowości i okazały fundusz specjalny – wiadomego przeznaczenia... Więc te trzy miliardy plus mój osobisty majątek...

– Razem koło sześciu...

– Nie wiem, może więcej albo i daleko mniej, w każdym razie przy dobrym kierownictwie sam ciężar takiego pieniądza w pewnej przełomowej godzinie nie tylko zaważy na szali wydarzeń, ale ją stanowczo przechyli na tę stronę, która będzie dogodna dla naszych celów – ale trzeba pilnować i trzymać mocno tych panów. Przez moją agenturę dowiedziałem się, że Haferkorn na gwałt skupuje złoto i brylanty, a nasza opoka, sam Hubbard – kto by to powiedział – w największej tajemnicy na imię żony zdążył już przelać do banków w Szwajcarii i Holandii około dwunastu milionów!

– Gilchrist wrócił wczoraj z Chicago i doniósł mi, jakoby nasz wierny Kimball cichaczem wysprzedał za bezcen wszystkie swoje „Potomac Electric” i „Bethleem Steel”, a dziś na giełdzie papiery te spadły poniżej notowań z czarnego poniedziałku w październiku roku trzydziestego pierwszego. I Haferkorn i Gilchrist obaj uciekają przed dolarem.

– Nonsens i zbrodnia narodowa! A wobec naszych wzajemnych zobowiązań – zwyczajna zdrada. Ale jestem na tropie, że pański zausznik, sam Gilchrist sprzedaje Niemcom motory, aeroplany, tanki, armaty, proch bezdymny, będąc wspaniale zakonspirowanym,



niedosłyszalnie cichym udziałowcem Kruppa<sup>105</sup>. Gdzie jest pański pacyfistyczny dwudziesty trzeci punkt?

– Skandal... Co tu robić?!

– Proszę mnie to zostawić.

– Człowiek skądinąd nadzwyczaj pożyteczny dla naszego związku...

– Nie zamierzam go wyrzucić, ale będzie przykładowie ukarany i wycofa się z afer zbrojeniowych.

– A jeśli nie zechce?

– Trudno wymagać, żeby miał na to zbyt wielką ochotę, chce czy nie chce – wycofa się, inaczej go po prostu zniszczę, w swoich interesach ma on słabe punkty, tam uderzę, nie pożałuję pieniędzy. Musi się ukorzyć.

– Smutne to sprawy...

– Pan sobie wyobrażał, że gdy się zatytułuje człowieka wysokim bratem, to magiczne słówko od razu wzbudzi w nim uczucia braterskie względem wspólnej rodziny? Wysokim braciom trzeba dobrze patrzeć na ręce i to wszystkim co do jednego. W regulaminie Rada Najwyższa postawiła nam bardzo wysoki cenzus majątkowy, czyż spodziewano się tym sposobem zwerbować samych aniołów?

Shurman za młodzieńczych lat był zapalonym yachtmanem<sup>106</sup>, zanim śp. ojciec wciągnął go na dobre w jarzmo pracy i jeszcze w Nowym Orleanie, w tej kolebce shurmanowskiej fortuny, żywcem замуrował go w biurach, często wykradał się na morze z paru towarzyszami. Puszczali się na przygody, lądowali na pustynnych cyplach, aby spędzić parę dni dzikiego życia campingowego, buntowali się przeciwko niewoli patriarchalnych obyczajów czcigodnego miasta Nowego Orleanu, drwili ze swoich profesorów, drwili ze swoich ojców milionerów i, niech tylko podrosną, pokażą, jak trzeba żyć, mając miliony i wyobraźnię. Nie dadzą się ojcom ani zarazie robienia pieniędzy – mają ich dość i aż nadto. Planowali olbrzymie podróże, szukali wyspy bezludnej, na której osiadą na zawsze. Młodość, radość, tężyzna – pili równie tego i walili się po kajutach, na pokładzie, byle gdzie, tak samo sternik i wachtowy, i wszyscy, a jacht szedł sam jako chciał.

---

<sup>105</sup> Friedrich Krupp AG – niemiecki koncern stalowy założony w 1903 r. jako spółka akcyjna, kontynuujący istnienie firmy założonej w 1811 r. przez Friedricha Kruppa. Siedziba przedsiębiorstwa znajdowała się w Essen, w Niemczech.

<sup>106</sup> *Yachtsman* (ang.) – żeglarz.

W dniu osiągnięcia pełnoletności – ach jakże dawno – otrzymał od ojca wspaniałą dwudziestometrową jacht, przysposobioną do dalekiej żeglugi. Natychmiast w kilkunastu puścili się w parodniową podróż krążowniczą po bezmiarach Zatoki Meksykańskiej pod opieką doświadczonego kapitana, który wziął na siebie uroczystą odpowiedzialność za całość drogocennej załogi z samych milionerskich synków. Łobuzeria ta urządziła go niegodnie, podnieśli kotwicę na trzy godziny przed wyznaczonym terminem i stary wilk morski został na łądzie wraz ze swoim bosmanem i sternikami. Dopiero gdy holownik wyciągnął ich i puścił na słone wody, młody Shurman wziął kurs na Fort Jefferson<sup>107</sup> i oznajmił swoim gościom, że za tydzień i trzy dni maksimum poczęstuje ich prawdziwymi hawańskimi cygarami w samej Hawanie.

– Hurrah Cuba!

– Hurrah Shurman!

– Hurrah „Tempest”<sup>108</sup>!

Było cudownie. Nazajutrz cisza osadziła jacht i trzymała na miejscu w ciągu trzech dni, smażąc ich, piekąc i dusząc na okrutnym słońcu. Połowa załogi wyprawiała za burtą igrzyska morskie, a druga, również nago, straszliwą kanonadą odpierała ataki domniemych rekinów. Całym chórem siedemnastu zdrowych płuc wraz z cookiem<sup>109</sup> i pięciu małoletnimi czarnymi stewardami – razem siłą dwudziestu trzech „kilodmuchometrów” – dęli w wiszące żagle, a gdy „Tempest” ani drgnął, pisali petycję do boga Neptuna<sup>110</sup> znalezionym na wodzie piórem mewy i zalakowaną w butelce po szampanie kapitan Shurman cisnął za siebie z obrzędowym rozmachem przez lewe ramię za prawą burtę. Czekając na skutek, pili bez przerwy fantastyczne mieszanki trunków z lodem w specjalnie urządzonym barze pod masztem, na którym przybito deszczułkę z napisem: „Bar pod Upragnionym Wiatrem”. Siedemnastu stale pijanych golasów jeden przez drugiego wysilało się na rekordowo idiotyczne kawały, aż dwaj zapaśnicy El-bis i Ju-Ju – obecnie Elmer Elliot Haslam, władca wszystkiej trzciny rosnącej na plantacjach Kuby i Yugurtha Otis Million, ten sam, co się otruł tej zimy po

---

<sup>107</sup> Fort Jefferson – przybrzeżna niedokończona opuszczona twierdza w Hrabstwie Monroe na Florydzie, budowana w latach 1846–1875.

<sup>108</sup> *Tempest* (ang.) – burza.

<sup>109</sup> *Cook* (ang.) – kucharz.

<sup>110</sup> Neptun – w mitologii rzymskiej bóg wód, chmur i deszczu, odpowiednik greckiego Posejdona, boga morza. Atrybutem Neptuna był trójząb.

krachu wszystkich swoich trzynastu banków szczepionych ze sobą w jeden koncern... El-bis miał przewagę wagi i, gdy przyparł szczupłego Ju-Ju do burty, obaj polecili do wody – głupstwo, gdyby nie to, że trzech koledzy z przytomnością umysłu, zadziwiająco u pijanych, porwali za karabiny i jęli jeden przez drugiego szyc tuż obok w spokojną oleistą wodę, ratując biedaków od wciąż tych samych przypuszczalnych rekinów, od których, jak wiadomo, powinno się roić w Zatoce Meksykańskiej. Obaj cudem uniknęli śmierci, Shurman otrzeźwiał w jednej sekundzie; poszły za burtę karabiny, poszły wszystkie butelki, ocknął się w nim wódz, kapitan wyprawy, i zaprowadził żelazną dyscyplinę. Dopiero to widząc, bóg Neptun wydał odnośne zarządzenie, a Eol<sup>111</sup> natychmiast rozwiązał swój miech i popuścił wiatrom – czemuż jednak wszystkim naraz? Przeoczenie czy złośliwa pedagogika generalnego szafarza wiatrów dla pouczenia lekkomyślnych fuszerów? Runęła na nich nawałnica cyklonów, szkwałów, antycyklonów<sup>112</sup> i odmęt innych wichrów nieznanych z imienia; porwany w ich rozszalałe wirowisko „Tempest” dopóty strzelał żaglami, aż poszły w strzepy, zerwały się i poleciały, maszt trzasnął w połowie, jacht nurzał się i wynurzał, kładł się i godzinami leżał, tarzając się na<sup>113</sup> boku, aż podrzucony jakąś straszliwą falą zrywał się nagle i stawał dęba. Pastwił się bez miłosierdzia nad struchlałą załogą, zamkniętą w szczelnej kajucie, ciskaną i miotaną jak garść orzechów. Każdy po swojemu umierał ze strachu, rozpaczał i żegnał młode, ledwie napoczęte życie; jeden kapitan Shurman umierał ze wstydu. Nie spodziewał się wyjść cało, ale na wszelki przypadek ślubował sobie, że raz na zawsze przestanie pić, a dalej – przenigdy, w żadnych okolicznościach nie zawiedzie zaufania tych, na których czele los go postawi – a po dwunastu godzinach okropna burza, tak samo nagle i nadspodziewanie jak przyszła, puściła ich z życiem i poszła w dalsze przestworza oceanu.

Przez cały tydzień zmienne wiatry nosiły bezwładny kadłub „Tempest” po pustych obszarach wód meksykańskich, wróciły humory i młodzieńcze zbytki, ale już bez karabinów i bez whisky; kapitan ujął swych gości w prawdziwą morską karność, srożył się i pędził ich do roboty, był samowładcą, z nikim się nie radził,

---

<sup>111</sup> Eol – w mitologii greckiej władca wiatrów oraz wyspy Eolii.

<sup>112</sup> Antycyklon – rodzaj cyrkulacji atmosferycznej typowej dla wyżów barycznych. Pojęcie to bywa traktowane jako synonim wyżu.

<sup>113</sup> Szkwał – nagły wzrost prędkości wiatru.

a wyczytawszy w regulaminie morskim, że statek znajduje się w stanie awarii, dyscyplinę obostrzył do tego stopnia, że nikomu nawet nie raczył oznajmić, gdzie się znajdują ani dokąd płyną, bowiem on jeden znał się na sekstansie<sup>114</sup>, na busoli i innych mądrościach nawigacyjnych. W istocie sam nic nie wiedział, zatracił się w przestrzeni, zdany na łaskę i niełaskę wiatrów, nieznanych prądów i wreszcie jakiegoś okrętu, który spotkają albo i nie, i to właśnie przejmowało go dziwnie rozkosznym zachwytem. Co będzie? Dokąd ich zanieśie? W jaką daleką krainę? A może wyspa bezludna na długie lata? Na całe życie? A może nic, tylko śmierć?...

To samo czuł i teraz, miewał momenty zatajonej radości, jak wówczas podczas młodzieńczej przygody sprzed czterdziestu lat. Zdumiewała go i czarowała własna lekkomyślność, snąc za długo, ba, przez całe życie był rozważnym, wyrachowanym, zawsze pewnym zamierzonej sprawy, nieomylnym, więc musiał nadejść dzień, kiedy spostrzegł, że mu to od dawien dawna obrzydło i trzymało się tylko siłą nałogu. Właściwie był zupełnie inny, do czegoś lepszego stworzony, kiedyś nieskończenie dawno zabłąkał się i rozminął się sam ze sobą i dopiero niedawno się opamiętał. Ale za późno zrywać ze wszystkim, w co wrósł, wstyd na starość puszczać się na eksperymenty na samym sobie, na swoim majątku, a wreszcie na ogromnej sprawie publicznej. Czyż nie był to niepoczytalny kawał? Anegdota, ułożona dla ośmieszenia potężnego Harry'ego Shurmana?

Nie – to on sam zadrwił z całego świata, ze siebie i ze wszystkiego, czemu służył. Zbuntował się przeciwko tyranii wielkiego ojca i jego ponurego testamentu, na próżno ze złotych ram portretu oczy zmarłego dynasty rzucały pioruny na wyrodnego syna. Ostatnia wola despoty, skazująca jedyne go syna na dożywotnią niewolę w służbie odziedziczonych miliardów, po dwudziestu latach swej niezachwianej mocy została obalona i obrócona w niwecz. Zdeptał ją czas, idący przez świat żelazną stopą. I niech profesor van der Zypen swoim szarlatańskim geniuszem ratuje kapitalizm i potru-chlałych amerykańskich milionerów – on do tego ręki nie przyłoży. Niech giną!

Nie jest jeszcze bolszewikiem, nie wie, czym jest i może nigdy się nie dowie... Nawiedziło go coś – była to może jedna chwila, ale

---

<sup>114</sup> Sekstans – optyczny przyrząd nawigacyjny stosowany w żeglarskim i astronomii.

składały się na nią niezliczone, niespamiętane wrażenia, zadumy, żale, bunty, rozterki, tęsknoty, marzenia, nawet sny. Więc czymże ma być odnowiony ustrój świata? To tajemnica przyszłości – nic o tym nie wiedział; jedno było pewne, że fantasmagoria vanderzypenowej autarchii w swojej całości jest nie mniejszym absurdem niż wszystko, co istnieje obecnie. Jedno jedyne dorasta w niej znamion objawienia jakiejś nowej prawdy i wielkości, ale znów i ów punkt 3 jego planu służy mu jedynie za potężny wybieg demagogiczny dla wtłoczenia i zatrzaśnięcia ludzkości w odnowionym i jeszcze mocniej zakratowanym domu niewoli, którego klucze tak jak i teraz pozostaną we władzy kapitału, czyli w rękach ludzi bogatych.

„Prawo człowieka do istnienia”!

To najszczytniejsze hasło, dla którego zaprawdę warto poświęcić całego siebie ze wszystkim, co się posiada, znamionuje olbrzymi przewrót w stosunkach ludzkich i zapowiada rewolucję, jakiej nie było jeszcze na ziemi. Genialnie sprytny demagog i oszust, który je wynalazł i zamierza puścić w masę, sam nie wie, że natychmiast obróci się ono przeciwko niemu i z niezwalczoną logiką fatalizmu musi zabić całą koncepcję autarchii, czyli wiecznej tyranii kapitału nad najedzonym i doszczętnie zbydlęconym niewolnikiem. Shurman dawno już uchwycił tę sprzeczność, ale ani na chwilę nie powstało mu w głowie ostrzegać wynalazcę przełomowej doktryny, niechże ona idzie w świat i gotuje przyszłe dzieło swoje. Co wyrośnie ze straszego posiewu tej idei dobra, rzuconego niegodną ręką w niegodziwym celu?

Mgła zasnuwała świat. Niepewne wszystko, co jest – cóż dopiero przyszłość? Uporczywa mgła, a w niej zmieszane głosy dalsze i bliższe, skłócone, pełne strachu. Rozpaczliwe nawoływania, odgłosy walk, modlitwy błagalne, przekleństwa. W pomroce szuka swoich dróg zbłąkana ludzkość. Nadchodzi godzina dziejów, w której rozchyli się zasłona olbrzymich spraw ukrytych i pocznie się misterium wielkiej przemiany. A zanim wybije godzina...

Shurman pilnie wpatrywał się w chaos świata bez wyrachowania, bez świadomego celu, jak gdyby klęski i katastrofy, rozpaczliwe wysiłki prezydenta Roosevelta i jego miliardowe hazardy nie dotyczyły jego własnej fortuny. Upajał się porywającym widowiskiem rozpętanych żywiołów jak poeta, którego nie przeraża, nie oburza, jak przystało człowiekowi, ani największa zbrodnia, ani żadna okropność tych czasów, lecz pogrąża w tajemnym wyuzdanym zachwycie. Na jego wyniosłej nieruchomej masce wielkiego pana

urobił się i już wyźłobił sobie swój wyraz uśmiech złej radości z olbrzymiej komedii ludzkich kłopotów i błędów. Ze śmiertelnego strachu podobnych sobie potentatów, z naporu wzbierających mas, i z tych, co nieznośną wrzawą reklamy, miliardami federalnych kredytów i niagarą dekretów<sup>115</sup> odpędzają widmo własnej zagłady. Wyźłobina szyderczego uśmiechu pogłębiała się w jego twarzy, gdy przewodniczył na tajnej naradzie swoich dziesięciu sprzysiężonych nieszczęśników, gdy widział rosnący niepokój van der Zypena, kiedy czuł, że sam samochcąc z każdym dniem coraz głębiej brnie i pogrąża się w niepojętym chaosie.

Czegóż chciał, do czego dążył? Nie wiedział jeszcze. Nic nie wiedział. Było to rozkoszne.

Po epokowym międzynarodowym kongresie gospodarczym w Londynie i po nader niedługiej wycieczce do Genewy pełnomocny delegat USA, znakomity Elmer Conway Youth, stały ekspert Tru-stu Mózgów – Brain Trust – wracał do domu zupełnie chory. Na dobitkę przez cały czas podróży Atlantyk był niespokojny, więc znakomitego męża na rękach przeniesiono na ląd przez tłum reporterów, wyległych na jego spotkanie. Nazajutrz ukazały się zdjęcia, na których był skończonym nieboszczykiem, który, niestety, nie dojechał żywy do ojczystych brzegów, gdzie pragnął spokojnie umrzeć.

– Dzięki złośliwości oceanu nasz dzielny Elm nie wygląda na triumfatora, ale wdzięczna Ameryka wie, że zrobił, co mógł.

– Youth przyjechał i oto on, ale nikt z naszych czytelników nie powinien się niepokoić, albowiem w jutrzejszym wydaniu ukaże się nam ze słowami otuchy i ze swoim zwykłym czarującym uśmiechem...

Po paru dniach na natarczywe i błagalne telefony Shurman zasiadł u łóża chorego i przeraził się, ujrawszy, jak to ciężkie na miarę światową troski i zawody mogą sponiewierać człowieka i nie byle kogo – tęgiego męża stanu, amerykańskiego herosa na terenie Europy, zapalonego, niczym niezachwianego optymistę. Lekarze zalecali bezwzględny spokój, ale chory musiał sobie ulżyć, musiał się wygadać i wyskarżyć przed przyjacielem. Na wstępie oznajmił kategorycznie, że porzuca wszystko i wycofuje się ze spraw publicznych, wraca na południe w domowe pielesze do

---

<sup>115</sup> Niagara dekretów – tu: duża ilość ustaw.

swojej starej sadyby<sup>116</sup>, zakopie się aż do śmierci na opuszczonej plantacji ojców swoich nad rodzinną rzeką Altamahą<sup>117</sup>, gdzieś w głębi Georgii<sup>118</sup>.

– Ani gazet, ani radia, ani poczty; listy, jeżeli ktoś zechce do mnie napisać, pozostaną nierozpieczętowane... Zagrzebię się wśród moich czarnych, którzy pozostali poczciwi i ciemni jak przed wojną secesyjną... U nas na południu nie ma waszego gigantyzmu stupietrowych buildingów ani milionerów, ani ustandaryzowanej ciasnoty, wrzawy, krętaniny, my posiadamy przestrzeń i spokój, więc i zdrowe nerwy. Dlatego przetrwamy. Będę pielęgnować moje winnice i tłoczyć wino, które po tylu suchych latach może jeszcze ktoś kupi i wypije, a co do bawełny, to po szczęśliwych zbiorach będę ją palić jak przystało w naszych podłych czasach... Harry, zapewne wiesz, że nie ja stworzyłem świat i nie ja rozpętałem ten potworny chaos, a jednak dręczy mnie wstyd za hańbę mojego pokolenia! Uciekam od życia po prostu ze wstydu za to, co się dzieje u nas i nie u nas. Jesteśmy wyrodne plemię, przeklęte i odrącone przez Boga! Sodoma i Gomora<sup>119</sup> nicości i głupoty, i to bez wyjątku, wszędzie a wszędzie... Państwa Europy, wielkie światowe konferencje, Liga Narodów! Wstrętne targowisko dziurawych butów, pokątna szulernia, gdzie grają znaczonymi kartami, burdel ostatniego rządu, rekord, challenge tchórzostwa, dom wariatów, czarna giełda oszukańczych sojuszów, porozumień, wielostronnych ubezpieczeń, paktów, a wszystko poplątało się już do tego stopnia, że razem wzięwszy nic nie znaczy, umarza się wzajemnie, albowiem – *ex nihilo nihil*<sup>120</sup> – wypada jak w wadliwie zbudowanym równaniu, że zero równa się zeru. A konferencja londyńska, z której właśnie powracam... Co tu dużo gadać – dwa zera i już! Oto rezultat ostatniego roku! Znakomici mężowie stanu przez ten jeden okropny rok wytarli się, wyszarzali, zdarli się, splugawili – sir John Simon<sup>121</sup>,

---

<sup>116</sup> Sadyba – dawne potoczne określenie mieszkania, zasiedlenia.

<sup>117</sup> Altamaha – rzeka w Stanach Zjednoczonych, w stanie Georgia o długości 220 km.

<sup>118</sup> Georgia – stan w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

<sup>119</sup> Sodoma i Gomora – motyw biblijny, w starotestamentowej Księdze Rodzaju opisano zniszczenie przez Boga miast kananejskich Sodomy i Gomory na skutek grzechów ich mieszkańców (Rdz 19).

<sup>120</sup> *Ex nihilo nihil* (łac.) – z pustego w próżne.

<sup>121</sup> John Allsebrook Simon (1873–1954) – pierwszy wicehrabia Simon, brytyjski prawnik i polityk.



Mac Donald<sup>122</sup> czy Henderson<sup>123</sup> ... A taki Paul Boncour<sup>124</sup>! Herriot<sup>125</sup>!  
A Daladier<sup>126</sup>! A Titulescu<sup>127</sup>! Cudowny album karykatur!

– Tacy sami byli przed rokiem, to w tobie się coś odmieniło, a może tylko odezwała się ta twoja wątroba, nie daj Boże. Odpocznij sobie po Europie, a spojrzysz na rzeczy inaczej.

– Nie! Nie! To nie wątroba. Przed rokiem żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy wpuszczać sowieckiej Rosji do Ligi Narodów, a teraz jeden przez drugiego robią nadzieję bolszewikom, niemal ich zapraszają, jak przyjdzie do czego, to przeciw będzie chyba tylko pobożna kalwińska Szwajcaria i może jeszcze jaki Honduras lub Paragwaj, zobaczysz!

– Zapominasz, że w ciągu tego roku i my uznaliśmy Sowiety...

– Kombinacja czysto eksportowa, pogoń za konsumentem. No, i na wypadek, gdyby na dalekim Wschodzie...

– Mała rzecz! Toć to niemal sojusz, choć jeszcze na razie niepisany. Cynizm zapanował po równo na całym świecie, nie ma lepszych ani gorszych, bo każdy się boi wojny i rewolucji – oto naga prawda. Za sto lokomotyw, za tysiąc obrabiarek i za dziesięć okrętów drobnicy sprzedajemy zasady, to samo względem nas czynią pryncypialni bolszewicy, za nasze kredyty towarowe, za długoterminowe weksle – dwadzieścia osiem miesięcy – zawieszają na kołku swoją wszechświatową rewolucję – byle handel szedł, co na większą skalę w dobie kryzysu jest oczywiście niemożliwe, bo każdy chciałby tylko sprzedać, a nic nie kupić. Nie pomoże żadne kręactwo ani fałszywe paktory za cenę takich czy innych kontyngentów węgla, jaj, bekonów czy drzewa, zamiera wymiana międzynarodowa i zanika samo pojęcie rynków zbytu, odpada jeszcze jeden podstawowy dogmat kapitalizmu. Powiedzże mi, El, z łaski swojej, co mu zostało?

---

<sup>122</sup> James Ramsay MacDonald (1866–1937) – brytyjski polityk szkockiego pochodzenia, premier Wielkiej Brytanii w 1924 r. oraz w latach 1929–1935.

<sup>123</sup> Arthur Henderson (1863–1935) – brytyjski polityk, członek Partii Pracy. Był pierwszym ministrem w rządzie Partii Pracy, zdobył Pokojową Nagrodę Nobla w 1934 r.

<sup>124</sup> Augustin Alfred Joseph Paul-Boncour (1873–1972) – francuski polityk w okresie Trzeciej Republiki.

<sup>125</sup> Édouard Marie Herriot (1872–1957) – francuski polityk, premier i przez wiele lat przewodniczący Izby Deputowanych.

<sup>126</sup> Édouard Daladier (1884–1970) – francuski polityk.

<sup>127</sup> Nicolae Titulescu (1882–1941) – rumuński polityk i dyplomata.

– Uspokój się, Shurman, kapitalizm pozostał i zostanie, albowiem jest wieczny, a dogmaty... Nastąpiły pewne zmiany faktyczne, więc do nich trzeba do pewnego stopnia przystosować i zasady, obecnie po paru latach prób i szarpania się odczuwamy potrzebę dogmatów tymczasowych, zmodyfikowanych i, że tak powiem, zastępczych. Do takich należy wkroczenie państwa, te nasze NRA<sup>128</sup>, RFC<sup>129</sup>, AAA<sup>130</sup>, CWA<sup>131</sup>. i inne zespoły liter, które mogą się ułożyć w przyszłości dla doraźnych potrzeb, do takich należy świadoma autarkia.

– Co? Autarchia?! skądże ty...

– Tak, autarkia.

– Jak to napiszesz?

– A-u-t-a-r-k-i-a, nie trzeba jej mieszać z autarchią, znane słowo na określenie pojęcia samowystarczalności gospodarczej, czyli świadomego zawieszenia wymiany międzynarodowej, naturalnie tylko dla przetrwania najostrzejszej fazy przesilenia. Przemyślałem tę sprawę podczas ostatniej podróży i teraz jestem stanowczym zwolennikiem tej zasady w naszym obecnym położeniu, nie ma się co ludzi, musimy się przystosować...

– A powiedz mi co znaczy słowo autarchia – a-r-c-h-i-a?

– Zupełnie co innego – *littera docet, littera nocet*<sup>132</sup> – autarchią, autokracją nazywa się ustrój prawnopaństwowy samowładczy, czyli *dominium absolutum*, oparte na panowaniu jednostki, a wywodzące się z bożej łaski lub z zamachu stanu na wzór starej Turcji lub caratu rosyjskiego.

– Dziękuję ci, tego nie wiedziałem.

---

<sup>128</sup> Por. wstęp do niniejszej edycji.

<sup>129</sup> RFC – Reconstruction Finance Corporation (Korporacja Finansowania Odbudowy), organizacja zarządzana przez rząd federalny Stanów Zjednoczonych w latach 1932–1957, zapewniała wsparcie finansowe rządów stanowym i lokalnym oraz udzielała pożyczek bankom, kolei, stowarzyszeniom hipotecznym i innym przedsiębiorstwom.

<sup>130</sup> AAA – *Agricultural Adjustment Act* (Ustawa o dostosowaniu rolnictwa), amerykańska ustawa federalna ery Nowego Ładu, mająca na celu podniesienie cen produktów rolnych poprzez zmniejszenie nadwyżek.

<sup>131</sup> CWA – *Civil Works Administration* (Administracja Robót Budowlanych), krótkotrwały program tworzenia miejsc pracy ustanowiony przez Nowy Ład podczas Wielkiego Kryzysu w Stanach Zjednoczonych w celu szybkiego stworzenia głównie fizycznych miejsc pracy dla milionów bezrobotnych pracowników. Praca była jedynie tymczasowa, na czas ciężkiej zimy 1933–1934.

<sup>132</sup> *Littera docet, littera nocet* (łac.) – litera uczy, litera szkodzi. W powszechnym znaczeniu: źródło wiarygodnej wiedzy.

Przyszły autarcha zawstydził się przelotnie i ze swoim nowym złym uśmiezkiem słuchał dalej czarnych myśli przyjaciela.

Jakoś zbyt szybko zużył się wielki optymista z radosnej szkoły opatrnościowego prezydenta, wiecznie uśmiechniętego – nawet przez sen, jak mawiali niechętni. Jego rozradowane oblicze zawsze z zębami na wierzchu, nieschodzące z pierwszej kolumny gazet, jego głos pełen męskiego czaru, znajomy co najmniej stu milionom radiosłuchaczy, były w tych schmatanych czasach potężną dźwignią duchową, wyciągającą nieszczęsne społeczeństwo z bagna apatii i prostracji<sup>133</sup> – *sursum corda*<sup>134</sup>! A jego prawą ręką w olbrzymiej wytwórni zestandaryzowanej radości narodowej był przecie do ostatnich czasów Elmer Conway Youth – śnać wyprodukował ze siebie całą radość do ostatniej resztki, aż do samego dna, gdzie natychmiast rozpleniła się czarna rozpacz. Nieopatrny i zbyt gorliwy...

Youth wyrzekał dalej, podniecając sam siebie i doszedł do tego, że ośmielił się zaczepić swoje bożyszczce, samego prezydenta.

– Wszyscy go kochamy, każdemu jest bliski i rodzony, zanim zacznie mówić, słuchacze już z góry się z nim zgadzają – dlaczego? Boć nie zawsze ma słuszność. Ale to wspaniały, czysty rasowy Amerykanin, uwodzi nasz temperament, naszą dumę narodową, nasze przyzwyczajenia, nałogi, mierzy zawsze wysoko lub raczej za wysoko, decyduje szybko, czyli zbyt szybko, zapędza się za daleko i przekracza granice rozsądku, niczego się nie boi, wierzy w swoją gwiazdę i ryzykuje jak gracz, już dawno przestał liczyć na miliony, teraz ciska miliardami... I co za wdzięk – wyda potworne sumy, zadłuży nas na całe pokolenia, podpisze dekret, który dla najwytrawniejszych ekspertów jest jeszcze zagadką, i zaraz nazajutrz pyta przez radio drobną burżuazję, sklepikarzy, urzędników, robotników, farmerów – jak wam się podoba? Piszcie do mnie otwarcie, potrzebuję waszej rady. I ci piszą setki tysięcy, miliony listów! Typowo, rasowo, po naszymu, brawura, miliardy, reklama, Ameryka za tym przepada. Otóż cała bieda, że on jest już nazbyt rasowy, zanadto przeciętnie amerykański... Płynie na fali z dużym wiatrem i jest kochany, słuchany, panuje, ale jeżeli pośrodku swej drogi spotka go niespodziewany szkwał, co u nas jest możliwe z dnia na dzień, gdy jego wielbiciele bezrobotni w masowych tysiącakilometrowych

---

<sup>133</sup> Prostracja – wyczerpanie psychiczne, wycieńczenie, także leżenie krzyżem, padanie na twarz jako wyraz uniżenia się wobec Boga.

<sup>134</sup> *Sunsum corda* (łac.) – w górę serca.

marszach z żonami i dziećmi na swoich rozklekotanych fordach o uźebranej w drodze benzynie urządzą mu rajd gwiazdzisty i przybędą do Białego Domu? Jeśli jego przyjaciele robotnicy w obronie jego własnych kodeksów ogłoszą jakiś potworny strajk generalny? Mamy w świeżej pamięci San Francisco i New York. Jeżeli jego ukochani plantatorzy z Południa, ranchmeni<sup>135</sup> z Dalekiego Zachodu, farmerzy ze Wschodu i ze środka, którzy połknęli już pięć miliardów... Otóż na ten wypadek właśnie zabraknie nam miliardów, bośmy je już wydali, a bez nowych miliardów już nie wystarczy samo zaufanie ani czar osobisty, ani – *keep smiling* – przez radio. Roosevelt w swym kolo-salnym planie rozpełtał wygórowane i nawet absurdalne nadzieje, ale w istocie nie posiada żadnych rezerw. Wisimy na włosku...

– Sądzę, że ten włoszek jest dobrze skręconą stalową liną, na takich wisi nasz Brooklyński Most. A obudzona opinia, pogłębienie ducha, uświadomienie wielkiej ery – New Deal<sup>136</sup>? Nasza nowa moralność, jakiej nie było w epoce „prosperity”? To siła, na której można się oprzeć każdej dziejowej „emergency”<sup>137</sup>. O tym piszą wszyscy wybitni postrzegacze, przybywający do nas z Europy i zazdroszczą nam.

– Shurman, dajmy pokój tym przybłędom, europejskim dziennikarzom, zresztą widzę, że drwisz – co za przykry uśmieszek, skąd on się u ciebie wziął? Całkiem nielojalny, patrz jak się uśmiecha on, a za nim my wszyscy...

– I ty? Nie widzę...

– No, ja chwilowo...

– Więc plantacje w Georgii nad indyjską rzeką, nad tą...

– Altamaha – przepiękna rzeka, ale jeszcze nie wiem, rozejrzę się...

– Elmer Conway Youth nie może się namyślać! Ach, ty „zмоби-  
zowany mózgu”!

– Dosyć mam naszych skrzydlatych słówek – „Brain Trust” czy „Brain Club” to tylko słowo, „New Deal” puste napuszone słowo! Wszyscy powtarzamy je jak papugi, upajamy się, jakby to były czarodziejskie magiczne zaklęcia na złe czasy. Coraz ich więcej, i powiedz, kto wciąży wymyśla nowe, kto nam je dostarcza?

---

<sup>135</sup> Ranchmeni (z ang. *ranchers*) – farmerzy.

<sup>136</sup> Nowy Ład – program reform ekonomiczno-społecznych wprowadzonych w Stanach Zjednoczonych przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta w latach 1933–1939, którego celem było przeciwdziałanie skutkom wielkiego kryzysu lat 1929–1933.

<sup>137</sup> *Emergency* (ang.) – nagły wypadek.

- Same się tworzą.
- Z czego? Skąd?
- Z nowych idei, czyli z niczego, z powietrza.
- A ja myślę, że puszczają je w obieg na obstalunek generała Johnsona ci sami specjaliści, co układają reklamy dla „Chryslera”, dla „Palmolive”, dla „Five & Ten”... Ot, jeszcze jedno popularne hasło, które w jednym słowie ma tłumaczyć najbardziej powikłany proces dziejowy, a jest nonsensem, fałszem i nader niebezpiecznym oszustwem. Mówi się – prezydent „absorbuje” rewolucję i usuwa jej możliwość przez to, że na wzór elektrycznego odkurzacza ostatniej marki, a przy tym obdarzonego machiaweliczną chytryością wchłania i unieszkodliwia jej pierwiastki! Ale jeżeli je wszystkie wchłonie, czyli do pewnego stopnia ustąpi przed ich żądaniami, przez to samo sam wywołuje rewolucję i Roosevelt już ją rozpoczął na dobre, nic o tym nie wiedząc. Już popadają w panikę nie tylko tak zwani „reduced”<sup>138</sup> – milionerzy, czyli zubożeni o jakie pięćdziesiąt procent magnaci, ale i średnie sfery gospodarcze, słowem, ci, którzy posiadają cośkolwiek, zdrowe, żywe nasze ciało, sam rdzeń Ameryki! Za to podnieśli głowę wszyscy tak zwani wydziedziczeni, proletariat, w szerokim pojęciu tego słowa, prócz mas robotniczych zawodowców, pracowników umysłowych, drobnych rolników zadłużonych powyżej wartości swej ziemi, rewolucjonizuje się cała inteligencja, sfery uniwersyteckie, urzędnicze, ucząca się młodzież... A dalej cała potwornie rozpleniona biurokracja NIRY, RFC, CWA, samo – AAA i tylko w swej centrali w Waszyngtonie przyjęło cztery tysiące nowych urzędników! Rośnie potężna armia rewolucyjna, która po swojemu rozumie posunięcia prezydenta, a niebawem w ręku tej masy, niepewnej i podejrzanej w najwyższym stopniu, znajdują się wszystkie stery i dźwignie naszej maszyny państwowej, gospodarczej i społecznej! Tak się u nas „absorbuje” rewolucję...
- Słowem, diabli nas biorą?
- Zastrzegam się! Bynajmniej nie powiedziałem nic podobnego!
- Więc niby co innego wypada z tego, coś mi tu nagadał?
- Widzę po tobie, jak gdybyś się cieszył, gdyby nawet... Mój drogi, łatwo to sztydzić z naszych kłopotów, ale mówiąc poważnie...
- Nasze kłopoty, czyli prezydenta Roosevelta i twoje, dwóch dyktatorów... A moje kłopoty?

---

<sup>138</sup> *Reduced* (ang.) – zredukowany.

– Widać masz ich za mało, jeżeli zamierzasz wydawać wielkie pismo, i jak słyszę...

– Tak, i zapraszam cię do współpracownictwa.

– Dziękuję pięknie! O ile wiem, zaraz od pierwszego numeru uderzysz na nas, tegośmy się po tobie nie spodziewali, doprawdy, Shurman! Do czego to podobne?

– Będzie zupełnie podobne do tego, coś mówił przed chwilą, a ponieważ odmawiasz mi bezpośredniej współpracy, więc ja za ciebie napiszę wszystko, com tu usłyszał i damy na pierwszej stronie wywiad ze znakomitym Youthem, który podczas swej podróży doszedł do nader ciekawych poglądów na działalność pana prezydenta...

– Żarty zostawmy na lepszą porę, doprawdy byłoby to zdumiewające, gdyby Harry Shurman, proklamowany jako wzorowy obywatel, zaczął nam psuć wielkie dzieło, z którym sam z dobrej nieprzymuszonej woli związał całą swoją fortunę.

– Nic nie będę wam psuć, tylko was trochę prześwietlę; jesteście połowiczni i obełgujecie cały świat, biednych i bogatych, ja wam to powiem otwarcie, więc okażę wam dobrą przysługę... Zresztą nie z tobą będę walczyć, Youth, bo ty schodzisz z areny i zagrzebujesz się na swojej plantacji, z pewnością otrzymasz z kasy AAA przyzwoitą indemnizację<sup>139</sup> za nieobsiane akry – a ja właśnie wkraczam na arenę sprawy publicznej, czynię to na schyłku żywota, bo, powiem ci prawdę, znudził mi się nasz świat i te czasy, więc po prostu chcę się przed śmiercią trochę rozerwać. Wy idziecie na oślep, zaplątaliście się i brniecie z dnia na dzień byle dalej, co godzina genialne odkrycie i nowy eksperyment, nowa seria miliardów – to jest hazard. Gracie na czerwone, na czarne, na czwórkę kier, na dziesiątkę trefl, na damę pikową i za każdym krokiem, za każdym błędem, krętą linią, ale z żelaznym fatalizmem posuwacie się coraz bliżej ku rewolucji socjalnej, przed którą truchlejecie i słusznie, bo ona was zmiecie. No, więc ja wraz z tymi, co stoją ze mną, idziemy świadomie i prosto na rewolucję! Stoimy do niej frontem, twarzą w twarz jako mężni ludzie i gdy wypełnią się czasy – my jej dokonamy. Oto mój program, niech da Bóg, byśmy uniknęli najgorszych okropności przewrotu, a przynajmniej niech nawet one posłużą ku dobru przyszłych pokoleń...

---

<sup>139</sup> Indemnizacja – odszkodowanie, wynagrodzenie strat.

Youth widział Shurmana jak przez mgłę, jego nieprawdopodobnie coraz okropniejsze słowa dochodziły z odległości obco, metalicznie, zgrzytliwie jak przez zepsuty telefon. Przymknął oczy i słuchał, słuchał, aż wszystko zamąciło mu się w głowie, aż oblały go zimne poty... Co chwila ktoś dokładał po parę gwichtów funtowych do ciężaru, który przytłaczał mu mózg, i co chwila nowy kamień przybywał na jego biednej, zgniecionej, zdręzionej piersi.

– Majaczę – jestem ciężko chory... Jak tu gorąco...

Z trudem wy dobył spod pachy zapomniany termometr, z wysiłkiem, gdyż drżała mu ręka i ćmiło się w oczach, odczytał temperaturę.

– Trzydzieści dziewięć i jeden... Shurman, popatrz no, bo nie bardzo widzę... Trzydzieści dziewięć i jeden?... Czy to możliwe?...

– Tak, tak... Kto cię leczy, doktor Tugwell? Dobrze, zaraz zadzwonię i pojadę do niego, wrócimy razem.

Gdy Shurman wyszedł, odetchnął z ulgą i jak gdyby oprzytomniał – co za gorączka! Nieoczekiwany skok, nagły atak, ale to minie, jeszcze zanim zdąży doktor. Już przemija, bo ciężar spadł z piersi i jakoś się dookoła rozjaśnia, a również w głowie... Teraz wszystko rozumiał. Oczywiście przez cały czas tej wizyty od samego początku był nieprzytomny, nawet nie pamiętał, o czym mówili, a reszta to koszmar, przywidzenie. Bo czyż podobna, żeby dwaj poważni ludzie, i jeden, i drugi, na wyścigi wyplatali bzdury i bezceństwa? Usnął.

Eddy Wychgram spędził zaledwie pięć miesięcy w więzieniu w Tombs, ale już po paru dniach, gdy się trochę rozejrzał, spostrzegł, że przez ten niedługi czas wiele zmieniło się na świecie, bardzo wiele – chyba wszystko. Kędy się obrócił, na co spojrział, były to nowe odkrycia w rzeczach znanych – szybko mknie, rwie naprzód i ucieka ten czas, zestarzał się, zastał się, zatęchł i teraz śpieszno mu ku wielkiej odmianie. Wszędzie wyczuwał jej tchnienie, nawet w pogrzebowej atmosferze matczynego domu, skąd był uciekł przed rokiem, a teraz powrócił i zamieszkał tam chwilowo jako syn marnotrawny, wyrzutek z haniebnym piętnem anarchizmu i więzienia.

Matka nie mogła jeszcze opamiętać się po klęsce, która zabrała jej wszystko: i miliony do ostatniego grosza, i męża, i syna. Przebywała w tępych osłupieniu, raz na zawsze porażona ciosem. Gdy zjawił się Eddy, jedyny syn, nie uśmiechnęła się nawet ani nie zapłakała i nie czyniła wyrzutów, powitała go jakby wyszedł z domu przed godziną, i zaraz poszła do kuchni przyrządzić mu kawę, a gdy jadł śniadanie, zaczęła wywlekać ze wspianiałych kufrów i waliz, które zapychały



biedne mieszkanko pozbawione mebli, stopy uratowanych ubrań ojcowskich i jego własnych, aby go jakoś przyodziać, gdyż przyszedł w łachmanach.

– Matko, dlaczego nic nie mówisz?

– O czym tu mówić? Wróciłeś, to siedź u mnie, ja cię nie wypędzam.

– Dziękuję, ja tylko na parę dni. Gniewasz się na mnie?

– Nie umiem się gniewać ani martwić, ani cieszyć – zapomniałam tego.

– Chyba już wiesz, matko, że nie knułem żadnego zamachu na Morgana? To była taka policyjna podła sztuka, prowokacja – przecież mnie sąd uwolnił, a skazał oskarżycieli.

– Szkoda, że ci się naprawdę nie udało wysadzić w powietrze tego zbrodniarza, to on zrujnował i zgubił ojca i nas.

– Ojciec nie miał z nim żadnych interesów, zresztą ja bym nigdy...

– Może i nie miał z nim interesów, ale to najgorszy łotr z całej zbójceckiej bandy z Wall Street, ileż trzeba by dynamitu na nich wszystkich, żeby nareszcie była na świecie jakaś sprawiedliwość...

– Dynamit niczego nie rozstrzyga, od dynamitu do sprawiedliwości dalej niż od ziemi na księżyc.

– Taki z ciebie anarchista?

– Już nie jestem anarchistą.

– A ja jestem! Twój diabeł z ciebie przelazł we mnie, ja potrzebuję zemsty, niech cały świat spłonie! Bodaj morowe powietrze poraziło wszystkich bogatych!

– Matko, i my przed rokiem byliśmy milionerami.

– Myślisz, że tego nie pamiętam? Ale teraz przynajmniej nikt nas nie przeklina...

Na długie godziny zapuszczał się w niezgruntowane głębinny miasta, przemierzał je wzdłuż i w poprzek od krańca do krańca, jeździł kolejami, tramwajami, busami, łubem, żelaznymi promami, do ostatniego wyczerpania włóczył się po dalekich dzielnicach. Zduszony i zdrętwiały w ciasnocie więziennej potrzebował przestrzeni i ruchu, cieszył się cudem odzyskaną wolnością, ale zarazem gonił za czymś jak gdyby czegoś szukał. Po raz pierwszy w życiu spostrzegł ogrom i potęgę rodzzonego miasta i jego niesamowity urok. Wciągał go w swój wir Nowy Jork, osobliwość i dziwowisko świata, opętująca zagadka. Podczas jego samotnych wędrówek, wypełnionych myślami, zdarzały się chwile, gdy byle gdzie, na skrzyżowaniu tłumnych i bogatych ulic górnego miasta, na pustym wybrzeżu portowym w Hoboken, na wyżynie Mostu Brooklyńskiego, na Hell

Gate Bridge<sup>140</sup>, w dzielnicy nędzy na Maxwell Street<sup>141</sup>, w getto żydowskim w Bronx, na promie sunącym przez Hudson, gdy jedna za drugą przewracają się karty zaczarowanej księgi Nowego Jorku pełne wspaniałych zjaw... Na wybrzeżu Weehawken<sup>142</sup> u wylotu Tunelu Lincolna<sup>143</sup>, gdzie tryska spod ziemi tysiąc samochodów na minutę i mija się z drugim tysiącem, który mknie, aby zapaść się pod ziemię i pod dnem Hudsonu dosięgnąć tamtego brzegu, gdzie panują gromady wież niebosiężnych buildingów i zdają się rosnąć w oczach, przerastać jedna drugą, prześcigać się ze sobą wzwyż...

W takich chwilach popadał w zadumę pełną skłębionych obrazów na podobieństwo snów, wśród nich z trudem, wciąż ginąc i gubiąc się i jawiąc się na nowo, przebijała się jakaś myśl jak daleka gwiazda, która łyśnie na mgnienie oka wśród nawały mknących chmur. Ścigał ją, zgadywał, aż wreszcie objawiała mu się w upajającej wizji, wyrosłej z odmętów gigantycznego rojowiska jako emanacja siedmiu milionów istnień, ich trosk i radości, cierpienia i rozkoszy, nędzy i zbytku, z mądrości i ciemnoty, cnót i zbrodni... Z chaosu i łoskotu, z głuchoj, zmieszanej wrzawy rodził się głos mówiący prawdę, odsłaniający tajemnicę miasta, rozwiązujący jego wszystkie zagadki.

W tych ekstazach było niezaznane szczęście, momenty radości z osiągnięcia wiedzy prawdziwej o rzeczach ukrytych, niepojętych dla rozumu, niepoddających się dociekaniu ani żadnej formule. Choćby na całe lata zagrzebał się w księgach i cyfrach, najzmudniejsze badania nie dałyby mu dostąpić wyżyn i głębi poznania, jakie roztwierały się przed nim w tych wędrówkach po niezmiernym mieście. W tym oceanie życia, odmęcie siedmiu milionów ludzi szukał wyobrażenia i pojęcia o nieznanym człowieku, przez którego – dla którego miała się ugruntować ewangelia nowej religii, jego Wielka Nowina o rewolucji dusz, serc, umysłów. Tonął, nużał się wśród tłumów, które rozpędzonymi huczącymi rzekami płynęły przez ulice, wpatrywał się w obojętne zimne twarze przechodniów,

---

<sup>140</sup> Hell Gate Bridge – pierwotnie New York Connecting Railroad Bridge lub East River Arch Bridge; stalowy most kolejowy o długości 1017 stóp (310 m) w Nowym Jorku.

<sup>141</sup> Maxwell Street (właśc. Maxwell Street) – ulica w Jersey City, w stanie New Jersey.

<sup>142</sup> Weehawken – gmina w USA, w stanie New Jersey, na jej terenie znajduje się tunel Lincolna.

<sup>143</sup> Tunel Lincolna – tunel drogowy o długości ok. 2,4 km, znajdujący się pod rzeką Hudson, wybudowany w 1937 r.

a każdy był jakby osamotniony w ciżbie i zgiełku, niosąc w sobie własny świat, odcięty od reszty, zasklepiony w nieprzejednanym ślepym egoizmie. To piętno wzajemnej obcości znaczyło wszystkie oblicza raz na zawsze zestandaryzowane, ujednostajnione, zakrzepłe w swym wyrazie.

Eddy oczami fanatyka jednej jedynej idei przenikał beznadziejne maski i czarami własnej wiary odmieniał ludzi ulicy. Spoza dzisiejszego dnia widział w nich dalekie, a może już bliskie jakoweś jutro, o którym żaden z nich nie wie. Nie wie, jakim będzie, co za siły w sobie niesie i czym się stanie w godzinie wielkiego ocknienia. Są to zabłąkani ślepcy, nędzarze ducha wtrąceni w bagno, brną, zapadają się, toną, giną i od urodzenia do śmierci nie wiedzą, po co żyją na świecie, który ich odepchnął od wszelkiego dobra, od światła, od piękna – patrzył na nich bez pogardy i bez wstrętu. Nauczono go myśleć i mówić tylko o masach proletariatu, troszczyć się o masę i ją miłować, upajał się jej cyfrą olbrzymią i na niej pokładał swą wiarę i nadzieję, było to bezduszne i zimne, wyrachowane. Teraz w tłumie ulicznym, w liczbach, wykresach, w traktatach o sprawie społecznej dostrzegał i uznawał każdą jednostkę, która jak kropla w oceanie składa się na krocie setek milionów i buduje narody ziemi i ludzkość. Wnikał w człowieka, w owo wspaniałe boskie dzieło, w szczyt stworzenia, pohańbiony i sponiewierany w bezecnej więzi dzisiejszego społeczeństwa. W tajemnicach świata on to jest najtrudniejszą zagadką, kto ją rozwiąże, zwycięży...

Im więcej chodził po mieście, tym na dłużej odkładał swoje pierwsze słowo do ludzi i swój pierwszy krok na arenie walki, wiedział, że nie jest gotowy, to w ekstazach samotnej celi więziennej roiło mu się, że dość wybrać sobie miejsce, w którejś ubogiej dzielnicy i wstąpić na zewnętrzne żelazne schodki przeciwpożarowe, szpejące wszystkie domostwa, na jaką pustą skrzynię, na zapomnianą drabinkę i z tej wyżyny zacząć przemawiać, aby od pierwszego słowa przykuć uwagę przechodniów i wałęsających się bezrobotnych, skupić ich wkoło siebie. Szczerością, świeżością i mocą swej idei od razu porwie przygodnych słuchaczy, a po każdym przemówieniu zgłosi się doń bodaj kilku najlepszych obudzonych z tępej rezygnacji; z tych wybranych po niedługim czasie założy związek, wychowa sobie pomocników i jego Dobra Nowina pójdzie z ust do ust, z serca do serca. W Tombs w samotnym natchnieniu wszystko było łatwe, nowa idea sama przez się magią swej bezprzykładnej prostoty zdobywała masy, wzbierała, rosła w siły, aby wreszcie jak

lawina runąć na stary świat cuchnący trupem, zasypać i pogrzebać przeszłość i odrodzić ludzkość... Tam mit o nowym człowieku, wizja nowej religii były to siły gotowe, zawieszane nad światem w potężnym napięciu i, aby się wyładować i dokonać przewrotu, czekały tylko na przyjście tego, który posiadał klucz wyzwalający spiętrzone moce – czarowne słowo zaklęcia. Gdy przeminęły pierwsze dni odurzenia odzyskaną wolnością, natchnienia jego opadły, z ludzi i z rzeczy wyrzała rzeczywistość, okrutna w swojej prawdzie, zimna i oporna...

Nieraz powracał z wędrówek po mieście złamany na duchu, zmrożony, z pustką w głowie i pewnego wieczora cofnął się od progu matczynego domu, gdzie prócz posępnej nudy nic nań nie czekało. Nie było dokąd pójść, nie miał nikogo bliskiego w całym Nowym Jorku ani na świecie i po raz pierwszy poczuł swoją wspaniałą samotność, która od czasu uwięzienia, gdy niepodzielnie zagłębił się w siebie, była jego dumą i siłą. Zatęsknił za nieistniejącym człowiekiem, który by spojrzał nań dobrymi oczami, uśmiechnął się doń jak przyjaciel, pogadali by zwyczajnie, pocziwie, choćby o głupstwach, o niczym, byleby nie być samemu w złej godzinie. Powłókł się dalej.

Tej nocy wszystkie czterdzieści osiem sfederowanych stanów obchodziły wielkie święto narodowe, z ostatnim uderzeniem zegarów bijących północ niezmierna kanonada strzelających korków, upusty kranów nieprzeliczonych baryłek, beczek, kadzi otwały nową erę wyzwolenia i radości, lunęły powodzią trunków w wyschłe gardła i na zgębnione umysły, spragnione rozkosznego zamroczenia. Na rogach ulic na stosach, otoczonych korowodem orgiastycznych płasów, palono kukły znieawidzonej prohibicji, która tyle złego dodała od siebie w tych czasach klęski – ona to zrodziła hordy i trasty bootleggerów, przemytników, fałszerzy, trucicieli, ona zdemoralizowała władze federalne, stanowe i miejskie od dygnitarzy do ostatniego pacholka, przeżarła korupcją policję, sądy, celników, adwokatów, prasę, opinię publiczną. Ona uwieńczyła sławą hersztów bandyckich, jawnych, bezwstydných, bezkarných morderców, bohaterów ulicy, ubóstwianých przez tłumy wielokrotných milionerów zbogaconých na niezliczonych zbrodniach swego bezecnego zawodu... I tak dalej. Wszyscy pijacy Stanów Zjednoczonych, pijąc tej nocy na umór bez liczby i miary odwracali haniebną kartę dziejową i otwierali nową dostojną i świetlaną. Miasto nie spało z radości, whisky, rum, gin, wino, piwo, porter, likiery, najcudaczniejsze mieszaniny, trunki wytworne i ordynarne nagromadzone

na tę noc w poczwarnych ilościach łąły się spienionymi potokami, wodospadami, wybuchały gejzerami. Zarówno w najwytworniejszych, najdroższych hotelach, restauracjach, jadłodajniach, kawiarniach, jak w obskurnych szynkowniach, w portowych spelunkach, w jawnych i tajnych dziurach, na każdym pięttrze każdego domu, pod gołym niebem, na rogach ulic, na mostach, w pociągach, samochodach, na promach, na łądzie i wodach szło homeryczne, epickie, gigantyczne pijaństwo. Wszędzie zataczali się pijani, w balowych strojach, w smokingach, w roboczych over-allach, w łąchmanach, bez różnicy klasy, warstwy, stanu, narodowości, wyznania i barwy skóry. Ryki pijackie, śpiewy, na każdym kroku zwady i awantury. Gdzie spojrzeć pod ścianami, w poprzek chodnika, na jezdni jak trupy leżą gentlemeni i hołota. Policyjne motocykle i karetki pogotowia szastają się po mieście, nie mogąc nadążyć zbierać z ulicy zapitych oraz pokłutych nożami, postrzelanych i pomordowanych w niezliczonych bójkach.

Eddy jak cień błąkał się wśród tej bachanalii, uwiązł w niej, nie mógł jej wyminąć ani okrążyć, ani od niej uciec; osaczyła go zewsząd, urągała mu pijana noc, natrzasała się z jego szczytnych wzniosłości. Pili burżuje, pił jeszcze obrzydliwiej jego lud, bogaci szaleli gdzieś w wytwornych wnętrzach, proletariat tarzał się w błocie wszystkich ulic i zaułków. Przepijano ostatniego dolara, ukradzionego żonie, sprzedawano ostatni jakiś grat za pół dolara, za dziesięć centów, rabowano na ulicy, mordowano się, byle urwać na kieliszek whisky, na szklankę piwa, orgia tej nocy jak zaraźliwe szaleństwo wciągała starych i młodych, kobiety, dzieci.

Eddy włóczył się po mieście do utraty sił bez potrzeby, bez sensu, bez jednej myśli w głowie. W pokrętnej wędrówce po pijanym mieście w jakiejś godzinie zgiełku, nie wiadomo gdzie, chyłkiem, niepostrzeżenie uleciał mu z duszy demon – demiurg olbrzymiego dzieła, ten, który jawił mu się był w ponurej celi więziennej, odsłonił przed nim poznanie wiedzy tajemnej, wróżył mu wielkość i wywiódł go na wolny świat ku czynom niesłychanym... Od tej godziny nie opuszczał go, wciąż szeptał w jego duszy, radził, ostrzegał, dawał niebosiężne natchnienia, olbrzymie sny...

Eddy Wychgram włókł się przez miasto, została gdzieś za nim jego siła i wiara, i wielkość, skończyło się obłądne misterium, zająrzała w oczy niezwalczona prawda rzeczy i ludzi. Stał się małym, nieporadnym i znowu był tym, czym był zawsze – wykołejonym młodym człowiekiem niezdolnym do niczego, o poszarpanych

nerwach, o niepoczytalnych marzeniach, był zerem, był niczym. I gdyby nie to, że dawno minął most na East River, a wracać brakło już sił – skoczyłby do wody... Gdyby nie to, że nie miał grosza przy duszy, wstąpiłby do pierwszego szynku i spiłby się dzisiaj jak nieboskie stworzenie, jak ci dokoła – po co ma być lepszy od innych, od wszystkich?

Demon jego przeznaczenia podążał za nim utajony, niepoznany, nie ozwał się kuszącym szeptem ani ciepłym tchnieniem nie zamącił jego rozpacz. Po upojeniach wielkością wydał go na pierwszą próbę.





## Rozdział siódmy

### U progu nieznanego jutra

Eddy co kilka dni odwiedzał swego dawnego mistrza, chodził z litości, choć było to uczucie wykreślone przez profesora anarchii z psychiki rzetelnego rewolucjonisty. Stary był kiepski, z godziny na godzinę, bez przystanków i nawrotów, spokojnie, bez wielkich cierpień posuwał się ku niedalekiemu końcowi. Nie mówił o tym, nie myślał i nie wiedział; wypoczywał za wszystkie czasy po trudach, ciosach, burzach długiego żywota, przesypiając słodko z uśmiechem na ustach jak niemowlę po szesnaście godzin na dobę – pielęgniarka zapowiadała Eddy'emu, że pewnego dnia, dziś, jutro lub za miesiąc nie obudzi się i już, śmierć będzie miał przyjemną, właściwie nie leczy go się i nic mu nie dolega – po prostu umiera sobie.

Na jednym z tysiąca sześciuset siedemdziesięciu czterech łóżek olbrzymiego, spiętrzonego pod niebo kompleksu gmachów Medical Center<sup>144</sup> na najwspanialszym ze wszystkich dwunastu jego oddziałów, w jasnoblękitnym pokoju Vanderbilt Clinic, w dostatku i komforcie, jakich nie zaznał ani nawet nie widział nigdy w życiu, odpoczywał wieczny rewolucjonista. Nie pytał lekarza o swoje choroby ani – czy rychło wstanie, czy aby nie zamrze, ani – kto roztacza nad nim opiekę, i wreszcie kto płaci za otaczający go zbytek tej kosztownej pierwszorzędnej lecznicy Nowego Jorku. Wprost z sądu po wyroku uwalniającym jakaś starsza, zacna i miła dama zabrała go i zawiozła prosto na ulicę Sto Sześćdziesiątą Ósmą Zachodnią i oddała go w ręce biało ubranych, uprzejmych, uśmiechniętych i mocnych ludzi, którzy troskliwie wynieśli go z samochodu i przez nieskończenie długi jasny korytarz, ozdobiony donicami krzewów

---

<sup>144</sup> Vanderbilt University Medical Center – jeden z najstarszych szpitali w Stanach Zjednoczonych założony w 1874 r.

i kwiatów, powieźli gdzieś na wózku. Opamiętał się dopiero w ślicznym pokoju na onieśmielająco czystym pościeliu; na stolczku stał kryształowy dzban z pękiem jakichś nieznanych kwiatów, przez wielkie okno z niezmiernej wyżyny ujrzał ogromną przestrzeń wód, a za nią daleką krainę błękitną i przyćmioną od mgły, wśród której zaczęły właśnie wytryskać na wszystkie strony nieskończone sznury światła.

Na kilka dni przed sądem chwyciła go gorączka i wielkie osłabienie, w zamroczeniu, w półśnie rozglądał się po sali sądu, słuchał, nic nie rozumiejąc, wywodów przewodniczącego i obrońcy, na pytania sądu odpowiadał bez żadnego sensu, wreszcie adwokat z trudem obudził go ze snu, wołając: jest pan wolny! Otoczyli go współoskarżeni, młody Wychgram rzucił mu się na szyję, adwokat strasznie mocno klepał go po plecach, aż dotkliwy ból przenikł go na wskroś przez piersi – cóż to się stało? Ach, sen...

Gdy się znalazł w ślicznym pokoju, pomyślał w pierwszej chwili, że to nowe nadzwyczaj wyrafinowane więzienie, ufundowane przez jakąś zwariowaną miliarderkę, z tych, co w testamentach zapisują grube kapitały na przytułki dla chorych kotów lub starych opuszczonych psów – ale w oknie nie było krat, czyli wskazanych w tak humanitarnym więzieniu żelaznych prętów obciążniętych aksamitem. Nie mogąc sobie z tym poradzić, usnął, a gdy się ocknął, przyszło mu do głowy, że już umarł – został stracony – i, choć jest to absolutnie niemożliwe, gdyż nie ma Boga ani żadnego „tamtego świata” – jednak czuł się tu tak cudownie i błogo, że – kto wie – znalazł się chyba w tak zwanym niebie, pomimo że od pięćdziesięciu lat jest bezbożnikiem i rewolucjonistą... Więc to, co ludzie pospolicie nazywają bogiem, istnieje wbrew wszelkiej naukowej oczywistości, a jeżeli przypuścić to bodaj na jedną chwilę, to na domiar ów Bóg, który chyba nie może być z przekonania anarchista, zdaje się być rzeczywiście osobnikiem absolutnie bezpartyjnym lub – jak to mówią – bezmiernego miłosierdzia, jeżeli, jeżeli...

Eddy wbrew zakazom lekarzy, broniącym chorego od wzruszeń i podnieceń, wciągał go w długie rozprawy, bo czyż warto go oszczędzać, jeżeli stary i tak umrze lada dzień? Z nieśmiałością niedawnego ucznia i bezwzględnego czciciela wypowiadał się przed nim ze swego odkrycia i z dalszych planów, przygotowany z góry na sprzeciw i bezpłodną polemikę z zatwardziałym i zakrzepłym doktrynerem, ale profesor Borowiczenko wysłuchał go cierpliwie, nie przerywając ani słowem, i dopiero pod koniec

wykładu przymknął oczy i usnął. Eddy urwał w pół zdania. Pryśł czar natchnienia i w pierwszej chwili zachwiała się w nim wiara w siebie i we wszystko, co propagował – zawisł w pustce, a przed sobą miał nicność, na śpiącego patrzył z przerażeniem, z nienawiścią. Ten człowiek, nie odezawszy się jednym słowem, obalił w nim wszystko, zabił go. Cóż warta jego idea, jeżeli nie przemówiła do profesora, nie zainteresowała go nawet, i coż jest warta, jeżeli on sam gotów o niej zwątpić za lada podmuchem złego nastroju lub, jak teraz, z powodu ludzkiej obojętności? Uśmiechnął się krzywo, z przymusem, udawał, że nic go nie zabolalo to zranienie, jest wyższy ponad głupie przykrostki, wie, że czekają go ciężkie walki i prawdziwe bolesne zawody. Też się wybrał – uświadamiać umierającego! Toż to trup...

Profesor Borowiczenko spoczywał na wznak z głową wgnębią w poduszkę, woskowa koścista twarz, zapadnięte oczy, nos wydłużony znamionowały, że jest on najzupełniej gotowy do trumny, nie można było dostrzec, czy oddycha jeszcze... Wypełnił się nieprawdopodobny, szczytny, męczeński, bohaterski i absurdalny żywot wiecznego rewolucjonisty. Eddy ze strachem i zgrozą, ostrożnie, jak najciszej cofał się ku wyjściu, uciekając od okropnego tchnienia śmierci. Rzekomy nieboszczyk zdążył jeszcze odwołać go od samych drzwi.

– Ed, a czemu to już uciekasz? Boisz się, że ci rozbiję twoją teorię? Najpiękniejszą ze wszystkich idei społecznych, jakie znam? Siadaj i słuchaj, chłopcze miły...

Eddy był wstrząśnięty i wzruszony do łez, hamował je całą siłą woli, bowiem w słabym starczym głosie wskrzeszonego profesora odezwała się nadspodziewanie ciepła, tkliwa dobroć, której od niego nie zaznał nigdy, zawsze był z nim rzeczowy, zimny, jakby oficjalny. Pochwała dla jego odkrycia przepelniła go szczęściem.

– Eddy, duszę masz wielką, to ci przyznaję, doszedłeś samodzielnie do najszczytniejszej prawdy prawd, która sama w sobie jest olbrzymią rewolucją w dziedzinie myśli. Takie idee rodzą się w samotniach więziennych w udręczeniu, w ekstazie cierpienia, w odcięciu od świata, który nie przeszkadza marzeniu wzbić się na nadziemskie wyżyny, albo w zaciszu pracowni szlachetnego filozofa, oderwanego od prawdy życia. Albo w rozgoryczonym sercu działacza bez nadziei, który przeżył wszystkie porażki i zawody... I wreszcie w świętej niewinności młodzieńca, który jeszcze niewiele doświadczył, a przede wszystkim nic nie czytał, jak ty właśnie. Nie przypuszczaj bowiem, że odkryłeś światu coś nowego, to marzenie jest niezmiernie stare!

Dajmy spokój filozofom starożytności, gdzie również świeciło coś pokrewnego, i zacznijmy od Chrystusa. Ten niebosiężny marzyciel jak bóstwo unoszący się ponad ziemią miał odwagę zaprzeczyć całej rzeczywistości i stworzył sobie własnego człowieka i własny świat. – Kochaj bliźniego swojego jak samego siebie – czyż może być nakaz bardziej fantastycznie niemożliwy, bardziej absolutnie niewykonalny? Właśnie w tym roku świat chrześcijański obchodzi tysiąc dziewięćsetną rocznicę śmierci Syna Bożego, chyba czas zapytać o tej porze, co się stało z jego doktryną?

– Ależ towarzyszu profesorze!... Toż to zupełnie co innego! Jak można do mojej idei na wskroś rewolucyjnej i nowoczesnej przyrównywać jakiegoś Chrystusa?...

– Nie zapieraj się go, bo cały wywodziś się z niego, jak i ci tysięczkroć więksi od ciebie, których znakomite imiona... Niepoprawny ród utopistów idzie przez stulecia z pokolenia w pokolenie, życie ich wyszydza i wytraca, a wciąż z uporczywością robactwa plenią się nowi – i wciąż to samo w kółko – wiara w człowieka, przez człowieka do ludzkości – największą miarą wszechrzeczy jest człowiek – powiedział to jeszcze Protagoras<sup>145</sup> na jakie tysiąc lat przed Chrystusem – nie zapominać o człowieku, gdy się walczy dla ludzkości, czyli kiedy się wzniesie rewolucję, albowiem krew, cierpienie, krzywda każdej jednostki... I tak dalej. Karuzela obłądu, *circulus vitiosus*<sup>146</sup> – aż przyszedł wreszcie czas natchnionego proroka, Eddy'ego Wychgrama, który, o ile się nie mylę, dopiero za parę miesięcy ukończy swoje lat dwadzieścia... Nie gniewaj się, chłopcze, bo tymi słowami chcę tylko powiedzieć, że jeżeli o wczesnej wiosnie życia doszedłeś o własnych siłach do tak wzniosłej idei, to w dalszym ciągu, pracując i ucząc się, osiągniesz rzeczy prawdziwie wielkie...

– Wolno towarzyszkowi drwić sobie ze mnie, ale...

– Mówię poważnie!

– Więc niechże wiem nareszcie, czy stworzyłem coś własnego i wielkiego, czy tylko wpadłem w stare głupstwo?

– I jedno, i drugie, powtarzam, nie ma nic szczytniejszego nad naukę miłości do człowieka i wiary w niego, ale cóż, kiedy ta idea jest tylko grą wyobraźni, czystą teorią, w życiu absolutnie nieużyteczną, a w walce rewolucyjnej wysoce szkodliwą – rewolucja musi

---

<sup>145</sup> Protagoras z Abdery (ok. 485–ok. 415 p.n.e) – grecki filozof, zaliczany do sofistów.

<sup>146</sup> *Circulus vitiosus* (łac.) – błędne koło.

tępić takich jak ty i jeżeli będziesz się upierać przy swoim, zginiesz, nadchodząca burza socjalna przejedzie po tobie jak dwudziestotonowy czołg po młodym zagajniku, zmiażdży cię, wbije w ziemię. Ale zanim to nastąpi, samo życie pouczy cię sto, tysiąc razy, że nie tędy droga, zmarnujesz kilka lat i odmęt swoich sił – i zawrócisz. Młot o człowieku jako dźwigni dziejowej, baśń o rewolucji w duszach, w sercach, w umysłach, to w naszych czasach dobre dla humanitarnego klubu starych panien śmiertelnie znudzonych swoim beznadziejnym dziewictwem! Im to zostaw, niech sobie dla zabawy wymyślają nowe religie, których nikt nie potrzebuje! A ty weź się do uczciwej rewolucyjnej roboty, czarnej i brudnej jak i ten nasz święty proletariatus, który jest niesfornym ciemnym stadem...

– Żadnego brudu się nie dotknę! Zawsze będę miał czyste ręce...

– Więc zamknij się od świata w jakiej dziurze i zabierz się do pióra, bądź naszym poetą, nauczaj, prorokuj nam, odgrażaj się, przeklinaj burżuazję wielkimi słowami, opiewaj cnoty proletariatusu, obełguj go pochlebstwem, bądź bardem wielkiej sprawy, nieszkodliwym błaznem rewolucji, a upilnujesz czystości swoich rąk, bo w istocie o to ci jedynie chodzi. Kto jest aż tak szlachetny, że boi się unurzać we krwi i w błocie rewolucji, ten niech sobie idzie od nas precz, na wygodne życie.

– Moja religia prowadzi prosto do rewolucji, owszem, i do rozlewu krwi, ale u mnie ten, który ma prawo przelać czyjąś krew, musi być bojownikiem idei, rycerzem i bohaterem, ja nie dopuszczę do hańby rewolucji, do zdziczenia, do bezcelowych zbrodni, do bezceństwa... Surowa dyscyplina moralna ujmie kadry bojowe, aureolą męstwa, poświęcenia i wielkości opromieni walczące masy! Ja nie otworzę więzień, nie będę mobilizować bandytów, gangsterów, kryminalistów! Nie będę rozpętywać bestii ludzkiej...

Holownik na Hudsonie zawył przeciągle, groźnie i ponuro, wreszcie umilkł, ale wnet jakiś inny statek zaczął puszczać szybkie urywane sygnały w dziwnym, drażniącym, skocznym rytmie, jak gdyby igrając potężną swoją syreną. Profesor Borowiczenko zasłonił sobie uszy, z jego wynędzniałej twarzy znikł szydery uśmiech, z głęboko zapadniętych oczu wyjrzał strach, nieopanowany jawny lęk przeżalonego dziecka. Eddy perorował, ośmielając się coraz bardziej, wyrzucał rękami, krzyczał, ale jego słowa zginęły w chrapliwym porykiwaniu harmonii, chamskiej ręcznej „garmoszki”<sup>147</sup>, która

<sup>147</sup> Garmoszka – inac. akordeon, harmoszka.

gdzieś na końcu świata aż w dalekim Hulajpolu przejęła rytm od amerykańskiego parowca na Hudsonie i „grzała” triepaka. Mróz, wiatr, wszędzie na śniegu krwawe piętna, zaraz wypadnie z chaty bat’ko Machno, już słycać na przemarzłym śniegu chrzęst jego drobnych szybkich kroków... Z rozpędu wskakuje na stos porąbanych ciał...

Profesor Borowiczenko skulił się na łóżku, podciągnął nogi pod brodę i z głową nakrył się kołdrą.

Można podźwignąć i znieść klęski i udręczenia, pokonać w sobie nawet hańbę, można pogodzić się z losem wywołańca<sup>148</sup> i w zawziętym spokoju dźwigać dożywotne kajdany w bezecnym bractwie pasiastych kaftanów i golonych głów, a nie móc przezwyciężyć wypełnionego marzenia, podołać brzemieniu szczęścia.

Emery Elton całe dni spędzał nierozłącznie z synem w serdecznej zażyłości, uroczej męskiej przyjaźni i mimo ogromnej różnicy wieku w zadziwiającym wzajemnym zrozumieniu i w koleżeńskiej równości. Sprawiała to więź krwi i tragizm wydarzeń, które zetknęły ich ze sobą i związały. Rald błagał go, aby przeniósł się do niego na stałe, to znaczy – na zawsze, już mu urządzał pracownię, już planował dalekie wspólne podróże i jakieś fantastyczne zamierzenia ku naprawie świata i uszczęśliwieniu ludzkości, które podejmą razem w myśl testamentu Iny. W pierwszych tygodniach po jej śmierci, w pierwszym obłędzie radości po tak cudownym pozyskaniu serca chłopca Emery Elton doznawał napadów lęku przed takim obrotem fortuny – przed swoim niewiarogodnym szczęściem.

Tracił poczucie rzeczywistości, podlegał przywidzeniom, zachwiała się jego zbójcka odwaga wobec życia, ta bezczelność, z którą wyzywał zewsząd czyhające codzienne niebezpieczeństwo związane z jego dolą zbiegłego galernika. Łaska losu przytłaczała go, a z kolei nawiedził go natrętny przesąd, że teraz właśnie w szczęściu grozi mu śmiertelny cios, czepiały go się podejrzenia, złe przecucia, ostrzegające sny.

Listy gończe, fotografie, pomiary antropometryczne, odciski palców, zapchane i zapomniane w kartotekach policyjnych wszystkich państw świata, zaczęły się niepokoić, poruszać i wydierać z ukrycia, szczególnie podejrzaną była związkowa centrala urzędu bezpieczeństwa w Waszyngtonie. Świat jest nieskończenie wielki,

---

<sup>148</sup> Wywołaniec – wygnaniec, banita.

stolica USA daleko, a Nowy Jork to kolosalne mrowisko, jednak, czyż nie może być i tak, że w bezmiarze miasta znajduje się, jest przygotowany i czeka nań pewien punkt i ściśle do sekundy ustalony moment jakiegoś fatalnego spotkania? Może to być byle kto z dawnych paryskich czasów, towarzysz z celi więziennej w Turynie, w Santé, współpodróżnik z pływającego więzienia na transportowcu Le Tricolore, zwolniony kolega z Nowej Kaledonii z tej samej brygady lub nawet z jednego łańcucha, jakiś dozorca, urzędnik, adwokat, łapacz policyjny lub sędzia... Każdy był groźny – nawet ktoś najzupełniej obojętny, człek Bogu ducha winien, któremu by nie powstało w głowie donosić na niego – gdyż zdierał z niego maskę tajemnicy, co mogło mieć nieobliczalne następstwa, a pozna go oczywiście każdy... Czemuż jak głupi pożałował swojej urody i nie poddał się zawnazawczemu zabiegowi chirurgicznemu, co by go oszpeciło przynajmniej na tyle, że przy spotkaniu ze starym znajomym mógłby się zaprzeć siebie?

Dawniej nic podobnego nie przyszłoby mu do głowy, ale dawniej nie miał nic do stracenia, gdy obecnie posiadał skarb nad skarby, szczęście i cel życia, i przy tej zdobyczy losu chciał już pozostać do końca, gotów jej strzec i bronić, nie oglądając się na nic – biada temu, kto mu wejdzie w drogę! O jednym nie pomyślał jak urzeczony, o groźbie najbliższej, o zgubie wiszącej tuż nad jego głową na wątej niepewnej nici nerwów niepoczytalnej, zawziętej kobiety, która wiedziała o nim wszystko.

Ale ona przypomniała mu o sobie.

Stało się to w trzy tygodnie po śmierci Iny, gdy poważyl się po raz pierwszy odwiedzić Ralda w jego apartamentach w pałacu matki na Czterdziestej Drugiej Ulicy... Było to aktem rekordowej wyzywającej bezczelności względem nieszczęsnej Lucy, odciętej od syna. Musiał szukać go aż w domu, gdyż od kilku dni nie dawał znaku życia, zamknął się u siebie, wyłączył telefon, nie odpowiadał na listy; w obawie, że chłopak oszaleje i gotów puścić się na jakieś śmiertelne głupstwo, wolał sam wpaść w szaleństwo i nie bacząc na nic, przebojem, rozpychając służbę, dostał się do niego. Długo kołatał do zamkniętych drzwi sypialni i przemawiał najczulszymi słowami, wymyślał i krzyczał, zanim Rald wpuścił go do siebie. Był nieubrany, rozczochrany, niemyty, zaniedbany, wynędzniały, z błędnymi oczami, cuchnęło od niego wódką jak z beczki, w pokoju o szczelnie osłoniętych oknach paliła się mała lampka, pod nią do połowy opróżniona butelka szkockiej



whisky, a na stoliku bezładny stos zapisanych kartek. Na nich jak przycisk leżał sześćdziesięciopięciomilimetrowy browning i zapasowy magazyn.

Rald na sztywnych, szeroko rozstawionych nogach chwiał się na wszystkie strony, zataczał się, pochylał się i prostował, wymachując rękami dla uchwycenia równowagi. Chciał mówić, ale dobywało się zeń tylko głuche bełkotanie przerywane pijacką czkawką, zdawał się nikogo nie widzieć i nie słyszeć, co do niego mówiono.

Ale gdy Elton, obróciwszy się tyłem do stolika, ściągnął nieznanie rewolwer, spostrzegł to, roześmiał się szyderczo i zagadał:

– Możesz zabrać to świństwo, weź je sobie na pamiątkę, rozmyśliłem się, nie mam zamiaru zostawiać matce mojego trupa i nudzić go pogrzebową pompą. Ona sobie wyobraża, że będzie mogła wysiadywać na cmentarzu Woodlawn<sup>149</sup> na marmurowej ławie i wzdychać przed moim mauzoleum za sto tysięcy dolarów!... Oczywiście przygotuje tam miejsce i dla siebie, aby się w swoim czasie wprowadzić do mnie na wieczne czasy... Niedoczekanie twoje, Lucy! Ja zginę bez śladu! No, i zabiorę ze sobą urnę z popiołami Iny, dobrze, że jest w greckim stylu z uchami – przyznam ci się, że nie spodobały mi się te ucha, ale teraz przydadzą się doskonale, przewlokę przez nie rzemień, opaszę się mocno i hop do wody... Z dwudziestu pięciu funtami porfiru<sup>150</sup> nie odratuje mnie żadna policja wodna!... Ale z którego mostu? Myślę nad tym przez całą noc i nie mogę się zdecydować, chyba wezmę motorówkę i wyjadę na pełne morze. Atlantyk przygarnie nas oboje; jej zwłoki strawił ogień, mnie pochłonie woda, spoczniemy w jednej nicości... Emery, czy wierzysz w żywot wieczny? W obcowanie duchów? Jeżeli wierzysz, przekonaj i mnie, będzie mi przyjemniej skakać do wody... A matka niech sobie płacze, niech się wścieka, napisałem do niej wielki list o wszystkim, ale nie warta ona takiego zachodu, napiszę krótko w takich paru słowach, że popamięta do końca życia... Właściwie powinienem naprzód ją zabić, a potem siebie, ale cóż by to była za kara? Właśnie niech żyje jak najdłużej – ach, Emery, straszliwie mnie boli głowa...

– Po coś pił? Głupi chłopaku, przecież to jeszcze gorzej.

– Owszem gorzej, najgorzej, ale przez to samo lepiej, czyli znacznie lepiej, trzy butelki rumu, dwie whisky w ciągu jednej doby. A ty

<sup>149</sup> Cmentarz Woodlawn – zabytkowy cmentarz na Bronksie założony w 1863 r.

<sup>150</sup> Porfir – określenie twardej i trudnej w obróbce skały wulkanicznej.

skąd się tu wzięłaś po nocy? Wiedz, że mi jesteś zupełnie niepotrzebny, surowo zakazałem, żeby mi się nikt nie ważył... I jeszcze po nocy... Zabieraj się i już!

– To nie żadna noc – samo południe.

– Południe? Więc wynoś się, jeżeli to południe! Żebyś ty wiedział, jak okropnie mi przeszkadzasz...

– Wiem i dlatego właśnie przychodzę, nie dam ci pić ani planować jakichś głupstw – nic z tego!

– Oho, bardzo się ciebie boję!

– Oczywiście. Ale czy się nie boisz znieważać pamięci zmarłej?

– Ja?! Czymże ją znieważam, do diabła?

– A wódka? Zachlany jesteś jak bydło; chciałbyś, żeby cię zobaczyła takiego? Może ona patrzy na ciebie w tej chwili?

– Nie wygaduj takich okropności... Jakim sposobem mogłaby patrzeć?

– Nie wiem. Zmarli mają swoje sposoby niepojęte dla nas...

– Aha. Więc dlaczego nie chce mi się pokazać choćby na sekundę, na jedno mgnienie oka? Błagam ją o to nieustannie!

– Jeszcze czego – miałaby się komu ukazywać, popatrz no w lustro... A przede wszystkim sprzeciwiasz się jej woli; powiedz, co masz zamiar uczynić z jej testamentem? Gdybyś był przy tym, jak dyktowała mi słowo po słowie w bólu i męce, ostatnim tchem... Odeszła z wiarą, że choć jej nie będzie, wypełnisz życie swoje godnie i pięknie, będziesz pracował za siebie i za nią, jak to ułożyliście sobie. Strzelić sobie w łeb, skoczyć do wody potrafi każdy kiep, zwłaszcza po pijanemu, a ona ci rozkazuje, żebyś żył i żył jak człowiek, któremu dużo dano. W swoim czasie masz do odegrania olbrzymią rolę nie tylko przez miliony, które ci przypadną, ale i własnymi siłami woli, intelektu, wykształcenia, jeżeli zechce ci się uczyć i wyjść z młodzieńczej głupoty... Ale ciebie pociąga kariera dezertera, nie wstydzisz się być zdrajcą sprawy, którą ukochana kobieta złożyła w twoje ręce; to jest myśl nikczemna, obrzydliwość zrodzona z rozpacz, ale również i z wódki.

Rald oburącz ścisnął sobie głowę i słał się po pokoju; po wynędzniałej twarzy spływały gruboziarniste łzy, jęczał, stękał, wreszcie, macając po ścianie jak niewidomy, z trudem trafił do drzwi zamaskowanych w chińskiej jedwabnej tapecie i uciekł do łazienki. Elton zaopiekował się nim jak kolegą, zwał z niego pyjamę<sup>151</sup>,

---

<sup>151</sup> Pyjamas (ang.) – pidżama.

postawił go pod natryskiem i lał mu zimną wodę na łeb bez miłosierdzia, aż chłopak zaczął dygotać i szczerkać zębami. Z ojcowskim rozkośchaniem patrzył na obnażone piękno jego młodzieńczej urody. Z podziwem, zachwytem, niemal w przesadnym przerażeniu ujrzał dwa ciemne piętna: jedno większe, drugie jak ziarnko grochu na prawym biodrze, takie same w tym samym miejscu – „znaki szczególne”, zanotowane w protokołach śledztwa, w kartotekach kaźni w Nowej Kaledonii, w listach gończych... Objawiła mu się jako cud niezglębiona tajemnica przelewająca niekiedy z ojca na syna najdrobniejsze znamiona ciała, a więc i ducha; jego najgłębsze jestestwo żyje w tym chłopcu, i o całe jedno pokolenie przedłuża się poza grób jego ziemski byt, niejako osobisty, jakby nieprzerwany, powtarzający się w wiosnie tej młodości. Drugie wcielenie Wiktora Derjac’a, Juana Carranzy, a dalej jeszcze i jeszcze fałszywe dokumenty, nowe imiona, aż do dzisiejszego nazwiska Emery’ego Eltona, które niechaj już będzie ostatnie... Urodził się Francuzem, był argentyńskim Hiszpanem, Rumunem, australijskim Anglikiem, i z powrotem Francuzem, a teraz jest obywatelem Kanady, urodzonym w St-e Marie nad rzeką Chaudière<sup>152</sup> – głupie formy, formalizmy i formuły narzucone mu przez koleje życia, nie zawsze takie, jakby chciał, bo i któż się rodzi włamywaczem, bandytą, mordercą, oszustem, szantażystą? Wszystkim był, bo jak się raz zaczęło, to już tak mu sic składało, a w istocie czymże był? Artystą, człowiekiem ze zbyt wybujałą wyobraźnią, z żądzą życia i ona to pchnęła go na manowcowe szlaki, gdzie błąkał się, aż się zabłąkał i wreszcie ugrzązł, ale synowi nie przekazał zbrodniczych instynktów, gdyż nie poczuwał się do nich nigdy, dał mu za to odwagę, namiętność walki, wytrzymałość na najcięższą dole, co i milionerowi może się przydać, gdy rewolucja zapali mu dach nad głową.

Surową twarz Eltona rozjaśniał uśmiech zachwyty i rozkoszy, gdy myślał o przyszłości Ralda, wszak będzie to jego własne powtórne życie, zupełnie inne, a jednak wypływające z tych samych cech charakteru, skłonności, popędów, idące z tej samej krwi, z identycznego ustroju nerwów, bo jeżeli przekazał mu podobieństwo oblicza i budowy ciała, spojrzenie, głos, ruchy aż do ciemnych znamion na biodrze, czemuż miało być inaczej w dziedzinie ducha? W nim odrodzi się prawda i piękno jego zmarnowanego życia, przez niego będzie

---

<sup>152</sup> Sault Ste. Marie – miasto w Kanadzie, w prowincji Quebec. Znajduje się 59 km (37 mil) na południowy wschód od Quebec City, nad rzeką Chaudière.

wiedział, jakim byłby on sam w całej swojej prawdzie, gdyby nie warunki czysto zewnętrzne, rzeczy w istocie błahe. Co go zgubiło?

Dramat artysty – brak talentu. Łamał się ze sobą, pogardzał sobą, rozpaczał i gdy ostra, przesadzona świadomość swej nicości twórczej zatrąła mu duszę, rzucił malarstwo, pogrążył się w rozgorączonym próżniactwie. Zrodziła się żądza przygód, potem ogarnęła go hipnoza bogactwa i gdyby w zaraniu młodości trafił był na dzielnych ludzi, na egzotycznych podróżników, eksploratorów ukrytych skarbów ziemi lub w sferę wielkich interesów, w hazardy giełdziarskie, zużyłby swe popędy i siły, nie wchodząc na drogi wiodące prosto do więzienia. Ale traf zrządził, że spotkał dwóch starych imponujących zbrodniarzy i ci wzięli go między siebie, zaprzedał im się i służył międzynarodowej szajce, a gdy chciał się wyzwolić i pójść własną drogą, wydali go na zgubę, musiał uciekać przed policją, unosząc głowę spod niechybnej gilotyny – jednak dwa morderstwa – i wypuścić z rąk królewską zdobycz, najbogatszą, choć najbrzydszą pannę na kuli ziemskiej, która poleciałaby za nim na koniec świata. I dziś królowałaby w slazengerowskim pałacu na Czterdziestej Drugiej Ulicy...

Nie udało się i diabli wzięli życie, odegra się dopiero teraz przez Ralda. Obmyślał mu życiorys górny, niesamowity, wspaniały... Zaczyna się dobrze; sam los zmiotł z jego drogi biedną Inę tuż na progu dojrzałego wieku, los uwolnił go od więzów kobiety i miłości – pierwsza wielka wygrana. Nie zaprzepaści siebie w spożywaniu szczęścia, nie roztrwoni na marne darów, które kryją się w nim. Ina spełniła swoją rolę i odeszła w porę, teraz już nikt nie stoi między ojcem a synem, ich więź wzajemna umocniła się i nic jej nie potarga... Młodzieńczy dramat przeorze mu duszę, pogłębi ją i użyźni, był uroczym chłopcem, niebawem zacznie się stawać człowiekiem, rozkwiera się jego żywot jak kwiat, jak poemat poczęty w natchnieniu. Co za rozkosz być jego twórcą! Poeta nie wie, jaka będzie następna karta, czeka na podszept muzy, posiada jedynie wizję swego dzieła, przecucie wielkości jego, rytm, światłość, urok jego tchnienia. Reszta będzie wspaniałą improwizacją.

Rald wypijał całe syfony wody z lodem i z wolna trzeźwiał, opowiadał długo, bałamutnie o swojej udręce, na którą nie ma środka ratunku prócz jednej śmierci; gdyby miał pewność, że na tamtym świecie – jeżeli istnieje taki – spotka się z duchem Iny, dawno już poszedłby za nią, ale nieśmiertelność duszy jest, niestety, mistycznym przypuszczeniem, hipotezą dla pociechy nędznego człowieka,

bezbronnego w walce z losem. Jednak słyszał kiedyś o pewnej wróżce, Rosjance, która wywołuje duchy, ale nie może się dopytać o jej adres, jeżeli ona potrafiłaby go zetknąć z widmem Iny i ułatwić im porozumienie, wiedziałby, co ma ze sobą zrobić.

– Przecież ona ci to sama napisała, masz wszystko czarno na białym!

Rald jakby się ocknął. Spojrzał ze złym, drwiącym uśmiechem, w którym Emery Elton z dumą, z radością natychmiast poznał siebie.

– Wybacz, Emery, ale mam pewne wątpliwości, nie byłem przy tym, jak ci dyktowała...

– Cóż to, nie wierzysz mi?! Po co miałbym cię tak haniebnie oszukiwać?

– Po co... Oczywiście dla mojego dobra, żebym siedział spokojnie i jak najprędzej się pocieszył, przecież Lucy jak oko opatrności, jak anioł stróż dba o mnie na każdym kroku.

– Co to ma do twojej matki?

Rald z chytrym uśmieszkiem, zmrużywszy porozumiewawczo jedno oko poklepał go po ramieniu.

– Gdybym nie był twoim przyjacielem, powiedziałbym ci wszystko, co wiem, ale wówczas musiałbym cię wyrzucić za drzwi, a pomimo wszystko nie chcę z tobą zrywać.

Elton westchnął ciężko.

– Wzdychaj, wzdychaj, masz nad czym, jeżeli ocknęło się w tobie sumienie. Gotów ci jestem nawet przebaczyć, jeżeli szczerze wyznasz mi wszystko, rozumiesz? Odpowiadaj na moje pytania. Po pierwsze – czy Ina naprawdę nie żyje?

– Masz u siebie jej popioły.

– O popiołach będzie później. Więc żyje czy nie żyje?

– Nie żyje.

– Dobrze. Czy Ina została obłana kwasem siarczanym?

– Tak.

– Czy leżała w klinice doktora Farrella?

– Leżała.

– I tam się otruła?

– I tam się otruła – jest protokół.

– Po czym została spalona w krematorium w Mount Kisco<sup>153</sup>... Kto cię do tego upoważnił?

---

<sup>153</sup> Mount Kisco – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Nowy Jork, w hrabstwie Westchester.

– Taka była jej wola, zresztą doręczyłem ci oficjalne i formalnie spisane zaświadczenie tego zakładu.

– Elton, nie zawracaj mi w głowie protokołami i zaświadczeniami, wiem, jak się to robi. A dlaczego nie dopuszczono mnie do lecznicy?

– Ona nie pozwoliła.

– Czemu ukryłeś przede mną jej pogrzeb?

– Bo ona tego chciała.

– Bardzo pięknie, ale nie wymagaj ode mnie, ażebym uwierzył w te łągarstwa. Ile obiecała ci Lucy za obrobienie całej komedii? Potarguj się z nią, bo to skąpiradło, a z ciebie dobry reżyser, upozorowałaś wszystko, że gdybym cię zaskarżył do sądu, nie byłoby się do czego przyczepić. I co za farsa z tym znakomitym Niemcem – sprowadzać człeka aż z Europy do nieistniejącej chorej! Wreszcie przyjechał – gdzie chora? Panie doktorze, niestety właśnie, jak na złość wzięta i umarła – otruła się i już. Co za genialna bezczelność... A teraz zabieraj tę urnę z popiołami i wynoś się, pókim grzeczny!... To ja zasypuję ją kwiatami, czołgam się przed nią, biję czołem – widzisz siniaki? – zlewam łzami głupią urnę, modłę się do niej, a ona w środku pusta albo z trocinami, może i z popiołem po pierwszym lepszym idiocie z pierwszego lepszego szpitala.

– Więc co się stało z Iną? O co mnie podejrzewasz?

– Nie wiem, gdzie jest, jedno wiem, że żyje. Porwaliście ją jak gangsterzy, ukryliście ją przede mną i teraz idzie niebываły szantaż moralny...

– Szantaż? Ale o co?

– To jest taka diabelska zawikłana intryga, że mąci mi się w głowie...

– Nic dziwnego, obrzydliwie pijesz od paru dni, wyśpij się, a wszystko zrozumiesz.

– Mogę wszystko zrozumieć, nigdy jednak nie uwierzę, żeby Ina mogła umrzeć! A więc żyje. Żyje i już. Powiedz mi, gdzieście ją schowali? Wiem, że mi tego nie powiesz, ale ja ją znajdę bodaj na końcu świata i wówczas...

– Powiadasz, że nie mogła umrzeć? Dlaczego?

– Co za głupie pytanie! Bo jest to niepodobieństwem, absurdem i ty chcesz, żebym w to uwierzył? Co za dzikie wymagania! Elton, opamiętaj się...

Rald gadał dalej, pogrążając się w odmęt bredni i niebawem zaplątał się zupełnie. Przerywał, namyślał się i zaczynał na nowo, ale szło mu coraz trudniej. Zbierając myśli, tarł sobie czoło, przymknął oczy, jeszcze przez chwilę usiłował coś wypowiedzieć w niewyraźnym

bełkocie, wreszcie zamilkł, głowa mu opadła. Elton ułożył go, nakrył jakąś tkaniną w jaskrawe pasy, którą znalazł zmiętą, poniewierającą się na ziemi, pochylił się nad nim i z bliska, dotykając go niemal twarzą, zapatrzył się. Porwała go ekstaza szczęścia.

Zwaliło się zeń brzemień matactw, zbrodni, krzywud, poniżeń, opuściła go zastarzała gorycz, złość i nienawiść do wszystkich ludzi i do całego świata, i żądza zemsty, i tajemny wstyd przed samym sobą za ohydne brudy życia. Szczęście skreśliło jego winy i ich żywą pamięć, więc ktoś jest bohaterem kiedyś, gdzieś zasłyszanej fantastycznej opowieści? Postać zmyślona przez nieznanego autora zamiłowanego w okropnościach, ale nagromadził ich zbyt wiele, przesadził, ten utwór chybiony, sztuczny, zakłamany już dawno utonął w zwałach zbutwiałej makulatury, jego autor zmarł w zapomnieniu, niepostrzeżenie, a wraz z nim zamierzenie dalszego ciągu – pokój jego pamięci. Inny twórca, młody, genialny właśnie rozpoczyna powieść swego życia...

Elton rozsunął kotary osłaniające szerokie okno, biegnące przez całą ścianę, do pokoju wdarł się ostry blask dnia i niespodziana nawała zieleni, przez którą w dole przeświecały jaskrawe kępy kwiatów. Wspaniały czarny dąb piętrzył się tuż nad oknem.

.....  
.....  
Na dole pośrodku hallu stał z majestatem prawdziwego katolickiego biskupa siwy jegomość w liberii domu, ale z oznakami wyższej szarży lokajskiej, w czarnym krawacie, ze złotym łańcuchem na szyi i z akselbantami<sup>154</sup> na prawym ramieniu; Elton w lot poznał, że ten dygnitarz czeka na niego.

– Pan jesteś starszym nad służbą młodego pana?

– Nie, panie, młody pan posiada własny personel, ja mam zaszczyt być przełożonym nad służbą samej pani Rascob... Właśnie...

– Proszę powiedzieć pani Rascob, że pan Gerald potrzebuje opieki, jest zupełnie opuszczony... Teraz ułożyłem go i śpi, trzeba, żeby ktoś tam przecie zajrzał za jakie parę godzin.

Kamerdyner już utracił wyniosłość biskupa, patrzył na Eltona wybałuszonymi oczami i czynił zagadkowe zbędne ruchy rękami – w jednej trzymał kopertę. Podsunął się ku niemu nieznacznie młody lokaj o wyzywającej twarzy i z jakimś zatajonym uśmieszkiem

---

<sup>154</sup> Akselbantant – sznur galowy, ozdobny pleciony sznur naramienny, będący częścią stroju, głównie wojskowego.



chciwie zapatrzył się na gościa, z którym przed godziną stoczył był walkę u drzwi młodego pana, broniąc dostępu. Obaj nie odrywali oczu od Eltona.

– Proszę niezwłocznie powtórzyć moje słowa pani Rascob!

– Słucham pana!

– Młody pan nikogo nie dopuszcza do siebie, nawet samej pani, jesteśmy w bardzo trudnym położeniu...

– Ale ja się do niego dostałem? Jest chory i bardzo nieszczęśliwy, proszę powiedzieć i to.

– Natychmiast będzie spełnione, pozwoli pan, że zapytam, jak mam oznajmić pani?... W imieniu pana...

– Oto moja karta.

– Dziękuję!

Stary kamerdyner usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wyjąkać ani słowa, zbaraniał zupełnie i baraniami oczami wciąż uporczywie patrzył na gościa. Elton wreszcie zrozumiał, starego poraziło w sam rdzeń mózgu jego niesłychane podobieństwo do Ralda. Trzeci lokaj podał mu laskę i kapelusze, stary dogonił go dopiero u samych drzwi.

– Proszę pana... Jest list od pani...

– Dziękuję.

Zawrócił do hallu, usiadł w fotelu i spokojnie, bez pośpiechu rozerwał kopertę, wydobyl papierosa, stary lokaj drżącą ręką podał mu ognia. W ciągu tej pół minuty opanował się, przemyślał wszelkie możliwości i już był gotów na wszystko, jego usta ułożyły się w słaby półuśmieszek, który zawsze zjawiał się w chwili niebezpieczeństwa, gdy w jednej sekundzie trzeba było powziąć decyzję. Pani Rascob dobrze strzeże syna, jeżeli natychmiast doniesiono jej o jego bytności w pałacu, oczywiście detektywem domowym jest ów lokaj z beczelnymi oczami, którego odepchnął od drzwi sypialni Ralda... Lucy równie dobrze może chcieć nawiązać stosunki, jak grozić – bardzo ciekawa kobieta... List pisany był po francusku.

„Rzekomy panie Elton, dziś opuści pan Nowy Jork. Nigdy więcej nie poważy się pan szukać spotkania z Raldem ani pisać do niego. Zniknie pan jak widmo, jak zły sen, obym do końca życia straciła pana z oczu! Za pierwszą próbą naruszenia mej woli pakiet od dawna gotowy, zawierający doniesienie oraz dokumenty pańskiego *curriculum vitae*, w myśl wiadomej panu instrukcji zostanie niezwłocznie wysłany do generalnego prokuratora związkowego w Washingtonie oraz w odpisie do władz policyjnych stanowych w Albany”.

Tego się właśnie spodziewał. List nie zachęcał do nawiązania stosunków, trudno go było uważać za zaproszenie, choć – kto wie?... Kto przeniknie taką Lucy? Elton dopalił papierosa, schował list, popatrzał na fryz obiegający w górze cały hall, gdzie czerwonoskórzy wojownicy ustrojeni w pióra z włóczniami i tomahawkami<sup>155</sup> pędzili nawałą na srokatych koniach do ataku na długi tabor wozów zaprzężonych w woły, brodaci traperzy w olbrzymich kapeluszach stali murem w szyku bojowym z wymierzonymi karabinami.

– Proszę mnie oznajmić pani Rascob!

– Służę panu, proszę za mną.

Stary kamerdyner poprowadził go przez długą oszkloną galerię pełną obrazów, rzeźb i witryn z rękopisami, z jakimiś osobliwościami. W przerwach między oknami stały zbroje średniowieczne, na ścianach wisiały panoplia<sup>156</sup> ułożone z tarcz i broni. Dalej był salon zasłany jednym ogromnym dywanem perskim, po rogach stały wzorzyste namioty, a wszędzie niskie inkrustowane stoliczki i zwały poduszek. Pokój chiński przeładowany mnóstwem obrazów, ogromnych waz, starożytnych lakowych mebli, parawanów, szafek z porcelaną... Czerwoceglasto malowany korytarz z pompejańskimi freskami wysłany czarnym sukniem, boczne schody wyściełone zielonym pluszem z kutymi złożonymi poręczami, na każdym stopniu z obu stron doniczki jakichś pstrych kwiatów... Pierwsze piętro – pusty salon bez jednego krzesła, na ścianach wielkie płótna, fryzy mozaikowe, a pośrodku marmurowa kopia Nike Samotrakeńskiej<sup>157</sup>... Niezmierny przestwór biało-złotej sali balowej, rozleglejszej niż hangar pierwszorzędnego lotniska, przykra, zimna pustka z żyrandolami spowitymi w czerwoną tkaninę, z osłoniętymi oknami. Tu już milczący kamerdyner nie mógł wytrzymać, rozpostarł ramiona jak skrzydła.

– Największa sala w siedzibie prywatnej na cały Nowy Jork, USA, na obie Ameryki i na wszystkie kontynenty świata! Dziewięć tysięcy stóp kwadratowych – prawie tysiąc metrów, wysokość...

– A często odbywają się tu bale?

– Nie można powiedzieć, żeby często...

---

<sup>155</sup> Tomahawk – siekierka bojowa z drobnym obuchem i długim drzewcem.

<sup>156</sup> Panoplia – motywy dekoracyjno-symboliczne złożone najczęściej z broni białej i uzbrojenia ochronnego, ułożonych w płaszczyźnie pionowej, symetrycznie wokół tarczy z herbem właściciela.

<sup>157</sup> Nike z Samotraki (Nike Samotracka) – marmurowa rzeźba hellenistyczna z III lub II w. p.n.e.

- A był już choć jeden?
- Jeszcze żadnego nie było, proszę pana...
- Szkoda takiej sali, stoi bez użytku.
- Dawniej nasz młody pan lubił tu jeździć na rowerze... Również uczył się rzucać lasso... Na psach...

Elton był spokojny i pewny siebie, ani na jedną chwilę nie wziął na serio groźnego listu, pożerała go ciekawość, jak się to odbędzie, nie dopuszczał myśli, aby Lucy go po prostu nie przyjęła. Wszakże, gdy zasiadł w niewielkim saloniku z widokiem na ogród – kamerdyner udał się do pani z jego biletem – w pierwszej chwili cała ta eskapada wydała mu się wątpliwą, podejrzaną co do swego realizmu. Sen? Przywidzenie, zrodzone z rozbującej wyobraźni zaprawionej w zgadywaniu tego niemożliwego spotkania? ... Myślał o nim od tylu lat, to ich pierwsze spotkanie było starą legendą, sceną, wyrwaną z jakiejś powieści, przypuszczeniem, którym igrał sobie bez cienia wiary, by się mogło spełnić, aż wreszcie nadszedł jego czas.

Ogarniał go zamęt.

Za chwilę wejdzie do tego pokoju żywy mit, ucieleśni się widmo, urojenie. Teraz dopiero spostrzegł, że Lucy – pomimo że od paru miesięcy krążył dokoła niej w tym Nowym Jorku, że zbliżył się z jej synem i był przez nią śledzony – jest wciąż jeszcze po dawnemu koszmarem sennym, jak bywało, gdy ocknął się w samotnej celi w Santé lub przykuty na wspólnym galernicznym łańcuchu w Nowej Kaledonii, na antypodach, w okropne upalne noce podzwrotnikowe w baraku na wyspie Nou<sup>158</sup>. Na wszystko był przygotowany. Mogła powtórzyć mu swoją groźbę, odwołać ją, pertraktować z nim, próbować kupić go za grube pieniądze, zmiażdżyć go swoją pogardą, błagać o łaskę. Może go nie przyjąć i odprawić z niczym. Może tu zaraz przyjdzie po niego dwóch detektywów, którzy zabiorą go stąd prosto do więzienia... Jedno wydawało się niepodobieństwem, że Lucy we własnej osobie wejdzie przez te wyłącane drzwi... Nie pomyślał nawet o swojej podłości i hańbie, o swoim starym sprzed dwudziestu lat i wieczystym wobec niej bezceństwie. Ale jakie będzie ich pierwsze spojrzenie?... Które z nich wymówi pierwsze słowo? Zadygotał w nim poskromiony, wytępiiony strach, którego nie zaznał był od wielu, wielu lat. Cekał jak na ukazanie się upiora.

---

<sup>158</sup> Wyspa Nou – kolonia karna w Nowej Kaledonii.

Za niedomkniętymi złożonymi drzwiami szmer kroków, przy-  
ciszone słowa...

– Pani prosi zaczekać.

Stary kamerdyner znikł, Emery Elton odetchnął głęboko,  
uśmiechnął się.

22 VI – 4 XI 1934

## Bibliografia

(zawiera również pozycje tylko wymienione, ale nie cytowane)

### Literatura

#### Literatura podmiotowa:

Strug A., *Miliardy*, t. 1, Warszawa 1937.

Strug A., *Miliardy*, t. 2, Warszawa 1938.

#### Literatura przedmiotowa (wybrane pozycje):

Andrzej Strug, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2011.

Burek T., *Jaka niepodległość? Wokół dylematu odrodzonego państwa.*

Andrzej Strug i Juliusz Kaden-Bandrowski, w: *Literatura polska 1918–1975*, t. 1, red. A. Brodzka, H. Zaworska, S. Żółkiewski, Warszawa 1975.

Burek T., *Problemy wojny, rewolucji i niepodległości w zwierciadle*

*prozy narracyjnej*, w: *Literatura polska 1918–1975*, t. 1,

red. A. Brodzka, H. Zaworska, S. Żółkiewski, Warszawa 1975.

Dębicki Z., *Portrety*, Warszawa 1928.

Fik I., *Rodowód społeczny literatury polskiej*, Kraków 1938.

Jakubowski J.Z., *Wczesne pisarstwo Andrzeja Struga. Na przykładzie*

„*Dziejów jednego pocisku*”, „*Przegląd Humanistyczny*” 1963, nr 4.

Karwacka A., *Kształtowanie się oblicza ideowego A. Struga w latach*

1902–1909, „*Zeszyty Naukowe UŁ*” 1959, z. 13.

Kijowski A., *Nowa powieść Andrzeja Struga*, w: *Arcydzieło nieznanne*,

Kraków 1964.

Kisielewska A., *Film w twórczości Andrzeja Struga*, Białystok 1998.

- Kochanowski M., *Ameryka w powieściach Andrzeja Struga*, w: *Andrzej Strug*, K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2011.
- Kochanowski M., *Melodramatyzm i powieść. Od rytuału do sensacji* (Żeromski, Mniszkówna, Strug), Białystok 2015.
- Kochanowski M., *Wizerunek gwiazdy filmowej w „Żółtym krzyżu” Andrzeja Struga czyli „Ostatni film Ewy Eward”*, w: *Sensacja w dwudziestoleciu międzywojennym (prasa, literatura, radio, film)*, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2011.
- Krzyżanowski J., Wereszczycki H., *Gatecki T.*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 7, Kraków 1948–1958.
- Kubacki W., *Idolum Thematis*, w: *Lata terminowania. Szkice literackie 1932–1962*, Kraków 1963.
- Maciejewska I., *Literatura Młodej Polski a rewolucja lat 1905–1907*, w: *też*, *Rewolucja a niepodległość. Z dziejów literatury polskiej lat 1905–1920*, Kielce 1991.
- Michalski H., *Andrzej Strug*, Warszawa 1988.
- Michalski H., *Mason rewolucjonista. Andrzej Strug (Tadeusz Gatecki, 1871–1937)*, „*Ars Regia*” 1993, nr 1, s. 57.
- Miller J.N., *Andrzej Strug*, w: *Bez kropki nad „i”*, Warszawa 1964.
- Naglerowa H., *Bezkompromisowy*, w: *też*, *Wspomnienia o pisarzach*, Londyn 1960.
- Pieszczachowicz J., *Czytając Struga*, „*Miesięcznik Literacki*” 1969, nr 5.
- Pieszczachowicz J., *Na tropach „Ludzi podziemnych” – Andrzej Strug*, w: *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego*, red. B. Faron, Warszawa 1972.
- Pięczka B., *Proza narracyjna Andrzeja Struga*, Wrocław 1987.
- Pomirowski L., *Ludzie na wojnie i wojna w ludziach*, „*Wiadomości Literackie*” 1938, nr 10.
- Proza Andrzeja Struga. Studia*, red. T. Bujnicki, S. Gębała, Kraków 1981.
- Rohoziński J., *Andrzej Strug*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku. Literatura okresu Młodej Polski*, red. K. Wyka, A. Hutnikiewicz, M. Puchalska, Kraków 1973.
- Rosiak E., *Andrzej Strug jako krytyk literacki*, „*Annales Universitatis Marie Curie-Skłodowska*” 1964, t. 16.
- Ruszczyc M., *Andrzej Strug*, Warszawa 1962.
- Rzymowski J., *Wstęp*, w: *A. Strug, Nowele i opowiadania*, Warszawa 1987.
- Sandler S., *Andrzej Strug. Wśród ludzi podziemnych*, Warszawa 1959.

Sandler S., *Tajemnice „Żółtego krzyża”*, „Prace Polonistyczne” 1958, seria 14.  
Wierzbowski T., *Doświadczenie kinematograficzne Andrzeja Struga*, „Przegląd Humanistyczny” 1973, nr 2.  
*Wspomnienia o Andrzeju Strugu*, wstęp i oprac. S. Sandler, Warszawa 1965.

*Wybrane numery prasowe, które ukazały się po śmierci pisarza:*

„Wiadomości Filmowe” 1937, nr 24,  
„Gazeta Polska” 1937, nr 343,  
„Czarno na Białem” 1938, nr 7,  
„Robotnik” 1938, nr 1,  
„Sygnały” 1938, nr 38,  
„Wiadomości Literackie” 1938, nr 10.



„Rald dziwił się, zdumiewał się sam sobie. Aż do tej pory nie posiadał właściwego pojęcia o fortunie matki, nie był nawet ciekawy i ani razu nie zapytał jej o to – czyżby szwankował na inteligencji? Ogrom spadł na niego zupełnie nadspodziewanie, nie wywoływał radości ani pychy, jeno tępe zdumienie. Po tym odkryciu pierwszy przeblysłk jego myśli wyraził się w zbędnym, naiwnym pytaniu – po co tak potwornie dużo? A dalej, przelotny odruch jakby oburzenia – jak świat dopuszcza, żeby w jednym ręku zgromadziło się nieprawdopodobne bogactwo? Zaś najważniejsze – co on będzie z nim robił? Był przytłoczony – któż go skazał na taki los? Jak podjąć niemożliwemu zadaniu?” (t. 1, s. 97).

Andrzej Strug, czyli Tadeusz Gałęcki (1871–1937) – konspirator, działacz ruchu socjalistycznego, uczestnik rewolucji 1905–1907, PPS-owiec, więzień x Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, zesłaniec w archangielskiej gubernii, emigrant w Paryżu, pilsudczyk, polityk (wiceminister propagandy, senator), prezes Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich, mason, człowiek filmu, scenarzysta, autor kilkudziesięciu opowiadań, kilkunastu powieści, scenariuszy filmowych.

*Miliardy* można interpretować jako literackie credo artysty i podsumowanie jego drogi twórczej oraz światopoglądowej, zawierające sumę przemyśleń autora na temat pieniądza, kapitalizmu, ekonomii, stosunków społecznych i polityki.

MAREK KOCHANOWSKI

ISBN 978-83-67049-66-5



**episteme**  
WYDAWNICTWO